

Victoria Holt

# TAJEMNICA ZUZANNY

*Dla mojej drogiej przyjaciółki Patricii Myrer, która pierwsza obudziła we mnie  
zainteresowanie doktorem Damienem i młodą kobietą uwiklaną w wojnę krymską.  
Przez pamięć wielu owocnych godzin, które spędziłyśmy, dyskutując o moich bohaterach.*

## Rozdział Pierwszy.

### Ślub.

W noc poprzedzającą mój ślub miałam dziwny sen i obudziłam się śmiertelnie przerażona. Znajdowałam się w kościele, a Aubrey był obok mnie. Powietrze przesycił silny zapach kwiatów - woń lilii, intensywny, duszący zapach śmierci. Wuj James - wielbny James Sandown - stał przed nami. Był to kościół, który tak dobrze poznałam w latach szkolnych, kiedy mieszkałam na plebanii w Humberston z wujem Jamesem i ciotką Grace. Nie mogłam przebywać z moim ojcem, pełniącym wtedy służbę na placówce w Indiach. Usłyszałam własny głos - głuchy, jak gdyby odbijał się echem w pustce:

- Ja, Zuzanna, biorę ciebie, Aubreya, za męża.

Aubrey trzymał obrączkę. Ujął moją dłoń, jego twarz zbliżała się do mnie coraz bardziej i bardziej, a mnie ogarnęło przerażenie. To nie mogła być twarz mojego narzeczonego, a przecież nią była. Nie znałam tego oblicza. Było odrażająco obce, straszne, wprost przerażające, wykrzywił je złośliwy grymas. Usłyszałam czyjś głos wołający:

- Nie! Nie!

Był to mój własny głos.

Usiadłam na łóżku, drżąc na całym ciele, i wpatrywałam się w mrok, ściskając kołdrę spoconymi, lodowatymi rękami. Sen był tak żywy, że przyszłam do siebie dopiero po pewnym czasie. A później powiedziałam sobie, iż to oczywisty nonsens. Rano miałam wziąć ślub. Pragnęłam tego. Kochałam Aubreya. Co mogło sprowadzić tak niesamowitą wizję? „Przedślubny niepokój” - powiedziałyby ciotka Grace, najpraktyczniejsza z kobiet. I miałyby rację.

8

Usiłowałam otrząsnąć się z wrażenia, jakie wywarł na mnie ów nocny koszmar, ale mi się to nie udało. Wydawał się taki prawdziwy.

Wstałam z łóżka i podeszłam do okna. Zobaczyłam stamtąd znajomy kościół z pochodzącą z czasów panowania Normanów wieżą, dobrze widoczny w gwiazdnej poświacie. Stał tu już od ośmiuset lat, rzucając wyzwanie wiatrom, deszczom i stuleciom - niezdojony, podziwiany i odwiedzany przez wielu ludzi; wuj James był z niego bardzo dumny.

- To zaszczyt wziąć ślub w takim kościele - rzekł do mnie.

Jutro ojciec poprowadzi mnie główną nawą i stanę przed ołtarzem obok Aubreya. Nadal drżałam jak liść. Ale przecież to wcale nie będzie podobne do mojego okropnego snu.

Otworzyłam szafę i popatrzyłam na suknię ślubną - z białego atłasu, ozdobioną koronką z Honiton; na welon i wianek z kwiatów pomarańczy.

Za kościołem, w „Czarnym Dziku”, jedynej gospodzie w Humberston, spał Aubrey.

„Naręczony nie może spędzić nocy przedślubnej pod tym samym dachem co panna młoda” - oświadczyła ciotka Grace. Czy jego też niepokoiły sny o mającym nadejść dniu?

Wróciłam do łóżka, ale nie chciałam zasnąć. Obawiałam się, że ten straszny sen znów się powtórzy i że będzie miał dalszy ciąg od chwili, gdy krzyknęłam: „Nie! Nie!” - kiedy Aubrey wsuwał mi obrączkę ślubną na palec.

Leżałam, rozmyślając o tym wszystkim i snując wspomnienia.

Po raz pierwszy spotkałam Aubreya w Indiach, gdzie stacjonował pułk mojego ojca. Właśnie przyjechałam do niego po siedmiu latach pobytu w Anglii, gdyż uczęszczałam tu do szkoły, spędzając dni świąteczne w Humberston z wujem Jamesem i ciotką Grace. Ciotka postąpiła bardzo szlachetnie, przejmując opiekę nad córką szwagra, która powinna, jak wszystkie angielskie młode damy z dobrych rodzin, zdobyć wykształcenie w kraju. Owa konieczność

sprawiała wiele kłopotów rodzinom żołnierzy służących na przyczółkach Imperium i, jak to się zwykle działo, życzliwi krewni przyszli nam z pomocą.

Przypomniałam sobie ogromną radość, jaka mną owładnęła, kiedy skończyłam siedemnaście lat. Wprawdzie dzień moich urodzin przypadał w czerwcu i przebywałam wtedy w szkole, ale wiedziałam, że wkrótce skończę naukę i w sierpniu wrócę do Indii, gdzie spędziłam pierwsze dziesięć lat życia.

Tak bardzo chciałam opuścić Anglię, że może wydawało się to trochę niewdzięcznością wobec moich krewnych, nawet jeśli miałam powrócić do ojca.

9

Wuj James i ciotka Grace, wraz z moją kuzynką Ellen, okazali mi wiele dobroci i zrobili wszystko, co mogli, żebym się czuła u nich jak u siebie w domu. Ale na pewno byłam dla nich intruzem - zwłaszcza na początku. Żyli własnym życiem i sprawy parafii zajmowały im wiele czasu. Kuzynka Ellen, starsza ode mnie o dwanaście lat, była bardzo zainteresowana wikarym ojca; zamierzała poślubić swego wybranego, gdy tylko narzeczony znajdzie posadę. Wuj James miał swoją trzódkę pobożnych parafian; ciotka Grace zaś uczestniczyła w niezliczonych zajęciach: organizowała kiermasze robótek ręcznych, wenty parafialne pod gołym niebem, zajmowała się kolędnikami, szyciem w celach dobroczynnych, działała w Stowarzyszeniu Matek, słowem, zawsze wynajdywała sobie jakąś robotę. Przypuszczam, że trudno było ze mną wytrzymać. Moje serce pozostało daleko, za morzami, a ponieważ zdawałam sobie sprawę z tego, że jestem dla wujostwa ciężarem, przybrałam obojętną i arogancką postawę. Porównywałam też w myślach starą, zimną plebanię z jedną kucharką, jedną służącą oraz pomocnicą do sprzątania i gotowania z rezydencją mojego ojca pułkownika, gdzie liczna tubylcza służba spełniała każde życzenie, na niekorzyść domu w Humberston.

Na pewno jako dziecko nie byłam aniołkiem i moja ayah oraz guwernantka, pani Fearnley, które opiekowały się mną aż do czasu, gdy skończyłam dziesięć lat, mówiły, iż nigdy nie wiedzą, czego się po mnie spodziewać. Miałam nierówne usposobienie. Potrafiłam być pogodna, posłuszna i czuła. „Ona jest jak księżyc - oświadczyła pani Fearnley, która lubiła pouczać w każdej sytuacji. - Ma jasną i ciemną stronę”. Lecz w przeciwieństwie do księżycyca na ogół ukazywałam swoją ciemną stronę. „Niezbyt często, dzięki Bogu” - łagodziła szybko pani Fearnley; niepokoiła się jednak, że w ogóle tak się zachowuję. Wtedy bywałam naprawdę uparta. Kiedy coś postanowiłam, nic nie mogło mnie zmusić do zmiany zdania. Nie słuchałam niczyich poleceń, zawsze chciałam postawić na swoim. W takich wypadkach stawałam się bardzo krnąbrnym dzieckiem - całkowicie odmiennym od posłusznej dziewczynki, z którą tak miło było przebywać i udzielać jej lekcji. „Musimy walczyć z tą ciemną stroną twojego charakteru - oświadczyła kiedyś pani Fearnley. - Zuzanno, jesteś jednym z najbardziej nieprzewidywalnych dzieci, z jakim kiedykolwiek się zetknęłam”. Moja ayah, której byłam bardzo oddana, ujęła to inaczej.

„W tym małym ciałku są dwie dusze. Dusze te walczą ze sobą i zobaczymy, która zwycięży. Ale jeszcze nie teraz - nie teraz, kiedy jesteś niewiele większa niż baba - tylko kiedy będziesz dorosłą damą”.

10

Wspomnienia z dzieciństwa spędzonego w Indiach pozostały w mojej pamięci przez wszystkie lata pobytu w Anglii. Przypuszczam, że im bardziej oddalałam się od nich w czasie, tym większy budziły we mnie zachwyty. Przyszły mi na myśl barwne obrazy, kiedy tak leżałam w łóżku, przywołując przeszłość, zanim wreszcie zapadłam w sen.

Po śmierci mamy to hinduska piastunka zdominowała moje życie. Ojciec zawsze znajdował się gdzieś w tle - wielki, ważny, drugi po Bogu. Był czuły i kochający, ale nie mógł poświęcić

mi tyle czasu, ile pragnął, i wiedziałam, że dręczy go niepokój o mnie. Spędzone wspólnie godziny uważałam za bardzo cenne. Opowiadał mi o swoim pułku i podkreślał, jak wielkie ma znaczenie; byłam zeń bardzo dumna, ponieważ szanowano go wszędzie tam, dokąd się udał.

Ale chyba to ayah, tak dobrze znana, pachnąca piżmem moja stała towarzyszką, w tym czasie znaczyła dla mnie więcej niż ktokolwiek inny. Uwielbiałam rozkoszny dreszczyk, jaki czułam, spacerując z nią po mieście. Trzymała mnie za rękę i ostrzegała, żebym nigdy nie puszczała jej dłoni. Niejasne poczucie grożącego mi niebezpieczeństwa sprawiało, że te wyprawy stawały się znacznie bardziej ekscytujące. Wędrowaliśmy w różnobarwnym, hałaśliwym tłumie przedstawicieli licznych indyjskich plemion i kast. Z czasem rozpoznawałam ich wszystkich: kapłanów buddyjskich po ich ogolonych głowach i szeleszczących szatach barwy szafranu, kiedy kroczyli pośpiesznie, nie patrząc na otaczającą ich ciżbę; trzymających parasole słoneczne parsów w kapeluszach o dziwnych kształtach; kobiety, które nie mogły pokazywać twarzy i których okolone czarnymi rzęsami oczy spoglądały poprzez szpary w zasłonach. Fascynował mnie zaklinacz węży w turbanie na głowie, wygrywający dziwne melodie, a smukła, ponura kobra unosiła się z jego kosza, wijąc się groźnie ku zdumieniu widzów. Zawsze pozwalało mi wrzucić rupię do stojącego obok dzbanka, za co zaklinacz dziękował wylewnie, obiecując mi szczęśliwe życie i liczne potomstwo i zapewniając, że moim pierwszym dzieckiem będzie syn.

Zapach piżma wisiał wszędzie w powietrzu; towarzyszyły mu też inne, mniej przyjemne wonie. Gdybym zamknęła oczy, za pomocą węchu poznałabym, że znajduję się w Indiach. Zachwycały mnie jaskrawe sari kobiet nieosłaniających twarzy, ponieważ, jak wyjaśniła moja ayah, pochodziły z niskiej kasty. Odrzekłam wtedy, że są znacznie ładniejsze od niewiast z wyższej kasty, noszących workowatę szatę i zasłony na twarzach.

11

Pani Fearnley powiedziała mi, że Bombaj nazywany jest „Bramą Indii” i że otrzymaliśmy go, kiedy Karol II poślubił Katarzynę z portugalskiego rodu Braganzów\*.

\* W roku 1661 (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

- Jaki to piękny prezent ślubny! - wykrzyknęłam. - Kiedy ja wyjdę za mąż, powinnam otrzymać podobny podarunek.

- Tylko królowie je otrzymują - odrzekła pani Fearnley -i znacznie częściej jest to ciężkie brzemie niż błogosławieństwo.

Jeździliśmy ciągniętym przez kuca powozem na Malabar Hill. Oglądałam wtedy dom gubernatora na Malabar Point, ogromny, wywierający wielkie wrażenie; otaczały go ogrody i kluby, do których uczęszczali brytyjscy oficerowie i rezydenci. Pani Fearnley niemal zawsze towarzyszyła mi podczas tych wycieczek i korzystała z każdej okazji, by powiększyć moją wiedzę. Czasami przebywałam jednak tylko z moją ayah, ona zaś opowiadała mi historie, których tak lubiłam słuchać. Znacznie bardziej jednak niż opowieści o Mogołach\*,

\* Wielcy Mogołowie - dynastia pochodzenia turecko-mongolskiego, panująca w Indiach w latach 1526-1857.

rządzących tym krajem przed powstaniem Kompanii Wschodnioindyjskiej\*,

\* Kompania Wschodnioindyjska, założona w roku 1600, otrzymała monopol na handel z Indiami.

i o tym, jakie szczęście mają Hindusi, gdyż teraz nasza wielka królowa\* będzie o nich dbać,

\* Królowa Wiktorja z dynastii hanowerskiej (1819-1901), panująca od roku 1837. W roku 1840 poślubiła księcia Alberta z dynastii Koburgów.

interesowały mnie indyjskie cmentarzyska, gdzie na otwartej przestrzeni pozostawiano nagie zwłoki umarłych, by sępy oczyściły je z ciała, a słońce wybieliło kości - co, jak oświadczyła

kategorycznie moja ayah, jest bardziej godnym sposobem pochówku niż oddanie zmarłego na żer robakom.

Często podczas świątecznych przerw w nauce siedziałam w swojej sypialni na plebanii w Humberston, przyglądając się cmentarzowi z jego szarymi, kamiennymi pomnikami nagrobnymi, z których czas już dawno starł większą część napisów, i myślałam o upalnym słońcu, błękitnym morzu, śpiewnych głosach, o kolorowych sari i oczach kobiet spoglądających tajemniczo poprzez szpary w zasłonach. Rozmyślałam o sługach, którzy dbali o nasze potrzeby - chłopcach w długich białych koszulach i białych spodniach; o przebiegłym i sprytnym chansamahu, rządzącym naszą kuchnią, który codziennie wyruszał na rynek jak maharadża; pomocnicy szli kilka kroków za nim, wybiegali do przodu na jego rozkaz i zabierali zakupy,

12

kiedy targi - a, jak się zdawało, wymagała ich każda transakcja - dobiegły końca. Pomyślałam o wozach ciągniętych przez cierpliwe, wytrzymałe woły; o wąskich uliczkach; o dokuczliwych muchach; o jaskrawych belach jedwabiu w sklepach, o woziwodach, wygłodniałych psach, kozach z zawieszonymi na szyjach dzwoneczkami, które dźwięczały w takt ich kroków, o wieśniaczkach, przybyłych z pobliskich osad, by sprzedać swoje towary; o kulisach, wieśniakach, Tamilach, Patanach, braminach, którzy wszyscy mieszały się z tłumem w tych barwnych uliczkach; a tu i tam dostrzegałam dostojnego arystokratę w pięknie zawiniętym turbanie ozdobionym błyszczącymi klejnotami.

Wszyscy oni tak bardzo różnili się od żebraków. Nigdy nie zapomnę indyjskich żebraków... schorowanych i kalekich, patrzących błagalnie ciemnymi oczami, które, jak się obawiałam, będą mnie prześladować do końca życia i o których śniłam, kiedy moja ayah położyła mnie do łóżka i osłoniła moskitierą, chroniącą przed szukającymi zdobyczy nocnymi owadami. Jak przez mgłę pamiętam matkę - czułą, kochającą, łagodną i piękną. Miałam cztery lata, gdy umarła. Przedtem wydawało mi się, że była ze mną zawsze. Opowiadała mi o prawdziwej ojczyźnie, czyli o Anglii, i kiedy to robiła, w jej głosie dźwięczała, a w oczach kryła się ogromna tęsknota, którą dostrzegałam, choć byłam taka mała. Zdawałam sobie sprawę, że moja matka pragnęła tam mieszkać. Mówiła mi o zielonych polach i o żółtych jaskrach, o niezwykłym angielskim deszczu - drobnym i łagodnym, o słońcu, które było ciepłe i przyjazne - i nigdy - albo bardzo rzadko - upalne. Myślałam, że Anglia jest czymś w rodzaju raj.

Matka śpiewała mi angielskie piosenki: „Patrz tylko na mnie”, „Sally z naszej ulicy” i „Pastor z Bray”. Opowiadała mi też o czasach, kiedy była w moim wieku. Mieszkała wtedy na plebanii w Humberston, gdyż jej ojciec był tam pastorem. Po jego śmierci brat James przejął po nim posiadłość. Dlatego, gdy przyszła moja kolej i musiałam się udać do Humberston, nie czułam się zbyt obco w tym miejscu, gdyż miałam wrażenie, że gościłam tam z moją matką, kiedy była mała.

A potem nadszedł dzień, gdy już jej nie zobaczyłam, i dorośli nie chcieli mnie do niej dopuścić, ponieważ zapadła na jakąś zaraźliwą gorączkę. Przypomniłam sobie, jak ojciec wziął mnie na kolana i powiedział, że teraz mamy tylko siebie.

Możliwe, że byłam za mała, by zrozumieć, jak głęboką tragedię przeżywali moi bliscy, ale niejasno wyczuwałam, że poniosłam niepowetowaną stratę,

13

i smutek wypełniał mi serce, chociaż nie od razu uświadomiłam sobie ogrom tego nieszczęścia. Powodowane najlepszymi intencjami damy - głównie żony oficerów - zapełniły pokój dziecinny; okazywały mi wielkie zainteresowanie i powiedziały, że mama poszła do raj. Uznałam, iż chodzi o podróż do krainy, gdzie są zielone pola i pada drobny deszczyk,

jak wycieczka na wzgórze w pobliżu Bombaju, tylko bardziej egzotyczna; pomyślałam też, że mama pije teraz herbatę w towarzystwie Boga i aniołów, a nie żon oficerów jak dotychczas. Założyłam, że wróci po jakimś czasie i opowie mi o wszystkim.

Właśnie wtedy poznałam panią Fearnley. Ta sama gorączka, która zabiła moją matkę, zabrała również jej męża, służącego w Indiach oficera. Zmarł on w tym samym tygodniu co moja matka. Pani Fearnley, która przed zamążpójściem była guwernantką, niepokoiła się o swoją przyszłość. Dlatego mój ojciec zaproponował jej, żeby zanim się zdecyduje, co pragnie czynić dalej, powróciła do dawnego zawodu i zaopiekowała się jego córeczką, która właśnie straciła matkę.

Zarówno dla mojego ojca, jak i dla pani Fearnley był to prawdziwy dar niebios i tak oto guwernantka pojawiła się w moim życiu.

Musiała liczyć około trzydziestu pięciu lat; miała jak najlepsze intencje, była życzliwa i postanowiła zająć się mną jak należy. Przywiązałam się do niej w jakiś dziwny, negatywny sposób. To ayah była dla mnie źródłem ekscytujących uczuć, obca, egzotyczna, z przepaścistymi oczami i długimi, ciemnymi włosami, które lubiłam szczotkować. Od czasu do czasu odkładałam szczotkę na bok i pocierałam jej skronie palcami. Ayah mawiała wtedy: „To mnie uspokaja, mała Su-Su. W twoich rączkach kryje się dobroć”. Później opowiadała mi o swoim dzieciństwie w Pendźbie, o przybyciu do Bombaju, gdzie miała służyć w pewnej bogatej rodzinie, o przyludze, jaką wyświadczył jej dobry przyjaciel chansamah, przyprowadzając ją do domu mojego ojca, i dodawała, że ja jestem największym szczęściem jej życia.

Po śmierci mamy ojciec przychodził do mnie niemal codziennie -na godzinę lub nieco dłużej - i z czasem lepiej go poznałam. Zawsze wydawał mi się smutny. Zabierał mnie na popołudniowe bankiety, gdzie było dużo ludzi, którzy rozmawiali ze mną i pytali, jak mi idzie nauka. Kilku oficerów z pułku papy miało dzieci. Urządzali przyjęcia, na które mnie zapraszano, a potem pani Fearnley pomagała mi zrewanżować się za ich gościnność. Ayah przychodziła i obserwowała nas, kiedy się bawiliśmy. Śpiewaliśmy piosenki: „Biedna Jenny płacze” i „Wieśniak w swojej chacie”,

14

a pani Fearnley lub jakaś inna dama akompaniowały nam na fortepianie. Brałam też udział w zabawie, przy której dzieci muszą siadać na krzesłach w chwili, gdy fortepian milknie.

Później ayah śpiewała mi niektóre z tych piosenek. „Biedna Jenny” w jej wykonaniu brzmiała naprawdę wzruszająco, a „Wieśniak w swojej chacie” jak pieśń żołnierska.

Żony oficerów współczuły mi, ponieważ nie miałam matki. Zrozumiałam to, kiedy podrosłam i zdałam sobie sprawę, że jej podróż do rajy to nie tymczasowa nieobecność, jak sobie początkowo wyobrażałam. Śmierć to coś nieodwołalnego. Poraża wszystkich. Jeden z młodych służących powiedział mi, że wielu żebraków, których widziałam na ulicach, nie doczeka następnego ranka. „Przyjadą wozem, żeby ich zabrać”, dodał. To tak jak zaraza w Londynie, pomyślałam, usłyszawszy to. „Wynieście waszych zmarłych!”. Ale żebraków z ulic Bombaju nie trzeba było wynosić, gdyż nie mieli domów.

Był to dziwny świat zbytku i nędzy, bujnego życia i cichej śmierci; i na zawsze zachowam o nim wspomnienia. Ich przebłyski nawiedzały mnie przez całe życie. Widziałam chansamaha z triumfalnym uśmiechem na twarzy, wracającego z targu; później się dowiedziałam, że znaczyło to, iż zarobił koszyczkowe na zakupach. Słyszałam, jak żony oficerów opowiadały sobie o tym i powtarzały smutną historię Emmy Alderston, która sądziła, że zdoła przechytryć nieuczciwego kucharza, robiąc sama zakupy, i że tamtejsi kupcy zmówili się, by podać jej tak wysokie ceny, iż zapłaciła więcej, niż wynosiła „prowizja” sprytnego sługi. „To po prostu jest taki sposób życia - oświadczyła Grace Grisling, żona pewnego kapitana. - Lepiej więc go zaakceptować”.

Lubiłam siedzieć w kuchni, obserwując chansamaha przy pracy. Był ogromny i bardzo ważny; wyczuwał mój podziw i nie mógł mu się oprzeć. Podsuwał mi smaczne kęsy i złożywszy ręce na wielkim brzuchu, przyglądał się uważnie, gdy je zjadałam. Chciałam mu się przypodobać i przybierałam zachwycony wyraz twarzy. „Nikt nie umie przyrządzić tandooryjskiego kurczaka tak jak chansamah pułkownika sahiba. Jest najlepszym kucharzem w Indiach. Spójrz tu, panienko Su-Su! Ghostaba! - mówił i podsuwał mi kulkę mielonej jagnięciny. - Uważasz to za dobre, co? A teraz się napij. Dobre, co?”.

Wypijałam zimny sok z limony doprawiony różanym syropem i przysłuchiwałam się paplaninie chansamaha o jego potrawach, a przede wszystkim o nim samym.

15

Tak wyglądało pierwsze dziesięć lat mojego życia - te, które wywierają największy wpływ na dziecko - nic więc dziwnego, że zachowałam owe wspomnienia. Zwłaszcza jedno okazało się bardziej wyraziste od wszystkich innych.

Mogę je przywołać z drobnymi szczegółami. Słońce już przypiekało, choć jeszcze był ranek, i prawdziwy skwar miał dopiero nadejść. W towarzystwie ayah ruszyłam wąskimi uliczkami na plac targowy, zatrzymując się po drodze przy straganie ze świecidełkami, by podziwiać wystawione towary, kiedy moja opiekunka ucięła sobie pogawędkę z właścicielem.

Obejrzałam rzędy sari wiszących na drążku i przeszłam obok podobnego do jaskini pomieszczenia, gdzie pieczono dziwnie wyglądające placki z owocami. Omijałam włóczące się kozy, obchodziłam krowy, obserwując brązowoskórych chłopców, którzy szybko wślizgiwali się w tłum, i uważnie śledziłam wzrokiem ich znacznie szybciej poruszające się palce. Przebrnęliśmy tak przez plac targowy, dotarliśmy do szerszej ulicy, która poza nim biegła, i właśnie wtedy to się stało.

Tego ranka panował wielki ruch. To tu, to tam objuczony wielbłąd o wyniosłej postawie kroczył w stronę bazaru, stąpając ciężko; nadjechały wozy ciągnięte przez woły. W chwili, kiedy moja ayah oświadczyła, że powinnymy już wracać do domu, jakiś cztero- czy pięcioletni chłopczyk wbiegł przed zbliżający się właśnie wóz. Zobaczyłam, jak jeden z wołów kopnięciem odrzucił dziecko na bok. Na szczęście wóz nie zdążył go przejechać. Rzuciliśmy się ku potłuczonemu malcowi i podniosiliśmy go z ziemi. Był błydy i zszokowany. Położyliśmy go na poboczu. Zebrał się tłum i wszyscy dużo mówili, ale w niezrozumiałym dla mnie dialekcie. Ktoś poszedł po pomoc.

Uklękłam przy chłopcu i pod wpływem nagłego impulsu położyłam mu rękę na czole.

Wydało mi się to dziwne, ale coś poczułam -nie jestem pewna co - myślę, że uniesienie. Jednocześnie wyraz twarzy rannego uległ zmianie. Wyglądało to tak, jakby - na moment - przestał odczuwać ból. Ayah patrzyła na mnie.

- Wszystko będzie dobrze. Wkrótce tu będą. Sprawia, że poczujesz się lepiej - powiedziałam do niego po angielsku.

Ale to nie moje słowa uśmierzyły ból, lecz dotyk rąk.

Wszystko potoczyło się bardzo szybko. Przybyli ludzie, którzy mieli zabrać rannego chłopca. Podnieśli go ostrożnie i położyli na wozie. Kiedy odjęłam rękę od czoła małego Hindusa, ostatnią rzeczą, jaką zobaczyłam, były spoglądające na mnie ciemne oczy i grymas bólu, który ponownie wykrzywił jego twarz.

16

Tak, to było bardzo dziwne uczucie, bo kiedy go dotknęłam, odniosłam wrażenie, że przekazałam mu jakąś moc.

Poszłam dalej w milczeniu. Nie wspominałyśmy o tym incydencie, ale wiedziałam, że właśnie o nim obie myślałyśmy.

Tamtej nocy, kiedy ayah położyła mnie do łóżka, ujęła moje dłonie i pocałowała je z czcią.

- W twoich rączkach kryje się moc, mała Su-Su. Możliwe, że masz uzdrawiający dotyk. Jej słowa bardzo mnie zaintrygowały.
- Chodzi ci o tego chłopca... którego dotknęłam rano? - spytałam.
- Widziałam to - odrzekła.
- Co to znaczy? - pytałam dalej.
- To znaczy, że masz jakiś dar. Kryje się w twoich pięknych rączkach - wyjaśniła.
- Jakiś dar? Chcesz powiedzieć, że mogę pomagać ludziom?
- Uśmierzać ból - wyjaśniła. - Nie wiem. To zależy od kogoś większego i potężniejszego od nas.

Kilka wieczorów później pojechałam konno z ojcem na wycieczkę. Miałam własnego kucyka, który był jedną z radości mojego życia; i byłam bardzo dumna, kiedy, w białej bluzce i w spódnicy do konnej jazdy, jechałam obok papy. Im szybciej dorastałam, tym bardziej stawaliśmy się sobie bliżsi. Onieśmiały go bardzo małe dzieci. Bardzo go kochałam - tym więcej, że odnosił się do mnie z pewną rezerwą. Doszłam już do wieku, kiedy ceni się własną prywatność. Pragnęłam mieć ojca, z którego mogłabym być dumna - i taki właśnie był. Miał zwyczaj opowiadać mi o swoim pułku, o Indiach i o zadaniach Brytyjczyków. Byłam wtedy bardzo dumna z angielskich żołnierzy, z Imperium Brytyjskiego, a przede wszystkim z niego samego. Opowiadał o mojej matce i kiedyś wyznał, że tak naprawdę to nigdy nie lubił Indii. Bez przerwy tęskniła za ojczyzną, ale dzielnie próbowała tego nie okazywać. Niepokoił się o mnie - sierotę bez matki, której ojciec nie mógł poświęcić tyle uwagi, ile pragnął. Powiedziałam mu, że dobrze się czuję i że jestem szczęśliwa. Dodałam, że pani Fearnley to świetna opiekunka, że ją lubię i że kocham moją ayah.

- Jesteś dobrą dziewczynką, Zuzanno - odrzekł. Opisałam mu ów wypadek z chłopcem potraconym na ulicy.

- To było takie dziwne, ojczu. Kiedy go dotknęłam, poczułam, iż coś mnie opuściło. On również to odczuł, bo gdy położyłam mu rękę na czole, nie czuł już bólu. Widać było, że przestał cierpieć.

17

Mój ojciec uśmiechnął się lekko.

- Tamtego dnia spełniłaś dobry uczynek - oświadczył.

- Tak naprawdę to nie wierzysz, że coś się wtedy stało, prawda? - zapytałam.

- Byłaś dobrą samarytanką. Mam nadzieję, że roztoczono nad nim odpowiednią opiekę.

Tutejsze szpitale są w kiepskim stanie. Jeżeli połamał sobie kości, niech Bóg ma go w swojej opiece. To kwestia szczęścia, czy złoży mu je tak, jak należy.

- A zatem nie sądzisz, że ja mam... specjalny dotyk... albo coś takiego. Ayah jest o tym przekonana.

- Ayah! - Jego usta wykrzywił życzliwy, lecz nieco pogardliwy uśmiech. - Co prosta kobieta może wiedzieć o takich sprawach?

- No cóż, powiedziała coś o uzdrawiającym dotyku. Ojczu, to naprawdę było coś w rodzaju cudu.

- Uważam, że tamtemu chłopcu spodobało się, gdy angielska dama uklękła obok niego.

Milczałam. Zdawałam sobie sprawę, że nie ma sensu rozmawiać z nim, tak samo jak z panią Fearnley, o tajemniczych zjawiskach. Oświadczyliby, iż są zbyt praktyczni i cywilizowani, by w coś takiego uwierzyć. Ja wszakże nie mogłam ot tak, po prostu przestać o tym myśleć.

Czułam, że to jedno z najważniejszych wydarzeń w moim życiu.

Kiedy skończyłam dziesięć lat, ojciec powiedział podczas jednej z naszych wspólnych przejażdżek:

- Zuzanno, nie możesz dłużej tu zostać. Wiesz, że musisz zdobyć odpowiednie wykształcenie.

- Pani Fearnley mówi, że bardzo dobrze sobie radzę.



- Ale, moja droga, musi nadejść taki moment, kiedy pani Fearnley nie będzie mogła dłużej cię uczyć. Powiedziała mi, że już teraz zbliżasz się do owej granicy, a poza tym postanowiła wrócić do domu.

- Och! Czy to znaczy, że będziesz musiał znaleźć kogoś innego na jej miejsce?

- Niezupełnie. Na świecie istnieje tylko jedno miejsce, gdzie młode angielskie damy powinny się kształcić, i jest nim Anglia.

Milczałam, zastanawiając się nad ogromem zmian, które nadchodziły.

- A co z tobą? - spytałam.

- Oczywiście muszę tu zostać.

- Chcesz powiedzieć, że mam udać się do Anglii... sama?

- Moja droga Zuzanno, taki los spotyka wszystkie dzieci, które tu przebywają. Niebawem nadejdzie twoja kolej. W rzeczy samej, niektórzy powiedzieliby, że już powinnaś była opuścić Indie.

18

Później przedstawił mi swoje plany. Pani Fearnley okazała się bardzo uprzejma i uczynna. Przez te wszystkie lata była naszą dobrą przyjaciółką. Zamierza wrócić do Anglii, a kiedy to nastąpi, oczywiście powinnam udać się tam razem z nią. Zawiezie mnie do brata mojej matki, Jamesa, i jego żony Grace w Humberston. Zamieszkać z nimi na plebanii do czasu, aż będę mogła - w wieku siedemnastu lub osiemnastu lat - powrócić do naszego domu w Indiach.

- Ależ to dopiero za siedem lat! To całe życie!

- Skądże, moja droga. Nie chcę się z tobą rozstawać tak samo jak ty... może nawet bardziej, ale to konieczne. Nie możesz rosnąć bez odpowiedniego wykształcenia.

- Przecież ja jestem wykształcona. Dużo czytam. Nauczyłam się tak wiele - zaproponowałam.

- Moje drogie dziecko, tu nie chodzi tylko o książkową wiedzę. Mam na myśli zebrania towarzyskie... powinnaś się nauczyć, jak należy się zachowywać w towarzystwie...

prawdziwym towarzystwie, nie takim jak tutejsze. Nie, moja droga, nie ma innej drogi.

Gdyby była, na pewno bym ją znalazł, gdyż rozstanie z tobą to ostatnia rzecz, jakiej pragnę. Możesz do mnie pisać. Będziemy razem za pośrednictwem naszych listów. Doniesiesz mi o wszystkim, co się z tobą dzieje. Może kiedyś przyjadę do Anglii na długi urlop. Wtedy znów się zobaczymy. Do tego czasu będziesz chodzić do szkoły, a plebania w Humberston stanie się twoim domem podczas świąt i wakacji. Czas szybko ci minie. Tak bardzo będzie mi cię brakowało. Jak wiesz, po śmierci twojej matki jesteś dla mnie wszystkim.

Spoglądał prosto przed siebie, bojąc się na mnie spojrzeć, by nie okazać uczuć. Ja byłam mniej opanowana. Jedną z umiejętności, jakie miałam zdobyć w Anglii, stanowiła kontrola nad emocjami.

Popatrzyłam przez zasłonę łez na morze, wzgórze i białą rezydencję gubernatora.

Moje życie się zmieniało. Wszystko miało ulec zmianie... nie tak powoli, jak to zwykle bywa, ale natychmiast.

Minął ponad miesiąc, zanim oswoiłam się z tym pomysłem i po pierwszym szoku zaczęłam odczuwać lekkie podniecenie. Często obserwowałam wielkie statki wpływające do portu i wypływające z zatoki. Widziałam chłopców i dziewczęta żegnających się z rodzicami i wyruszających do Anglii. Stanowiło to pewien sposób życia i teraz nadeszła moja kolej. Pani Fearnley była bardzo zajęta przygotowaniem do podróży i lekcje nie odbywały się tak regularnie jak przedtem.

- Niewiele więcej mogę cię nauczyć - oświadczyła.

19

- Powinnaś przewyższać wiedzą swoich rówieśników. Czytaj najwięcej jak tylko możesz. To najlepsze, co możesz zrobić.

Była wesoła i cieszyła się z podróży do ojczyzny. Miała zostać u jakiejś kuzynki, zanim, jak powiedziała, „stanie na własnych nogach”.

Zupełnie inaczej rzeczy się miały z moją ayah. Nasze pożegnanie było bardzo smutne. Stała się mi tak bliska - bliższa niż pani Fearnley. Ayah знаła mnie od czasu, gdy byłam niemowlęciem. Znała też moją matkę. A po śmierci mojej rodzicielki połączyły nas bardzo silne więzi.

Popatrzyła na mnie z cierpliwością i spokojem, pogodzona z losem, co było charakterystyczne dla jej rasy, i powiedziała:

- Wszystkie ayah spotyka taki los. Każda musi stracić swojego wychowanka lub wychowankę. Nie należą do niej. Powierzono jej tylko opiekę nad dziećmi.

Zapewniłam ją, że znajdzie sobie inne maleństwo. Mój ojciec dopilnuje, by tak się stało.

- Mam znów zacząć? - odparła. - A gdzie jest druga Su-Su? -Później wzięła mnie za rękę i utkwiała w nich baczne spojrzenie.

- Są jak kwiaty lotosu - powiedziała.

- Troszkę zabrudzone - zauważyłam.

- Są piękne. - Pocałowała je. - Masz w nich moc, którą musisz wykorzystać. Niedobrze jest zmarnować to, co zostało ci dane. Twój bóg... moi bogowie... nie lubią, kiedy lekceważy się ich dary. Takie właśnie będzie twoje zadanie, moja maleńka, musisz wykorzystać dary, które otrzymałaś.

- Och nie, droga ayah, wyobrażasz sobie, że mam w sobie coś niezwykłego, ponieważ mnie kochasz. Mój ojciec mówi, że tamtemu chłopczykowi spodobało się, gdy przy nim uklękałam. Twierdzi też, że to dlatego wydawało się, iż mały Hindus zapomniał o bólu. Papa uważa, że nic więcej się nie stało.

- Pułkownik sahib jest bardzo wielkim człowiekiem, ale wielcy ludzie nie wiedzą wszystkiego... a czasami żebrak z najniższej kasty posiada pewną wiedzę, której odmówiono najpotężniejszemu radży.

- W porządku, droga ayah, jestem cudowna. Jestem niezwykła. Będę strzegła moich pięknych rączek.

Wtedy pocałowała je uroczyście i podniosła na mnie przepaściste oczy.

- Zawsze będę o tobie myślała i pewnego dnia tu wrócisz - powiedziała.

- Oczywiście, że wrócę. Będę tu zaraz po skończeniu szkoły. A wtedy ty będziesz musiała rzucić wszystko i wrócić do mnie.

Potrząsnęła przecząco głową.

20

- Nie będę ci wtedy potrzebna.

- Zawsze będziesz mi potrzebna. Nigdy cię nie zapomnę. Wstała i odeszła.

Pożegnałam się ze wszystkimi moimi przyjaciółmi. Ostatniego wieczoru ojciec i ja zjedliśmy samotnie kolację. Tak sobie zażyczył. W domu panowała atmosfera powagi. Służący byli przygnębieni i obserwowali mnie w milczeniu. Chansamah przeszedł samego siebie, przyrządzając jedno ze swych ulubionych dań, zwane przezeń dżachni - rodzaj przyprawionego na ostro jagnięcia, które zawsze bardzo mi smakowało. Ale nie tamtego wieczoru. Byliśmy zbyt wzruszeni, by jeść, i tylko udawaliśmy najlepiej, jak umieliśmy, iż to robimy. Później z równie nieprawdziwym entuzjazmem energicznie zabraliśmy się do owoców mango, nektarynek i winogron, które przed nami postawiono.

Wydawało się, że wszyscy nasi domownicy są w żałobie z powodu mojego wyjazdu.

Rozmowa nie kleiła się tamtej nocy. Wiedziałam, że ojciec bardzo stara się ukryć targające nim uczucia, co oczywiście świetnie mu się udawało, i nikt nigdy by się nie domyślił, jak jest wzruszony, gdyby głos mu się nie łamał, a śmiech nie był wymuszony.

Opowiadał mi wiele o Anglii, wyjaśniając, jak bardzo różni się od Indii. Powinnam się spodziewać, że w szkole będę podlegała pewnej dyscyplinie i oczywiście muszę pamiętać, iż będę gościem wuja Jamesa i ciotki Grace, którzy tak uprzejmie pośpieszyli z pomocą i zaferowali mi gościnę w wolne od nauki dni i święta.

Naprawdę byłam więc rada, kiedy wreszcie wróciłam do swojego pokoju i po raz ostatni położyłam się na łóżku pod moskitierą; nie mogłam zasnąć, zastanawiając się, jakie będzie moje nowe życie w Anglii.

Statek stał już w porcie. Przyglądałam mu się wiele razy, pragnąc wyobrazić sobie, jak to będzie, kiedy wypłyniemy z Bombaju. Trudno jednak stworzyć w myślach obraz jakiegoś miejsca, gdy się je opuści.

Nastał tak długo oczekiwany dzień. Pożegnałyśmy się, a potem weszłyśmy na pokład statku, do kajuty, którą miałam dzielić z panią Fearnley. Nastąpiła chwila rozstania. Stałyśmy na pokładzie, machając rękami na pożegnanie. Mój ojciec, wyprostowany jak świeca, patrzył na mnie z nabrzeża. Posłałam mu pocałunek, na który odpowiedział. A potem zobaczyłam moją ayah. Utkwiła we mnie oczy. Pomachałam do niej, ona zaś podniosła rękę.

Gorąco pragnęłam, by statek już odpłynął. Pożegnania są zbyt smutne, by je przeciągać.

21

Podniecenie podróżą pomogło przezwyciężyć smutek, jaki mnie ogarnął podczas pożegnania z tymi, których kochałam. Pani Fearnley okazała się pełną energii i całkiem przyjemną towarzyszką podróży. Postanowiła dotrzymać danej mojemu ojcu obietnicy i opiekować się mną bardzo troskliwie, tak że prawie nie spuszczała mnie z oczu.

Zdawałam sobie sprawę, że będę bardzo tęsknić za papą, za ayah i za Indianami. Będę zmuszona stawić czoło czemuś więcej niż podróży do nowego domu. Miałam też pójść do szkoły. Może to i dobrze, że czekały mnie tak wielkie zmiany i tak wiele nowych przeżyć, gdyż będę miała mniej czasu na rozmyślanie. Wszyscy traktowali mnie życzliwie, ale z dystansem.

Pani Fearnley zawiozła mnie do moich krewnych z miną osoby, która godnie wywiązała się z trudnego zadania - potem zaś odjechała z kuzynką, która powitała nas w porcie. Pożegnałam się z nią bez wielkich emocji. Dopiero kiedy znalazłam się sama w pokoju o niskim suficie przeciętym grubymi, dębowymi belkami, z oknem witrażowym w romby, wychodzącym na cmentarz, uświadomiłam sobie ogrom własnej samotności. Na statku miałam zbyt dużo wrażeń: zdumiewająca podróż po morzu, które bywało wzburzone lub gładkie niczym jezioro; spotkania z innymi pasażerami; widok nowych, nieznanych ziem - Kapsztad z jego wspaniałą zatoką i górami; Madera z jej różnokolorowymi kwiatami; Lizbona z pięknym portem - takie przeżycia pomogły mi odegnąć strach przed przyszłością.

Ten pokój miał z czasem stać się taki znajomy. Wszyscy tutaj starali się, żebym się czuła jak w domu. Wuj James, który był bardzo oddany swojej pracy i niezwykle poważny, tak usilnie próbował okazywać dobry humor i niefrasobliwość, że jego starania zawsze sprawiały wrażenie wymuszonych i odnosiły całkowicie odwrotny skutek do zamierzonego. Każdego ranka mawiał:

- Witaj, Zuzanno. Wstałaś ze skowronkami? - I jeśli popracowałam trochę w ogrodzie, dodawał: - Cha, cha, warto było nająć taką ogrodniczkę.

Takim uwagom zawsze towarzyszył dziwaczny, cichy śmiech, który zupełnie nie pasował do wuja. Wiedziałam jednak, że bardzo się starał, by pomóc mi się zadomowić w Anglii. Ciotka Grace traktowała mnie dość surowo, ale nie dlatego, że tak chciała. Po prostu rzadko manifestowała swoje uczucia i w zetknięciu z samotnym dzieckiem czuła się zakłopotana. Natomiast Ellen okazywała mi życzliwość, choć z pewnym roztargnieniem; była przecież starsza ode mnie o dwanaście lat i całkowicie pochłonięta wikarym ojca,

22

panem Bonnerem, który miał ją poślubić, gdy tylko znajdzie posadę.

Przez pierwsze tygodnie nienawidziłam szkoły, ale potem zaczęłam ją lubić. Stałam się kimś w rodzaju znakomitości, gdyż przybyłam z Indii i w sypialni po zgaszeniu światła namawiano mnie do opowiadania o tym egzotycznym kraju. Rozkoszowałam się popularnością, jaką mi dawały te opowieści, i wymyślałam najbardziej przerażające historie. Bardzo mi to pomogło podczas pierwszych tygodni nauki. A potem, ponieważ dzięki usilnym staraniom pani Fearnley miałam więcej wiadomości niż przeciętna dziewczynka w moim wieku, zostałam zaakceptowana. Nie byłam ani tępą, ani genialną, przez co znacznie bardziej mnie lubiono, niż gdybym była bardzo dobra lub całkiem kiepska.

Pod koniec pierwszego roku uznałam szkołę za przyjemną instytucję, a podczas wolnych dni w Humberston uczestniczyłam w wiejskich uroczystościach - fetach, wentach dobroczynnych, śpiewaniu kolęd i tak dalej. Stałam się częścią tego, co się wokół mnie działo. Zdobyłam serca służby. „Biedne, osierocone przez matkę małeństwo - usłyszałam kiedyś, jak kucharka mówiła do służącej. - Wysłana na drugi koniec świata do wuja i ciotki... do całkowicie obcych jej ludzi, można by rzec. I mieszkała w pogańskim kraju. To nie miejsce dla dziecka. Dobrze, że jest tutaj. Ja sama nigdy nie mogłabym przebywać wśród cudzoziemców”.

Uśmiechnęłam się tylko. One nic nie rozumiały. Tak bardzo brakowało mi mojej ayah. Ojciec pisał do mnie regularnie - długie listy o swoim pułku i o tym, co się działo w Indiach. Czasami cieszę się, że jesteś w Anglii. Chcę dowiedzieć się wszystkiego o Tobie. Czy podoba Ci się plebania? Twoja matka dużo o niej mówiła. Bardzo za nią tęskniła. Chansamah ożenił się w zeszłym tygodniu. To była wielka uroczystość. Jechał ze swoją narzeczoną przez miasto w ukwieconym wozie. Wiesz, jakie są te wesela. Jego żona zamieszka u nas. Przypuszczam, że będzie wykonywała różne prace domowe. Mam tylko nadzieję, że to małżeństwo nie będzie tak płodne, jak wszyscy zdają się im życzyć. Ayah jest szczęśliwa, pracuje u bardzo miłej rodziny. Lata szybko miną i już niedługo będziesz układała plany powrotu. Staniesz się młodą damą... zyskasz ogłade, jak to się mówi. Będziesz miała wtedy dużo zajęć tu, w Indiach, i żywię nadzieję, że je polubisz. Będziesz damą, córką pułkownika. Wiesz, co to znaczy. Będziesz musiała uczestniczyć wraz ze mną w oficjalnych uroczystościach.

23

No cóż, to dopiero przyszłość i jestem pewny, że nauczysz się wykonywać swoje obowiązki z gracją i wdziękiem. Będiesz przecież angielską panną, która „zyskała wspaniałą ogładę” w ekskluzywnej szkole. Wiedz, że musisz ją skończyć. Więcej o tym niebawem.

Teraz przesyłam Ci zapewnienia o mojej miłości i przywiązaniu. Myślę o Tobie, tęsknię za Tobą, pragnę znów Cię zobaczyć, nienawidzę rozstania z Tobą i mówię sobie, że rozłąka wkrótce się skończy.

Jakie miłe listy pisał! Był bardziej wylewny na papierze, niż kiedy rozmawiał ze mną.

Niektórzy ludzie są tacy...

Powinnaś czuć się szczęśliwa, że miałam takiego ojca. I byłam. Los mi sprzyjał, gdyż obdarzył mnie dobrym, życzliwym wujem Jamesem, ciotką Grace i kuzynką Ellen, którzy robili tak wiele, żebym się czuła jak członek ich rodziny.

Minął rok - a potem drugi. W Indiach wybuchły zamieszki i mój ojciec nie mógł przyjechać do Anglii na obiecany długi urlop. Doznałam wtedy wielkiego zawodu. Później wydawało mi się strasznie ważne, czy wybrano mnie lub nie do szkolnego przedstawienia lub jakie stopnie otrzymałam z historii, i nie myślałam już o Indiach. Pewnego świątecznego, letniego dnia pojechałam do domu jednej z moich przyjaciółek - ładnego pałacu w stylu Tudorów, położonego wśród pól uprawnych. Była tam nawiedzana przez ducha komnata, która mnie zaintrygowała i razem z moją przyjaciółką Marjorie przespałam w niej jedną noc. Niestety,

nieużyty duch wcale się nie pokazał. Później Marjorie przyjechała na plebanię na następne święto.

- Tak właśnie powinno być - oświadczyła ciotka Grace - rewanżujesz się jej za okazaną ci gościnę.

Tak, widziałam, że bardzo się starali, bym poczuła się jak u siebie. Na ogół były to przyjemne wspomnienia. Upragniony ślub kuzynki Ellen poprzedziły ekscytujące przygotowania; a potem odjechała z panem Bonnerem, który otrzymał posiadłość w Somerset. Usiłowałam ją zastąpić choć w niewielkim stopniu i tak jak ona pomagać ciotce Grace, bo chciałam pokazać wujostwu, że jestem bardzo wdzięczna za to wszystko, co dla mnie zrobili. Zaangażowałam się w większym stopniu w działalność parafii. Z udanym zainteresowaniem słuchałam kazań wuja Jamesa i śmiałam się z jego żarcików.

Czas płynął.

Szczególnie wyraźnie zapamiętałam pewne wydarzenie, które nastąpiło tuż przed ślubem Ellen. Towarzyszyłam jej, kiedy udała się w odwiedzinach do jednego z parafian. Pamiętam, że była to wczesna jesień, gdyż właśnie zrywano owoce.

24

Kiedy przyszedliśmy na farmę Jenningsów, zauważyliśmy grupkę ludzi pod jabłonią i Ellen powiedziała do mnie:

- Zdarzył się chyba jakiś wypadek. Przyśpieszyliśmy kroku i zobaczyliśmy, że na ziemi leży jeden

z synów Jenningsa, jęcząc z bólu.

Pani Jennings była bardzo zaniepokojona.

- Tom spadł z drzewa, panienko Sandown - powiedziała do Ellen. - Posłaliśmy po doktora, ale upłynęło już dużo czasu i nie przyjeżdża.

- Myśli pani, że coś sobie złamał? - spytała Ellen.

- Nie wiemy. Dlatego czekamy na doktora. Ktoś klęczał obok Toma Jenningsa i przywiązywał mu do nogi

kawałek drewna. Pod wpływem nagłego impulsu uklękłam z drugiej strony chłopaka.

Patrzyłam, jak udzielano mu pomocy i widziałam, że Tom bardzo cierpi.

Otarłam mu czoło chusteczką i doznałam takiego samego uczucia jak wtedy w Indiach, kiedy tamten chłopczyk wpadł pod wóz.

Tom spojrzał na mnie i grymas bólu na jego twarzy zelżał nieco. Przestał jęczeć. Poglądziłam go po czole.

Ellen przyglądała mi się z zaskoczeniem i pomyślałam, że każe mi wstać; Tom obserwował mnie uważnie, gdy nadal głaskałam go po czole.

Minęło chyba z dziesięć minut, zanim zjawił się lekarz. Pochwalił mężczyznę, który unieruchomił nogę chłopaka, i oświadczył, że właśnie to należało zrobić. Teraz trzeba podnieść go, ale bardzo ostrożnie.

- Pani Jennings, jeśli jest coś, co możemy zrobić... - odezwała się Ellen.

- Dziękuję pani - odrzekła matka chłopca. - Teraz, kiedy doktor jest tutaj, już nic się nie stanie.

Kiedy wracałyśmy na plebanię, Ellen miała zamyślony wyraz twarzy.

- Odniosłam wrażenie, że ukołwał ból, który go męczył.

- Tak. Coś takiego już raz mi się zdarzyło. - Opowiedziałam jej o tamtym chłopcu w Indiach. Wysłuchała mnie życzliwie, z pewnym roztargnieniem, i odgadłam, że tak naprawdę to myśli o domu, do którego wkrótce się uda z panem Bonnerem - gdyż dopiero co go kupił.

Lecz ja zapamiętałam to wydarzenie i zadałam sobie w duchu pytanie, co pomyślałaby o nim moja ayah.

Wspomniano o nim podczas kolacji.

- Tom spadł z drabiny - oznajmiła ciotka Grace. - Dziwne, że nie zdarzyło się więcej wypadków. Oni bywają tacy nieostrożni.

25

- Zuzanna świetnie się spisała - dodała Ellen. - Gładziła go po czole, kiedy George Grievors udzielał mu pierwszej pomocy. Doktor oświadczył, że George postąpił jak trzeba i chłopak jest bardzo dumny z siebie. Muszę jednak stwierdzić, że odniosłam wrażenie, iż Zuzanna przyniosła rannemu ulgę w cierpieniu.

- Anioł miłosierdzia - wtrącił wuj James, uśmiechając się do mnie.

Później rozmyślałam o tym incydencie. Popatrzyłam na swoje ręce. Cóż, kiedy pogłodzi się kogoś cierpiącego po czole, ten ktoś po prostu czuje się lepiej. Każdy mógłby to zrobić.

Żyjąc w tym spokojnym, prozaicznym świecie, zaczęłam myśleć tak, jak ludzie, którzy mnie otaczali. Moja droga ayah miała bujną wyobraźnię. To oczywiście, była przecież „cudzoziemką”.

A potem nadeszły moje siedemnaste urodziny.

Wszystko zostało ustalone. Niejaka pani Emerys wybierała się do Indii ze swoją córką Constance, która miała poślubić jednego z przebywających tam oficerów. Oczywiście z wielką radością zabierze mnie ze sobą. Mój ojciec poczuł wielką ulgę, podobnie jak ciotka Grace i wuj James. Przecież nie wypada, żeby młoda, siedemnastoletnia panna podróżowała sama.

W końcu nadszedł ów wielki dzień. Pożegnałam się ze wszystkimi. Udałam się do Tilbury w towarzystwie pań Emerys i wreszcie popłynęłam do Indii.

Miałyśmy spokojny rejs; obie panie Emerys okazały się miłymi towarzyszkami podróży; Constance była całkowicie pochłonięta bliskim już ślubem i właściwie mogła tylko mówić o zaletach swojego narzeczonego. Nie przeszkadzało mi to. Ogarnęło mnie uczucie oczekiwania.

Jak wielkie wrażenie wywiera bombajska zatoka z jej górzystą wyspą, otoczoną palmami sięgającymi aż do wspaniałych szczytów Ghatów Zachodnich.

Ojciec czekał na mnie. Objęliśmy się, a później odsunął mnie na odległość ramienia i obserwował z uwagą.

- Nie poznałbym cię - powiedział w końcu.

- Minęło dużo czasu. Ty wyglądasz tak samo, ojczu.

- Starsi ludzie niewiele się zmieniają. To tylko małe dziewczynki wyrastają na piękne damy.

- Mieszkasz w tym samym domu? - zapytałam.

- O dziwo, tak. Po twoim odjeździe nastały trudne czasy i, jak wiesz, trochę podróżowałam, ale znów tu jestem... jak wtedy, gdy mnie opuściłaś.

26

Ojciec podziękował paniom Emerys, kiedy mu je przedstawiłam. Narzeczoney Constance czekał już i zabrał je, kiedy przyrzekłyśmy sobie, że wkrótce znów się zobaczymy.

- Byłaś szczęśliwa w Humberston? - spytał mnie ojciec.

- O, tak. Wszyscy byli dla mnie dobrzy. Ale to nie jest mój prawdziwy dom.

Skinął głową.

- A panie Emerys również były dla ciebie dobre?

- Bardzo dobre.

- Będziemy musieli częściej się z nimi spotykać. Powinienem odpowiednio im podziękować - oświadczył.

- A co z tymi wszystkimi, którzy tu pozostali? Z moją ayah?

- Och, jest teraz u Freelingów. Opiekuje się dwojgiem dzieci... całkiem małych. Pani Freeling to raczej płocha młoda kobieta... atrakcyjna, jak mówią.

- Pragnę zobaczyć się z moją ayah.  
- Zobaczysz ją - zapewnił mnie.  
- A co z chansamahem?  
- Został ojcem. Ma dwóch synów i jest bardzo dumny z siebie. Ale chodźmy już, wracajmy. I znalazłam się w domu, czując się tak, jakbym nigdy go nie opuściła. Oczywiście zaszły pewne zmiany. Przestałam być już dzieckiem. Miałam swoje obowiązki i po kilku dniach przekonałam się, że mogą się okazać czasochłonne. Wróciłam, „zyskawszy oglądę”, jak to się mówi - młoda angielska dama, która miała zasiąść przy stole pułkownika i wypełniać spoczywające na niej obowiązki.  
W bardzo krótkim czasie pochłonęło mnie życie garnizonu. Miałam wrażenie, że znalazłam się w małym, odrębnym świecie, w obcym, dziwnym kraju. Indie nie były już takie same jak przedtem, a może za długo o nich marzyłam. Znacznie częściej niż w dzieciństwie raziły mnie przykre szczegóły. Wyraźniej dostrzegałam biedę i choroby; nie zachwycałam się już tak wszystkim; pamiętam też chwile, kiedy z nostalgią wspominałam chłodny wietrzyk, owiewający stary kościół w Humberston, spokojny ogród, w którym rosły lawenda i budleje, wysokie słoneczniki oraz malwy; a później zaczęłam odczuwać tęsknotę za drobnym deszczykiem, za świętami wielkanocnymi i uroczystościami dożynkowymi. Oczywiście ojciec był ze mną; myślę jednak, że gdybym mogła zabrać go ze sobą, wolałabym udać się do tamtego miejsca, które stało się dla mnie synonimem ojczyzny, podobnie jak dla wielu osób z mojego otoczenia.

27

Przy pierwszej okazji odwiedziłam moją ayah. Pani Freeling była zachwycona, że zapragnęłam wybrać się do niej z wizytą. Szybko się zorientowałam, że stanowisko mojego ojca sprawiało, iż wszyscy chcieli mu się przypodobać, a tym samym i jego córce. Niektóre z żon oficerów okazały się niemal pochlebczyniami, wierzyły bowiem bez wątpienia, że zyskując przychyłność pułkownika, wspomagają swoich małżonków na długiej drodze do awansu.

Freelingowie mieli przyjemny bungalow, otoczony pięknie kwitnącymi krzewami, których nazw nie znałam. Phyllis Freeling była młoda i bardzo ładna. W cichości ducha uznałam ją za kokietkę i nabrałam pewności, że nie jest najbardziej interesującą damą spośród żon oficerów. Krążyła wokół mnie, jakbym sprawiła jej wielki zaszczyt tą wizytą. Podano nam herbatę.

- Usiłujemy trzymać angielskie zwyczaje - powiedziała. - Trzeba to robić, nie można o nich zapomnieć. Nie chcemy upodobnić się do tubylców.

Słuchałam jej paplaniny, przez cały czas zastanawiając się, kiedy zobaczę moją ayah, gdyż przyszłam tu tylko do niej. Pani Freeling opowiadała o zabawie tanecznej, którą zamierzają urządzić panie.

- Uważam, że powinna pani wejść w skład komitetu organizacyjnego. Będzie tak dużo przygotowań. Jeśli potrzebuje pani naprawdę dobrego krawca, mogę panią skierować tutaj. - Złożyła ręce i powiedziała z hinduskim akcentem: - Najlepszego durzi w Bombaju... On sam tak twierdzi i mam wszelkie powody, by mu wierzyć.

Napiłam się herbaty i zjadłam jedno z pachnących cynamonem ciasteczek.

- Chansamah czuje się naprawdę zaszczycony, że może zaparzyć herbatę dla córki pułkownika - powiedziano mi.

Zapytałam panią Freeling o jej dzieci i o ayah.

- Jest bardzo dobra. Dzieci to prawdziwe aniołki. Kochają ayah, a ona świetnie sobie z nimi radzi. Czasami zastanawiam się, czy dobrze robię, pozostawiając je z hinduską nianią... ale co mogę zrobić? Mam tyle obowiązków... względem mego męża, względem pułku...

Wreszcie uznałam, że mogę przejść do powodu swojej wizyty. Przypomniałam pani Freeling, że chcę zobaczyć się z ayah.

- Oczywiście. Poczuję się zaszczycona.

Zaprowadziła mnie do pokoju dziecinnego, gdzie małeństwa odbywały popołudniową drzemkę. Ayah siedziała tam, czekając, gdyż wiedziała, że do niej przyjdę.

Spojrzałyśmy na siebie; postarzała się lekko, co było naturalne w tak długim czasie.

28

Podbiegłam do niej i objęłam ją ramionami. Nie wiedziałam, co o tym pomyślała moja gospodyni, i zupełnie mnie to nie obchodziło.

- Ayah - powiedziałam.

- Panienska Su-Su.

Bardzo się wzruszyłam, usłyszawszy dziecinnie zdrobnienie mojego imienia.

- Często o tobie myślałam - wykrztusiłam.

Ayah skinęła głową. Jakaś służąca podeszła i powiedziała coś cicho pani Freeling.

- Dobrze, zostawię panią - oznajmiła moja gospodyni. - Myślę, że ma pani ochotę na pogawędkę ze swoją starą niańką.

Uznałam, że postąpiła taktownie.

Usiadłyśmy, nadal nie odrywając od siebie oczu. Rozmawiałyśmy szeptem, żeby nie obudzić śpiących dzieci. Ayah powiedziała, jak bardzo za mną tęskniła. Babalog Freeling to miłe małeństwa, ale nie są panienką Su-Su. Nigdy nie będzie takiej dziewczynki jak ona.

Opowiadałam ayah o moim życiu w Anglii, ale widziałam, że trudno jej to sobie wyobrazić.

Wyjaśniła mi, że w Indiach wybuchają zamieszki i że życie stało się niebezpieczne... i można oczekiwać czegoś gorszego. Pokręciła głową.

- Ludzie szepczą... Mają ponure tajemnice... to niedobrze. Zauważyła zmiany, jakie się we mnie dokonały. Nie byłam już

małą dziewczynką, która przed laty opuściła Bombaj.

- Siedem lat to dużo czasu - przypomniałam jej.

- Czas się dłuży, kiedy wiele się dzieje, a wydaje się krótki, gdy panuje spokój. Czas kryje się w ludzkich głowach.

To cudowne, że znów ją zobaczyłam.

- Tak bardzo chciałabym cię zabrać do mojego domu - powiedziałam.

Promienny uśmiech rozjaśnił jej twarz.

- Ja też tego pragnę. Ale ty już nie potrzebujesz opieki tak jak babalog Freelingowie.

- Jesteś tu szczęśliwa, droga ayah?

Milczała i z niepokojem zauważyłam cień, który przemknął po jej twarzy. Zaintrygował mnie.

Pani Freeling nie sprawiała wrażenia matki, która wtrąca się w wychowanie dzieci. Sądziłam, że jej ayah będzie miała swobodę działania; tym bardziej że tak było w moim przypadku, choć musiała rywalizować z panią Fearnley.

Wiedziałam już, że jest zbyt lojalna, by plotkować o swojej pani, ale ogarnął mnie niepokój.

Ayah wyczuła to i powiedziała:

29

- Nigdy już nie będę czuła się tak dobrze jak wtedy, gdy byłam z tobą.

Bardzo mnie to wzruszyło i zaskoczyło, że tak uważa, zwłaszcza kiedy przypominałam sobie, jak trudnym dzieckiem bywałam. Może czas jak zwykle płatał figle, sprawiając, że przeszłość wydawała się lepsza, niż była naprawdę.

- Teraz, kiedy już tu jestem, będę częściej cię widywała - oświadczyłam. - Jestem pewna, że pani Freeling nie będzie miała nic przeciwko temu.

Ayah potrząsnęła przecząco głową.

- Nie powinnaś tu przychodzić, paniensko Su-Su. Nie za często.

- Czemu nie?



- Lepiej nie. Spotkamy się gdzie indziej. Może ja przyjdę do ciebie. - Wzruszyła ramionami. - Jestem tylko starą ayah... już nie twoją.

- Nonsens! Zawsze będziesz moja. I dlaczego nie miałabym cię odwiedzać? Będę nalegała. Jestem teraz damą, córką pułkownika. To ja będę ustanawiać zasady.

- Nie tutaj - odrzekła ayah. - Nie... nie... to nie jest dobre.

Nie drażyłam dalej tego tematu, ponieważ uznałam, że może strzeliła jej do głowy jakaś absurdalna myśl, iż nie wypada, by córka pułkownika odwiedzała swoją dawną niańkę w innym domu.

W jej przepastnych oczach dostrzegłam proroczy błysk.

- Odjedziesz stąd - powiedziała. - Nie widzę cię tutaj... na długo.

- Mylisz się. Zostanę z moim ojcem. Nie po to przybyłam tu z tak daleka, by niemal natychmiast odpłynąć do Anglii. Moja droga ayah, czy zdajesz sobie sprawę, jak długa jest ta podróż przez wiele mórz? Zostanę tutaj i będziemy się spotykać... często. Wszystko będzie jak dawniej... lub prawie.

- Tak... nie będzie smutku. - Uśmiechnęła się. - Nie mówmy o rozstaniach. Dopiero co przybyłaś. To szczęśliwy dzień.

- Teraz już lepiej - odrzekłam i pograżyłam się w rozmowie, przerywanej częstymi „czy pamiętasz, kiedy...”. I zdumiałam się, że przypominam sobie tak wiele wydarzeń z przeszłości, o których, jak sądziłam, dawno zapomniałam.

Dzieci Freelingów obudziły się i ayah mi je przedstawiła. Miały okrągłe buzie, były puciołowatymi maluchami w wieku od dwóch do czterech lat, jak przypuszczałam.

Kiedy opuściłam pokój dziecinny, poszłam pożegnać się z panią Freeling.

Siedziała na sofie w towarzystwie jakiegoś młodego mężczyzny. Wstali, gdy weszłam do salonu.

30

- Och, jest pani! - odezwała się pani Freeling. - Panna Pleydell odwiedziła swoją starą ayah, która jest teraz u nas. To bardzo uprzejme!

- To nie uprzejmość! - zaprzeczyłam. - Jestem do niej bardzo przywiązana.

- Tak, wiem, jak to bywa z nianiami. Ale zapomniałam, że państwo się nie znają. To jest Aubrey Saint Clare. Aubrey, to panna Zuzanna Pleydell, córka pułkownika.

Wtedy po raz pierwszy ujrzałam Aubreya i natychmiast zauważyłam jego wdzięk i urodę. Dorównywałam mu wzrostem - ale byłam niezwykle wysoka. Miał jasne włosy - prawie złociste, ciemnoniebieskie oczy i regularne rysy twarzy.

Uścisnął moją rękę.

- Cieszę się, że panią spotkałem! - oświadczył.

- Proszę, niech pani usiądzie, panno Pleydell - wtrąciła pani Freeling. - Musi pani wypić drinka. Wprawdzie jest trochę za wcześnie, ale to nie ma znaczenia. Nigdy nie jest na to za późno.

Usiadłam obok Aubreya.

- Zdaje mi się, że właśnie wróciła pani do Indii - zaczął rozmowę.

Wyjaśniłam mu wszystko.

- Świeżo ze szkoły! - podsumowała Phyllis Freeling z nieco ostrym, dźwięcznym śmiechem. - Czyż to nie ekscytujące?

- Na pewno, i z powrotem w Indiach - zgodził się Aubrey. - Prawda, że to dziwny, ekscytujący kraj, panno Pleydell?

Przytaknęłam.

- Zauważyła pani jakieś zmiany? - pytał dalej.

- Byłam taka młoda, kiedy odpłynęłam, miałam zaledwie dziesięć lat. Myślę, że zabrałam ze sobą zbyt olśniewającą wizję tego kraju. Teraz widzę Indie takimi, jakie są naprawdę.

- Tak - oświadczył. - To jedna z bolączek dorastania.

Zauważyłam, że przygląda mi się uważnie i jego zainteresowanie miło polectało moją dumę. Znałam niewielu młodych mężczyzn - tylko tych, którzy mieszkali w Humberston i przyjaciół wujostwa Sandownów. Zdałam sobie sprawę, że moi krewni pilnowali mnie bardzo troskliwie, choć niepostrzeżenie. Teraz poczułam się bardziej wolna. Tak, byłam już dorosła. I świadomość tego bardzo mnie ucieszyła.

Aubrey Saint Clare mówił dość uczenie o Indiach, które zdawał się dobrze znać.

Wywnioskowałam, że nie jest związany z pułkiem mojego ojca. Zastanowiłam się, co porabia w Indiach,- ale uznałam, iż takie pytanie byłoby impertynenckie. Pani Freeling podjęła temat rozmowy.

31

Pomyślałam, że chyba flirtuje ze swoim gościem. A potem zadałam sobie w duchu pytanie, czy przyszło mi to do głowy dlatego, iż nadal znajdowałam się pod wpływem nauk wpojonych mi w Humberston, gdzie zawsze postępowano w bardzo konwencjonalny sposób. W końcu oznajmiłam, że muszę iść, i pan Saint Clare natychmiast wstał i zaproponował, iż odprowadzi mnie do domu.

- To naprawdę niedaleko - odpowiedziałam mu.

- Mimo to... - zaczął, a pani Freeling dodała:

- O, tak, ktoś powinien pani towarzyszyć. Podziękowałam jej za gościnę i wyszłam z Aubreyem.

Po opuszczeniu bungalowu obejrzałam się i dostrzegłam, że zasłony w oknie zafalowały.

Stała tam ayah. Czy mi się tylko wydawało, czy też wyglądała na naprawdę zaniepokojoną?

Później bardzo często widywałam Aubreya Saint Clare'a. Zafascynował mnie i czułam radość, że okazuje mi tyle uwagi. Zawsze był uprzedzająco grzeczny dla Phyllis Freeling. Ale wydawało mi się, że traktuje mnie inaczej niż ja, ponieważ była mężatką.

Ojciec polubił go i myślę, że cieszył się, gdy Aubrey wszędzie mi towarzyszył.

Wywnioskowałam, iż wolałby, abyśmy mieszkali w Anglii, gdzie mogłabym wejść w najlepsze towarzystwo w konwencjonalny sposób. Pragnął, abym cieszyła się życiem, i żałował, że nie może spędzać ze mną więcej czasu.

Aubrey był czarujący. Miał niepospolity wdzięk i potrafił dostosować swoje zachowanie do ludzi, z którymi przebywał. Z moim ojcem był poważny i rozmawiał o problemach Indii; mnie opowiadał o swoich podróżach po świecie; był w Arabii, spotkał ludzi wielu ras; uważał poznawanie różnych kultur za fascynujące i wyrażał się bardzo poetycznie; a przecież z panią Freeling bywał niezwykle swobodny, zachowując się dokładnie tak, jak mężczyzna, który mógł się jej podobać. Jednym słowem, miał wielki dar.

Stał się moim nieodłącznym towarzyszem. Ojciec pozwalał, by Aubrey towarzyszył mi w wycieczkach na bazyliki Bombaju, chociaż nie wolno mi było chodzić tam samej. Tłumaczył, że sytuacja wygląda inaczej niż za czasów mojego dzieciństwa. Wśród tubylców panuje niezadowolenie. Wojsko jest w stanie gotowości.

Och, to nic poważnego, tłumaczył. Ale Hindusi są nieprzewidywalni. Nie rozumują w taki sposób jak my. Dlatego wolał, żebym udawała się tam, dokąd chciałam, w towarzystwie silnego mężczyzny.

Były to miłe dni.

32

Widziałam moją ayah kilkakrotnie, zawsze jednak niepokoiły ją moje wizyty u Freelingów. Zaproponowałam więc, żeby przyszła do nas. Zrobiła to raz czy dwa, lecz trudno jej było znaleźć wolną chwilę. Wiedziałam, że coś nie daje jej spokoju, nie miałam wszakże pojęcia

co; i prawdę mówiąc, tak pochłaniało mnie to, co się działo, a zwłaszcza mój nowy przyjaciel, że nie poświęcałam jej dostatecznej uwagi, jak zrobiłabym w innym wypadku.

Pewnego dnia, kiedy siedzieliśmy w ogrodzie pod drzewami morelowymi, jeden ze służących przyniósł nam napój chłodzący, a Aubrey powiedział do mnie:

- Będę musiał pomyśleć o rychłym powrocie do domu. Przeraziło mnie to. Nigdy nie myślałam o jego odjeździe i nagle

uświadomiłam sobie, jak bardzo zaczęło mi zależeć na jego towarzystwie. Ogarnęło mnie przygnębienie.

- Otrzymałem niepokojące wieści z domu - mówił dalej.

- Przykro mi.

- Mnie również. Chodzi o mojego brata - starszego brata. Jest chory. Sądzę, że w istocie długo nie pożyje. To ogromnie zmieni moją sytuację.

- Jest pan bardzo przywiązany do niego - zauważyłam uprzejmie.

- Nigdy nie byliśmy dobrymi przyjaciółmi - odrzekł. - Jest nas tylko dwóch i tak bardzo się od siebie różnimy. Odziedziczył cały majątek... sporą rodzinną posiadłość. A ponieważ nie ma dzieci, przejmę wszystko, jeśli umrze, co teraz wydaje się pewne, i to już niedługo. Wątpię, by przeżył jeszcze rok.

- To na pewno bardzo pana smuci.

- A więc... powinienem tam być. Wkrótce będę musiał wyjechać.

- Będzie nam pana brakowało - oświadczyłam. Nachylił się ku mnie, wziął mnie za rękę i uścisnął lekko.

- Będzie mi brakowało wszystkich... wszystkiego, co tutaj mnie otacza... a zwłaszcza pani.

Jego słowa bardzo mnie uradowały. Aubrey zawsze dawał do zrozumienia, że mnie podziwia, i zdawałam sobie sprawę, iż coś nas łączy; uważałam się jednak za zupełną nowicjuszkę w takich sprawach i czułam się bardzo niepewnie. Wiedziałam tylko, że ogromnie mnie zasmuci rozstanie z nim.

Opowiedział mi o swoim domu. Majątek znajdował się w Buckinghamshire i należał do rodziny od wieków.

- Mój brat jest z niego bardzo dumny - dodał. - Ja sam nigdy nie darzyłem takim uczuciem żadnego domu. Pragnąłem podróżować, zwiedzać świat. On zaś chciał wieść życie właściciela ziemskiego.

33

Jeżeli umrze, jego obowiązki spadną na mnie. Mam nadzieję, że moja szwagierka Amelia urodzi syna przed śmiercią mego brata.

- Czy może się tak stać, skoro teraz jest taki chory?

- Nigdy nic nie wiadomo.

- Kiedy pan odpłynie? - zapytałam.

- Może pani być pewna, że pozostanę tak długo, jak będę mógł - oświadczył z naciskiem.

Tego wieczoru, gdy jadłam z ojcem kolację, wspomniałam mu, że Aubrey wkrótce nas opuści.

- Przykro mi z tego powodu. Tobie też będzie go brakowało, prawda? - spytał. Przyglądał mi się uważnie.

- O, tak, bardzo - wyznałam z lekkim wahaniem.

- No cóż, może nie tylko on stąd odpłynie - odrzekł.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Wiesz, że w ostatnich czasach było tu bardzo niespokojnie. Nic poważnego, ale tubylcy są niezadowoleni. I jest jeszcze coś, o czym nie wiesz, Zuzanno. Dwa lata temu zachorowałem.

- Zachorowałeś! Co to była za choroba? Nie powiadomiłeś mnie o niczym! - zawołałam z wyrzutem.

- Nie chciałem cię martwić. Wyszedłem z niej. Ale dowództwo o tym wie.
- Ojczy, co chcesz mi powiedzieć? - zaniepokoiłam się nie na żarty.
- Że starość mnie dogania.
- Przecież świetnie się trzymasz. Pomyśl o tym, co robisz.
- Faktem jest, że się starzeję. Są pewne tego oznaki, Zuzanno.
- Oznaki? - spytałam.
- Myślę, że już wkrótce będę pracował w Ministerstwie Wojny w Londynie.
- Naprawdę tak uważasz? A co to była za dolegliwość?
- Niewielkie kłopoty z sercem, które przeminęły.
- Och, ojczy, nic mi o tym nie powiedziałeś!
- Nie było takiej potrzeby, przecież wyzdrowiałem.
- Powinieneś być mi o tym powiedzieć - nie ustępowałam.
- To było całkiem niepotrzebne. Ale, jak mówią, zajdą tu pewne zmiany.
- Kiedy udamy się do kraju?
- Znasz naczelne dowództwo. Skoro urzędnicy w kraju podejmą jakąś decyzję, nie będzie żadnej zwłoki. Podam się do dymisji i opuszczę Indie, a inny pułkownik zajmie moje miejsce.
- Och, ojczy, jak ty to zniesiesz? - spytałam z niepokojem.
- Prawdę mówiąc, nie będzie mi przykro z tego powodu.
- Ale po tylu latach w Indiach... i pozwoliłeś mi tu wrócić.

34

- Miałem powody. Z twoich listów wywnioskowałem, że tworzysz sobie pewien wyidealizowany obraz Indii. Uznałem, że jeśli tu nie wrócisz, będziesz tego żałowała przez całe życie. Chciałem, byś spojrzała na ten kraj oczami dorosłej kobiety. Zresztą, pomyśl, jak ogromnego zawodu byś doznała, gdyby tak się nie stało.

- Jesteś dla mnie taki dobry - szepnęłam.

- Drogie dziecko, tak wiele muszę ci wynagrodzić. Samotne dzieciństwo... wysłanie cię do obcych ludzi, którymi dla ciebie byli Snowdonowie, choć są z nami spokrewnieni.

- Zrobiłeś, co tylko mogłeś, a poza tym taki jest los wszystkich dzieci z naszej sfery.

- To prawda, lecz ta świadomość nie przynosi ulgi. Zresztą, nie mówmy już o tych sprawach. W każdej chwili oczekuję rozkazów, a wtedy opuszczę pułk i wrócę do Anglii. Słowa ojca nie przyprawiły mnie o obłędne przerażenie, gdyż zaczęłam się już zastanawiać, czy będę mogła spotykać się z Aubreyem w Anglii.

Tamtej nocy, leżąc w łóżku, pomyślałam o ayah. Zaniedbałam ją trochę ostatnio. Kiedy wyjechałam z Indii, myślałam z wielką radością o naszym ponownym spotkaniu. Ale, jak powiedział mój ojciec, wszystko się zmienia. Nigdy nie zapomnę ani jej, ani tego, czym była dla mnie w czasach mego dzieciństwa; tylko że ja już nie jestem dzieckiem. Odbywałam ekscytujące wycieczki w świat dorosłych i uczucia, które obudził Aubrey, tak mnie zafascynowały, że miałam skłonność do zapominania o innych sprawach.

Obiecałam sobie uroczyście, że już następnego dnia pójdę się z nią zobaczyć.

Wybrałam porę, kiedy, jak wiedziałam, pani Freeling będzie w klubie oficerskim. Często tam chodziła. Widziałam ją w towarzystwie kilku młodych oficerów. Zaprosiła też do tego klubu Aubreya. Powiedział mi, że bywa tam dość często. Co więcej, zobaczyłam go tam z nią. Nie czułam zazdrości. Nie przyszło mi nawet do głowy, że mógł ich łączyć jakiś ściślejszy związek, ponieważ była mężatką. W tamtych czasach byłam bardzo naiwna.

Ayah ucieszyła się na mój widok, a mnie ogarnął wstyd, że zbyt wiele czasu upłynęło od naszego ostatniego spotkania.

- Dzieci śpią - powiedziała.

Siedziałyśmy w sąsiednim pokoju, za uchylonymi drzwiami, żeby mogła usłyszeć, jeśli się obudzą. Popatrzyła na mnie smutno.

- Miałaś rację, że nie pozostanę tu długo - oświadczyłam.

35

Ojciec powiedział mi, że każdego dnia może otrzymać rozkazy z Ministerstwa Wojny.

- Odpłyniesz stąd... tak. Może to i lepiej dla ciebie.

- Droga ayah, czuję się tak, jakbym dopiero co przyjechała.

- Źle się tu dzieje. Już nie jesteś małą dziewczynką.

- Przypuszczam, że wszędzie źle się dzieje - skomentowałam. Pokręciła głową. Wzięłam ją za rękę i powiedziałam:

- Coś cię dręczy. Czemu nie chcesz mi tego wyjawić? Nie jesteś tu szczęśliwa. Mogłabym poprosić mego ojca, żeby znalazł ci inną posadę.

- Kocham te maleństwa - odrzekła.

- A pani Freeling i kapitan, jej mąż... są dla ciebie dobrzy? Wiesz, że możesz mi wszystko powiedzieć.

- Pozostawiają mnie z dziećmi. Kapitan je kocha.

- A więc chodzi o panią Freeling? Czy ona się wtrąca? Czy robi ci wymówki?

Ayah potrząsnęła przecząco głową. Wahala się kilka sekund, a potem wyrzuciła z siebie:

- Są tu zabawy... spotkania... oni robią dziwne rzeczy. Wiem, co to takiego. Hodują to na wsi. Widziałam to... tyle razy... kiedy byłam mała. To coś dobrze rośnie w Indiach... tak ślicznie wygląda, kiedy maki kołyszają główkami... tak niewinnie. Nie uwierzyłabyś, że jest takie złe. To kwitnie, jeśli ziemia jest dobra, pulchna, użyźniona nawozem i obficie podlewana.

Widziałam, jak zasiano je w listopadzie, a w styczniu jest już dojrzałe, kiedy makówki są wielkie jak kurze jaja.

- O czym ty mówisz? - spytałam z niedowierzaniem.

- Nazywają to opium - wyjaśniła. - Jest tutaj... wszędzie. Niektórzy sprzedają je dla pieniędzy, inni hodują dla siebie. Pałają je w fajkach i wtedy stają się dziwni... bardzo dziwni.

- Chcesz powiedzieć, że się narkotyzują? Opowiedz mi o tym.

- Nie mogę. To mnie nie obchodzi. Nie chciałabym, żeby moja Su-Su spotykała się z takimi ludźmi.

- Chodzi ci o panią Freeling... - zawahałam się i urwałam.

- Proszę, zapomnij, że ci o tym wspomniałam.

- Chcesz powiedzieć, że tutaj... urządzone są zabawy... orgie? - wypytywałam dalej. - Muszę powiadomić o tym ojca.

- Och, nie, nie. Proszę, nie rób tego. Nie powinnam była ci tego mówić. Źle postąpiłam.

Proszę, zapomnij o tym - szeptała błagalnym tonem.

- Jak mogłabym zapomnieć? Mówisz, że pałają opium. Powinno się z tym skończyć.

36

Pokręciła głową.

- Nie. Nie. Tak zawsze było. Tu, w wioskach... tak łatwo uprawiać opium. Proszę, nie mów o tym nikomu. Tylko nie chodź do tych miejsc. Nie pozwól, by namówili cię do spróbowania.

- Namówili mnie! Nigdy by im się to nie udało! Ayah, jesteś pewna?

- Nie jestem pewna. Niezupełnie... - odrzekła z wahaniem.

- Ale powiedziałaś mi... - zaoponowałam.

Zamknęła oczy i pokręciła głową. Pomyślałam, że się boi, i próbowałam ją uspokoić.

- Widziałam ich tutaj. Dziwnie wyglądają. Wydają się dziwni. Jest pewien mężczyzna.

Przychodzi tu często. To Diabelski Doktor. Chce opium. Kupuje je. Zabiera. Obserwuje ludzi i kusi ich. Uważam, że to diabeł.

Och, pomyślałam z ulgą, znów fantazjuje.

- Opowiedz mi o tym Diabelskim Doktorze - poprosiłam.

- Jest wysoki, a włosy ma czarne jak noc. Widziałam go raz. Nosił czarny płaszcz i czarny kapelusz.

- Ten opis pasuje do szatana. Powiedz mi, czy ma kopyta zamiast stóp?

- Jestem o tym przekonana - odparła.

Odetchnęłam z ulgą. Przypomniałam sobie pewne historie, którymi oczarowała mnie w dzieciństwie. Były to opowieści o czynach bogów, Siwy, Wisznu i Brahmana. Gorąco w nie wierzyła. Nie przyjmowałam na serio tych historii. Może zauważyła nieco frywolne zachowanie gości pani Freeling i zinterpretowała je jako sposób postępowania właściwy tylko ludziom, którzy palą opium; a z powodu troski o mnie wyolbrzymiła to, co zobaczyła.

Zastanowiłam się, czy powinnam wspomnieć ojcu o podejrzeniach ayah; ale ponieważ prosiła mnie, żebym tego nie robiła, przestałam o tym myśleć. Tak wiele miałam spraw na głowie, ponieważ w dwa tygodnie po pamiętnej rozmowie ojciec otrzymał depeszę z Londynu. Pułkownik Bronsen-Grey był już w drodze, by przejąć jego obowiązki i mieliśmy natychmiast rozpocząć przygotowania do odjazdu.

Wyglądało to na zrządzenie losu. Nie powinnam, a jednak czułam się bardzo podekscytowana. Tym razem nie opuszczę Indii tak niechętnie jak poprzednio.

Aubrey Saint Clare był zachwycony, a kiedy usłyszał, że kupiliśmy bilety na „Gwiazdę Jutrzenki”, postanowił, iż wróci do Anglii tym samym statkiem. Wcale nie żałowałam rozstania z Indiami, ponieważ mieliśmy płynąć razem.

37

Świadczy to dobitnie o moich uczuciach w tamtych dniach.

Nie mieliśmy własnego domu w Anglii i mój ojciec postanowił, że zatrzymamy się w hotelu, szukając tymczasowego lokum. Najpierw chciał zapoznać się z przyszłymi obowiązkami w Ministerstwie Wojny. Potem zaś będziemy mogli zająć się poszukiwaniem odpowiedniej rezydencji, która, jak oczekiwał, będzie w Londynie.

Moja ayah pożegnała się ze mną z płaczem. Była jednak fatalistką i wiara w przeznaczenie pomogła jej znieść smutek rozstania. Tak się miało stać, oświadczyła i dodała, że wiedziała, iż po moim powrocie nie zabawię długo w Indiach.

- Dobrze, że opuszczasz Indie - powiedziała - chociaż ci, którzy cię kochają, cierpią z powodu rozstania z tobą. Wybuchną tu niepokoje, dlatego cieszę się, że będziesz bezpieczna.

Monsuny nie przyniosły deszczów i plony są kiepskie. Kiedy panuje głód, ludzie chcą znaleźć winnych i zwykle obwiniają tych, którym zazdroszczą... tych, którzy mają wszystko, czego im samym brakuje. Tak, powinnam się cieszyć. Tak jest najlepiej dla ciebie. Nie bądź taka impulsywna jak zawsze, mała Su-Su. Najpierw pomyśl. Nie chwytaj śmieci, myśląc je ze złotem.

- Obiecuję ci, droga ayah, że będę się hamowała. Zawsze będę o tobie myśleć i spróbuję mądrze postępować.

Później objęła mnie i pocałowała z powagą.

Kiedy stałam na pokładzie odpływającego statku, ostatnią osobą, jaką zobaczyłam, była moja ayah; wyglądała na samotną i smutną, a jej jasnoniebieskie sari falowało łagodnie na wietrze. To była czarodziejska podróż. Czułam się naprawdę szczęśliwa. Jakże różniła się od poprzedniej, gdy jako samotna mała dziewczynka pod opieką pani Fearnley usiłowałam zapanować nad sobą, by nie zaprotestować głośno przeciwko oderwaniu mnie od papy i moich ukochanych Indii. Tym razem było zupełnie inaczej. Mój ojciec wydawał się młodszy. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, w jakim napięciu żył przez tyle lat. Nigdy mi nie mówił o strachu przed zamieszkami; ale wydaje mi się, że lęk zawsze przenikał jego serce -nieustanna obawa, przed którą nie było ucieczki. Pamiętam księżycowe noce, kiedy podnosiłam oczy na ciemne aksamitne niebo i złociste gwiazdy, słuchając cichego plusku fal w dole. Aubrey stale mi towarzyszył; rankiem razem spacerowaliśmy po pokładach i graliśmy w różne gry;

podczas posiłków prowadziliśmy długie dyskusje ze współbiednikami, a potem tańczyliśmy; pragnęłam, żeby te dni nie miały końca.

38

Usiłowałam nie sięgać myślą zbyt daleko w przyszłość, do dnia, kiedy dopłyniemy do Tilbury i tam się pożegnamy. Ja i ojciec mieliśmy się udać do Londynu, a Aubrey do tego wspaniałego domu w Buckinghamshire.

Życie na statku miało w sobie coś nierzeczywistego. Czułam, że płynę w małym światku oddzielnym od prawdziwego świata. Nie było w nim żadnych kłopotów - tylko długie, słoneczne dni, kiedy wypoczywałam na leżaku na pokładzie, obserwując igraszki delfinów i morświnów, gdy latające ryby muskały fale, a tu i tam widać było grzbiet wieloryba.

Pewnego dnia jakiś albatros i przypuszczalnie jego partner lub partnerka leciały za statkiem przez trzy dni. Podziwialiśmy te piękne ptaki, których skrzydła miały rozpiętość około stu dwudziestu centymetrów; krążyły nad nami i chwilami myśleliśmy, że usiądą na pokładzie. Czekały na pokarm, na resztki posiłków, które wyrzucano do wody.

Były to czarowne dni na statku spokojnie płynącym do ojczyzny po spokojnych morzach i pod błękitnym niebem.

Ale nawet wtedy coś przypominało o mającej nastąpić zmianie. Zdarzyło się, że pewnego dnia otarliśmy się o huragan. Krzesła ślizgały się po pokładzie i nie mogliśmy na nim ustać. To symboliczne, pomyślałam. Nic nie trwa wiecznie, i nawet najdoskonalszy spokój szybko może ulecieć.

Dotarliśmy do Kapsztadu, który zapamiętałam z mojej pierwszej morskiej podróży. Tym razem było inaczej. Ojciec, Aubrey i ja pojechaliśmy do miasta ukwieconym powozem ciągniętym przez dwa konie w słomianych kapeluszach. Ta wycieczka wydała mi się znacznie bardziej ekscytująca niż poprzednia; może z powodu towarzystwa.

Noc zapadła, kiedy opuściliśmy port. Skierowaliśmy się teraz na północ, do Wysp Kanaryjskich. Pozostawiliśmy za sobą tropikalne upały. Pogoda była dobra, prawie bezwietrzna.

Mój ojciec poszedł do kajuty, jak zwykle po kolacji, pozostawiając mnie z Aubreym. Znaleźliśmy nasze ulubione miejsce na pokładzie i siedzieliśmy obok siebie, przysłuchując się cichemu pluskowi wody omywającej burtę statku.

- To już nie potrwa długo - odezwał się mój towarzysz. - Wkrótce będziemy w kraju.

Zgodziłam się z nim w dość ponurym nastroju.

- To była cudowna podróż.

- Z pewnego szczególnego powodu - odparł. Czekałam. Odwrócił się do mnie, wziął mnie za rękę i pocałował ją.

39

- Dzięki pani - oświadczył.

- Pan również przysporzył mi wiele radości - odrzekłam ze śmiechem. - Mój ojciec był zachwycony, że pan tu jest i że może pójść spać ze spokojnym sumieniem, pozostawiając mnie w dobrych rękach.

- Ach, więc tak o mnie myśli?

- Wie pan, że tak.

- Zuzanno, dużo ostatnio myślałem. Kiedy dotrzemy do Anglii... co wtedy?

- Co? Wszystko zostało ustalone. Ojciec i ja pojedziemy do jakiegoś porządnego hotelu i natychmiast zaczniemy się rozglądać za domem do wynajęcia. A pan... pan ma swoje plany.

- Kiedy znajdziemy się w Anglii, chyba nie powiemy sobie: „Do widzenia, miło było się poznać”, prawda?

- Nie wiem, co się stanie, kiedy dotrzemy do Anglii.

- Czy to nie zależy od nas?  
- Istnieje teoria głosząca, że wszystko, co się zdarza, zależy od nas samych, chociaż są i tacy, którzy wierzą w przeznaczenie. Co ma być, to będzie.  
- Myślę, że jesteśmy panami swego losu. Czy zostanie pani moją żoną?  
- Czy pan... mówi to poważnie? - wyjąkałam.  
- Śmiertelnie poważnie.  
- Aubreyu... - szepnęłam.  
- Chyba nie zamierza pani powiedzieć „to takie nieoczekiwane”, prawda?  
- Nie.  
- Więc wyjdzie pani za mnie?  
- Ja... myślę, że tak.  
- Tylko myśli pani?  
- No cóż, dotąd nikt nie poprosił mnie o rękę i nie bardzo wiem, jak mam się zachować. Wybuchnął śmiechem, odwrócił się do mnie, wziął mnie w ramiona i pocałował.  
- Chciałem zrobić to od bardzo dawna - powiedział. - Czekala pani, aż to zrobię?  
- Tak, myślę, że tak.  
- Myśli pani! Nie wie pani tego? W każdej innej dziedzinie ma pani tak jasno sprecyzowane poglądy.  
- Czuję się taką nowicjuską... w miłości.  
- To właśnie w pani kocham. Jest pani taka młoda... taka niedoświadczona... taka niewinna... taka uczciwa.  
40

- Wolałabym być bardziej światowa, jak niektóre z żon oficerów z naszego pułku... na przykład pani Freeling.  
Milczał chwilę. Miał niepewną minę i wydało mi się, że chciał coś powiedzieć. Później jednak zmienił zdanie i zastanowiłam się, czy mi się nie przywidziało.  
- Powinna pani wiedzieć, że tak naprawdę tamte kobiety nie są światowymi damami - odezwał się w końcu. - Są starsze od pani i przez cały czas udają, że należą do eleganckiego towarzystwa. Na Boga, niech pani nie stanie się taka jak one. Niech pani będzie tylko sobą, Zuzanno. Tego właśnie pragnę.  
Ścisnął mocniej moją rękę i spojrzeliśmy na morze.  
- Jaka piękna noc - powiedział. - Spokojne morze, łagodny wietrzyk i Zuzanna zgodziła się zostać moją żoną.  
Kiedy powiedziałam o tym ojcu, zaniepokoił się lekko.  
- Jesteś bardzo młoda - zauważył.  
- Mam osiemnaście lat. Panna w moim wieku może wyjść za mąż.  
- W niektórych wypadkach... tak. Ale ty dopiero co skończyłaś szkołę. Tak naprawdę to nie spotkałaś nikogo odpowiedniego - zaproponował.  
- Nie muszę. Wiem, że kocham Aubreya.  
- No cóż, przypuszczam, iż wszystko jest w porządku. Mam na myśli ten majątek w Buckinghamshire, który, jak przypuszczam, pewnego dnia będzie należał do niego. Sprawia wrażenie uczciwego i rzetelnego człowieka.  
- Papo, na nic się nie zda udawanie surowego ojca, ponieważ nie robisz tego dobrze. Wiesz, że jeśli ja tego pragnę i jestem szczęśliwa, to ty również nie będziesz miał żadnych zastrzeżeń.  
- Chyba tak - zgodził się ze mną. - Umiesz podsumować sytuację w kilku słowach. A więc się zareczyłaś. To zdumiewające, jak wiele osób zareczy się podczas podróży statkiem. Chyba coś musi być w morskim powietrzu.  
- Tropikalne morza... latające ryby... delfiny...



- Huragany, olbrzymie grzywacze i choroba morska.  
- Nie bądź nieromantyczny, ojczu. To do ciebie nie pasuje. Powiedz, że jesteś zadowolony i dumny ze swojej córki, która zdołała znaleźć męża bez ogromnych kosztów, jakie zamierzałeś ponieść, by zapewnić jej dostęp do wytwornego towarzystwa w Londynie.  
- Moje drogie dziecko, pragnę tylko twego szczęścia. Wybrałaś tego mężczyznę i jeśli uczyni cię szczęśliwą, będę niezmiernie rad. Pocałował mnie. - Musisz mi pomóc znaleźć jakieś lokum w Londynie - dodał.

41

- Chociaż na pewno będziesz pochłonięta innymi sprawami.  
- Oczywiście. Och, ojczu, miałam zajmować się tobą!  
- A teraz, zamiast mnie, będziesz zajmować się mężem. Uścisnęłam go i nagle przeniknął mnie dreszczyk niepokoju. Jak bardzo był chory? I dlaczego naczelne dowództwo uznało, że powinien opuścić Indie? Byłam taka szczęśliwa. Majaczyła przede mną przyszłość tak podniecająca, że musiałam sobie przypomnieć, iż życie rzadko bywa całkiem doskonałe. Muszę poszukać kornika w drewnie, skazy w diamentach. Nic nie może być tak wspaniałe, jak wydawało mi się tamtej nocy, kiedy Aubrey poprosił mnie o rękę.  
Należało omówić tyle rzeczy, ułożyć tyle planów. Aubrey miał towarzyszyć nam do Londynu i odwiedzić nas do hotelu, zanim uda się do swojego domu. Wspólnie postanowiliśmy, że wkrótce mój ojciec i ja złożymy wizytę w Ministerstwie, majątku Saint Clare'ów w Buckinghamshire.  
Wyczekiwałam przybycia do Tilbury - nie obawiałam się kresu podróży tak jak wtedy, gdy myślałam, iż oznacza to ostateczne rozstanie z Aubreyem. Co do samego Aubreya, był wręcz w stanie euforii i niezmiernie się uradowałam, iż to ja się do tego przyczyniłam.  
A więc powiedzieliśmy sobie „do zobaczenia”, obiecując odwiedzić Aubreya w jego rodzinnym gnieździe za dwa tygodnie. Nie wątpił, że Amelia, jego szwagierka, przyjmie nas z radością. Co do brata, nie miał pojęcia, w jakim jest stanie.  
Zastanowiłam się, czy w sytuacji, gdy brat Aubreya jest taki chory, goście będą mile widziani w Ministerstwie; mój narzeczony zapewnił mnie jednak, że dom jest duży i jest tam dość służby, która zajmie się wszystkim. Dodał też, iż zarówno jego brat, jak i szwagierka na pewno będą chcieli mnie poznać.  
Mieliśmy wygodne pokoje w nieco staromodnym hotelu w pobliżu Piccadilly - polecił go nam wuj James, który zatrzymywał się tam podczas swoich krótkich wizyt w Londynie.  
Następnego dnia pojechałam szukać odpowiedniego domu, a mój ojciec stawił się w Ministerstwie Wojny.  
Znalazłam na Albemarle Street domek, który można było wynająć wraz z umeblowaniem, i zamierzałam pokazać go ojcu przy pierwszej sposobności.  
Po powrocie do hotelu papa wydawał się bardzo przejęty. Miał otrzymać jakieś odpowiedzialne stanowisko w Ministerstwie Wojny,

42

które, jak sądził, będzie wymagało wiele pracy. Obejrzał domek i postanowił, że go wynajmiemy i przeniesiemy się tam na początku następnego tygodnia. Byłam bardzo zajęta przez kilka dni, godząc służbę i przygotowując przeprowadzkę do naszego nowego lokum, które wynajęliśmy na trzy miesiące.  
- Tak więc będziemy mieli dość czasu, by poszukać jakiegoś prawdziwego domu, a jeśli go do tej pory nie znajdziemy, na pewno będziemy mogli pozostać tu trochę dłużej - powiedziałam.

- Prawdopodobnie potem będę potrzebował apartamentu dla kawalerów - odrzekł dość smutno mój ojciec - gdyż zamierzasz zamieszkać z kimś innym.

- Przygotowania do ślubu potrwać długo, więc pozostanę z tobą jeszcze jakiś czas. Zresztą będę często cię odwiedzała, Buckinghamshire nie leży zbyt daleko.

Uznałam owe poszukiwania za bardzo ekscytujące. Zawsze interesowałam się domami. Wydawało mi się, że mają własne osobowości. Jedne sprawiały wrażenie szczęśliwych, inne tajemniczych, jeszcze inne nieco groźnych. Papa wyśmiał te moje dziwaczne pomysły, ale ja naprawdę całkiem wyraźnie wyczuwałam panującą w różnych domostwach atmosferę. Cieszyłam się też, że nowe stanowisko w Ministerstwie Wojny sprawiało radość mojemu ojcu. Obawiałam się, iż po wielu latach czynnej służby w wojsku uzna posadę urzędnika za nudną i nieciekawą, jednak tak się nie stało. Praca pochłonęła go bez reszty i musiałam przyznać, że odwołanie go do Anglii było dobrym posunięciem. Czasami sprawiał wrażenie nieco zmęczonego, ale przecież nie był już młody, i uznałam to za zupełnie naturalne. Od czasu do czasu rozmyślałam o chorobie, która zaatakowała go w Indiach i o której mówił dość powściągliwie. Doszłam do wniosku, że rozmowa o tej dolegliwości może ojca denerwować, więc o niej nie wspominałam. Czuł się teraz dobrze i życie wydawało mi się zbyt podniecające, że bym chciała przyćmić jego blask. Dlatego przekonałam samą siebie, że nie ma żadnych powodów do niepokoju i że wszyscy będziemy szczęśliwi.

Zamieszkaliśmy w domku przy Albemarle Street, który uznałam za idealny; dwie wynajęte służące, Jane i Polly, okazały się bardzo dobrymi, chętnymi do pracy dziewczętami. Były siostrami i cieszyły się, że mogą pracować razem.

Ojciec zdecydował, że musi mieć powóz, by jeździć nim do Ministerstwa Wojny, kupił więc kocz i zatrudnił stangreta. Joe Tugg, dobiegający pięćdziesiątki wdowiec, cieszył się, że służy u nas, gdyż, jak często się chwalił, powoził dyliżansem pocztowym z Londynu do Bath przez dwadzieścia lat,

43

aż, wedle jego słów, „para zabrała mu pracę”. Chodziło mu o budowę kolei, co zrujnowało wielu dawnych woźniców. Nad stacją, na tyłach domu, znajdowały się dwa pokoje, które zajął Joe. Byliśmy bardzo zadowoleni z naszego nowego życia.

- Musimy zatrzymać ich wszystkich, kiedy znajdziemy dla nas prawdziwy dom - oświadczyłam, a ojciec zgodził się ze mną.

Otrzymałam list od szwagierki Aubreya, Amelii Saint Clare. Napisała, że z radością mnie zobaczy i pogratulowała mi zaręczyn. Jej mąż rzeczywiście jest bardzo chory, ale bardzo chce mnie poznać. Z powodu choroby męża nie prowadzą życia towarzyskiego w ścisłym znaczeniu tego słowa, ale pragną widzieć we mnie członka rodziny.

Był to ciepły i życzliwy list.

Aubrey napisał, że bardzo chce mnie zobaczyć i spotka się z nami na stacji.

Pewnego wieczoru, na dwa dni przed wizytą, ojciec wrócił do domu bardzo zaniepokojony.

- Chyba nie będę mógł pojechać - oświadczył. - Nie mogę opuścić ministerstwa. Muszę tam być... może przez cały weekend. Stało się coś bardzo ważnego w Indiach i moja gruntowna znajomość tego kraju sprawiła, że jestem niezbędnym w Londynie.

Poczułam się okropnie zawiedziona, a później powiedziałam:

- Mogę pojechać sama, ojczu. Jane i Polly zajmą się tobą. Ojciec spochmurniał.

- Och, przecież nie jestem dzieckiem - perswadowałam. - Jestem młodą kobietą, która dużo już podróżowała. A jeśli myślisz o przyzwotce, przecież jest tam pani Saint Clare.

Nadal się wahał.

- Pojadę tam, ojczu - powiedziałam stanowczo. - Ty, oczywiście, musisz zostać. Nie możesz opuścić swego stanowiska - zwłaszcza że dopiero co je otrzymałeś. Pojadę pierwsza, a może

później ty, papo, zdołasz wyrwać się z Londynu. Muszę pojechać. Przecież jestem zaręczona i mam wyjść za mąż.

- No cóż - odrzekł, ciągle się wahając. - Przypuszczam, że mogę wsadzić cię do pociągu.

Aubrey zaś może cię odebrać na miejscu.

- Na Boga! Mówisz, jakbym była paczką!

I stało się tak, że owego upalnego i parnego dnia pojechałam do Minster, rodowej siedziby Saint Clare'ów.

Ojciec, tak jak powiedział, „wsadził mnie” do wagonu pierwszej klasy i machając papie na pożegnanie, usiłowałam uspić dręczące mnie obawy. Niepokoił mnie stan jego zdrowia i owa tajemnicza choroba, na którą zapadł jakiś czas wcześniej.

44

Postanowiłam, że zmuszę go, by opowiedział mi wszystko, kiedy tylko wrócę do Londynu. W miarę jednak jak coraz bardziej zbliżałam się do celu podróży, ogarniało mnie rosnące podniecenie.

Aubrey stał na peronie, czekając na mnie.

Uśmiechnął się, podszedł spieszenie i wziął mnie za rękę.

- Witaj, Zuzanno. Cieszę się, że cię widzę. - Objął mnie ramieniem i zawołał tragarza, który stał obok, obserwując nas z zainteresowaniem. - Chodź tu, Bates. Bądź tak miły i włóż bagaże do powozu, dobrze?

- Tak, sir - odparł Bates, a Aubrey wyprowadził mnie ze stacji.

Gdy podeszliśmy do powozu, otworzyłam szerzej oczy ze zdumienia. Pojazd był wspaniały, w kolorze morwy, a ciągnęły go dwa siwki. Niewiele wiedziałam o koniach, ale zauważyłam, że te są naprawdę piękne.

Aubrey zauważył, że podziwiam jego ekwipaż.

- Jest taki wielki - powiedziałam.

- Pożyczyłem go od brata. Nie może teraz nim jeździć.

- Co z nim? - spytałam cicho.

- Jest bardzo, ale to bardzo chory.

- Może nie powinnam była przyjeżdżać - odrzekłam z wahaniem.

- Nonsens. Włóż je tam, Bates. Właśnie tak. Proszę, Zuzanno, niech pani zajmie miejsce z przodu. - Pomógł mi wsiąść, a potem usiadł przy mnie i wziął lejce.

- Proszę opowiedzieć mi o pańskim bracie - poleciłam.

- Biedny Stephen. Umierał przez ostatnie tygodnie. Lekarze sądzą, że nie pożyje dłużej niż trzy miesiące... a może odejść w każdej chwili.

- To bardzo przygnębiające.

- Teraz rozumie pani, dlaczego musiałem wrócić do domu. Amelia ogromnie chce panią poznać.

- Napisała do mnie niezwykle miły list - powiedziałam.

- Jest jej bardzo ciężko, biedaczce. - Westchnął.

- Przykro mi, że mój ojciec nie mógł przyjechać. Chyba rozumie pan dlaczego?

- Oczywiście, ale prawdę mówiąc, to właśnie panią chciałem zobaczyć. Mam nadzieję, że dom się pani spodoba. Powinna go pani polubić. Zamieszka pani w nim niebawem.

- Jestem taka podekscytowana - stwierdziłam.

- Do starych domów trzeba się przyzwyczaić. Dla nas, którzy w nich wyrosliśmy, są częścią rodziny.

45

- A przecież dość długo przebywał pan z dala od rodzinnego domu. Wiem, jak wiele pan podróżował. Kiedyś musi mi pan o tym wszystkim opowiedzieć.

- No cóż, teraz ten dom będzie mój. Wszystko wygląda inaczej, kiedy należy do kogoś innego. Och, to zawsze był mój prawdziwy dom, ale brat był w nim gospodarzem. Bałem się, że będę się czuł jak gość.

- Rozumiem.

- Myślę, że te mury panią zainteresują. Niewiele pozostało w nich z dawnych czasów. Pałac postawił mój przodek w XVI wieku, kiedy dużo budowano i przebudowywano dawne klasztory i opactwa. Tak naprawdę to budowla z czasów Tudorów, z późnych lat panowania Elżbiety I, i tylko fragmenty starych, zrujnowanych murów oraz jedna lub dwie przypory przypominają, co znajdowało się w tym miejscu przed Likwidacją\*.

\* Henryk VIII po zerwaniu przez Kościół angikański zależności od Rzymu (1534) w latach 1536-1540 zlikwidował klasztory i przejął ich dobra.

- Nie miałam pojęcia, że pański dom rodzinny ma tak fascynującą historię. Wyobrażałam sobie, że to po prostu stary pałac.

- No cóż, sama go pani zobaczy.

Dotarliśmy do równego odcinka drogi i konie ruszyły galopem. Zaskoczona, straciłam równowagę i całym ciałem uderzyłam w Aubreya, który wybuchnął śmiechem.

- Te siwki naprawdę potrafią gnać jak szalone - powiedział. - Pokażę pani kiedyś, na co je stać.

Roześmiałam się wesoło. Cieszyłam się, że mój narzeczonny siedzi przy mnie i że mogę myśleć o starym domu, w którym miałam zamieszkać. Zdumiało mnie mistrzostwo, z jakim Aubrey powoził końmi. Najwyraźniej bardzo to lubił.

Dotarliśmy do jakiegoś muru. Masywna żelazna brama stała otworem i wjechaliśmy na podjazd. Konie kłusowały teraz.

A potem ujrzałam rezydencję, o której tyle słyszałam. Zaparło mi dech w piersi, gdyż nie spodziewałam się, że jest taka wielka. Po obu stronach środkowej baszty z bramą wjazdową i żelazną broną wznosiły się wieże zakończone machikułami.

Aubrey spojrział na mnie, bardzo zadowolony z mojego podziwu.

- Jest wspaniały - wyjąkałam. - Jak mógł pan opuścić go na tak długo?

- Mówiłem pani. Nie wiedziałem, że będzie mój. Wjechaliśmy przez bramę na podwórze, gdzie pojawili się dwaj

stajenni. Aubrey rzucił lejce jednemu z nich, zeskoczył na ziemię, a potem pomógł mi wsiąść.

46

- To jest panna Pleydell, Jim - przedstawił mnie. Uśmiechnęłam się, a stojenny pochylił głowę w ukłonie.

- Każ zaraz wnieść bagaże - rozkazał Aubrey. Odwrócił się do mnie i biorąc mnie pod rękę, rzekł: - Chodźmy.

Poprowadził mnie z podwórza na czworokątny dziedziniec. Ściany porastały jakieś pnącza, a okna witrażowe z rombami wyglądały jak oczy spoglądające spod krzaczastych brwi. Stał tam stół z kilkoma krzesłami, na których leżały poduszki koloru płomieni; kilka donic z kwitnącymi krzewami dodawało kolorów temu miejscu. Było tu bardzo ładnie, a przecież poczułam się tak, jakbym cierpiała na klaustrofobię, jak gdyby mury zaciskały się wokół mnie.

Później dostrzegłam wejście do korytarza z pokrytym pleśnią sklepieniem; przeszliśmy tędy na większy dziedziniec. Zatrzymaliśmy się przed jakimiś drzwiami - ciężkimi, okutymi żelazem, z judaszem, który, jak przypuszczałam, można było odsunąć, żeby znajdujący się w środku mieszkańcy zamku mogli zobaczyć przybyszów stojących na zewnątrz, zanim ich wpuścili.

Aubrey pchnął drzwi, które otworzyły się z głośnym trzaskiem. Znaleźliśmy się w wysokiej sieni. Podniosłam oczy na podparty belkami wspornikowymi dach, a potem przeniosłam spojrzenie na wybielone ściany, na których wisiała broń i trofea myśliwskie; dwie kompletne zbroje stały po obu stronach sieni jak wartownicy pilnujący tego miejsca. Popatrzyłam ze zdumieniem na tarcze herbowe na oknach i zauważyłam, że na wszystkich znajdował się dobrze widoczny kwiat lilii.

Aubrey obserwował moją reakcję z niemal dziecinną radością, która bardzo mnie wzruszyła.

- To wszystko jest takie... ekscytujące - wyjąkałam.

- Widzę, że to miejsce wywarło na pani duże wrażenie. Działa tak na większość ludzi. A jednocześnie jest pani nieco zaniepokojona. Proszę się nie obawiać. To najstarsza część domu. Pozostawiliśmy ją taką, jaką jest. Mamy bardziej komfortowe pokoje, w których mieszkamy. Nie wątpię, że zgodzi się pani ze mną, iż choć chcemy zachować dawny wystrój zamku, znacznie lepiej jest zmodernizować trochę dom, przez co staje się wygodniejszy. O, tam jest Amelia. Amelio, chodź i przywitaj się z panną Zuzanną. Zuzanno, to jest Amelia, pani Saint Clare.

Szwagierka Aubrey'a zeszła ze schodów, które znajdowały się po przeciwnej stronie sieni. Była raczej elegancka niż piękna i wyglądała na trzydzieści parę lat. Upięła włosy do góry zapewne po to, żeby wydawać się wyższą, gdyż była niezbyt wysoka. A może pomyślałam tak dlatego, że znacznie przekraczałam średnią pod tym względem.

47

Spojrzała na mnie niebieskimi oczami w zamyśleniu. Oczywiście, było to całkiem naturalne. Sprawiała wrażenie miłej i uprzejmej pani domu. Ucisnęła mi rękę.

- Witamy w Minster - powiedziała. - Cieszę się, że pani przyjechała, chociaż pani ojciec nie mógł. Czy zechce pani od razu pójść do swojego pokoju? Prawdopodobnie pragnie pani odpocząć po podróży.

- Minster nie leży daleko od Londynu i wcale nie czuję się zmęczona. Ten wspaniały dom zrobił na mnie ogromne wrażenie. Nie miałam pojęcia, że będzie wyglądał... jak siedziba barona.

- Tak, jest fascynujący. Mój mąż uczynił z troski o ten dom i o rodzinny majątek... główny cel swego życia. - W jej głosie zabrzmiał ogromny smutek i ogarnęło mnie współczucie. - Proszę tędy - powiedziała. - Każę przynieść gorącą wodę na górę. Jestem pewna, że będzie pani chciała się umyć. Właśnie wnoszą tam pani bagaż.

Poszłam za nią po schodach. Na szczycie odwróciłam się, by spojrzeć za siebie. Aubrey patrzył na nas z dziwnym wyrazem twarzy, którego nie umiałam odgadnąć.

Doszliśmy do galerii, w której wisiały rzędem portrety przodków; na jej drugim krańcu znajdowało się podium, gdzie ustawiono fortepian.

- Nazywamy tę część „długą galerią”. Tuż nad nią jest solarium. Oba pokoje są nasłonecznione - wyjaśniła Amelia Saint Clare. Przeszliśmy przez pomieszczenie, weszliśmy po wąskich, spiralnych schodach i zatrzymałyśmy się w jakimś korytarzu. - Tutaj są główne sypialnie. Umieściłam panią w Zielonym Pokoju. Roztacza się stąd miły widok, podobnie jak z większości pokoi.

Zielony Pokój był duży, miał wysoki sklepiony sufit i okna wychodzące na podjazd. Stało tam łóżko z orzecha włoskiego z czterema kolumnkami podtrzymującymi zielony baldachim, zasłane jedwabną kapą identycznego koloru. Był też sekretarzyk z tego samego drewna, a siedzenia rzeźbionych krzeseł pokrywała tkanina, w której dominował zielony kolor.

- Jest piękny - powiedziałam.

- O, tutaj jest alkowa. Ach tak, już przyniesiono konew z gorącą wodą, a tutaj jest pani bagaż. Jedna ze służących pomoże pani się rozpakować.

- Mogę sama to zrobić - odparłam. - Nie przywiozłam wiele rzeczy.

- Mam nadzieję, że będzie pani tu wygodnie. - Zawahała się nieco. - Mój mąż bardzo pragnie panią zobaczyć.

48

- Ja również chcę go poznać - zapewniłam ją.

- Jest bardzo chory.

- Tak, wiem - odrzekłam. Wargi Amelii zdrząły.

- No, cóż - powiedziała, próbując udawać wesołość - zostawię panią tutaj. Kiedy będzie pani gotowa, proszę pociągnąć za sznur dzwonka. Przyjdę po panią... a może zrobi to któraś ze służących.

- To miło z pani strony - odrzekłam.

Odeszła. Ogarnęło mnie miłe podniecenie. Wyobraziłam sobie, że mieszkam w tym domu... że jestem jego panią. A potem pomyślałam o Amelii, która wciąż jeszcze zajmowała tę pozycję, i zapytałam się w duchu czy uważa mnie za uzurpatorkę.

Spodobała mi się, gdyż powitała mnie serdecznie, szczerze, jak się wydawało, i sprawiała wrażenie, że bardzo kocha swojego męża.

Umyłam się szybko, rozpakowałam walizkę i włożyłam lekką, popołudniową suknię. Później zadzwoniłam.

Pojawiła się jakaś służąca. Była młoda i, jak wywnioskowałam z wyrazu jej twarzy, bardzo wścibska; nie mogła oderwać ode mnie oczu. Zapytałam ją, jak ma na imię, i odrzekła, że Emily. Powiedziałam, że chciałabym pójść do państwa Saint Clare'ów.

- Oczywiście, panienko - odrzekła. - Chce panienka, żebym rozpakowała rzeczy panienki?

Powiedziałam, że już to zrobiłam, i na twarzy dziewczyny odmalował się zawód.

Przypuszczałam, iż chciała opisać reszcie służby moje stroje.

- Po prostu pokaż mi drogę, proszę, Emily - powiedziałam.

- O, tak, panienko. Herbatę podano w salonie zimowym, panienko. Jeśli panienka zechce pójść za mną...

Zeszliśmy po spiralnych schodach, a następnie po jeszcze jednych. Emily zapukała do drzwi jakiegoś pokoju i otworzyła je. Weszłam do środka. Amelia siedziała przy stoliku, na którym stała taca z herbatą. Aubrey wstał na mój widok.

Salon spodobał mi się - jak wszystkie zamkowe pomieszczenia miał wysoki sufit, na ścianach wisiały gobeliny, a na siedzeniach krzesel leżały wyszywane nakrycia. Był naprawdę przytulny.

- Szybko się pani uwinęła - powiedział Aubrey. - Mam nadzieję, że uznała pani salon za ładny.

- Jest więcej niż ładny. Jest wspaniały. Nie sądzę, żebym kiedykolwiek przyzwyczaiła się do życia w takim domu.

- A jednak będzie musiała pani to zrobić - odparł.

- Jaką woli pani herbatę? - spytała Amelia. - Mocną? Słabą? Ze śmietanką? Z cukrem?

49

Powiedziałam jej i podała mi filiżankę. Później dodała:

- Po herbacie musi pani zobaczyć się ze Stephenem. Usłyszał o pani przyjeździe i bardzo pragnie zobaczyć się z panią.

- Będę zachwycona. Czy leży w łóżku? - spytałam.

- W tej chwili tak. Czasami wstaje i siedzi w fotelu przy oknie. Teraz ma jeden z dobrych dni.

- Jestem gotowa, kiedy to tylko będzie mu odpowiadało - zapewniłam ją.

- Kucharka upiekła te ciastka specjalnie dla pani. Musi więc pani ich skosztować. Jest zła, jeśli nie docenia się jej wysiłków - zachęciła mnie Amelia.

- Dziękuję. Wyglądają na smaczne.

- Chciałbym oprowadzić panią po domu - wtrącił Aubrey.  
- Bardzo chcę go zobaczyć - odrzekłam i zerknęłam przez okno na zewnątrz.  
- To są stajnie - wyjaśnił Aubrey.  
- Wyglądają na dość duże.  
- Mój ojciec miał dobrą stadninę, Stephen również. Jesteśmy rodziną koniarzy.  
- Lubi pani jeździć konno? - spytała Amelia.  
- Niewiele dotąd jeździłam. W Indiach miałam wprawdzie kucyka, ale potem, kiedy wyjechałam do szkoły, niewiele miałam okazji. Weekendy i święta spędzałam na wsi u krewnych i wtedy trochę więcej jeździłam. Lubię konną jazdę, lecz nigdy nie nazwałabym się amazonką.  
- Wkrótce temu zaradzimy - oświadczył Aubrey. - Będzie tu pani potrzebowała konia. Minster leży na uboczu.  
- Miasteczko położone jest w odległości około trzech kilometrów od nas - dodała Amelia - i tak naprawdę to tylko mała osada.  
Zapytała mnie o Indie. Opowiedziałam jej o moim dzieciństwie i o tęsknocie pożerającej mnie podczas wolnych od nauki dni, które spędzałam na plebanii mojego wuja.  
- Przez cały czas, kiedy byłam w szkole, patrzyłam na Indie przez różowe okulary, a potem, gdy wróciłam...  
- Zdjęła pani te okulary - dokończyła za mnie Amelia - i ujrzała wszystko w zimnym, dziennym świetle.  
- Lecz kiedy mnie spotkała, znów je włożyła - wtrącił Aubrey. Na twarzy jego szwagierki odbiło się lekkie zaskoczenie, ale Aubrey wybuchnął śmiechem.  
Po wypiciu herbaty Amelia powiedziała, że sprawdzi, jak się czuje Stephen i że jeśli nie śpi, to na pewno będzie to odpowiednia pora na moje spotkanie z nim.

50

Opuściła nas na kilka chwil. Aubrey siedział nieruchomo, przyglądając mi się uważnie.  
- To tragiczna sytuacja dla pani Amelii - przerwałam milczenie.  
- Musi bardzo martwić się o męża.  
- Stephen choruje już od jakiegoś czasu. Amelia od tygodni wie, że jej mąż długo nie pożyje.  
- Jest bardzo dzielna.  
Aubrey milczał chwilę, a potem rzekł:  
- Myśli pani, że polubi ten dom?  
- T... tak, myślę, że tak - wyjąkałam.  
- Waha się pani.  
- W tym momencie wydaje mi się trochę dziwny. Może obcy.  
- Obcy! Co chce pani przez to powiedzieć? - zdumiał się Aubrey.  
- Powiedział pan przecież, że domy są częścią rodziny. Rodziny często nie lubią przybyszów. A ja właśnie będę kimś takim.  
- Nonsens. Czy uważa pani, że Amelia jest pani przeciwna?  
- Nie, na pewno nie - powiedziałam z przekonaniem.  
- A brama? Brona? Salon zimowy? One panią odtrącają? - ciągnął.  
- No cóż, ich widok bardzo mnie zaskoczył. Nie wyobrażałam sobie, że ten dom jest taki stary. Niedostatecznie mnie pan na to przygotował.  
- Nie chciałem przesadnie go wychwalać i sprawić pani zawodu - wyjaśnił.  
- Jakby to było możliwe! - zaprzeczyłam gorąco. Drzwi się otworzyły.  
- Stephen nie śpi - odezwała się Amelia. - Bardzo chcę panią zobaczyć.  
- A więc chodźmy do niego - odrzekł Aubrey.

Stephen Saint Clare siedział wsparty na poduszkach w wielkim łożu z baldachimem, którego zasłony ozdobił haft richelieu. Wyglądał na bardzo chorego. Miał żółtawoszarą twarz i zapadnięte ciemne oczy; jego wychudzone ręce spoczywały na kapie.

- To jest panna Zuzanna, Stephenie - przedstawił mnie Aubrey. Chory spojrzał na mnie z zainteresowaniem.

- Bardzo się cieszę, że panią widzę - powiedział.

- A ja pana - odrzekłam.

Amelia postawiła krzesło obok łóżka i usiadłam na nim. Ona wraz z Aubreyem zajęli krzesła stojące nieco dalej.

Wyjaśniła, że zostaną z nimi przez tydzień, a potem wrócę do Londynu, by poczynić przygotowania do ślubu.

51

- Myślę, że takie właśnie ma pani zamiary, prawda? - spytała na koniec.

Przytaknęłam.

- O ile dobrze rozumiem, ceremonia odbędzie się w pani domu - odezwał się Stephen.

- Rozmawiałam o tym z moim ojcem - odrzekłam. - Uznaliśmy, że powinien się odbyć na plebanii mojego wuja. Wuj chciałby udzielić nam ślubu, a ja spędziłam tam niemal połowę mojego dzieciństwa. - Uśmiechnęłam się do Aubreya. - Jeszcze nie rozmawialiśmy wiele o tych sprawach.

- Mam nadzieję, że nie będziecie zbyt długo odwlekać ślubu - powiedział Stephen.

- Nie ma powodu do jakiegokolwiek zwłoki - Aubrey uśmiechnął się do mnie i dodał: - Mam nadzieję.

Jego brat skinął głową.

- Ja sam niewiele mogłem tu zrobić od jakiegoś czasu, prawda, Amelio? - spytał.

- Nie, ale mamy dobrego zarządcę. Wszystko działa, jak należy. A teraz, kiedy Aubrey jest w domu...

- Amelia bardzo mi pomagała - wtrącił Stephen. - Tak jak pani będzie później pomagać Aubreyowi.

- Zrobię, co tylko będę mogła - obiecałam.

Chory skinął głową. Amelia spojrzała na męża z niepokojem.

- Myślę, że chce ci się spać, Stephenie - powiedziała. - Będziesz miał dość czasu, by zobaczyć się z Zuzanną, zanim stąd odjedzie. Mogę nazywać panią Zuzanną, prawda?

- Oczywiście.

- A ty będziesz nazywała nas Amelią i Stephenem. Przecież staniesz się członkiem naszej rodziny. Stephenie, Zuzanna przyjdzie do ciebie jutro.

Jej mąż skinął głową; oczy miał przymknięte. Amelia wstała, a ja zrobiłam to samo.

Nachyliłam się nad łożem i powiedziałam:

- Wkrótce do ciebie przyjdę.

Chory otworzył oczy i uśmiechnął się do mnie. Kiedy wyszliśmy z pokoju Stephena, Amelia cicho zamknęła drzwi.

- Jest dzisiaj słaby - przerwał milczenie Aubrey.

- Wiem, ale chciał poznać Zuzannę.

Aubrey zaproponował, że oprowadzi mnie po ogrodach i pokaże mi stajnie.

Amelia zostawiła nas i wyszliśmy na dziedziniec.

52

W następnych dniach zaznajomiłam się z posiadłością Saint Clare'ów i jej mieszkańcami. Czułam, że poznaję mego narzeczonego lepiej niż kiedykolwiek dotąd. Ludzie często wydają się inni w swoim rodzinnym gnieździe. Zdumiewał mnie jego entuzjizm dla Minster. W



Indiach Aubrey wydawał się kimś w rodzaju koczownika i może nieco cynicznym światowcem. A teraz sprawiał wrażenie niemal zupełnie innego człowieka. Dostrzegłam pewne cechy jego charakteru, na które wcześniej nie zwracałam uwagi. Uznałam, że owa gorąca miłość do rodzinnego domu rozwinęła się dlatego, że wkrótce miał się stać własnością Aubreya - i to już niedługo, gdyż jego brat bez wątpienia był bardzo chory. Kochał konie. Zachwycał się stadniną; z dumą podkreślał zalety minsterskich wierzchowców. Miał w sobie coś lekkomyślnego, co ujawniało się, kiedy powoził. Uwielbiał kierować wspaniałymi siwkami i pozwalał im galopować z przerażającą prędkością, tak że pewnego razu, kiedy jechałam razem z nim, omal nie wypadłam z powozu - im szybciej mknęły, tym bardziej mu się to podobało. Pomyślałam, że to trochę niebezpieczne i powiedziałam mu to.

- Nie ze mną - oświadczył z dumą. - Kontroluję je całkowicie. Wydawało się, że kocha niebezpieczeństwo dla niego samego.

Gdyby nie był takim wspaniałym woźnicą, bałabym się o niego. Dość naiwnie pysznił się własnymi umiejętnościami i wydawał się bardziej bezbronny niż przedtem. Spodobało mi się to.

Wstawszy z łóżka, każdego dnia podchodziłam do okna, spoglądałam na podjazd i mówiłam sobie w duchu:

- Ten wielki dom będzie kiedyś mój. Czy będę w nim szczęśliwa? Stara rezydencja fascynowała mnie. Codziennie odkrywałam jej nowe sekrety; a przecież miała w sobie coś odpychającego. Przypuszczałam, że tak się mają rzeczy z większością starych domów. Przeszłość była zbyt blisko; wydawało się, że została uwięziona w ścianach i bez przerwy wdziera się do teraźniejszości. Uznałam, iż ponosi mnie wyobraźnia. Żałowałam, że ojciec nie przyjechał tu razem ze mną. Na pewno wyśmiałyby moje wymysły.

Amelia - z łatwością tak o niej myślałam, ponieważ traktowała mnie bardzo ciepło i przyjaźnie - pokazała mi dom: sypialnie, solarium z wygodnymi kanapami, fotelami i podłużnymi lustrami, oknami oraz alkowami - w jednej z nich stał stary kołowrotek. Zaprowadziła mnie też do długiej galerii z rzędem portretów i nawet do kuchni, gdzie przedstawiła mi kucharkę - nie zapomniałam pogratulować jej wspaniałych umiejętności kulinarnych - i na podwórzu kuchenne, gdzie znajdowały się żarna, których nadal używano do mielenia ziarna i grochu.

53

Wydawało mi się, że z każdym dniem coraz bardziej zaprzyjaźniam się z Amelią.

Wyczuwałam dręczący moją przyszłą szwagierkę smutek i pragnęłam ją pocieszyć. Kochała męża - najwidoczniej byli ze sobą szczęśliwi - a już wkrótce miała go utracić. Bardzo interesował ją sam dom; pokazała mi pewne ulepszenia, które poczyniła; opowiedziała mi, jak trzeba było naprawić dach i jak z wielkim trudem znaleźli wodoszczelne średniowieczne dachówki; wskazała wybrane przez siebie meble do tych sypialni, których wyposażenie było zbyt zniszczone, aby je zatrzymać. Kochała ten dom i miała go utracić wraz z mężem. Pomyślałam jednak, że może tu zostanie. Przecież duże rodziny zazwyczaj mieszkają w rodowych siedzibach; a Amelia była panią tej wspaniałej rezydencji, więc Minster na zawsze pozostanie jej prawdziwym domem.

Miałam jednak pewne wątpliwości. Mówienie o tym byłoby niedelikatne. Nie poruszyłam też tego tematu z Aubreyem. Była to jedna z takich sytuacji, które muszą rozwiązać się same. Objechałam wraz z Aubreyem całą posiadłość. Miałam trochę obaw, że się okaże, iż nie umiem dobrze jeździć konno, ale bardzo na mnie uważał. Przez cały czas trzymał się obok, a gdy galopowaliśmy, nie odrywał ode mnie oczu, tak że czułam, że mam dobrą opiekę. Kiedy jednak jechałam z nim powozem, zachowywał się wyjątkowo lekkomyślnie - tak bardzo chciał mi pokazać swoje umiejętności; i na pewno miał się czym pochwalić. Konie reagowały

na jego najłżejsze dotknięcie. Pałam coraz większą miłością do Aubreya. Kochałam go coraz bardziej dla jego próżności i obsesyjnego umiłowania rodzinnego domu. Czułam teraz, jak nigdy przedtem, że jestem mu potrzebna, że powinnam się o niego troszczyć i było to bardzo miłe uczucie.

Wydano jedną lub dwie uroczyste kolacje na moją cześć - niezbyt okazałe, gdyż, jak powiedział Aubrey, nie można było urządzać w Minster przyjęć teraz, kiedy Stephen tak podupadł na zdrowiu - zaproszono zatem tylko kilku sąsiadów i bliskich przyjaciół rodziny, by mnie im przedstawić. Poznałam rodziców Amelii, sir Henry'ego i lady Carberrych, którzy wracali do swego domu w Londynie po odwiedzinach u przyjaciół na wsi. Pojawili się właśnie wtedy, gdy mieliśmy zjeść lunch. Uznałam, że są czarujący; towarzyszyła im młoda kobieta, którą przedstawiono mi jako czcigodną\* Henriettę Marlinton.

\* Czcigodna - niemający odpowiednika w dawnej Polsce tytuł przysługujący angielskiej niższej szlachcie.

Była córką ich starych przyjaciół, gościła przez jakiś czas u rodziny, którą odwiedzili, i jechała razem z nimi do Londynu, gdzie miała na krótko u nich pozostać.

54

Wywarła na mnie wielkie wrażenie; niezwykle atrakcyjna, zawdzięczała to bardziej swojej witalności niż niepospolitej przeciw urodzie. Wiele opowiadała o nadchodzącym londyńskim sezonie towarzyskim, rozbawiła nas opisem ceremonii, podczas której przedstawiono ją królowej Wiktorii w Królewskim Salonie - i uroczystego oczekiwania w kolejce, z trenem sukni przewieszonym przez ramię, aż do magicznego momentu, kiedy weszła do komnaty, a tren rozpostarł się z tyłu w całej okazałości. Monarchini obrzuciła ją przenikliwym spojrzeniem i podała rękę do pocałowania, jak gdyby oceniała młodą pannę i odkryła w niej jakieś wady.

- Mówi się, że królowa jest bardzo spostrzegawcza - dodała Henrietta.

Rodzice Amelii najwyraźniej bardzo ją lubili i mogłam to zrozumieć. Żałowałam, że pozostali w Minster tak krótko.

Cieszyłam się z pogawędek z Amelią, kiedy byłyśmy tylko we dwie, co zdarzało się dość często, ponieważ Aubrey, który bardzo długo podróżował po świecie, musiał się dowiedzieć tak wielu rzeczy o rodowej posiadłości, że przeważnie spędzał większą część poranka z zarządcą majątku.

Pewnego dnia Amelia nawiązała ze mną bardziej szczerą rozmowę niż kiedykolwiek przedtem.

- Nie wiem, jak będę mogła żyć bez Stephena - powiedziała.

- Może wyzdrowieje - pocieszyłam ją dość kłamliwie, gdyż wiedziałam, że tak się nie stanie.

- Nie - odrzekła smutno. - To niemożliwe. Jeszcze miesiąc temu miałam nadzieję, że może wróci do zdrowia. Bywało, że zachowywał się niemal tak jak dawniej. W rzeczywistości jednak czuł się coraz gorzej. Zawsze dużo ze mną rozmawiał o posiadłości. Dopiero ostatnio zdał sobie sprawę, że młodszy brat odziedziczy po nim Minster. Aubrey aż do tej pory nie okazywał żadnego zainteresowania majątkiem.

- Teraz na pewno bardzo się nim interesuje - zauważyłam.

- Tak, zmienił się. Przypuszczam, że to dlatego, iż wie, że wkrótce Minster stanie się jego własnością. My... Stephen i ja... zawsze mieliśmy nadzieję, że urodzą się nam dzieci.

Milczałyśmy kilka chwil, a potem Amelia wyznała:

- Och, Zuzanno, nie umiem ci powiedzieć, jak bardzo pragnęłam mieć dzieci. Stephen również. Zawiodłam go tylko w tej jednej jedynej sprawie.

- Nie możesz siebie winić za zrzędzenie losu - pocieszyłam ją.

- Zrobiłabym wszystko. Poroniłam trzy razy.

55

- Och, tak mi przykro - powiedziałam ze szczerym współczuciem.  
- Za pierwszym razem... myślę, że to była moja wina. Za cztery miesiące miałam urodzić dziecko. Wybrałam się na konną przejażdżkę i straciłam je. Tak bardzo lubiłam jeździć konno. Jeździliśmy wszędzie oboje. To było wówczas prawdziwe szaleństwo. Tak się stało z pierwszym. Czasami, kiedy coś takiego się zacznie, ciągnie się dalej.  
- Jakie to smutne - szepnęłam.  
- Tak bardzo uważałam następnym razem. Ale po dwóch miesiącach straciłam drugie dziecko. Podobnie zdarzyło się z trzecim.  
- To musiało być straszne.  
- To był dla nas potworny cios, zwłaszcza dla mnie. Czułam, że sprawiłam Stephenowi ciężki zawód. Rozpaczliwie pragnął dziecka... syna, któremu mógłby przekazać całą swoją wiedzę o Minster i który by po nim odziedziczył majątek.  
- Doskonale cię rozumiem - powiedziałam cicho.  
- No cóż, takie jest życie. Nic nie można na to poradzić.  
- Ja też tak sądzę - zgodziłam się z nią.  
- Wybacz mi mój wybuch - przeprosiła. - Ale wydajesz się taka sympatyczna. Nie wątpię, że będziesz bardzo dobra dla Aubreya. On potrzebuje kogoś takiego jak ty.  
- Och, myślę, że jest zdolny stanąć na własnych nogach.  
Nie odpowiedziała. Po prostu miała nieskończenie smutną minę - przypuszczałam, że myślała o utraconych dzieciach.  
Pewnego dnia znalazłam się sam na sam ze Stephenem. Aubrey wybrał się na jedną z farm na terenie posiadłości. Byłam w swoim pokoju, kiedy przyszła do mnie Amelia i powiedziała, iż jej mąż chce się ze mną zobaczyć.  
Zesłam do jego pokoju. Chory siedział w fotelu, otulony kocami. Wyglądał jeszcze gorzej niż wtedy, gdy leżał na łóżku.  
Usiadłam obok niego, a potem ucieliśmy sobie pogawędkę. Amelia pozostawiła nas na krótko samych.  
- Cieszę się, że wychodzisz za Aubreya - powiedział do mnie Stephen.  
- A ja bardzo się cieszę, że tak myślisz. Wiele rodzin nie znosi przybyszów. Kiedy spotkałam Aubreya, nie miałam pojęcia, że wychował się w takim domu.  
Stephen skinął głową.  
- To wielka odpowiedzialność. Teraz to od niego zależy przyszłość rodziny. Można to porównać do łańcucha wykutego przez wieki.

56

Nikt nie lubi myśleć, że zostanie rozerwany. Gdybym miał syna... - Pokiwał głową ze smutkiem i przypomniałam sobie to, co opowiedziała mi Amelia. - Ale teraz... cieszę się, że tu jesteś. Aubrey potrzebuje kogoś... poważnego, zrównoważonego... kogoś, kto będzie się o niego troszczył i uniemożliwi mu... - Urwał. Chyba zamierzał powiedzieć coś ważnego, ale zmienił zamiar. Poklepał mnie po ręce i ciągnął dalej: - Odkąd cię spotkałem, jestem pewny... że jesteś odpowiednią kandydatką na jego żonę.  
- Dziękuję.  
- Będziesz silna. On potrzebuje twojej siły. Widzisz... Utkwiłam w nim wzrok, ale milczał.  
- Tak... mówiłeś, że... - ponagliłam go.  
Zapadnięte oczy chorego zdawały się czytać w mojej twarzy. Próbował coś mi powiedzieć. A może usiłował podjąć decyzję, czy zrobić to, czy nie. Obudził we mnie ciekawość. Byłam pewna, że zamierzał wyjawić mi coś, o czym powinnam wiedzieć. I że dotyczyło to Aubreya. Później osunął się w fotelu i zamknął oczy. Amelia weszła do pokoju.  
Napiliśmy się razem herbaty.

Zastanawiałam się, co też Stephen zamierzał mi powiedzieć.

Było późne popołudnie. Ciemne chmury zasłoniły niebo i pomyślałam, że przed wieczorem nadejdzie burza. Stałam w długiej galerii, przyglądając się portretom. Zauważyłam, jak bardzo Aubrey jest podobny do niektórych ze swoich przodków. Zbadałam wzrokiem ich twarze: jedne były zamyślane, drugie wesole, jeszcze inne poważne; i wszyscy oni zdawali się spoglądać z ram, oceniając mnie!

Było to niesamowite uczucie. Tkwiłam tam, a wokół robiło się coraz ciemniej. Przebywając w rezydencji Saint Clare'ów, chwilami wyobrażałam sobie, że ktoś mnie obserwuje, że niewidoczne postacie z przeszłości są w pobliżu - oglądają uważnie tę zuchwałą dziewczynę, która zamierzała wtargnąć do ich rodziny.

Był tam pewien portret, który szczególnie mnie zainteresował, może dlatego, że twarz owego mężczyzny przypominała mi Aubreya. Odprowadzał mnie wzrokiem, w którąkolwiek stronę szłam, i wyraz jego twarzy zdawał się zmieniać, gdy nań patrzyłam. Wyobraziłam sobie, że krzywi wargi z rozbawienia, ponieważ wie, iż jednocześnie mnie pociąga i budzi we mnie odrazę. Białe loki peruki sięgały mu niemal do ramion, głowę okrywał kapelusz o szerokim skrzydle, który miał w sobie coś żołnierskiego. Mężczyzna nosił aksamitny surdut koloru moreli, wcięty w pasie;

57

kamizelka pod nim była wymyślnie haftowana i niemal równie długa jak surdut. Przylegała ściśle w talii, a niżej nagle się rozszerzała. Guziki wyglądały jak drogie kamienie. Sięgające kolan spodnie były spięte na dole ozdobnymi klamerkami. Nogi miał kształtne i klamerki na butach pasowały do tych na kolanach. To był bardzo elegancki dżentelmen.

-Witaj!

Drgnęłam z zaskoczenia; byłam w takim nastroju, że przez chwilę myślałam, iż przemówił dandys z portretu. Odwróciłam się błyskawicznie. Aubrey musiał podejść bardzo cicho, a ja byłam tak pochłonięta oglądaniem wizerunku jego przodka, że nie usłyszałam kroków mego narzeczonego. Wziął mnie pod rękę.

- Tak myślałem, że zafascynował cię Harry Saint Clare - powiedział. - Jestem pewny, że nie byłabyś pierwsza.

- Więc to jest Harry Saint Clare? To twój daleki kuzyn? Ten portret musiał zostać namalowany jakieś sto lat temu.

- To prawda. Kapelusz go zdradza. Nazywa się dettingen... od miejsca bitwy\*.

\* Anglia włączyła się do tak zwanej austriackiej wojny sukcesyjnej (1740-1748) po stronie późniejszej cesarzowej Marii Teresy. W roku 1743 korpus brytyjski stoczył bitwę z wojskami francuskimi w pobliżu miejscowości Dettingen w Niemczech.

Powinnaś znać tę datę. Było to w latach czterdziestych XVIII wieku, jak sądzę.

-Tak.

- Po bitwie te kapelusze stały się bardzo modne. A można być pewnym, że Harry zawsze ubierał się wedle ostatniej mody.

- Znasz historię wszystkich swoich przodków? - spytałam z zainteresowaniem.

- Tylko tych, którzy czymś się odznaczyli jak Harry.

- Jak on się odznaczył? Pod Dettingen?

- Ależ skąd! Był na to za sprytny. Harry był hulaką. Diabłem wcielonym. Wplątał się w jakieś niesamowite skandale i ściągnął na siebie gniew swego ojca, dziadka i całej rodziny.

- Co takiego zrobił? - pytałam dalej.

- Nic dobrego. Jeżeli komuś splątano jakiś figiel, Harry maczał w tym palce. Omal nie przepuścił rodzowego majątku. Umarł młodo i mówiono, że porwał go diabeł. Myślę, że teraz świetnie się bawi w piekle. To jest właśnie to, co by mu odpowiadało.

- Chyba go lubisz - zauważyłam.

- No cóż, czyż łajdacy nie są zawsze bardziej interesujący niż święci? Nie znaczy to, że mieliśmy wielu takich w rodzinie. Harry należał do jednego z Klubów Ognia Piekielnego,  
58

które były modne w tamtych czasach wśród leniwych, rozpróznionych młodzieńców mających skłonności do rozwiązłości i dostatecznie dużo pieniędzy, by się jej oddawać.

- Co takiego zrobił? - zapytałam.

- Samo zło. Parał się czarną magią, czcił diabła. Ogólnie mówiąc, oddawał się niemoralnym czynom. Był członkiem klubu sir Francisa Dashwooda w Medmenham w pobliżu West Wycombe. Dashwood zbudował dom w kształcie klasztoru i tam członkowie jego klubu czcili diabła. Czarne msze... deprawacja... orgie. Nie możesz sobie nawet wyobrazić, co wyrabiali. - Oczywiście Aubreya załśniła z podniecenia. - Harry'emu to nie wystarczało. Istnieje opowieść o tym, że założył własny klub i posunął się dalej niż Dashwood.

- Jego portret namalował jakiś bardzo zdolny artysta - zauważyłam. - Kiedy się patrzy na Harry'ego, ma się wrażenie, że ożywa.

- Wyczuwasz jego charakter. Sama widzisz, że nie był to zwyczajny człowiek, prawda? A teraz spójrz na Josepha Saint Clare'a z jego córką Charity. Żyli sto lat przed Harrym. To cnotliwi Saint Clare'owie. Czy jednak nie uważasz Harry'ego za bardziej interesującego?

- Myślę, że jego portret jest lepiej namalowany.

- Nie oszukuj się, to Harry patrzy na ciebie. Zastanawia się, w jaki sposób skusić cię do jakichś szaleństw. Chciałby zrobić z ciebie członkinię jego Klubu Ognia Piekielnego.

- Jaki tu mrok. Chyba nagle się ściemniło.

Zapalił jedną z lamp umieszczonych na stojącej w pobliżu konsoli z lustrem. Podniósł lampę. Harry Saint Clare wyglądał w jej blasku złowieszczo.

Aubrey wybuchnął śmiechem. Kiedy odwróciłam się i spojrzałam na niego, pomyślałam, że z tym błyskiem w oczach bardzo przypomina swego złego przodka.

Zadrzałam i właśnie wtedy dał się słyszeć daleki pogłos grzmotu. Aubrey objął mnie ramieniem i przez kilka chwil patrzyliśmy na portret.

Później postawił lampę na stole, wziął mnie w ramiona i pocałował namiętnie i władczo. Nigdy dotąd nie obejmował mnie w taki sposób.

Ogarnął mnie lekki niepokój. Spojrzałam przez ramię. Wydało mi się, że Harry Saint Clare śmieje się ze mnie.

Tego wieczoru po kolacji Amelia wyjawiała nam zdumiewającą nowinę.

Zjedliśmy kolację w salonie zimowym, a podawano ją tam, kiedy było nas tylko troje.

Wywnioskowałam, że głównej jadalni używano tylko wtedy,

59

gdy przyjmowano więcej gości, gdyż była za duża dla takiej garstki.

Za salonem zimowym znajdował się niewielki pokój, urządzonej jak wygodna bawialnia, i tam się udaliśmy, by wypić kawę.

Podczas posiłku Amelia była roztargniona i sprawiała wrażenie zdenerwowanej. Potem jakby zebrła się w sobie i powiedziała:

- Pragnę wam coś oznajmić. Nie chciałam o tym wspominać, póki nie miałam absolutnej pewności. Będę miała dziecko.

Zapadła głęboka cisza. Nie patrzyłam na Aubreya, ale wyczuwałam jego napięcie. Amelia ciągnęła:

- Oczywiście... to całkowicie zmienia sytuację. Stephen jest taki zadowolony. Myślę, że bardzo mu to pomogło.

- Moje gratulacje! - zawołałam. - Musisz bardzo się cieszyć. Przecież tego właśnie zawsze pragnęłaś.

Odwróciła się do mnie i dodała niemal z wdzięcznością:

- Początkowo nie mogłam uwierzyć i myślałam, że mi się tylko wydaje. Nie chciałam nic mówić, póki nie nabrałam absolutnej pewności. Ale teraz lekarz to potwierdził.

Podeszłam i objęłam ją serdecznie. Cieszyłam się z radości Amelii. Bardzo mnie wzruszyła, opowiadając o swojej chęci posiadania dzieci i o ich utracie. Jednocześnie odgadłam, co musi teraz czuć mój narzeczony. Od samego początku mego pobytu w rodzimym majątku Saint Clare'ów miałam wrażenie, że Aubreya ogarnęła obsesja na punkcie Minster, ponieważ uwierzył, iż posiadłość będzie do niego należała. Zastanowiłam się, o czym teraz myślał. Przez kilka chwil wydawał się zbyt oszołomiony, żeby coś powiedzieć.

Spojrzałam na niego wyczekująco, wreszcie przemówił, jak się zdawało, z wielkim wysiłkiem:

- No cóż, muszę dołączyć się do gratulacji Zuzanny. Kiedy?...

- To dopiero dwa miesiące... Chciałam mieć absolutną pewność, zanim o tym wspomniałam. Oczywiście, do porodu jest jeszcze bardzo daleko. Tym razem postanowiłam zachować wszelkie możliwe środki ostrożności. To prawdziwy cud. Po tylu zawodach... i kiedy Stephen jest w takim stanie... Będę miała dla kogo żyć. Nie umiem wam powiedzieć, co czuję... ale, oczywiście, to oznacza dla was pewne zmiany...

- Tak, istotnie - odparł mój narzeczony z przekąsem.

- Rozumiem - wykrztusiła jego szwagierka. - Jest mi przykro... z pewnego względu... a przecież trudno mi to powiedzieć, ponieważ wszystko jest możliwe... Pragnę tego dziecka... Widziałam, jak Aubrey walczy ze sobą.

60

- Należałoby wypić za szczęśliwe rozwiązanie - zaproponowałam.

- Nie powinnam pić żadnego alkoholu - zaprotestowała Amelia. - Zamierzam być bardzo ostrożna.

- W takim razie my wypijemy, Zuzanna i ja - odrzekł mój narzeczony - za szczęśliwe rozwiązanie.

Amelia nie umiała mówić o niczym innym.

- To prawdziwy cud - powtarzała. - Jak gdyby ktoś mi wynagrodził przyszłą stratę męża.

- Myślę, że los często nas wynagradza - zgodziłam się z nią.

- To musiało się stać tuż przed czasem, kiedy Stephen tak ciężko zachorował, gdyż zdarzały się dni, że czuł się zupełnie jak dawniej. Dopiero ostatnio tak podupadł na zdrowiu.

- Cieszę się razem z tobą, Amelio.

- Wiedziałam, że tak to odbierzesz. Inaczej Aubrey. Widzisz, to jego rodzinny dom. Wiem, co teraz czuje... ale Stephen jest taki szczęśliwy, że jego syn będzie następnym panem na Minster... albo jego córka panią.

Amelia oświadczyła, że będzie uważała na każdym kroku. Będzie się radziła lekarza i pod każdym względem kierowała jego wskazówkami. Nie dopuści do następnego poronienia.

Kiedy zostaliśmy sami, Aubrey dał wyraz swemu niezadowoleniu. Był rozgoryczony.

- I pomyśleć, że musiało do tego dojść! Wierzysz, że Stephen mógł spłodzić dziecko?

- Zrobił to. Amelia mówi, że były takie dni, kiedy czuł się zupełnie dobrze. Dopiero w ostatnim miesiącu tak się rozchorował.

- Musiała to powiedzieć, czyż nie tak?

- Co chcesz zasugerować... że to nie jest dziecko Stephena? Och, Aubreyu!

- Dlaczego nie? Znalazła się w rozpaczliwej sytuacji. Dla niej to jedyny sposób zatrzymania wszystkiego.

Popatrzyłam na niego z przerażeniem.

- Jak możesz powiedzieć coś takiego... o Amelii!

- Ponieważ to bardzo możliwe.

- Nie wierzę - zaprzeczyłam gorąco.
- Chyba zdajesz sobie sprawę, co to dla nas oznacza? - zapytał ostro.
- Nie zastanawiałam się nad tym. Widać było, że jest bardzo zirytowany.
- Mój brat będzie chciał, żebym tu został.

61

Zostanę kimś w rodzaju regenta do chwili, aż to dziecko dorośnie. Strażnikiem tego infanta, który pewnego dnia włoży koronę.

- A dlaczego nie? - zapytałam. Spojrzał na mnie niemal z niechęcią.
- Nie rozumiesz, o co w tym wszystkim chodzi?
- Oczywiście, że rozumiem - odrzekłam.
- Nie będziesz panią własnego domu. Amelia nią będzie. Nie dostrzegasz tego? - spytał z irytacją.
- Będę się cieszyć, jeśli tu zostaniemy. Naprawdę lubię Amelię. Stałyśmy się przyjaciółkami. Odwrócił się niecierpliwie. Wyglądał na porządnie zirytowanego, jak dziecko, któremu odebrano zabawkę. Ogarnęła mnie czułość i zapragnęłam go pocieszyć.
- Wszystko będzie dobrze, Aubreyu - powiedziałam. - Będziemy razem. To jest najważniejsze. To stosunki między ludźmi się liczą... a nie domy. Uśmiechnął się do mnie lekko.

- Dobra z ciebie dziewczyna, Zuzanno. Chyba miałem szczęście, prawda? Powiedziałam, że taką mam nadzieję - a w głębi duszy zapragnęłam, żeby nam obojgu dopisało szczęście.

Odniosłam wrażenie, że Aubrey przestał myśleć o zawodzie, który go spotkał. Prawie o tym nie wspominał. Zamiast tego ustaliliśmy szczegóły dotyczące naszego ślubu.

- Musi się odbyć jak najszybciej - oświadczył, a mnie ucieszyła owa niecierpliwność. Początkowo zakochałam się w nim, ponieważ był przystojny, czarujący i zdawał się wiedzieć tak wiele o świecie. Chociaż w gruncie rzeczy prawie nie znałam swojego narzeczonego, przypuszczam, że te właśnie cechy spodobały się młodej dziewczynie, która tak mało wiedziała o życiu i ludziach. Teraz postrzegałam go w innym świetle. Wyobrażałam go sobie jako malca, dorastającego w tym wspaniałym, starym domu. Widziałam go jako dość niefrasobliwego młodzieńca, który nie chciał przyjąć na siebie brzemienia obowiązków, ale nie zamierzał pogodzić się z faktem, że zajmuje drugie miejsce. Czy był trochę zazdrosny o starszego brata? Możliwe. Byłoby to całkiem naturalne. A potem opuścił dom rodzinny, odbywał dalekie podróże, usiłując ułożyć sobie życie. Później wezwano go do powrotu i świadomość, że pewnego dnia odziedziczy rodowy majątek, zmieniła go, sprawiła, iż zdał sobie sprawę, jak bardzo kocha swój stary dom. Po czym nagle, gdy już oswoił się z tą myślą, miał się pojawić inny pretendent do posiadłości.

62

Doznał wielkiego zawodu i dlatego wydawał się taki bezbronny i budził we mnie wielką czułość.

Zgodziłam się z sugestią, że powinniśmy wziąć ślub jak najprędzej.

- To nie miejsce na wesele - oświadczył Aubrey. - Sądząc po wyglądzie Stephena, bardziej prawdopodobny wydaje się pogrzeb.
- Biedny Stephen. Myślę, że teraz zacznie czepiać się życia. Będzie chciał zobaczyć swoje dziecko.
- Być może - mruknął Aubrey.
- Mój ojciec uważa, że powinnam wziąć ślub w Humberston. Wujostwu również się spodobała ta myśl i wuj udzielił nam ślubu. Przecież przez długi czas był to mój dom. Wiem, że ojciec nie chce, aby nasz ślub odbył się w wynajętym domu.

- Jak szybko? - spytał Aubrey.  
- Za pięć tygodni... sześć... za dwa miesiące.  
- Im szybciej, tym lepiej.  
- Zaraz po powrocie rozpocznę przygotowania - zapewniłam go. - Myślę, że będę musiała pojechać na kilka tygodni do wuja Jamesa i ciotki Grace. Dadzą na zapowiedzi i tak dalej. Będzie dużo do zrobienia, a czas płynie szybko.  
- W takim razie zabierz się do tego bez zwłoki - zaproponował. I tak właśnie postąpiliśmy. Kiedy znów ujrzałam Stephena, pomyślałam, że wygląda dużo lepiej. Na pewno wiadomość o mającym się narodzić dziecku podziałała jak najlepsze lekarstwo. Mówił wyraźniej, a oczy mu błyszczały.  
- Cieszę się, że wkrótce się pobierzecie - powiedział. - Aubrey cię potrzebuje. Opiekuj się nim dobrze.  
Uśmiechnęłam się i zapewniłam go, że tak zrobię. Przypuszczałam, że Stephen nadal widzi w Aubreyu młodszego brata, który nigdy nie umiał troszczyć się o siebie, tak jak za ich dzieciennych lat.  
Stało się to w dniu poprzedzającym mój wyjazd. Wyszłam z domu po lunchu. Zafascynowały mnie tereny otaczające Minster. Można było całkiem nieoczekiwanie napotkać tu pozostałości zburzonego klasztoru - wałący się mur porośnięty bluszczem, płyty brukowe wśród trawy lub kikut czegoś, co niegdyś mogło być kolumną.  
Uznałam to za zachwycające.  
Posiadłość rzucała na mnie swój czar. Zapytałam się w duchu, czy powinniśmy tu zamieszkać. Jeżeli Stephen wróci do zdrowia, na pewno tak nie zrobimy; nie mogłam też sobie wyobrazić Aubreya cieszącego się rolą regenta, jak to nazwał.

63

Wiedziałam jednak, że chory nie wyzdrowieje. Zmiana, jaką w nim dostrzegłam, była tylko pozorna. Wyglądał lepiej, ponieważ był szczęśliwy, ale szczęście nie mogło go wyleczyć. Trudno mi było wyobrazić sobie przyszłość, chociaż zaledwie kilka dni wcześniej nie wątpiłam, że to potrafię. Myślałam, iż tu zamieszkamy i będziemy mieli dzieci, gdyż pragnęłam ich równie mocno jak Amelia. Wyobrażałam sobie, że będziemy kochali ten stary dom i że kiedyś portrety moich dzieci zawisną w długiej galerii.  
Doszłam do jakiegoś zagajnika. Już kiedyś zapuściłam się do tego miejsca, ale nie dalej. Jodły rosły tu gęsto, stwarzając w niewielkim lasku mroczną, tajemniczą atmosferę. Przeszłam między wysokimi, prostymi pniami o czerwonawej korze i wtedy, jak często w majątku Saint Clare'ów, poczułam, że dokonałam jakiegoś odkrycia. Las nie był duży i kiedy znalazłam się po drugiej stronie, zauważyłam, iż teren się podnosi, tworząc pagórek.  
Ruszyłam na szczyt i spojrzałam w dół. Zbocze opadało tu chyba ponad trzy metry. Niezdarnie ześlizgnęłam się po tej stromej ścianie, brnąc w masie roślin, które ją porastały, i mimo woli rozsunałam splątany gąszcz. Ku mojemu zdumieniu zobaczyłam za zieloną zasłoną nie ziemię, lecz coś w rodzaju drzewi.  
Odsunęłam na bok pnącza. Tak, to rzeczywiście były drzewi.  
Ogarnęło mnie wielkie podniecenie, kiedy im się przyglądałam, zastanawiając się, co za nimi jest. Dziwne to miejsce dla drzewi - prowadziły prawdopodobnie do jakiejś pieczary ukrytej pod pagórkem.  
Zauważyłam dziurkę od klucza. Pchnęłam drzewi, ale nawet nie drgnęły.  
Powiodłam wokoło wzrokiem. Wszędzie panowała głęboka cisza. Znów odniosłam wrażenie, że ktoś mnie obserwuje i wyczułam w powietrzu coś niechętnego, wręcz wrogiego.  
Odeszłam od tajemniczych drzewi i zatrzymałam się w pewnej odległości, patrząc na nie. Zasłona z pnączy ponownie opadła na dawne miejsce i ponieważ już nie było nic widać, pagórek wyglądał jak część krajobrazu... dość niezwykła, ale niezbyt rzucająca się w oczy.



Przyszło mi na myśl, że nie jest to naturalne wzniesienie i zastanowiłam się, co się kryje za tymi drzwiami.

Okrażyłam pagórek i wróciłam do zagajnika. Kiedy tylko się w nim zagłębiłam, wyczułam, że jestem śledzona. Było to nieprzyjemne uczucie. Nagle usłyszałam, jak ktoś potknął się o kamień, a potem poszycie zaszeleściło. Pomyślałam, że to głupie. Był jasny dzień, ale serce zaczęło mi walić młotem. Przyśpieszyłam kroku.

W pewnej chwili ktoś nieoczekiwanie chwycił mnie za ramię i mocno przytrzymał.

64

Jęknęłam z przestraszu, odwróciłam się i zobaczyłam... Aubreya.

- Zuzanno, co się stało? - zapytał.

- Och, zaskoczyłeś mnie. Myślałam, że ktoś za mną idzie - wyjąkałam.

- I tak było. Amelia powiedziała mi, że poszłaś na spacer i chciałem cię odszukać - wyjaśnił.

- Czemu nie zawołałeś lub nie dałeś mi znać, że to ty? - zapytałam, nadal nie mogąc się uspokoić.

- Lubię robić niespodzianki. Źle się czujesz, prawda?

- Nie teraz, kiedy tu jesteś - odrzekłam. - Och, to głupio z mojej strony. Po prostu zobaczyłam jakieś drzwi.

- Drzwi! - powtórzył z zaskoczeniem.

- Tak. Prowadzące do wnętrza pagórka.

- A co w tym dziwnego? Wiesz, że tutaj można znaleźć mnóstwo najróżniejszych zabytków. Pozostałości starego Minster. Narobiono by krzyku, gdybyśmy spróbowali cokolwiek usunąć. Pamiątki przeszłości i to wszystko.

- Tak, wiem. Ale tam były jakieś drzwi. Muszą dokądś prowadzić - nie ustępowałam.

Oczy mu zabłyśły. Najwidoczniej Aubreya rozbawiło moje zaciekawienie. Domyśliłam się, że przyszedł po to, by mnie odprowadzić do pałacu.

Wziął mnie pod rękę.

- Wracając do domu? - Tak.

- Dlaczego jakieś drzwi miałyby cię tak zaintrygować? - pytał dalej.

- Nie wiem. Stojąc tam... dziwnie się poczułam... - wyjąkałam.

- Spodziewałaś się, że się otworzą i wyjdzie z nich diabeł? - spytał kpiąco.

Wybuchnęłam śmiechem.

- Wydało mi się to dziwne, a potem, kiedy szłam przez las, czułam, że ktoś za mną idzie...

- Przykro mi, że cię przestraszyłem, najdroższa Zuzanno. Zawsze uważałem, że jesteś bardzo rozsądna.

- Myślę, że chyba taka nie jestem. Czasem ponosi mnie wyobraźnia - odrzekłam.

- I fantazjowałaś na temat tych drzwi? No cóż, domy takie jak nasz to miejsca, gdzie nawet najbardziej trzeźwo myślącym osobom należy wybaczyć, gdy czasem puszcza wodze wyobraźni. Wiedz, że to nie ty odkryłaś te drzwi. Otworzyliśmy je kiedyś... Och, dawno temu, kiedy byłem chłopcem.

65

Nic tam nie ma. To po prostu jaskinia. Może mnisi używali jej jako piwnicy. Potem drzwi zamknięto i wszystko pozostawiono na miejscu.

- Ach, rozumiem. Myślałam, że musi być tam coś... naprawdę ważnego... za takimi mocnymi drzwiami - wyznałam z wahaniem.

- Przykro mi, że cię przestraszyłem, Zuzanno.

- Och, głupio się zachowałam - odpowiedziałam zawstydzona. Wracając ze mną do domu, Aubrey mówił z entuzjazmem o naszym ślubie.

Następnego dnia opuściłam Minster. Aubrey nalegał, że odwiezie mnie do domu. W powrotnej drodze do Londynu wydawał się odmieniony. Znow stał się mężczyzną, jakiego znałam w Indiach i na statku - uprzejmym, beztroskim, pewnym siebie młodym człowiekiem z towarzystwa; nie wspomniał nawet o mającym się narodzić dziecku, które zniszczyło jego nadzieję na spadek.

Mój ojciec powitał mnie z radością. Oświadczył, że Jane i Polly dbały o niego wspaniale, więc jeśli chodzi o wygody życiowe, to nie zauważał mojej nieobecności.

Aubrey wrócił do Buckinghamshire tego samego dnia. Po jego odjeździe ojciec zapragnął szczegółowej relacji z tej wizyty i obserwował mnie bacznie, kiedy mówiłam. Opowiedziałam mu o wszystkim.

- I nadal tak samo pragniesz poślubić Aubreya? - spytał. Zapewniłam go, że tak.

- No cóż, musimy myśleć praktycznie. Powinnaś natychmiast napisać do wuja Jamesa i rozpocząć przygotowania. Niezbędne zakupy zrobisz w Londynie. Będziesz zapewne zmuszona spędzić miesiąc przed ślubem u wujostwa. Przypuszczam, że czeka cię mnóstwo pracy. Czas płynie bardzo szybko. Doszedłem do wniosku, że lubię ten domek, a Jane i Polly bardzo dobrze dbają o niego i o mnie. Napisałem już list do właściciela, prosząc o przedłużenie wynajmu. Nie ma powodu, żebyśmy kupowali dom, który ty niemal natychmiast opuścisz. Świetnie sobie tutaj poradzę. Będzie to także twój dom, kiedy tylko tego zapragniesz.

- Widzę, że tu wszystko jest w najlepszym porządku. Myślę, że nazywasz to żołnierską precyzją - odrzekłam żartobliwym tonem.

- Można tak powiedzieć. Moja droga córko, będę bardzo rad widząc, że szczęśliwie ułożyłaś sobie życie.

- Biedny tato! Odpowiedzialność za mnie musiała bardzo ci ciążyć.

-No cóż... z dala od kraju... musiałem wychować małą dziewczynkę.

66

Przeżyłem kilka niespokojnych chwil. Ale wszystko dobrze się skończyło i zawsze wiedziałem, że moja córka będzie umiała o sobie zadbać.

- Mam nadzieję, że nie zawiodę twojej wiary we mnie. Patrzył na mnie przez moment z niepokojem.

- Czemu to powiedziałaś? Czy coś się stało?

- Nie - odrzekłam z przekonaniem. - Nie.

Ale sama zaczęłam się zastanawiać, dlaczego wyrwały mi się te słowa. Czy to możliwe, że nie wiadomo dlaczego ogarnął mnie niejasny niepokój?

Tygodnie mijały szybko. Miałam przymiarkę sukni ślubnej. Kupiłam stroje, które, jak sądziłam, będą mi potrzebne. Zamierzaliśmy wybrać się w podróż poślubną do Wenecji i spędzić tam cały miesiąc. Jacyś przyjaciele Saint Clare'ów oddali nam do dyspozycji swój pałac.

Wuj James i ciotka Grace okazali się tak życzliwi, jak zakładałam. Byli bardzo zadowoleni, że ceremonia ma się odbyć w ich starym, normandzkim kościółku i że wuj James nam udzieli ślubu. Mój ojciec zamierzał przyjeżdżać do Humberston na weekendy i w każdy wolny od pracy dzień. Miała to być raczej cicha uroczystość ze względu na chorobę brata narzeczonego.

Aubrey planował przyjazd do Humberston na kilka dni przed ceremonią i zarezerwowaliśmy dla niego pokój w „Czarnym Dziku”.

Wszystko zdawało się gładko zmierzać do celu.

W odpowiednim czasie przybyłam do Humberston. Bardzo się wzruszyłam, siedząc w swojej dawnej sypialni i spoglądając przez znajome okienko na przykościelny cmentarz. W mojej

pamięci odżyły wspomnienia, straszliwa samotność, tęsknota za domem, za Indiami, za moim ojcem i ayah.

Zastanawiałam się, co się z nią teraz dzieje. Nie była zbyt szczęśliwa u Freelingów. Stała się dość tajemnicza, robiła do czegoś aluzje. Nie byłam pewna, o co jej chodzi.

Teraz wszystko wyglądało inaczej. Niebawem opuszczę Humberston; moim domem stanie się Minster; ale najpierw czeka mnie uroczy miodowy miesiąc w Wenecji.

Powtarzałam sobie, że czuję się szczęśliwa. I byłam bardzo zadowolona z losu.

Większość młodych kobiet uznałaby się za naprawdę szczęśliwą w mojej sytuacji. Przecież nie byłam skończoną pięknoscią. Moje rudawe włosy wprawdzie zaskakiwały żywą barwą, ale były grube i proste i chociaż niekiedy pojawiały się w nich fale, nie kręciły się zgodnie z modą

67

i czasami ledwie dawały się uczesać. A w dodatku moje zielone oczy. Oczywiście pasowały do koloru włosów, miałam jednak jasne brwi i rzęsy i bardzo białą skórę. Bardzo to niepokoiło moją ayah. Ubolewała nad delikatnością mojej cery i obawiała się tego, co mogło z nią uczynić ostre indyjskie słońce. Nigdy nie pozwoliła mi wyjść z domu bez wielkiego kapelusza, nawet w pochmurne dni. Lecz to z powodu mojego wzrostu uważałam, że nie jestem atrakcyjną kobietą. Byłam za wysoka. Patrzyłam z góry na znajomych młodych mężczyzn i sądziłam, że nie jest to sympatyczna cecha. Mężczyźni lubią spoglądać z góry na swoje kobiety - może także w przenośni, ale na pewno w rzeczywistości. Ja jednak, choć może niezbyt atrakcyjna w oczach wszystkich wokół, osiągnęłam to, za co niejedna piękna dziewczyna wiele by dała. Miałam szczęście.

Kuzynka Ellen przyjechała ze swoimi dwiema córkami na dzień przed moim ślubem. Bardzo się ucieszyła, że mam wyjść za mąż i zachowywała się bardziej otwarcie niż dawniej, przypominając różne wydarzenia z przeszłości. Było to bardzo miłe z jej strony. Zapamiętała tak wiele. Wspomniała nawet pewien incydent, o którym nie myślałam od długiego czasu.

- Pamiętasz Toma Jenningsa... tego młodego chłopca, który spadł z drabiny?

- O, tak. Złamał sobie nogę.

- Nigdy nie zapomnę, jak klęczałaś obok niego. Tylko pogładziłaś go po czole, przemówiłaś do niego uspokajająco, a przecież wydawało się, że przyniosłaś mu ulgę w cierpieniu.

Rozłożyłam ręce i spojrzałam na nie.

- Moja ayah powiedziała, że mam uzdrawiające dłonie.

- Przypuszczam, że oni tak uważają - odrzekła Ellen. - Może powinnaś zostać pielęgniarką?

Zamyśliłam się na chwilę.

- Wiesz... myślę, że to by mi się podobało. Moja kuzynka wybuchnęła śmiechem.

- Dziękuj Bogu, że nie ma o tym mowy! Wyjdiesz za mąż... i zrobisz bardzo dobrą partię.

Wszyscy tak się cieszymy. Zawód pielęgniarki to nieodpowiednie zajęcie dla damy... jedna z najniżej ocenianych profesji... jak żołnierka.

- Mówisz do córki żołnierza - odparłam.

- Och, oczywiście nie miałam na myśli takich ludzi jak twój ojciec. Chodzi mi o zwykłych żołnierzy. Dlaczego idą do wojska? Ponieważ nie mogą znaleźć innej pracy... albo mieli jakieś kłopoty. A o pielęgniarkach mówi się prawie to samo.

68

- To okropne - odrzekłam. - Czyż obrona swojego kraju nie jest szlachetnym zajęciem? A czy pielęgnowanie chorych to nie to samo?

- Tak być powinno, ale z tym zawodem wiąże się tak wiele nieprzyjemnych rzeczy. Zresztą po co tracić czas na dyskusję o czymś takim, kiedy mamy tak wiele do zrobienia, tyle spraw do załatwienia. Chyba kręci ci się w głowie od nadmiaru zajęć.

Na pewno miałam dużo pracy, lecz ta rozmowa obudziła we mnie falę wspomnień. Popatrzyłam na swoje ręce, ładnie ukształtowane i bardzo białe; na pewno długie, zwężające się ku końcowi palce wydawały się delikatne, a przecież kryła się w nich pewna moc. Uśmiechnęłam się do nich. Z całej mojej osoby tylko dłonie były naprawdę piękne. I tak mijał czas.

Nadeszła noc poprzedzająca nasz ślub. Wszystko było w najlepszym porządku. Ojciec przybył do Humberston i spał w jednej z małych sypialni przylegających do korytarza. Ellen i jej rodzice zajmowali dwie inne. Plebania dosłownie pękała w szwach. A za cmentarzem Aubrey spał w „Czarnym Dziku”.

Położyłam się do łóżka i wtedy przyśnił mi się tamten koszmarne sen... sen, który sprawił, że długo siedziałam, zastanawiając się, co mogło go zrodzić w mojej wyobraźni.

## Rozdział Drugi.

### Miodowy miesiąc w Wenecji.

Tak więc Aubrey i ja wzięliśmy ślub.

Zaraz po skończonej ceremonii przebrałam się w zielony gabardynowy kostium i rozpoczęliśmy podróż poślubną.

Cóż to było za cudowne przeżycie! Moje wątpliwości i lęki zniknęły bez śladu. Opuścił mnie niepokój. Aubrey był wspaniały. Jako prawdziwy światowiec rozumiał, że ożenił się z naiwnym dziewczętkiem - oczywiście z absolutną ignorantką, gdy chodziło o życie.

Bardzo dobrze zdawał sobie sprawę z mojej niewiedzy i traktował mnie tak łagodnie i czule, że bez względu na to, co się później stało, zawsze będę z przyjemnością wspominać owe chwile.

Delikatnie wprowadził mnie w arkana sztuki kochania i muszę przyznać, że uczyłam się jej z przyjemnością, odkrywając w sobie cechy, o których istnieniu nie miałam pojęcia.

Była to miłość, cudowna miłość. Ujrzałam nowego Aubreya. Był doświadczonym mężczyzną i rozumiał kobiety - ich uczucia i potrzeby. Wydawało się, że zapomniał o zawodzie, jaki sprawiła mu utrata Minster; dzięki niemu czułam, iż jedyną rzeczą, która naprawdę się liczy w życiu, jest nasza miłość, a wszystko wokół nas powinno być doskonałe. Dlatego rozkoszowałam się słodyczami pożycia małżeńskiego w najbardziej romantycznej scenerii na świecie.

Pałac Tonaletti stał nad jednym z kanałów, więc mogliśmy siedzieć na tarasie i przyglądać się przepływającym gondolom. Jakże były piękne, zwłaszcza wieczorami, kiedy gondolierzy śpiewali swoim pasażerom, gdy łodzie śmigały pod mostami.

Sam pałac był wspaniały, z wieżami po obu stronach, ze sklepieniami łukowymi i długim tarasem. Wielkie wrażenie wywarły na mnie mozaiki na marmurowych podłogach.

70

Służba właścicieli obsługiwała nas z wielkim szacunkiem. Pałacem zarządzał poważny majordomus, który powiedział nam, że możemy nazywać go Benedetto; było tam wiele służących, które bardzo często chichotały, ponieważ, jak przypuszczam, wiedziały, iż to nasz miodowy miesiąc. Ściany i podłogę naszej ślicznej sypialni wyłożono cętkowanym marmurem o ładnym purpurowym odcieniu. Znajdowały się tam alabastrowe lampy i duże łóżko z baldachimem z lawendowego i zielonego jedwabiu.

Rano jedna ze służących przynosiła nam śniadanie, mówiąc cicho:

- Colazione, signore, signora.

A potem wychodziła pośpiesznie, jakby nie mogła powstrzymać się od śmiechu, prawdopodobnie na widok nas obojga w łozu.

Spacerowaliśmy ulicami omywanymi przez wodę z weneckich kanałów; piliśmy kawę i od czasu do czasu aperitif na placu Świętego Marka. Staliśmy na moście Rialto i obserwowaliśmy gondolierów na Wielkim Kanale. Nigdy nie widziałam tak pięknego miasta. Całkowicie mnie zafascynowało. Aubrey dobrze znał Wenecję i z wielką radością objaśniał mi wszystko. Wspomnienia powracają falami - Aubrey, stojący obok mnie, pokazuje mi Kampanilę, którą mieszkańcy Wenecji zaczęli budować już w roku 902 n. e., chociaż została ukończona znacznie później. Podziwiałam wieżę Zegarową i wybijające godziny dwa posążki z brązu na tarczy zegara. Było tam tak wiele piękna, a przecież nawet w tamtych szczęśliwych dniach zdawałam sobie sprawę z kontrastów istniejących w tym wspaniałym mieście. Piękne pałace z porfiru, alabastru i kolorowego marmuru wyglądające jak lody z orzechami kokosowymi lub inne wyroby cukiernicze; Pałac Dożów z całym jego splendorem i, nieopodal, most Westchnień, unaoczniający rozpacz i żal tych, którzy po nim przeszli, wiedząc, iż już nigdy nie zobaczą Wenecji.

Na ulicach w pobliżu kanałów panowała wesołość, ale były tam też wąskie, mroczne, niebezpiecznie wyglądające uliczki. Kiedy zwróciłam na to uwagę Aubreyowi, odparł:

- Takie jest życie. Czyż nie stałoby się nudne, gdyby wszystko było dobre i słodkie?
- Dlaczego miałyby stać się nudne? - spytałam z lekkim zdziwieniem.
- Ponieważ nigdy byś nie wiedziała, jakie było dobre, gdyby nie istniało zło, z którym mogłabyś je porównać.
- Myślę, że wiedziałabym - odrzekłam poważnie.
- Ale reszta świata nie jest tak mądra jak ty, Zuzanno.

71

Razem obejrzeliliśmy piękne obrazy - Tycjana, Tintoretta i Bellinich. Aubrey znał się na sztuce i tak wiele mi wyjaśnił. Uczylałam się nie tylko miłości, lecz także otaczającego mnie świata. Były to dziwne dni, kiedy żyłam jak we śnie; rzuciły na mnie czar i uwierzyłam, że teraz, po ślubie z Aubreyem, moje dalsze życie będzie właśnie takie.

Byłam młoda, niewinna i wszystko wokół mnie kipiało życiem.

Pewnego ranka, podczas spaceru ulicą, ujrzeliliśmy tłum gapiów z jednej strony kanału, a gdy tam podeszliśmy, dowiedzieliśmy się, że kilka godzin wcześniej z wody wydobyto ciało jakiegoś mężczyzny. Widziałam, jak tam leżał, z otwartymi oczami, w których zastygło przerażenie. Jego twarz miała kolor brudnego prześcieradła, a na ubraniu zakrzepła krew z rany zadanej nożem w plecy.

Aubrey odciągnął mnie szybko.

Ten incydent zepsuł nam cały ranek. Aubrey powiedział:

- Tak się zdarza od czasu do czasu. Włosi to krewki naród.

Ale ja wiedziałam, że nigdy nie minę tego miejsca, nie myśląc o zamordowanym mężczyźnie. Taka właśnie była Wenecja. Ciemne, ponure uliczki, gdzie spotykali się wrogowie i błyskały noże... a potem rozlegał się plusk ciała wpadającego do kanału; piękne, zalane słońcem miasto z jego podobnymi do tortów pałacami i śpiewającymi gondolierami; z Pałacem Dożów oraz mostem Westchnień i niemożliwymi do opisanego torturami, którym poddawano nieszczęśników w pobliskim więzieniu.

Lecz to był mój miódowy miesiąc. Nie chciałam mieć ponurych myśli. Przecież byłam żoną mężczyzny, którego kochałam. Byłam szczęśliwa.

Zachwycałam się weneckimi sklepikami i z przyjemnością spędzałam w nich wiele godzin. Czasami zostawiałam Aubreya na placu Świętego Marka, gdzie mógł saczyć aperitif, a sama wędrowałam do sklepów. Śmiał się z owej fascynacji, której nie mogłam się oprzeć. Na pewno zakupy nie pociągały go w taki sam sposób jak mnie.

Podobały mi się ozdobne bransolety i naszyjniki z kamieni półszlachetnych, haftowane chusteczki i pantofelki, jedwabne szarfy i chustki na szyję. Oświadczyłam, że muszę kupić kilka prezentów - dla mojego ojca, Amelii i dla Stephena. - Pozostawiam to wszystko tobie - odrzekł Aubrey. - To ty robisz zakupy. Poszukiwanie tego, co, moim zdaniem, powinno im się spodobać, sprawiło mi wielką przyjemność.

72

Dni szybko mijały i z żalem zdałam sobie sprawę z tego, że pozostał nam tylko jeden tydzień. Odbyliśmy nasz poranny spacer i wróciliśmy na plac, gdzie zamierzaliśmy siedzieć w blasku słońca, pijąc kawę, co zwykle robiliśmy przed południem. Szliśmy właśnie do jednego ze stolików pod parasolem w niebieskie paski, skąd mogliśmy obserwować przechodniów i zlatujące w dół gołębie, które czekały, aż ludzie rzucą im okruchy.

Kiedy piliśmy kawę, minęła nas jakaś para, mężczyzna i kobieta. Wydali mi się znajomi, a potem ich rozpoznałam.

Kobieta przystanąła.

- Och, przecież to Aubrey! - powiedziała. - I... panna Pleydell. Mój mąż wstał.

- Phyllis. Willie...

Phyllis i Willie! Nie wiedziałam, jak mają na imię, ale znałam ich jako pana i panią Freeling. Pani Freeling mówiła bez tchu.

- A niech to... No, no, wyobraźcie sobie... i właśnie tutaj... a co wy robicie w Wenecji?

- Spędzamy tu nasz miodowy miesiąc.

- Och, Willie, czyż to nie wspaniałe! I panna Pleydell... Och, przepraszam. Teraz pani Saint Clare. Co za niezwykła niespodzianka!

- Musicie napić się z nami kawy - zaproponował Aubrey.

- Z wielką chęcią...

Przy naszym stoliku były jeszcze dwa krzesła i państwo Freeling przysiedli się do nas.

Pani Freeling bardzo się zmieniła; wyglądała znacznie starzej, niż ją zapamiętałam; oczy miała zapadnięte i wydawała się bardzo chuda. Prawie nie widywałam jej męża i z trudem przypominałam sobie, jak wyglądał przedtem.

- Co tu robicie? - spytał Aubrey. - Świętujecie?

- Mój drogi, życie to ciągle święto - oświadczyła pani Freeling.

- Przypuszczam, że jest pan na urlopie, kapitanie - powiedziałam. Pani Freeling nachyliła się i położyła mi rękę na ramieniu.

- Nie ma już urlopów. Nie ma obowiązków. Nie ma spraw pułku. Jesteśmy wolni od tego wszystkiego, prawda, Willie?

Kapitan Freeling miał nieco smutną minę.

- Wystąpiłem z wojska - wyjaśnił mi.

- Och... - Nie wiedziałam, jak zareagować.

Nie udzielił mi żadnych wyjaśnień i wyczułam, że postąpiłabym nietaktownie, drażąc ten temat.

- Mieszkamy teraz u rodziny Williego, zanim postanowimy, co robić dalej - mówiła pani Freeling.

73

- To bardzo służy dzieciom. Świętujemy, zanim zaczniemy nowe życie w kraju, czyż nie tak, drogi Willie?

- Myślę, że to bardzo przyjemna wycieczka - wtrącił Aubrey. - Jak długo jesteście w Wenecji?

- Od trzech dni - odpowiedziała.

- Niedługo, co wyjaśnia, dlaczego się wcześniej nie spotkaliśmy. Ale Wenecja nie jest tak duża, żeby można było zgubić się tutaj na dłużej.
- Cieszy mnie to. To byłaby prawdziwa tragedia, gdybyśmy się nie odnaleźli. A teraz się spotkaliśmy... w samą porę. Wyjeżdżamy za trzy dni.
- My zostaniemy do końca tygodnia - wyjaśnił Aubrey.
- Mogłabym spędzić tu wiele miesięcy - powiedziała pani Freeling, uśmiechając się do mnie.
- Przypuszczam, że państwo również. A jak pani podoba się życie w kraju? Niepotrzebne pytanie. Rozkoszuje się nim pani.
- Chyba brakuje pani Indii - zauważyłam.
- Ani trochę. Cieszę się, że wyjechaliśmy. Czasami w nocy przechodziły mnie zimne dreszcze. Ci tubylcy... niekiedy wyglądali tak groźnie... Nigdy nie było wiadomo, co naprawdę myślą albo co zaraz zrobią.
- Co się stało z ayah pani dzieci?
- Och... ona była pani niańką, prawda? Poszła do innej rodziny - chyba do Laymont-Jonesów. Dzieci ją lubiły. Strasznie się awanturowały, bo nie chciały jej zostawić.
- Była bardzo dobrą opiekunką.
- Byliśmy już we Florencji i w Rzymie, prawda, Willie? - Pani Freeling zmieniła temat rozmowy.

Willie przytaknął.

- Wspaniałe. Te pałace! Te obrazy! Ten taki śliczny most... jak on się nazywa, Willie? Ponte Vecchio? Te sklepy. Fascynujące!

Kapitan Freeling rozmawiał ze mną, a Aubrey zajął się panią Freeling. Słyszałam strzępy ich rozmowy, kiedy kapitan zapytał mnie o zdrowie ojca i jak po służbie w Indiach podoba mu się praca w Ministerstwie Wojny. Przyznał, że brakuje mu armii. Uważa jednak, że będzie wiódł spokojne życie w kraju. Dodał, iż zawsze martwił się o dzieci. Wcześniej czy później należałoby posłać je do szkoły, a to zawsze sprawiało kłopoty i było ogromnym przeżyciem dla wyjeżdżających -jak sama na pewno pamiętam.

Kiedy kapitan o tym mówił, usłyszałam, że jego żona szepnęła do Aubreya:

74

- Damien jest w Wenecji.
- Moja rodzina mieszka w Worcestershire - ciągnął kapitan. -Na razie zatrzymaliśmy się w rodzinnej siedzibie. To naprawdę piękny zakątek Anglii.
- Odrzekłam, że nie znam tego hrabstwa, a on zaczął mnie wypytywać o pałac Tonaletti i gdy go opisywałam, pani Freeling spojrzała na zegarek i oświadczyła, że muszą już iść.
- Podaliśmy sobie ręce na pożegnanie.
- Kiedy wracaliśmy do pałacu, Aubrey powiedział:
- Jaki ten świat mały! I pomyśleć, że spotkaliśmy się właśnie tutaj.
- Zastanawiam się, dlaczego wystąpił z wojska - odrzekłam w zamyśleniu.
- Na pewno spodobał mu się inny tryb życia - mruknął Aubrey.
- Ludzie zazwyczaj tak nie postępują - zaoponowałam.
- Przemawia przez ciebie córka żołnierza. Są tacy, którzy nie uważają służby w wojsku za wspaniałe życie.
- To znaczy, chodzi mi o to, że jak sądzę, niełatwo jest wystąpić z wojska - myślałam głośno.
- Zapytam o to mego ojca. Przypuszczam, że znów się z nimi spotkamy.
- Chyba będziemy musieli. Ale oni wyjeżdżają za dzień lub dwa. Nie sprawiał wrażenia zachwyconego, co mi się spodobało.
- My też wkrótce odjedziemy - odrzekłam. - Och, Aubrey, to było cudowne. Jak myślisz, czy jakakolwiek inna para miała taki miodowy miesiąc jak my?
- Oczywiście, że nie - zapewnił mnie.

Wybuchnęliśmy śmiechem i weszliśmy do marmurowej sieni naszego pałacu.

Więcej już nie rozmawialiśmy o Freelingach. Wyobrażałam sobie, że Aubrey czuje to samo, co ja, to znaczy, że obylibyśmy się bez tego spotkania. Propozycję, iż musimy się spotkać przed opuszczeniem Wenecji potraktowałam jako jeden z frazesów, które ludzie wypowiadają raczej z grzeczności niż z prawdziwej potrzeby.

W dwa dni po tym spotkaniu Aubrey zapytał mnie, kiedy pójdę do sklepów po podarunki dla rodziny, i zaproponował, żebym zrobiła to dzisiaj po południu.

- Wiem, że tak naprawdę nie lubisz, gdy jestem w pobliżu, kiedy robisz zakupy - powiedział.

- Więc czemu nie miałabyś spędzić tyle czasu, ile zapragniesz, w tych sklepikach, a ja zaczekam na ciebie. Och... już wiem, co mógłbym zrobić. Mógłbym zajrzeć do Freelingów i spędzić z nimi godzinę. Wiem, że niezbyt ci zależy na spotkaniu z nimi.

75

Zresztą to tylko zwyczajna uprzejmość... przecież ich tutaj spotkaliśmy.

Odrzekłam, że uważam to za dobry pomysł.

Spędziłam kilka godzin, chodząc po sklepach i podejmując niezbędne decyzje. Miałam tak wielki wybór. Kupiłam bransoletę dla Amelii. Była złota, wysadzana lapislazuli; i właśnie kiedy miałam wybrać marmurowy przycisk dla mojego ojca, zauważyłam kilka pięknych talerzy na ścianę, które także postanowiłam kupić. Nabyłam jeden z portretem Rafaela dla Stephena i drugi z wizerunkiem Dantego dla mojego ojca. Byłam pewna, że im się spodobają i zawsze będą mi przypominać o cudownych dniach w Wenecji.

Wróciłam do pałacu około szóstej. Benedetto poinformował mnie, że pana jeszcze nie ma w domu. Zażyłam długiej kąpieli i leżałam w łóżku, czytając przez jakieś pół godziny, spodziewając się, że Aubrey wróci w każdej chwili.

Kiedy czas płynął, a on nadal nie nadchodził, zaczęłam się niepokoić.

Benedetto zapytał mnie, czy każe podać kolację, ale odpowiedziałam, że poczekam.

Uśmiechnął się współczująco. Wiedziałałam, że myśli, iż pokłóciłam się z mężem.

Ogarnął mnie strach. Pomyślałam o weneckich ciemnych uliczkach; przypomniałam sobie trupa tamtego mężczyzny w zakrwawionym ubraniu... wyciągniętego z kanału. Nie usłyszałam końca tej historii. Kto to był? Napadnięty przez rabusiów turysta - a może jego śmierć była rezultatem długotrwałej wendety?

Siedziałam trochę na tarasie. Później wróciłam do mojego pokoju i zaczęłam chodzić po nim tam i z powrotem.

Aubrey poszedł do Freelingów. Nie znałam nazwy ich hotelu. Pani Freeling musiała mu powiedzieć, ale nie wspomniał mi o tym.

Poczułam się bezradna. Przebywałam w obcym kraju, nie znając języka, i nie miałam pojęcia, co zrobić. Na pewno mój mąż nie zostałby poza domem tak długo, chyba że wydarzyło się coś strasznego. Przypuśćmy, że Freelingowie zaprosili go na kolację. Wtedy na pewno by poprosili, żebym się do nich przyłączyła - a może przysłaliby mi wiadomość, że Aubrey jest u nich. Nie. To niemożliwe. Musiało się stać coś złego.

Co powinnam zrobić? Obejść hotele? Pójść do konsula brytyjskiego? Ale gdzie rezyduje?

Wezwać gondolę i poprosić, by zawieziono mnie do ambasady angielskiej? Czy robię niepotrzebne zamieszanie? Zdarzało się przecież, że Aubrey swoim zachowaniem sprawiał, iż czułam się trochę naiwna.

76

Czy rzeczywiście taka jestem? Czy wejdzie tu i powie:

„Freelingowie poprosili mnie, żebym został. Wiedziałem, że jesteś w domu i odpoczywasz”.

Czy światowi mężowie i żony tak się zachowywali?



Powinien wiedzieć, jak się czuję. Przecież nigdy by nie chciał, żebym tak bardzo się o niego niepokoiła.

Muszę coś zrobić.

Zeszłam do pomieszczeń dla służących. Słyszałam ich głosy, paplali jak zwykle.

Najwyraźniej nie uważali nieobecności Aubreya za nienormalną. Wróciłam do mojej sypialni i stałam na werandzie, patrząc na ciemniejącą wodę.

Zaraz wróci. Muszę się dowiedzieć, co z nim się dzieje. Jak wytrzymam całą noc w takim strachu? Słyszałam, jak posążki z brązu uderzają w dzwon na wieży Zegarów. Muszę wyjść i wezwać pomoc. Zawołam Benedetta i poproszę go, żeby mi towarzyszył. Musimy znaleźć ambasadę angielską i donieść o zniknięciu Aubreya.

Nadal jednak stałam na werandzie. Gondole przemykały obok pałacu. Modliłam się, żeby jedna z nich się zatrzymała, aby Aubrey z niej wysiadł i przybiegł, by mi powiedzieć, co się stało.

Właśnie wtedy, gdy czułam, że już dłużej tego nie wytrzymam i muszę zacząć go szukać bez dalszej zwłoki, jakaś gondola przybiła do brzegu kanału obok pałacu. Wysiadł z niej nieznajomy mężczyzna. Był bardzo wysoki. Stał odwrócony do mnie plecami; miał na sobie czarny płaszcz i czarny kapelusz.

A potem wraz z gondolierem pomogli komuś wygramolić się z łodzi.

Zwróciłam tam oczy. To był mój mąż.

Uczepiłam się balustrady werandy. Nie widziałam twarzy nieznajomego, ponieważ kapelusz mu ją zasłaniał; i kiedy tak stałam jak skamieniała, na moment poczułam olbrzymią ulgę.

Aubrey był bezpieczny.

Wybiegłam z pokoju na schody. Szedł na górę - sam. Mężczyzna w czerni mu nie towarzyszył.

- Aubreyu! - zawołałam.

- Zuzanno... Och, moja najdroższa Zuzanno!

Podbiegłam do niego. Chwycił mnie w ramiona. Wyglądał dziwnie; krawat miał przekrzywiony, wzrok niemal dziki i ręce mu się trzęsły.

- Co się stało? - wykrztusiłam.

- Pozwól mi wejść... wszystko ci wytłumaczę.

77

Wsunęłam mu dłoń pod ramię i weszliśmy po schodach chwiejnym krokiem.

- Ktoś na ciebie napadł? - spytałam.

Skinął głową, ale wyraźnie był zbyt osłabiony, żeby mówić. Chciał wejść do naszego pokoju. Kiedy tam się znaleźliśmy, opadł na krzesło.

- Przyniosę ci brandy - powiedziałam. - Albo cokolwiek, czego sobie zażyczysz.

Potrząsnął przecząco głową.

- Och, Zuzanno, tak mi przykro... tak mi przykro, że do tego doszło. Martwiłaś się o mnie?

- Strasznie. Nie wiedziałam, co mam zrobić - odrzekłam.

- Och, kochanie. Musiałaś bardzo się niepokoić. O czym myślałaś... co zamierzałaś zrobić?

- Jesteś ranny? - pytałam dalej.

- Oszołomiony. Trochę roztrzęsiony. Nie mam nic złamanego.

- Możesz mi powiedzieć, co się stało? Skinął głową.

- Byłem u Freelingów. Wyszedłem około szóstej i chciałem wrócić wcześniej od ciebie.

Wybrałem się na skróty jedną z ciemnych uliczek. To był głupi pomysł.

- Och, nie! - zawołałam. Nie mogłam odegnąć myśli o tamtym mężczyźnie leżącym na brzegu kanału... o krwi na jego ubraniu...

- Podeszło do mnie dwóch mężczyzn - opowiadał Aubrey. - Nie spodobał mi się ich wygląd. Chciałem zawrócić, ale okazało się, że za mną było jeszcze dwóch. Uderzyli mnie w głowę i po prostu straciłem przytomność.

- Och, mój kochany Aubrey, jakie to straszne! - jęknęłam. - Powinnam była coś zrobić. Powinnam pójść do ambasady.

- To na nic by się nie zdało. Kiedy się ocknąłem... nie wiem po jak długim czasie, byłem sam... w jakiejś chacie. Było ciemno i niewiele widziałem. Ale kiedy moje oczy przywykły do mroku, obszedłem ją. Znalazłem jakieś drzwi, ale okazały się zamknięte od zewnątrz. Zrobiło mi się słabo. Ledwo trzymałem się na nogach. Zawołałem, lecz wydawało się, że nikt tamtędy nie przechodził.

- Przypuszczam, że cię ograbili - szepnęłam.

- Zabrali mi sakiewkę. To tego chcieli.

- Ale dlaczego cię zamknęli? - spytałam.

- Może nie chcieli, żebym za wcześnie podniósł alarm.

- Och, cóż to za podli ludzie! - zawołałam. Skinął głową i pocałował mnie w rękę.

- Był z tobą jakiś mężczyzna... w gondoli - powiedziałam cicho.

78

- Tak. Przywiózł mnie do domu. Nie wiem, co bym bez niego zrobił. Nadal mogłem tkwić w tamtej chacie.

- Nie wiedziałam, co powinnam zrobić. Czułam się taka głupia... taka bezsilna... do niczego nieprzydatna. Powinnam była namówić Benedetta, żeby poszedł ze mną poszukać pomocy.

- Postąpiłaś najlepiej, czekając w domu. Nie wiem, co bym zrobił, gdybym po powrocie przekonał się, że gdzieś wyszłaś.

- Co zrobił ten mężczyzna? - zapytałam.

- Kiedy usiłowałem w jakiś sposób wydostać się z tamtej chaty, usłyszałem czyjeś kroki. Zawołałem i ktoś mi odpowiedział. Na szczęście był to Anglik i mogłem mu wytłumaczyć, co się stało. Powiedział, że pójdzie po pomoc. Znalazł jednak okno, wybił je i wszedł do środka, a potem wydostał mnie stamtąd.

- I przywiózł cię tutaj. Powinien był zostać, żebym mogła mu podziękować! - zawołałam.

- On nie chciał podziękowań. Ucieszył się, że mógł pomóc rodakowi w trudnej sytuacji.

- Obawiałam się, że coś takiego może się stać, odkąd zobaczyłam zwłoki tamtego mężczyzny, które wyciągnięto z kanału - powiedziałam z westchnieniem.

- Niektórzy tutejsi mieszkańcy są tak biedni, że zamordowaliby człowieka dla kilku lirów - przyznał.

- Och, Aubrey, wracajmy do domu. Nie chcę tu pozostać ani chwili dłużej.

- Zapominasz, jaki wspaniały miodowy miesiąc spędziliśmy tutaj.

- Ale to... to wszystko zepsuło - szepnęłam.

- Nie, moja najdroższa, nic nie może zepsuć tego, co już się wydarzyło. - Objął mnie ramieniem.

- Przyniosę ci trochę brandy. Jestem pewna, że jej potrzebujesz - nalegałam.

- W porządku. A potem razem się napijemy. Rozmawialiśmy o wydarzeniach tej nocy i o ciężkiej próbie, jaką oboje przeszliśmy. Nigdy dotąd nie czułam się taka bezsilna, taka zawstydzona własną ignorancją, bezradnością, niezdolnością do poradzenia sobie w trudnej sytuacji. Powtarzałam ciągle:

- Nie wiedziałam, co robić.

Uspokoił mnie. Wyglądał na bardzo zmęczonego.

- Chciałabym, żebyś poszedł rano do lekarza. Nie wiesz, co mogli ci zrobić - powiedziałam w końcu.

Pokręcił głową.

- Nie, nie. Jestem tylko lekko zszokowany. Wszystko wróci do normy, kiedy się dobrze wyśpię.

79

- Musisz zaraz się położyć.

Pomogłam mu się rozebrać i otuliłam go kołdrą, jakby był małym dzieckiem. Zamknął oczy i niemal natychmiast zasnął.

Leżałam obok niego, rozmyślając o wydarzeniach tego wieczoru, aż wreszcie i ja zapadłam w sen.

Obudziłam się nagle, gdy było jeszcze ciemno. Słabe światło jednej z lamp rozjaśniało pokój. Jakiś mężczyzna stał przy łóżku.

Usiadłam zaskoczona.

To był Aubrey. Ale nie ten, którego znałam. Było w nim coś dziwnego. Podszedł do mnie.

- Aubreyu... co się stało? - zawołałam.

- Obudź się, Zuzanno. Czas, żebyś się obudziła.

- Ale... - wyjąkałam.

Zdarł ze mnie pościel i chwycił za przód mojej koszuli nocnej. Była z cienkiego jedwabiu i rozdarła się z trzaskiem.

- Co... - zawołałam. - Co... ty robisz?...

Roześmiał się głośno - był to okropny, szyderczy śmiech, jakiego nigdy dotąd nie słyszałam. Jego ręce sprawiały mi ból. Pomyślałam, że może śnię, lecz zaraz potem zdałam sobie sprawę, że nie. Koszmarny sen z nocy przedślubnej stał się rzeczywistością.

Uczepiłam się strzępów mojej koszuli, starając się osłonić nimi nagość.

- Nie - powiedział. - Nie, Zuzanno. - Ręka mu się trzęsła, kiedy mnie pochwyił. - Dorośniesz dzisiejszej nocy. Musisz się nauczyć... musisz się nauczyć wielu różnych rzeczy. Jesteś już dużą dziewczynką. Oczywiście, zawsze nią byłaś... ale od tej chwili będziesz naprawdę dorosła... Pożegnaj niewinną Zuzannę. - Mówił w dziwny sposób i miał szkliste spojrzenie. Szamotałam się, ale mnie przytrzymał. Pomyślałam, że jest pijany lub oszalał. Coś mu się stało.

Dostałam mdłości. Nie znałam tego mężczyzny, którym stał się mój mąż. Był dla mnie obcy. Chciałam uciec. Ale dokąd? Czy mogłabym się zamknąć w jednym z pokoi... uciec pod opiekę służby?

Byłam bezradna... tak samo jak nieco wcześniej minionego wieczoru. Miałam wrażenie, że Aubrey wciąga mnie do innego świata, dziwnego i szalonego, gdzie wszystko jest tak krańcowo różne od tego, co uważałam za słuszne i prawdziwe.

Ale to był Aubrey - mój mąż, mężczyzna, którego przysięgłam kochać i nie opuścić aż do śmierci... na dobre i na złe, w zdrowiu i w chorobie. Zachorował. Muszę o tym pamiętać.

Wyśmiał mnie. Wysztydził moją niewinność - i zrozumiałam, że pragnie ją zniszczyć.

80

Zrobił to tamtej nocy. Byłam zdruzgotana. Leżałam bezwładnie, wyczerpana, przepełniały mnie strach i obrzydzenie.

Ten koszmar musiał trwać prawie dwie godziny. Nigdy go nie zapomniałam. Już nigdy nie miałam być taka sama jak przedtem. Moje ciało wydawało mi się nieczyste, zbrukane. Już nigdy nie odzyskałam dziecinnej niewinności, wiary, że świat i ludzie są dobrzy. Ja, która miałam namiętne usposobienie i rozkoszowałam się miłością, doświadczyłam wynaturzenia tego uczucia.

W końcu Aubrey był wyczerpany.

Podziękowałam za to Bogu. Mój mąż położył się do łóżka i niemal natychmiast zmorzył go sen.

Usiadłam przy oknie, patrząc na werandę i dalej na kanał. Czułam się oszołomiona i zagubiona. Nie wiedziałam, co powinnam zrobić. Czy mogę go opuścić? Jak zdołam wyjaśnić - nawet mojemu ojcu - co się stało? I dlaczego? Co przemieniło delikatnego, czułego kochanka w zdeprawowanego potwora? Sprawił, że znienawidziłam i jego, i siebie samą. Czułam się taka rozżalona, taka naiwna i niedoświadczona. Ten dzień stał się dla mnie prawdziwym szokiem. Zawsze uważałam się za samowystarczalną i zaradną, ale najwidoczniej się myliłam, gdyż kiedy znalazłam się w niezrozumiałej sytuacji, zdałam sobie sprawę, że jestem bezradna, bezużyteczna i pozbawiona wyobraźni.

Tej nocy coś się stało z Aubreyem. Co? Jak mógł się tak zachować? Nigdy dotąd nawet nie podejrzewałam istnienia takiej strony jego natury - zmysłowej i władczej: z całym zdeterminowaniem zapragnął uczynić ze mnie ofiarę - i to pogardzaną ofiarę. Nie miałam już żadnych wątpliwości, że mnie nie kocha. Czy ktokolwiek mógłby tak potraktować ukochaną kobietę? A przecież jaki był czuły i troskliwy podczas naszego miodowego miesiąca! Jak mnie uszczęśliwił! A potem nastąpiła ta przerażająca noc! To było niesamowite, nienaturalne, wydawało się, że jakiś przewrotny diabeł odmienił go z dnia na dzień.

Zapragnęłam uciec, chciałam się ukryć. Wykąpałam się o świcie, usiłując zmyć z siebie cały brud tego strasznego doświadczenia - jakby woda i mydło mogły to zrobić! Wryło mi się w serce tak mocno, że nigdy o nim nie zapomnę. Ubrałam się i wyszłam z pałacu.

Spacerowałam nad kanałem, gdy miasto dopiero się budziło. Znowu stanęłam przed trudnym dylematem. Co powinnam zrobić?

Wróciłam do pałacu.

Mój mąż już wstał. Uśmiechnął się do mnie tak, jak ten Aubrey, którego znałam przez pierwsze tygodnie naszego miodowego miesiąca.

81

- Zapragnęłaś porannego spaceru? Skinęłam głową. Nie mogłam na niego patrzeć.

- Czuję się całkiem dobrze tego ranka. Musiałem mocno spać - powiedział.

- Ty... nie spałeś w nocy - wyjąkałam.

- Naprawdę? Nie pamiętam. Co dziś będziemy robić? Zapomniałem cię zapytać, czy kupiłaś podarunki.

Ogarnęło mnie bezgraniczne zdumienie. Pomyślałam: on nic nie pamięta! Co to może znaczyć?

- Aubreyu, myślę, że powinieneś pójść do lekarza.

- Nigdy w życiu - zaprotestował. - Doskonale się czuję tego ranka. - Jego usta rozchylił czarujący, szczery uśmiech, który znałam tak dobrze. - Nie denerwuj się, bądź grzeczną dziewczynką. Nie psuj ostatnich dni naszego miodowego miesiąca.

- Aubreyu, czy ty nic nie pamiętasz? - spytałam. - W nocy... zachowywałeś się dość dziwnie. Na jego twarzy odmalowało się zakłopotanie. Dotknął ręką tyłu głowy.

- Naprawdę? Co mówiłem?

- Nie rozumiałam, o co ci chodziło. Byłeś... odmieniony - próbowałam mu wyjaśnić.

- Miałem koszmarne sny?

- Może to mnie się przyśnił - odrzekłam ponuro.

- Biedna Zuzanna. Bardzo źle się stało, że musiałaś się o mnie martwić. To dlatego tak się niepokoiłem. Moja przygoda w ciemnej uliczce to nic w porównaniu z tym, czemu ty musiałaś stawić czoło. Straciłem tylko sakiewkę.

„Kto mi kradnie worek, kradnie drań marną rzecz, która w tysiącnych była rękach, wpróż niż w moich...”\*

\* William Szekspir, „Otello”, akt III scena 3. przełożył Józef Paszkowski.

Chcę ci coś zaproponować: jeśli masz ochotę, po raz ostatni odwiedzimy nasze ulubione miejsca.

On nic nie pamięta! - pomyślałam. Co mu się stało? Uraz mózgu? Teraz zachowywał się jak Aubrey, którego zawsze znałam... aż do ostatniej nocy.

Czyżbym to sobie tylko wyobraziła? Ale jak mogłabym wyobrazić sobie coś, o czym nigdy nawet mi się nie śniło? Zresztą dowodem prawdziwości tamtych przeżyć było moje obolałe, posiniaczone ciało. Tak, Aubreyowi stała się jakaś krzywda. Cios w głowę? Po czymś takim ludzie mogą bardzo się zmienić.

Nie wolno mi wzdragać się przed kontaktem z nim. Muszę pamiętać o tym, co przysięgłam.

82

W zdrowiu i w chorobie...

Usłyszałam stukanie do drzwi. To była jedna ze służących.

- Signore, signora, colazione.

Nie wiem, jak przeżyłam tamten dzień, nie zdradzając swoich uczuć, ale starałam się zachowywać normalnie, jak gdyby nic niezwykłego się nie wydarzyło. Aubrey był dokładnie taki, jak przez cały nasz miodowy miesiąc, aż do owych strasznych godzin minionej nocy. Nie mogłam jednak o nich zapomnieć. Wspomnienia tej nocy raz po raz ożywały w mojej pamięci. Nigdy nie chciałam do nich wracać. Aubrey zdawał się nie zauważać, że coś mnie dręczy. Bałam się następnej nocy. Ale kiedy nastąpiła, był delikatny i troskliwy jak zwykle. Mogłoby się wydawać, że tamto koszarne wydarzenie nigdy nie nastąpiło.

Poczułam się trochę lepiej. Zastanawiałam się znowu, czy mogłam sobie to wszystko wyobrazić. Rozmawialiśmy przecież o strasznych torturach, jakie zadawano tym, którzy przeszli przez most Westchnień i zaginęli bez wieści. Ogarnęła mnie też obsesja na punkcie zamordowanego mężczyzny, którego ciało wydobyto z kanału. Czy to możliwe, że wyolbrzymiłam to, co się stało? Nie mogłam się uspokoić. Dręczyły mnie najgorsze obawy i złe przeczucia. Ale jak mogłam wymyślić praktyki, o których istnieniu nigdy nie słyszałam? Wenecja wywarła na mnie dziwny wpływ. Tyle miała w sobie piękna - i tyle grozy kryjącej się za nim.

Po powrocie do kraju będę mogła łatwiej ocenić to, co się wydarzyło. Niedługo spędzę jakiś czas z ojcem. Wiedziałam, że nigdy nie zdobędę się na to, by mu opowiedzieć o przeżyciach tej strasznej nocy, ale może zdołam znaleźć oparcie w jego trzeźwym spojrzeniu na życie i zdrowym rozsądku.

Teraz mogłam tylko zachowywać się tak, jak gdyby to nigdy się nie stało.

Aubrey nie chciał pójść do lekarza, ale obiecał mi, że zrobi to po powrocie do Minster; był jednak pewny, że nie stało mu się nic złego.

Ucieszyłam się, kiedy nadszedł ostatni dzień naszego pobytu w Wenecji.

Odrzuciłam propozycję Benedetta, który chciał posłać jedną ze służących do pomocy przy pakowaniu rzeczy. Powiedziałam, że chętnie zrobię to sama.

Wzięłam płaszcz Aubreya - ten, który miał na sobie, kiedy go napadnięto. Okrycie było brudne i nie nosił go od tej pory. Kiedy złożyłam płaszcz, wyczułam coś w kieszeni. Wyjęłam to coś.

83

Nie mogłam w to uwierzyć. To była sakiewka, dla której podobno go zaatakowano. Skórzana, bardziej podobna do torebki, ściąganej rzemykami i dodatkowo zaciśniętej złotym kółkiem. Coś zabrzączało, kiedy ją wyciągałam. W środku były pieniądze.

Policzyłam je. Niezła sumka - akurat tyle, by wystarczyło na całodzienne wydatki.

Nie mogłam tego zrozumieć.

Wysłałam na werandę, gdzie siedział Aubrey, czekając, aż skończę pakować nasze rzeczy. Pokazałam mu sakiewkę.

- Co to takiego? - spytał.

- Twoja sakiewka. Złodzieje jednak ci jej nie zabrali.

- Gdzie ją znalazłaś?

- W kieszeni płaszcza, który wtedy miałeś na sobie.

- To niemożliwe - zaoponował.

- Była tam. Dlaczego mieliby cię napaść, a potem nie zabrać ci sakiewki?

- Nie rozumiem dlaczego.

- Ja również. Nie zjrzałeś do kieszeni, by sprawdzić, czy ją zabrali?

Zmarszczył brwi.

- Kiedy odzyskałem przytomność... nie wiem, co wtedy zrobiłem. Może po prostu założyłem, że ją wzięli. Czuję się bardzo dziwnie, Zuzanno... Od tamtej pory czuję się trochę dziwnie.

- W takim razie powinieneś pójść do lekarza.

- Gdy tylko wrócimy do domu - obiecał. Oddałam mu sakiewkę.

- Jak ci się zdaje, dlaczego cię zaatakowali, skoro to nie był rabunek? - spytałam.

- To musiał być rabunek.

- Dlaczego w takim razie nic nie wzięli? - nie ustępowałam.

- Może ktoś ich spłoszył?

- Czemu więc zanieśli cię do jakiejś chaty i tam zamknęli? - pytałam dalej.

- Któż może znać motyw, jakimi kierowali się owi łajdacy? W każdym razie cieszę się, że nie straciłem tej sakiewki. Lubię ją.

Wziął ode mnie sakiewkę i rzucił na krzesło. Pieniądze zabręczały i Aubrey wybuchnął śmiechem.

- W takim razie jestem bogatszy, niż sądziłem!

- Skończę pakować bagaże - oświadczyłam.

A robiąc to, pomyślałam: To wszystko jest bardzo dziwne. Jak to dobrze, że już wracamy do Anglii.

Rozdział Trzeci.

Świątynia szatana.

Kiedy przepłynęliśmy kanał La Manche i dostrzegłam majaczące w oddali białe klify Anglii, odzyskałam poczucie rzeczywistości. To, co się stało tamtej nocy, było rezultatem ciosu w głowę, który zadali Aubreyowi weneccy rabusie. Na pewien czas zmienił mu się charakter. Uważałam, że takie rzeczy się zdarzają. A sakiewka? Niepokoiło mnie to trochę. Ktoś zaskoczył bandytów i być może obawiając się, że zabili Aubreya, odciągnęli go z tamtego miejsca, ukryli w chacie i uciekli. Naturalnie były to niczym nieoparte domysły. Musiałam jednak spróbować znaleźć jakieś wyjaśnienie tej sprawy, jeśli miałam się normalnie zachowywać, oszukując samą siebie, że między nami nic się nie zmieniło. Oczywiście, że się zmieniło. Musiałam jednak na trzeźwo rozważyć naszą obecną sytuację. Byłam żoną Aubreya, połączoną z nim więzami małżeńskimi; bez względu na to, co zrobił, spróbuję wypełniać swoje obowiązki. Nie powinnam pogardzać mężem tylko z powodu jednego incydentu, który mógł być rezultatem zaburzeń psychicznych. W dziwnych okolicznościach w ludzkich umysłach dzieją się dziwne rzeczy.

Musiałam postępować bardzo ostrożnie.

Spędziliśmy noc u mego ojca przed powrotem do Minster. Bardzo się ucieszył na nasz widok, więc nie zamierzałam niepokoić go wiadomością o tym, że w moim małżeństwie coś jest nie tak.

Był bardzo zadowolony. Polly i Jane okazały się prawdziwymi skarbami, a dom znajdował się dostatecznie blisko Ministerstwa Wojny, gdzie ojcu dobrze się pracowało. Wyglądało na to, że jest znacznie szczęśliwszy w Londynie niż w Indiach - nawet jeśli musiał zamienić czynną służbę na posadę urzędnika.

85

Bardzo mu się spodobał talerz z wizerunkiem Dantego, który powiesiliśmy na ścianie w gabinecie, gdzie ojciec mógł go widzieć codziennie.

Potem Aubrey i ja pojechaliśmy do Minster. Amelia była zachwycona bransoletą. Dobrze wyglądała, z jej ciążą wszystko było w porządku, a nawet, co jeszcze bardziej cieszyło moją szwagierkę, Stephen czuł się trochę lepiej. Lekarze oświadczyli, że wieść o mającym przyjść na świat dziecku zdziałała cuda.

Zapytałam Amelię, czy jej zdaniem Stephen może wyzdrowieć.

Spoważniała i pokręciła głową.

- To nadal tam jest. Urośnie, a potem nagle nadejdzie koniec. Ale przynajmniej nie cierpi i chcę, żeby przeżył szczęśliwie ostatnie miesiące. Modlę się, by pożył dostatecznie długo, aby zobaczyć dziecko.

- Ja również będę się o to modlić - odrzekłam.

Stephen ucieszył się, że pamiętaliśmy o nim podczas naszego miodowego miesiąca.

Powiedział, że jest zachwycony talerzem z wizerunkiem Rafaela.

- Skąd wiedziałas, że zawsze bardzo podziwiałem jego dzieła? - spytał.

- Intuicja - oświadczyłam.

Bardzo go polubiłam i uważałam, że odwzajemniał moją sympatię. Przychodziłam do niego na krótko codziennie i Amelia potwierdziła, że moje wizyty dobrze mu robią. Odkryłam, iż bardzo kochał muzykę, sztukę i literaturę. Był znacznie poważniejszy od Aubreya i z czasem zrozumiałam, że uważa swego młodszego brata za człowieka nieobliczalnego, którego zawsze trzeba mieć na oku.

Dał mi do zrozumienia, że robił to w przeszłości, a teraz przekazuje mi ten obowiązek, gdyż ma do mnie całkowite zaufanie.

- Cieszę się, że będziesz tu mieszkać. Opiekuj się Amelią.

- Myślę, że ona sama świetnie sobie poradzi.

- Cieszę się, że będziesz tu mieszkać - powtórzył. - Masz silny charakter.

Silny charakter! Przypomniałam sobie, jak bezradnie usiłowałam coś postanowić po zaginięciu Aubreya, pomyślałam o owej straszliwej próbie, jakiej mnie poddał; w dodatku nadal nie wiedziałam, co mam o tym wszystkim sądzić. Byłam słaba... uległa wobec życia... odsuwałam od siebie to, czemu, jak dobrze wiedziałam, powinnam lepiej się przyjrzeć - i nie potrafiłam się do tego zmusić z obawy przed wszystkim, co mogłabym zobaczyć.

A Stephen nazwał mnie silną! Gdybyż tylko wiedział! Ale jak mogłabym mu o tym powiedzieć? Czy kiedykolwiek zdobędę się na to, by komuś to wyjawić?

86

- A kiedy dziecko się urodzi - ciągnął mój szwagier - na pewno je pokochasz. Może będziesz miała własne dzieci. Pragnę, żebyś uważała nasze - Amelii i moje - za własne.

- Oczywiście - zapewniłam go.

Rozmawialiśmy o napadzie na Aubreya. W końcu trzeba było ujawnić ten incydent. Lekarz obejrzał mojego męża, tak jak nalegałam, i orzekł, że uderzenie w głowę nie wyrządziło mu krzywdy.

Pewnego dnia Stephen powiedział mi, jak bardzo pragnął za młodu podróżować.

- Nigdy nie miałem na to czasu - westchnął. - Posiadłość zabrała mi wszystkie wolne chwile.

Dlatego podróżowałem... w marzeniach. Kiedy nie mogłem zasnąć, czytałem po nocach.

Książki były moim czarodziejskim latającym dywanem. Indie... Arabia... zwiedziłem je. Mam trochę pięknych książek. Pewien mój przyjaciel napisał jedną czy dwie. Powinnaś je przeczytać. Wiesz co nieco o Indiach.

- No cóż, spędziłam tam dzieciństwo... aż do ukończenia dziesięciu lat. Kiedy wróciłam jako dorosła, wydały mi się zupełnie inne.

- To naturalne. Słyszałaś coś o wielkim Richardzie Burtonie\*?

\* Sir Richard Francis Burton (1821-1890) - angielski podróżnik i badacz; uczestniczył w wyprawie do Afryki; współodkrywcą jeziora Tanganika, zdobywca głównego szczytu masywu Kamerun, Fako, 4070 m.

- Masz na myśli tego podróżnika?

- Właśnie. Napisał sporo książek o swoich wyprawach do Indii i Arabii. Są fascynujące. Żył między tubylcami jak jeden z nich. Przypuszczam, że tylko w ten sposób można ich poznać. Wyobraź sobie mnie, jak w fotelu przeżywam wraz z autorem jego przygody. Píše tak barwnie, że można myśleć, że jest się z nim w tym miejscu. Przebierał się w stroje krajowców i wędrował do różnych plemion. Jego relacje są wspaniałe. Powinnaś je przeczytać. Podejdź do półek, a zobaczysz jego książki.

Przeszłam na drugą stronę pokoju.

- Trzymam tam moje ulubione pozycje - ciągnął - teraz, kiedy jestem unieruchomiony. Zobaczyłam kilka prac Richarda Burtona, ale inna książka zwróciła moją uwagę. Nazwisko autora na grzbiecie brzmiało: „Doktor Damien”. Już kiedyś je słyszałam.

- Doktor Damien - powiedziałam, podnosząc ten tom.

- O, tak. To mój stary przyjaciel. To wielbiciel i przyjaciel Burtona. Podróżowali razem. Burton jest dyplomatą, Damien zaś lekarzem. Bardzo interesuje się niekonwencjonalnymi metodami leczniczymi.

87

Jest ekspertem od narkotyków. Obaj przeżyli sporo niezwykłych przygód. Ich książki to fascynująca lektura. Oczywiście, trzeba zapomnieć o pewnych standardach obowiązujących tu, w wiktoriańskiej Anglii. Burton żył jak Arab i naprawdę został muzułmaninem. Ma ciemne włosy i cerę... obaj mają... i dzięki temu mogli się przebierać. Złotowłosi, niebieskoocy mężczyźni nie zdołaliby tak łatwo wędrować po Indiach lub po pustyniach Arabii! Burton zaczął jako zwykły żołnierz. Był to jedyny sposób dostania się do Indii. Tam ożenił się z tubylczą kobietą... nazywają je babu, w odróżnieniu od bibi, białej żony. Ale oczywiście nie każda żona chciała podróżować ze swoim mężem na koniec świata, więc patrzono przez palce na babu. Burton przejął wszystkie obyczaje krajowców. No cóż, przeczytaj jego książki.

- A co z tym... Damienem?

-Przeczytaj też jego relację. Dużo podróżował... przebierał się za wędrownego handlarza, gdyż wówczas mógł wędrować wszędzie niepytany... lub za ulicznego sprzedawcę, by siedzieć na placach targowych i słuchać. Postawił sobie wielki cel: odkrycie nowych narkotyków, a także ludowych leków, o których nigdy dotąd nie słyszano w Anglii... żeby leczyć nimi chorych.

- To cel wart zachodu - odrzekłam.

- Damien jest bardzo oddany swojej sprawie. Bardzo rzadko go teraz widuję. Prawie nie przyjeżdża do Anglii. Ale kiedy się spotykamy, znów jesteśmy takimi samymi wielkimi przyjaciółmi.

- Zdaje się, że już gdzieś słyszałam to nazwisko. Nie pamiętam gdzie. Wezmę książkę Burtona i twojego doktora Damiena.

- Weź. A kiedy je przeczytasz, porozmawiamy o nich. Będę czekał na tę chwilę.



Odeszłam z książkami i zabrałam się do czytania. Całkowicie mnie zafascynowały. Nic nie powstrzymywało obu podróżników. Żyli jak tubylcy, przestrzegali zwyczajów koczowniczych plemion i w pewnych wypadkach postępowali dość niekonwencjonalnie, nazywając to bez ogródek. Przeczytałam o działaniu pewnych narkotyków; o gwałtownym pożądanym, jakie powodowały; a dzięki własnym przeżyciom z tamtej nocy z Aubreyem mogłam sobie to wszystko dobrze wyobrazić.

Dorosłam. Straciłam spokój ducha i samozadowolenie. Przekonałam się, że na świecie istnieją sprawy, o których nie mam zielonego pojęcia. Mogłam czytać między wierszami w obu tych książkach. Burton i doktor Damien przeżyli niezwykle przygody.

Nigdy nie miałam okazji porozmawiać o ich książkach ze Stephenem, ponieważ kilka dni później nagle mu się pogorszyło.

88

Stało się tak, jak powiedział lekarz. Nie mógł wyzdrowieć; i mogliśmy tylko mieć nadzieję, że koniec, kiedy nadejdzie, będzie szybki i bezbolesny.

Przez jeden dzień chory czuł się znacznie gorzej niż zwykle i zmarł w nocy.

Amelia była bardzo smutna, ale pogodziła się z losem. Myślę, że perspektywa narodzin dziecka dodawała jej sił i odwagi, by stawić czoło przyszłości.

W Minster zatrzymało się kilka osób - a wśród nich Jack Saint Clare i jego siostra Dorothy. Amelia powiedziała mi, że byli bliskimi krewnymi Stephena. Jack owdowiał przed kilku laty, a jego siostra Dorothy, stara panna, prowadziła mu dom. Najwyraźniej bardzo lubili Amelię, a ona ich. Uznałam oboje za bardzo miłych i od razu ich polubiłam, ale odniosłam wrażenie, że nieco krytycznie odnoszą się do Aubreya.

Pogrzeby to przygnębiające uroczystości. Dźwięk kościelnych dzwonów jest taki ponury. Później wydawało mi się, że zgromadzenie żałobników w wielkiej sali trwało stanowczo za długo i ucieszyłam się, kiedy goście odjeżdżali.

Stałam w drzwiach z Amelią, żegnając ich. Wielu z nich zobaczyło mnie wówczas po raz pierwszy i jestem pewna, że widoczne przywiązanie, jakie okazywała mi szwagierka, nastawiło rodzinę Saint Clare'ów do mnie przychylnie.

Jack Saint Clare i jego siostra objęli czule Amelię i powiedzieli, że powinna przyjechać do nich na jakiś czas. Obiecała, że to zrobi.

Później Aubrey opowiedział mi o nich.

- Zarówno Jack, jak i Dorothy spędzili w dzieciństwie sporo czasu w Minster - wyjaśnił. - Myślę, że są do niego przywiązani i żywią pewien żal. Jack na pewno chciałby odziedziczyć rodowy majątek i dom. I serce mu się ściska na wspomnienie, że kiedyś miał taką szansę.

- Chyba bardzo lubi Amelię - zauważyłam.

- Zawsze ją lubił. No cóż, ona jest teraz wdową... a on wdowcem.

- Jeszcze za wcześnie na swaty - zauważyłam.

- Oczywiście, ty zawsze wiesz, co jest stosowne, a co nie.

Te słowa mnie zaskoczyły. Były jak echo tamtej strasznej nocy.

Ale Aubrey uśmiechał się do mnie czule, objął mnie ramieniem i pocałował w czoło.

Pragnęłam o wszystkim zapomnieć. To były tylko chwilowe zaburzenia psychiczne z powodu uderzenia w głowę.

89

Wkrótce potem przekonałam się, że jestem w ciąży. Musiało do tego dojść w czasie naszego miodowego miesiąca w Wenecji. Bardzo mnie to ucieszyło. Macierzyństwo bardziej niż cokolwiek innego mogło wymazać z mojej pamięci okropne wspomnienia owej nocy.

Pochłonęłam mnie tak, że nie będę miała czasu na rozmyślanie o ponurych sprawach. Moje dziecko! Byłam wzruszona do głębi i zachwycona.

Niebawem moje oczekiwania zostały potwierdzone przez lekarza.

Aubrey nie posiadał się z radości, ale niemal natychmiast powiedział:

- Nasze dziecko nie będzie dziedzicem Minster z powodu dziecka Amelii.

- Dwoje dzieci w jednym domu, czy to nie będzie cudowne?! - zawołałam do mojej szwagierki.

Amelia zgodziła się ze mną i jeszcze bardziej zbliżyłyśmy się do siebie. Spędzałyśmy długie godziny, rozmawiając bez przerwy o dzieciach. Bardzo o siebie dbała, gdyż postanowiła, że ta ciąża nie zakończy się poronieniem. Lekarz zalecił jej nieco ruchu, choć nie za dużo. Musiała też odpoczywać każdego popołudnia.

Miała zwyczaj leżeć na łóżku w sypialni, ja siedziałam obok i rozmawiałyśmy o czasach, kiedy nasze dzieci przyjdą na świat.

Odnawiano pokoje dzieciinne. Dyskutowałyśmy o wyprawkach dla niemowląt i pościeli do łóżeczek - teraz już dwóch.

Tego właśnie potrzebowała Amelia, żeby ukoić smutek po stracie Stephena. Cieszyłam się razem z nią - i sama też czułam się szczęśliwa. Lubiła przebywać ze mną bardziej niż z kimkolwiek innym, gdyż, co było naturalne, rozumiałam i podzielałam jej radość.

Nigdy nie zapomnę tego dnia.

Wszyscy zjedliśmy razem śniadanie - Aubrey, Amelia i ja. Rano dokuczały mi mdłości.

Amelia bardzo mi współczuła. Powiedziała, że ten etap ma już za sobą.

Oznajmiła, że lekarz chciał ją zbadać i że wybiera się do niego tego ranka. Zamierzała pójść tam pieszo i polecić stajennym, żeby wysłano po nią powóz.

- Ja cię zawiozę - zaproponował Aubrey.

- Dziękuję ci - odrzekła - ale potrzebuję trochę ruchu. Wystarczy mi spacer, pod warunkiem, że przywieżą mnie z powrotem. Dobrze się czujesz, Zuzanno?

- Mdlí mnie znowu.

- Połóż się. To minie.

Aubrey poszedł ze mną na górę do naszego pokoju. Na jego twarzy malował się niepokój.

90

- Nie przesadzaj, to normalne - uspokoiliam go.

Położyłam się i zaraz poczułam się lepiej. Przeczytałam jedną z fascynujących książek, które dał mi Stephen, i ranek szybko przeminął.

Było chyba południe, kiedy usłyszałam jakiś zgiełk, podeszłam do okna i zobaczyłam powóz lekarza oraz Amelię, którą wnoszono do domu na noszach.

Zbiegłam w dół po schodach.

- Zdarzył się wypadek - wyjaśnił doktor. - Zabierzemy natychmiast panią Saint Clare do sypialni.

- Wypadek... - szepnęłam.

- Pani mężowi nic nie jest. Jedzie tu powozem, więc może się pani przekonać, że wszystko w porządku.

Byłam oszołomiona. Chciałam zapytać, co się stało, ale przede wszystkim musiałam zająć się szwagierką.

Na jej ustach pojawił się lekki uśmiech i w duchu podziękowałam Bogu, że Amelia żyje.

Ze łzami w oczach odwróciłam się do lekarza.

- Nie jest poważnie ranna - uspokoił mnie.

Na twarzy Amelii malował się ogromny strach i rozumiałam dlaczego. Myślała o swoim dziecku.

- Powinna teraz odpocząć - powiedział lekarz. - Zaczekam i porozmawiam z pani mężem.

Nalegał, że sam przyprowdzi powóz.

- Nie rozumiem... - zaczęłam.

Aubrey właśnie wjeżdżał na podjazd swoim powozem. Wybiegłam do niego.

- Wszystko w porządku! - zawołał. - Nie ma się czego bać. Mieliśmy wypadek i to wszystko. Siwki nagle czegoś się przestraszyły i poniosły. Udało mi się jednak je zatrzymać.

- Amelia... - wyszeptałam.

- Nic jej nie będzie. To naprawdę nic takiego...

- Ale... w jej stanie... - wyjąkałam.

- Takie rzeczy już się zdarzały. To mógł być poważny wypadek, lecz do tego nie dopuściłem. Trzeba będzie naprawić powóz, bo się przewróciliśmy. Jeden bok jest uszkodzony, a farba zdarta w kilku miejscach.

- Powóz nie ma tu nic do rzeczy! - odparłam ostro. - Chodzi mi o Amelię. - Znowu przypomniałam sobie tamtą noc w Wenecji. To z powodu wyrazu jego oczu. - Myślałam, że jeden ze stajennych wyjedzie po nią dwukółką.

- Tak zostało ustalone. Ale potem zdecydowałam, że sam po nią pojedę.

91

- Aha! - odpowiedziałam obojętnie.

- Nic się nie martw. Wszystko jest w porządku. To naprawdę nic takiego. Niewielki wypadek. Szybko postawiliśmy powóz, a ja uspokoiłem siwki.

Mylił się i to bardzo. Amelia straciła dziecko.

Siedziałam obok niej, lecz nie mogłam jej pocieszyć. Po prostu leżała bez słowa i nie obchodziło jej, czy żyje, czy umarła.

- Myślałam, że jeden ze stajennych wyjedzie po mnie dwukółką z kucami. Nigdy nie powinnam była wsiąść do tego powozu - powiedziała w końcu.

- Aubrey doskonale powozi. Myślę, że nie dopuścił do gorszego wypadku.

- Nie mogło być nic gorszego - zaprzeczyła z bólem. - Straciłam dziecko.

- Och, Amelio... Moja droga Amelio, jak mogę cię pocieszyć?

- Nie możesz - szepnęła.

- Chyba tylko mówiąc ci, że bardzo ci współczuję i całkowicie cię rozumiem. Nikt nie mógłby lepiej cię zrozumieć.

- Wiem - odrzekła cicho. - Ale nikt i nic nie może mi pomóc. To koniec wszystkich moich nadziei. Straciłam Stephena. Straciłam dziecko. Nic mi już nie pozostało.

Siedziałam obok niej w milczeniu.

Kiedy znalazłam się sam na sam z Aubreyem, nie ukrywał swoich uczuć.

- Pomyśl, co to oznacza dla nas. Spojrzałam na niego z przerażeniem.

- Jak możesz tak mówić?! Zdajesz sobie sprawę, że Amelia cierpi?

- Przeżyje to - odparł sucho.

- Aubreyu, ona straciła dziecko. Dziecko, które było dla niej wszystkim.

- Zawsze traciła dzieci. Należało się tego spodziewać - ciągnął dalej tym samym tonem.

- Ale gdyby nie ten wypadek... - zaczęłam i urwałam.

- Byłoby coś innego. To dziecko nie żyje i już nam nie zagraża.

- Zagraża? - wykrztusiłam.

- Najdroższa, nie bądź taka naiwna. Jej dziecko stało na drodze naszemu do objęcia dziedzictwa Saint Clare'ów. No cóż, ta przeszkoda zniknęła - wyjaśnił spokojnie.

- Nie chcę o tym myśleć w ten sposób.

92

- Są takie chwile, kiedy zdradzasz całkowitą nieznajomość świata, kochanie - powiedział z wyrzutem.

- Spodziewam się, że tak się zdarza, a jeśli to jedna z takich chwil, to się cieszę. Z całego serca pragnę, żeby to nigdy się nie wydarzyło - odparłam gorąco.

Wziął mnie za ramiona i potrząsnął mną, na poły żartobliwie, ale dostrzegłam coś jeszcze w jego oczach.

- Oczywiście, że współczuję Amelii. To taki cios dla tej biedaczki. Ale nie zmienia to faktu, że ten wypadek ułatwił nam sytuację. Musisz to zrozumieć. Teraz mogę układać plany na przyszłość. Chyba nie zdajesz sobie sprawy, jaka jest obecnie moja pozycja w świetle prawa. Już nie może mnie odsunąć ktoś, kto się jeszcze nie narodził. Tak miało być, to dlatego wróciłem do domu.

- Ale mimo wszystko kiedy pomyślę, co to oznacza dla biednej Amelii... - nie ustępowałam.

- Pogodzi się z tym. Prawdopodobnie znów wyjdzie za mąż i będzie miała gromadkę innych dzieci, a wtedy strata tego jednego przestanie być już dla niej taka ważna. Wiem, że nie przyjdzie jej to łatwo. Pragnęła zatrzymać ten majątek, to oczywiste. Wydaje się jednak niewłaściwe, żeby dom, który był tak długo w posiadaniu Saint Clare'ów, miał przejść na kogoś innego. Przecież Amelia nie należy do rodziny... weszła do niej tylko dzięki małżeństwu. A co do tego dziecka... No cóż, trudno jest się smucić tylko dlatego, że się nie narodzi, ponieważ dzięki temu nikt nigdy nie wysunie pretensji do mojej rodzinnej posiadłości.

- Mówisz to z triumfem - zauważyłam.

Znów wziął mnie za ramiona z wyrazem czułości i zniecierpliwienia na twarzy i ponownie poczułam znajomy dreszcz strachu. Czy to się nigdy nie skończy? Czy zawsze będę musiała mieć się na baczności, w obawie że z Aubreya wychynie ów człowiek, którego zobaczyłam tamtej nocy?

- Nie triumfuję, tylko nie jestem hipokrytą, a byłbym nim, gdybym ci powiedział, że się cieszę, iż ktoś sprzątnął mi sprzed nosa moje dziedzictwo. Skłamałbym, twierdząc, że się nie cieszę, iż wraca do mnie. Po prostu jest mi przykro, że to stało się w taki sposób, i to wszystko.

Uśmiechał się do mnie łagodnie, ale błysk w jego oczach nadal mnie niepokoił. I pewne podejrzenie wkradło się do mojej duszy. Aubrey pojechał, żeby przywieźć Amelię do domu. Dlaczego nie posłał któregoś ze stajennych dwukółką? Wcale nie pragnął towarzystwa szwagierki. Mimo to pojechał po nią sam. Przypomniałam sobie, jaki był dumny ze swoich umiejętności powożenia...

93

a przecież doszło do wypadku... kiedy Amelia z nim jechała. I wiedział równie dobrze jak wszyscy, że miała trudności z donoszeniem ciąży i że lekarz zabronił jej się przemęczać w jakikolwiek sposób.

Nie, pomyślałam. Nie mogę pozwolić, żeby moje myśli biegły tym torem... tylko z powodu pewnej nocy, kiedy ujrzałam drugą stronę natury mego męża. Uderzono go w głowę i nie był sobą... tamtej nocy. Nie powinnam myśleć o najgorszym... chociażby przez wzgląd na mnie samą. Ale jak można odpędzać natrętne myśli, które kłębią się w głowie?

Nie minęły dwa tygodnie, kiedy Amelia postanowiła złożyć wizytę Jackowi i Dorothy Saint Clare'om w Somerset. Powiedziała, że musi wyjechać z Minster, i odrzekłam, że ją rozumiem. Czasami widziałam, jak dziwnie patrzy na Aubreya, i zadawałam sobie pytanie, czy przyszła jej do głowy ta sama myśl, która nie dawała mi spokoju?

Cieszyła się, że wyjeżdża, i myślę, że mój mąż pożegnał ją z ulgą. Może ja również. Jej obecność bez przerwy przypominała mi o podejrzeniach, od których tak bardzo starałam się uwolnić, aby żyć normalnie, a nawet przekonać siebie samą, że wyobraziłam sobie większą część koszmaru, jaki się wydarzył tamtej nocy.

Nie chciałam, żeby cokolwiek wtargnęło do moich myśli o dziecku, które nosiłam w łonie. Pojechałam do Londynu i spędziłam tydzień z ojcem. Ucieszył się na mój widok i zachwycił go perspektywa, że zostanie dziadkiem.

Wyglądał na trochę zmęczonego. Polly powiedziała mi, że za ciężko pracuje. Przynosił dokumenty do domu i siedział w swoim gabinecie do późna w nocy, kiedy ona i Jane już położyły się spać.

Zasypałam go wymówkami z tego powodu, lecz odpowiedział, że raporty i praca nabrały dlań ogromnego znaczenia, ponieważ nie może dłużej działać w służbie czynnej, a nadmiar zajęć nigdy nie szkodzi tym, którym sprawia przyjemność.

Zapragnął szczegółowej relacji o wszystkim, co się wydarzyło. Opowiedziałam mu o sympatyczniejszej stronie mojego życia, ale oczywiście musiałam wspomnieć, że Amelia straciła dziecko; a papa powrócił do napadu na Aubreya w Wenecji.

- To niespokojne miasto - oświadczył. - Nie przypuszczam, żeby Austriacy długo utrzymali nad nim władzę. W takich warunkach zawsze dochodzi do głosu przemoc. Powinniście byli wybrać jakieś inne miejsce na swój miodowy miesiąc - chociaż przyznam, że z trudem znaleźlibyście bardziej romantyczną scenerię.

- A skoro już o tym mowa - podjęłam - kiedy poszłam po zakupy...

- Z dobrym rezultatem - wtrącił ciepło, spoglądając na wiszący na ścianie talerz, gdyż znajdowaliśmy się w gabinecie.

- Aubrey sam wybrał się z wizytą do Freelingów, ja nie miałam ochoty tam iść, i właśnie wtedy został napadnięty.

- Freelingowie... - powtórzył powoli ojciec.

- Tak. Przyjechali na wycieczkę do Wenecji. O ile wiem, kapitan Freeling wystąpił z wojska. Uznałam to za dość dziwne.

Papa milczał kilka chwil, a potem powiedział:

- Tak, coś o tym słyszałam. Miał jakieś kłopoty. Widząc, że się waha, zapytałam niecierpliwie:

- Tak? Jakie?

- No cóż, to tajemnica. Dowództwo nie chciało awantur i skandalu. Mogłoby to zaszkodzić reputacji pułku i tak dalej. Zmuszono go do rezygnacji.

- Co takiego zrobił? - pytałam dalej.

- Mówiono coś o szalonych zabawach... przyjmowaniu narkotyków i tak dalej. Najwidoczniej uczestniczyła w tym pewna grupa ludzi. Zamieszany był w te rzeczy jeszcze jeden oficer i kilku rezydentów... nie personel wojskowy. Dlatego nie można było ich tknąć. W każdym razie postanowiono nie nadawać całej sprawie rozgłosu... rozumiesz, z powodu armii. Wiesz, jak prasa wyolbrzymia takie historie. Na pewno usłyszeliśmy, że armia brytyjska zażywa narkotyki i urządza orgie.

- Jakie to musiało być straszne dla kapitana Freelinga - szepnęłam.

- W głębi duszy myślę, że znajdował się pod wpływem żony, którą zawsze uważałam za płochą i raczej głupią kobietę. Nie wspominaj o tym nikomu. Niech pozostanie w rodzinie. Informacje o takich sprawach łatwo przedostają się do prasy. Nawet tobie nie powinienem był o tym wspomnieć. Wiem jednak, że mogę ci zaufać i że zachowasz milczenie.

- Oczywiście. Jakie to były narkotyki? I powiadasz, że pewni ludzie byli w to zamieszani... osoby spoza pułku.

- Tak. Niewielka grupa. Myślę, że przede wszystkim zażywali opium. Należał do niej jakiś tajemniczy jegomość, który podobno pisał książkę o narkotykach lub coś w tym rodzaju. Nie było go tam wówczas, ale wymieniano jego nazwisko.

- Jak się nazywał?

- Och... zapomniałem.

Wróciłam myślą do pamiętnej rozmowy z ayah. Co powiedziała o jakimś mężczyźnie? Nazwała go diabłem.

- Niebezpiecznie jest eksperymentować z tymi rzeczami - ciągnął mój ojciec. - Nie mogliśmy pozwolić, żeby jeden z naszych ludzi... i w dodatku ktoś na odpowiedzialnym stanowisku... nie znaczy to, że oni wszyscy nie zajmują odpowiedzialnych stanowisk... ale pod wpływem tych narkotyków ludzie dziwnie się zachowują i gdy je biorą, zdolni są... po prostu do wszystkiego.

Ogarnął mnie wielki niepokój i omal nie opowiedziałam ojcu o tamtym koszmarnym przeżyciu, kiedy Aubrey wrócił do domu późną nocą. Wybrał się do Freelingów. Znalazłam sakiewkę w jego kieszeni - sakiewkę, z powodu której mieli go zaatakować bandyci. Dziwne myśli przyszły mi do głowy - niejasne i trwożne. Może gdybym nie była w ciąży, rozważyłabym dokładnie podejrzenia; ale ciężarną kobietę pochłania tylko jedno: mające się narodzić dziecko. A ja na pewno miałam obsesję na jego punkcie.

Robiłam wielkie zakupy. Ojciec nalegał, żebym zabrała ze sobą Jane lub Polly. Przypomniał mi, że są rdzennymi mieszkankami Londynu i jak wszyscy w tym wielkim mieście mają dość sprytu oraz gruntowną wiedzę o niebezpieczeństwach zagrażających nowo przybyłym w stolicy.

Towarzystwo obu służących sprawiło mi prawdziwą przyjemność i dobrze się bawiłyśmy, kupując wyprawkę dla mojego dziecka. Wróciłam do Minster w świetnym humorze. Tylko od czasu do czasu przypominałam sobie to, co usłyszałam o Freelingach, i na chwilę powracałam myślami do tamtej strasznej nocy. Przypuszczam, że nie chciałam drażnić tematu, co było do mnie niepodobne. Normalnie nie zaznałabym spokoju, póki nie wyjaśniłabym dziwnego zachowania Aubreya po spotkaniu z Freelingami, których zmuszono do opuszczenia Indii. Ale przez cały czas myślałam o swoim dziecku; a ponieważ Aubrey zachowywał się bez zarzutu, jak oddany mąż i zachwycony przyszły ojciec, łatwo odpędziłam wszystkie nieprzyjemne myśli.

Przez większość dnia przebywał poza Minster i tak naprawdę rzadko go widywałam.

Wcześniej kładłam się do łóżka, ponieważ pod koniec dnia byłam bardzo zmęczona. Często już spałam, kiedy przychodził do sypialni.

Amelia wróciła z odwiedzin u kuzynostwa Saint Clare'ów i wyglądała teraz znacznie lepiej.

- Byli dla mnie tacy mili - mówiła. - Zawsze ich lubiłam. Odwiedzali nas bardzo często.

Stephen też był do nich przywiązany. 96

- Później zaś dodała: - Zuzanno, myślę, że opuszczę Minster. Przecież tak naprawdę teraz nie ma tu dla mnie miejsca.

- Droga Amelio, przecież to twój dom. Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytałam cicho.

- Stał się moim domem dopiero wtedy, kiedy wyszłam za Stephena. Teraz Stephen nie żyje, a Minster ma nowego pana i panią. Rozumiesz, co mam na myśli.

- Nie - zaprzeczyłam stanowczo. - To jest twój dom i będzie nim tak długo, jak tylko zechcesz.

- Wiem, że powiedziałaś to szczerze, i kiedy stąd odjadę, będzie mi cię brakowało. Tak dobrze było nam ze sobą od samego początku, prawda? Ale teraz po prostu czuję, że mogę być szczęśliwsza ... gdzie indziej. Za dużo tu wspomnień. Stephen... dzieci, które straciłam. Sądzę, że powinnam rozpocząć nowe życie.

- A dokąd zamierzasz się udać? - spytałam.

- Właśnie o tym chciałam ci powiedzieć. W Somerset jest mały domek... bardzo blisko Jacka i Dorothy. Obejrzałam go. Dama, do której należy, za kilka miesięcy wyjedzie do krewnych. Zamieszka gdzieś na północy i chce go sprzedać. No cóż, Zuzanno, zaproponowałam, że go kupię.

- Och, Amelio, jak bardzo będzie mi ciebie brakowało! - wykrzyknęłam.

- Możesz tam przyjechać i zostać dłużej. Ty i twoje dziecko... Ogarnął mnie lęk. Aż do tej chwili nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo za nią tęskniłam i oczekiwałam jej powrotu.

- Och, Zuzanno... nie przypuszczałam, że tak bardzo się tym przejmiesz! - powiedziała.

- Uważam cię za przyjaciółkę - odrzekłam.

- Jestem i będę nią zawsze. To niedaleko stąd. Będziemy do siebie pisały i odwiedzały się często. Można by pomyśleć, że wyjeżdżam na koniec świata.

- Lubiłam myśleć o tobie... w tym domu - wyznałam. Uśmiechnęła się do mnie.

- Zostanę tu aż do narodzin dziecka - przyrzekła. - Obiecałam to sobie.

- Będiesz jego matką chrzestną.

Skinęła głową. Myślę, że była zbyt wzruszona, by coś powiedzieć.

Kolejne miesiące mijały spokojnie. Pierwsze trzy były najgorsze. Miałam mdłości tak często, że spędzałam większość czasu w sypialni.

Aubrey usunął się w cień i rzadko go widywałam, co mi odpowiadało. Wyobrażałam sobie, że brzydzi się chorobami, i cieszyłam, że zostawia mnie w spokoju.

97

Nie chciałam myśleć o jego dziwnych powiązaniach z Freelingami. Uważałam, że złe myśli mogą zaszkodzić mojemu dziecku.

Amelia często mi towarzyszyła. Szyłyśmy razem, rozmawiając; albo też wychodziłyśmy na krótkie spacerki do ogrodów. Zawsze pilnowała, żebym się nie przemęczała. Była wspaniała, cieszyła się razem ze mną z mojego stanu. Postępowała bardzo szlachetnie, jeśli wziąć pod uwagę zawód, jakiego doznała.

Do Bożego Narodzenia robiłam się ciężka, niezdarna i bardzo szybko się męczyłam.

Amelia zajęła się urządzeniem nielicznych przyjęć, na jakie mogliśmy sobie pozwolić. Nie było ich dużo, gdyż nadal zachowywaliśmy żalobę po Stephenie; ale właściciele takiej rezydencji jak Minster mieli pewne zobowiązania wobec sąsiadów. Był to dla mnie pożyteczny przykład, gdyż widziałam na własne oczy, co należy robić, i miałam wymówkę, dlaczego nie biorę w tym zbyt aktywnego udziału.

Amelia znów wybrała się z wizytą do Somerset -jak bardzo mi jej brakowało!

Miałam nadzieję, że wróci i powie, że coś jej przeszkodziło w nabyciu tamtego domu. Nie powinnam była tego pragnąć, gdyż wiedziałam, iż chce rozpocząć nowe życie.

Wszystko jednak zdawało się układać zgodnie z jej planami; właścicielka domu przygotowywała się do opuszczenia go i Amelia uważała, że wyjedzie do maja przyszłego roku.

Kiedy zostaliśmy sami, Aubrey powiedział, że to doskonale rozwiązanie. Wie, że Amelia i ja bardzo się zaprzyjaźniłyśmy, ale niedobrze się dzieje, gdy w domu są dwie gospodynie.

Zaakceptowałam to teraz, ponieważ jestem hors de combat\*.

\* Hors de combat (fr.) - niezdolna do walki.

- Zaczekaj, aż znów będziesz w dobrej formie - oświadczył. -Mogłoby dojść do drobnych sprzeczek: „Ja tu jestem panią” czy coś w tym rodzaju. Przecież znam kobiety.

- Wcale by tak nie było. Jeśli tak uważasz, to nie znasz ani mnie, ani Amelii.

- Znam cię bardzo dobrze, kochanie - odparł z uśmiechem. Wtedy przyszła mi do głowy pewna ważna myśl: Ale jak dobrze ja znam ciebie, Aubreyu?

Zbliżał się długo oczekiwany termin rozwiązania.

Marzec minął w tradycyjny sposób, przybывая jako zawadiacki lew i odchodząc jako łagodne jagnię. Kwiecień był miesiącem przelotnych deszczów i kwiatów, zupełnie tak jak w przysłowiu.

Właśnie na ten miesiąc czekałam, od chwili gdy się dowiedziałam, że jestem w błogosławnym stanie.

- Zamierzam posłać po nianię Benson - oznajmił Aubrey.

- To twoja dawna niania? - spytałam. - Tak.

- Musi być bardzo stara - zauważyłam.

- Stara... ale nie za bardzo.

- Myślę, że może powinniśmy wziąć kogoś młodszego - powiedziałam.

- Na Boga, nie! Niebiosa by się zawaliły, gdyby w Minster było niemowlę i niania Benson nim się nie opiekowała.

- Więc ją sobie obejrzę - odrzekłam zgodnie. Aubrey się roześmiał.

- Nie tylko obejrzysz, kochanie, ale ją przyjmiesz. Opiekowała się Stephenem i mną i zawsze powtarzała, że wróci, by zająć się naszymi dziećmi.

- Ile miała lat, kiedy się wami opiekowała? - spytałam nieufnie.

- Była całkiem młoda... jak na niańkę. Może trzydzieści pięć... kiedy nas opuściła - wyjaśnił.

- No cóż, teraz ma co najmniej sześćdziesiąt.

- Jest wiecznie młoda - zapewnił mnie.

- Kiedy ostatnio ją widziałeś? - pytałam dalej.

- Jakiś rok temu. Odwiedza nas od czasu do czasu. Bardzo przygębowała ją śmierć Stephena, chociaż to ja zawsze byłem jej ulubieńcem.

Niezbyt podobał mi się ten pomysł, ale pomyślałam, że skoro Aubrey był tak przywiązany do swojej starej niani, może to i dobrze mieć ją tutaj. Najwidoczniej jest bardzo oddana rodzinie Saint Clare'ów.

Rozmawiałam o niej z Amelią.

- O, tak, niania Benson - odrzekła. - Odwiedzała nas od czasu do czasu. Stephen uważał, że powinnam ją przyjąć, kiedy...

- To stara służąca - powiedziałam szybko. - Wiem, jak bardzo są ważne dla takich rodzin jak ta.

I więcej nie poruszyłam tego tematu.

Niania Benson przybyła na tydzień przed porodem. Moje obawy ustąpiły, gdyż okazała się bardzo typową przedstawicielką swego zawodu. Jeśli miała sześćdziesiąt lat, nie wyglądała tak staro.

Była gadatliwa i natychmiast uznała mnie za jedną z podopiecznych. Opowiedziała mi ze szczegółami o dzieciństwie obu wychowanków, Aubreya i Stephena.

99

Uznałam jej metody za nieco staroświeckie, ale ponieważ mój mąż tak nalegał, że to ona powinna rządzić w pokoju dziecinnym, pomyślałam, iż możemy też zatrudnić jakąś młodszą opiekunkę - którą ja sama powinnam wybrać. Nie chciałam jednak, aby przeszkadzał mi zbyt liczny personel z pokoju dziecinnego. Zamierzałam sama spędzać tam wiele godzin, zajmując się swoim dzieckiem.

Aż wreszcie nadszedł tak długo oczekiwany dzień. Bóle chwyciły mnie wczesnym rankiem i przed zapadnięciem zmroku urodziłam ślicznego, zdrowego chłopczyka.

Nigdy nie byłam taka szczęśliwa jak wtedy, gdy leżałam wyczerpana w łóżku, trzymając pierworodnego syna w ramionach.

Wprawdzie wyglądał jak dziewięćdziesięcioletni dziadek o czerwonej, pomarszczonej twarzy, ale dla mnie był najpiękniejszą istotą na ziemi.

Od tej pory stał się całym moim życiem.

Poświęciłam mu wszystkie następne tygodnie. Nie chciałam tracić go z oczu i pragnęłam sama wszystko robić. Wiedziałam teraz, co to znaczy kochać kogoś całym sercem. Kiedy



plakał, cierpiałam męki z obawy, że może coś jest z nim nie w porządku; gdy gaworzył, byłam szczęśliwa jak w niebie. Rano, zaraz po przebudzeniu, szłam do jego kołyski, by się upewnić, iż nadal żyje. Kiedy myślałam sobie, że mnie poznaje, szczęście rozsadzało mi serce.

Miał się nazywać Julian. Imię to często nosili członkowie rodu Saint Clare'ów.

- Pewnego dnia to wszystko będzie należało do niego - powiedział Aubrey. - Dlatego też powinniśmy zrobić z niego prawdziwego Saint Clare'a.

Był dumny, że ma syna i dziedzica, ale nie okazywał żadnego szczególnego zainteresowania chłopcem. Kiedy włożyłam mu małego w ramiona, trzymał go ostrożnie, a Julian wyraził swoją dezaprobatę, krzycząc głośno, aż go zabrałam. Wtedy zaczął znów gaworzyć na znak, że cieszy go ta zmiana.

Amelia zamierzała wyjechać po chrzcinach. Bardzo mnie to smuciło, ale nie mogłam dłużej myśleć o czymś, co nie dotyczyło mojego dziecka.

Chrzest odbył się w końcu maja. Mały Julian dobrze się zachowywał i wyglądał wspaniale w należących do rodu Saint Clare'ów chrzestnych szatkach, o których niania Benson wiedziała wszystko i które wyprano na jej oczach.

Urządziła się bardzo wygodnie.

W moim dawnym pokoju - powiedziała.

100

Miała tam lampę spirytusową, na której bez przerwy parzyła herbatę. Piła ją ciągle; i wiedziałam, że od czasu do czasu dolewała do niej whisky.

- To tylko cząstka starej Szkocji - mówiła. - Nic tak nie ożywia jak to.

Całkiem dobrze mi się z nią układało, gdyż nie wtrącała się zbyt często do wychowania Juliana. Myślę, że lubiła wygodę i bez wątpienia była za stara, by przejąć całą opiekę nad maleńkim dzieckiem. Lecz tak się cieszyła z powrotu do pokoju dziecinnego Saint Clare'ów, że nie miałam serca powiedzieć, iż jej obecność nie jest konieczna - zresztą, prawdę mówiąc, w ogóle nie chciałam, żeby ktoś inny opiekował się moim synkiem. Pragnęłam go mieć tylko dla siebie!

Omali nie zauważałam, jak rzadko widuję Aubreya. Często wybierał się w odwiedziny do swoich przyjaciół i spędzał po kilka dni z dala od Minster. Jego nieobecność wcale mi nie przeszkadzała. Moje życie kręciło się wokół dziecka.

Nadeszła pora rozstania z Amelią.

W dniu poprzedzającym wyjazd przyszła do mojego pokoju, by się pożegnać po raz ostatni, gdyż żadna z nas nie chciała smutnych pożegnań następnego ranka.

Było późne popołudnie. Julian spał i podobnie, jak podejrzewałam, niania Benson. Często drzemała po południu po wypiciu herbaty z „odrobiną starej Szkocji”.

- Wyjadę wcześniej rano - oznajmiła Amelia.

- Będzie mi bardzo ciebie brakowało - odrzekłam ze smutkiem.

- Poradzisz sobie. Masz synka... i Aubreya. -Tak.

Zapadło milczenie, a potem szwagierka wyznała:

- Od dawna chciałam ci coś powiedzieć. Nie wiem, czy powinnam. Bardzo mnie to niepokoi. Może nie powinnam... ale wydaje mi się, że to mój obowiązek.

- O co chodzi, Amelio? - spytałam.

- O... Aubreya.

- Tak? Zagryzła wargi.

- Czasami... Stephen bardzo się o niego martwił. Były z nim... kłopoty.

Moje serce zabiło szybciej.

- Kłopoty? Jakie kłopoty?

- Czasami trudno było z nim wytrzymać. Oczywiście, nie w jawny sposób. Dla innych ludzi był czarujący. Chodzi o to... No cóż, związał się z bardzo dziwnymi ludźmi, którzy robili dziwne rzeczy.

101

- Jakie dziwne rzeczy? - podchwyciłam z niepokojem.

- Prowadzili hulaszczę życie, aż Aubrey został relegowany z uniwersytetu. Możliwe, że właśnie tam nabrał takich zwyczajów. Stephen z trudem zatuszował skandal. A potem Aubrey wyjechał za granicę. Po prostu myślę, że powinnaś o tym wiedzieć. A może nie. Od dawna nie dawało mi to spokoju. Biłam się z myślami, zastanawiając się, czy powinnam ci powiedzieć, czy też nie. Uważam jednak, iż lepiej być przygotowaną na wszystko.

- Tak - odrzekłam. - Lepiej być przygotowaną. Chcesz powiedzieć, że eksperymentował z narkotykami?

Spojrzała na mnie z zaskoczeniem. Milczała chwilę, ale zrozumiałam, iż właśnie to miała na myśli. Unikała mojego wzroku.

- Ludzie, którzy biorą narkotyki, mogą postępować bardzo dziwnie, kiedy są pod ich wpływem. Oczywiście to wszystko wydarzyło się bardzo dawno temu. Może już się skończyło. Był tu pewien człowiek. Zawsze uważałam, że w jakiś sposób wina spada na niego. Przyjechał do nas raz czy dwa razy. Stephen świata poza nim nie widział. To lekarz... autorytet w dziedzinie narkotyków. Robił mnóstwo dziwnych rzeczy... żył jak tubylec w Arabii i tym podobne. Napisał o tym... tak szczerze. Zawsze trochę się go bałam.

Przypuszczam, że z powodu tego, co przeczytałam. Zastanawiałam się, czy to za jego namową Aubrey zaczął brać narkotyki. Stephen zawsze podkreślał, że ten lekarz interesuje się narkotykami tylko dlatego, by użyć ich dla dobra ludzkości. Twierdził również, że uważanie innych kultur za prymitywne jedynie dlatego, iż są odmienne, to nasza pycha i ignorancja. Pod pewnymi względami mogą być wyżej rozwinięte od naszej. Stephen i ja omal się nie pokłóciliśmy z powodu tego człowieka. „Damien brzmi jak Demon” - powiedziałam. I nazywałam go w myślach Doktorem Demonem. Stephen utrzymywał, że mam względem tego człowieka śmieszne uprzedzenia. Och, kochanie, może nie powinnam była ci o tym mówić.

Po prostu coś mnie do tego popchnęło. Pomyślałam, że musisz o tym wiedzieć. Ja, no, myślę, że powinnaś mieć Aubreya na oku... i gdyby ten doktor Damien tu przyjechał... być czujna. Patrzyła na mnie z obawą, więc zapewniłam ją:

- Dobrze zrobiłaś, mówiąc mi o tym. Będę czujna. Mam nadzieję, że nigdy nie zobaczę tego człowieka. Stephen dał mi do przeczytania jego książkę. Jest tajemnicza i... no... zmysłowa... i dość niepokojąca. Ma takie same cechy jak te, które znalazłam w książkach sir Richarda Burtona. Jednocześnie fascynuje i budzi wstręt.

- Stephen tak bardzo podziwiał ich obu. Przeczytałam tylko po jednej ich książce. Nie chciałam czytać więcej.

102

Stephen mawiał, że kiedy je czyta, ma wrażenie, iż podróżuje do tamtych dalekich krain. Napisano je takim barwnym, kwiecistym stylem.

- To prawda - odrzekłam. - Ale ja uważam, że ci pisarze to niebezpieczni ludzie, nawet jeśli są nietuzinkowi. Myślę, że nic ich nie powstrzyma przed zdobyciem tego, czego pragną.

- Zawsze myślałam, że z powodu tego człowieka Aubrey zaczął eksperymentować z narkotykami. Może doktor Damien chciał się dowiedzieć, jaki wpływ te środki wywrą na kogoś takiego, jak Aubrey. Nie wiem. To tylko moje przypuszczenia. Nie sądzę, żeby twój mąż zrobił teraz coś takiego...

Zwróciła na mnie niespokojne spojrzenie. Doskonale zrozumiałam, co usiłowała mi powiedzieć. Zaczęłam tworzyć w myśli spójny obraz tego, co mogło się wydarzyć tamtej nocy, której nigdy nie zapomnę.

Omal nie wyznałam wszystkiego Amelii, ale nie mogłam się zdobyć na to, by nawet jej opowiedzieć o wydarzeniach w Wenecji. Jednego wszakże byłam pewna: już nigdy nie zniosę takiego poniżenia.

Podziękowałam jej za to, co mi wyjawiała, zapewniając ją, że postąpiła słusznie.

Później miałyśmy sobie już niewiele do powiedzenia. Pożegnałyśmy się czule i obiecałyśmy, że wkrótce znów się spotkamy.

Przypuszczam, że większość niedobrych małżeństw rozpada się stopniowo. Rozpad mojego na pewno zaczął się tamtej nocy w Wenecji. To prawda, usiłowałam wytłumaczyć postępowanie Aubreya, ale zawsze wiedziałam, że złe impulsy musiały się kryć gdzieś w głębi jego jaźni, gdyż inaczej nigdy by się nie ujawniły w żadnych okolicznościach.

Wyczuwałam, że on również jest niezadowolony z naszego małżeństwa. Zawiodłam go tak samo, jak on zawiódł mnie. Gotowa byłam uwierzyć, że w takich sytuacjach nie można obciążać winą jednej ze stron.

Mogę powiedzieć, że poślubiłam go z zamiarem bycia dobrą żoną. Możliwe, iż i on z początku zamierzał stać się dobrym mężem; ale w miarę jak poznawałam jego charakter, zdawałam sobie sprawę, że popełniłam największy błąd, jaki może zrobić kobieta.

A przecież... owocem naszego związku był Julian. I jakże mogłabym żałować tego, dzięki czemu miałam dziecko!

Przez pierwsze dwa miesiące po urodzeniu synka byłam zbyt nim pochłonięta, by myśleć o czymkolwiek innym.

- Czy nie widzisz, że zachowujesz się absurdalnie, kochanie? - pytał Aubrey. - Przecież jest tu niania Benson. Musisz zawsze biec do pokoju dziecinnego?

103

- Niania Benson jest już stara.

- Opiekowała się dziećmi przez całe życie, ma znacznie więcej doświadczenia niż ty. Tak niepokoisz się o to dziecko, że napędzisz mu strachu, jeśli nie będziesz panowała nad sobą. W jego słowach zapewne było trochę prawdy; nic jednak nie mogłam na to poradzić.

Wyczuwałam krytykę mojego postępowania w słowach i w zachowaniu Aubreya. Lecz tak pochłonęło mnie macierzyństwo, że nie starałam się być dobrą żoną.

Za pośrednictwem Juliana nawiązałam przyjazne więzi z panią Pollack, naszą ochmistrzynią. Przedtem uważałam ją za bardzo sztywną kobietę, głęboko świadomą własnej pozycji w naszym domu, pozbawioną poczucia humoru służbistkę i pedantkę. Ale zmieniła się nie do poznania po narodzinach Juliana. Kiedy zobaczyła mojego synka, wyglądała zupełnie inaczej; wykrzywiła twarz w uśmiechu, który sprawiał wrażenie wymuszonego - lecz był bardzo prawdziwy.

- Muszę pani powiedzieć, madam - oświadczyła takim tonem, jakby wyznawała jakiś grzech - że lubię patrzeć na małe dzieci.

Kiedy wychodziłam z Julianem na spacer do ogrodów, zawsze miała jakiś pretekst, by się tam znaleźć. Ucieszyła się bardzo, gdy uznała, że się do niej uśmiechnął. Kiedy chwycił ją za palec, zdumiała ją jego inteligencja; jednym słowem podziw, jaki okazywała pani Pollack mojemu synkowi, zbliżył nas do siebie.

Czasami piłam z nią herbatę w jej bawialni i zabierałam ze sobą małego. Fakt, że miałam przyjaciółkę w tym domu - w dodatku tak uczciwą kobietę o silnym charakterze - sprawiał mi przyjemność. Wiedziała też co nieco o niemowlętach. Miała troje dzieci.

- Teraz wszyscy założyli już własne rodziny i odeszli, madam. Ale tak już jest. - Pokiwała powoli głową. - Pamiętam ich jako małe dzieci, kiedy byli ode mnie zależni... a potem

odeszli, by wieść własne życie. Och, moje dzieci są dla mnie dobre. Mogłabym zamieszkać z moją Annie, ale nie sądzę, żeby to było korzystne dla młodego małżeństwa. Chciałabym jednak, żeby dłużej pozostali maleńkimi dziećmi.

Wielkie zadowolenie sprawiło mi odkrycie, że pani Pollack jest taką samą wrażliwą i ciepłą kobietą jak inne. Uważałam, że byłaby lepszą opiekunką Juliana niż niania Benson.

Zapytałam jej kiedyś, dlaczego nie poszukała pracy polegającej na opiece nad dziećmi, a nie na nadzorowaniu służby.

Zastanawiała się nad tym jakiś czas, a potem oświadczyła, że jej zdaniem to prosta droga do smutku.

- Za bardzo bym je polubiła... a potem stają się już duże i nie jesteś im potrzebna.

104

To zupełnie tak, jakbym znów miała rodzinę. Muszę jednak powiedzieć pani, madam, że dobrze się stało, iż w tym domu jest maleństwo.

Jeżeli wychodziłam sama na spacer, mówiłam o tym pani Pollack. Zawarłyśmy niepisaną umowę, że pragnę, by miała baczenie na Juliana. Nie chciałam go pozostawiać wyłącznie pod opieką niani Benson, która mogła się zdrzemnąć akurat w tej chwili, kiedy powinna pilnować mojego synka.

Pani Pollack była uosobieniem taktu. Zrozumiała, o co mi chodzi, i była dumna z zaufania, jakim ją darzyłam. Julian odpłacał jej się widocznym przywiązaniem, kiedy podrósł na tyle, by móc to wyrazić.

Pewnej nocy, gdy mały miał zaledwie kilka miesięcy, niepokoiłam się o niego, gdyż się przeziębził. Była to tylko lekka niedyspozycja, ale najmniejsze oznaki, że coś jest z nim nie w porządku, wywoływały we mnie panikę.

Obudziłam się chyba po trzeciej w nocy i poczułam, że muszę się upewnić, iż nic mu nie jest. Poszłam do pokoju dziecinnego. Chłopiec był niespokojny, zaczerwieniony i oddychał ciężko.

Słyszałam rytmiczne chrapanie niani Benson w sąsiednim pokoju.

Drzwi były otwarte, ale spała tak głęboko, że z trudem zdołałabym ją dobudzić.

Chwyciłam Juliana, owinęłam kocykami i usiadłam, trzymając go w ramionach. Odgarnęłam mu włoski z czoła i gdy to zrobiłam, przestał kwilić. Nadal głaskałam go po główce, gdyż moje dotknięcie zdawało się mu pomagać, i przypomniałam sobie inne wydarzenia, kiedy to odniosłam wrażenie, że moje ręce miały uzdrawiający wpływ. Oczami wyobraźni wyraźnie ujrzałam twarz mojej ayah. Co powiedziała: „W twoich rączkach jest moc”.

Nie uwierzyłam jej. Pomyślałam teraz o tym, co wyczytałam w książkach pożyczonych mi przez Stephena. To prawda, że w takim społeczeństwie jak nasze mamy tendencję do odrzucania wszystkiego, czego nie możemy nazwać racjonalnym. Ale przecież mogą istnieć obyczaje inne od naszych, inne kultury. Sir Richard Burton i ów dziwny doktor Damien o tym napomykali. Wyruszyli w dalekie, niebezpieczne podróże, by to odkryć.

Myślałam teraz tylko o przyniesieniu ulgi mojemu synkowi i udało mi się to w takim stopniu, że wkrótce spał spokojnie, oddychał normalnie, a jego twarzyczka była już mniej zaczerwieniona.

Pozostałam z nim przez całą noc. Gdybym go zostawiła, nie mogłabym zasnąć. Dlatego siedziałam tak szczęśliwa, trzymając go w ramionach

105

i nabierając z wolna pewności, że w moich rękach kryje się jakaś moc.

Moja ayah powiedziała, że to dar bogów i że trzeba używać takich darów.

Ocalenie komuś życia byłoby cudowne. W pewnym sensie mogłam zrozumieć, dlaczego tacy ludzie jak doktor Damien, pchani żądzą wiedzy, gotowi są na wszystko. Jak wyczytałam,

chodziło mu o wykrycie, w jaki sposób można by używać pewnych substancji dla dobra chorych. Brzmiało to szlachetnie. Był jednak arogancki i pewny siebie, co przebijało z jego książek. Nie wątpiłam, że rozkoszował się przygodami, które go spotykały - delectował się setką zmysłowych tajemnic - w imię powiększenia wiedzy medycznej. Sprawilo to, że myślałam o nim z podejrzliwością, zwłaszcza że Amelia w mniejszym lub większym stopniu ostrzegła mnie przed tym człowiekiem.

Chciałam dowiedzieć się więcej o tej dziwnej uzdrawiającej mocy, którą mogłam posiadać. Następnego ranka, kiedy wróciłam do naszej sypialni, Aubrey zapytał:

- Wyglądasz na zmęczoną. Co, u licha, się stało?

- Julian źle się czuł tej nocy - wyjaśniłam.

- A niania nie mogła się nim zająć?

- Chrapała przez całą noc. Dziecko mogłoby dostać konwulsji, a ona nic by o tym nie wiedziała - odparłam gniewnie.

- No cóż, mam nadzieję, że nie zamierzasz powtarzać tych nocnych wędrówek - powiedział.

- Nie. Zamierzam kazać przenieść kołyskę do tego pokoju, żebyś mogła być przy Julianie - oświadczyłam stanowczo.

- To absurd.

- Wcale nie. I zrobię to - odrzekłam z naciskiem. Wzruszył ramionami, ale dopięłam swego. Julian był niespokojny następnej nocy i Aubrey oświadczył, że taka sytuacja jest nie do zniesienia i że albo ja wyniosę się z dzieckiem z sypialni, albo on to zrobi.

Uznałam, że to ja powinnam opuścić sypialnię. W Minster było dużo wolnych pokoi. Tak więc kazałam przenieść kołyskę do jednego z nich i tam spałam.

Ani mój mąż, ani ja niezbyt przejęliśmy się faktem, że zajmowaliśmy teraz oddzielne sypialnie. Spałam spokojnie, wiedząc, iż instynkt macierzyński natychmiast zadziała, jeśli Julian będzie mnie potrzebował.

Minął rok, który całkowicie poświęciłam synkowi. Pierwszy uśmiech malca, pierwszy jego ząbek, pierwsze słowo, którym, ku mojej radości, było „mama”.

106

Ucinałyśmy sobie miłe pogawędki z panią Pollack, rozmawiając głównie o Julianie, a on pełzał po podłodze, bawiąc się pustymi szpulkami po niciach, przewracając się i klaszcząc w rączki, kiedy my także to robiłyśmy, by mu pokazać, że doceniamy jego osiągnięcia. Zrobił kilka pierwszych chwiejnych kroczków i przeszedł niewielką odległość między jej kolanami i moimi, uśmiechając się do nas triumfująco, gdy się o nie oparł. Były to cudowne chwile, których nigdy nie zapomnę.

Od czasu do czasu wyczuwałam rozdrażnienie w zachowaniu Aubreya. Teraz, kiedy żałoba po Stephenie oficjalnie się skończyła, chciał gościć swoich przyjaciół. Ja oczywiście musiałam brać udział w tych przyjęciach, ale robiłam to bez większego entuzjazmu. Owi ludzie zbyt mi się nie podobali. Ich rozmowy obracały się głównie wokół polowań, łowienia ryb i sportów, które niezbyt dobrze znałam.

Po tych proszonych kolacjach mąż co jakiś czas mówił z dezaprobatą o mojej postawie.

- Nie byłaś uroczą gospodynią - odezwał się kiedyś.

- Oni mówią o takich banalnych rzeczach - odrzekłam.

- Może banalnych dla ciebie - zauważył.

- Po pierwsze, nigdy nie mówią o polityce czy też zmianie rządu albo coup d'etat\* we Francji, gdzie Ludwik Napoleon przejął władzę absolutną... - wyliczałam.

\* Zamach stanu w roku 1851.

- Moja droga, co to wszystko ma wspólnego z nami? - zaoponował.

- Wszystko, co się dzieje w naszym kraju i u naszych bliskich sąsiadów, musi wywrzeć na nas wpływ - nie ustępowałam.

- Prawdziwa z ciebie sawantka, moja droga. Chyba wiesz, że nie jest to zbyt popularny typ kobiet?

- Nie myślałam o atrakcyjności, pragnęłam tylko interesującej rozmowy - odparowałam. Popatrzył na mnie zimno, z wyraźną niechęcią.

- Oczywiście przez całe życie miałaś zwyczaj patrzenia z góry na innych ludzi - warknął. Była to aluzja do mojego wzrostu, który najwyraźniej mu się nie podobał, bo gdybym nosiła buty na wysokim obcasie, przewyższałabym mego męża o głowę. Świadczyło to o jego rosnącej niechęci do mnie, bo kiedy nie lubi się kogoś, zwraca się uwagę na pewne szczegóły, które w innej sytuacji nie byłyby istotne. Uznał, że moje przywiązanie do Juliana jest niestosowne dla kobiety z naszej sfery. Mieliśmy służyć do tego, co chciałam robić sama. Myślę, że Aubrey uważał, iż to brak dobrego wychowania każe mi wziąć na siebie tyle obowiązków.

107

Do tego dochodził brak zdolności - lub chęci - do bliższych kontaktów z jego przyjaciółmi; a teraz przeszkadzał mu nawet mój wzrost.

Jadąc w odwiedziny do ojca, zabrałam Juliana, żeby mógł go zobaczyć, i pozostaliśmy w Londynie przez tydzień. Były to szczęśliwe dni. Papa zachwycił się dzieckiem, a Jane i Polly z radością opiekowały się Julianem po kolei.

- Czy nie byłoby miło, gdyby pani tu zamieszkała, pani Saint Clare? - zapytały.

Wiedziałam, że mój ojciec zgadza się z nimi.

Po powrocie do Minster otrzymałam list od Amelii. Była szczęśliwa w Somerset. „Zaczynam nowe życie - napisała. - Dobrze jest być blisko Jacka i Dorothy”.

Najwidoczniej spędzała z nimi wiele czasu, gdyż często wspominała o nich w listach - a przede wszystkim o Jacku.

Na pierwsze urodziny Juliana kucharka upiekła tort, na którym była jedna świeczka. Służba przyszła, by życzyć Julianowi wszystkiego najlepszego z okazji urodzin i bardzo się z tego ucieszył.

Wkrótce potem w domu pojawiła się Louie Lee.

Zabrałam Juliana w wózku na spacer do ogrodów i po powrocie poszłam na górę do pokoju dziecinnego. Zobaczyłam tam jakąś młodą kobietę. Otwierała szafy i zaglądała do nich, kiedy weszłam.

Utkwiłam w niej wzrok.

- Co tu robisz? - zapytałam.

- Och, to pani jest panią Saint Clare, prawda? Tak myślałam - odrzekła.

- Co tu robisz? - powtórzyłam. - Zechciej się wytłumaczyć!

- Jestem Louie. Przyjęto mnie na niańkę... do pomocy ciotce Em. Ciotka Em! To oczywiście była niania Benson. Dowiedziałam się, że ma na imię Emilia.

- Ja cię nie przyjmowałam - powiedziałam zimno. Wzruszyła ramionami.

Niania Benson weszła do pokoju dziecinnego.

- Och, to jest Louie - wyjaśniła. - Ma mi pomagać. Mam za dużo pracy, jak powiedziałam panu Aubreyowi. Wspomniałam mu o naszej Louie, a on polecił ją sprowadzić.

Więc Aubrey zatrudnił tę młodą kobietę, nie pytając mnie o zdanie! Przyjrzałam się jej uważnie. Miała złociste włosy - zbyt błyszczące jak na naturalny kolor; jej duże, niebieskie oczy spoglądały śmiało - zbyt śmiało jak na skromną kobietę; mały nosek i wydatna górna warga upodabniały ją do kotki. Nie wyglądała na kogoś, kto będzie dobrą niańką.

108

- To wnuczka mojego brata - wyjaśniła niania Benson. - No cóż, w pokoju dzieciennym jest teraz za dużo pracy dla mnie, bo nasz mały mężczyzna rośnie tak szybko... no a Louie szukała jakiegoś zajęcia.

Oniemiałam. Chciałam powiedzieć tej dziewczynie, żeby spakowała manatki i odeszła, zabierając ze sobą nianię Benson. Pragnęłam sama urządzić pokój dziecienny mojego synka. Była to najważniejsza dla mnie część domu i nie mogłam znieść, że rządzi tu kobieta, która przeważnie drzemie po wypiciu herbaty z whisky - a teraz w dodatku sprowadziła tę bezczelną dziewczynę!

Zaczekałam na powrót Aubreya.

- Co to za historia z dodatkową niańką - Louie jakże-jej-tam?

- Och, to bratanica lub córka bratanka niani Benson lub ktoś taki.

- Nie jest tu potrzebna. Spojrzał na mnie ironicznie.

- Pomyślałam, że pomoże ci trochę.

- Pomoże mi! Nie chcę, żeby mi pomagano - warknęłam.

- Nie. Wiem, że cieszysz się, odgrywając niańkę. Ale jako pani takiego domu jak ten powinnaś zdać sobie sprawę ze swojej pozycji społecznej. Masz inne obowiązki.

- Moje dziecko jest dla mnie ważniejsze niż wszystko inne - odparowałam.

- Dałaś mi to wyraźnie do zrozumienia - zauważył z goryczą Aubrey.

- To także twój syn - odpowiedziałam z naciskiem.

- Wcale to tak nie wygląda. Jesteś zaborcza i nienawidzisz wszystkich, którzy się do niego zbliżą.

Czy to była prawda? Zastanowiłam się. Julian rzeczywiście był dla mnie najważniejszy i patrzyłam na świat z takiej perspektywy.

- Możesz z nim przebywać, kiedy tylko tego zechcesz - odrzekłam. - Przypuszczam, że niezbyt lubisz małe dzieci.

- No cóż, przyjąłem tę dziewczynę.

- Ale ja jej nie chcę! - zaprotestowałam.

- A jeśli ja chcę... co wtedy?

- Nie możesz... - zaczęłam i urwałam.

- Moja droga, mogę robić, co zechcę w moim własnym domu. To ty musisz się zmienić. Jak ci się zdaje, co czują moi przyjaciele, kiedy tu przyjeżdżają? Nie interesujesz się nimi i okazujesz to.

- Ta dziewczyna musi odejść - zażądałam.

- Nie - odparł stanowczo. - Zostaje.

- Do czego nam się przyda w pokoju dzieciennym? - zapytałam.

- Będzie ci pomagała przy dziecku.

109

- Nie chcę, żeby ktoś mi pomagał - zaoponowałam. - Nikt i nic nie odbierze mi dziecka.

- Proszę, skończ z tą komedią. Co się z tobą dzieje, Zuzanno? Wiesz, że za mnie wyszłaś.

- Zdaję sobie z tego sprawę - odrzekłam. - Myślałam jednak, że mam prawo wybrać niańkę dla swojego syna.

- Masz tylko takie prawa, na jakie ja wyrażę zgodę. Może byłoby dobrze, gdybyś sobie o tym przypomniała. To jest mój dom i ja tu jestem panem. Sprawujesz tu władzę tylko za moim pośrednictwem, a ja mówię, że ta dziewczyna zostaje.

Spojrzelśmy na siebie z niechęcią i zrozumiałam, że oglądam rozpad naszego małżeństwa.

Bardzo szybko zniknęły resztki nadziei, że kiedykolwiek będziemy szczęśliwi.

Impertynenckie zachowanie Louie Lee dało mi istotną wskazówkę co do rozwoju wydarzeń.

Miała zuchwałą minę, jak ludzie, którzy uważają, że zajmują wyjątkowe miejsce wśród

służby. A jak Louie Lee mogła się znaleźć w takiej sytuacji? Na pewno dlatego, że znalazła uznanie w oczach pana domu.

Miała niewielkie obowiązki przy dziecku i nie skarżyłam się na to. Jeżeli już musiałam tolerować jej obecność w domu, nie chciałam, by się kręciła w pobliżu Juliana. W rzeczy samej mój synek prawie nigdy nie przebywał w pokoju dzieciennym i bardzo rzadko znajdował się tam beze mnie. Na pewno nie zostawiłabym go samego ani z nianią Benson, ani z jej kuzynką.

Przypuszczam, że niania Benson nieźle się wywiązywała ze swoich obowiązków, kiedy zajmowała się Stephenem i Aubreyem, ale rosnący pociąg do whisky, ledwie zamaskowanej niewielką ilością herbaty, na pewno nie poprawił jej sprawności. Co się zaś tyczy Louie Lee, w ogóle nie miała talentu do takiej pracy.

Zobaczyłam ją kiedyś przez okno. Była w ogrodzie. Aubrey podszedł do niej i oboje się śmiali. Nagle szturchnęła go lekko i pobiegła w stronę zagajnika; ruszył za nią. Nie potrzebowałam bujnej wyobraźni, by wyciągnąć wnioski z tego, co spostrzegłam.

Byłam pewna, że mężczyzna, którego widziałam raz w tak dramatycznej sytuacji tamtej nocy, w rzeczywistości zawsze krył się w głębinach jaźni Aubreya. Nie uwierzyłam, że mój mąż zupełnie nie zdawał sobie z tego sprawy. Poddał mnie próbie i przekonał się, że nie reagowałam na zezwierżenie, tylko na miłość. Nasze stosunki zmieniły się od tamtej nocy. Udowodniłam mu, że nigdy nie będę partnerką w jego wstrętnych praktykach.

110

W owym czasie przemyślałam o opuszczeniu Minster. Mogłam zamieszkać z moim ojcem. I rzeczywiście, złożyłam mu drugą, znacznie dłuższą wizytę. Później wybrałam się na jakiś czas do Amelii. Moje podejrzenia co do relacji między nią a Jackiem Saint Clare'em zdawały się potwierdzać. Oboje nie byli już młodzi; oboje stracili współmałżonków - ale jeśli kiedykolwiek widziałam wytrwałe, chociaż powolne zaloty, to chyba właśnie tam.

Cieszyłam się wraz z Amelią. Nadal była dość młoda, by urodzić dzieci i dosłownie promieniała, czego przedtem u niej nie zauważyłam.

Kiedy przyjechałam do domu, spokój, którym cieszyłam się w Londynie i w Somerset, wydał mi się bardzo pożądany. Pomyślałam, że muszę wrócić na stałe do ojca. Z radością powita Juliana i mnie. Kochał swojego wnuka i Jane lub Polly byłyby znacznie lepszymi piastunkami niż niania Benson czy Louie Lee. Mogłam pozostawić Aubreya jego niańce.

Nie można jednak łatwo zerwać więzów małżeńskich. Musiałam rozważyć wiele spraw. Nie chciałam nic od Aubreya, ale przecież mieliśmy syna, dziedzica tego pięknego majątku, i w odpowiednim czasie Minster musi stać się własnością Juliana. Byłam mu to winna, powinien więc tam się wychować. Nie mogłam tak po prostu zabrać go z rodzinnego domu i odebrać mu jego dziedzictwo.

Po tych odwiedzinach jeszcze bardziej oddaliłam się od Aubreya. Miłość już nas nie łączyła. Zamykałam się w moim pokoju z Julianem, chociaż nie musiałam, gdyż mąż nawet nie próbował wejść.

Od pewnego czasu przypuszczałam, że miał kilka kochanek i nawet byłam z tego zadowolona. Nie chciałam go przy sobie.

A potem pewnego dnia dokonałam ważnego odkrycia.

Od dawna już zdawałam sobie sprawę, że w domu dzieje się coś dziwnego. Aubrey urządził przyjęcia, które trwały od piątkowego popołudnia do niedzieli lub poniedziałku.

Przyjmowałam gości i pilnowałam przygotowania posiłków. Jedliśmy kolację o ósmej, a o dziesiątej wieczorem wszyscy udawali się do swoich pokoi, co wydawało mi się dziwne, gdyż nie byli starzy.

Cieszyłam się, że tak postępują. Nie pragnęłam siedzieć z nimi. Szłam do swojego pokoju, gdzie Julian już spał w łóżeczku; kiedy przez ów krótki czas przebywałam z gośćmi Aubreya,



zawsze prosiłam panią Pollack, żeby doglądała mojego synka. Miałam wtedy pewność, że nic mu się nie stanie - a ona była bardzo szczęśliwa, iż może to zrobić.

Niemal zawsze przyjeżdżali ci sami ludzie, chociaż do czasu do czasu pojawiali się nowi goście. Przyzwyczaiałam się do nich i niezbyt mi przeszkadzali.

111

Rozmawiali uprzejmie o domu lub o pogodzie i zadawali banalne pytania o Juliana; sprawiali jednak wrażenie, że myślami są daleko od przedmiotu owych rozmów.

Pewnej nocy, kiedy nie mogłam spać, usłyszałam kroki na dole i wyjrzałam przez okno. Kilka osób wychodziło z zagajnika i zbliżało się do domu. Cofnęłam się pośpiesznie. To byli nasi goście.

Spojrzałam na zegar. Dochodziła czwarta rano.

Bardzo mnie to zaintrygowało. A potem zauważyłam wśród nich Aubreya. Nie umiałam sobie wyobrazić, co robili. Podeszłam do drzwi i wyteżyłam słuch. Usłyszałam kroki na schodach - a potem zapadła cisza. Wszyscy oni spali w innym skrzydle domu i poszli do swoich pokoi. Tej nocy nie świecił księżyc i niebo było zachmurzone, tak że nie dostrzegłam wyraźnie twarzy gości.

Podeszłam do łóżeczka Juliana i popatrzyłam na niego; spał zdrowo. Położyłam się również, ale leżałam długo, rozmyślając o tym, co zobaczyłam.

Musiała być już piąta rano, zanim zasnęłam. Spałam źle. Obudziłam się zaraz po szóstej i od razu pomyślałam o tym, co ujrzałam minionej nocy.

Potem Julian zaczął wrzaskliwie domagać się, żebym pozwoliła mu przyjść do mojego łóżka, co zawsze robił rano. Śpiewałam mu, tak jak na początku każdego dnia - stare pieśni, ballady i hymny, które kochał - w tym dwukrotnie jego ulubioną piosenkę „Dojrzała wisienka”. Ale tego ranka nie włożyłam w to serca.

Potem przypomniałam sobie, że goście wyszli z zagajnika i że za owym laskiem znalazłam kiedyś tajemnicze drzwi. Nie wiem, dlaczego o tym pomyślałam - w każdym razie musiałam się dowiedzieć, gdzie się wszyscy podziewali.

Zasypiali późno i często wstawali dopiero na lunch. W kuchni dowiedziałam się, że nie chcieli jeść śniadania.

Ranek wydał mi się odpowiedni do sprawdzenia, czy owe tajemnicze drzwi mają coś wspólnego z nocnymi wędrówkami gości Aubreya. Powiedziałam pani Pollack, że idę się przejść. Julian właśnie zapadł w krótką drzemkę, jak zawsze rankiem. Poprosiłam ją, żeby do niego zajrzała i dopilnowała, by nic mu się nie stało podczas mojej nieobecności.

Później wyszłam z domu, ruszyłam przez zagajnik i dotarłam do zbocza niewielkiego pagórka. Wgramoliłam się na górę, rozsuwając po drodze pnącza.

Zobaczyłam znajome drzwi.

112

Odniosłam wrażenie, że coś mnie ostrzega. Po prostu wyczułam, iż znajduję się w złym miejscu. Popchnęłam drzwi i serce zabiło mi mocniej, gdyż były otwarte. Weszłam do środka. Natychmiast pomyślałam sobie, że te drzwi mogą się zatrzaskać i nie zdołam się wydostać.

Szybko wyszłam na zewnątrz, poszukałam dużego kamienia i oparłam go tak, żeby nie mogły się zamknąć. A potem, z sercem w gardle, zajrzałam do wnętrza podobnego do jaskini. Pieczara miała podłogę z kamiennych płyt i kiedy zrobiłam kilka kroków do przodu, wyczułam dziwny zapach, którego nie rozpoznałam. Przesycał powietrze i sprawił, że chwyciły mnie lekkie mdłości.

Zobaczyłam wszędzie wokół świece - niektóre z nich już się wypaliły. Zrozumiałam, że niedawno ich używano. Potwierdziło to moje podejrzenia, iż właśnie do tego miejsca udawali się nocą goście

Aubreya.

Za jaskinią znajdowało się kwadratowe pomieszczenie. Był tam stół, który wyglądał jak ołtarz. Omal nie krzyknęłam z przerażenia, gdyż dostrzegłam na nim jakąś dużą postać - naturalnej wielkości - i przez jedną przerażającą chwilę pomyślałam, że ktoś tam siedzi. Figura na ołtarzu zdawała się patrzeć na mnie złośliwie. Była uosobieniem zła. Zauważyłam wtedy, że miała wyobrażać diabła -świadczyły o tym rogi i kopyta zamiast stóp; wydawało się, iż nie odrywa ode mnie czerwonych oczu.

Na ścianach były jakieś rysunki. Początkowo nie rozumiałam, co przedstawiają - mężczyzn i kobiety zgrupowanych w dziwnych pozach - a potem nagle zdałam sobie sprawę, co to ma przedstawiać.

Teraz pragnęłam tylko jednego - jak najprędzej uciec z tego miejsca. Wybiegłam i kopniakiem odrzuciłam na bok kamień podpierający drzwi, które zatrzasnęły się za mną. Przemknęłam przez zagajnik tak szybko, jakby ścigał mnie sam diabeł - i naprawdę czułam, że stanęłam z nim twarzą w twarz.

Miałam zamęt w głowie. Na co się przypadkiem natknęłam?

Pani Pollack powitała mnie słowami:

- Julian nadal śpi. Zajrzałam do niego dwa razy. Czy z panią wszystko w porządku, pani Saint Clare?

-Tak... dziękuję pani, pani Pollack. Zaraz pójdę na górę. Nie chcę, żeby mój syn spał za długo, bo nie zaśnie w nocy.

Poszłam do swojego pokoju.

Co to wszystko znaczy? Musiałam się dowiedzieć.

Nie mam pojęcia, jak przeżyłam ten dzień, ale wiedziałam, co muszę zrobić. Musiałam sprawdzić dokładnie, co się działo w tamtej jaskini.

113

To był mój dom... dom mojego dziecka. Jeżeli to, czego się obawiałam, jest prawdą, powinnam poczynić jakieś kroki.

Tego wieczoru położyłam Juliana do łóżeczka i usiadłam przy oknie. Jaka ogromna cisza panowała w domu!

Za piętnaście dwunasta usłyszałam hałasy. Pomyślałam, że to dlatego Aubrey rozkazał umieścić gości we wschodnim skrzydle. Znajdowało się na uboczu i nikt nie słyszał, kiedy wychodzą i wracają.

Patrzyłam, jak opuszczają dom. Noc była ciemna, ale rozróżniałam postacie, które szły w stronę zagajnika. Gdy wszyscy już tam zniknęli, nadal siedziałam przy oknie, usiłując wziąć się w garść. Drżałam, ale wiedziałam, że powinnam się upewnić. Musiałam to zrobić.

Różne wspomnienia ożyły w mojej pamięci; kiedy byłam w Indiach, słyszałam pogłoski o tajemniczych sektach. Mówiono o niesamowitych obrzędach i tajnych spotkaniach... oddawano cześć dziwnym bogom.

Pomyślałam o posągu szatana na stole, który miał grać rolę ołtarza.

Nie idź tam, szeptał we mnie jakiś głos. Wyjedź jutro do Londynu. Zabierz ze sobą Juliana. Powiedz Aubreyowi, że nie możesz spędzić ani jednego dnia dłużej pod tym dachem.

Nie mogę tego zrobić. Ale muszę się dowiedzieć, co się dzieje. Muszę to zobaczyć na własne oczy.

Włożyłam buty, narzuciłam płaszcz na nocną koszulę, po cichu zesłam na dół i ruszyłam w stronę tego, co określiłam w myślach jako świątynię szatana.

Drzwi były zamknięte.

Otworzyłam je i weszłam do środka.

Widok, który ujrzały moje oczy, był tak szokujący, że chociaż częściowo się do tego przygotowałam w duchu, niewiele brakowało, a odwróciłabym się i uciekła. Paliły się świece,

dużo świec. W powietrzu wisiała lekka mgielka. Zobaczyłam ludzi leżących na rozpostartych na podłodze matach, otaczających ohydną postać na ołtarzu. Byli zgrupowani po troje i czworo i odwróciłam od nich oczy, ponieważ nie chciałam widzieć tego, co robili.

Później zauważyłam Aubreya, a on mnie. Wyglądał dziwnie: wzrok miał dziki, uśmiechał się szyderczo, z drwiną. Rzucił się ku mnie i powiedział bełkotliwie:

- To chyba jest moja mała żonka... nie, nie, nie, moja duża żona... Przyszłaś, żeby się do nas przyłączyć, Zuzanno?

Odwróciłam się i uciekłam.

114

Wiedziałam, że nie pobiegł za mną, ale gnałam przez zagajnik, raniąc ręce o pnie drzew, ogarnięta paniką, ponieważ gałęzie czepiały się mojej odzieży. Śmiertelnie się przeraziłam, że krzaki próbują mnie zatrzymać, aż ktoś mnie dogoni i zaciągnie z powrotem do tego straszego miejsca nieprawości i rozpusty.

Potykaç się, weszłam do domu i poszłam popatrzeć na Juliana. Spał spokojnie.

Pomyślałam, że pojedę do ojca i opowiem mu o wszystkim. Muszę zabrać stąd Juliana. Nie może mieszkać w miejscu, gdzie dzieją się takie rzeczy.

Układałam gorączkowo plany ucieczki... chciałam odejść jak najszybciej.

Uspokajała mnie trochę tylko jedna jedyna myśl.

Ojciec mi pomoże. Podziękowałam Bogu za niego. Nie jestem sama. Zamieszkać z nim w Londynie. Już nigdy nie będę mogła myśleć o Aubreyu, nie widząc go w tamtym przesiąkniętym złem miejscu.

Możliwe, że podejrzewałam istnienie czegoś takiego. Może w głębi duszy wiedziałam, od tamtej strasznej nocy. A przecież Aubrey był takim czarującym kochankiem... na początku. Nie mogłam zapomnieć tygodni spędzonych w Wenecji. Rzeczywiście cierpiał na rozdwojenie jaźni. Coś mi mówiło, że ów czarujący człowiek jest w nim również, ale tłamsi go ktoś inny - ten, którego umysł i ciało zatruwają narkotyki.

Gubiłam się w myślach. Byłam przekonana, że tajemniczy doktor Damien skierował mojego męża na tak straszną drogę, że ten zły człowiek chciał zobaczyć, jaki wpływ wywierają na ludzi narkotyki, by je poznać. Zdobywał wiedzę w sposób bezwzględny i nie obchodziło go, ilu ludzi zniszczył... tak jak Aubreya.

Amelia wspomniała, że muszę się go wystrzegać. Zrobię to, jeśli kiedykolwiek tu się pojawi. Ale nie powinnam tu przebywać... powinnam zamieszkać z ojcem.

Ta strasna noc wreszcie się skończyła. Julian domagał się ode mnie piosenek, łącznie z „Dojrzałą wisienką”. Chyba źle się spisałam tego ranka.

Zacząłam zbierać swoje rzeczy. Powiem Aubreyowi, co zamierzam zrobić, i poproszę, aby nie próbował kontaktować się ze mną. Nie znaczy to, że obawiałam się, iż to zrobi. Kiedy stanęłam przed nim, widziałam złość i nienawiść w jego oczach. Na pewno w głębi duszy się wstydział - w chwilach, gdy był przytomny.

115

Przyszedł do mnie późnym rankiem. Spakowałam trochę niezbędnych rzeczy i zamierzałam odjechać popołudniowym pociągiem, o czwartej.

Przez chwilę tylko staliśmy, patrząc na siebie. Później wyduł wargi i serce we mnie zamarło. Był w wojowniczym nastroju i w jego oczach dostrzegłam nieukrywaną pogardę, która zawsze mnie niepokoiła.

- No więc, co masz mi do powiedzenia? - odezwał się szorstko.

- Wyjeżdżam. Uniósł brwi.

- To wszystko? - spytał drwiąco.

- Dostatecznie dużo.

- Nie byłaś zbyt uprzejma, wpadając w taki sposób, bez zaproszenia... A potem odeszłaś bez słowa.

- A jakich słów oczekiwałaś ode mnie? - warknęłam.

- Od ciebie... takiej spokojnej, takiej opanowanej... oczywiście żadnych. Dlaczego nie odrzucisz swoich wewnętrznych zahamowań? Czemu nie przyłączysz się do nas? Mogę ci obiecać takie emocje... o jakich nigdy nawet nie śniłaś.

- Chyba oszalałaś!

- To najbardziej podniecające doznania, jakich kiedykolwiek doświadczyłem.

- Mówisz tak pod wpływem narkotyków. Jesteś nienormalny. Wolałabym raczej o tym nie dyskutować. Wyjeżdżam dziś po południu.

- Ale ja chcę o tym podyskutować. Wiesz, kiedy cię poślubiłem, myślałem, że jesteś kobietą z charakterem... Nie sądziłem, że tak bardzo będziesz się bać życia.

- Nie boję się go - odparowałam.

-Ależ tak. Jesteś konwencjonalna i pruderyjna, prawdziwa świętoszka. Zrozumiałem swój błąd bardzo prędko po naszym ślubie. Zamierzałem sprawić, byś rozkoszowała się tym, czym ja się rozkoszowałem. Myślałem, że obserwowanie takiej przemiany będzie interesujące. Wkrótce jednak odkryłem, że nigdy nie zdołasz odrzucić przestarzałych zasad moralnych, w jakich cię wychowano. - Roześmiał się gorzko. - Podczas tamtych kilku tygodni spędzonych w Wenecji były chwile, kiedy myślałem, że mogę zbliżyć się do ciebie... stać się takim, za jakiego mnie uważałaś. Musiałem zwariować. Przypuszczam, że naprawdę byłem w tobie zakochany... wtedy. Ale ja potrzebuję niezwykłych podniet. Nie potrafiłbym żyć... w konwencjonalny sposób... odkąd się dowiedziałem, co mogę znaleźć, przeżyć...

116

- No cóż, teraz się świetnie rozumiemy - odpowiedziałam. -Oboje popełniliśmy największy błąd, do jakiego zdolnych jest dwoje ludzi. Ale nawet ta pomyłka nie jest nieodwracalna. Zażywasz opium... palisz je lub przyjmujesz pod jakąś inną postacią. Zresztą, czy to ma teraz jakieś znaczenie? Może bierzesz jakieś inne niebezpieczne narkotyki. Wiem o twoim romansie z niańką. Wiem, co się dzieje w tym przerażającym miejscu, i chcę się znaleźć możliwie jak najdalej od niego.

- Gdybyś rzeczywiście była taką cnotliwą kobietą, za jaką pragniesz uchodzić, nie wypowiadałabyś posłuszeństwa mężowi. To pierwszy obowiązek żony - oświadczył.

- W takich okolicznościach? Nie sądzę, by tak było. Moim obowiązkiem jest opuścić to miejsce i zabrać ze sobą dziecko.

Obrzucił mnie ironicznym spojrzeniem.

- Och, Zuzanno - wycedził. - W pewien sposób cię podziwiam. Taka pewna siebie... taka stanowcza. Gdybyś tylko mogła się zdobyć na przeprowadzenie malutkiego eksperymentu...

- Eksperymentu? Chcesz powiedzieć, żebym się stała taka jak ty i twoi zdeprawowani przyjaciele?

- Zastanawiam się... - zaczął mówić i urwał.

Jego twarz złagodniała i myślę, że przypominał sobie nasze pierwsze tygodnie w Wenecji. Teraz rozumiem, że wtedy nie udawał; rzeczywiście rozkoszował się nimi tak jak ja. Przeżyłam już wiele i rozumiem to, czego wówczas nie pojmowałam: że nie można dokładnie podzielić ludzi na dwie kategorie - na dobrych i złych. Najgorsi miewają czasami szlachetne pobudki, a najlepsi postępują niegodnie. Ale byłam młoda, uparta i przerażona. Byłam matką, której pierwsza myśl zawsze dotyczyła dziecka. Widziałam w Aubreyu słabego człowieka, który nabrał niebezpiecznych, poniżających przyzwyczajzeń i rujnował zarówno swoje, jak i nasze życie, ponieważ nie miał sił do walki ze swoją obsesją. Gardziłam nim. Moja miłość do niego umarła. Zaczęło się to tamtej strasznej nocy w Wenecji. Może owo uczucie zawsze było delikatne i nietrwałe. Może tak często się dzieje z młodymi kobietami. Zakochują się - albo

tak im się wydaje - w pierwszym napotkanym atrakcyjnym mężczyźnie, który się nimi zainteresuje. Pragną być kochane, gdyż jest to dla nich zachwycająca przygoda; małżeństwo i dzieci stają się fundamentem idealnego życia. Dostrzegałam to teraz bardzo wyraźnie. Moja miłość do Aubreya była powierzchowna; gdyby była trwalsza, zapragnęłabym zostać i pomóc mu w walce z tym straszliwym nałogiem.

Nie, nie kochałam męża; ale przynajmniej poznałam prawdziwe znaczenie innego rodzaju miłości, kiedy urodziłam dziecko.

117

Ta ulotna chwila przeminęła.

- Przynajmniej - oświadczył Aubrey - już nie muszę zachowywać tajemnicy.

- Tamta noc - wykrztusiłam. - Tamta przerażająca noc w Wenecji...

Wybuchnął śmiechem.

- Tamta noc objawienia... kiedy zdałem sobie sprawę, że poślubiłem świętoszkę... kobietę o niezmiennych poglądach, przesiąkniętą konwenansami, która nigdy nie poszłaby ze mną tam, dokąd chciałem się udać. A ty zrozumiałaś, że wyszłaś za mąż za potwora.

- Doskonale o wszystkim wiedziałeś - powiedziałam oskarżycielskim tonem. - Udawałeś, że to efekt ciosu w głowę, że cię napadnięto. Byłeś u Freelingów.

- Przejrzałaś trochę na oczy, prawda? Oczywiście, że nikt mnie nie napadł. Widok tamtego mężczyzny wydobytego z kanału podsunął mi ten pomysł. Znalazłaś moją sakiewkę, czyż nie? To było nieostrożne z mojej strony. Ale ty okazałaś się niedomyślna.

- Spotkałeś się z Freelingami, uczestniczyłeś w jednej z orgii wraz z nimi. Doskonale to wszystko rozumiem. Nie obchodziło cię, że niepokoję się o ciebie i czekam, wyobrażając sobie wszelkie możliwe okropności, jakie mogły cię spotkać.

- W takich chwilach nie myśli się o niczym. Naprawdę powinnaś odrzucić wewnętrzne zahamowania, aby spróbować...

Potrząsnęłam gwałtownie głową.

- I twój diabelski doktor Damien prawie na pewno był tam wtedy obecny. Przywiózł cię do domu, prawda? Ta historyjka o zamknięciu w chacie, o tym, że cię ocalił... nonsens! To wszystko kłamstwo! Freelingowie musieli opuścić Indie z powodu owych ekscesów. Moja ayah próbowała mnie ostrzec. Z całego serca żałuję, że poszłam wtedy do Freelingów... gdybym tego nie zrobiła, nigdy bym cię nie spotkała.

- Zastanawiam się, ile zawiedzionych żon powiedziało to swoim mężom lub vice versa. Powinnaś była zostać z nami zeszłej nocy. Moglibyśmy cię wtajemniczyć w misteria i rozkosze mojego Klubu Ognia Piekielnego. Co o nas sobie pomyślałaś? Natknęłaś się na to miejsce już wcześniej, prawda? Znalazłaś drzwi, ale były zamknięte. Pamiętasz tamten dzień w długiej galerii, kiedy opowiedziałem ci o Harrym Saint Clarze? Czasami myślę, że ponownie narodził się we mnie. Jestem dokładnie taki sam jak on. Lubisz historie z przeszłości, czyż nie tak? No cóż, jaskinię pod pagórką zrobił Harry. Odkryłem ją, gdy byłem chłopcem. Znalazłem jakąś wzmiankę o niej w jednym ze starych dokumentów i siłą otworzyłem te drzwi.

118

Kazałem wstawić nowy zamek, kiedy studiowałem na uniwersytecie. Założyliśmy własne koło. Skoro sir Francis Dashwood zbudował sobie świątynię w Medmenham, Harry nie widział powodu, dla którego nie mógłby urządzić swojej tutaj. Wyobraź sobie tylko... sto lat temu Harry i jego towarzysze robili mniej więcej to samo, co my teraz i tutaj. Historia się powtarza. Zawsze jest interesująca, nieprawdaż? Widzisz, to nic nowego. Może poczyniliśmy pewne niewielkie postępy z narkotykami. Harry miał jednak też swoje osiągnięcia. To

podniecające. Kiedy znajdujesz się pod ich wpływem, nie ma nic, absolutnie nic, czego nie zdołałabyś zrobić. Mógłbym ci opowiedzieć...

- Nie rób tego, proszę. Nie mam ochoty o tym słuchać. - Przyjrzałam mu się uważnie. - A co z dzieckiem Amelii? - zapytałam.

Nie odrywał ode mnie wzroku.

- Powiedziałeś, że spotkałeś ją w miasteczku. Dlaczego? Żebyś mógł ją odwiedzić... i spowodować niewielki wypadek... tak, by zbytnio nie uszkodzić powozu... ale zabić jej dziecko... a przynajmniej spróbować.

Milczał. Ujrzałam wtedy przelotnie Aubreya, którego znałam na początku. Dostrzegłam żal w jego oczach.

- Powinnaś była wiedzieć...

- To fatalny przypadek - odparł szybko. - To się zdarza. Nie miałem zamiaru...

- Dlaczego wyjechałeś po nią? Stajenni mieli wziąć wózek. To ty wszystko zaaranżowałeś.

- Ona straciła już dwoje dzieci... a to był tak niewielki wypadek -brnął dalej.

- Więc postanowiłeś zaaranżować... ten niewielki wypadek.

- Po prostu tak się stało, mówię ci. Stało się i już. Po co do tego wracać? Było, minęło - bronił się Aubrey.

- Muszę ci jeszcze powiedzieć tylko jedną rzecz - ciągnęłam. - Wyjeżdżam dziś po południu.

- Dokąd? - spytał.

- Oczywiście do Londynu, do ojca.

- Rozumiem. Ale ty, która tak pilnie przestrzegasz konwenansów, nie powinnaś podejmować takiej śmiałej akcji - zadrwił.

- Nie chodzi tu o konwenanse, tylko o zasady przyzwoitości, których nie mogę przekraczać.

Nie pozwolę, żeby moje dziecko rosło w takim domu jak ten - oświadczyłam stanowczo.

- Więc zamierzasz zabrać mojego syna z jego domu?

- Oczywiście odjedzie razem ze mną.

Powoli pokiwał głową. Wszelkie ślady dawnej subtelnej osobowości zniknęły mu z twarzy.

Niemily uśmiezek zagrał na jego ustach,

119

a mnie ogarnął potworny strach. Następne słowa Aubreya potwierdziły moje najgorsze obawy.

-Uważasz, że nie odegrałem żadnej roli w splodzeniu tego chłopca? Ale tak nie jest. Każdy sąd ci to powie.

Spojrzałam na niego z przerażeniem. Doskonale zrozumiał moje uczucia i mówił dalej:

- Naturalnie możesz stąd odjechać. Ale nie możesz zabrać ze sobą mojego syna.

Nagle zaschło mi w ustach. W pokoju zapanowała nieprzyjemna atmosfera.

- Tak - ciągnął Aubrey. - Możesz stąd odjechać. Oczywiście świat nie patrzy przychylnie na męzatkę, która porzuca swego małżonka, chociaż znajdują się takie niemądre kobiety. Nie możesz jednak zabrać mojego syna.

- Dlaczego ciągle nazywasz go swoim synem? - zawołałam. - On jest także mój!

- Nasz - poprawił mnie. -Ale ja jestem jego ojcem. Żyjesz w męskim świecie, moja droga Zuzanno. Jestem pewien, że musiało przyjść to do głowy takiej zdecydowanej kobiecie jak ty. Gdybyś odeszła, zabierając naszego syna, odzyskałbym go w bardzo krótkim czasie. Sąd by tego dopilnował.

- Ty go nie kochasz - szepnęłam.

- Jest moim synem, a to jego dom. Wszystko będzie kiedyś należało do niego. Dom...

posiadłość... nawet moja świątynia. Wszystko. Musi się wychowywać we własnym domu. Na to będę nalegał.

- Nie byłbyś tak okrutny, żeby odebrać mi dziecko - próbowałam argumentować.

- To nie ja zamierzam was rozdzielić. Wystarczy, że zostaniesz. Nie poproszę cię, żebyś stąd odeszła, ale jeśli to zrobisz, chłopiec zostanie tutaj.

Oniemiałam. Zdałam sobie sprawę, że Aubrey mnie pokonał.

- Odsunęłaś ode mnie naszego syna. Nie dopuszczałaś mnie do niego. Julian prawie nie zna własnego ojca - mówił dalej.

- Ponieważ ów ojciec nie miał dla niego czasu, gdyż musiał zajmować się urzędowaniem narkotycznych orgii - odgryzłam się natychmiast.

- A kto w to uwierzy?

- Ja. Wiem o tym.

- Twoje zdanie nie będzie się liczyć - odparł zimno. - Jeżeli chcesz odejść i wywołać skandal, ściągnąć hańbę na siwe włosy swojego ojca i na ojca swojego syna, możesz to zrobić. Nie będę cię tu więzić. Ale powinien ci jedno: jeśli spróbujesz zabrać mojego syna z jego własnego domu,

120

dopilnuję, by do niego powrócił. Sąd tego zażąda, zgodnie z prawem, a ty będziesz musiała być posłuszna wyrokowi.

- Zapominasz, co o tobie wiem. Na pewno żaden sąd nie zechce, żeby jakiegokolwiek dziecko wychowywało się w domu, gdzie trwają tak bezbożne praktyki, a ojciec pozwala sobie na romanse ze służącymi... - próbowałam się bronić.

- Nie ma w tym nic niezwykłego, moja droga. I trzeba by owe przestępstwa udowodnić. Potrafię do tego nie dopuścić. Jeżeli pragniesz stracić swego syna, spróbuj mnie opuścić, proszę bardzo. Nie będę przeszkadzał ci w odjeździe. Ale równie dobrze sąd może cię uznać za nienormalną, ograniczoną kobietę o wybujałej wyobraźni. Postaram się o to - zagroził. Odwrócił się i odszedł.

Zrozumiałam, że jestem więźniem w tym domu. Trzymał mnie tu jeden, jedyny powód, który czynił ucieczkę niemożliwą.

To, co powiedział Aubrey o prawie i sądach, było prawdą. Jeżeli odejdę, stracę mojego syna; a do tego nigdy nie mogłam dopuścić.

Byłam nieszczęśliwa i bezradna. Wiedziałam, że mąż nie pozwoli mi zabrać Juliana. Nie znaczyło to, że pragnął zatrzymać dziecko; po prostu chciał wychować swego syna i dziedzica w rodzinnej posiadłości. Pomyślałam też, iż pragnął się na mnie zemścić.

Wiedziałam teraz, że żywi do mnie mieszane uczucia, że w jego nienawiści kryją się elementy miłości. Kiedyś był we mnie naprawdę zakochany; tamte dni spędzone w Wenecji miały w sobie coś niezwykłego; po prostu nałóg okazał się zbyt silny, żeby Aubrey mógł go przezwyciężyć; chciał dzielić ze mną wszystko, a ponieważ nie zgadzałam się i gardziłam nim za to, co robił, znienawidził mnie.

Bardzo pragnęłam opuścić Minster. Myślałam, że wystarczy po prostu odejść z Julianem. Jak bardzo się pomyliłam!

Trudno mi było żyć w tamtych dniach. Synek stał mi się jeszcze droższy niż kiedykolwiek dotąd - jeśli to było możliwe.

Gdyby nas rozdzielono, wpadłby w rozpacz, nie mniejszą niż ja. Z jednego tylko zdawałam sobie sprawę: wytrzymam wszystko, ale nie pozostawię mojego dziecka samego.

Chciałam odwiedzić ojca, wiedziałam jednak, że po tej rozmowie Aubrey nigdy nie pozwoli mi zabrać Juliana ze sobą. Jeżeli pojechałabym do Amelii - która mnie często zapraszała - musiałabym zostawić Juliana w Minster. Zrozumiałam, że mąż nigdy nie pozwoli mi opuścić domu z moim synkiem z obawy, iż nie wrócę do Minster.

121

Pani Pollack niepokoiła się stanem mojego zdrowia.

- Nie wygląda pani tak jak dawniej, jeśli wolno mi to powiedzieć, madam - stwierdziła. Zapewniłam ją, że nic mi nie jest, i próbowałam zachowywać się tak, jak gdyby nigdy nic się nie stało. Unikałam Aubreya, jak tylko mogłam; ale kiedy go spotykałam, patrzył na mnie ironicznie, triumfującym spojrzeniem zwycięzcy.

Minęły dwa tygodnie, dwa najgorsze tygodnie w moim życiu. W nocy leżałam, nie śpiąc i układając szaleńcze plany, które wtedy wydawały się rozsądne, ale następnego dnia wiedziałam, że są niemożliwe do zrealizowania.

Nie mogłam myśleć o niczym innym. Kiedy pani Pollack powiedziała mi, że nie powinnam jeździć do miasteczka, ledwie zwróciłam na to uwagę.

- Zachorowała córka właściciela sklepu. Ludzie mówią, że to cholera. Wszyscy śmiertelnie się przerażili. Wszyscy dobrze pamiętają epidemię sprzed dwóch lat.

- Ach, tak - odrzekłam odruchowo. - Tak, oczywiście pamiętam to. To było straszne.

- Podobno w całej Anglii i Walii umarło na cholere ponad pięćdziesiąt trzy tysiące ludzi - ciągnęła pani Pollack. - Jacyś cudzoziemcy ją przywlekli.

Powiedziałam, że uważam to za możliwe. Później jeszcze raz zapytałam się w duchu, czy jeśli złożę Aubreyowi uroczystą przysięgę, że wrócę z Julianem, pozwoli mi odwiedzić ojca.

Nie byłam w stanie tak daleko żyć. Ale co mogłam zrobić? Pragnęłam stąd odejść, nie zniosłabym jednak rozstania z synkiem. Musiałam tu zostać tak długo, aż dorośnie. Nigdy bym go nie opuściła.

Minęły jakieś cztery tygodnie od tamtej sprzeczki z Aubreyem, kiedy przyszedł do mnie list.

Nie poznałam charakteru pisma na kopercie, ale gdy ją otworzyłam, mój niepokój wzrósł.

Droga pani Saint Clare,

Pozwalam sobie napisać do pani, ponieważ niepokoi mnie stan zdrowia pułkownika Pleydella. Myślę, że powinna się pani dowiedzieć, iż wczoraj miał niezbyt groźny atak apopleksji. Chory ma kłopoty z mówieniem i jest częściowo sparaliżowany. Obawiam się, że może dostać kolejnego ataku, a to byłoby już bardzo niebezpieczne.

Uważam, że powinna pani być tego świadoma. Z poważaniem  
Edgar Corinth.

122

Przeczytałam ten list kilkakrotnie. Słowa tańczyły mi przed oczami. Wbiłam w nie wzrok, jakbym wpatrując się w kartkę dostatecznie długo, mogła je zmienić.

Nie byłam w stanie w to uwierzyć. Nie teraz... kiedy sama potrzebowałam pomocy. Zdałam sobie sprawę, że muszę znaleźć w kimś oparcie, porozmawiać z kimś, kto doradzi mi, co począć. A mógł to zrobić jedynie mój ojciec. On najbardziej mnie kochał i uznałby moje kłopoty za swoje.

Muszę natychmiast do niego pojechać i zabrać ze sobą Juliana. Na pewno mogę to zrobić w takich okolicznościach. Postanowiłam porozmawiać z mężem.

Właśnie wrócił z obojścia i patrzyłam, jak zbliża się do domu. Znów zauważyłam, że bardzo się zmienił. Wyglądał znacznie starzej niż Aubrey z czasów naszego miodowego miesiąca; oczy miał zapadnięte i niezdrowy, żółtawy kolor skóry.

Spotkałam się z nim w holu.

- Muszę z tobą porozmawiać - powiedziałam.

Uniósł brwi. Weszliśmy do jednego z pokoi przylegających do sieni. Podałam mu list doktora Corintha, przeczytał go.

- Muszę do niego jechać - oświadczyłam.

- Oczywiście.

- Zabiorę ze sobą Juliana - dodałam.

- Chcesz zabrać dziecko do domu chorego? - spytał.



- To nie jest choroba zakaźna, tylko apopleksja. Zresztą tam są dwie służące. Bardzo lubią opiekować się małym. Zajmę się ojcem, a Julian będzie bezpieczny.  
Uśmiech powoli przesunął się po jego twarzy.  
- Nie - odrzekł. - Nie zabierzesz mojego syna z tego domu.  
- Dlaczego?  
- Ponieważ może nie zechcesz z nim powrócić - odpowiedział z naciskiem.  
- Złożę ci uroczystą przysięgę.  
- Jesteś bardzo stanowczą kobietą. Tacy ludzie nie zawsze dotrzymują słowa, a ty mogłabyś postąpić bezwzględnie tam, gdzie chodzi o tego chłopca.  
- Wiesz, jak bardzo chory jest mój ojciec - odrzekłam.  
- A skąd mam wiedzieć, że list tego lekarza... nie został sfałszowany? Przyszedł w bardzo sprzyjających okolicznościach, prawda?  
- Aubreyu, bardzo niepokoję się stanem ojca.  
- Jedź do niego. Opiekuj się nim. Myślę, że jesteś w tym dobra. Wrócisz, kiedy przy twojej pomocy odzyska zdrowie. Ale nie zabierzesz ze sobą Juliana.

123

- Jak mogę pojechać bez niego? - spytałam z rozpaczą.  
- Bardzo łatwo. Pojedziesz na stację, wsiądziesz do jakiegoś pociągu i już wkrótce znajdziesz się w Londynie, przy łożu chorego - odparł ironicznie.  
- Spróbuj mnie zrozumieć, Aubreyu.  
- Doskonale cię rozumiem. Wyjawiłaś mi swoje zamiary i, jak już mówiłem, wiem, na co cię stać. Jedź do ojca, ale chłopiec zostanie tutaj.  
Uśmiechnął się do mnie i odszedł bez słowa.  
Poszłam do pani Pollack. Leżała w łóżku.  
- Trochę źle się czuję - powiedziała. - To nic tak groźnego, czemu nie zaradziłby krótki odpoczynek i filiżanka herbaty. Zaraz ją zaparzę.  
- Nie dla mnie, pani Pollack. Mam wielkie zmartwienie.  
- Och, co się stało, madam?  
- Chodzi o mojego ojca. Jest bardzo chory. Muszę do niego pojechać i zostawić tu Juliana.  
- Nie spodoba mu się to, prawda, madam? Zawsze był z panią od chwili narodzin.  
- Mnie się to też nie podoba... ale jego ojciec twierdzi, że nie należy podróżować z dzieckiem, kiedy ludzie w okolicy zapadają na cholere. Ja... no... uważam, że jest w tym trochę racji. Chodzi o krótką wizytę... tylko zobaczę, co będę w stanie zrobić. Mogę jeździć tam często i zatrzymywać się tylko na jedną noc. Chcę porozmawiać z panią o Julianie.  
- Tak, madam?  
- Pani tak go lubi - ciągnęłam.  
- A któż by nie lubił tego kochanego malca?  
- Nie chcę tak mówić... ale niania Benson jest dość stara.  
- Już się do tego nie nadaje, jeśli chce pani poznać moje zdanie, madam.  
- Oczywiście, jest starą służącą, nianią mojego męża. Ludzie mają sentyment do starych piastunek. To zrozumiałe.  
Pani Pollack skinęła głową.  
- Ta dziewczyna - powiedziała, krzywiąc wargi - jest tu tak potrzebna jak piąte koło u wozu.  
- Dlatego tak się niepokoję. Liczę na panią, pani Pollack. Uśmiechnęła się z zadowoleniem.  
- I może pani na mnie liczyć, madam. Będę opiekować się tym maleństwem tak samo, jakby pani to robiła, obiecuję to pani.  
- Dziękuję pani, pani Pollack, to bardzo wiele dla mnie znaczy.

124

Kiedy przyjechałam do domu mojego ojca, powitała mnie Polly; na jej twarzy malowała się powaga.

- Och, pani Saint Clare - powiedziała. - Biedny pan pułkownik, tak źle się czuje.

Poszłam prosto do niego i serce we mnie zamarło. Uśmiechnął się do mnie kącikiem ust, otworzył je, ale nie mógł mówić. Pocałowałam go. Zamknął oczy i zrozumiałam, ile znaczy dlań moja wizyta. Nie był w stanie wykrztusić ani słowa, więc po prostu usiadłam przy nim, trzymając go za rękę.

Kiedy ojciec zasnął, odbyłam rozmowę z Polly i Jane. Powiedziały mi, że bardzo ciężko pracował w Ministerstwie Wojny i że zabierał dokumenty do domu.

- Siedział w gabinecie aż do rana - mówiła Jane.

- Martwiłyśmy się o niego - dodała Polly. - Powiedziałam Jane: „Nie może tak ciągle pracować”. - A potem to się stało. Pewnego ranka, kiedy przyniosłam gorącą wodę, zastałam go leżącego w łóżku - nie mógł się poruszyć. Wezwaliśmy lekarza. Poprosił nas o pani adres i oświadczył, że napisze do pani. Wczoraj pułkownikowi znów się pogorszyło.

Później spotkałam się z doktorem Corithem. Był bardzo poważny.

- Czasami tak się zdarza - rzekł. - Pierwszy atak okazał się niezbyt groźny. Chory byłby tylko w niewielkim stopniu niezdolny do pracy, musiałyby jednak ustąpić ze stanowiska w Ministerstwie Wojny. Ale, jak się obawiałem, dostał kolejnego, groźniejszego wylewu. - Popatrzył na mnie bezradnie.

- Rozumiem. Czy on... umiera? - spytałam cicho.

- Jeżeli przeżyje, będzie całkowicie sparaliżowany - wyjaśnił.

- To najgorsze, co mogło go spotkać - wykrztusiłam.

- Uznałem, że powinienem panią na to przygotować.

- Dziękuję panu. Zamierzam zabrać go do mojego domu - odparłam.

- O ile wiem, ma pani duży majątek na wsi. Takie rozwiązanie byłoby najlepsze. Mogłaby pani zapewnić mu dobrą opiekę. Tutejsze służące dobrze się nim zajmowały, ale nie są pielęgniarkami.

- Niestety, nie.

- No cóż, poczekajmy dzień lub dwa na dalszy rozwój wypadków. Muszę jednak panią uprzedzić, że ma niewielkie szanse na przeżycie.

Pochyliłam głowę.

Byłam z moim ojcem, kiedy umarł.

Pielęgnowałam go trzy dni i chociaż moja obecność sprawiała mu wielką radość, doskonale zdawałam sobie sprawę, że niewiele mogę pomóc.

125

W głębi serca wiedziałam, że wołałby umrzeć. Nie mogłam sobie wyobrazić człowieka tak energicznego jak on, teraz całkowicie sparaliżowanego i niebędącego w stanie nawet mówić. Wpadłam w odrętwienie. Strata ojca po moich wcześniejszych odkryciach w domu, kiedy tak bardzo pragnęłam opuścić posiadłość Saint Clare'ów, była zbyt nieoczekiwanym ciosem i początkowo nie mogłam się z nią pogodzić.

Przez ostatnie tygodnie myślałam o nim jak o ostatniej desce ratunku. A teraz nie miałam już nikogo, kogo mogłabym poprosić o pomoc. Napisałam krótki list do Aubreya, informując go o tym, co się stało, i dodając, że zostanę w Londynie, żeby zorganizować pogrzeb, a zaraz potem wrócę do Minster.

Miałam tak wiele spraw do załatwienia, że jakoś przetrwałam te straszne dni. Bardzo cieszyła mnie pomoc Jane i Polly. Wyczułam, że niepokoją się trochę o swoją przyszłość, chociaż były zbyt taktowne, żeby o tym wspomnieć. Staralam się wyciągnąć jakiś wniosek z rozwoju wypadków. Dom mojego ojca zawsze był dla mnie symbolem... ucieczki. Jeżeli kiedykolwiek opuszczę Minster, powinnam mieć miejsce, gdzie znajdę schronienie.

Teraz, oczywiście, wszystko się zmieniło. Uznałam, że jeśli będę mogła sobie na to pozwolić, zatrzymam ten dom... przynajmniej na jakiś czas. Kiedy się lepiej zorientuję co do mojej obecnej sytuacji, przemyślę wszystko dokładniej. Wiedziałam, że mój ojciec nie był biedny - i że odziedziczę to, co posiadał - oprócz kilku zapisów. Spadek zapewni mi w pewnym stopniu niezależność. Nawet jeśli nie będę mogła tu mieszkać, dom ojca pozostanie dla mnie schronieniem.

Wuj James, ciotka Grace z Ellen i jej mężem przyjechali na pogrzeb. Zaprosili mnie do siebie na kilka dni, ale wytłumaczyłam im, że chcę jak najszybciej wrócić do Minster, do mojego synka. Dobrze mnie zrozumieli i oświadczyli, że później muszę ich odwiedzić z Julianem i z mężem.

Omów nie uśmiechnęłam się na myśl o wizycie Aubreya na plebanii w Humberston, gdyż był to absurd. Podziękowałam jednak wujostwu za ich dobroć i zapewniłam, że będę o tym pamiętać.

Serce mi krwawiło, kiedy patrzyłam na opuszczaną do grobu trumnę i słyszałam uderzenia grud ziemi o wypolerowane wieko, wiedząc, że już nigdy nie zobaczę mojego ojca. Poczułam się zagubiona i bardzo samotna.

Po powrocie do domu odczytano testament. Tak jak przypuszczałam, ojciec zapisał mi większą część swych pieniędzy. Na pewno nie byłam bogata, ale niezależna. Mogłam żyć - wprawdzie nie luksusowo, lecz wygodnie.

126

Właśnie wtedy postanowiłam, że zatrzymam dom. Rozproszy to obawy Jane, Polly i Joego Tugga; a ja będę miała schronienie, do którego będę mogła uciec, gdyż nie straciłam tej nadziei.

Kiedy im o tym powiedziałam, doznali ogromnej ulgi.

- Będziemy dbać o to miejsce tak, by na zawsze pozostało piękne - obiecała Jane.

- A potem będzie pani przyjeżdżała tu z wizytą z synkiem - dodała Polly.

Joe natomiast oświadczył, że utrzyma powóz w jak najlepszym stanie i że jadąc ekwipażem, będę z niego dumna. I tak to załatwiłam. Następnego dnia po pogrzebie odjechałam do Minster.

Zaraz po przybyciu na dworzec wyczułam coś niezwykłego.

Zawiaadowca powitał mnie z powagą, co wydało mi się dziwne, gdyż zawsze był dość gadatliwy. Tragarz Jim odwrócił wzrok. Nie wysłano po mnie powozu, ponieważ nie powiedziałam, kiedy wrócę; znalazła się jednak dwukółka, którą pojechałam do Minster.

Wszędzie panowała cisza. Nikogo nie było w pobliżu. Drzwi prowadzących do holu nigdy nie zamykano za dnia, więc weszłam do środka.

Było tam równie cicho jak na zewnątrz. Pobiełam po schodach do pokoju dzieciennego.

- Julianie! - zawołałam. - Wróciłam! Odpowiedziało mi milczenie.

Żaluzje w pokoju dzieciennym zostały opuszczone. Łóżeczko było puste, ale w rogu pokoju zobaczyłam coś, od czego przeszył mnie zimny dreszcz.

Stała tam na podpórkach mała trumienka.

Zajrzałam do niej.

Wydawało mi się, że zaraz zemdleję; leżał tam mój synek; na jego zimnej, bladej twarzyczce malował się spokój.

Drzwi się otworzyły i stanęła w nich niania Benson.

- Och... - powiedziała. - Nie wiedzieliśmy, że pani dzisiaj wraca. Ja mogłam tylko patrzeć na nią w osłupieniu. A potem spojrzałam na trumienkę.

- Dwa dni temu - wyjaśniła.

Poczułam, że cały świat wali mi się na głowę. Śniłam. To był sen,

koszmarny sen.

Niania Benson zaczęła płakać.

- Och, biedne maleństwo! To stało się tak szybko.

127

- Pani Pollack... - krzyknęłam. - Gdzie jest pani Pollack? Staruszka popatrzyła na mnie, usta jej drżały. W drzwiach pojawiła się Louie. Nigdy nie widziałam u niej tak poważnej miny.

- Stały się straszne rzeczy - powiedziała. - Pani Pollack pojechała do miasta i już więcej jej nie zobaczyliśmy.

- To niemożliwe... to jakieś szaleństwo - wykrztusiłam. - Cały świat zwariował... Na Boga, wytłumaczcie mi...

- Pani Pollack zachorowała na cholere. W miasteczku oprócz niej były jeszcze dwa przypadki. Poszła po zakupy następnego dnia po pani wyjeździe i już nie wróciła. Upadła w sklepie i zabrano ją do szpitala. Umarła. To była cholera.

- Ja... nie mogę w to uwierzyć.

- To prawda. Wszyscy boją się zarazy. Chorych trzymają w odosobnieniu. Ludzie boją się kolejnej epidemii. Zamknęli biedaczkę w szpitalu i już nigdy stamtąd nie wyszła.

Więc to dlatego nie mogła się zaopiekować Julianem! Taka była pierwsza myśl, jaka przyszła mi do głowy. Dobrej pani Pollack, na której polegałam, nie było tutaj. A on umarł... mój synek umarł. Pozwolili mu umrzeć.

Gniew zmagął się we mnie z żalem, zbyt wielkim, bym mogła go znieść. Byłam jednak jeszcze zbyt zszokowana, żeby poczuć ogrom własnej rozpacz.

Mogłam tam tylko stać, patrząc na te dwie kobiety, które, co do tego nie miałam najmniejszych wątpliwości; zaniedbały moje ukochane dziecko. Był sam... bez pani Pollack... w tym złym domu... i pozwolili mu umrzeć.

- A... moje dziecko... - usłyszałam swój zmieniony głos.

- Zapalenie płuc. Poszło szybko. Zdrowy jak rybka jednego dnia, a następnego walczył o życie.

Dlaczego nie zabrałam go ze sobą! Wiedziałam dlaczego. Ale czemu los spletał mi takiego okrutnego figła, najpierw zmuszając mnie do odjazdu, a potem zabierając panią Pollack wtedy, kiedy najbardziej jej potrzebowałam?

- Czy cierpiał?

- Pod koniec miał duszności - powiedziała cicho Louie.

- Chcę się zobaczyć z lekarzem - zażądałam.

- Doktor Calliber przyjechał dopiero wtedy, gdy było już po wszystkim - odrzekła.

- Dlaczego? Czemu go nie wezwaliśmy wcześniej?

- Przyszedł tu jakiś lekarz. Jeden z gości pana Aubreya. Obejrzał chłopca i dał mu coś, prawda, ciociu Em? Ale już było za późno.

- Jeden z jego gości!

128

- Tak, jeden z nich - potwierdziła Louie.

- Czy ktoś był przy nim, gdy umarł?

- Tak... ja - odpowiedziała dziewczyna.

Miałam ochotę ją uderzyć. Och, nie!, pomyślałam. Nie Louie. Bez wątplenia myślała o następnych spotkaniach z kochankiem, gdy mój synek umierał!

- Pan Aubrey przyszedł także, kiedy dowiedział się o jego chorobie. Był z nim do końca. Nie mogłam znieść ich widoku.

- Zostawcie mnie! - krzyknęłam. - Zostawcie mnie samą z moim synkiem. Wynście się!

Wyszły natychmiast.

Stałam nad trumienką, patrząc na jego ukochaną twarzyczkę.

- Julianie - szepnęłam. - Nie odchodź. Wróć do mnie. Jestem tutaj. Mój kochany chłopczyku. Wróć i już nigdy, nigdy się nie rozstaniemy.

Modliłam się o cud.

- O, Boże, wskrześ go! Wiesz, ile to dziecko dla mnie znaczy. Nie chcę żyć bez niego.

Błagam... błagam... Boże.

Wyobraziłam sobie Juliana trawionego gorączką, może mnie wołał. Nie było przy nim pani Pollack, która mogła go uspokoić. Zabrał ją okrutny, bezlitosny los. Śmierć jest nieubłagana. Życie wydawało mi się nie do zniesienia. Panią Pollack zabrała cholera, która pochłonęła tyle ofiar w tak krótkim czasie i może pochłonąć jeszcze więcej. Odebrano mi mojego drogiego ojca, opokę, a ja wierzyłam, że zawsze znajdę w nim oparcie. I kiedy czyniłam przygotowania do jego pogrzebu, moje własne dziecko konało.

Tego było za wiele. Nie mogłam tego znieść. Nie zdołam znieść ogromu poniesionych strat.

Czułam się oszołomiona i samotna. Byłam zrozpaczona.

Nie wiem, jak długo stałam tam przy trumience.

Nagle Aubrey wszedł do pokoju dziecinnego.

- Zuzanno - odezwał się łagodnie. - Dowiedziałem się, że wróciłaś. To straszne, moja droga. I w dodatku twój ojciec odszedł. Nie możesz tu zostać. Wyjdźmy stąd. Pozwól, że zaprowadzę cię do twojego pokoju.

Chciał wziąć mnie pod rękę, ale się odsunęłam. Nie mogłam znieść jego dotknięcia.

Poszłam do swojej sypialni. Zabrano z niej łóżeczko Juliana i pokój wydał mi się taki pusty.

Aubrey poszedł za mną.

129

- Wiem, że to dla ciebie straszny wstrząs - powiedział - a w dodatku stało się to wtedy, gdy czyniłaś przygotowania do pogrzebu ojca...

- Powinnaś była zabrać go ze sobą - szepnęłam, bardziej do siebie niż do niego. - Gdybym to zrobiła, nigdy by do tego nie doszło.

- Nie można było tego uniknąć. To stało się tak szybko. Przeziębienie jednego dnia... a następnego wywiązało się już zapalenie płuc.

- Kiedy umarła pani Pollack?

- Biedna kobieta, to takie straszne. W dzień po twoim odjeździe.

- Powinieneś był mnie zawiadomić. Gdybym wiedziała, wróciłabym i zabrała moje małeństwo... bez względu na to, co byś zrobił. Nie było tu nikogo, kto by się nim zajął.

- Była niania Benson... i Louie.

- Pijana staruszka i płoża dziewczyna, która myślała tylko o następnej randce z panem domu.

- Och, przestań, Zuzanno, to nic nie pomoże.

- Ale nikt się nim nie zajął. Nie wezwałeś doktora Callibera - mówiłam dalej.

- Nie widziałem takiej potrzeby. W domu był dobry lekarz. Popatrzyłam na niego i na nowo ogarnęło mnie przerażenie.

- Doktor Damien - odgadłam.

- Tak, został tu na noc.

- I pozostawiłeś z nim moje dziecko! - zawołałam.

- To jeden z najlepszych lekarzy na świecie. Jest bardzo ceniony i znany - tłumaczył Aubrey.

- Na pewno w waszych świątyniach grzechu! - warknęłam.

- Zachowujesz się nierozsądnie.

- Usiłuję zrozumieć, dlaczego całkiem zdrowe dziecko tak nagle umarło - odparłam gniewnie.

- Mówisz tak, jakby dzieci nigdy nie umierały. Umierają bardzo często... na tę chorobę lub inną. Niełatwo jest wychować dziecko. W rzeczywistości śmiertelność wśród dzieci jest zjawiskiem powszechnym.

- Może wśród tych, o które nikt się nie troszczy - nie ustępowałam. - Zaniedbano moje dziecko. Nie było mnie tutaj. Pani Pollack, która lubiła Juliana, też nie mogła się nim zająć. Wszystko teraz rozumiem. Gorączka, trudności w oddychaniu - i niania Benson chrapiąca w sąsiednim pokoju, a rozkoszna Louie brykająca w diabelskiej jaskini!

- Niepokoiłem się o Juliana! - zaprotestował.

- Czy kiedykolwiek go kochałeś? - spytałam z wyrzutem.

130

- Kochałem. Po prostu nie rozczulałem się nad nim i nie rozpieszczałem go tak jak ty.

- Rozpieszczałam! On wcale nie był rozpieszczony. Był wspaniałym dzieckiem... - Głos mi się załamał.

- Oczywiście. Był dobrym dzieckiem i był też moim dziedzicem. Pragnąłem dla niego wszystkiego najlepszego. To dlatego...

- To dlatego wzięłaś Amelię do swojego powozu i zaaranżowałaś ów niegroźny wypadek...

Och, tylko taki, żeby nie zrobić sobie nic złego ani nie uszkodzić powozu... ale by pozbyć się dziecka brata, które zniweczyłoby twoje nadzieje na odziedziczenie majątku! -przerwałam mu.

Zbladł jak płótno i pomyślałam: zrobił to.

- Przykro mi, że uważasz, iż byłbym zdolny do czegoś takiego -odrzekł po chwili.

- Uważam - powiedziałam z naciskiem.

- W takim razie masz o mnie złą opinię.

- Jak najgorszą.

Pokiwał głową i rzekł zmęczonym głosem:

- Zuzanno, usiłuję postępować z tobą łagodnie i delikatnie. Wiem, jaki szok przeżyłaś.

- Nie, nie wiesz. Nie jesteś zdolny pokochać kogokolwiek tak, jak ja kochałam mojego synka... i mego ojca. Straciłam ich obu. Nie mam teraz nikogo.

-A gdybyśmy spróbowali... ty i ja... Moglibyśmy mieć drugie dziecko. Na pewno poczułabyś się lepiej. Zuzanno, zacznijmy wszystko od początku... Zostawmy wszystko za sobą.

Popatrzyłam na niego z obrzydzeniem.

Dziś wiem, że w pewien sposób próbował mi pomóc. Ta tragedia otrzeźwiła go, ale byłam wtedy zbyt rozżalona, by to dostrzec. Widziałam tylko moją własną rozpacz i możliwość obwinienia kogoś innego przyniosła mi wówczas pewną ulgę, a on był winowajcą, którego szukałam.

Zdawał sobie sprawę z tego, dokąd prowadzi go nałóg. Teraz wiem, że mój mąż chciał, bym mu pomogła w walce z nałogiem; chciał wrócić do czasów, kiedy byliśmy szczęśliwi w pierwszych tygodniach naszego małżeństwa. Ja jednak widziałam Aubreya tylko takim, jak tamtej strasznej nocy w Wenecji i wtedy, gdy przypadkiem natrafiłam na tę diabelską jaskinię i ujrzałam go w towarzystwie zdeprawowanych przyjaciół.

- Zabiłeś moje dziecko, ponieważ go nie kochałeś - powiedziałam. - Julian żyłby dziś, gdybym go zabrała ze sobą do Londynu. Myślisz, że kiedykolwiek pozwoliłabym mu umrzeć?

131

- Nie masz władzy nad życiem i śmiercią, Zuzanno. Nikt z nas nie ma.

- Możemy walczyć z katastrofą. Ja zostawiłam zdrowe dziecko i po powrocie zastałam je martwe. Hulałeś z przyjaciółmi, kiedy mój syn umierał. Nie zauważyłeś, że był chory. Nie

przejmowałeś się nim. Nie miałeś czasu na opiekę nad własnym dzieckiem. Dlaczego nie wezwałeś doktora Callibera?

- Powtarzam, że miałem na miejscu najlepszego ze wszystkich lekarzy.

- Tego rozpustnika... i narkomana! To morderca. Zamordował moje dziecko - powiedziałam oskarżycielskim tonem.

- Pleciesz bzdury.

- Dał mu jakieś narkotyki, prawda?

- Wiedział, co robi - zaprotestował Aubrey.

- Wiesz, że Julian umarł w rezultacie tego, co ten potwór mu zrobił! - zawołałam.

- Było już za późno na leczenie. Damien powiedział, że jest za późno - bronił się Aubrey.

- Za późno! A ty nie posłałeś po doktora Callibera. Och, jakże nienawidzę ciebie i twojego drogiego przyjaciela. Nigdy nie zapomnę tego, co zrobiłeś mojemu dziecku... i mnie.

- Posłuchaj, Zuzanno. Przeżyłaś zbyt wielki szok. Rozumiem to. Zamierzałem wyjechać po ciebie na stację, aby cię do tego przygotować.

- Ty rzeczywiście myślisz, że sposób, w jaki bym się o tym dowiedziała, miałby dla mnie jakiegokolwiek znaczenie! - wybuchnęłam.

- Nie, oczywiście, że nie. Ale przyjechać do domu i znaleźć własne dziecko w trumnie... to musiało być straszne.

- Nieważne, gdzie znalazłam Juliana! Znalazłam go martwego... i dlatego nienawidzę was wszystkich. Wszyscy jesteście mordercami! Twoja pijana niańka, twoi rozpustni przyjaciele, ty, z twoimi ohydnyymi praktykami i haniebnym trybem życia... a przede wszystkim ten doktor, ten tak zwany doktor. Przeczytałam jego książki. To człowiek jeszcze gorszy od ciebie, gdyż ty masz słaby charakter, a on jest silny. Ukrywa swoją przewrotność pod pozorem dobrych uczynków. Nienawidzę was wszystkich... wszystkich twoich przyjaciół... wszystkiego, co ma związek z tobą... ale przede wszystkim ciebie... i jego.

- Każę podać ci coś do zjedzenia i zamierzam poprosić doktora Callibera, żeby przyjechał. Roześmiałam się gorzko.

- Jaka szkoda, że nie troszczyłeś się tak o swojego syna.

132

Wtedy mogłeś wezwać doktora Callibera, żeby go zbadał. Znalazłby się pod opieką prawdziwego lekarza.

Rzuciłam się na łóżko i pogrążyłam w rozpacz.

Nie pamiętam, jak minęły mi następne godziny. Dzień przeszedł w noc, a potem znów nastał dzień i nic nie zmniejszyło goryczy przepełniającej moje serce.

W dniu, kiedy pogrzebano moje dziecko, chodziłam jak błędna. Patrzyłam z niedowierzaniem na trumienkę ze zwłokami istotki, która była dla mnie całym światem. Zniosłabym wszystko, gdyby tylko Julian był ze mną.

Dźwięk dzwonu ogłosił wszystkim mój smutek i żal, nie słuchałam nawet słów pastora.

Juliana pochowano w mauzoleum rodu Saint Clare'ów wśród jego przodków... Stephena, który umarł tak niedawno, i Harry'ego Saint Clare'a, który urządził świątynię szatana w jaskini i praktykował tam swe diabelskie obrzędy.

Nadal byłam oszołomiona; popadłam w kojącą ból apatię i mogłam tylko myśleć o stracie dziecka.

Wróciliśmy do domu. Zamknęłam się w pokoju i nie chciałam nikogo widzieć.

Aubrey przysłał do mnie doktora Callibera. Rozmawiając z nim, ożywiłam się trochę.

Powiedział, że rozumie mój żal, ale muszę się opanować, gdyż inaczej zachoruję.

- Będzie pani miała następne dzieci, pani Saint Clare - pocieszył mnie. - I proszę mi wierzyć, z czasem ból po stracie ukochanej osoby maleje.

Nie chciałam tego słuchać. Pragnęłam poznać przyczynę śmierci Juliana.

- To był bardzo ciężki przypadek zapalenia płuc - tłumaczył doktor Calliber. - Niewiele można było zrobić dla pani syna.  
- Ale gdyby przyjechał pan na czas... gdyby to zauważono...  
- Któż to może wiedzieć? Śmiertelność wśród dzieci jest wielka. Nawet się dziwię, że tak wiele z nich przeżywa.  
- A kiedy pan przyjechał, doktorze?  
- On już nie żył - odrzekł Calliber.  
Już nie żył! Te słowa odbiły się echem w moim umyśle.  
- Był tu inny lekarz, który się zajął Julianem... ktoś, kto bawił z wizytą w naszym domu - powiedziałam.  
- Tak, słyszałem, ale nie widziałem go - wyjaśnił.  
- Gdyby wezwano pana na czas... - nie ustępowałam.

133

- Któż to może wiedzieć? A teraz niepokoi mnie pani stan. Zapiszę jakiś środek uspokajający. Musi pani przyjmować go regularnie, pani Saint Clare, i starać się jeść. Proszę pamiętać, że to zdarza się dość często. Jestem pewny, że będzie miała pani jeszcze dużo dzieci, a wtedy strata tego jednego przestanie się pani wydawać taka wielka.  
Po jego odejściu usiadłam przy oknie wychodzącym na zagajnik i głuchy gniew zawrzał w moim sercu.  
Pozostawili go, by umarł. A lekarz, który się nim zajął, to nie był rozsądny doktor Calliber, ale Diabelski Doktor. Byłam pewna, że podał mojemu kochanemu synkowi jeden z tych swoich eksperymentalnych środków i że to go zabiło. Pewnego dnia zemszczę się na tym mordercy.  
O dziwo, myśl o zemście koła ból. Odwróciła moją uwagę od bladej, spokojnej twarzyczki Juliana w trumience, od wspomnień o moim wesołym synku, od dźwięku dzwonu; i nadała sens mojemu życiu.  
A gdyby tak stawić czoło temu podłemu lekarzowi? Jeżeli powiem mu, co o nim myślę, oskarżę go o otrucie mojego dziecka narkotykami... i o zrujnowanie życia mojemu mężowi? Nie sądzę, żebym czuła wtedy coś do Aubreya oprócz wstrętu, ale w dziwny sposób było mi go żal. Pamiętałam przecież kilka sytuacji, kiedy zdawał się wyglądać spoza wymyślnej, obrzydliwej maski i prosił mnie o pomoc. A może tylko poniosła mnie wyobraźnia? Zbyt daleko zaszedł drogą prowadzącą ku całkowitej ruinie, żeby teraz zawrócić. Wiedział jednak o tym i może od czasu do czasu oglądał się za siebie, myśląc o tym, co mogło być.  
To lekarz, który zabił moje dziecko, uczynił Aubreya takim.  
Dlaczego zawsze pojawiał się w chwilach katastrofy? Był zwiastunem nieszczęścia.  
Przebywał wtedy w Wenecji. Znajdował się w Minster, kiedy umarł Julian.  
Sprawiał wrażenie złego ducha. Zobaczyłam go w myśli z rogami i kopytami jak posąg w tamtej ponurej jaskini. Był tajemniczą, złowróżbną postacią.  
Potem usilnie zapragnęłam spotkać się z tym człowiekiem. Myślę, że próbowałam w ten sposób przezwyciężyć ból i myśleć o czymś innym, a nie o mojej tragicznej stracie.  
Odnajdę go i rzucę mu prosto w twarz oskarżenie o to, co zrobił. Może przeszkodzi mu w zmarnowaniu życia innym ludziom, tak jak to zrobił z Aubreyem... i ze mną. Może to były melodramatyczne i absurdalne myśli, ale dostrzegłam coś, co nadało sens mojemu życiu, a było to pragnienie zemsty. Stłumiło dręczącą rozpacz.

134

Miałam teraz po co żyć: musiałam odnaleźć Diabelskiego Doktora... człowieka, który według mnie zabił moje dziecko.



Nie mogłam nikomu o tym powiedzieć. To będzie moja tajemnica. Ludzie pomyśleliby, że zwariowałam, uważając, iż ów lekarz zabił moje dziecko. Julian był poważnie chory, kiedy ten człowiek go obejrzał. To prawda. Wierzyłam jednak wtedy, że wypróbowywał na nim swoje niebezpieczne medykamenty.

Dławiła mnie bezsilna wściekłość na Diabelskiego Doktora. Wyobrażałam sobie, że stoję z nim twarzą w twarz. Powiem mu o tym, co wyczytałam w jego książkach między wierszami - o przygodach w odległych krajach... w Indiach, w Arabii. Powiem mu tak: „Przejął pan zwyczaje tubylców, stał się pan jednym z owych ludzi. Mówił pan językiem urdu, hindi i po arabsku... niczym jeden z nich, jak pan twierdzi. Ma pan śniadą cerę - wyobraziłam sobie jego głęboko osadzone, tajemnicze oczy w ciemnej twarzy - łatwo więc było panu się przebierać”. Oczami wyobraźni widziałam, jak naśladuje zwyczaje krajowców i żyje jak oni, może nawet utrzymuje harem. To zapewne bardzo by mu odpowiadało - oczywiście wszystko pod pozorem badań naukowych.

I zrobił to wszystko jako wielki lekarz! Dokonał większych odkryć niż ktokolwiek inny; powiększył swoją wiedzę medyczną. Tak bardzo, że zmarnował życie mojemu mężowi i zamordował naszego synka swymi strasznymi narkotykami.

Nienawiść stała się częścią mojego życia. Ponownie przeczytałam książki doktora Damiena i dostrzegłam w nich więcej niż przedtem. Wyobrażałam sobie jego ciemną, szatańską twarz, gdyż choć go nigdy nie widziałam, istniała w mojej wyobraźni. Rozmyślałam o nim, podsycając wściekłość, czepiając się jej jak tonący brzytwy, gdyż zdałam sobie sprawę, że kiedy myślę o tym człowieku, nie chcę już umrzeć. Pragnęłam żyć i zemścić się na nim. Minęło kilka tygodni. Zeszczuplałam i z powodu wysokiego wzrostu wyglądałam na chudą; kości policzkowe, zawsze lekko wystające, wyraźniej rysowały się w mojej twarzy; oczy stały się duże, pełne smutku, a usta jak gdyby zapomniały o uśmiechu.

Aubrey przestał robić mi wymówki. Wzruszył ramionami, jak gdyby pozbył się wszelkiej odpowiedzialności za mnie. Goście znowu zaczęli przyjeżdżać na weekendy. Podejrzywałam, co się działo, ale już nie protestowałam.

Aż pewnego razu obudziłam się w środku nocy, usiadłam na łóżku i powiedziałam sobie:  
- Dość. Musisz coś zrobić.

135

W nagłym przebłysku olśnienia zrozumiałam co.

Opuszczę Minster - nie po to, by złożyć wizytę Amelii, która mnie zaprosiła; nie pojedę też do wuja Jamesa i ciotki Grace - odejdę stąd i już nigdy tu nie wrócę.

Nie przestanę cierpieć dopóty, dopóki tu będę. Wszystko wokoło przypominało mi o utraconym dziecku. Minster było dla mnie potwornym miejscem. Prześladowały mnie wspomnienia tego, co zobaczyłam w szatańskiej jaskini, i wiedziałam, że Aubrey stanie się jeszcze gorszy, a nie lepszy. Wszędzie, dokąd poszłam, odzywały w mojej pamięci wspomnienia o Julianie, nawiedzając mnie zniecka. Musiałam dalej żyć, jeśli miałam pomóc jego śmierć, a nie zrobić tego tutaj.

Nie chciałam już więcej widzieć Aubreya. Za każdym razem, gdy go ujrzałam, ogarniał mnie gniew i chwycił za gardło. Winiłam mego męża, gdyż uważałam, że to jego beztroška spowodowała śmierć Juliana. Nie mogłam mu wybaczyć. Dlatego musiałam stąd odjechać.

Wtedy, w środku nocy, wydawało mi się to bardzo proste. Miałam dom w Londynie. Miałam też Polly, Jane i Joego, którzy się mną zajmą.

Nie byłam pewna, co powinnam uczynić, wiedziałam jednak, iż coś zrobię. Rozstanę się z Aubreyem raz na zawsze. Nic ze sobą nie wezmę. Od tej pory będę panną Pleydell jak przed ślubem.

Kiedy wstałam następnego ranka, zaskoczyło mnie, że ten plan nie był tylko sennym majakiem. Miał duże szanse powodzenia. Co więcej, poczułam się znacznie lepiej.

Spakuję rzeczy i każę je wysłać do Londynu. I sama odjadę najprędzej, jak to tylko będzie możliwe.

Wyjaśniłam Aubreyowi, co zamierzam zrobić.

- Chcesz powiedzieć, że mnie opuszczasz? -Tak.

- Czy to mądre? - spytał.

- Myślę, że to najmądrzejsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłam - odparłam.

- Jesteś tego pewna?

- Bardziej niż czegokolwiek innego - dodałam z naciskiem.

- W takim razie nie będę próbował ci tego wyperswadować. Muszę ci uświadomić, że znajdziesz się w bardzo trudnej sytuacji. Kobieta, która odeszła od męża...

- Wiem, że uważa się, iż kobiety nie powinny tego robić. Za to mężowie mogą się zachowywać tak, jak im się podoba. Mogą mieć sto kochanek i jest to akceptowane... ponieważ są mężczyźnami.

136

- Mężczyźni mogą to zrobić pod jednym warunkiem: nikt nie powinien się o tym dowiedzieć - odparł sucho. - Więc nie jest to łatwe... nawet dla nich. Ale ty już podjęłaś decyzję i jesteś bardzo zdeterminowaną kobietą.

- Nie byłam wystarczająco zdeterminowana w przeszłości, niestety - odparłam.

- A teraz to nadrabiasz.

- Sama lepiej sobie poradzę - powiedziałam. - Nic nie mogłoby być dla mnie gorsze niż dalszy pobyt tutaj. Nic mnie tu już nie trzyma. Nie możesz szantażem zmusić mnie do pozostania, jak to zrobiłeś za życia Juliana.

- Za bardzo wzięłaś to sobie do serca - odrzekł.

- Żegnaj, Aubreyu.

- Ja powiem ci au revoir.

- Cokolwiek powiesz, nie będzie to miało żadnego znaczenia. -Zadałam mu ostatni cios.

Opuściłam go, zdecydowana na wszystko. Skończyłam pakować ostatnią walizkę. Włożyłam do niej książki, które Stephen dał mi do przeczytania.

A potem wróciłam do Londynu.

## Rozdział Czwarty.

### Wypadek na Oxford Street.

Podjęłam decyzję tak nagle, że nie miałam czasu powiadomić służby o swoim przybyciu. Pomyślałam z radością, że w przyszłości polecę Joemu, by po mnie wyjechał i zawiózł mnie powozem wszędzie tam, dokąd zechcę się udać. Poczułam się wolna - nigdy dotąd nie zaznałam tego uczucia - a mogło ono być tylko przyjemne.

Zostawiłam bagaż na stacji, żeby potem po niego posłać, i pojechałam dorożką do domu.

Polly otworzyła mi drzwi i spojrzała na mnie ze zdumieniem. Na widok jej miłego uśmiechu poczułam ciepło w sercu.

-A niech mnie, przecież to nasza pani! - zawołała. - Jane... chodź tu prędko. Pani przyjechała!

Wyściskałam je obie i rozbawiła mnie myśl, co powiedziałyby ciotka Grace, widząc, że zachowuję się tak swobodnie wobec służących. Najwidoczniej moją służbę i mnie zawsze będą łączyć bardzo niekonwencjonalne stosunki.

- Przyjechałam, żeby tu zamieszkać - wyjaśniałam. - Opuściłam Minster... na zawsze.

Wszyscy oniemieli z zaskoczenia. Później Polly powiedziała:

- Wiem, czego pani trzeba: filiżanki dobrej herbaty.

Nie sądziłam, że pragnę czegokolwiek, ale kiedy dziewczęta przyniosły mi herbatę, poleciłam im wziąć jeszcze dwie filiżanki i usiąść ze mną - zdumiałam się, gdy zdałam sobie sprawę z tego, jak dobrze się poczułam w ich towarzystwie.

Opowiedziałam im o wszystkim, co się stało: o śmierci Juliana i o decyzji opuszczenia męża. Wysłuchały mnie w bojaźliwym milczeniu, ale widać było, że bardzo mi współczują.

Oczywiście nie wspomniałam o świątyni szatana.

138

- Jane, Polly - oświadczyłam potem. - Zamierzam rozpocząć nowe życie. Będziecie musiały mi w tym pomóc.

- Zrobimy wszystko, prawda, Polly? - powiedziała Jane. Jej siostra potwierdziła z naciskiem, że tak będzie.

- Chcę całkowicie zerwać z moim dotychczasowym życiem. Spróbuję o nim zapomnieć. Nigdy nie zapomnę mojego synka... ale w życiu są też inne sprawy.

Zdumiał mnie ich takt. Nie zadawały pytań, czekając, aż sama im wszystko powiem.

- Chcę się stać całkiem inną kobietą. Już nie jestem panią Saint Clare. Pragnę zapomnieć, kim byłam.

Skinęły głowami. W tych kilku słowach dałam im do zrozumienia, że nie mogłam już dłużej znieść swojego małżeństwa.

- Zamierzam wrócić do nazwiska, które nosiłam przed ślubem. Odtąd będę znowu panną Pleydell.

Ponownie skinęły głowami.

- Nie chcę nawet nosić imienia Zuzanna. Odtąd będę Anną. Pomysł ten przyszedł mi do głowy w pociągu. Po latach znów

usłyszałam głos mojej ayah. Powiedziała kiedyś: „Są w tobie dwie dziewczynki: Zuzanna i Anna. Zuzanna... jest łagodna, pragnie żyć w spokoju i akceptuje to, co przyniesie jej życie. Ale jest też i Anna. Ona pragnie być silna. Zdobędzie to, co zechce, i z niczego nie zrezygnuje”.

Miała rację. Były we mnie dwie istoty, a teraz potrzebowałam całej siły, bystrości i zdecydowania, które cechowały silniejszą stronę mojej natury.

Już wtedy Anna Pleydell wydawała mi się kimś innym niż Zuzanna Saint Clare.

- A więc będziecie mnie nazywały panną Pleydell. Przyjdzie to wam bez trudu.

- No cóż, służyłyśmy pułkownikowi Pleydellowi, nic więc dziwnego, że będziemy służyć jego córce, pannie Pleydell - skomentowała Jane.

- Obie wiecie, jak bardzo kochałam ojca... i mojego synka. Jane zagryzła wargi, a Polly odwróciła głowę, by ukryć łzy.

- Nigdy ich nie zapomnę... - Głos mi zadrżał i nagle łzy popłynęły z moich oczu.

Rozpłakałam się po raz pierwszy, odkąd spadły na mnie te wszystkie nieszczęścia. A później szlochałam rozdzierająco, a Jane i Polly razem ze mną.

Jane opanowała się pierwsza. Nalała mi herbaty do filiżanki.

- Proszę - powiedziała. - W ten sposób świnie nie zostaną zawiezione na targ,

139

jak powiedział pewien wieśniak, kiedy koło odpadło mu od wozu, a konie uciekły.

Polly spojrzała na mnie i uśmiechnęła się przez łzy.

- Nie wrócę do męża - odparłam. - Nigdy w życiu. Ale musimy być praktyczne. Trzeba się zastanowić, co dalej robić. Wiem tylko, że będzie mi w tym domu lepiej niż gdziekolwiek indziej, chociaż wszystko tu przypomina ojca.

- Był kochanym, dobrym człowiekiem i tak dobrze nas traktował - odezwała się cicho Jane.

- Takiego to ze świecą szukać - dodała Polly.

- Zajmiemy się panią... chciałam powiedzieć: panienką - obiecała Jane. - Oczywiście będziemy się musiały do tego przyzwyczaić, co trochę potrwa, ale poradzimy sobie.  
- Włożyłam ogrzewadło do łóżka panienki, panienko Pleydell - oświadczyła Polly.  
- Dobrze, że to zrobiłaś - pochwaliła ją Jane. - Ostatnie dni były zimne i dżdżyste. Wilgoć wlaża wszędzie.

Poczułam, że dobrze zrobiłam, przyjeżdżając do Londynu. Później poszłam do stajni i porozmawiałam z Joem. Już znał ostatnie nowiny.

- Dobrze znów panienkę widzieć, panienko Pleydell - powiedział, puszczając do mnie oko na znak, że zapamiętał polecenia, które przekazały mu Jane i Polly. - Powozy powinny jeździć, a nie stać. Nie lubią tego. Mają własne zachcianki i potrzeby. Dobrze o tym wiem - przecież jeździłem z Londynu do Bath przez tyle lat.

Widziałam współczucie i sympatię w jego oczach. Dziewczęta powtórzyły mi wszystko to, co im opowiedziałam; cała trójka kochała mojego ojca i Juliana. Dzielili ze mną żal po ich stracie jak nikt w Minster.

Tak, pomyślałam, sądzę, że mogę zacząć wszystko od nowa.

Nie przyszło mi to łatwo. Kiedy obudziłam się rano, wpadłam w przygnębienie. Śnił mi się Julian, choć nie zapamiętałam treści snu. Pomyślałam: Co ja tu robię? Czyż mogę mieć nadzieję na nowe życie? Jakie znaczenie ma to, gdzie mieszkam? Czy jestem tutaj, czy w Minster, ból po stracie najbliższych pozostaje taki sam.

Jane przysłała z kubkiem gorącej czekolady.

- Co zechce panienka zjeść na śniadanie? - zapytała.

- Nic, dziękuję ci, Jane. Pokiwała głową.

- Łóżko jest wygodne? Czy panienka dobrze spała?

140

- Łóżko jest wygodne, ale kiedy zasnę, mam smutne sny - odpowiedziałam cicho.

- A więc proszę wypić czekoladę. Jest bardzo pożywna.

Stała tam, dając mi do zrozumienia, że się nie ruszy, aż wypiję czekoladę. W pewien sposób przypominała moją ayah. W ostatnich czasach dużo o niej myślałam. Wiedziała coś o Diabelskim Doktorze. Żałowałam, że mi tego nie powiedziała. Wypiłam czekoladę, by sprawić przyjemność Jane, a potem położyłam się, zadając sobie pytanie, co powinnam zrobić, kiedy wstanę. Powinnam wybrać się na przejażdżkę, by zadowolić Joego.  
„Powozy nie powinny stać”.

Możemy przywieźć moje rzeczy z dworca, a potem się rozpakuję. Ten dzień jakoś przeminie. Dlaczego sądziłam, że w Londynie wszystko będzie takie inne?

Dni mijały powoli. Od czasu do czasu wybierałam się na przejażdżkę, by sprawić przyjemność Joemu. Porobiłam drobne zakupy. Jane i Polly wymyślały dla mnie posiłki, które dziobałam jak ptak - tak powiedziała z oburzeniem Jane.

- Schudła panienka jak szczapa - oświadczył mi Joe. - Powinna panienka trochę przybrać na wadze, panienko Pleydell. Bez ciała kości nie na wiele się zdadzą.

- Wszystko w porządku, Joe - zapewniłam go.

- Proszę o wybaczenie, panienko Pleydell, ale tak nie jest - odparował ostro.

Domyśliłam się, że rozmawiał z Polly i Jane. Oni naprawdę zaczęli martwić się o mnie. Nie wiem, jak długo mogłabym żyć w takim letargicznym stanie, gdyby nie wypadek na Oxford Street, dzięki któremu w moim życiu pojawiła się Lily Craddock.

Od czasu do czasu robiłam zakupy. Kupowałam drobiazgi do domu i lubiłam wyszukiwać drobne prezenty dla Jane i Polly, którym byłam bardzo wdzięczna za troskliwość. Nasze stosunki nie miały nic wspólnego z relacją między panią a służącymi. Uważaliśmy się za jedną rodzinę. Tak było, gdy żył ojciec; a teraz wszyscy troje traktowali mnie w ten sam sposób w dwójnasób. Myślę, że stało się tak z powodu okoliczności, które mnie tu

przywiodły. Bardzo mi współczuli, dzielili ze mną ból i żal i wiedziałam, że naprawdę niepokoi ich stan mojego zdrowia. Aubrey powiedziałaby, że martwi ich własna przyszłość, a nie moja, bo gdybym umarła, co by się stało z ich wygodnymi posiadaczkami? Ja jednak byłam pewna, że rzeczywiście mnie lubią - Jane, Polly i Joe - wszyscy troje.

141

Joe zabrał mnie więc na jedną z takich wypraw po zakupy. Kiedy opuściliśmy sklep, gdzie kupiłam kilka par rękawiczek, i jechaliśmy Oxford Street, na której panował dość ożywiony ruch, Joe nagle ściągnął lejce. Wyrzłam przez okno. Staliśmy i ludzie zaczęli się gromadzić wokół nas. Mój stangret zeskoczył na bruk, a ja wysiadłam z powozu. Ujrzałam z przerażeniem, że na ulicy leży jakaś dziewczyna z zakrwawioną twarzą.

Joe skierował na mnie oczy.

- Ona zbiegła z chodnika jak błyskawica... tuż pod końskie kopyta i zanim zdołałam coś zrobić, upadła. Nie zdążyłam zatrzymać powozu.

Uklękłam przy dziewczynie. Była śliczna i miała gęste, jasne, kędzierzawe włosy. Patrzyła na mnie błagalnie niebieskimi oczami.

- Wszystko w porządku, zajmijmy się tobą. - Położyłam jej rękę na czole. Od razu zamknęła oczy i wydawało się, że jest jej lepiej.

Stangret z sąsiedniego powozu wychylił się i wrzasnął:

- Co tam się stało? Lepiej zawieźć ją do szpitala... i to szybko. Powiedziałam, że to dobry pomysł.

Jakiś policjant przepychał się przez tłum. Wyjaśniłam mu, że dziewczyna wybiegła na ulicę tuż pod moje konie.

- Chciałabym zabrać ją do szpitala - dodałam na koniec. Policjant uznał, że to najlepsza rzecz, jaką możemy zrobić. Niejasny odruch kazał mi zająć się wszystkim.

- Musimy uważać, gdyż mogła połamać sobie kości - powiedziałam. - Jeśli tak się stało, będziemy potrzebowali noszy.

- Możesz wstać, panienko? - spytał policjant.

- Niech pan mi pozwoli to zrobić - wtrąciłam i uklękłam przy niej. Zwróciła na mnie wzrok i wyczułam, że mi ufa, od czego zrobiło mi się ciepło na sercu. Nagle zdałam sobie sprawę z tego, że czuję się pewniej, i cieszę się, mogąc coś dla niej zrobić. - Powóz cię potrafił - wyjaśniłam. - Chcemy się dowiedzieć, czy czegoś sobie nie złamałaś. Zgodzisz się, żebyśmy sprawdziła?

Dotknęłam jej nóg. Nie skrzywiła się, więc doszłam do wniosku, że jeżeli zdoła wstać, to znaczy, iż ich nie połamała. Pomogłam jej się podnieść i stanęła bez bólu. Najwyraźniej kości miała całe.

- Zabierzemy cię do szpitala - powiedziałam. Dziewczyna zaniepokoiła się, ale szepnęłam do niej łagodnie: - Wszystko będzie w porządku. Zobaczymy, co tam powiedzą.

Policjant skinął głową na znak aprobaty i pomógł poszkodowanej wsiąść do mojego powozu.

- Niedaleko jest szpital - powiedział i zaproponował, że będzie nam towarzyszył.

142

Dziewczyna usiadła między nami. Zauważyłam, że odsunęła się od policjanta. Objęłam ją ramieniem i przytuliłam do siebie. Poczułam wielką ulgę, gdyż wydawało się, że nie doznała cięższych obrażeń.

Zapytałam ją, jak się nazywa; odrzekła, że Lily Craddock. Podałam jej swoje nazwisko i adres, ale była w takim stanie, że wątpiłam, czy cokolwiek do niej dotarło.

Podjechaliśmy do wysokiego szarego gmachu.

- Myślę, że powinienem ją tam zaprowadzić - odezwał się policjant.

Dziewczyna spojrzała na mnie błagalnie, więc powiedziałam:

- Przyjadę do ciebie dziś po południu, aby dowiedzieć się, jak się czujesz.

Na jej usta wypłynął żalony półśmiech. Odniosłam wrażenie, że jest mi bardzo wdzięczna, choć zrobiłam dla niej tak niewiele. Joe mówił o tym wypadku przez całą drogę do domu.

- One po prostu nie patrzą, dokąd idą. Wypadła jak strzała... a tu wszędzie powoziki, kabriolety, wozy, bryczki. Nie wiem, co się dzieje z tymi dziewczętami. Usiłują przejść na drugą stronę ulicy, nawet jeśli miałyby przypłacić to życiem. Na pustej drodze jest zupełnie inaczej, panienko Pleydell... konie kłusują ręczo... kopyta stukają po bruku.

- Tak, tak na pewno się stało. Myślę, że nic jej nie będzie. Chyba nic poważniejszego jej się nie stało.

- Dziękuję za to mojej gwiazdzie. Nie chciałbym mieć kogoś na sumieniu. Po tylu latach dobrego powożenia byłoby to fatalne. Choć to wina tej młodej ósóbki.

- Biedna dziewczyna! Może myślami znajdowała się daleko. Ma miłą twarz.

- Z tymi dziewczynami nigdy nic nie wiadomo, panienko Pleydell. Te o miłym wyglądzie często bywają najgorsze.

Zdałam sobie sprawę, że śmieję się z jego uwag i opanowałam się wysiłkiem woli. W moim życiu nie było już miejsca na śmiech.

Musiałam jednak stawić czoło prawdzie. Minęła godzina, odkąd dziewczyna wpadła pod nasz powóz, a ja przez ten czas ani razu nie pomyślałam ani o Julianie, ani o moim ojcu.

Nieszczęście tej biedaczki przyniosło mi godzinę zapomnienia.

Przyjechałam do domu i weszłam do środka. Polly powiedziała mi, że wkrótce będzie obiad.

- Wiem - odrzekłam. - Wróciłam szybciej, niż myślałam. Ale potrąciliśmy pewną dziewczynę na Oxford Street i zawieźliśmy ją do szpitala.

143

- Na moją świątobliwą ciotkę! - zawołała Polly. - Czy coś jej się stało?

- Nie sądzę. Oczywiście była zszokowana. W szpitalu zobaczą, co z nią. Pojadę do niej po południu.

Obie dziewczyny spojrzały na mnie z przerażeniem.

- Chyba panienska nie zamierza udać się do jednego z tych miejsc?

- Chodzi ci o szpital? Tak, oczywiście. Chcę się dowiedzieć, jak ona się czuje. Przecież to mój powóz ją potrącił.

- Musiała być tam, gdzie nie powinna się znajdować. Joe nigdy by jej nie przejechał, gdyby tak nie było.

- Prawdopodobnie stało się to z jej winy, ale co z tego. Pojadę i zobaczę, w jakim jest stanie. Czuję się za nią odpowiedzialna.

- Och, panienko, nie może panienska pójść do szpitala.

- Dlaczego? - spytałam ze zdziwieniem.

- To nie miejsce dla takich dam jak panienska.

Spojrzałam na dziewczęta pytająco, a na twarzach obu ukazał się wyraz, który już dobrze znałam i który zawsze mnie bawił. Znaczył on, że jestem naiwna jak dziecko i że tak naprawdę nie znam obyczajów tego niegodziwego wielkiego miasta, jakim jest Londyn. One się tutaj urodziły i wychowały, są mądrzejsze ode mnie, bo po prostu je znają.

- Szpitale to straszne miejsca, panienko - powiedziała Jane.

- Oczywiście. Są tam chorzy i umierający ludzie - odparłam.

- Wolałabym umrzeć niż znaleźć się w jednym z nich. Nigdy nie pozwól mnie tam zabrać, Poll... nawet gdybym wydawała ostatnie tchnienie.

- Muszę odwiedzić tę dziewczynę, by się przekonać, czy nic jej nie jest - nie ustępowałam.

- Panienko, tam są najgorsze z najgorszych - tłumaczyła mi Polly. - Był taki czas, kiedy Jane i ja myślałyśmy o pracy pielęgniarek... No wie panienska, to taki zawód. Opiekowałyśmy się

mamą przez wiele lat i uważałyśmy, że jesteśmy w tym dobre. Ale tamte pielęgniarki... Są pijane przez większość czasu... Najgorsze z najgorszych.

- Zamierzam zobaczyć się z tą dziewczyną. Nazywa się Lily Craddock. Pojadę tam po południu i nic mnie nie powstrzyma - oświadczyłam stanowczo.

Jane wzruszyła lekko ramionami.

- Na obiad jest ryba - zmieniła temat. - Tak świeża, że rozplywa się w ustach.

Usiadłam, a one mi usługiwały. Zaskoczyło mnie, że zjadłam trochę tej ryby.

144

Nigdy nie zapomnę wizyty w tamtym szpitalu. Gdy tylko weszłam do środka, poczułam charakterystyczny odór. Nie miałam pojęcia, skąd się bierze. Czulałam tylko, że doprowadza mnie do mdłości. Później dowiedziałam się, że to brud i brak higieny.

Weszłam do pokoju, gdzie przy stole siedziała jakaś duża, tęga kobieta o ordynarnym wyglądzie. Zdawało się, że drzemie.

Obudziłam ją i powiedziałam:

- Przyszłam odwiedzić Lily Craddock, którą przywieziono tu tego ranka.

Spojrzała na mnie z zaskoczeniem, jak gdybym powiedziała coś niezwykłego. Potem podniosła rękę i wskazała kciukiem na drzwi za sobą. Otworzyłam je i znalazłam się w jakimś sporym pomieszczeniu.

Jane i Polly miały świętą rację! Moim oczom ukazał się potworny widok. Sala była długa, miała kilka okien, z których połowę zabito deskami. Wstrętny zapach był teraz znacznie silniejszy niż na zewnątrz. Stały tu rzędy łóżek - około pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu, jak obliczyłam - i tak blisko siebie, że trudno było między nimi przejść. Najbardziej zaszokował mnie widok ludzi, którzy w nich leżeli. Niektórzy wyglądali jak trupy w różnych stadiach rozkładu; w najlepszym wypadku mieli żółtobiałe twarze i brudne rozczochrane włosy.

Pościel była wyblakła, szara i poplamiona ekskrementami. Jedna lub dwie osoby oparły się na łokciach, chcąc na mnie popatrzeć; uznałam, że większość chorych jest zbyt bliska śmierci, by cokolwiek zauważyć.

Ruszyłam dalej i zapytałam głośno:

- Czy jest tu niejaka panna Lily Craddock?

Znalazłam ją. Leżała w przeciwnym krańcu sali. Minełam rząd łóżek i podeszłam do niej.

- Panienko... to panienka! - Zobaczyłam radość na jej twarzy i ucieszyłam się z tego. -

Myślałam, że nigdy panienka nie przyjdzie.

- Obiecałam, że przyjdę. - Obrzuciłam ją spojrzeniem i zauważyłam, że wygląda inaczej niż pozostali chorzy. W porównaniu z nimi jej twarz wyglądała prawie zdrowo. - Nie możesz tu zostać - oświadczyłam. - Zabieram cię stąd.

Pokręciła głową.

- Tak - powiedziałałam stanowczo. - Zabieram cię do mojego domu. Zaopiekuję się tobą, aż odzyskasz zdrowie.

Wyraz zdumienia przemknął po jej twarzy. Jakaś kobieta szła w naszą stronę. Wyglądała na osobę, która ma tu coś do powiedzenia.

145

- Przyszłam, żeby zabrać stąd tę młodą kobietę - powiedziałam do niej.

- Ach tak? - odparła dość zuchwale, mierzając mnie spojrzeniem od stóp do głów.

- Jestem pewna, że nie ma żadnych przeciwwskazań. To mój powóz ją potrafił. Czeka teraz na nas przed szpitalem. Czy zechce pani przynieść jej ubranie?

- Kim pani jest, madam? - spytała kobieta i z satysfakcją i rozbawieniem zauważyłam, że zdołałam ją nieco onieśmielić.

- Jestem panna Pleydell, córka pułkownika Pleydella z Ministerstwa Wojny. A teraz poproszę o przyniesienie rzeczy tej dziewczyny. Jeżeli nie może chodzić, trzeba będzie ją zanieść do mojego powozu. Mój stangret pomoże w razie potrzeby.

- Ja... ja mogę iść - powiedziała żywo Lily.

Nieznajoma kobieta zawołała jakąś inną, zapewne swoją podwładną.

- Ta młoda kobieta opuszcza szpital - oświadczyła jej.

- To dobrze, bo potrzebne nam będzie każde łóżko. To polecenie z Ministerstwa Wojny.

Uśmiechnęłam się w duchu, kiedy naburmuszone kobiety ubierały Lily - miała na sobie tylko bieliznę - a potem wzięłam ją pod ramię i poprowadziłam do drzwi.

Joe czekał, by pomóc nam wsiąść do powozu. Gdy jechaliśmy do domu, spjrzałam z niepokojem na Lily.

- Jak się czujesz? - zapytałam.

- Dziękuję, lepiej, panienko.

- Nie potrwałoby to długo, gdybyś została w tym okropnym miejscu - odrzekłam ponuro.

I w taki oto sposób Lily Craddock pojawiła się w moim życiu, które zaczęło się szybko zmieniać od tej właśnie chwili.

Miałam teraz coś do roboty. Każdego ranka po przebudzeniu myślałam o mojej pacjentce. W tamtym szpitalu wyglądała względnie dobrze, ale w porównaniu z ludźmi bliskimi śmierci.

Kiedy tylko się nią zaopiekowałam, zauważyłam, że jest słaba, niedożywiona i przeraża ją świat. Rozpaczliwie starała się zarobić dość pieniędzy, by utrzymać się przy życiu.

Opieka nad nią wypełniła mi czas. Planowałam dla niej posiłki i pielęgnowałam ją; a

zadowolenie, jakie sprawił mi jej powrót do zdrowia, warte było tych wszystkich wysiłków.

Pewnego razu powiedziała do mnie tak:

- Myślę, że mój dobry anioł stróż posłał mnie pod koła powozu panienki.

146

Nie wiedziałam, że na świecie są tacy ludzie jak panienka. Kiedy pomyślę, co panienka dla mnie zrobiła...

Słowa Lily bardzo mnie wzruszyły i odpowiedziałam jej w myślach: Nie wiem, czy jest coś, co można by porównać z tym, co ty dla mnie robisz.

Z wolna opuszczały mnie rozpacz i melancholia. Nigdy nie przestanę opłakiwać swoich drogich zmarłych, ale prawie cudem przekonałam się, że moje życie wcale nie musi być puste. Odkryłam w nim coś wartego zachodu, coś, co mogłam zrobić. Lily powiedziała kiedyś:

- Czuję się lepiej, gdy panienka gładzi mnie po czole. To ma jakiś związek z panienki rękami, panno Pleydell.

Utkwiłam w nich wzrok. Długie, zwięzające się ku paznokciom palce - „artystyczne palce”, jak ktoś kiedyś je nazwał. Nie miałam żadnych umiejętności w tej dziedzinie - chyba że można nazwać sztuką pielęgnowanie chorych.

Nachodziły mnie wspomnienia pacjentów tamtego szpitala i kilku pielęgniarek, które widziałam. Były brudne, ordynarne i rozczochrane; cuchnęły dżinem i nie miałam żadnych wątpliwości, że zaniedbywały chorych, bezbronnych ludzi, których powierzono ich opiece.

Wydało mi się to straszne i cieszyłam się, iż zdołałam zabrać stamtąd Lily.

Jadłam teraz więcej; po przybyciu dziewczyny odzyskałam apetyt. Przygotowywano dla niej specjalne potrawy, ponieważ Jane i Polly szczerze poświęciły się zadaniu, jak mówiły „postawienia Lily na nogi”. Czasami brała mnie pokusa, żeby skosztować tych potraw i nie bardziej nie mogło ucieszyć Jane i Polly. Dzięki ich staraniom wracałam do zdrowia razem z Lily Craddock.

Czasami popadałam w przygnębienie i myślałam o swoim synku duszącym się i wołającym mnie z płaczem, kiedy wyjechałam i nikt się nim nie zajął... a w końcu tamten lekarz... tamten



zły lekarz, który przyszedł, by prowadzić na nim swoje doświadczenia. Może wiedział, że narkotyk, który podał Julianowi, nie uratuje dziecku życia, ale chciał poznać jego działanie. W jakiś sposób połączyłam w myślach zaniedbanych pacjentów ze szpitala z doktorem Damienem. Tamte pielęgniarki troszczyły się tylko o siebie. W większości wypadków nie znalazły innej pracy i dlatego zatrudniły się w szpitalu. Cóż za sposób wybierania kandydatek do tego najważniejszego ze wszystkich zawodów! Kobiety, które podjęły tę pracę, powinny mieć powołanie, uważać pomoc chorym za swój obowiązek i otrzymać odpowiednie przeszkolenie. A tamten lekarz... na swój sposób życie ludzkie wcale go nie obchodziło.

147

Chciał poznać wpływ narkotyków na organizm człowieka i nie miał żadnych oporów, by wykorzystywać innych do kontynuowania własnych złowrogich eksperymentów. Przypomniałam sobie historię osławionej madame de Brinvilliers, żyjącej w XVII wieku. Mordowała ludzi, którzy stanęli jej na drodze, lecz najpierw wypróbowywała na pacjentach szpitali swoje trucizny, by poznać ich działanie i zorientować się, czy zostaną wykryte, gdy ofiara umrze. Tamte szpitale musiały bardzo przypominać ten, który widziałam. Mogłam sobie wyobrazić ową kobietę, odwiedzającą chorych jak anioł miłosierdzia, pielęgnującą ich i przynoszącą zatrute pożywienie. Diabelski Doktor był kimś podobnym, tylko jako lekarz miał więcej od niej okazji do wypróbowywania swoich morderczych metod. Przepęłniało mnie gorące pragnienie działania. Już nie myślałam, że moje życie się skończyło. Miałam wrażenie, że urodziłam się na nowo. Widziałam przed sobą jakiś cel. Można by pomyśleć, że doznałam objawienia. Od pewnego czasu poznawałam nową cechę mojego charakteru, ale dopiero teraz, kiedy w moim życiu pojawiła się Lily Craddock, zrozumiałam dokładnie, co to takiego. Moja ayah powiedziała: „Masz uzdrawiające ręce. To dar od bogów, a oni nie patrzą przychylnie na ludzi, którzy nie wykorzystują tych darów”. Czy był to dar? Tak. Mogłam ratować ludzkie życie. Widziałam cierpienia pacjentów tamtego szpitala i bardzo mnie to poruszyło. Poczułam się bezradna. Co mogłam zrobić? Nie miałam żadnych wątpliwości, że zaniedbano moje własne dziecko. Nie, zamordowano je! Było to niczym nieoparte przekonanie, ale gdyby wezwano doktora Callibera na czas, mógł uratować Julianowi życie. Aubrey zaś przyprowadził do mojego synka swego diabelskiego przyjaciela, który dał dziecku jakiś narkotyk. Możliwe, że nie myślałam racjonalnie w tym wypadku, ponieważ kochałam synka nieprzytomnie. Odnajdę doktora Damiena i stawię mu czoło. Uniemożliwię mu uśmiercenie następnych ofiar za pomocą owych szatańskich eksperymentów. Zrobiłam duży krok naprzód. Znalazłam cel w życiu. Odzyskam zdrowie i siły i w odpowiednim czasie dowiem się, jaką drogą powinnam pójść. Tymczasem zaś znajdowałam pocieszenie i radość, pielęgnując Lily Craddock. Mieszkała u nas dwa tygodnie i czuła się znacznie lepiej, ale potem ogarnął ją smutek i już nie zdrowiała tak szybko jak wcześniej. Jane i Polly domyśliły się przyczyny tego smutku.

148

- Panienko Pleydell, ta dziewczyna się martwi - powiedziała mi Jane.
- Nie powinna - odrzekłam.
- No cóż, czuje się lepiej. Myślę, że spodobała się jej rola pacjentki. A teraz myśli: do czego wrócić?
- Myślicie, że niepokoi się o swoją przyszłość? - zapytałam.
- Właśnie.
- Rozumiem - odrzekłam lakonicznie. Od jakiegoś czasu także myślałam o przyszłości Lily.

Wiedziałyśmy, że jest krawcową i że z trudem zarabia na życie. Dopiero dwa lata temu opuściła wieś. Pochodziła z licznej rodziny, a czasy były ciężkie; musiała opuścić swoich bliskich i sama się utrzymywać. Poszła na służbę, ale nie spodobało się jej to. Przybyła do Londynu, gdzie jej zdaniem mieszkali bogacze, i uważała, że szybciej zarobi na wygodne życie.

Doskonale zdawałyśmy sobie sprawę, że nie odniesie wielkich sukcesów na tym polu.

Wyjawiłam moje zamiary służącym.

- Nie jestem bogata - powiedziałam - ale mój ojciec zapewnił mi dostatnie życie, o ile nie będę ekstrawagancka. Mogłabym zaproponować Lily pracę u siebie. Może wam pomagać... na przykład żyć i robić zakupy.

- Nie zakupy - oświadczyła Jane. - Jest za miękka i zbyt naiwna z tymi swoimi wiejskimi zwyczajami. Bardzo łatwo dałaby się oszukać. Wysłanie Lily na targ z pieniędzmi to to samo co wrzucenie jakiegoś męczennika do jaskini lwa. A ona nie jest Danielem.

Wybuchnęłam śmiechem.

- W takim razie ty nadal będziesz robić zakupy; mogę sobie pozwolić na to, by płacić Lily niewielką pensję. Przynajmniej będzie miała dość jedzenia i porządny dach nad głową.

- Panienska to wykapany pan pułkownik - zauważyła Polly. - Niech panienska się nie martwi. Wszyscy chcieliśmy zapytać panienkę, czy moglibyśmy ją zatrzymać.

Kiedy przedstawiłam Lily tę propozycję, dziewczyna szalała z radości i od tego dnia zmieniła się zupełnie. Ciągła nerwowość i obawy zniknęły bez śladu.

Pomyślałam, że jestem prawie szczęśliwa.

Siadywałam z nimi wieczorami i stopniowo poznawałam ich wcześniejsze życie, zanim pojawiły się w tym domu. Jane i Polly miały ciężkie dzieciństwo; ich ojciec był awanturnikiem i nałogowym pijakiem, a kiedy wracał do domu, całą rodzinę ogarniało przerażenie.

149

- Bił mamę w straszny sposób - wspominała Jane. - Wchodził, zataczając się, a potem zaczynał ryczeć i wszczywał kłótnię. Polly i ja chowałyśmy się pod schodami tak długo, jak to było możliwe... Kiedyś wyszłyśmy, próbowałyśmy go powstrzymać, żeby nie katował mamy. Zwrócił się przeciwko nam. Złamał ci nadgarstek, prawda, Poll?

- Od tej pory mi dokucza - odrzekła Polly. - Wystarczy trochę deszczu i piekielnie boli.

- Myślę, że skończyłybyśmy z nim pewnego dnia, gdyby nie spadł ze schodów i sam nie skończył ze sobą, zanim urosłyśmy na tyle, by to zrobić.

- Cóż to za straszna historia! - powiedziałam. - Cieszę się, że wódka i schody go zabiły, tak że nie musiałyście tego zrobić.

- Zrobiłabym to - oświadczyła Jane z płonącymi oczami. - Są na świecie ludzie, którzy nie powinni po nim chodzić.

Zamknęłam oczy i ujrzałam tajemniczego Diabelskiego Doktora, z rogami i kopytami. Miała rację. Tacy ludzie nie powinni żyć.

- Po jego śmierci nieźle nam się działo - mówiła dalej Polly. - Mama sprzątała u ludzi i kiedy byłyśmy dostatecznie duże, zajmowałyśmy się wszystkim: załatwialiśmy sprawunki, robiłyśmy porządki. Czasami byłyśmy głodne, ale niezbyt nam to przeszkadzało, ponieważ się go pozbyłyśmy. A potem mama zachorowała i umarła, i same musiałyśmy zarabiać na życie. Pielęgnowałyśmy ją, prawda, Jane? Myślę, że to on ją zabił. Nigdy nie była zdrowa. Zniszczył nam życie kiedy byłyśmy małe, co, Jane?

Jane przytaknęła.

- Widzi panienska - podjęła - wychodzi się za nich za męż... tak jak nasza mama. Musiał wtedy zachowywać się porządnie, bo inaczej nigdy nie byłaby taka głupia, żeby pozwolić mu tak się traktować... a potem, po ślubie, pokazują, jacy naprawdę są, w każdym razie niektórzy.

Polly rzuciła siostrze ostrzegawcze spojrzenie, które zauważyłam. Wiedziałam, o co jej chodzi. Ja także miałam za sobą wyjątkowo nieudane małżeństwo i dopiero co uciekłam od męża.

Po wysłuchaniu tego wszystkiego Lily, uważając się za jedną z nas, nabrała odwagi i opowiedziała o sobie:

- Było nas dziesięcioro. Ja urodziłam się szóstą. Zajmowałam się młodszym rodzeństwem. Po żniwach zbieraliśmy kłosa na ściernisku, a czasem zrywaliśmy owoce i kradliśmy kartofle. Musieliśmy opuścić dom i zarabiać na siebie; miałam dwanaście lat, kiedy poszłam na służbę.

- Nie podobało ci się to? - spytałam.

150

- Na początku wszystko było w porządku. Ale młody syn państwa... wrócił do domu, rozumiecie. Rozmawiał ze mną na schodach i czasami przychodził do kuchni, kiedy nikogo tam nie było poza mną. Najpierw myślałam, że jest miły. Potem dzwonił ciągle, wzywając mnie do swojej sypialni. A później... później... Och, to było okropne, śmiertelnie się przeraziłam. Nie wiedziałam, co robić. Chciałam uciec, ale nie wiedziałam dokąd. Wreszcie pewnego dnia pani nas przyłapała i odesłała mnie do domu. Wyrzucono mnie z domu z moją skrzynką. Nikt mi nie uwierzył, że to nie była moja wina.

- Ach, ci mężczyźni! - powiedziała Jane. - Zawsze kogoś krzywdzą.

- Powinno się ich ugotować w oleju, pokroić na plasterki i podać osłom do zjedzenia - dodała Polly.

- A potem przyjechałam do Londynu. W naszej wiosce była pewna dziewczyna, która bardzo chciała tam zamieszkać. Mówiła, że ulice Londynu są wybrukowane złotem i że wystarczy tylko sięgnąć ręką, żeby się wzbogacić. Dlatego razem uciekłyśmy. Podwiózł nas na swoim wozie pewien woźnica jadący do Londynu. Poszłyśmy do jakiejś karczmy i dali nam łóżko w zamian za pracę. Zostałyśmy w tej karczmie trzy dni. Była tam pewna dama, która rozerwała sobie suknię. Naprawiłam ją, a ta kobieta powiedziała, że bardzo ładnie. Dobrze mi zapłaciła i oświadczyła, że powinnam szcyciem zarabiać na życie. Pomyślałam więc, iż tak zrobię. Znalazłam pokój, który bardziej przypominał szafę, i szukałam pracy u okolicznych krawców. Dawali mi męskie koszule, surduty i kamizelki, żebym robiła w nich dziurki i przyszywała guziki. Bardziej mi się to podobało niż szorowanie, ale musiałam pracować przez cały dzień, żeby zarobić na życie. I ubrania były takie ciężkie. Musiałam je zabierać, a potem odnosić. Moja przyjaciółka... odeszła. Nie wiem, co z nią się stało. Powiedziała, że są łatwiejsze sposoby zarobkowania. Była bardzo wesoła i mężczyźni zwracali na nią uwagę. Myślę, że wiem, co miała na myśli.

- A co ty robiłaś, kiedy cię znaleźliśmy? - zapytałam.

- Nie patrzyłam, dokąd idę, taka byłam zdenerwowana. Właśnie wyszłam od krawca. Wzięłam od niego stos kamizelek, zrobiłam dziurki, przyszyłam guziki i pracowałam przez pół nocy, ponieważ musiałam tego dnia dostać pieniądze. To był okropny mały sklep... ciemny i obskurny. Już widziałam przedtem tego mężczyznę, ale to nie on mi wcześniej płacił. Nie spodobał mi się jego wygląd; miał tłustą, włochatą twarz i był taki gruby. Powiedział: „Witaj, złotowłosa, przypuszczam, że chcesz trochę pieniędzy”. Przyniosłam tuzin kamizelek, a to całkiem dużo. „Tak, proszę pana - odrzekłam.

151

- Mam tu cały tuzin". „Ale najpierw dasz mi całusa" - oświadczył. Śmiertelnie się przeraziłam. Przypomniała mi się tamta historia w mojej pierwszej pracy, kiedy byłam służącą. „Nie!" - krzyknęłam, a on bardzo się rozgniewał. Rzucił kamizelki na ladę, wsunął palec pod guziki i oderwał połowę. „Niech pan tego nie robi!" - zawołałam, a on na to: „Wynoś się stąd. Nie płacimy za taką robotę". „Przecież pan to zrobił - odparłam. - To pan!".

„Wynoś się stąd, szmato, albo wezwę policję!” - wrzasnął. Tak się przeraziłam, że po prostu wybiegłam. Byłam w takim stanie, że nie wiedziałam, gdzie jestem i wtedy... nagle znalazłam się pod końskimi kopytami.

Słuchając jej, wpadłam w gniew. Biedne dziecko! Tak okropnie ją potraktowano. Nic dziwnego, że bała się życia.

Popatrzyłam na Jane i Polly, które podzielały moje uczucia.

- Nic podobnego już więcej ci się nie przydarzy, Lily - powiedziałam spokojnie.

Pocałowała mnie w rękę, patrząc na mnie w zamyśleniu. Pomyślałam wtedy, że muszę coś zrobić. Nie wiedziałam jednak co. Ale dowiem się na pewno. Los przywiódł ją do mnie i za jej pośrednictwem wróciła mi chęć do życia. Wyczułam też, że mam do spełnienia zadanie: muszę pomagać takim osobom jak Lily Craddock.

Na świecie żyją źli ludzie. Mężczyźni i kobiety wykorzystują innych, słabszych, ale głównie to mężczyźni wykorzystują kobiety do własnych celów. Bardzo wyraźnie mogłam sobie wyobrazić młodzieńca, który uwiódł Lily, później zaś tamtego podłego grubasa w pracowni krawieckiej. A połączeniem ich wszystkich był ten lekarz... Diabelski Doktor... który zmarnował życie Aubreya i pozwolił, by Julian umarł.

Odszukam doktora Damiena, zdemaskuję go przed całym światem i wszyscy się dowiedzą, kim naprawdę jest.

Decyzja ta dodała mi ochoty do życia. Tak bardzo jej potrzebowałam.

Lily bardzo łatwo włączyła się do naszego życia. Przejrzała nasze szafy i zreperowała wszystko, co wymagało naprawy. Znalazła kilka prześcieradeł, które chciałyśmy wyrzucić, i oświadczyła z oburzeniem, że można je przesyć. Wynajdywała sobie pracę, pragnąc za wszelką cenę stać się wartościowym domownikiem, nie gorszym od pozostałych. Nie miała pojęcia, ile dla mnie zrobiła, lecz Jane i Polly wiedziały o tym; dlatego były dla niej dobre i chciały ją chronić, widząc w niej bezradną małą wieśniaczkę, która nie miała szczęścia jak one urodzić się i wychować w takiej wielkiej metropolii jak Londyn.

152

Szyla dla mnie suknię z zielonego jak szmaragd aksamitu. Zobaczyła ten materiał w jakimś sklepie i namówiła mnie do kupna.

- Nie widzi panienska, że będzie świetnie pasował do rudawych włosów i zielonych oczu panienski. A suknie, jaką paniensce uszyję... - westchnęła z zachwytem.

Więc kupiłam ten aksamit, żeby sprawić jej przyjemność. Jeszcze nie doszłam do takiego stanu, żeby chociaż trochę interesowała się strojami.

Pewnego dnia, kiedy wróciłam do domu po krótkiej wycieczce do sklepów, powiedziano mi, że pewna dama i dżentelmen czekają na mnie w salonie. Przyjechali przed dziesięcioma minutami i Jane powiedziała im, że wkrótce wrócę, więc postanowili zaczekać.

- Przedstawili się jako państwo Saint Clare - powiedziała mi Jane. Zaintrygowało mnie to.

Poszłam do salonu i zastałam tam Amelię z mężczyzną, którego natychmiast rozpoznałam.

Podbiegła do mnie i objęła mnie mocno. Wyglądała młodziej, niż ją zapamiętałam.

- Och, Zuzanno, tak się cieszę, że cię widzę. Mam dla ciebie pewną nowinę.

Wyciągnęła rękę, a Jack Saint Clare uściskał ją czule.

- Wzięliście... ślub? Amelia skinęła głową.

- Och, bardzo się cieszę.

- Tak długo się przyjaźniliśmy. Byłoby głupotą czekać - wyjaśniła.

- Spodziewałam się tego - powiedziałam jej. Twoje listy mi to zdradziły.

Pogratulowałam im obojgu i naprawdę się ucieszyłam. Tak bardzo lubiłam Amelię, a była kobietą, która potrzebuje męża. Miałam nadzieję, że tym razem dopisze jej szczęście i że urodzi zdrowe dzieci. Nie mogłam jednak myśleć o dzieciach. Kiedy widziałam je w parku, żal ścisnął mi serce lub wpadałam w gniew.

Zapytałam, czy zechcą napić się herbaty, kawy lub wina.

- Dziękujemy, nie teraz - odrzekła Amelia. Tylko wpadłam do ciebie, żeby ci powiedzieć, iż jesteśmy w Londynie.

- Na jak długo?

- Tylko na tydzień. Zatrzymaliśmy się u moich rodziców.

- Czy są zadowoleni z twojego małżeństwa? zapytałam.

- Zachwyceni. Chcę przyjechać do ciebie, aby porozmawiać. Tak dużo mam ci do opowiedzenia. Mogę wpaść jutro? - Jack ma jakieś sprawy do załatwienia.

- Oczywiście - odrzekłam.

153

Następnego dnia Amelia odwiedziła mnie i wypiliśmy razem herbatę.

Kiedy usiadłyśmy w salonie i zostałyśmy same, powiedziała:

- Mam nadzieję, że się nie gniewasz, iż przyszłam do ciebie bez uprzedzenia. Wiem, że zamierzałaś całkowicie zerwać z Minster i jego mieszkańcami, ale uznałam, że nie zaliczyłaś mnie do osób, od których chciałaś trzymać się z daleka.

- Na pewno nie - oświadczyłam.

- Wiem, że wróciłaś do swego panieńskiego nazwiska. Powiedziałam o tym Jackowi, a on doskonale to rozumie. Bądź pewna, że będę cię nazywać panną Pleydell.

- I Anną.. drugą częścią mojego imienia. Chcę stać się kimś zupełnie innym.

- Zapamiętam. Czasami winię siebie za to, że cię nie ostrzegłam, zanim za niego wyszłaś.

Stephen miał nadzieję, że go uratujesz. Naprawdę był bardzo przywiązany do swego młodszego brata. Po spotkaniu z tobą bardzo pragnął tego małżeństwa. Powiedział mi, że wie, iż będziesz silna i zrównoważona. Ja jednak zdawałam sobie sprawę, że wkrótce odkryjesz prawdę.

- Czy myślisz, jak zdaje się sądził Stephen, że mogłabym coś zrobić?

Amelia pokręciła głową.

- Może na początku miałaś nikłą szansę. Rozumiem jednak, że po śmierci dziecka nie mogłaś tam zostać.

Zawahałam się - przez moment nie mogłam wykrztusić ani słowa, ponieważ przywołała wspomnienia o moim ślicznym synku.

- Zrozum - wyjąkałam. - Pozostawiłam zdrowe dziecko, a po powrocie znalazłam je... martwe.

- Wiem. Wiem - odrzekła ze współczuciem. Naprawdę wiedziała, co czuję, ponieważ sama też straciła dzieci. - Widzisz, on zaczął brać narkotyki, kiedy jeszcze był bardzo młody.

Przeczytał tamte książki i ich autor go zafascynował.

- Doktor Damien?

- Powiedziałam Stephenowi, że od tego wszystko się zaczęło, ale nie chciał uwierzyć. Ten człowiek był przyjacielem Stephena i mój mąż bardzo go cenił. Wierzył w tę gadaninę o pracy dla dobra ludzkości i tak dalej. Ja nigdy w to nieuwierzyłam. Książki obnażyły prawdziwy charakter tego człowieka. Cały ten erotyzm... aluzje do niego. Dostrzegłam, że się tym rozkoszował. Aubrey poznał go w Minster i Damien zrobił na nim wielkie wrażenie. Miał w sobie coś hipnotyzującego. Wkrótce po tym spotkaniu Aubrey zaczął eksperymentować z narkotykami.

154

- Jestem pewna, że tamten człowiek odegrał rolę diabła w naszym życiu - powiedziałam. - Ale pewnego dnia zostanie wymierzona mu sprawiedliwość. Uwierz mi.

Milczałyśmy chwilę, a potem Amelia zapytała: - Zuzanno... och, nie, Anno... Muszę o tym pamiętać... co zamierzasz zrobić?

- Będę tu mieszkała, aż obmyślę jakiś plan - odrzekłam.

- Musi ci być trudno. Żyjesz jako niezamężna kobieta, a przecież masz męża, od którego trzymasz się z daleka.

- Nie widzę powodu, aby się tym przejmować. Zamieszkałam w tym domu. Przedtem wynajmował go mój ojciec, a teraz ja. Odziedziczyłam po nim niemal wszystko. Całkiem mi tu dobrze.

- Masz miłe służące... to siostry, tak?

- Tak. Przedtem służyły mojemu ojcu. Mam też stangreta i powóz, a teraz mieszka u nas jeszcze jedna dziewczyna, krawcowa.

-Krawcowa! Chcesz powiedzieć, że zatrudniasz krawcową na stałe? - zdziwiła się Amelia.

- Oprócz tego robi też inne rzeczy. Trafiła do mnie w dość niezwykły sposób. - Opowiedziałam jej historię Lily. Odwiozłam ją do szpitala, a potem odwiedziłam ją tam - wyjaśniłam. - To było okropne przeżycie, którego nigdy nie zapomnę. Wspomnienie stłoczonych łóżek i tamtych biednych ludzi bliskich śmierci... brudnych... opuszczonych... nie daje mi spokoju. Nie mogę przestać o tym myśleć. - Skinęła głową, a ja mówiłam dalej: - Trzeba coś zrobić.

-No cóż, przynajmniej zabrałaś stamtąd tę dziewczynę i ma teraz dobry dom. A skoro już o tym mowa, moi rodzice wydają uroczystą kolację... będziemy tylko my. Chcą, żebyś przyszła.

Zawahałam się na chwilę.

- Wiedzą o wszystkim i współczują ci. Nie będziesz musiała nic mówić. Będiesz po prostu panną Pleydell. Musisz wychodzić z wizytą od czasu do czasu. Myślę, że nie robisz tego często?

Potrząsnęłam przecząco głową.

- To ostatnia rzecz, jakiej pragnę. Chcę być tu sama. Służba troszczy się o mnie. Jane i Polly zrobiłyby dla mnie wszystko, podobnie Lily Craddock i stangret Joe.

- Będzie miło, jeśli przyjdiesz do nas. Przyjdź. Nadal się wahałam, ale ponieważ nalegała, ustąpiłam.

Służba bardzo się ucieszyła na wieść, że wybieram się na uroczystą kolację. Byłam pewna, że w kuchni uznano, iż dobrze mi to robi.

155

Lily powiedziała, że to świetna okazja, abym włożyła zieloną aksamitną suknię, którą dla mnie uszyła. Dodała do swoich obowiązków pracę pokojówki i musiałam przyznać, że dobrze sobie radziła. Miała wrodzony dobry gust i traktowała mnie niemal z uwielbieniem, co wprawiało mnie w zakłopotanie, gdyż wiedziałam, że tak naprawdę wcale na nie nie zasłużyłam.

Joe również był zachwycony, kiedy wiozł mnie powozem do rezydencji sir Harry'ego i lady Carberrych w pobliżu Hyde Parku.

- Właśnie do tego służą powozy - skomentował z zadowoleniem. Nie byłam tak zachwycona, jak moja służba, chociaż pan i pani domu znali moją historię i nie musiałam się obawiać indagacji, co byłoby krępujące; mimo to wizyta przywiodła mi na pamięć czasy, o których starałam się zapomnieć.

Amelia, jej mąż i rodzice powitali mnie ciepło.

- Nie jesteśmy całkiem sami - uprzedziła mnie lady Carberry.

- Henrietta i jej narzeczony wstąpili do nas dziś rano i mama zaprosiła ich na kolację - powiedziała przepaszającym tonem Amelia. - Myślę, że poznałaś już Henriettę.

Właśnie szła ku mnie. Dobrze ją zapamiętałam. Była to owa bardzo atrakcyjna dziewczyna, którą spotkałam w Minster przed ślubem.

- Czcigodna Henrietta Marlinton i jej narzeczony, lord Carlton - powiedziała lady Carberry.

Zaskoczył mnie widok jej przyszłego męża. Nie był tak wysoki jak Henrietta, która prawie dorównywała mi wzrostem, i musiał mieć co najmniej dwadzieścia lat więcej niż ona. Dostrzegłam worki pod jego oczami. Wybór dokonany przez tak pełną życia Henriettę sprawił mi zawód.

- Panna Anna Pleydell - przedstawiła mnie Amelia.

- Och... już się kiedyś spotkałyśmy. - Henrietta otworzyła szerzej roziskrzone oczy. -

Myślałam, że...

- Panna Pleydell mieszka teraz w Londynie - powiedziała stanowczym tonem Amelia. — W domu, który wynajął jej ojciec po powrocie z Indii. Jest bardzo wygodny.

Czcigodna Henrietta miała taką minę, jakby chciała dalej drażnić temat naszego wcześniejszego spotkania. Odgadłam, że zapamiętała mnie jako narzeczoną Aubreya i zastanawiała się, co się stało. Przyszło mi na myśl, że jest impulsywną dziewczyną, która nie panuje nad tym, co mówi. Amelia jednak w jakiś sposób zdołała dać jej do zrozumienia, iż nie powinna zadawać dalszych pytań. Moja była szwagierka świetnie rozumiała, że źle się stało, iż Henriettę również zaproszono na kolację.

156

Weszliśmy do jadalni i znalazłam się przy stole naprzeciw Henrietty. Rozmawiałyśmy o Indiach. Lord Carlton znał je dobrze i kiedyś poznał nawet mojego ojca. Rozmowa była ożywiona, włączyłam się do niej i zdałam sobie sprawę, że sprawia mi to radość. Mówiono o wielkiej wystawie światowej\*, którą otwarto dla publiczności od maja do października ubiegłego roku.

\* Wielka Wystawa Przemysłu Wszystkich Narodów w Londynie odbyła się w roku 1851. Podkreślano, jakie to wielkie osiągnięcie i jaką przyniosło chwałę księciu Albertowi.

- Królowa jest zachwycona, że naród zdaje się wreszcie go doceniać - oświadczył lord Carlton.

- Ale nie na długo - dodał sir Henry. - Wkrótce znajdą w nim coś, na co będą się mogli skarżyć.

- Uważam, że w naszym kraju dzieje się wiele złego - wtrąciła lady Carberry. - Wygląda na to, iż lord Derby poda się do dymisji.

- Jedną z tych złych stron jest stan naszych szpitali - powiedziałam pod wpływem nagłego impulsu.

Wszyscy spojrzeli na mnie, a lord Carlton zapytał:

- Przecież taka młoda dama jak pani z pewnością nie bywa w takich miejscach?

- Powiedz im, Anno, o swojej przygodzie - odezwała się Amelia. Opowiedziałam im więc o wypadku z powozem, o zawiezieniu Lily do szpitala i dodałam, że mogę o tym mówić, gdyż coś o tym wiem.

- Nigdy nie mogłabym sobie wyobrazić takiego miejsca - mówiłam. - Wszechobecny, mdlący smród i tamci chorzy, brudni, pozostawieni samym sobie. I taką okropność nazywa się szpitalem! To hańba! Jak można na to pozwolić!

Przy stole zapadło milczenie. Później lord Carlton zabrał głos:

- Moja droga młoda damo, jest pani bardzo impulsywna. Przypomina mi pani córkę państwa Nightingale'ów.

- O, właśnie, co słyhać u Fanny? - spytała lady Carberry. - Już tak dawno jej nie widziałam.

- Bardzo niepokoi się o Florence. Myślę, że tak samo jak biedny W. E. N. A co do jej siostry, Parthenope... niemal do szału doprowadza ją to, co nazywają obsesją Florence.

Wtedy po raz pierwszy usłyszałam nazwisko, które miało stać się dla mnie takie ważne.

- Proszę, niech pan mi powie, w czym przypominam pannę Nightingale, lordzie Carlton? - zapytałam.

-Wbiła sobie do głowy, że ma do spełnienia pewną misję... że Bóg ją do tego powołał. A co to za misja, jak sądzicie? Chce być pielęgniarką!

157

Znasz jej rodzinę, Harry. To nie wypada. Żadna dama nie może zostać pielęgniarką.

- Myślę, że ma około trzydziestu lat - odparł sir Henry. - Najwyższy czas, żeby wyrosła z tych fantazji.

- Florence powinna była wyrosnąć z nich przed laty. To z czystego uporu. Ale W. E. N. wynosi ją pod niebiosa.

- Kim jest ów W. E. N. ? - zapytałam.

- To William Edward Nightingale, który na swoje nieszczęście jest ojcem tej upartej młodej damy. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek zdołali jej to wszystko wyperswadować. Wiecie, że pojechała do jakiejś miejscowości w Niemczech. Kaiserswerth? Tak, myślę, że tak się nazywa owa miejscowość.

- Słyszałam o tym miejscu - wtrąciła lady Carberry. - To jakaś instytucja... chyba dobroczynna. Mają tam szkołę dla sierot, jak sądzę... prowadzą ją zakonnice lub diakonisy\*.

\* Diakonisy - w Kościele ewangelickim członkinie świeckiego zgromadzenia -siostry miłosierdzia, pielęgnujące chorych i uczące dzieci.

Mają tam też jakiś szpital. Flo rzeczywiście pojechała tam, żeby z nimi pracować.

Najwidoczniej bardzo jej się to spodobało.

- Tak, i traktowano ją jak służącą. A po powrocie oświadczyła, że sprawiło jej to większą radość niż wszystko, co dotąd robiła.

- I pomyśleć, co W. E. N. i Fanny uczynili dla tej dziewczyny! Mogła zrobić świetną partię!

- Może nie sądziła, że świetna partia to najlepsze, co może spotkać kobietę - odezwała się Henrietta.

Słuchałam uważnie i ogarniało mnie coraz większe podniecenie.

- Powiedział pan, że to było w Niemczech? - zapytałam.

- Jestem pewien, że w Niemczech.

- Chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej o tym miejscu - poprosiłam.

- To po prostu jedna z instytucji charytatywnych. Dziś jest, jutro jej nie ma, jak mi się zdaje. Ludzie lubią czynić dobro przez jakiś czas, ale później ich to męczy.

- Biedny W. E. N. - skomentował sir Henry - on chce jedynie żyć w spokoju. A Fanny pragnie tylko wydać za mąż swoje córki. Obie są niebrzydkie... zwłaszcza Florence.

- A więc ona uznała, że ma misję do spełnienia - powiedziałam powoli i zauważyłam, że Henrietta przygląda mi się bacznie.

- To musi być ekscytujące zostać wezwanym... jak biblijny Samuel, prawda? Czy to właśnie jemu się przytrafiło?

- No cóż, pani również została powołana - odrzekł sir Henry.

158

- Została pani powołana do małżeństwa, gdy tylko się pani pojawiła na świecie.

Wszyscy zaczęli się śmiać i zauważyłam, że lady Carberry uznała, iż już za długo rozmawialiśmy o „obsesji” panny Nightingale. W stanowczy sposób zmieniła temat rozmowy.

Ale ziarno zostało zasiane. Byłam bardzo podniecona i wydawało mi się, że ktoś mnie prowadzi w jakiś dziwny sposób. Najpierw moje spotkanie z Lily Craddock, dzięki której poznałam okropności instytucji nazywanych szpitalami; później przebudzenie z letargu, w jaki wpędził mnie smutek po stracie ojca i synka, i zrozumienie, że bez względu na to, co się stało, muszę żyć dalej; a teraz ta rozmowa.

Mnóstwo pomysłów przyszło mi do głowy.



Joe był rozmowny, kiedy odwoził mnie do domu i opowiadał o swoich dawnych przygodach na drodze z Londynu do Bath. Ale słuchałam go tylko półuchem. Myślami byłam bardzo daleko.

Mój stangret był jednak zadowolony. Nie wątpiłam, że naradził się z Jane i z Polly i że wszyscy uznali, iż zacznę dochodzić do siebie.

Następnego dnia miałam gościa. Weszłam do salonu i ze zdumieniem zastałam w nim czcigodną Henriettę Marlinton. Wyciągnęła do mnie ręce.

- Mam nadzieję, że się pani nie gniewa, iż odwiedziłam panią tak wcześnie. Musiałam przyjść. Muszę z panią porozmawiać. Nie mogłam tego zrobić wczoraj wieczorem. To wielka tajemnica.

Spojrzałam na Henriettę z zaskoczeniem, a ona mówiła dalej:

- Och, wiem, że wydaję się wścibska, ale naprawdę tak nie jest... w każdym razie nie we wszystkim. Chcę, żeby pani mi pomogła, i myślę, że może pani to zrobić. Przypuszczam, że mnie pani zrozumie.

- Oczywiście pomogę pani, jeśli tylko potrafię.

- Spodobało mi się to, co zrobiła pani dla tej dziewczyny, i to, że tak bardzo interesuje się pani szpitalami.

- Każdy by się zainteresował, gdyby je zobaczył - odparłam z naciskiem.

- Nie sądzę, że wszyscy tak myślą. Po pierwsze, wyszła pani za Aubreya Saint Clare'a, prawda? Och, nie ma powodu do niepokoju, nic nikomu nie powiem. Tylko muszę wiedzieć, to dla mnie bardzo ważne - oświadczyła.

- Dlaczego?

- Jako przykład dla mnie.

- Nie rozumiem.

159

- No cóż, właśnie to zamierzam pani wyjaśnić. Mogę usiąść? -zapytała.

- Oczywiście. Przepraszam, ale całkiem mnie pani zaskoczyła. Napije się pani herbaty?

- Z przyjemnością.

Zadzwoniłam i w drzwiach pojawiła się Jane.

- Chcemy się napić herbaty, Jane - powiedziałam.

- Oczywiście, madam - odrzekła. Sposób, w jaki zamieniała się we wzorową pokojówkę, gdy wymagała tego sytuacja, zawsze mnie bawił, gdyż kiedy byłyśmy same, nasze stosunki wcale nie przypominały relacji między panią i służącą.

- To miły dom - przerwała milczenie Henrietta, kiedy Jane odeszła.

- Tak. Mój ojciec i ja wynajęliśmy go po powrocie z Indii - wyjaśniłam.

- Słyszałam o śmierci pani ojca. To bardzo smutne.

- I nieoczekiwane - dodałam. - Dlatego zawsze tak trudno to znieść.

Skinęła głową.

- Myślę, że ten dom jest w sam raz dla pani - oświadczyła. Uśmiechnęłam się. Wiedziałam, że prowadzi banalną rozmowę,

czekając, aż Jane nas obsłuży i nikt nie będzie nam przeszkadzał. Kiedy służąca po przyniesieniu herbaty wycofała się dyskretnie, Henrietta powiedziała:

- Musi się pani zastanawiać, dlaczego tu jestem. To bardzo niekonwencjonalne, prawda? Ale ja jestem niekonwencjonalna i, jak sądzę, pani również. Dlatego zebrałam się na odwagę i przyszedłam tutaj.

- Co panią niepokoi? - spytałam.

- Wiele rzeczy.

- I uważa pani, że mogę pani w czymś pomóc?

- Nie znam nikogo innego, kto mógłby to zrobić - odrzekła.

- Niech więc pani mi powie, o co chodzi.
- Chodzi o małżeństwo. Widzi pani, teraz, kiedy o tym myślę, zdaję sobie sprawę, że wcale nie chcę wyjść za mąż - wyjaśniła.
- Ale jak, pani zdaniem, mogłabym pani pomóc... w tej sprawie? - spytałam.
- Sądziłam, że może powie mi pani, co powinnam zrobić.
- Nie przychodzi mi do głowy nic oprócz zerwania zaręczyn, a pani będzie wiedziała, jak to zrobić, znacznie lepiej ode mnie.
- No cóż, pozwoli pani, że lepiej to wytłumaczę. Wszyscy tak bardzo pragną tego ślubu.

160

- Wyobrażam sobie, że na pewno lord Carlton - wtrąciłam.
- Och, nie tylko on. Moja matka, ojciec i cała rodzina. Klan Marlintonów jest duży. Są wszędzie i są strasznie biedni, więc wszyscy muszą dbać o utrzymanie na odpowiednim poziomie naszego życia, nazwiska, majątków i całej reszty. Przez całe życie słyszałam tylko o grzybie w drewnie i kołatkach na strychu. Po prostu godziłam się z myślą, że zawsze tak będzie, aż do chwili, gdy odkryłam, iż oni wszyscy liczą na mnie. Mieli zwyczaj mówić: „Henrietta zrobi świetną partię”. I rzeczywiście wychowano mnie, mając na uwadze ten cel. Zainwestowali we mnie tak trudne do zdobycia pieniądze. Ukończyłam najlepszą szkołę dobrych manier, gdzie nauczono mnie wszelkich sposobów zdobywania mężczyzn. Tańczę, śpiewam, gram na fortepianie i, co najważniejsze, nauczyłam się sztuki prowadzenia konwersacji... nie poważnej, lecz lekkiej, nawet nieco frywolnej: jak przymilać się, pochlebiać i zyskać uwielbienie wszystkich mężczyzn wokół mnie, oczywiście pod warunkiem, że są dostatecznie interesujący - uważam, iż znaczy to: dostatecznie bogaci - żeby zwrócić moją uwagę.
- Uśmiechnęłam się wyrozumiale.
- Myślę, że mnóstwo młodych dam wychowuje się w ten sposób i w tego typu „ideałach”.
- A pani tak nie wychowano?
- Nie otrzymałam normalnego wychowania. Wie pani, że urodziłam się i mieszkałam w Indiach, a to miało duże znaczenie. Kiedy przybyłam do Anglii, poszłam do szkoły i spędzałam wolne dni z krewnymi na wsi, gdzie mój wuj jest pastorem. To bardzo skromni ludzie w porównaniu ze sferami, w których pani najwidoczniej się obraca.
- Szczęśliwa panna Pleydell! Oni czekali tylko na mój debiut. Nie wiem, dlaczego chcą, żebym to ja dokonała tego cudu.
- Jest pani bardzo atrakcyjna. Skrzywiła się z pogardą.
- Tak naprawdę nie jestem ładna, kiedy tylko lepiej się przyjrzeć.
- Myślę, że to wszystko polega na pani witalności, radości życia. Przypuszczam, że uroda nie zależy tak bardzo od wyglądu, a raczej od osobowości. W szkole wdzięku, do której pani uczęszczała, zrobiono dobrą robotę - a może nawet nie musiano nic robić, bo te wszystkie cechy już pani posiadała.
- Zaczynam żałować, że nie urodziłam się zezowata i pryszczata - mruknęła Henrietta.
- Niech pani nie pogardza darami, którymi obdarzyły panią dobre wróżki.

161

Na pewno się przydadzą, chociaż czasami mogą ściągnąć na panią kłopoty. Ale proszę mówić dalej.

- No cóż, moje wychowanie było bardzo kosztowne. Rodzina zainwestowała we mnie, pewna, że otrzyma dywidendy. Spotkałam dość miłego młodzieńca, który bardzo mi się podobał. Pochodził z dobrej rodziny... ale nie miał pieniędzy... więc nas rozdzielono. A potem na scenie pojawił się Tom Carlton. Był odpowiedzią na ich modlitwy, jednym z najbogatszych ludzi w kraju. Zbił majątek, został parem i właśnie szukał reprezentacyjnej żony z

odpowiedniej rodziny z tytułem. Marlintonowie mogli mu to wszystko zapewnić. Korzenie naszego rodu sięgają czasów Wilhelma Zdobywcy lub prawie. Ma to być najbardziej konwencjonalne małżeństwo. Doskonały związek milionów Carltona i błękitnej krwi Marlintonów.

- A jedyną osobą w rodzinie, która nie uważa tego za ideał, jest przyszła panna młoda - dodałam.

Popatrzyła na mnie i skinęła głową.

- Początkowo myślałam, że to cudowne. Proszę mnie zrozumieć, Tom był tak bardzo zadowolony z mojej decyzji. Jest taki szczodry i uznałam to za prawdziwe szczęście, bo nie musiałam już wysłuchiwać całej tej gadaniny o wilgoci i grzybie. Przez tydzień lub coś koło tego promieniałam z radości. Zostaliśmy uratowani i to dzięki mnie.

- A wtedy zdała sobie pani sprawę, że do małżeństwa potrzeba czegoś więcej niż tylko zaspokojenia dumy rodowej - skomentowałam.

- Właśnie. I od tej pory zastanawiam się, co zrobić.

- Dlaczego uważa pani, że ja pomogę pani podjąć decyzję? Prawie się nie znamy. Dzisiaj widzimy się dopiero trzeci raz. Wiem tylko to, co mi pani opowiedziała.

- Byłam z panią szczerą - zapewniła mnie. - Czy pani też będzie ze mną szczerą? Przysięgam, że nikomu nie pisnę nawet słówka o tym, co mi pani powie.

Nastrój Henrietty Marlinton zmieniał się w ciągu kilku sekund w dramatyczny sposób; dopiero co wydawała się postacią niemal tragiczną, jagnięciem złożonym w ofierze na ołtarzu rodowej dumy, a teraz jej oczy błyszczały z podniecenia. Stała się konspiratorką.

Uznałam, że jest czarująca. Mogłam zrozumieć, czemu przebiegły lord Carlton, który musiał wiedzieć, że to majątek czyni go w oczach Marlintonów tak pożądanym kandydatem na męża Henrietty, padł ofiarą jej wdzięku.

- Nie chcę, żeby o mnie plotkowano - powiedziałam z naciskiem.

- Będę milczała, przysięgam.

162

- W porządku. Poślubiłam Aubreya Saint Clare'a. To małżeństwo okazało się jednak nieudane. Miałam małego synka i zostałam z mężem z jego powodu. Kiedy Julian umarł, odeszłam od Aubreya.

- Odeszła pani? To bardzo odważne z pani strony - uznała.

- Nie było w tym nic odważnego. Nie mogłam tam zostać, więc odeszłam. Miałam szczęście. Odziedziczyłam po ojcu dość pieniędzy, by być niezależną finansowo i żyć - nie ekstrawagancko, ale w miarę wygodnie - i to właśnie robię.

- Ja również mam własne dochody - odrzekła. - Rodzina uważa je za psie pieniądze, ale ja sądzę, że to wcale niemało... chyba że chce się utrzymać wielki dom z tłumem służby, łątać przeciekające dachy i walczyć z kołatkami. Co pani by zrobiła na moim miejscu?

Wzruszyłam lekko ramionami.

- Cóż mogę powiedzieć? Nie znam wszystkich szczegółów. Na pewno jest sporo spraw, o których mi pani nie wspomniała.

- Myślę, że wczorajszy wieczór... był proroczy - wyznała. - Tak?

- Tak, spotkanie z panią i rozmowa o Florence Nightingale. Poznałam Nightingale'ów. Nie Florence, ale jej rodziców. Nie zwróciłam na nich szczególnej uwagi. Stałoby się inaczej, gdyby ona tam była. Jestem pewna, że byłoby to najbardziej ekscytujące spotkanie w moim życiu. No cóż, wczorajsza rozmowa sprawiła, że poczułam, iż mogłabym się wyrwać z tej pułapki, gdybym miała tyle odwagi co pani i panna Nightingale.

- To znaczy, że chce pani zerwać zaręczyny? - spytałam, by się upewnić.

Skinęła głową.

- Jeśli tego pani pragnie, niech pani to zrobi - poradziłam.

- Proszę mnie źle nie zrozumieć, początkowo sprawiało mi przyjemność, że moja rodzina się ucieszyła i Tom był zadowolony, że się pobierzemy. Uważałam, że miło będzie sprawić, iż wszyscy przestaną się martwić, ile to czy tamto kosztuje... Potem jednak pomyślałam o tym, co będę musiała znosić. No cóż, Tom jest bardzo miły, ale czasami patrzy na mnie tak - prawdę mówiąc, panno Pleydell, trochę się go boję, nie, nie trochę, bardzo. A potem... a potem...

Wspomnienia napłynęły falą; przebudzenie w sypialni w Wenecji i widok Aubreya stojącego przy łóżku. Skąd mogłam wiedzieć, jakie ukryte pragnienia mogą owładnąć ludźmi? Popatrzyłam na tę dziewczynę - niewinną, młodą i tak bardzo atrakcyjną. To, co mi się przytrafiło, pozostawiło ślad na długo... może na zawsze; wypaczyło spojrzenie na życie, zmniejszało zdrowe, naturalne instynkty.

163

Zrozumiałam, że Henrietta pragnie zerwać zaręczyny, ponieważ kiedy podniosłam wzrok na jej śliczną twarz, dostrzegłam na niej obawę przed narzeczonym.

Patrzyła na mnie uważnie, niemal błagalnie.

- To dziwne, że przyszła pani właśnie do mnie z tym problemem. Prawie mnie pani nie zna. Musi się pani poradzić kogoś innego... kogoś bliskiego - powiedziałam.

- Kogo? Moich rodziców? Przyjaciół moich rodziców? Oni myślą, że to największy sukces sezonu. Podobno nie ma ani jednej debiutantki, która nie zzieleniałaby z zazdrości, ponieważ to ja zdobyłam najlepszego kandydata na męża. Wie pani, jacy są ludzie. On jest bardzo szanowany. Jest lordem - a swój tytuł zdobył sam, czemu należałoby przyklasnąć, chociaż, jak pani wie, ludzie wyżej cenią tego, kto odziedziczył swe tytuły po przodkach. Ma wpływowych przyjaciół, jak lord Derby, lord Aberdeen i lord Palmerston. Księżę Albert ceni Carltona, ponieważ dzięki niemu interesy kraju dobrze stoją. Powinnam się czuć zaszczycona, powinno mi to pochlebiać, i tak jest. Ale boję się go, czuję się bardziej przestraszona niż uhonorowana.

- To pani musi zdecydować - wtrąciłam.

- Wiem, co pani by zrobiła. Zerwałaby pani z nim. Jest pani silna, podziwiam panią. Odeszła pani od męża i wszyscy by powiedzieli, że to towarzyskie samobójstwo. Ale pani się tym nie przejmuje, prawda?,

- Nie chcę wracać do wytwornego towarzystwa - odparłam chłodno.

- Księżę Albert nigdy by pani nie przyjął. Jest bardzo pruderyjny.

- Świetnie mogę żyć bez towarzystwa księcia Alberta. Nie chcę u nikogo bywać. Tutaj mi dobrze. Zamierzam zostawić wszystko tak, jak jest teraz, zanim przekonam się, co mogę zrobić.

Zwróciła na mnie roziskrzona oczy.

- To wspaniałe, że poszła pani do tego szpitala.

- Wspaniałe?! To było okropne!

- Wiem - odrzekła. - Ale poszła pani i wydoszła stamtąd tę dziewczynę. To było naprawdę wspaniałe. Dlatego uznałam, że właśnie panią powinnam zapytać.

- Moja droga panno Marlinton, tylko pani może podjąć decyzję w tej sprawie - powtórzyłam. Chciałam, żeby zesza z obłoków.

- Ale czy pani, na moim miejscu, wyszłaby za niego? - nie ustępowała.

Zamknęłam oczy. Tamte wspomnienia się nie zatarły. Narzeczony Henrietty jest dużo od niej starszy;

164

skąd ta młoda dziewczyna może wiedzieć, czego będzie od niej wymagał? Nie kocha go. To jasne jak słońce; i ogarnął ją strach. Przypomniałam sobie sen, który miałam w nocy

poprzedzającej ślub. Czy to było ostrzeżenie? Nie zorientowałam się wtedy. Ale najwidoczniej jakieś przeczucie ostrzegło tę dziewczynę znacznie wyraźniej niż mnie.

- Nie jest pani w nim zakochana - odrzekłam. - Gdyby pani była, chciałaby pani za niego wyjść.

- A zatem uważa pani, że powinnam z nim zerwać? - pytała dalej.

- Jak mogę pani doradzać? Decyzja należy do pani.

- Ale gdyby była pani na moim miejscu, co by pani zrobiła? Nie odpowiedziałam.

- Wiem już - odrzekła z triumfem. - Dziękuję pani, panno Pleydell.

Jej nastrój się zmienił. Poweselała. Opowiedziała mi zabawne incydenty z czasów, gdy debiutowała w wytwornym towarzystwie; jak ważne było zdobyć dobrą opinię. Jeszcze zanim się zaczął jej pierwszy bal, myślała, że będzie to koszmar - a zakończył się triumfem.

- Tak się bałam, że poniosę porażkę i nikt nie poprosi mnie do tańca. Każda debutantka trzęsie się ze strachu, że będzie podpierала ściany. A jeśli odniesiesz sukces, wszystkie mamy plotkują na twój temat i są strasznie zazdrosne - oczywiście oprócz twojej, która triumfuje. To ciężka próba.

- Jestem pewna, że wyszła pani z niej zwycięsko - odrzekłam.

- Miałam wielu partnerów i dobrze się bawiłam, i było tak przez długi czas. Potem zjawił się Tom i za każdym razem coraz bardziej mnie to ekscytowało. Rozpieszczano mnie i chwalono, byłam ich ukochaną dziewczynką, ich jagniątkiem, ich wybawczynią. To straszna odpowiedzialność.

Ponownie wróciłyśmy do tego samego tematu. Żegnając się ze mną, Henrietta wzięła mnie za rękę.

- Czy mogę nazywać panią Anną? - spytała.

- Oczywiście.

- A pani może mnie nazywać Henrietta.

Zgodziłam się. Miałam nadzieję, że już jej nie zobaczę, ale prawdopodobnie dowiem się, czy zerwała zaręczyny, czy też nie. Znajdę tę wiadomość w kronice towarzyskiej w londyńskich gazetach.

Nie byłam przygotowana na to, co potem nastąpiło. Dwa dni później jakaś dorożka podjechała do mojego domu. Wyjrzałam przez okno i ku mojemu zdumieniu zobaczyłam, że wysiada z niej Henrietta. Woźnica przyniósł dwie torby podróżne do drzwi.

165

Jane odpowiedziała na pukanie. Usłyszałam głos Henrietty.

- Czy panna Pleydell jest w domu? - A potem powiedziała do dorożkarza: - Proszę tylko wnieść te torby do środka. Bardzo dziękuję.

Czekałam.

Jane przyszła do salonu, gdzie siedziałam, czytając jakąś książkę.

- Ta młoda dama wróciła, madam - oznajmiła tonem pokojówki. - I wygląda na to, że zamierza tu zostać.

Potem wprowadziła do salonu Henriettę, zarumienioną i triumfującą.

- Zrobiłam to - oświadczyła. - Nie mogłam stawić czoła rodzinie, więc uciekłam.

-Ale... -zaczęłam.

- Pomyślałam, że pozwolisz mi tu zostać... chociaż na troszkę... zanim wszyscy się z tym nie pogodzą. Ściągnęłam na swoją głowę straszną burzę.

- Nie byłoby lepiej, gdybyś została i stawiała czoło rodzinie? - zapytałam z ukrywaną irytacją.

- No cóż, prawdę mówiąc, myślę, że próbowałiby mi to wyperswadować - odparła.

- Ale skoro się zdecydowałaś...

- Nie znasz mojej rodziny. Będzie płacz, jęki i zgrzytanie zębów. Nie zdołałabym tego wytrzymać, nie jestem taka silna jak ty. Mama wybuchnęłaby płaczem, a ja nie chcę na to

patrzeć. Mogłabym ulec, wiem jednak, że nie wolno mi tego zrobić. Pozostała mi tylko ucieczka. Dlatego pomyślałam, że ty, która byłaś taka dobra dla dziewczyny potrąconej przez powóz, pomożesz mi również. Nie odeślesz mnie do domu, prawda?

- Oczywiście, że tego nie zrobię. Ale zastanawiam się, czy mądrze postąpiłaś.

- Kamień spadł mi z serca. Ja naprawdę bałam się Toma Carltona. Na przykład tego, jak na mnie patrzył... jakby myślał o wielu dziwnych rzeczach. Jest stary i miał mnóstwo kochanek... bardzo różnych, jak sądzę. Czułam, że nie spełnię jego oczekiwań. Dlatego dobrze się stało, że zerwałam z nim teraz, zanim oboje zrozumieliśmy, jak wielki błąd popełniamy. Pomyślałam, że zostanę u ciebie i przeczekaam burzę. Tom może znaleźć kogoś innego, a moja rodzina przejdzie do porządku dziennego nad zawodem, jaki sprawiłam. Przecież te kołatki były w moim domu od wieków i kilka więcej nie robi różnicy. A może mamy w rodzinie kogoś, kto wie, jak zdobyć majątek.

166

Możliwe, że inna dziewczyna znajdzie kolejnego dobroczyńcę i poślubi go. Gadam od rzeczy, prawda? Wiem, że tak. Ale gdybyś mogła zrozumieć, jak wielką mi to przyniosło ulgę...

- Na pewno możesz tu przenocować - powiedziałam. - Może do rana zmienisz zdanie. Czy zawiadomiłaś swoich rodziców, dokąd się udajesz?

- Napisałam o tym do jednej z moich przyjaciółek. Mam trochę znajomych, u których mogłabym zamieszkać. I napisałam do Toma, próbując mu wytłumaczyć, że moim zdaniem jeszcze nie jestem gotowa do małżeństwa.

- Poproszę służące, żeby przygotowały dla ciebie pokój. Mamy tylko jeden wolny. Wiesz, że nie jest to duży dom.

- Wiem - odpowiedziała weselszym tonem. - Właśnie to mi się podoba. Mam serdecznie dosyć ogromnych arystokratycznych rezydencji, obwieszonych wspaniałymi draperiami i pełnych boazerii, które trzeba utrzymać za cenę utraty szacunku dla samego siebie.

- Myślę, że powinnaś się zastanowić nad swoją przyszłością. Zrozum, jestem żoną, która odeszła od męża. Wytworne towarzystwo nie pobłaża takim kobietom jak ja.

- A kogo to obchodzi? - odparowała.

- Mnie nie. Ale jesteś pewna, że ciebie też nie?

- Absolutnie. Myślę, że bardzo polubię rozmowy z tobą.

- Uważam, że formułujesz zbyt pochopne sądy.

- To możliwe, ale w pewnych sprawach mam rację i nie myślę się co do nas. Wiem, że będziemy przyjaciółkami.

I w taki właśnie sposób Henrietta Marlinton zamieszkała u mnie.

Nie należało oczekiwać, że rodzina Henrietty pozwoli jej tak łatwo się wycofać. Przychodzili i odchodzili całymi tygodniami, prosili i grozili. Zdumiała mnie stanowczość dziewczyny.

Uważałam ją za dość lekkomyślną i pod wieloma względami takie sprawiała wrażenie, ale w jej beztrójce kryła się żelazna determinacja. Niepokoilo mnie, że znalazłam się w samym środku burzy, gdyż była to ostatnia rzecz, jakiej pragnęłam. Zdarzało się więc, że żalowałam, iż przyjąłam zaproszenie na kolację u rodziców Amelii. Z drugiej jednak strony, coraz bardziej lubiłam Henriettę. Okazała się czarującą dziewczyną i jej obecność w naszym domu ucieszyła wszystkich. Jane, Polly i Lily podziwiała ją z całego serca; gotowe były chwycić za broń przeciwko całemu klanowi Marlintonów i samemu lordowi Carltonowi, gdyby usiłowali zmusić Henriettę do ślubu, który budził w niej wstręt.

167

Przyjechała matka Henrietty. Błagała mnie, żebym próbowała nakłonić jej córkę do zastanowienia się nad przyszłością.

Odparłam, że właśnie to tak ją zaniepokoiło.

Matka Henrietty oświadczyła w odpowiedzi, że jej córka jest młoda, zawsze była uparta i że nie zdaje sobie sprawy, jak świetną partię odrzuciła. Dodała, iż mam na nią wielki wpływ. Wy tłumaczyłam jej, że spotkałam pannę Marlinton tylko dwa razy, zanim przybyła do mojego domu. Nic nie wiedziałam o jej uczuciach. Henrietta po prostu poprosiła, żebym pozwoliła jej zostać u mnie, póki nie podejmie decyzji. Nie zdołałam przekonać upartej matki ani w jednej sprawie, ani w drugiej.

Aż wreszcie Marlintonowie zrezygnowali z prób przemówienia dziewczynie do rozsądku, gdyż było to, jak powiedzieli, beznadziejne, i dodali, że muszą się pogodzić z nieuniknionym. Chcieli, żeby Henrietta wróciła do domu, odmówiła jednak; do tego czasu stała się członkiem naszej małej społeczności i wszyscy bardzośmy się z tego cieszyli.

Na ponad dwa miesiące perypetie Henrietty zdominowały nasze życie, a kiedy owa burza w końcu ucichła, zdałam sobie sprawę, że niezmierny żal, który szarpał mi serce tak długo, nieco osłabł i że bardziej zainteresowałam się życiem.

Później naszą uwagę zaabsorbowała Lily Craddock. Zauważyłam w niej pewną zmianę. Wychodziła częściej z domu; zawsze była wyjątkowo piękną dziewczyną, ale teraz po prostu promieniała.

Nie minęło dużo czasu, zanim Jane i Polly wydobyły od niej tajemnicę.

Lily często zachodziła do swojego ulubionego sklepu z galanterią, gdzie, jak powiedziała, znalazła najlepsze koronki i kolorowe jedwabie w Londynie, i łączyły ją naprawdę dobre stosunki z jego właścicielami - niejakimi Cliftami. Przed kilkoma tygodniami poszła do tego sklepu i właśnie wtedy, kiedy żona właściciela ją obsługiwała, z salonu wyszedł przystojny młody żołnierz. Pani Clift powiedziała: „Och, Williamie, musisz poznać pannę Craddock. To jedna z naszych najlepszych klientek”.

- Wydaje się - orzekła Jane, powtarzając mi tę historię - że spodobali się sobie... i to było właśnie to, co można by nazwać miłością od pierwszego wejrzenia.

- A zatem taki jest powód zmiany, jaka zaszła w Lily? - spytałam.

- Inaczej mówiąc, Lily ma konkurenta - dodała Polly. Wszystkich nas podniecała ta zmiana losu dziewczyny, zwłaszcza że wydawało się, iż William Clift ma wobec niej uczciwe zamiary.

168

Państwo Cliftowie zaprosili Lily na herbatę i wróciła półprzytomna ze szczęścia.

Powiedziałam, że trzeba zaprosić Williama na herbatę do nas. Wtedy w kuchni zaczął się ruch i nastąpiły wielkie przygotowania. Jane upiekła ciasto, a Lily dorobiła kołnierz i mankiety do swojej najlepszej sukienki. Henrietta uznała, że wszyscy powinniśmy być obecni i że to przyjęcie popołudniowe należy urządzić w salonie. Ale Jane nie dopuściła do tego. Co sobie pomyśla Cliftowie, jeśli służba będzie piła herbatę ze swoją panią w salonie?

Nie! Jane wiedziała, co należy zrobić. Przyjęcie urządzi się w kuchni - bo to jest odpowiednie miejsce - a Henrietta i ja powinnyśmy zejść na dół już po herbacie, aby William został nam przedstawiony w odpowiedni sposób.

Wszystko poszło zgodnie z planem. Henrietta i ja zjawiłyśmy się we właściwym czasie i poznałyśmy gościa.

William był przystojnym młodzieńcem, a mundur tylko podkreślał jego atletyczną sylwetkę. Powiedział, że po ślubie zamierza wystąpić z wojska i zająć się sklepem, który teraz przynosił większe dochody niż wcześniej. Chciał zamieszkać z żoną u swoich rodziców.

Uznałam to za idealne rozwiązanie i cieszyłam się razem z Lily.

Po odejściu Williama przyszła do mnie i powiedziała ze łzami w oczach, jak bardzo jest wdzięczna za to, co dla niej zrobiłam.

- Najszczęśliwszy dzień w moim życiu nadszedł wtedy, kiedy wpadłam pod powóz panienki. Kiedy myślę, że mógł to być powóz kogoś innego, mrozi mnie strach.

Był to jeden z najmiłszych komplementów, jakie usłyszałam w życiu, ale uważałam, iż na niego nie zasłużyłam. Tak naprawdę niewiele dla niej zrobiłam. Czułam się teraz znacznie lepiej niż przedtem. Dzięki zaangażowaniu się w sprawy domowników zapomniałam o własnych kłopotach.

Henrietta zadomowiła się teraz u nas na dobre. Stała się częścią naszej „rodziny” i powiedziała, że czuje się zupełnie inaczej, że jest szczęśliwa i chce jej się żyć.

- W porównaniu z tym, do czego przywykłaś, prowadzisz teraz bardzo skromne życie - zauważyłam.

Nie zaprzeczyła, lecz odpowiedziała w zamyśleniu:

- Ale tutaj znalazłam coś, czego nigdy dotąd nie znałam. Wolność! Wiesz, zaczynam myśleć, że jest to coś, czego pragnęłam najbardziej na świecie. Tutaj mogę myśleć tak, jak chcę. Nie wierzę, że to, co włożono mi do głowy, to święta prawda. Sama mogę podejmować decyzje. Jakże się cieszę, że nie wyszłam za Toma Carltona. Teraz byłabym już jego żoną, pomyśl o tym.

169

- Jest taki bogaty. Tak lubiany w wytwornym towarzystwie - przypomniałam jej.

- Sprzedałam moje pierworództwo za miskę soczewicy - zażartowała.

Wybuchnęłam śmiechem. Zrozumiałam, co chciała powiedzieć. Dużo mówiła o swoim dzieciństwie, dorastaniu i „misji życiowej”, jak to nazwała:

- Miałam znaleźć bogatego męża i uratować rodzinny majątek. A teraz jestem wolna. Poślubię tego, kogo będę chciała, albo wcale nie wyjdę za mąż... jeśli tego właśnie zapragnę. Idę tam, dokąd mam ochotę. Robię to, co chcę. To cudowna wolność.

Zacząłam się zwierzać mojemu gościowi. Opowiedziałam jej trochę o swoim małżeństwie, które skończyło się po śmierci Juliana.

- Nade wszystko pragnę zapomnieć. Chcę zrobić coś tak ważnego z moim życiem, żebym nigdy nie musiała patrzeć za siebie. Pragnę pogrzebać przeszłość. Chcę zapomnieć o rozczarowaniu, zawodzie i smutku. Henrietto, zamierzam pielęgnować chorych i przywracać im zdrowie.

Spojrzała na mnie z przerażeniem.

- Czy to znaczy, że chcesz zostać pielęgniarką?

- Tak, myślę, że tak. - Wyciągnęłam ręce i utkwiałam w nich spojrzenie. - Myślę, że mam do tego talent. Dotyk moich dłoni uzdrawia. To prawie mistyczna właściwość, ale sprawdziła się już kilka razy.

Ujęła moje ręce i popatrzyła na nie.

- Mają piękny kształt. Powinny je zdobić szmaragdy, brylanty i inne drogie kamienie.

- Nie - odparłam, cofając ręce - powinny robić coś pożytecznego.

- Anno, poważnie mówiąc, nie możesz zostać pielęgniarką. Sama widziałaś, co to za kobiety, kiedy pojechałaś po Lily.

- Ale spróbuję to zmienić. Chcę, żeby stały się inne.

- Panna Nightingale właśnie usiłuje zrobić coś takiego. Przed ucieczką z domu ciągle o niej słyszałam. Ją, tak samo jak ciebie, przerażają cierpienia chorych w szpitalach. Oczywiście, wszyscy myślą, że to bardzo niekobiecy z jej strony. Jej rodzicom w ogóle to się nie podoba. Zrobili wszystko, co mogli, by ją powstrzymać. - Uśmiechnęła się. - Ale nikt nie może powstrzymać kobiety od zrobienia tego, co chce, jeśli naprawdę się zawzięła.

- Ja właśnie się zawzięłam, Henrietto. Och, gubię się w myślach i dużo marzę. I jest ktoś, kto nawiedza moje sny. To pewien człowiek... zły człowiek. Nazywa się Damien. Prowadził dziwne życie. Żył tak samo jak tubylcy w dalekich zakątkach świata.



- Czy napisał jakąś książkę? - spytała. - Tak.
- Ten, o którym myśle, to wielki lekarz... rodzaj pioniera.
- Myśle, że tylko udaje pioniera - odrzekłam. - Chcę go odszukać. Muszę się dowiedzieć wielu rzeczy o nim. Uważam, że jest odpowiedzialny za upadek mojego męża... I śmierć naszego synka.
- W jaki sposób?
- Interesował się narkotykami... opium... laudanum... i jeszcze innymi, które można znaleźć na Wschodzie. Eksperymentował z nimi. Może nawet na sobie w umiarkowany sposób... ale dawał je innym ludziom, żeby zobaczyć, jak działają te środki. Rujnuje ludziom życie, żeby dokonać wielkich odkryć i zyskać sławę. Czy słyszałaś kiedyś o madame de Brinvilliers, tej trucicielce?
- Niewiele. Czy to ona wypróbowywała swoje trucizny na chorych w szpitalach?
- Tak - odrzekłam. - Uważam go za kogoś takiego. Są do siebie podobni.
- Ale ona była zła. Truła ludzi dla pieniędzy zaprotestowała Henrietta.
- On też jest zły - odparłam. - Truje ludzi w imię nauki, żeby móc opowiedzieć światu o swoich wielkich odkryciach. Uważam go nawet za gorszego od niej, bo jest hipokrytą.
- Myśle, że ona też była hipokrytką. Chodziła po szpitalach, udając filantropkę przed biednymi pacjentami i wypróbowując na nich swoje trucizny - nie ustępowała Henrietta.
- No cóż, zaliczam oboje do tej samej kategorii, Henrietto, muszę odnaleźć tego człowieka. Pragnę stanąć z nim twarzą w twarz. Zamierzam działać w ukryciu i zdemaskować go. Chcę go przyłapać... na tej przestępczej działalności.
- Popatrzyła na mnie ze zdziwieniem.
- To niepodobne do ciebie - zauważyła. Zazwyczaj jesteś taka spokojna... taka rozsądna.
- A teraz nie sądzisz, że jestem spokojna i rozsądna?
- Nie. Jesteś gwałtowna. Nienawidzisz człowieka, którego nigdy nie widziałaś.
- Widziałam go raz... w Wenecji. Przywiózł Aubreya z powrotem do pałacu... po zażyciu narkotyków.
- Myślisz, że on był za to odpowiedzialny?
- Jestem tego pewna.
- Jakie to interesujące! - powiedziała. - A jak zamierzasz odnaleźć tego człowieka?

- Nie wiem - przyznałam.
- To dlatego uważam twój zamiar za czyste szaleństwo.
- Przychodzą mi do głowy różne plany i wydają się tak niemożliwe do zrealizowania, że je odrzucam. Ale nadal jestem zdeterminowana. Nigdy nie zaznam spokoju, póki nie odnajdę tego Damiana. Chcę mu zadać kilka pytań. Muszę poznać jego metody.
- Myślałam, że je znasz - odrzekła.
- W głębi serca wyczuwam, że jest zły. Wyrządził wiele zła i zamierzam go odnaleźć, Henrietto.
- W porządku. Ale jak?
- To chyba zrządzenie losu. On jest lekarzem. - Spojrzałam na moje ręce. - A ja pragnę pielęgnować chorych, zmienić te budzące przerażenie szpitale. Oto moje przeznaczenie. Czuję, że się do tego nadaję, wiem, że zostanę dobrą pielęgniarką. Taki będzie mój pierwszy krok. Jako pielęgniarka zyskam szansę odzyskania go.
- W jaki sposób? - spytała z powątpiewaniem.
- Jeszcze nie wiem.

- Nie możesz pójść do żadnego z londyńskich szpitali. Nie przyjęliby cię, a w dodatku nie pasowałabyś do tych wstrętnych kobiet.

- Usłyszałam pewne interesujące informacje o pannie Nightingale. Usiłuje ona zmienić sposób opieki nad chorymi. Jestem pewna, że chciałaby, żeby ktoś taki jak ja uczył się pielęgniarstwa... ktoś, kto naprawdę pragnie pomagać chorym. Tych tak zwanych pielęgniarek w szpitalu, który widziałam, nic nie obchodzili starzy, chorzy i biedni pacjenci. To musi się zmienić. One same są wyrzutkami społeczeństwa. Panna Nightingale zmieni to wszystko, a kiedy to zrobi, będzie chciała, żeby oddane swemu zawodowi pielęgniarki pracowały razem z nią. Henrietto, muszę się dowiedzieć, jak nauczyć się pielęgniarstwa!

Skinęła głową.

- Myślę, że ja też tego pragnę.

- Ty? - spytałam z niedowierzaniem.

- Czemu nie? Chciałabym coś robić. Nie chcę spędzić życia na leniuchowaniu. Już postanowiłam. Będę się uczyła na pielęgniarkę razem z tobą - oświadczyła stanowczym tonem.

- Pamiętasz tę kolację u Carberrych?

- Czy mogłabym ją zapomnieć! Właśnie wtedy zdałam sobie sprawę, że mi pomożesz.

- Wspomniano tam, że panna Nightingale udała się do jakiejś miejscowości w Niemczech. Chyba chodziło o Kaiserswerth - powiedziałam.

172

- Pamiętam.

- Chcę się czegoś dowiedzieć o tej miejscowości. Poznałaś tę rodzinę, prawda? - spytałam.

- Tak.

- I od czasu do czasu widzisz się ze swoimi dawnymi przyjaciółkami?

Ponownie skinęła głową.

- Chyba mogłabyś je wypytać - mówiłam dalej.

- O Kaiserswerth i czy dwie kandydatki na pielęgniarki mogłyby tam pojechać?

- Właśnie.

Oczy Henrietty zabłyśły. Wyglądała na zaintrygowaną i zastanowiłam się, czy to nie myśl o wytropieniu Diabelskiego Doktora pociąga ją bardziej niż praca w zawodzie pielęgniarki. Ogarnął nas entuzjazm. Podniecenie wywołane zaręczynami Lily wkrótce minęło. Nasza podopieczna stała się teraz poważną, młodą kobietą, przygotowującą się do zamążpójścia. To było bardzo miłe, ale spokojne, a Henrietta lubiła się entuzjasmować.

Zajmował ją teraz nasz wielki projekt, jak go nazwała. Rozpoczęła swoją misję z determinacją i wprawą godną tajnego agenta.

Po kilku dniach, ku memu zaskoczeniu, otrzymałam list z Minster. Otworzyłam go drżącymi rękami. Pochodził od Amelii.

Moja droga Anno.

Na pewno zaskoczy Cię miejsce, z którego do Ciebie piszę. Przyjechałam tu z Jackiem. Wezwano nas, gdyż Aubrey jest naprawdę bardzo chory. To było nieuniknione. Po Twoim odejściu jego stan bardzo się pogorszył i powiedziano nam, że w takich przypadkach kres następuje bardzo szybko. Lekarz uważa, że Aubrey długo nie pożyje. Pozwala mu regularnie przyjmować laudanum które oczywiście zawiera opium - i uważa, że to nałogowe zażywanie narkotyku doprowadziło go do takiego końca. Lekarze mówią, iż nie można go całkowicie pozbawić narkotyków, bo wtedy mógłby się uciec do przemocy.

Piszę ten list z wielkim bólem, gdyż wiem, że mimo tego wszystkiego, co się stało, coś do niego czujesz. Chwilami odzyskuje przytomność i wtedy bez przerwy mówi o Tobie. Lekarze uważają, że gdybyś tu przyjechała i pobyła z nim trochę, przyniosłoby mu to ulgę.

Moja droga Anno, wiem, że to bardzo smutny list, i jeśli odpowiesz, że nie możesz przyjechać, zrozumiem. Piszę do Ciebie dlatego, że lekarze na to nalegają. Myślę, iż Aubrey długo nie pożyje.

173

Może w jakiś sposób zdołałabyś go uspokoić. Sądzę, że ma wielkie poczucie winy i chciałby zawrzeć z Tobą pokój.

Jak zawsze pozdrawiam Cię serdecznie i mam nadzieję, że się zobaczymy.

Amelia.

Oślupiałam. Nigdy nie przypuszczałam, że znów zobaczę Aubreya i Minster.

Najpierw pomyślałam, że nie mogę tam pojechać. Nie chcę odgrzebywać starych wspomnień.

Amelia za wiele ode mnie żąda.

Przez cały dzień nie mogłam się zdobyć na odpowiedź.

Kiedy Henrietta zauważyła, że jestem czymś zaabsorbowana, koniecznie chciała wiedzieć, co się dzieje. Pokazałam jej list Amelii.

- Nie mogę tam pojechać! - zawołałam gwałtownie. - To ożywi wszystko, o czym pragnę zapomnieć. Wszędzie będą mnie nękały wspomnienia o synku. Dzięki ostatnim wydarzeniom przestałam o tym myśleć. Teraz rana otworzy się na nowo.

- Anno Pleydell - oświadczyła z powagą Henrietta - jeśli tam nie pojedziesz, będziesz miała to na sumieniu do końca życia. Dobrze cię znam i wiem, że tak się stanie. Twój mąż cię zawiódł, więc musiałś go opuścić. Pragnęłaś wolności. Wiem, ile to dla ciebie znaczy. Tak, stare rany się otworzą i będziesz znosić cierpienia, lecz znacznie bardziej będziesz cierpiała w późniejszych latach, jeśli tam nie pojedziesz.

Zastanowiłam się nad jej słowami. Mimo że sprawiała wrażenie lekkomyślnej i płochej dziewczyny, miała jednak przebłycki mądrości; i po dłuższym namyśle postanowiłam pojechać.

Na stacji spotkałam Jacka Saint Clare'a.

Kiedy jechaliśmy do Minster, powiedział:

- Zauważy pani wielką zmianę w Aubreyu.

- Spodziewałam się tego - odrzekłam. - Ale to zdarzyło się dość nagle, prawda?

- Myślę, że widziała go pani po raz ostatni jakiś rok temu. -Tak.

- Lekarz mówił, że kiedy nadejdzie końcowe stadium, kres nastąpi szybko.

- On umiera, prawda? - spytałam.

- Nie sądzę, by długo pożył w stanie, w jakim teraz jest. Bardzo schudł, zrobił się nerwowy, łatwo się irytuje i prawie nic nie je. Myślę, że nawet jedzenie sprawia mu ból. Doktorzy uważają, że nie można całkowicie pozbawić go narkotyku, gdyż wówczas nastąpią zakłócenia w funkcjonowaniu organizmu i zapaść.

174

- Chce pan powiedzieć, że wtedy może być skłonny do gwałtownych czynów?

- Jeżeli całkowicie pozbawi się Aubreya narkotyku, zrobi wszystko, by go zdobyć - wyjaśnił.

- Czy powinno się go pozostawić w domu?

- Nie ma dokąd pójść. Codziennie otrzymuje niewielką dawkę laudanum. Pragnie jej.

Naprawdę żal na niego patrzeć, gdy się pomyśli, kim był i kim nadal mógłby być. Lekarz uznał, że powinna pani wiedzieć, w jakim stanie jest Aubrey, i chociaż nic nie zdoła mu pomóc, pani obecność może go uspokoić.

Milczałam, gdyż bałam się tego, co mnie czekało. Amelia powitała mnie bardzo ciepło.

- W jakiś sposób wiedziałam, że przyjedziesz.

Zaprowadzono mnie do pokoju Aubreya. Spał. Z trudem poznałam mojego męża. Wyglądał znacznie starszej niż wtedy, kiedy widziałam go po raz ostatni. Leżał na plecach, dysząc ciężko.

- Chodź do swojego pokoju - zaproponowała Amelia. - Kiedy Aubrey się obudzi, powiemy mu, że tu jesteś. Nie przygotowałam dla ciebie twojego dawnego pokoju. Pomyślałam, że nie chciałabyś w nim mieszkać.

Jak dobrze mnie zrozumiała!

Przeszłam przez tak dobrze zapamiętaną długą galerię, gdzie zły Harry spojrzał na mnie z ironią i rozbawieniem, do pokoju od frontu, z oknami wychodzącymi na podjazd. Wyglądając przez okno, wyobraziłam sobie Juliana biegającego po trawie. Zebrałam się w sobie, by stawić czoło wspomnieniom, które napłynęły falą.

Później, kiedy ujrzałam Aubreya, zdjęła mnie litość. Był słaby jak starzec.

- Zuzanno - szepnął. - A jednak przyjechałaś.

Usiadłam przy jego łóżku, wyciągnął do mnie rękę. Ujęłam ją, a potem uściśnęłam mocno.

- To miło - ciągnął. - Zawsze kochałem twoje ręce. Przyniosły mi ukojenie. Bóg jeden wie, jak bardzo teraz tego potrzebuję. Cieszę się, że przyjechałaś. Dobrze zrobiłaś. Chcę ci powiedzieć, że bardzo żałuję.

- Wszystko skończone. Już dawno. Nie wiń nikogo - odrzekłam.

- Mogło być zupełnie inaczej.

- Przypuszczam, że wszystko mogło być inne.

- Tak łatwo... - powiedział. - Pamiętasz...

- Dużo pamiętam.

- Chciałem, żeby to stało się... punktem zwrotnym. Zamierzałem porzucić dawne przyzwyczajenia.

175

- Wiem o tym teraz - zapewniłam go.

- Gdybym tylko...

- Nie żałujmy tego, czego już nie można zmienić.

- Wybacz mi, Zuzanno.

- Ja też nie jestem bez winy - odrzekłam.

- Nie ty. Nie ty, Zuzanno. Ostatnio tak wiele myślałem o tym, że wszystko mogło być zupełnie inaczej.

- Wiem.

- Zostań tu ze mną.

- Właśnie po to tu jestem - oświadczyłam.

- Wiesz, że to nie potrwa długo.

- Może cię wyleczą - powiedziałam, by go pocieszyć.

- Z tego, co jest we mnie złe? Nie, Zuzanno. Widziałem kiedyś pewnego mężczyznę... takiego jak ja. Ten głód... jest straszny. Zrobiłbym wszystko, aby go zaspokoić... nawet bym zabił. To straszne.

- Rozumiem.

- Ludzie powinni wiedzieć, czym to grozi, zanim zaczną.

- Wiedzą, ale mimo to biorą dalej - westchnęłam.

- Porozmawiaj ze mną o Wenecji... o pierwszych tygodniach w Wenecji, zanim znowu uległem nałogowi. Gdybym tylko... Mogłem wtedy zacząć na nowo. Mogłem znaleźć powrotną drogę.

Długo mówiłam o Wenecji, o wielkim zachwycie, jaki budzili we mnie gondolierzy, nasz pałac, Pałac Dożów, śliczne mosty, i przywróciłam w ten sposób nam obojgu trochę nastroju tamtego miodowego miesiąca.

Aubrey nie puszczał mojej dłoni. Powiedział, że go uspokoiłam, a po jakimś czasie zapadł w spokojny, głęboki sen.

Gdybyż tylko mógł pozostać w tym stanie!

Później tego samego dnia usłyszałam, jak krzyczy i wrzeszczy z bólu z powodu braku narkotyku, bez którego nie mógł wytrzymać. Opiekował się nim pielęgniarz, który bardziej przypominał dozorcę więziennego. Wybrano silnego mężczyznę, ponieważ musiał poskramiać Aubreya, kiedy z powodu głodu narkotycznego stawał się niebezpieczny dla otoczenia.

- To normalne zachowanie - wyjaśnił mi Jack. - Czasami bywa przytomny i łagodny, a potem, gdy nadchodzi czas na następną dawkę, staje się niebezpieczny i gwałtowny. Obecna dawka nigdy mu nie wystarcza, tak bardzo wpadł już w nałóg. Jasper wie, jak sobie z nim radzić. Nie zbliżamy się do Aubreya, kiedy staje się niebezpieczny.

Po każdym takim ataku Aubrey był wyczerpany i spał przez wiele godzin, co dobrze mu robiło, jak powiedział lekarz.

176

Chory nie mógł przyjmować środków nasennych, ponieważ większość z nich zawiera opium. A z tym właśnie narkotykiem walczyliśmy i nie powinniśmy zwiększać jego dziennej dawki. Wiele rozmawiałam z Amelią i Jackiem. Po śmierci Aubreya Jack miał odziedziczyć posiadłość i za radą prawników już przejął niektóre obowiązki związane z tym majątkiem - tak więc Minster Saint Clare'ów miał pozostać w rodzinie. Cieszyłam się wraz z Jackiem i z Amelią.

Ale były to dla mnie smutne dni. Wróciłam myślami do tamtych strasznych cierpień po utracie Juliana. Kiedyś poszłam do pokoju dziecinnego i siedziałam tam w zapadającym zmierzchu, a serce pękało mi z bólu za synkiem.

Tęsknota za nim i gniew z powodu jego śmierci były we mnie równie gwałtowne jak zawsze. Przypomniałam sobie tak wiele rzeczy: jego pierwsze chwiejne kroczki, pierwszy uśmiech, pierwsze ząbki, sposób, w jaki jego paluszki zaciskały się na moich palcach, błysk, który pojawiał się w jego oczach na mój widok.

Na nowo opłakiwałam ukochanego synka.

I powiedziałam do siebie: zrobię to. Znajdę lekarza, pod wpływem którego Aubrey stał się ruiną człowieka i dożywał teraz ostatnich dni swej nędznej egzystencji; lekarza, którego eksperymenty odebrały mi dziecko.

Amelia odnalazła mnie tam.

- Nie powinnaś tu siedzieć - powiedziała z wyrzutem. - To niemądre. Myślałam, że zaczęłaś nowe życie. Teraz masz jeszcze Henriettę. Może nie powinnam była prosić cię, żebyś tu wróciła.

- Cieszę się, że przyjechałam - odrzekłam. - Ale to wiele zmieniło... inaczej teraz myślę o Aubreyu. Może kiedyś powinnam była mu pomóc. Naprawdę rada jestem, że wróciłam, chociaż sprawiło mi to ból. Tak musiało się stać. Zdaję sobie sprawę, że o niczym nie zapomniałam. Po prostu te wspomnienia tkwiły we mnie przez cały czas...

- Moja droga, będziesz musiała dalej budować sobie nowe życie.

- Tak, zamierzam tak zrobić. Myślę, że powrót do Minster tylko umocnił mnie w tym przekonaniu.

Minał jeszcze jeden dzień. Aubrey wydawał się coraz słabszy. Siedziałam przy jego łóżku i rozmawialiśmy o przeszłości, o naszym spotkaniu w Indiach, o podróży statkiem do kraju, która wydawała mi się czarowna. Wyglądało na to, że on również tak czuł. Nie zdawałam

sobie sprawy, że w pewien sposób wyciągał wtedy do mnie ręce. Sprawiał wrażenie światowego, niezwykle obytego człowieka, a ja byłam niedoświadczona i niewinna. Gdybym była starsza i mądrzejsza,  
177

może zorientowałabym się w porę. Ale tak się nie stało; uznałam, że w jakiś sposób zawiodłam męża. Nie umiałam tak oczarować Aubreya, by odciągnąć go od jego starych przyzwyczajzeń, a moja miłość nie była dostatecznie wielka, żeby zatrzymać mnie przy nim.

Wzięłam go za rękę. Chciał tego. Mówił, że moje dłonie go uspokajały. Kiedy zauważyłam, że staje się niespokojny, odeszłam. Przemiana, jaka w nim nastąpiła, przerażała mnie. Nie chciałam go widzieć w takim stanie, poskramanego przez mężczyznę, którego określałam w myślach jako dozorcę więziennego. Tamtego ranka wstałam wcześniej. Siedziałam przy oknie, patrząc na podjazd i wspominałam mój zamiar kupienia Julianowi pierwszego kucyka, gdy chłopiec trochę podrośnie. Muszę odegnąć od siebie te wszystkie szkodliwe myśli. Tak bardzo pomogli mi ludzie, którzy mieszkali w moim londyńskim domu. Usiłowałam myśleć o nich - o płochej Henriecie, praktycznych Jane i Polly; o kochanym starym Joem z jego opowieściami o podróżach z Londynu do Bath; i o Lily i jej miłości. Pomogli mi przetrwać tamte trudne miesiące, a teraz, kiedy byłam z dala od nich, znów nękała mnie melancholia.

Kiedy tak siedziałam przy oknie, rozmyślając o tych sprawach, ktoś zapukał do drzwi. Weszła Amelia i natychmiast zrozumiałam, że stało się coś złego.

- Chodzi o Aubreya - powiedziała. - Odszedł. Zniknął.
- Ale dokąd poszedł? Potrząsnęła głową.
- Nie ma go w domu. Jack i ja przeszukaliśmy wszystkie zakamarki.
- Ale dokąd mógł pójść? - spytałam ponownie.
- Jasper nie ma pojęcia. Aubrey wziął ostatnią dawkę wczoraj wieczorem i wydawało się, że zasnął. Tego ranka jego łóżko było puste.
- Co się mogło z nim stać?
- Nie mamy pojęcia. Nie mógł zająć daleko. Nawet się nie ubrał - odrzekła.
- Uważasz, że zrobił sobie coś złego?
- Pomyśleliśmy o tym.
- Sądzisz, że znalazł laudanum? - pytałam dalej.
- Jasper twierdzi, że nie. Zamknął narkotyk w swoim pokoju. Szafa jest nienaruszona i na pewno nikt nie tknął butelki, odkąd ją tam wstawiono.

178

- Co mamy zrobić? - spytałam bezradnie.
- Nie mógł zająć daleko w nocnym stroju... miał na sobie tylko szlafrok i kapcie. Musi być gdzieś w pobliżu.
- Czy przeszukano dom?
- Tak. I jeszcze raz to zrobimy. Uznałam, że powinnam ci o tym powiedzieć.

Zeszłam z nią na dół i zobaczyłam Jacka. Pokręcił głową.

- Po prostu nie można go znaleźć.
- Myślisz, że udało mu się opuścić dom... poszedł gdzieś na pola lub do lasu? - spytała Amelia.

- Przeszukujemy teren posiadłości. Nie mógł zająć daleko - powiedział.

Wyszłam za nimi z domu i ruszyłam w stronę zagajnika.

- Przeszukaliśmy go! - zawołał do mnie Jack.  
- Zastanawiam się... - mruknęłam, gdyż pewna myśl przyszła mi do głowy.

Przebiegłam przez lasek i wyszłam z drugiej strony. Wspięłam się na znajomy pagórek i zsunęłam ze zbocza po przeciwnej stronie. Drzwi od diabelskiej świątyni były otwarte. Instynkt podpowiedział mi, że znajdę tam Aubreya.

Weszłam do środka. Przeniknął mnie dokuczliwy chłód. Wyczułam ten sam zapach, pochodzący, jak teraz wiedziałam, od narkotyków, które tam palono.

Bardzo chciałam zawrócić i nie oglądać więcej tego złego miejsca. Miałam niesamowite uczucie, że jeśli drzwi się zamkną, nigdy nie zdołam stąd uciec.

Przypomniałam sobie pierwszy raz, kiedy tu przyszłam. Znalazłam jakiś kamień i podparłam nim drzwi. Wciągnęłam głęboko do płuc świeże powietrze, zanim weszłam przez korytarz do jaskini, która; jak teraz wiedziałam, była świątynią szatana.

A potem ujrzałam kamienną postać i Aubreya. Wielki posąg o czerwonych oczach, z rogami i kopytami, leżał na posadzce. Dostrzegłam pod nim jakąś postać.

I już wiedziałam. To był Aubrey.

Dla mnie miało to symboliczne znaczenie. Statua wyobrażała tego, kto zniszczył Aubreya. W napadzie szału półprzytomny poszedł do świątyni i zaatakował posąg, który nagle przewrócił się i zabił go. Odkąd obsesja chorego zaczęła się przejawiać w tak gwałtowny sposób, wszyscy obawiali się, że albo zrobi coś złego sobie, albo komuś innemu. I wreszcie to się stało.

Biedny, nieszczęśliwy Aubrey.

179

Zostałam w Minster do pogrzebu. Wzięło w nim udział niewiele osób. W takich okolicznościach Amelia i Jack uznali, że ceremonia powinna być jak najskromniejsza. Później odczytano testament. Był taki, jak się spodziewaliśmy. Jack odziedziczył Minster. Mnie Aubrey zapisał pewną sumę pieniędzy. W połączeniu z tym, co odziedziczyłam po ojcu, pieniądze te sprawiły, że w przyszłości nie musiałam się obawiać kłopotów finansowych. Amelia i Jack pożegnali się ze mną serdecznie i wymogli na mnie obietnicę, że niedługo znów ich odwiedzę.

Powiadomiłam moich domowników, kiedy przyjadę do Londynu i Joe czekał na mnie na dworcu. Kiedy weszłam do domu, Henrietta rzuciła się, by mnie objąć, a Jane i Polly z szacunkiem czekały w odpowiedniej odległości, aż je przywitam.

Wszędzie było pełno kwiatów, a nad obrazami wisały girlandy.

- Tak bardzo nam cię brakowało! - powiedziała Henrietta. Poczulałam, że rzeczywiście wróciłam do domu.

Henrietta chciała dowiedzieć się o wszystkim, co się wydarzyło; słuchała z szeroko otwartymi oczami, kiedy opowiadałam, jak Aubrey zakończył życie.

- Jestem pewna, że usiłował obalić ten ohydny posąg - powiedziałam. - Oczywiście statua miała jakieś sto lat. Musiała się przesunąć i runęła na niego. Myślę, że sądził, iż jest to Damien... człowiek, który zmarnował mu życie.

- Znajdziemy go pewnego dnia - oświadczyła Henrietta z tajemniczym uśmiechem.

- Uważasz, że to czyste szaleństwo - przypomniałam jej.

- Większość spraw wartych zachodu jest właśnie taka. Jesteś bardzo smutna - dodała.

- Tragedia Aubreya ciąży mi na sumieniu. Może powinnam była zostać i opiekować się nim?

- Zrobiłaś to, co wtedy uważałaś za najlepsze i nie powinnaś mieć wyrzutów sumienia. Jak mogłabyś żyć z człowiekiem, który przez połowę dnia był pod wpływem narkotyków?

Zrobiłaś to, co uznałaś za słuszne. Nie powinnaś myśleć o przeszłości. Musisz żyć dalej.

- Masz rację - odrzekłam. - Czuję, że doszłam do końca jakiegoś etapu w moim życiu. Jestem teraz wdową, Henrietto.  
- A jest to znacznie godniejsza szacunku pozycja niż kobiety, która odeszła od męża!  
- Przypuszczam, że masz rację. Jestem też trochę bogatsza - dodałam.  
- To dobrze. Miałaś pewne kłopoty pieniężne, prawda? Przyjechałaś do domu Lily.  
180

Jeśli kiedykolwiek będziesz miała wyrzuty sumienia co do Aubreya, przypomnij sobie, co zrobiłaś dla tej dziewczyny. Nie możesz jednocześnie ratować całego świata.  
- Bardzo mnie pocieszyłaś, Henrietto. Dobrze, że zamieszkałaś ze mną - powiedziałam z wdzięcznością.  
- Twoja radość to punkt dla mnie. Ale pomyśl o wszystkich punktach, które straciłam za to, że porzuciłam Toma Carltona.  
- Jesteś pewna, że nie żałujesz swojej decyzji? - spytałam.  
- Całkowicie. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości -zapewniła mnie. -Moje życie stało się takie podniecające, pełne nowych możliwości. Nie leniuchowałam, kiedy ciebie nie było.  
- A co robiłaś?  
- Na razie to tajemnica.  
- Nie znoszę tajemnic, którymi przyjaciele się ze mną nie dzielą. -Ja też. Ale tę poznasz... z czasem. Nie chce, niczego zepsuć, mówiąc ci o tym, zanim wszystko będzie gotowe.  
-Bardzo mnie zaciekawiłaś - odpowiedziałam. Czy to romans?  
- Myśli wszystkich zawsze biegną jednym torem. Jeśli dziewczyna ma jakąś tajemnicę, ludzie zakładają, że to mężczyzna. Nawet ty, Anno.  
- Więc nie o to chodzi? - ucieszyłam się.  
- Dostrzegłam ulgę na twojej twarzy. To dlatego, że obawiałaś się, iż mogę odejść?  
Skinęłam twierdząco głową.  
- To bardzo miłe z twojej strony - odrzekła. - Czasami zastanawiałam się, czy nie byłam dla ciebie ciężarem. Wciągnęłam cię w moje sprawy i nie dałam ci szansy na odmowę. To dlatego, że wiedziałam, iż masz w sobie coś niezwykłego. Wiedziałam, że będziemy przyjaciółkami. Nigdy nie zdołam ci dostatecznie podziękować za to, co dla mnie zrobiłaś. Cokolwiek się stanie, zawsze pozostaniemy przyjaciółkami. Moja tajemnica dotyczy nas obu.  
-Wyjawiałaś mi tak wiele, czemu nie chcesz powiedzieć mi wszystkiego? - spytałam.  
- W swoim czasie. Uzbrój się w cierpliwość. To nie potrwa długo.  
- Zmieniła temat rozmowy. - Lily bardzo szybko wcieliła w życie swoje plany małżeńskie.  
- Żałuję tylko, że jej narzeczony jest żołnierzem - powiedziałam.  
- Żołnierze idą na wojnę i pozostawiają żony same.  
Szczebiotała dalej, a ja słuchałam szczęśliwa, że jestem w domu, i wiedząc, iż bolesny rozdział w moim życiu został zamknięty na zawsze.

## Rozdział Piąty. Kaiserwald.

Dwa dni później dowiedziałam się o działaniach Henrietty. Czekala na jakiś list, a kiedy przyszedł, wbiegła z nim do swojego pokoju.  
Po kilku minutach wpadła do mnie. Triumfowała.  
- Gotowe - powiedziała. - Załatwiłam to.  
- Pragnę usłyszeć co - odrzekłam.



- Mówiłam ci, że nie próżnowałam podczas twojej nieobecności. Wiedziałaś, że znam rodzinę Nightingale'ów. Pomyślałam, że mogę wykorzystać tę znajomość. Najpierw za pośrednictwem pewnej przyjaciółki dowiedziałam się, co panna Nightingale zamierza zrobić. Tak jak ciebie bardzo niepokoi ją stan szpitali i poziom pielęgniarstwa. Pojechała do tamtej miejscowości w Niemczech - do Kaiserwaldu - żeby tam się uczyć. Chce uczynić z naszych szpitali miejsca, gdzie chorzy znajdą odpowiednią opiekę, i przede wszystkim zajęła się zawodem pielęgniarstwa. Pijane fleje, które nazywają siebie pielęgniarzkami, siedzące w szpitalach, ponieważ wydaje się im to łatwym sposobem zarobkowania, muszą odejść. Panna Nightingale pragnie, żeby pielęgniarstwo stało się szacowanym i szanowanym zawodem. Chce, żeby pielęgniarki otrzymały odpowiednie wykształcenie. Robi wiele szumu wokół tego w wyższych sferach.

- Nie wiedziałam, że ma takie zamiary.

- Chciałam się z nią spotkać, żeby opowiedzieć jej o nas. Oczywiście nie udało mi się do niej dostać. Ma tak dużo pracy i wszyscy chcą ją poznać. Jest z całej duszy oddana swojej misji i przyjaźni się z Palmerstonami, z Herbertami... i kilkoma innymi wpływowymi osobami. Ale dostałam adres, pod który mogłam napisać, i opowiedziałam jej o nas... przede wszystkim o tobie, że masz zdolności do pielęgniarstwa

182

i że pragniesz się czegoś o nim nauczyć. Dodałam, iż słyszałam o miejscowości zwanej Kaiserwald. - Oczywiście błyszczały. - Otrzymałam listowną odpowiedź. Panna Nightingale uważa, że nie mogłybyśmy zostać przyjęte do Kaiserwaldu, gdyż szpital stanowi tylko część tej instytucji dobroczynnej, a jego personel to wyłącznie diakonisy. Niektóre z nich wysłano, by zakładały takie same instytucje w różnych częściach Niemiec. Jedną z takich placówek jest w Kaiserwaldzie i młode kobiety, które pragną uczyć się pielęgniarstwa, mogą zostać tam przyjęte. Panna Nightingale dowie się, czy nas przyjmą, i da nam znać. - Pomachała listem z triumfującą miną. - Czekałam właśnie na to. Oczywiście nie wiedziałam, czy w ogóle otrzymam odpowiedź. Ale przyszła dziś rano. Prośba panny Anny Pleydell i panny Henrietty Marlinton o przyjęcie na szkolenie zawodowe w Kaiserwaldzie została uwzględniona.

- Henrietto! - zawołałam z radością.

- Powiedz, że okazałam się inteligentna i bystra.

- Byłaś wspaniała i taka tajemnicza - odparłam.

- Chciałam ci przekazać dobre wieści w całości. Podawane fragmentami nie byłyby tak efektowne.

- To cudowne - oświadczyłam.

- Kiedy pojedziemy? - spytała.

- W przyszłym miesiącu - zaproponowałam.

- Tak długo mamy czekać?

- Trzeba się przygotować - wyjaśniłam. Zresztą musimy być na weselu Lily.

- Będziemy miały mnóstwo roboty. Na jak długo wyjeżdżamy?

- Myślę, że na jakieś trzy miesiące - odrzekłam.

- To nauka potrwa tak długo? - zdziwiła się Henrietta.

- W ciągu trzech miesięcy można się dużo nauczyć. Uśmiechnęłam się z radości. Tego właśnie potrzebowałam.

Chciałam odpędzić natrętne myśli o Aubreyu, bo od czasu pobytu w Minster tęsknota za Julianem znów opanowała moje serce.

Pewnego rześkiego październikowego dnia Lily wyszła za mąż.

Cieszyło mnie takie szczęśliwe zakończenie jej historii. Promieniała z radości, a William sprawiał wrażenie bardzo miłego młodzieńca. Państwo Cliftowie byli najwyraźniej zachwyceni tym ślubem i już polubili Lily; tak więc wszystko układało się doskonale.

Nowożeńcy zamierzali spędzić miodowy tydzień w Brighton, a potem Lily miała zamieszkać w domu Cliftów.

183

Jane i Polly były nieco przygnębione. Miały stracić nie tylko Lily, lecz także nas. Wszystko będzie tak, jak przed moim powrotem do domu, powiedziały.

- Niezupełnie - odrzekłam - ponieważ będziecie odwiedzały Lily, a ona was. Będzie mieszkać dosłownie za rogiem, a my wyjedziemy zaledwie na kilka miesięcy.

- To niezupełnie tak samo - powiedziała Jane.

- Życie nigdy takie nie jest - dodała ponuro Polly. Joe również był przybity.

- Powozy nie powinny stać w stajni, a konie powinny ćwiczyć - oświadczył.

Powiedziałam mu, że musi regularnie jeździć powozem.

- Powozy bez pasażerów to jak gulasz bez klusek - orzekła Jane.

- Nie wyjeżdżamy na zawsze. Wrócimy - pocieszyłam je.

Nic nie mogło stłumić naszej radości i zaczęłyśmy przygotowywać się do podróży.

Pod koniec października Jane i Polly stały w drzwiach domu, machając nam na pożegnanie.

Polly wytarła łzy i na nowo uświadomiłam sobie, jak bardzo lubię obie siostry. Joe odwiózł nas na dworzec.

- Będę czekał tu na panienki, kiedy wrócicie - powiedział. - I mam nadzieję, że panienki wrócą wcześniej niż później.

- Będziemy cię wypatrywały, Joe - zapewniłam go. - Co takiego wykrzykują gazeciarze? Stangret nastawił ucha.

- Coś o Rosji. Zawsze mówią coś o Rosji.

- Posłuchajmy - poleciłam.

- Rosja i Turcja prowadzą ze sobą wojnę - powiedziała Henrietta. - No cóż, zawsze ktoś gdzieś wojuje.

- Wojna! - fuknęłam z niesmakiem. - Nienawidzę wojny. Myślę o Williamie Clifcie. Byłoby straszne, gdyby musiał pojechać za morze.

- Rosja... Turcja... To daleko stąd - zauważyła Henrietta. Miała rację; zapomnieliśmy więc o wojnie i myśleliśmy tylko o tym, co nas czeka.

Kiedy ujrzałam Kaiserwald, poczułam się tak, jakbym weszła do zaczarowanej krainy z baśni. Szpital mieścił się w małym zamku - po niemiecku Schloss - z malowniczymi basztami i wieżyczkami. Przedtem należał do pewnego szlachcica, który oddał go diakonisom.

Znajdował się w górach, otaczały go zalesione szczyty i gęsty las. Miał doskonałą lokalizację, gdyż mówiono, że orzeźwiający górski powietrze

184

pomaga pacjentom dotkniętym chorobami dróg oddechowych; i rzeczywiście, takie powietrze dobrze służyło nam wszystkim. Powóz czekał, by zawieźć nas do szpitala, i w miarę jak piął się w górę stromą drogą, ogarniało mnie coraz większe podniecenie. A kiedy zerknęłam na Henriettę, zauważyłam, że podziela ona moje uczucia.

Czułam aromatyczny zapach sosen; słyszałam plusk wody z wodospadów, spadających z górskich zboczy. Od czasu do czasu docierał do nas dźwięk dzwonek, co, jak wyjaśnił nam woźnica, oznaczało, że w pobliżu są krowy. W powietrzu wisiała lekka mgiełka, która nadawała wszystkiemu niebieskawy odcień. Okolica ta zachwyciła mnie, zanim jeszcze ujrzałam Kaiserwald.

Dotarliśmy do sporej polany w lesie i powóz nagle się zatrzymał. Jakaś dziewczyna przechodziła przez drogę. Długie włosy spadały jej na plecy, w ręce trzymała patyk; przed nią kroczyło, kołysząc się na boki, sześć gęsi, które nie chciały iść szybciej.

Nasz woźnica zawołał coś do niej, a ona odpowiedziała mu wzruszeniem ramion. Niemiecki znałam słabo. Zapomniałam większość tego, czego nauczyłam się w szkole, ale zrozumiałam, że jest to gęsiarka Gerda, która mieszka ze swoją babką w pobliskiej chacie. Woźnica postukał się w czoło.

- Brak jej piątej klepki - dodał i dzięki temu gestowi pojęłam, co powiedział.

Odpowiedziałam łamaną niemczyzną, że Gerda bardzo ładnie wygląda z gęsiami.

Wreszcie dotarliśmy do zamku. Przed nim zobaczyłam małe jezioro - niewiele większe od stawu. Wierzby płaczące zanurzały w nim wiotkie gałęzie i w połączeniu z górami w tle był to piękny widok, zapierający dech w piersiach.

- Tu jest cudownie - oświadczyła Henrietta i zgodziłam się z nią z całego serca.

Wjechaliśmy na dziedziniec i powóz się zatrzymał. Młoda kobieta wyszła nam na spotkanie. Ubrana była w jasnoniebieską suknię i biały fartuch, miała jasną cerę i włosy. Mówiła po angielsku. Popatrzyła na nas z ciekawością i wydało mi się, że dostrzegłam w jej oczach sceptycyzm. Wyjaśniła nam później, że powiedziano jej, iż jesteśmy dwiema dobrze urodzonymi angielskimi damami, które interesują się pielęgniarstwem. Uznała, że nie pozostaniemy w Kaiserwaldzie dłużej niż tydzień.

Zaprowadzono nas do sypialni. Była to długa sala z pobielonymi ścianami, podzielona na małe izdebki. W każdej stało łóżko. Nasza przewodniczka powiedziała nam, że tutaj będziemy spać i że powinniśmy nosić białe fartuchy na sukniach.

185

Dodała, że musimy wykonać każdą czynność, którą się nam zleci.

W szpitalu przebywało dwustu pacjentów, a większość z nich była poważnie chora.

- Tylko takich przyjmujemy - wyjaśniła. - To miejsce jest dla naprawdę chorych ludzi; a ci, którzy tu przyjeżdżają, muszą pracować. Nieczęsto odwiedzają nas damy. Przełożona zgodziła się przyjąć panie, by sprawić przyjemność pannie Nightingale.

Odpowiedziałam, że wszystko zrozumialiśmy, a potem wytłumaczyłam jej, iż pragniemy zostać wykwalifikowanymi pielęgniarkami.

- Mogą panie stać się nimi tylko po wielu latach pracy z chorymi - brzmiała odpowiedź.

- Zamierzamy zacząć natychmiast - oświadczyła Henrietta z czarującym uśmiechem.

Nasza przewodniczka spojrzała na nią z niedowierzaniem i mogłam to zrozumieć. Moja przyjaciółka wydawała się stworzona do zabawy i wesołości. Co do mnie, to żal i smutne przeżycia bez wątpienia wyryły kilka bruzd na mojej twarzy. Zachowywałam się bardziej poważnie, więc może wywarłam lepsze wrażenie.

Przedstawiono nas innym pracownicom szpitala. Bardzo niewiele z nich znało choć trochę angielski. Były to religijne kobiety, które zajęły się pielęgniarstwem, ponieważ miały do tego powołanie. Większość pochodziła z biednych rodzin i w ten sposób zarabiała na swoje utrzymanie, ale panowała tu zupełnie inna atmosfera od tej w londyńskim szpitalu, skąd zabrałam Lily.

Zaprowadzono nas do przełożonej pielęgniarek, damy o silnym charakterze. Była kobietą w średnim wieku, z siwymi włosami i chmurnymi, szarymi oczami.

- Większość naszych pacjentów cierpi na choroby dróg oddechowych. Niektórzy nigdy nie wyzdrowieją - powiedziała nam. - Przysyłają ich do Kaiserwaldu z innych szpitali w całych Niemczech, ponieważ nasze powietrze podobno im służy. Pracuje tu na stałe dwóch lekarzy: doktor Bruckner i doktor Kratz.

Mówiła całkiem dobrze po angielsku i dalej wyjaśniała nam zadania swego szpitala.

- Podzielałam poglądy panny Nightingale. Za mało się robi, by leczyć chorych. Jesteśmy tutaj pionierami. Naszym celem jest poruszenie ludzkich sumień i zwrócenie uwagi na potrzebę opieki nad pacjentami, a także, jeśli to możliwe, wyleczenie ich dolegliwości. Uzyskaliśmy wstępną aprobatę tego, co robimy, i od czasu do czasu odwiedzają nas doktorzy z innych krajów. Byli tu też lekarze z Anglii.

186

Interesują ich nasze metody. Myślę, że zrobiliśmy pewne postępy. Mamy mnóstwo roboty i nie będą tu panie mieszkają w luksusowych warunkach.

- Nie oczekiwaliśmy tego - odparłam.

- Opieka nad pacjentami jest bardzo czasochłonna. Nasze pielęgniarki nie mają zbyt dużo wolnego czasu, a ponieważ znajdujemy się z dala od miasta, nie mogą go wykorzystać na rozrywki - mówiła dalej.

- Macie tu piękne lasy i góry. Skinęła głową.

- Zobaczymy - oświadczyła i zrozumiałam, że podobnie jak diakonisa, która nas tutaj przyprowadziła, nie oczekiwała, iż zostaniemy dłużej w Kaiserwaldzie.

To nie było łatwe. Zdumiałam się, że Henrietta to zaakceptowała. Ze mną było inaczej.

Pragnęłam ciężko pracować; chciałam zapomnieć i pobyt w tak niezwykłym otoczeniu bardzo mi pomógł.

Mieszkałyśmy w spartańskich warunkach. Oczekiwaliśmy ciężkiej pracy, ale nie tak zmudnej. Wymagano od nas, byśmy robiły wszystko, co było do zrobienia. Zaskoczyła mnie czystość sal szpitalnych. Musiałyśmy prać pościel i myć podłogi. Wstawałyśmy o piątej rano i często pracowałyśmy ciężko aż do siódmej wieczorem. Wtedy to, jak mówiła Henrietta, utulałyśmy pacjentów do snu. Było to zgromadzenie o charakterze religijnym i po skończonej pracy zbierałyśmy się, by słuchać wybranych fragmentów Biblii, modlić się i śpiewać hymny. Podczas pierwszego tygodnia pobytu w Kaiserwaldzie pod koniec dnia byłam tak wyczerpana, że natychmiast zapadałam w głęboki sen i budził mnie dopiero poranny dzwon. Pod pewnym względem przypominało mi to szkołę.

Posiłki spożywałyśmy w dużej sali o wybielonych ścianach, gdzie siedziałyśmy przy długim stole; wszystkie miałyśmy tam swoje miejsca, których nie wolno było nam zmieniać.

Śniadanie jadłyśmy tuż przed szóstą i zwykle składało się z żytniego chleba i napoju, który, moim zdaniem, sporządzano z żytnich otrąb. Było to jedzenie wieśniaków. Podawałyśmy pacjentom pierwszy posiłek o jedenastej i gromadziłyśmy się w jadalni o dwunastej, by zjeść nasz. Karmiono nas rosółem, jarzynami, z niewielką ilością mięsa lub ryby.

Od czasu do czasu miałyśmy kilka wolnych godzin i po upływie pierwszego tygodnia, kiedy to byłyśmy zbyt zmęczone naszymi obowiązkami, by wyjść z zamku, schodziłyśmy na brzeg jeziora i siedziałyśmy tam, słuchając szelestu wiatru wśród sosen; wprawdzie wtedy już się przyzwyczaiłyśmy do ciężkiej pracy, pragnęłyśmy jednak tylko siedzieć i wypoczywać.

187

Ogarniał mnie w owych chwilach niezwykły spokój.

Nierzadko widywałyśmy także ludzi zdążających do wioski oddalonej o kilkaset metrów od szpitala. Większość tutejszych wieśniaków miała mało zwierząt domowych - głównie krowy - i sporo wieśniaczek dorabiało sobie, haftując suknie i bluzki, które sprzedawano w sklepach w miasteczkach. Przechodzący tamtędy drwal z siekierą na ramieniu witał nas głośnym okrzykiem. Wszyscy oni wiedzieli, kim jesteśmy, szanowali nas jako pielęgniarki z Kaiserwaldu i rozmawiali z nami z wyszukaną grzecnością.

Od bardzo dawna nie byłam taka szczęśliwa.

Najbardziej kochałam pracę w sali szpitalnej. Było to długie pomieszczenie z pobielonymi ścianami, a po obu stronach wisiał duży krzyż. Łóżka stały blisko siebie, zasłona dzieliła salę

na część męską i żeńską. Lekarze pracowali bez przerwy i myślę, że trochę lekceważyli pielęgniarki - a zwłaszcza Henriettę i mnie, gdyż wiedzieli, że nie pracowałyśmy, by zarobić na życie i że przed przybyciem do Kaiserwaldu nie miałyśmy żadnego doświadczenia w tym zawodzie. Bez wątpienia uważali nas za damy, które zapragnęły przeżyć niezwykłą przygodę, by zabić nudę naszego bezużytecznego życia.

To nastawienie irytowało mnie znacznie bardziej niż Henriettę. Postanowiłam pokazać im wszystkim, iż nie bawię się w pielęgniarkę. Wiedziałam, że mam talent do takiej pracy i udowodniłam to, kiedy jedna z pacjentek dostała ataku hysterii i nikt nie mógł jej uspokoić oprócz mnie - nawet lekarze.

Myślę, że po tym wypadku ich stosunek do mnie zmienił się trochę, co więcej, zainteresowała się mną nawet przełożona.

- Niektóre kobiety rodzą się pielęgniarkami - powiedziała. - Inne zaś tylko uczą się niezbędnych umiejętności. Pani zalicza się do tej pierwszej grupy.

Była to największa pochwała, jaką mogłam otrzymać, i jeśli przełożona niepokoiła się o jakiegoś pacjenta, często zlecała mi opiekę nad nim. Dodało mi to odwagi, pograżyłam się więc w pracy i czułam się szczęśliwa, że pracuję w Kaiserwaldzie.

Często rozmyślałam o Henriecie. Wydawało mi się, że czasami była mniej zachwycona.

Widziała jednak, że ja znalazłam się w swoim żywiole, i cieszyła się z tego.

- Czuję się półżywa - powiedziała mi pewnego dnia, kiedy siedziałyśmy nad jeziorem. - Ale przypominam sobie, że robię to wszystko w dobrej sprawie. Muszę wytrzymać, gdyż to wszystko jest częścią naszego wielkiego planu. Zaprowadzi nas do Doktora Demona.

188

Tak właśnie nazwała człowieka, którego postanowiłam znaleźć. Wymyślała historie o jego niegodziwości; opisywała nawet jego wygląd. Powstał z tego pewien obraz - ciemne, przysłonięte powiekami, zamyślonę oczy, czarne włosy i zły, diaboliczny wyraz twarzy. Pewnego popołudnia, kiedy obie miałyśmy wolną godzinę i odpoczywałyśmy na brzegu jeziora, spomiędzy drzew wyszła smukła postać. To była gęsiarka Gerda.

Mój niemiecki znacznie się poprawił, odkąd przyjechałam do Kaiserwaldu, gdyż przez cały czas rozmawiano z nami w tym języku, poza kilkoma uwagami, z którymi zwróciła się do nas przełożona diakonis i ta, która nas przywitała. Dlatego nawet, Henrietta, znająca gorzej język, mogła już rozmawiać po niemiecku, chociaż niezbyt poprawnie.

- Witaj - powiedziałam do Gerdy i spytałam: - Gdzie twoje gęsi?

- Mają dobrą opiekę - odrzekła. - Dlatego teraz mogę pochodzić sama.

Podeszła do nas i stała, uśmiechając się do siebie, jakbyśmy ją czymś rozbawiły.

- Jesteście angielskimi damami - oświadczyła.

- A ty niemiecką dziewczynką - odparłam.

- Ja też jestem damą.

- Nie wątpię, że jesteś.

-Ja spaceruję po lesie. Czy wy też spacerujecie? - spytała.

- Mamy za mało czasu na spacer. Ale w lesie musi być pięknie, kiedy się chodzi pod drzewami.

Podeszła bliżej.

-Drzewa ozywają w nocy - powiedziała. Zdawała się patrzeć w dal nieprzytomnym spojrzeniem, jak gdyby widziała coś, co było ukryte przed nami. - Tam sątrolle... mieszkają we wzgórzach.

- Widziałaś je? - zapytała Henrietta. Skinęła głową.

- Ciągną cię za suknię. Próbuja cię złapać. Nigdy nie wolno patrzeć im w oczy. Jeśli to zrobisz, schwytają cię.

-To znaczy, że ty nigdy nie spojrziałaśtrolle w oczy, prawda? - powiedziałam.

Gerda wzruszyła lekko ramionami i zachichotała. -Widziałyście diabła?-spytała. Nazwała go der Teufel.

- Nie, a ty?

Zaczęła się śmiać i ponownie wzruszyła ramionami.

- Mieszkasz ze swoją babką, prawda? zapytałam. Skinęła głową.

- W małym domku na skraju lasu?

189

Znowu skinęła głową.

- I pilnujesz gęsi, kur... i co tam jeszcze macie?

- Krowę, dwie kozy - odpowiedziała.

- Pewnie masz dużo do roboty. Skinęła głową.

- To było w lesie. To diabeł - mówiła dalej.

- Och... czy go spotkałaś?

- Spodobałam mu się - odrzekła i ponownie zaczęła chichotać. Henrietta ziewnęła, ale mnie zainteresowała ta dziwna dziewczyna i zastanowiłam się, co też się dzieje w jej zmaconym umyśle.

Moja przyjaciółka wstała.

- Późno już. Spóźnimy się, Anno.

- Do widzenia, Gerdo - powiedziałam.

- Do widzenia - rzuciła i stała, patrząc na nas, gdy odchodziłyśmy.

- Dziwna z niej dziewczyna - skomentowałam.

- Na pewno brak jej którejś klepki - zauważyła Henrietta.

- Zastanawiam się, co miała na myśli, mówiąc o diable?

- A o trollach? - dodała Henrietta.

- Przypuszczam, że słyszy wiele rzeczy i wyobraża sobie jeszcze więcej. Jest naprawdę śliczna - taka zgrabna i te piękne włosy. Szkoda, że niedorozwinięta umysłowo. No cóż, może pilnować gęsi. To potrafi. I wydawała się dość szczęśliwa... całkiem dumna ze swego spotkania z diabłem. Chciałabym dowiedzieć się więcej o niej. Spotkać się z jej babką. Mogłybyśmy ją odwiedzić... ale nigdy nie można być pewną, czy dobrze się postępuje.

- Tutaj nie mamy czasu na życie towarzyskie.

- Henrietto - zapytałam. - Czy uważasz, że to wszystko jest za trudne dla ciebie? Chciałabys wrócić do kraju?

- Oczywiście, że nie. Jeśli ty tu wytrzymujesz, to ja również mogę.

- Ale ze mną jest inaczej. Ja chcę się całkowicie poświęcić jakiejś ważnej sprawie i myślę, że zawsze pragnęłam to robić, chociaż w istocie o tym nie wiedziałam.

- Wytrzymam trzy miesiące - oświadczyła. - Wiedz, że nie zapomniałam, o co w tym wszystkim chodzi. Gerda cieszy się ze spotkań z diabłem. Ja też postanowiłam z nim się spotkać.

Kiedy miałam wolną chwilę, zawsze wychodziłam z zamku. Raz czy dwa razy widziałam Gerdę z jej gęsiami; posłała mi nieprzytomny uśmiech, gdy mnie zobaczyła. Ale kiedy była ze swoimi podopiecznymi, mówiła niewiele. Wydawało się, że nie może robić dwóch rzeczy jednocześnie.

190

Gęsi syczały na nas, a Gerda je uspokajała. Uznałam je za bardzo nieprzyjazne stworzenia. Zbliżała się zima i było zbyt zimno, żebyśmy mogły siadywać nad jeziorem. Wołałyśmy chodzić na długie spacerki. W miasteczku odległym o jakieś dwa kilometry miał się odbyć jarmark i teraz widziałyśmy więcej ludzi podczas naszych przechadzek. Pewnego mglistego

popołudnia po raz pierwszy spotkałyśmy Klauza Domokrażcę. Miał wóz ciągnięty przez osła; wóz wyładowany był mnóstwem różnych towarów.

Powitał nas wesołym:

- Guten Tag! - Na co odpowiedziałyśmy równie przyjaźnie.

- Damy z Kaiserwaldu! - zawołał. - Angielskie damy. Te, o których tak dużo słyszeliśmy. Widząc panie, nigdy bym tego nie zgadł. - Utkwił oczy w Henriecie. - Panie nie wyglądają na kogoś takiego. Nazywają mnie Klaus Domokrażca. Każdy paniom powie, kim jestem. Odwiedzam regularnie okoliczne wsie... a teraz jadę na jarmark. Pora na dobre interesy. Co mam w moich paczkach? Coś, co panie zainteresuje... paciorki, grzebienie i kolczyki... śliczne jedwabie na suknie... naszyjniki i pudry, żeby mężczyźni panie kochali. Jeśli panie czegoś zapragną, proszę zwrócić się do Klauza Domokrażcy. Jeżeli nie ma tego teraz, przywiezie paniom następnym razem.

Mówił bardzo dużo i niektórych słów nie zrozumiałam, ale łatwo było pojąć sens jego przemowy. Był całkiem przystojny, podobny do Cygana, miał ciemną cerę i włosy oraz błyszczące oczy i nosił kolczyki w uszach. Tryskał wesołością i sprawiał wrażenie, że jest dumny, niezależny i że nikt go nie obchodzi.

Popatrzył na nas z lekkim rozbawieniem, bez wątpienia zastanawiając się, co nas sprowadziło do Kaiserwaldu. Myślę, że rzucałyśmy się w oczy dlatego, że byłyśmy cudzoziemkami, w dodatku młodymi.

- Co tylko panie zechcą - mówił dalej. - Poprosicie starego Klauza Domokrażcę, a przywiezie to paniom. Ładny kawałek jedwabiu, sztukę aksamitu i paciorki pasujące do oczu pań... niebieskie dla jednej i zielone dla drugiej. Mogę znaleźć coś dla obu pań.

- Dziękujemy - odrzekła Henrietta. - Ale nie mamy wielu okazji, by nosić tu takie stroje. Pokiwał na nas palcem.

- Zawsze powinny panie mieć czas na zabawę. Nie pracujcie przez cały czas. To niezgodne z naturą. Trzeba korzystać z uroków życia i ci, którzy tego nie robią wtedy, kiedy mogą, przekonają się, że młodość odeszła i już nigdy nie wróci.

191

A teraz mam ładną sztukę jedwabiu na suknię... zielonego, by podkreślić kolor włosów. Wiedzą panie, że takie włosy nie rosną na każdej głowie. Trzeba zrobić dla nich to, co najlepsze.

- Pomyślmy o tym - odrzekłam.

- Nie myślcie o tym za długo, gdyż Klaus Domokrażca odejdzie.

- Nie wątpię jednak, że wróci.

- Wróci. Ale niech panie nie zapominają, że słońce wschodzi, słońce zachodzi, a potem mija następny dzień... i każdy dzień przybliża do starości nawet piękne damy.

- Przypomniał nam pan o przemijaniu czasu, a my mamy go mało. Musimy wracać.

- Fascynujący z niego mężczyzna - powiedziała Henrietta, kiedy odeszłyśmy.

- Na pewno nie jest oszczędny w słowach - odparłam.

Dzień był zimny, gdyż zbliżał się koniec listopada. Gwałtowny wiatr gnał chmury po szarym niebie. Henrietta i ja miałyśmy wolną godzinę tego popołudnia i w takie dni lubiłyśmy spacerować po lesie. Lubiłam zapach sosen i dźwięk krowich dzwonek, który nieoczekiwanie przynosił nam wiatr. Zawsze czułam, że ten las ma w sobie coś czarodziejskiego. Nie dziwiłam się, że Gerda miała przywidzenia.

Minęłyśmy jej chatę; była w ogrodzie i nuciła coś do siebie. Pozdrowiłyśmy ją głośnym okrzykiem, ale wydawało się, że nas nie zauważyła. Z Gerdą często tak bywało. Poszłyśmy dalej i po jakichś dziesięciu minutach zaczęło kropić. Poprzez drzewa widziałam czarne deszczowe chmury. Z przyjaznego las stał się ciemny i groźny. Drzewa zdawały się

przybierać dziwne kształty, a wiatr jęczał jak człowiek. Kiedy powiedziałam o tym Henriecie, wyśmiała mnie.

- Jak na taką rozsądną, praktyczną kobietę czasami ponosi cię wyobraźnia - powiedziała.

- Pośpiesz się! - ostrzegłam ją. - Zaraz się rozpada na dobre. Wątpię, czy wrócimy suche do szpitala.

Pobiegłyśmy przez las, ale kiedy dotarłyśmy do polany, na której stała chata Gerdy, lało już jak z cebra.

Drzwi otworzyły się i pojawiła się w nich jakaś kobieta. Już kiedyś ją widziałam i wiedziałam, że to babka dziewczyny.

- Młode damy, przemokniecie do suchej nitki! - zawołała. - Wejdźcie, proszę, do środka.

Wkrótce przestanie padać. To tylko przelotny deszcz.

Ucieszyłam się z tego zaproszenia, gdyż bardzo interesowały mnie mieszkanki chaty. Frau Leiben dobiegała sześćdziesiątki, jak przypuszczałam,

192

a przecież była żwawa, a jej dom wyglądał bardzo schludnie.

- To miło z pani strony, że zaproponowała nam pani schronienie przed deszczem - powiedziałam.

- To najmniejsze, co mogę zrobić. Proszę, usiądźcie, panie. - Posłuchałyśmy, a ona mówiła dalej: - Jesteśmy bardzo wdzięczni wszystkim paniom z Kaiserwaldu. Wykonujecie dobrą robotę. A wy jesteście Angielkami... które przybyły, żeby uczyć się naszych zwyczajów? Powiedziałam jej, że przyjechałyśmy tu na trzy lub cztery miesiące, a potem zamierzamy wrócić do kraju.

- Ludzie przybywają tu od czasu do czasu - odrzekła.

- Gdzie jest Gerda? - spytałam. - Czy to dobrze, że chodzi w taki deszcz?

- Gdzieś się schroni. Ma na to dość rozumu. - Staruszka pokiwała smutnie głową.

- To piękna dziewczyna - powiedziałam. - Ze swoimi gęsiami wygląda jak z obrazka.

Gdybym była malarzem, namalowałabym

ją.

- Niepokoję się o nią - westchnęła Frau Leiben. - Co się z nią stanie po mojej śmierci? Bez przerwy zadaję sobie to pytanie. Kto się nią zaopiekuje? Gdyby była taka jak inne dziewczęta, wyszłaby za męża i to mąż by się nią zajął. Może jej matka wróci po nią.

Milczałyśmy kilka chwil, a potem Frau Leiben mówiła dalej:

- Gerda miała pięć lat, kiedy moja córka i jej mąż zostawili ją u mnie. Myślałam, że po nią wrócą, ale nigdy tego nie zrobili. Są teraz bardzo daleko, w Australii. - Na jej twarzy malował się smutek. - Herman, mój mąż, żył, kiedy tamci dwoje odjechali. A teraz go nie ma.

Błogosławione diakonisy zrobiły dla niego wszystko, co mogły, ale nie zdołały uratować mu życia i zostałam sama. Jestem sama od trzech lat.

- Tutejsi ludzie zachowują się przyjaźnie wobec siebie - zauważyła Henrietta. - Dobrze jest mieszkać w takim miejscu.

Babka Gerdy skinęła głową.

- To prawda. Byli dla mnie bardzo dobrzy po śmierci Hermana. Brzemie, jakim jest moja wnuczka, nie ciążyło mi tak bardzo za jego życia. Oboje dźwigaliśmy ten ciężar.

Spojrzała na nas, jak gdyby się zastanawiała, czy nie mówi za dużo. Przecież prawie nas nie znała. Zawsze bardzo ciekawiło mnie życie innych ludzi; zdawali się to wyczuwać i chętnie się zwierzały. I nagle usłyszałyśmy całą tę historię. Państwo Leiben mieli córkę imieniem Klara. Świata poza nią nie widzieli.

193



Wyglądała tak jak Gerda, ale była bystra i inteligentna. Pragnęli dla niej wszystkiego co najlepsze. Pojechała do kuzynki do Hamburga, spotkała tam Fritza i poślubiła go.

- Tak naprawdę to nigdy tu nie wróciła - ciągnęła staruszka. - Tylko po to, by nas zobaczyć... i to wszystko. Nasz dom nie był już jej domem. Widzieliśmy, że jest szczęśliwa i oczywiście cieszyliśmy się wraz z nią, choć sami bardzo cierpieliśmy. Kiedy Gerda się urodziła, byliśmy tacy szczęśliwi... ale niedługo okazało się, jaka jest. Tak naprawdę to wcale jej nie chcieli... w każdym razie Fritz nie chciał. Nie była normalnym dzieckiem i tylko im przeszkadzała. Przywieźli ją więc tutaj. Odwiedzali nas od czasu do czasu. A potem Fritz wystąpił z marynarki wojennej i pojechali do Australii. Nie chcieli zabrać ze sobą córki. Herman wtedy jeszcze żył. Bardzo kochał Gerdę. Chodzili razem po lesie i łąkach. Mieliśmy wówczas więcej krów. Opowiadał jej różne historie, starodawne legendy o bogach i bohaterach. Znał je wszystkie jak pacierz i umiał doskonale opowiadać. Słuchała go godzinami jak zaczarowana. Nie było mi trudno za życia Hermana. A potem umarł na płuca. Kaszłał i kaszłał, aż serce mi krwawiło, gdy to słyszałam. Zabrali go do Kaiserwaldu, umarł tam i zostałam sama.

- Jakie to smutne! - powiedziała Henrietta.

- Ale Gerda jest bardzo szczęśliwa - dodałam.

- Och, ona żyje w świecie swoich marzeń, przeżywa wszystkie historie, które opowiadał jej dziadek. Pamiętam nasze ostatnie Boże Narodzenie, kiedy Herman jeszcze żył. Postawiliśmy choinkę, ozdobiliśmy ją kolorowymi papierkami i zabawkami, a także świeczkami, żeby ładnie wyglądała. Wkrótce znów nadejdą święta. Stary drwal Wilhelm przynosi mi choinkę, a ja ją ubieram, bo Gerdzie się to podoba. Ale jest mi smutno bez Hermana.

Zauważyłam, że deszcz przestał padać i powinnyśmy się pośpieszyć, jeśli nie chcemy się spóźnić.

- Rozmowa z panią, Frau Leiben, była bardzo interesująca - powiedziałam. - Mam nadzieję, że córka niebawem przyjedzie panią odwiedzić.

- Australia leży bardzo daleko stąd - westchnęła.

Kiedy wracałyśmy pośpiesznie, powiedziałam do Henrietty:

- Jakaż to smutna opowieść! Biedna Gerda. Biedna Frau Leiben.

- Nie sądzę, że Gerda jest smutna - odrzekła Henrietta. - To jedno z dobrodziejstw stanu, w jakim się znajduje. Wątpię, czy w ogóle coś czuje. Nie tęskni za matką. Nie uważa, że matka ją porzuciła.

194

- Nie wiemy, co się dzieje w umyśle Gerdy. Mam nadzieję, że dostaną ładną jodełkę. To niemiecki zwyczaj, drzewko, które się ubiera. W kraju coraz częściej robimy to samo, odkąd ksiądz Albert poślubił naszą królową.

- To królowa matka zapoczątkowała ten zwyczaj - zaoponowała Henrietta.

- Ciekawe, jak się obchodzi święta w Kaiserwaldzie? - spytałam.

- Myślę, że w ogóle nie ma świąt - odparła. - Po prostu będzie trochę więcej hymnów i modlitw.

- Trzeba coś zrobić. Myślę, że bardzo by to pomogło pacjentom. W szpitalu w Kaiserwaldzie jest zbyt smutno.

- Spróbuj powiedzieć o tym przełożonej - westchnęła Henrietta.

- Możliwe, że to zrobię.

- Uważaj. Może dać ci ostrą odprawę - ostrzegła mnie.

Poprosiłam o spotkanie z przełożoną - o audiencję, jak nazwała to Henrietta. Wyznaczono mi je w drodze łaski. Wyczułam w zachowaniu owej damy pewien szacunek do mnie, którego moja przyjaciółka nie zdobyła.

Polecono mi, żebym usiadła, co uczyniłam. Przełożona siedziała przy biurku, mając przed sobą jakieś dokumenty, których dotykała od czasu do czasu, jakby chciała w ten sposób przypomnieć, że może mi poświęcić niewiele czasu.

Od razu przeszłam do sedna sprawy.

- Wkrótce Boże Narodzenie. Zastanawiałam się, w jaki sposób obchodzi się tutaj święta.

- Zaśpiewamy bożonarodzeniowe hymny i odmówimy odpowiednie modlitwy - wyjaśniła przełożona.

- Czy będą jakieś przyjemności? - spytałam

- Nie rozumiem pani, panno Pleydell.

- Na przykład choinka - wyjaśniłam.

Popatrzyła na mnie z niedowierzaniem, a ja mówiłam dalej:

- Pomyślałam, że mogłyby być dwie... po jednej z każdej strony sali szpitalnej i że można by odsunąć zasłonę oddzielającą mężczyzn od kobiet, abyśmy wszyscy znaleźli się razem.

Moglibyśmy też podarować każdemu choremu drobny upominek. Oczywiście niedrogi...

tylko jakiś drobiazg. Zawiesiłybyśmy prezenty na choinkach i mogłybyśmy je zdejmować.

Pozwoliła mi tak długo mówić, ponieważ oniemiała z zaskoczenia. Zdałam sobie sprawę, że postąpiłam bardzo zuchwale. Nikt tak nie rozmawiał z przełożoną diakonis. Nikt nie ośmielił się podjąć próby wprowadzenia czegoś nowego w Kaiserwaldzie.

195

Podniosła palec, by mnie powstrzymać.

- Panno Pleydell, myślę, że nie przebywa pani tutaj dostatecznie długo, by poznać nasze zwyczaje. Ci ludzie są chorzy... niektórzy z nich bardzo...

- Myślę, że tym, którzy nieco lepiej się czują, bardzo pomogłaby niewielka rozrywka, niewielkie urozmaicenie. Dni muszą wydawać się im bardzo długie i nudzą się, co czyni ich niespokojnymi i nie sprzyja wyzdrowieniu. Gdyby ktoś ich zabawił, dostarczył im rozrywki, podniosłoby to ich na duchu.

- Nie jesteśmy tu po to, by zajmować się ich nastrojami, panno Pleydell. - Leczymy ich ciała.

- Czasami jedno zależy od drugiego - nie ustępowałam.

- Chce mi pani powiedzieć, że potrafi kierować szpitalem lepiej ode mnie? - spytała przełożona chłodno.

- Nie. Oczywiście, że nie. Ale chcę powiedzieć, że osoby z zewnątrz mogą czasem wystąpić z pożytecznymi propozycjami.

- Ta propozycja jest zbyt kosztowna, a my potrzebujemy wszystkich pieniędzy, jakie możemy zdobyć. Dzięki nim możemy dokonać wielu rozsądnych rzeczy - odrzekła z naciskiem.

- Ta propozycja jest rozsądna. Uważam, że jeśli podniesie się kogoś na duchu, pomaga się wyzdrowieć jego ciału.

- Założmy, że zgodziłabym się na pani absurdalny pomysł. Co wtedy? Skąd weźmiemy pieniądze na kupno tych, no, drobiazgów? Wie pani, że mamy tu około setki pacjentów.

- Wiem o tym - odrzekłam. - Myślę, że choinki moglibyśmy otrzymać w prezencie. Tutejsi wieśniacy bardzo cenią nasz szpital.

- A skąd pani o tym wie? - spytała z przekąsem.

- Ponieważ z nimi rozmawiałam. Znam niektórych z nich dostatecznie dobrze, żeby mieć pewność, iż zrobią, co będą mogli dla takiej sprawy jak ta.

- A co z prezentami? - pytała dalej.

- Ja je kupię. Panna Marlinton zechce mi pomóc. Jest tu pewien wędrowny handlarz, który mógłby wszystko dla nas sprowadzić. Drobiazgi... chusteczki... ozdoby... coś, co sprawi, że będzie to dla pacjentów niezwykle dzień.

- To jest niezwykły dzień - odparła z naciskiem. - Obchodzimy przecież dzień narodzin Chrystusa. Zaśpiewamy bożonarodzeniowe hymny. Dopilnuję, żeby przypomnieć pacjentom o znaczeniu świąt Bożego Narodzenia.

- Ale narodziny Chrystusa powinny się stać okazją do radości. To powinien być szczęśliwy dzień. Uważam, że dzięki temu stan naszych pacjentów mógłby się poprawić.

196

Na pewno będą oczekiwać nadejścia... tego dnia. Myślę, że jeśli uczynimy ich szczęśliwymi, jeżeli sprawimy, że będą się śmiać i cieszyć życiem, z pewnością pomożemy im wrócić do zdrowia.

- A ja myślę, panno Pleydell, że traci pani mój czas i własny - odrzekła sucho przełożona. Odprawiła mnie w ten sposób. Mogłam tylko odejść.

Kilka dni później posłała jednak po mnie.

- Proszę usiąść, panno Pleydell - powiedziała.

Posłuchałam jej, zastanawiając się, czy poleci mi, żebym opuściła Kaiserwald. Nie miałam wątpliwości, że moje propozycje ją zaszokowały. Była bardzo religijną kobietą o silnym i prawym charakterze, ale całkowicie pozbawioną poczucia humoru. Dobrze zdawałam sobie sprawę z tego, że tacy ludzie często nie rozumieją swoich bliźnich. Myślę, że wierzyła, iż wszyscy powinni zaakceptować jej własne szczytne zasady moralne i że nie pasowała do nich wesołość, jaką zamierzałam wprowadzić do szpitala.

Jej następne słowa bardzo mnie jednak zdziwiły.

-Zastanawiałam się nad pani pomysłem, panno Pleydell. Ma pani pewien talent do pielęgniarstwa. Zauważyłam to. Ale nie zawsze stosuje się pani do naszych zasad.

O, Boże, pomyślałam. Zaraz to powie!

- Ma pani zadatki na dobrą pielęgniarkę. Oczywiście uważa pani, że zaproponowana przez panią rozrywka pomoże naszym pacjentom, i gotowa jest pani wesprzeć ją finansowo. Ma pani szczęście, mogąc sobie na to pozwolić. - Uśmiech zadrżał w kącikach ust przełożonej. Byłam zdumiona. Po raz pierwszy dostrzegłam na jej twarzy wyraz podobny do radości. - Niestety, pani przyjaciółka panna Marlinton nie ma pani umiejętności w tym zawodzie. Jest jednak wesoła i chętna do pomocy i przypuszczam, że pacjenci ją lubią. Rozmawiałam z doktorem Brucknerem i z doktorem Kratzem i obaj uważają, że zaproponowana przez panią rozrywka nie wyrze złego wpływu na pacjentów. Panno Pleydell, pozwolę na przeprowadzenie tego eksperymentu. Zobaczmy, ilu pacjentów poczuje się lepiej po urządzonej przez panią uroczystości na Boże Narodzenie; przekonamy się, czy nie nastąpi skutek przeciwny.

- Nie mogę uwierzyć, że trochę radości mogłoby im zaszkodzić - odrzekłam.

- Zobaczmy. Ja nie będę miała z tym nic wspólnego. To całkowicie pani sprawa. Zapłaci pani za choinki... i za prezenty z własnej kieszeni. Zorganizuje pani to wszystko, ale może pani skorzystać z pomocy innych pielęgniarek,

197

jeśli wyrażą zgodę. Wszystko jest w pani rękach. Będzie to albo pani zasługa, albo wina.

- Och, dziękuję! - zawołałam.

Machnęła ręką i znów zauważyłam to samo skrzywienie na jej twarzy. Wyobraziłam sobie, że popatrzyła na mnie z czymś w rodzaju sympatii. Ogarnęła mnie wielka radość.

Poszłam na poszukiwania Henrietty, którą bardzo podniecił mój pomysł. Zaplanowałyśmy, jak to wszystko zorganizujemy. Najpierw odnajdziemy Klauza Domokrążcę. Jarmark nadal trwał i handlarz miał tam swój kram. Pójdziemy następnego dnia i powiemy drwalowi, żeby przygotował dwie choinki - największe i najładniejsze, jakie znajdzie. Może je ściąć na tydzień przed Bożym Narodzeniem, żeby były ładne i świeże.

- Ale najpierw - oświadczyłam - musimy odszukać Klause. Jutro wybierzemy się na jarmark. Zdumiała nas reakcja innych pielęgniarek. Większość z nich chciała nam pomóc i tylko kilka starszych uznało, że w radości jest coś grzesznego. Zawsze znalazło się parę, które gotowe były nas zastąpić, więc zyskałyśmy trochę wolnego czasu na przygotowania do świąt. Pacjentom powiedziano, że w tym wielkim dniu w szpitalu będzie choinka. Z radością zauważyłam, że wielu z nich ucieszyła taka perspektywa i że z niecierpliwością wyglądali Bożego Narodzenia. Ci, którzy czuli się lepiej, rozmawiali o nadchodzącej uroczystości; tylko bardzo chorzy pozostali całkowicie obojętni.

Byłam pewna, że odnajdziemy Klause. Jarmark miał się skończyć 30 listopada, więc musieliśmy się pośpieszyć.

Jarmark odbywał się na polach w pobliżu miasteczka. Kiedy Henrietta i ja szłyśmy tam, usłyszałyśmy dźwięki skrzypiec. Pomalowane na jaskrawoniebiesko i na czerwono kramy ostro odcinały się na tle drzew. Gdy podeszłyśmy bliżej, zobaczyłyśmy młode dziewczyny w miejscowych strojach - w spiczastych czepkach i kloszowych spódnicach, spod których wystawały liczne białe, koronkowe halki. Mężczyźni nosili skórzane spodnie i trójkątne kapelusze z piórami. Uznałam, że tutejsi ludzie sprawiają wrażenie bardzo wesółych. Na środku pola grupa młodzieży tańczyła przy dźwiękach skrzypiec. Pomyślałam, że mogłabym zaprosić muzykantów do szpitala, by zagrali dla pacjentów. Stałyśmy i patrzyłyśmy przez jakiś czas, wrzuciłyśmy kilka monet do pudełka, które postawiono na bruku, żeby przechodnie mogli wyrazić w ten sposób swoje uznanie grajkom.

198

Przeszłyśmy między kramami, na których wyłożono towary; były tam wyroby rymarskie, buty, trzewiki, suknie, a także warzywa, jajka, sery, drobiazgi na podarki, tkaniny i ozdoby wszelkiego rodzaju.

Zapytałam o Klause Domokrażęc i skierowano nas do jego straganu.

Był tam, stał na drewnianej skrzynce, przemawiając do przechodniów, pochlebiając kobietom w jednej chwili, a w następnej mówiąc im, że głupio postąpiły, gdyż nie poznały się na wartości rzeczy, które miał na sprzedaż.

- Jedyna szansa w życiu! - krzyczał. - Chodźcie tu, panie! O czym myślicie? Chcecie przepuścić taką sposobność? A dla pani, ślicznotko, ładna sztuka aksamitu na suknię... miękkiego, lgnącego do ciała. Należy ci się, z taką figurą jak twoja. Tak, tobie, pani. Oczarował tę kobietę. Gładziła dłońią aksamit. A potem zauważył nas.

- Witam panie. Zapraszam na zakupy! Angielskie damy. O, one znają się na dobrym towarze, kiedy go widzą.

- Niech pan się zajmie tą damą, panie Klaus - oświadczyłam. - A potem chcemy z panem porozmawiać.

Sprzedął sztukę materiału na suknię, po czym odwrócił się do nas.

- Chcemy poradzić się pana w sprawie zabawek, którymi chciałybyśmy ozdobić choinki - wyjaśniłam.

- Przyszłyście do właściwego człowieka, moje ślicznotki. Klaus ma wszystko, czego panie zapragną. Proszę tylko popatrzeć. Czego panie szukają? Wystarczy szepnąć, a powiem paniom. Jeżeli Klaus akurat czegoś nie ma, zdobędzie to na pewno.

- To dla szpitala - powiedziałam. Obrzucił mnie podejrzliwym spojrzeniem.

- Chcą panie za darmo? - spytał.

- Nie, nie. Zapłacimy za wszystko. Chcemy około stu skromnych podarunków.

- Stu! - zawołał. - To świetny interes. Pomówimy o tym, ale nie tu, na ulicy. Nie, o tym rozmawia się przy stole. Tak się załatwia duże interesy.

Przyłożył dwa palce do nosa, jak przypuszczam, na znak porozumienia między dwoma inteligentnymi partnerami, którzy ubili dobry interes.

- Chodź tu, Jacobie! - zawołał. Jakiś młodzieniec, prawie chłopiec, przybiegł szybko. - Zajmij się kramem. Idę pogadać o interesach.

199

Zaprowadził nas na drugą stronę targowiska do splechotka zieleni przed karczmą. Przy ciepłej pogodzie na pewno stały tu stoliki, ale ów Biergarten nie był używany w zimie. Weszliśmy do środka i Klaus zamówił piwo. Przyniesiono je w kufiach. Handlarz oparł łokcie na stole, patrząc na nas.

Opowiedziałam mu pokrótce o naszych planach. Zaproponował dla kobiet ładne chustki na głowę, każda w innym kolorze, wyszywane w różne wzory; paciorki, kolczyki, kolorowe ładne miseczki, obrazki przedstawiające las w lecie i w zimie pod śniegiem; małe figurki zonglerów z dzwoneczkami przy kostkach, wachlarze. Dla mężczyzn chustki do nosa, duże układanki... Powiedział, że jeszcze pomyśli o innych upominkach.

- Widzę, że rozumie pan, o co nam chodzi - ucieszyłam się. - Musimy je mieć na dobre dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem.

- To nic trudnego - oświadczył Klaus. - Przywiozę te drobiazgi następnym razem. Wszystkie będą gotowe dla pań.

- Czy możemy panu zaufać? - spytała Henrietta. Spojrzał na nas z wyrzutem.

- Oczywiście, że mogą panie zaufać Klausowi. Jeśli mówię, że coś przywiozę, to pewne jak w banku. Jak inaczej mógłbym prowadzić interesy? Bywam w tym miasteczku dwa razy w miesiącu. Nigdy nikogo nie zawiodłem. Jeżeli obiecuję, że coś dostarczę, to dostarczam.

- Jestem pewna, że dotrzyma pan słowa. Przecież pan wie, jak ci biedni chorzy w szpitalu cenią sobie każdą chwilę radości. Jeżeli pan nie przybędzie z upominkami, pacjentów spotka przykry zawód. Już zamówiliśmy choinki. Zdaje pan sobie sprawę, jakie to ważne - powiedziałam.

- Daję paniom moje słowo. A teraz porachujmy. Ilu jest mężczyzn? Ile kobiet? Obliczmy to, dobrze?

Tak więc siedziałyśmy, pijąc piwo i śmiejąc się do Klausu, który był wyraźnie zachwycony takim dużym zamówieniem, ale nieco obawiał się o zapłatę, póki go nie zapewniłam, że Henrietta i ja pokryjemy całą należność.

- Panie muszą mi wybaczyć, że wspominałam o czymś tak przyziemnym jak pieniądze, ale jestem biednym człowiekiem, który musi na siebie zarobić.

- To oczywiście, że musimy porozmawiać o zapłacie - zgodziłam się. - Czy chciałby pan otrzymać zadatek?

- Mein Gott! - zawołał. - To wielka przyjemność robić interesy z takimi damami. Niech panie będą pewne, że otrzymają wasze gościńce punktualnie, a gdyby nie fakt, że zajmują panie tak wysoką pozycję w społeczeństwie,

200

zakochałbym się bez pamięci w was obu.

Zdałyśmy sobie sprawę z tego, że straciłyśmy zbyt dużo czasu na jarmarku, ale osiągnęłyśmy nasz cel. Dałyśmy Klausowi zaliczkę, a on powtórzył, że dostarczy zamówione rzeczy.

Po powrocie do szpitala okazało się, że przełożona pytała o nas i że mamy zaraz do niej pójść. Henrietta się skrzywiła.

- Na pewno powie nam, że marnujemy na to za dużo czasu. Zobaczymy. Jestem pewna, że tak naprawdę nie podoba jej się twój pomysł i ma nadzieję, że się nie uda.

- Myślę, że nie - odrzekłam. - Jeśli przekona się, że to rzeczywiście dobrze wpływa na pacjentów, będzie zadowolona.

- No cóż, zastanawiam się, czego teraz od nas chce - mruknęła Henrietta.

- Lepiej więc chodźmy zaraz i przekonajmy się o tym. Przełożona diakonis siedziała za biurkiem, Powitała nas skinieniem głowy i poprosiła, żebyśmy usiadły.

- Od czasu do czasu nasz szpital odwiedzają goście - zaczęła tłumaczyć. - Są to ważne osobistości, głównie lekarze. W następnym tygodniu przybędzie do nas taki gość - bardzo poważany, jak wszyscy, którzy do nas przyjeżdżają. To pewien lekarz z Anglii. Niewiele z nas zna język angielski i często okazywało się to przeszkodą nie do pokonania. Pragnę, żeby obie panie porozmawiały z owym gościem i udzieliły mu wszelkich wyjaśnień, jeśli jest to w waszej mocy. Jak wiecie, mój angielski nie jest bez wad. Spodziewam się, że okażecie się tak pomocne doktorowi Fenwickowi, jak to tylko będzie możliwe.

- Bardzo chętnie - odrzekłam.

- Sprawi to nam wielką przyjemność - dodała Henrietta.

- Myślę, że spędzi tu kilka tygodni. Tak zwykle się dzieje. Przygotujemy dla niego pokój. Proszę, niech panie tego dopilnują. Możliwe, że wiedzą panie lepiej niż my, czego będzie oczekiwał; a kiedy przyjedzie, panie go powitają.

Powtórzyłyśmy, że będzie nam bardzo miło. Przełożona podziękowała nam, a kiedy już wyszłyśmy, Henrietta spojrzała na mnie roześmiana.

- A to ci niespodzianka! - powiedziała. Figlarne ogniki zabłyły w jej oczach. - Jakie to podniecające! Zobaczymy pewnego Anglika. I to takiego, którego wysoko się ceni! Wyobraź sobie! Męskie towarzystwo na pewno nam nie zaszkodzi.

- Przecież masz doktora Brucknera i doktora Kratza.

201

Wzruszyła ramionami.

- Możesz ich sobie zatrzymać.

- Dziękuję, ale nie. Jesteś bardzo impulsywna, Henrietto. Poczekaj jednak i najpierw przekonaj się, jaki jest ów doktor Fenwick, zanim uczynisz go bohaterem ze swoich marzeń.

- Przeczuwam, że będzie przystojny, czarujący, słowem, właśnie taki, jakiego potrzebuję, by urozmaicił moje życie.

- Zobaczymy - odparłam lakonicznie.

Klaus dotrzymał słowa i dostarczył to, co nazywał „gościńcami”, w odpowiednim czasie. Byłyśmy bardzo zadowolone z tej transakcji.

Zajęłyśmy się wypisywaniem bilecików. Na tydzień przed świętami Bożego Narodzenia w sali szpitalnej ustawiono choinki, które ozdobiłyśmy świeczkami. Położono pod nimi upominki i wśród chorych zapanował wielki entuzjazm. Nie wątpiłam, że nasz pomysł okaże się udany i przyniesie chorym radość.

A potem przyjechał doktor Charles Fenwick.

Przecucia Henrietty sprawdziły się co do joty. Jeśli nie był naprawdę przystojny, to miał miły wygląd i na pewno dużo wdzięku. Musiał liczyć około trzydziestu lat, a jego poważne zachowanie wskazywało, że jest oddany swojej pracy. Kiedy Henrietta i ja powitałyśmy go po angielsku, ucieszył się, że spotkał w Kaiserwaldzie rodaczki, i natychmiast się zaprzyjaźniliśmy.

Henrietta oświadczyła, że to wspaniale móc porozmawiać z kimś po angielsku, a kiedy uniosłam brwi, dodała:

- Miałam na myśli mężczyzn.

Zadał nam mnóstwo pytań na wszystkie tematy i uznał nasz plan świętowania Bożego Narodzenia za znakomity. Spędzał wiele czasu z doktorem Brucknerem oraz z doktorem Kratzem i codziennie towarzyszył im w obchodzie. Chciał poznać szczegółowo każdy przypadek i wszyscy trzej wymieniali poglądy; widać było, że doktor Fenwick żywi wielki szacunek dla metod leczenia stosowanych w Kaiserwaldzie.

Raz czy dwa udał się z nami na spacer po lesie. Uważał otoczenie za czarujące i powiedział, że żałuje, iż jego wizyta nie będzie długa. Mógł zostać najwyżej sześć tygodni.

Uśmiechnął się do nas obu, jakby dając do zrozumienia, że będziemy jednym z powodów - może najważniejszym - owego żalu.

Wtedy wyjaśniłam mu, że my same wyjedziemy stąd za miesiąc lub coś koło tego.

Pozwolono nam spędzić tu trzy miesiące i termin odjazdu jest już bliski. Udzielono nam tego pozwolenia tylko ze względu na powiązania Henrietty z panną Nightingale.

202

- Zdaję sobie sprawę - odrzekł doktor Fenwick - że diakonisy nie spodziewały się, iż takie damy jak panie mogą się do czegoś przydać. Jak bardzo się pomyliły! Przypuszczam, że żadna z pań nigdy przedtem nie zetknęła się z pielęgniarstwem.

- Żadna - przytaknęłam.

- Ale Anna ma predyspozycje do tej pracy - wtrąciła Henrietta.

- Nawet przełożona to zauważyła i pochwaliła ją, choć niechętnie.

- Ja dostrzegłem to od razu - odpowiedział.

Rozmawiał z nami o przerażających warunkach panujących w szpitalach na całym świecie - ku naszemu wstydu Anglia nie była wyjątkiem - ale dodał, że na szczęście są takie miejsca jak Kaiserwald i podległe mu placówki i że podejmuje się już próby zmiany tej sytuacji.

Opowiadał o tutejszych pacjentach, omawiając z nami ich choroby, czego nigdy nie zrobili doktorzy Bruckner i Kratz, a kiedy zaczął mówić o kraju, widziałam, że niepokoi go rozwój wydarzeń na świecie.

- Czy Rosja nadal toczy wojnę z Turcją? - spytałam. - Słyszałyśmy o tym tuż przed wyjazdem z Anglii.

- To już alarmująca sytuacja - odparł. - Kiedy coś takiego się zaczyna, nigdy nie wiadomo, jak się rozwinie konflikt. Rosja od dłuższego czasu patrzyła z zazdrością na bogactwa Konstantynopola i sułtana tureckiego.

- Dzięki Bogu, że to wszystko dzieje się z dala od naszego kraju

- wtrąciła Henrietta.

Doktor Fenwick spojrział na nią z powagą.

- Z wojnami tak już jest, że uczestniczą w nich nawet ci, którzy znajdują się daleko od centrum konfliktu.

- Chyba nie sądzi pan, że my zostaniemy wplątani w tę absurdalną wojnę?

- Chciałbym temu zaprzeczyć z głębokim przekonaniem, ale nie możemy pozwolić, żeby Rosja stała się zbyt potężna. Zresztą, mamy pewne zobowiązania wobec Turków. Premier jest przeciwny tej wojnie.

- Chce pan powiedzieć, że my... Anglicy... możemy wziąć w niej udział?

- Jeżeli sytuacja tak się rozwinie, to tak. Palmerston opowiada się za wojną, a naród go popiera. Naprawdę nie podoba mi się taki bieg wypadków. Ludzie wychwalają wojnę. Dla przeciętnego człowieka z ulicy, bezpiecznego w swoim kraju, wojna to wymachiwanie sztandarami i pieśni patriotyczne. Dla biednego żołnierza wygląda to jednak trochę inaczej. To nie jest przyjemny widok... ranni... zabici...

203

- To zbyt poważna rozmowa teraz, kiedy Boże Narodzenie tuż, tuż - zaprotestowała Henrietta.

- Niech panie mi wybaczą. Poniosło mnie.

Roześmiał się i zaczęliśmy rozmawiać o bożonarodzeniowej uroczystości i czy zdołam skłonić przełożoną do przyznania się, iż miałam rację.

Ogarnął mnie jednak niepokój. Wprawdzie to wszystko działo się bardzo daleko, a my byliśmy tutaj... z Bożym Narodzeniem za pasem, w sercu gór i lasów. I te święta miały być całkowicie odmienne od wszystkich, które obchodziłyśmy w kraju.

Obudziłam się tego dnia, czując przyjemny dreszczyk podniecenia. Nie miałam czasu na rozkoszne wylegiwanie się w łóżku. Była piąta rano - czas wstawać.

Popatrzyłam na sąsiednie łóżko: Henrietta spała głęboko. Wstałam i podeszłam do niej.

Wyglądała prześlicznie z kędzierzawymi włosami rozrzuconymi na poduszce - tak niewinnie, prawie dziecinnie. Zalała mnie fala czułości, kiedy pomyślałam o wszystkich trudach, jakie zniosła. Jak bardzo jej obecne życie różniło się od tego, które mogłaby wieść jako żona lorda Carltona! A przecież zdawała się niczego nie żałować. Dużo mówiła o swobodzie.

Oczywiście bardzo dobrze ją rozumiałam. Sama tak ceniłam możliwość decydowania o sobie.

- Obudź się - powiedziałam. - I wesołych świąt! Powoli otworzyła oczy i spojrzała na mnie.

- Och, zostaw mnie w spokoju - jęknęła. - Miałam taki piękny sen. Byłam w lesie i ścigał mnie stary, zły troll. Przystojny rycerz przejeżdżał obok i właśnie miał mnie uratować.

Zgadnij, kto to był?

- Czy to mógł być doktor Charles Fenwick? Pokręciła głową.

- Był to ktoś nie tak przewidywalny... i naprawdę znacznie bardziej ekscytujący. Na twarzy nosił maskę, a kiedy ją zdjął, okazało się, że ma czarne włosy, czarne oczy, że jest niegodziwy do szpiku kości... krótko mówiąc, to nasz Doktor Demon. Poczułam złość, że mnie obudziłaś właśnie w tej chwili. Chciałam wiedzieć, co się później stanie. Wiesz, Anno, w ostatnich tygodniach rzadko wspominałyśmy o naszym planie. Wydaje mi się, że nie myślałaś o niczym innym, tylko o naszych bożonarodzeniowych choinkach.

- Zaplanowanie tego wszystkiego wymagało czasu, a mamy przecież inne, bardziej żmudne obowiązki.

- Och, czemu nie pozwoliłaś mi zostać w lesie z Demonem?

- Wstawaj. Spóźnimy się na śniadanie.

Cóż to był za dzień! Na zawsze wrył mi się w pamięć.

204

To zadziwiające, jak bardzo choinki zmieniły salę szpitalną. Pacjenci, którzy czuli się dość dobrze, rozmawiali z podnieceniem i niecierpliwie oczekiwali nadejścia Bożego Narodzenia. A teraz... było Boże Narodzenie! Pomyślałam o uroczystościach świątecznych w Indiach, kiedy angielska społeczność usilnie starała się obchodzić to, co nazywali angielskim Bożym Narodzeniem. Ale jak mogli to zrobić? Nigdy im się nie udawało. Tradycyjne święta Bożego Narodzenia poznałam dopiero na plebanii w Humberston, kiedy dzieci szły do kościoła, a kolędnicy z latarniami zatrzymywali się przed bramami, śpiewając tradycyjne kolędy, może niemelodyjnie, ale wtedy to nie miało znaczenia; i pieśni, którymi mali chłopcy z chóru sławili niewinnymi, czystymi głosikami narodziny Chrystusa, jeszcze nie rozumiejąc doniosłości owego wydarzenia, przez co ich śpiew wydawał się bardziej wzruszający. Geś... i przynoszony uroczyście na stół bożonarodzeniowy pudding z płonąca brandy. I domowe wino ciotki Grace, i nabożeństwa w kościele. Takie święta Bożego Narodzenia zapamiętałam; a także Boże Narodzenie w Minster, gdy zdawałam sobie sprawę, że Aubrey i ja coraz bardziej się od siebie oddalamy; Boże Narodzenie z Julianem - z kołyską, którą kazałam ustawić w pokoju dziecinnym, i z figurką dzieciątka Jezus, którą należało włożyć do kołyski mojemu synkowi w dzień Bożego Narodzenia. Wtedy powtarzałam sobie, że w przyszłym roku malec zrozumie, o co w tym wszystkim chodzi. Ale ów przyszły rok już nigdy nie miał dla niego nadejść.

Boże Narodzenie to czas wspomnień i czułam, że święta w Kaiserwaldzie na zawsze zachowam w pamięci.



Pacjenci byli tak przejęci upominkami, jak tego oczekiwałam. Doktor Fenwick wybierał numerki; Henrietta wybierała nazwiska; a ja odnajdywałam prezent i dawałam osobie, dla której był przeznaczony.

Zdumiewające, jak wiele przyjemności sprawiły chorym te drobne upominki. Nie chodziło o chustkę, wachlarz lub dzbanuszek czy paciorki; tylko o nastrój Bożego Narodzenia; sam fakt, że ten dzień tak bardzo różnił się od innych.

Rozdawanie prezentów nastąpiło po posiłku południowym, a potem urządziliśmy mały koncert - jeśli nie jest to zbyt pompatyczne określenie. Jedna z pielęgniarek zagrała na flecie, a doktor Kratz dał występ na skrzypcach. Henrietta, która miała ładny głos, zaśpiewała. Patrząc na nią, bardzo się wzruszyłam. Śpiewała różne pieśni -angielskie, których słuchacze nie mogli zrozumieć, ale które im się spodobały. Występ był całkowicie spontaniczny, a Henrietta miała duży repertuar.

205

Po „Wikarym z Bray” zaśpiewała „Annie Laurie”, „Przybądź”, „Dziewczęta i chłopcy”, a następnie „Pewnego dnia wczesnym rankiem”. Tak żywo przekazała wylewność angielskich wieśniaków, że chociaż pacjenci nie mogli zrozumieć słów, pojęli uczucia, wyrażane śpiewem. Kiedy rozpuściła kędzierzawe włosy, które zwykle wiązała na czas pracy w szpitalu, wyglądała przepięknie.

Zauważyłam, że doktor Fenwick przyglądał się jej, gdy śpiewała, i pomyślałam, że chyba się w niej kocha.

Wydało mi się zupełnie naturalne, że jakiś mężczyzna zakochał się w Henriecie.

Bożonarodzeniowa uroczystość była - i nikt nie mógł temu zaprzeczyć - wielkim sukcesem. Z uczciwością, charakteryzującą ludzi o silnym charakterze, przełożona nie próbowała tego kwestionować. Inne diakonisy mogły zganić rezultat naszych wysiłków, uważając, że niektórzy z pacjentów zbyt się zmęczeni lub że urządzona przez nas uroczystość odebrała spokój tym, którzy byli bardzo chorzy, ale tak się nie stało. Korzyści znacznie przewyższyły wszelkie minusy.

Przełożona wezwała Henriettę i mnie do swojego gabinetu i powiedziała:

- Świetnie się panie spisały. Lekarze mogli to tylko pochwalić. Obie panie bardzo ciężko się napracowały i nie zaniedbały innych swoich obowiązków.

- Któżby w to uwierzył?! - zawołała Henrietta, kiedy wyszłyśmy z gabinetu. - Wiesz, myślę, że omal się nie uśmiechnęła. Nie mogła w pełni dokonać tak wspaniałego wyczynu, ale zauważyłam pierwsze jego oznaki.

- W każdym razie przyznała, że odniosłyśmy sukces - zauważyłam.

- Musiała. To było całkiem jasne, prawda? - spytała. Żyłyśmy w blasku tego sukcesu przez kilka dni, a potem nadszedł Nowy Rok.

- Już niedługo wyjeżdżamy - przypomniałam Henriecie.

- Będziesz tego żałowała? - zapytała.

- Nie sądzę. Wprawdzie to bardzo interesujące przeżycie - odrzekłam - i czuję, że dużo się nauczyłam, zdobyłam nowe doświadczenia... i to było cudowne, ale nie powinnam spędzić tutaj całego życia, nie uważasz?

- Bez doktora Fenwicka będzie tu dość nudno - zauważyła. Spojrzałam na nią ostro.

- Czyż nie tak? - spytała.

206

- Oczywiście.

- On jest jak tchnienie ojczyzny - ciągnęła. - Miło jest mieć w pobliżu kogoś, kto rozumie nasze żarty... kogoś, z kim można normalnie porozmawiać. Wiesz, co mam na myśli.

- Tak - odrzekłam.

- On bardzo cię podziwia.  
- Myślę, że ciebie również. Wzruszyła ramionami.  
- On naprawdę uważa, że masz w sobie coś niezwykłego. Mówi, że nie powinnaś wykonywać takiej mozolnej pracy jako pielęgniarka. Powinnaś kierować, organizować... Och, tak, wywarłaś na nim wielkie wrażenie, Anno.  
- Myślę, że ty również - podkreśliłam.  
- Dwie Angielki, najwidoczniej przyzwyczajone do wygodnego życia, przyjechały do takiego miejsca jak to. Oczywiście nie powiedziałam mu, że to część pewnego wielkiego planu i że jesteśmy psami policyjnymi w przebraniu pielęgniarek, tropiącymi pewnego potwora.  
- Cieszę się, że tego nie zrobiłaś - odpowiedziałam z ulgą. -Uznałby nas za wariatki. Roześmiała się i zapytałam się w duchu, czy nie odwzajemnia uczuć doktora Fenwicka. Było zimno i śnieg ubielił góry. Powiedziano nam, że później może spaść go więcej. W Kaiserwaldzie przygotowywano się do zimy jak do obłężenia. Jedna z pielęgniarek wyjaśniła nam, że pewnego ranka po przebudzeniu możemy zobaczyć, iż jesteśmy odcięci od świata. W zeszłym roku przez trzy tygodnie nie można było dostać się do wioski. Musieliśmy być przygotowani na taki atak zimy.  
Henrietta i ja miałyśmy wyjechać w lutym. Wiedziałam, że będę tęskniła za Kaiserwaldem, ale chciałam opuścić to miejsce. Nie wątpiłam, że zmiana otoczenia i świadomość, że zrobiłam kilka kroków w kierunku realizacji mojego celu, zagłuszyły dręczący mnie smutek. Nadal jednak tkwił w moim sercu, w każdej chwili gotów je opanować.  
Charles Fenwick powiedział, że jeśli się zgodzimy, zorganizuje wszystko tak, by mógł powrócić do Anglii razem z nami. Henriettę zachwycił ten pomysł.  
- Czy to znaczy, że będziemy musiały pozostać tu dłużej? - spytałam.  
- Może trochę, ale rozmawiałem już z przełożoną i wyraziła zgodę. Uważa, że powinny panie mieć męską opiekę i że byłoby niewłaściwe, gdyby panie podróżowały same po Europie.  
- Przyjechałyśmy tu same.

207

- Tak, ale trochę to ją zaszokowało. Chętnie też pozwoli mi tu zostać aż do waszego wyjazdu, który, jak mi wiadomo, planujecie na początek lutego.  
I tak postanowiłyśmy postąpić.  
Dni spędzone w szpitalu nabrały nowej wartości, ponieważ były policzone. Delektowałyśmy się każdym z nich. Ja udowodniłam bez żadnych wątpliwości, że mam talent do pielęgniarstwa; uznała to nawet przełożona diakonis i traktowała mnie z szacunkiem, którego nie okazywała Henriecie ani nawet żadnej ze swoich wykwalifikowanych podwładnych. Odbyłam kilka rozmów z doktorem Fenwickiem - w rzeczywistości zdawał się rozmawiać ze mną częściej niż z Henriettą. Ze mną dyskutował o chorobach pacjentów i o najlepszych sposobach leczenia ich; powiedział, że czuje się przygnębiony, nie znając przyczyn wielu chorób, i że niepokoi go fakt, iż musi pracować w ciemno, często eksperymentując, gdyż nie ma wyjścia.  
- Ale musimy je poznać - oświadczył. - Cóż innego możemy zrobić? Przypuszczamy, że pewna metoda może być lekarstwem, ale jak mamy zdobyć pewność, póki jej nie wypróbujemy?  
Rozmawiał też ze mną o sytuacji politycznej.  
- Mogę tylko mieć nadzieję, że nie wplączemy się w tę wojnę. Ludzie nie mają pojęcia o jej okropnościach... o żołnierzach na polu bitwy w jakimś obcym kraju, bez szpitali, bez opieki medycznej, lekarzy i pielęgniarek...  
- Zauważyłam to w jednym z londyńskich szpitali. To było przerażające przeżycie - powiedziałam.  
- W takim razie może pani sobie wyobrazić coś tysiąckrotnie gorszego - odparł.

- Ludzie muszą znaleźć jakiś sposób, by zmienić obecny stan rzeczy.  
Spojrzał na mnie z takim podziwem, jaki dostrzegłam w jego oczach, kiedy patrzył na Henriettę śpiewającą pieśń „Pewnego dnia wczesnym rankiem”.  
-Coś na pewno ulegnie zmianie. Dobrze jest wiedzieć, że na świecie są takie kobiety jak pani  
- oświadczył.  
- Pan zbyt wysoko mnie ceni - powiedziałam.  
- Nie sądzę - odrzekł.  
Jego słowa sprawiły mi przyjemność; Henrietta przyłączyła się do nas i zaczęliśmy ŻartOWać.  
Był koniec stycznia, ociepliło się trochę i śnieg stopniał. Włożyłam ciepłe buty i wybrałam się na spacer po lesie. Henrietta pracowała, więc byłam sama.

208

Doszłam do chaty Frau Leiben. Zadawałam sobie w duchu pytanie, gdzie też może być Gerda w taki dzień. Kiedy mijałam ten mały domek, drzwi się otworzyły i ktoś zawołał mnie po nazwisku. Rozpoznałam głos Frau Leiben.  
-Fraulein... Fraulein Pleydell. Proszę przyjść... przyjść tutaj... szybko.  
Pośpiesznie weszłam do chaty. Staruszka zaprowadziła mnie do izby z łóżkiem. Leżała na nim Gerda, wijąc się z bólu.  
- Proszę... nam... pomóc - wyjąkała jej babka. Podeszłam do dziewczyny.  
- Gerdo? - spytałam. - Co ci jest? Gdzie cię boli? Nie odpowiedziała i nadal jęczała.  
Odwróciłam się do Frau Leiben.  
- Niech pani zaraz pójdzie do szpitala. Proszę powiedzieć któremuś z lekarzy, że musi natychmiast się tu zjawić.  
Babka Gerdy pośpiesznie włożyła buty i płaszcz i wyszła. Wyglądała na bardzo przestraszoną - i ja również się przeraziłam, kiedy przyjrzałam się dziewczynie, gdyż zdałam sobie sprawę, że rzeczywiście jest bardzo chora.  
Położyłam rękę na jej czole; było bardzo gorące.  
- Gerdo - powiedziałam. - Znasz mnie. Jestem tutaj i zajmę się tobą.  
Moje słowa nieco ją uspokoiły. Nie odrywałam ręki od jej czoła.  
Ale po kilku minutach znów krzyczała z bólu.  
Nigdy czas nie mijał tak powoli. Wydawało mi się, że upłynęło wiele godzin, zanim przyszedł doktor Fenwick. Rzucił tylko okiem na Gerdę i powiedział do mnie:  
- Niech pani wraca do szpitala i zorganizuje jakiś środek transportu. Chcę, żeby szybko tam się znalazła.  
Pobiegłam co sił w nogach.  
I tak przewieziono Gerdę do Kaiserwaldu. Otrzymała mały pokój - wprawdzie niewiele większy od celi - ale nie musiała leżeć w ogólnej sali z innymi pacjentami.  
Doktor Bruckner zajął się nią wraz z Charlesem Fenwickiem. Posłali też po jedną z pielęgniarek. Poczułam się nieco urażona, że to nie ja nią byłam. Czułam, że mogłabym uśmierzyć ból Gerdy. Znała mnie i nie wątpię, że mi ufała. Trudno mi było wrócić do pracy, gdyż nie wiedziałam, co się dzieje z dziewczyną.  
Było już późno. Nie mogłam zasnąć. Postanowiłam, że spróbuję się czegoś dowiedzieć.  
Podkrađłam się do pokoiku, w którym leżała chora. Panowała tam głęboka cisza i ogarnął mnie okropny strach.

209

Drzwi pokoiku otworzyły się i wyszedł z nich Charles Fenwick. Utkwił we mnie oczy.  
- Panna Pleydell! - powiedział zaskoczony.  
- Niepokoiłam się o Gerdę - wyjaśniłam.

- Czuje się trochę lepiej.
- Dzięki Bogu! - westchnęłam.
- Będzie żyła, chociaż jej życie wisi na włosku - dodał.
- Mogę ją zobaczyć? - pytałam dalej.
- Lepiej nie. Niech pani zaczeka do jutra. Jest bardzo osłabiona.
- Co jej się stało? - zapytałam.

Patrzył na mnie przez chwilę, ale nie odpowiedział na moje pytanie.

- Powinna pani pójść do łóżka - odezwał się w końcu. - Musi pani rano wstać. - Położył mi rękę na ramieniu. - Nic jej nie będzie. Ma silny organizm. Porozmawiamy jutro rano.

Dobranoc, panno Pleydell.

Nie mogłam nic zrobić, musiałam wrócić do łóżka.

Następnego ranka poszłam do pokoiku Gerdy. Otworzyłam drzwi i zajrzałam do środka.

Dziewczyna leżała na łóżku, rozpuszczone jasne włosy okalały jej twarz. Była bardzo blada i wyglądała jak nieżywa.

Obok niej siedziała jakaś pielęgniarka.

Powiedziałam Guten Morgen i zapytałam o pacjentkę.

- Miała spokojną noc - brzmiała odpowiedź.

Po południu Charles Fenwick przyszedł do mnie i zapytał, czy wraz z Henriettą wybieramy się na spacer po lesie. Kiedy przytaknęłam, spytał, czy może nam towarzyszyć.

Kiedy szliśmy pod drzewami, zapytałam o Gerdę.

- Czy ona rzeczywiście wyzdrowiała?
- Myślę, że minie kilka tygodni, zanim wróci do sił. Omal się nie zabiła.
- Zabiła się?! - zawołałam.
- Oczywiście miała współniczkę - ciągnął.
- Co chce pan przez to powiedzieć? - zapytała Henrietta.
- Gerda była w ciąży. Właśnie ją usunęła - wyjaśnił.
- Co takiego?! - wykrzyknęłam. - To niemożliwe!
- Jest na to za młoda - oświadczyła Henrietta.
- Była dostatecznie dojrzała - odparł Charles.
- Gerda? Nie. Nie mogę w to uwierzyć!
- Ta dziewczyna wie znacznie więcej, niż pani przypuszcza. Najpierw zachodzi w ciążę, a potem próbuje ją usunąć.

210

- Co przypuszczalnie jej się udało - powiedziała Henrietta.

- I sama omal się przy tym nie zabiła - dodał Charles.

- Nadal nie mogę w to uwierzyć - wyszeptalam.

- Wszystko o tym świadczy - zapewnił mnie.

- Ale kto?...

- Zawsze znajdują się mężczyźni, którzy wykorzystaliby taką dziewczynę.

Przypomniałam sobie niejasno strzępy pewnej rozmowy z Gerdą. Co powiedziała o spotkaniu diabła w lesie? Co miała na myśli? O kogo jej chodziło?

- Biedne, niewinne dziecko - powiedziałam.

- Nie takie niewinne - poprawił mnie Charles. - Wiedziała, o co w tym wszystkim chodzi, kiedy postanowiła pozbyć się dziecka.

- Ale skąd taka dziewczyna zdobyłaby środki do?...

- Na pewno zażyła coś, co dał jej kochanek.

- To straszne. Czy wie pan, kto to mógł być? - zapytałam z przygnębieniem.

Pokręcił głową.

- Ktoś, kto coś wiedział o tych sprawach.

- Niepełna wiedza może być niebezpieczna. Rozmawiał pan z Gerdą?
- Nie. Jest zbyt chora. Dziękuję tylko losowi za to, że przynieśliśmy ją tutaj na czas. Ale gdyby nie pani, panno Pleydell... no cóż, dziewczyna by umarła.
- Tak się cieszę, że przeszłam wczoraj obok ich chaty. Dlaczego Frau Leiben wcześniej nie wezwała pomocy?
- Prawdopodobnie wiedziała, co się dzieje, i uważała, że sama sobie poradzi.
- Chce pan powiedzieć, że to babka dała Gerdzie ów środek? - spytałam z niedowierzaniem.
- Nigdy nic nie wiadomo. Mogę tylko pani powiedzieć, że dziewczyna spodziewała się dziecka i że przyjęła coś, co miało usunąć ciążę... i podziałało tak... chociaż jednocześnie omal jej samej nie zabiło.
- To okropne - szepnęłam.
- Ostrzegę ją przed przyjmowaniem takich specyfików. Nigdy więcej nie może tego zrobić.
- No cóż, ale ów lek podziałał - zauważyła Henrietta w zamyśleniu. - Tak właśnie powie Gerda.
- Musi pani ją przekonać, żeby nigdy więcej tego nie robiła - zwrócił się do mnie Charles.
- Jej własne cierpienia zrobią to lepiej niż jakiegokolwiek namowy - odparłam.

211

- To prawda - zgodził się ze mną. - Ale w ogóle nie powinna była tego robić.
- Nigdy nie powinna była dać wiary namowom ukochanego - dodała Henrietta. - Lecz ludzie są tylko ludźmi.
- Chciałbym się dowiedzieć, skąd dostała ów środek. Pewnie od jakiejś znachorki. Powinno się ją zdemaskować i położyć kres takim praktykom.
- No cóż, może i lepiej się stało - rzuciła Henrietta.
- Nie chciałbym się wypowiadać - odrzekł Charles. - I pragnąłbym znacznie więcej dowiedzieć się o tym przypadku. Po pierwsze, kim jest łajdak, który wykorzystał niewinną dziewczynę, a po drugie, kto dał jej ten okropny specyfik. Chcę ją zatrzymać na obserwacji dzień lub dwa, zanim wróci do przytomności.
- Uważa pan, że teraz nie jest przytomna? - spytałam.
- Nie. Jest oszołomiona - wyjaśnił.
- Nigdy nie wiadomo, co naprawdę myśli Gerda - powiedziałam.
- Na pewno jest bardzo wstrząśnięta. Chciałbym zaproponować, żeby pani, panno Pleydell, powierzono opiekę nad tą dziewczyną. Nie mogłem poprosić o to wcześniej, ponieważ potrzebowaliśmy pielęgniarki znajdującej się na położnictwie. Ale uważam, że teraz to pani zajmie się nią najlepiej ze wszystkich.
- Czy zaraz mam tam pójść?
- Najpierw rozmówię się z przełożoną. Zgodziła się, żeby pani zaopiekowała się tą dziewczyną, ale przedtem muszę się z nią zobaczyć... gdy tylko wrócimy.
- Usiadłam przy łóżku Gerdy. Jaka była drobna! Odsunęłam zmierzwiłone włosy z jej wąskiego czoła, a wtedy otworzyła oczy i uśmiechnęła się do mnie.
- Jestem w Kaiserwaldzie - powiedziała.
- To prawda. Byłaś bardzo chora, ale wracasz do zdrowia. Skinęła głową i zamknęła oczy. Nadal głąskałam ją po czole.
- To przyjemne - szepnęła. - Od razu czuję się lepiej.
- Spała jakiś czas i obudziła się dopiero wtedy, gdy podałam jej kleik.
- Mam tutaj zostać? - spytała.
- Aż poczujesz się lepiej.
- Byłam chora, prawda? - Grymas wykrzywił jej twarz. Była bliska płaczu. - To bolało. Tak bardzo bolało.
- To z powodu tego, co zażyłaś, Gerdo. Skąd wzięłaś to lekarstwo?

Uśmiechnęła się tajemniczo.

- Wiedziałaś, jak podziała? - pytałam dalej.

- Miało sprawić, że poczuję się lepiej - odrzekła.

- A sprawiło ci wiele bólu.

- Poczułam się lepiej - nie ustępowała. Zaczęłam z innej beczki:

- Wspominałaś mi o diable. Spotkałaś go w lesie. Czy to ów diabeł dał ci lekarstwo?

Zmarszczyła czoło.

- Kogo spotkałaś w lesie, Gerdo? Milczała.

- Powiedziałaś mi, że to był diabeł.

Skinęła głową. Wyraz jej twarzy uległ zmianie, dziewczyna uśmiechała się teraz.

Zrozumiałam, że pomyślała o tym kimś, kto ją uwiódł.

- Kto? - szepnęłam.

- To był diabeł - odrzekła również szeptem.

- A kto dał ci lekarstwo?

Zamknęła oczy. Wyglądała bardzo źle i pomyślałam, że nie powinnam jej wypytywać.

Przypominam jej o wszystkim, co się stało, powiedziałam sobie w duchu. Dręczę ją, a przecież biedaczka tak bardzo potrzebuje spokoju. Muszę poczekać, aż wydobrzeje.

Ale jakiś wewnętrzny głos mówił mi, że nie dowiem się prawdy od Gerdy.

Gerda z każdym dniem czuła się coraz lepiej. Po dwóch tygodniach opuściła Kaiserwald i wróciła do babki. Sprawiała wrażenie bardzo drobnej, ale była jeszcze zgrabniejsza; wydawało się, że wcale nie czuje się winna i nie wie, co się stało.

Rozmawiałam z jej babką. Biedna staruszka pogrążona była w smutku. Próbowałam ją pocieszyć.

- Że też to musiało się przytrafić komuś z mojej rodziny! Nigdy nie przypuszczałam, że tego doczekam - powiedziała.

- Frau Leiben, czy ma pani pojęcie, kto... - spytałam. Pokręciła głową.

- W okolicy nie ma wielu młodzieńców. Odchodzą do miasta, kiedy są dostatecznie dorośli. Mają tu niewiele możliwości zarobkowania... a ci, którzy zostali, to porządni ludzie. Nigdy nie wykorzystaliby Gerdy.

- Przypuszczam, że nigdy nie można wiedzieć, co ludzie mogą zrobić pod wpływem nagłego impulsu. Mówiła coś o diable.

- To jeden z jej wymysłów. Zawsze miała skłonności do fantazjowania.

Czasami mówi, że widuje trolle. To wszystko z powodu bajek, które jej opowiadał Herman.

- I jeszcze to, co zażyła. Widziała pani ten środek? - spytałam.

- Nie, nigdy. Myślałam, że po prostu trochę się zmieniła. Nie miałam pojęcia, że była w trzecim miesiącu.

- To musiał być wielki szok dla pani. Lekarze naprawdę się zdenerwowali, gdyż przyjmując ten specyfik, mogła się zabić. Chcieliby wiedzieć, kto jej to dał, cokolwiek to było. Myślę, że jeśli pani kiedykolwiek się dowie, powinna pani zawiadomić szpital. Nie chcą, żeby coś takiego znów się wydarzyło.

Wyglądała na zaskoczoną.

- Och - powiedziałam szybko - nie myśleli o Gerdzie, ale o jakiejś innej dziewczynie, która mogłaby się znaleźć w podobnej sytuacji.

- Dam znać, jeśli się dowiem - obiecała. I uwierzyłam jej.

Luty był tuż, tuż. Mieliśmy wkrótce wyjechać z Kaiserwaldu. Tak bardzo przejęliśmy się chorobą Gerdy, że nie zdawaliśmy sobie sprawy, jak szybko mija czas.

Spacery po lesie nabrały teraz dla mnie nowego znaczenia. Często myślałam: wkrótce pożegnam się z tym wszystkim. Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek znów zobaczę to miejsce.

Nasz eksperyment okazał się naprawdę wart zachodu. W jakiś sposób został przerzucony most pomiędzy mną i żalem, który taił się na dnie mojego serca. Były długie okresy, kiedy tak się angażowałam w to, co się wokół mnie działo, że zapomniałam o utracie syna i ojca. Teraz mogłam uwierzyć, że jestem na dobrej drodze do nowego życia.

Charles Fenwick znalazł sposób, by mieć wolny czas w tych samych godzinach co my, i we trójkę wyruszyliśmy na spacer po lesie. Rozmawialiśmy teraz o planach powrotu do kraju. Charles powiedział, że dobrze się stało, iż zobaczył próby poprawy leczenia w Niemczech i że są one godne pochwały, chociaż oczywiście można wprowadzić wiele ulepszeń nawet tutaj w diagnostyce, jeśli nie w pielęgnowaniu chorych.

- Będzie im brakowało obu pań - oświadczył. - Na pewno były panie bardzo pożytecznym dodatkiem do zatrudnionego tu personelu.

- Pana także będzie im brakowało - odparłam.

- No cóż, Kratz i Bruckner są bardzo skuteczni... bardzo systematyczni i sumienni.

- Bardzo niemieccy - dodała Henrietta.

214

- Można tak powiedzieć. Zrobili z tego szpitala doskonałą placówkę. Pewien mój przyjaciel, który był tu niedawno, wypowiedział o nim nader przychylną opinię.

- Inny lekarz, jak przypuszczam? - zapytałam.

- Tak, wybitny specjalista. Doktor Adair.

- I szpital w Kaiserwaldzie wywarł na nim tak dobre wrażenie?

- Bardzo dobre. Chociaż był ogromnie krytycznie nastawiony. Oświadczył, że można by również tu wprowadzić pewne ulepszenia. Ale przeraża go stan szpitali na świecie.

- Może coś zdziałać? - zapytałam.

- Jestem tego pewny. To taki człowiek, który, jeśli czegoś się podejmuje, bardzo szybko osiąga rezultaty. Jest niezwykle energiczny.

- Mówi pan to tak, jakby był wzorem doskonałości - wtrąciła Henrietta.

- Nic o tym nie wiem. - Charles się roześmiał. - Pewne związane z nim plotki graniczyły ze skandalem.

- Coraz bardziej mnie interesuje! - zawołała Henrietta.

- No cóż, podobne historie zawsze krążą wokół takiego człowieka. Pojechał na Wschód... wiele podróżował... mieszkał wśród tamtejszych ludzi jak jeden z nich. Napisał kilka książek o swoich przeżyciach. Uważa, że nie powinniśmy przymykać oczu na metody stosowane przez inne narody tylko dlatego, iż są nam obce. Wierzy, że tamte ludy mogą mieć lekarstwa lub sposoby leczenia, które warto przejąć.

Serce waliło mi jak oszalałe. Usłyszałam swój głos:

- Jak się nazywa ten lekarz?

- Adair.

-Przeczytałam kiedyś książkę pióra pewnego lekarza, który właśnie tak postępował. Ale nosił inne nazwisko.

- Czy brzmiało ono Damien? -Tak.

Charles się roześmiał.

- To jego imię... imię, które otrzymał na chrzcie. Pisze pod pseudonimem Damien.

Najwyraźniej uważa, że niewygodnie byłoby posługiwać się własnym imieniem i nazwiskiem. Potrzebuje trochę anonimowości.

Popatrzyłam na Henriettę. Otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale uciszyłam ją spojrzeniem.

- I był tu niedawno? - spytałam powoli.

- O, tak. Na krótko przed przybyciem pań.  
Zakręciło mi się w głowie. Mogłyśmy go spotkać. Wyobraziłam sobie, że stoję z nim twarzą w twarz.

- Czy widuje go pan... często? - zapytałam.

215

- Na Boga, nie! On jest tu, tam i wszędzie. Zawsze realizuje jakiś projekt. To wybitny człowiek, jak już powiedziałem. Ale spotkałem go, gdy wrócił z Kaiserwaldu. Opowiadał mi o tym miejscu i oświadczył, że warto je odwiedzić. Prawdę mówiąc, zorganizował mi pobyt tutaj.

- To bardzo interesujące - powiedziałam. - Po przeczytaniu jego książek...

- Może spotka go pani pewnego dnia.

- Taką mam nadzieję - odrzekłam.

Kiedy opuścił nas, by zająć się jakimś pacjentem, Henrietta zawołała:

- Wreszcie trafiłyśmy na jego trop!

- Pomyśl tylko, mogłyśmy go spotkać.

- Chyba los nas tu przysłał. Zastanawiam się, co to za człowiek. Charles zdaje się wysoko go cenić. Czy dostrzegłaś ten gorący podziw dla owego bohatera w słowach naszego przyjaciela?

- Owszem - potwierdziłam. - Wydaje się, że Diabelski Doktor wywiera taki wpływ na pewnych ludzi. Mój szwagier Stephen mówił to samo.

- To musi być fascynujący człowiek.

- Demoniczny - zaoponowałam.

- No cóż, to nie znaczy, że nie jest fascynujący - odpowiedziała. - Taki człowiek może być... fascynujący i to bardzo. Co teraz zrobimy?

- Jeszcze nie wiem. Przynajmniej jednak dowiedziałyśmy się, kim jest. Znamy jego nazwisko. To wielki krok naprzód.

- I jesteśmy wykwalifikowanymi pielęgniarkami. Ale czy określiłabyś nas w taki sposób?

- Raczej nie, po kilku miesiącach ślania łóżek i prania pościeli.

- Kaiserwald cieszy się dobrą reputacją i teraz, kiedy pracujemy w tym zawodzie, kto wie, może gdzieś się na niego natkniemy. Musimy zrobić wszystko, by tak się stało... Czy myślisz, że Charles zamierza nam powiedzieć: „Do widzenia” i „Miło było panie spotkać”, kiedy wrócimy do kraju? Ja w to wątpię. Myślę, że mamy w nim przyjaciela. A nie zapominaj, że on jest przyjacielem naszego Doktora Demona. Zaprosimy Fenwicka do nas z wizytą. To spodoba się Jane i Polly. I powiemy, a raczej ja powiem, ponieważ przyjdzie mi to łatwiej: „Proszę przyprowadzić także pańskiego fascynującego przyjaciela. Tak bardzo interesuje nas Wschód - jak pan wie, Anna mieszkała kiedyś w Indiach”.

Kiedy otworzyły się przede mną takie perspektywy, poczułam ogromne podniecenie.

216

- A która z nas wleje mu cykuty do kieliszka? - mówiła dalej Henrietta. - Ty zrobisz to lepiej, gdyż powodują tobą silniejsze uczucia. Ja natomiast bardzo się boję, że mogłabym się w nim zakochać.

- Jesteś wstrętna - odrzekłam.

- Tak, wiem. Ale to wszystko jest fascynujące.

- Coś jeszcze przyszło mi do głowy, Henrietto.

- Powiedz mi, proszę.

- On tu był. Pamiętaj, że to szatan w ludzkim ciele. Może zobaczył Gerdę w lesie?

Powiedziała mi, że to był diabeł, prawda? Być może...

Patrzyła na mnie z przerażeniem.

- Och, nie, nie nasz wielki podróżnik, światowiec, znakomity lekarz i prosta, mała Gerda!



- Czemu nie? Mogę sobie wyobrazić, że taki mężczyzna jak on uznał ją za bardzo atrakcyjną. Przeprowadził na niej doświadczenie. Przecież zawsze eksperymentuje, prawda? I skąd zdobyła ów medykament, czy cokolwiek to było, który omal jej nie zabił? Charles powiedział, że to coś bardzo skutecznego. Jedyne ktoś, kto zna się na takich sprawach, mógł go jej dać.

Henrietta nadal patrzyła na mnie z niedowierzaniem.

- To pasuje. To coś więcej niż zbieg okoliczności. On tu był. Możesz go sobie wyobrazić, jak poznaje tutejsze metody leczenia... nęka biednego starego Brucknera i Kratza, a także stawia czoło przełożonej diakonis w jej jaskini, pytając o to i owo. Jego wyniosły, pogardliwy uśmiech. Uważam, że ten człowiek mówi płynnie po niemiecku. Tak to by wyglądało, prawda? A potem... dla relaksu przechadza się po lesie i spotyka naszą śliczną gęsiareczkę. Prostoduszną, godną pożądania, doskonały materiał doświadczalny. „Chodź ze mną, moja mała. Pokażę ci rozkosze natury”. Może uznał, że to dobry pomysł przekonać się, jakie dziecko może urodzić ta najbardziej naiwna z dziewcząt ze związku z najwybitniejszym z mężczyzn. Z drugiej strony dał jej ów środek. Może była to jedynie zwykła rozrywka kogoś, kto uważa się za boga na ziemi.

- Mnie również to wszystko przyszło na myśl. Jestem coraz bardziej przekonana, że on właśnie jest odpowiedzialny za stan Gerdy. Któż inny? Sąsiedzi Frau Leiben zbyt szanowali jej wnuczkę, by zrobić coś takiego. To mili ludzie... życzliwi, przyjaźni. Och, jakże chciałabym, żeby Gerda nam coś powiedziała.

- Przynajmniej - odrzekła Henrietta - wiemy teraz, kogo szukamy. Nie bój się, z czasem go znajdziemy. Czuję to.

- Tak - powiedziałam z mocą. - Znajdziemy go!

## Rozdział Szósty.

### Burza na morzu.

Był pogodny, niezbyt mroźny lutowy dzień, kiedy wróciliśmy do Anglii. Staliśmy na pokładzie i patrzyliśmy na zbliżające się białe klify - Henrietta z jednej strony Charlesa, ja z drugiej. Wszyscy przyznaliśmy się, że wzruszył nas trochę widok ojczystego brzegu. Doktor Fenwick nalegał, że zawiezie nas prosto do naszego domu, a stamtąd wróci do swojego w środkowej Anglii. Nie bardzo wiedział, co teraz będzie robić. Jego ojciec miał prywatną praktykę lekarską i Charles mógł się do niego przyłączyć. Myślał jednak też o wstąpieniu do wojska, gdyż uważał, że jest tam za mało lekarzy, a są bardzo potrzebni. W owym czasie przeżywał rozterki. To właśnie dlatego postanowił pojechać do Kaiserwaldu, żeby, jak wyjaśnił, dokonać właściwego wyboru.

Joe czekał z powozem na dworcu i widać było, że ucieszył się na nasz widok.

- Te dziewczyny panienki, panno Pleydell, liczyły dni - powiedział. - Co z was za służące, oświadczyłem im. Życie jak damy i tęsknicie za nimi. Tłumaczyły, że to nienaturalne, kiedy są w domu bez obu pań, którymi powinny się zajmować.

- To miłe powitanie w kraju - odrzekłam.

A kiedy już przyjechałyśmy, Jane i Polly wyglądały na wyraźnie zachwycone. Sprawiały też wrażenie lekko onieśmielonych - co mnie zdziwiło - i bardzo wzruszyło.

Później w domu zapanowała krzątanina. Na lunch miały być kotlety baranie w sosie.

- Panna Marlinton tak je lubi. I mamy też trochę ulubionego sera panienki, panno Pleydell. Jane obeszła całe miasto, by go dostać.

I to żadna tajemnica, że nigdy nie mają tego, czego potrzeba akurat wtedy, kiedy chce się to kupić.

- To trochę tak jak w życiu - skomentowałam. - To jest doktor Fenwick, który był z nami w Kaiserwaldzie.

Jane i Polly dygnęły lekko.

- Czy ten pan zostanie tutaj na lunch, panienko? -Tak.

- Dodaj jeszcze jedno nakrycie, Pol. Dobrze było wrócić do domu.

Chciałam się dowiedzieć, co słyhać u Lily, i obie dziewczyny zamieniły wymowne spojrzenia.

- Naprawdę?

- Tak, panienko... naprawdę.

- Kiedy?

- W lipcu.

- I jest zachwycona?

- Na Boga, powinna panienka zobaczyć Cliftów. Można by pomyśleć, że nikt przedtem nie miał dziecka.

Wróciłam myślą do biednej małej Gerdy, która musiała być bardzo przerażona, skoro zdecydowała się wziąć tamto złe lekarstwo. Jakże inaczej sprawy się miały z Lily!

Podano lunch z wielkim ceremoniałem. Oddanie naszej służby wywarło wrażenie na Charlesie. Powtarzał, że bardzo się cieszy, iż się spotkaliśmy w Kaiserwaldzie.

- To było najprzyjemniejsze, co mi się przytrafiło. Kiedy nas opuścił po południu, Joe zawiózł go na dworzec.

- Wkrótce znów się spotkamy - powiedział przed odjazdem nasz gość. - Będę w Londynie i odwiedzę panie, jeśli można.

- Będziemy czekały.

Podał rękę najpierw mnie, a potem Henriecie. Pomyślałam, że byłby dla niej bardzo dobrym kandydatem na męża, ale zaraz potem zastanowiłam się, czy ona pasowałaby do niego.

Bardzo się do niej przywiązałam; czasami jednak wydawała się trochę lekkomyślna i za bardzo ciekawa życia. W porównaniu z nią byłam poważną, doświadczoną kobietą. Może to cierpienie tak mnie zmieniło.

W każdym razie miałam nadzieję, że znów zobaczymy Charlesa Fenwicka.

Trudno nam było wrócić do dawnego życia. W Kaiserwaldzie miałyśmy tak dużo pracy, że korzystałyśmy z każdej wolnej chwili. Początkowo wydawało się nam wielkim luksusem, gdy mogłyśmy spać w wygodnych łóżkach, jeść śniadanie przyniesione do sypialni - Jane i Polly nalegały na to - i rozkoszować się zróżnicowanym, smacznym jedzeniem.

219

Różniło się od cienkiego rosółu i wciąż tych samych warzyw tak bardzo, jak prawdziwa herbata od napoju z żyta. Jane skomentowała to stwierdzeniem, że głodzili nas w

Kaiserwaldzie. Nigdy nie można ufać cudzoziemcom, toteż Jane i Polly zamierzały nas odkarmić i przygotowywały smakołyki, które musiałyśmy zjadać, żeby ich nie obrazić.

- Zrobicie z nas dwie tłuste damy - poskarżyła się Henrietta. Spojrzała krzywo na ręce, a ja zerknęłam na swoje - nie były już piękne. Popękały od sprzątania i ciągłego zanurzania w wodzie, a paznokcie, z którymi często miałyśmy problemy, dopiero zaczynały normalnie odrastać.

Henrietta oświadczyła, że teraz pierwszym zadaniem będzie powrót do stanu sprzed wyprawy do Kaiserwaldu, gdyż takie ręce jak nasze nigdy nie zostaną zaakceptowane w wytwornym londyńskim towarzystwie.

- Wrócimy do londyńskiego towarzystwa? - spytałam.

- Musimy być gotowe, by ścigać naszego Diabelskiego Doktora, kiedy tylko nadarzy się okazja, a mam wrażenie, że on obraca się w najwyższych sferach.

Każdego wieczoru smarowałyśmy ręce gęsim tłuszczem i spałyśmy w bawełnianych rękawiczkach.

Często myślałam o Gerdzie i płonął we mnie głuchy gniew na mężczyznę, który ją uwiódł.

Nie wątpiłam, że to był on - człowiek, który zmarnował Aubreyowi życie i nie zdołał

uratować mojego synka. I nienawidziłam go tak bardzo jak przedtem.

Po kilku dniach odwiedziła nas Lily. Promieniała z dumy i wyglądała już na przyszłą matkę.

Powiedziałyśmy jej, jak się cieszymy, a ona mówiła dużo o mającym się urodzić dziecku;

widać było, że jest bardzo zadowolona z życia młodą mężatką.

- I zawdzięczam to wszystko panience - oświadczyła. - Pomyśleć tylko, gdybym nie wpadła pod powóz panienki...

- A może zawdzięczasz swoje szczęście mężczyźnie, który oderwał niemal wszystkie guziki od kamizelki? Widzisz, Lily, że wszystko ma swoje przyczyny i skutki, które sięgają daleko w czasie.

- Przypuszczam, że panienka ma rację. Ale ja uważam, że wszystko zawdzięczam panience.

- Cieszę się, że jesteś szczęśliwa, Lily.

- Tylko jedna rzecz mnie niepokoi - powiedziała.

- A co takiego?

220

- Że może William będzie musiał nas opuścić.

- Chcesz powiedzieć, że będzie służył za granicą?

- No cóż, to nie byłoby takie złe, ponieważ udałabym się razem z nim, zabierając dziecko. Ale chodzi mi o tę całą gadaninę o wojnie.

- O wojnie? - pytałam dalej.

- Och, panienek tu nie było. Gazety rozpisywały się o tym. Coś o Rosji i Turcji i wszyscy mówili, że powinniśmy im pokazać, i domagali się powrotu lorda Palmerstona i tak dalej.

- Rozumiem.

Radość zniknęła z jej twarzy.

- Widzi panienka, William jest żołnierzem.

- Tak, oczywiście. To wielka szkoda. Mógłby pracować w sklepie swego ojca.

- Chciałabym, żeby to właśnie robił. Oczywiście, wygląda wspaniale w mundurze.

- I dlatego się w nim zakochałaś. Nie martw się, może nic z tego nie będzie. Przecież to całe zamieszanie dotyczy Rosji i Turcji.

- Tak właśnie mówi ojciec Williama. Ale gazety dużo o tym pisały i są ludzie, którzy uważają, że powinniśmy tam walczyć.

- No cóż, miejmy nadzieję, że tak się nie stanie - powiedziałam, by dodać jej otuchy.

Kiedy jednak przejrzałam gazety i przeczytałam niektóre komentarze, zrozumiałam niepokój Lily. Zdałam sobie sprawę, że w Kaiserwaldzie żyłyśmy odcięte od świata i że jesteśmy bliżej wojny, niż sobie wyobrażałam. Mocarstwa europejskie próbowały interweniować i doprowadzić do zawarcia pokoju między Rosją i Turcją, ale Rosja była zdecydowana pokonać państwo, które nazywała „chorym organizmem Europy”, to znaczy Turcję, i zamierzała zaakceptować tylko jej kapitulację. Rokowania zostały zerwane i wojna wydawała się nieunikniona.

Na ulicach Londynu wyczuwało się napięcie. Dokądkolwiek by się poszło, wszędzie mówiono o wojnie. Sądząc po nagłówkach w gazetach, wszyscy Brytyjczycy domagali się interwencji; każdego, kto był jej przeciwny, uważano za zdrajcę. Powinniśmy się wtrącić, mówiono, możemy załatwić Rosjan w jeden tydzień.

Łatwo staczać bitwy i zwyciężać przy stole w czasie obiadu, w klubach lub w każdym innym miejscu, gdzie gromadzą się ludzie, a głównym tematem rozmów jest wojna. Lord Palmerston powinien wrócić. Pokazałby Rosjanom potęgę Wielkiej Brytanii. Coś trzeba zrobić. Rosja zagraża nie tylko Turcji, lecz także nam. Polityka Aberdeena dążącego do utrzymania pokoju za wszelką cenę to prawdziwy powód nieugiętego stanowiska Rosji, utrzymywali niektórzy.

221

Gdyby Wielka Brytania pokazała, że zamierza wspomóc Turcję, Rosja nigdy by nie posunęła się tak daleko.

„Wezwijcie z powrotem Palmerstona!” - domagała się prasa.

Obwiniano królową Wiktorię, o której wiadano, że jest przeciwna wojnie, ale większość gazet oskarżała jej męża.

Tak dłużej być nie mogło.

Minęło kilka tygodni. Był marzec tamtego pamiętnego roku. Mali gazeciarze biegli ulicami, wykrzykując nowiny, a ludzie wybiegali z domów, żeby kupić gazety.

„Francja wypowiada wojnę Rosji!”.

Czy teraz Anglia będzie mogła stać z boku?

To wydarzyło się już następnego dnia. Zostaliśmy wciągnięci w ten konflikt.

Rozpoczęła się katastrofalna wojna krymska\*.

\* Lata 1853-1856.

Biedna Lily! Jej radość mieszała się z niepokojem. William otrzymał rozkaz wymarszu. Lily powtarzała dwadzieścia razy dziennie:

- Ludzie mówią, że ta wojna nie potrwa dłużej niż tydzień lub dwa, kiedy tylko nasi chłopcy tam się znajdą.

A my udawałyśmy, że się z nią zgadzamy.

W dniu, w którym William opuścił Londyn, wszyscy wyszliśmy na ulice. Królowa obserwowała przemarsz wojsk z balkonu pałacu Buckingham, uśmiechając się z góry, dumna ze swych dzielnych żołnierzy. Był to wspaniały i wzruszający widok. Tłum wznosił ogłuszające okrzyki i wiwatował na cześć wspaniałych gwardzistów z małymi dobozami maszerującymi na czele oddziałów do portu, gdzie mieli się zaokrętować na statki. Brzmiała pieśń triumfu:

Mówi się o Aleksandrze,

Herkulesie i Lizandrze,

I o innych bohaterach,

Lecz nikt nigdy nie pokona

Angielskiego grenadiera,

Gdy się z wrogiem mężnie ściera.

Patrzyłam, a muzyka dźwięczała mi w uszach. Spojrzałam na Lily, która wkrótce miała zostać matką, i modliłam się, żeby William wrócił z wojny cały i zdrowy.

222

Polly i Jane uważały, że żołnierze są piękni, i postanowiły, jak powiedziały, „przywrócić Lily dobry humor”, więc wszystkie razem wróciłyśmy do domu, rozmawiając o mającym się urodzić dziecku, i pokazałyśmy jej ubranka, które przygotowałyśmy na wyprawkę, aż w końcu poczuła się trochę lepiej.

Następnego dnia miałyśmy gościa. To był Charles Fenwick.

- Przyjechałem do Londynu na dwa dni - powiedział - więc musiałem tu przyjść, aby zobaczyć się z paniami. Wyruszam na Krym.

- Kiedy? - zapytałam.

- Natychmiast. Ta wojna sprawiła, że podjąłem decyzję. Na froncie będą bardzo potrzebować lekarzy. Zgłosiłem się i od razu mnie przyjęto - więc oto jestem już w drodze.

- Życzymy panu szczęścia.

Uśmiechnął się do mnie, a potem do Henrietty.

- Kiedy wrócę - powiedział - znów musimy się wszyscy spotkać. Czy mogę panie odwiedzić?

- Bardzo się rozgniewamy, jeśli pan tego nie zrobi - odparła moja przyjaciółka.

Nasze pożegnanie było dość nagłe. Myślę, że wszyscy staraliśmy się ukryć targające nami uczucia.

Ludzie mogli mówić niemal wyłącznie o wojnie. Myślę, że oczekiwali cudów od naszej armii i niecierpliwili się, gdyż nie było wieści o zwycięstwie.

Dziecko Lily przyszło na świat o czasie i zarówno w domu Cliftów, jak i w naszym zapanowała wielka radość. Mały Willie sprawił, że na krótko przestałyśmy nawet myśleć o wojnie. Był zdrowym, silnym chłopcem i dumą Lily. Rozmawiałyśmy o nim bez końca; a co do Jane i Polly, to obie promieniały z zachwytu.

Powitałyśmy z radością takie odwrócenie uwagi od wojny z Rosją, gdyż euforia ludu zaczęła wygasnąć.

Co tam się działo? Lato prawie dobiegło końca, kiedy usłyszeliśmy o zwycięstwie Brytyjczyków i Francuzów pod Almą\*.

\* 20 września 1854 roku.

„Wojna wkrótce się skończy, mówili wszyscy. Nasi żołnierze tam są, a to mówi samo za siebie”. Ale niepokojące relacje pojawiały się w „Timesie”, którego korespondent wojenny, William Howard Russell, przysyłał niekiedy do kraju zatrważające depeche.

Armię zaatakowała epidemia cholery i żołnierze umierali nie z odniesionych w walce ran, lecz na tę chorobę. Wyposażenie szpitali było żałosne. Opieka lekarska praktycznie nie istniała

223

i to brak lekarstw i pozostawienie chorych na pastwę losu dziesiątkowały naszych żołnierzy. Wrogiem były choroba i zła organizacja - a nie Rosjanie.

Ogarnięci niepokojem ludzie szukali kozłów ofiarnych; daremnie armia próbowała nie dopuścić do publikacji tych depeche; okropne historie nadal docierały do społeczeństwa. Trzeba było coś zrobić.

Pewnego dnia w gazetach pojawiła się wiadomość, która nas zaskoczyła.

„Adair wyrusza na Krym” - głosił nagłówek.

Przeczytałam głośno Henriecie notatkę.

- „Doktor Damien Adair ma się udać na Krym. Mówi, że jest głęboko wstrząśnięty tym, co się tam dzieje. Chce zobaczyć na własne oczy, jak przedstawia się sytuacja. Uważa, że wygląda to na karygodny przykład złej organizacji. Doktor Adair to lekarz, którego wędrowki po krajach Wschodu zainteresowały tak wiele osób. Jest ekspertem w dziedzinie używania narkotyków w medycynie. Wyjechał dzisiaj i już wkrótce powinien dotrzeć na miejsce”. -

Upuściłam gazetę i spojrzałam na przyjaciółkę. - Jakże chciałabym tam być - powiedziałam.

- Myślisz, że może w jakiś sposób im zaszkodzić? - spytała. Pokiwałam tylko głową.

- Jego śladem zawsze idzie katastrofa - oświadczyłam stanowczo.

- Wydaje się, że dotarła na Krym bez niego - zaproponowała.

- Zastanawiam się...

- Ja też.

- Czy nie byłoby ekscytujące... gdybyśmy mogły tam się udać? - spytałam z wahaniem.

- Nigdy nam na to nie pozwolą.

- A ja zawsze powtarzam sobie, że wszystko jest możliwe - odparłam z naciskiem.

Henrietta wruszyła ramionami.

- Wkrótce wróci. Może będzie w Londynie z Charlesem. Wtedy będziemy mogły zaprosić obu na kolację.

Nie przestawałam myśleć o lekarzu z twarzą demona i o biednych żołnierzach zdanych na jego łaskę i niełaskę w jakimś źle wyposażonym szpitalu.

Nie można było ignorować artykułów Russella. Trzeba było coś zrobić - i zrobiono.

Poproszono pannę Florence Nightingale, by zwerbowała grupę pielęgniarek, które miały zostać wysłane na Krym. Tego właśnie potrzebowałyśmy.

224

Henrietta za pośrednictwem swoich znajomych zdobyła wkrótce informację, w jaki sposób zostaną wybrane owe pielęgniarki. Miałyśmy się stawić w domu państwa Herbertów, którzy w tym celu wypożyczyli go pannie Nightingale. Dom stał przy Belgrave Square i kiedy się tam zjawiliśmy, musiałyśmy stawić czoło czterem damom, z których jedna знаła Henriette. Nie byłam pewna, czy to okaże się dla nas korzystne, gdyż dama owa musiała wiedzieć, że moja przyjaciółka zerwała zaręczyny z lordem Carltonem. Na pewno zostanie to uznane za lekkomyślny postępek, zwłaszcza że panna Marlinton opuściła dom rodzinny, prawie znikając wszystkim z oczu.

Panie przyjrzały się nam z pewnym rozbawieniem.

- Czy zdają sobie panie sprawę, że to będzie bardzo ciężka praca? - zapytały nas. - To nie dla takich młodych dam zajęcie.

- Niedawno byłyśmy ponad trzy miesiące w Kaiserwaldzie - odrzekłam żywo. - Tam pracowałyśmy naprawdę ciężko i zdobyłyśmy pewną wiedzę o pielęgowaniu chorych.

Myślę, że mam zdolności do tej pracy i może to potwierdzić przełożona diakonis z Kaiserwaldu. Pragnę przyłączyć się do pielęgniarek, które wyruszą na Krym. Mam nadzieję, że rozważą panie naszą propozycję.

- Nie mam najmniejszych wątpliwości, że jesteście panie osobami, jakie pragnęłaby zabrać panna Nightingale, ale muszę panie ostrzec. Większość pielęgniarek, które tu mamy, to bezrobotne dziewczyny... które muszą zarabiać na swoje utrzymanie.

- Chcemy tam pojechać - powiedziałam stanowczo.

- A panna Marlinton? - spytała dama, która z nami rozmawiała, patrząc na Henriette.

- Byłam także w Kaiserwaldzie. Ciężko pracowałam i bardzo tego pragnę.

- Podam nazwiska pań pannie Nightingale i przekażę jej moje zdanie na ten temat.

Odeszłyśmy - niezbyt ucieszone.

- Myślę - odezwała się ponuro Henrietta - że mogłam popsuć całą sprawę. One o mnie słyszały i uważają mnie za lekkomyślną i płochą. Przykro mi, Anno. Powinnaś była pójść sama, ciebie na pewno by przyjęły. Wyobrażam sobie jednak, że widząc nas obie, uznały, iż jako ta, która okazała się bezwartościowa dla wytwornego towarzystwa, mogłam wywrzeć na ciebie zły wpływ.

- Nonsens - odrzekłam. - Popłyniemy tam razem. Ku mojemu zdziwieniu, okazało się, że miałam rację.

Po kilku dniach obie otrzymałyśmy listy z wiadomością, że zostałyśmy przyjęte.

225

W następnych tygodniach mogłyśmy myśleć tylko o naszym zbliżającym się wyjeździe.

Podróż do Kaiserwaldu była dla nas podniecającą przygodą, ale okazała się niczym w porównaniu z tym, co nas teraz czekało.

Jane i Polly otworzyły szeroko oczy ze zdumienia, kiedy usłyszały, co zamierzamy zrobić.

- Na miłość boską, nigdy nie słyszałam o czymś takim - powiedziała Polly. - Myślałam, że panienka Henrietta powinna pomyśleć raczej o młodych dżentelmenach... A co do panienki, panienko Pleydell, takie myśli na pewno by panience także nie zaszkodziły.

- Postanowiliśmy, że będziemy pielęgnować naszych rannych żołnierzy - wyjaśniłam.  
- Gdyby nie mały Willy, pojechałabym także - oświadczyła Lily. - Proszę, niech panienka odszuka Williama.

Przyrzekłam, że to zrobię.

Joe pokiwał głową z niedowierzaniem.

- A kto będzie jeździł powozem, kiedy panienek nie będzie? - zapytał. - Powozy nie powinny stać w wozowni. Chcą jeździć po drogach.

- Zaczekają do naszego powrotu - odrzekłam.

- Muszą panienki bardzo uważać - dodał. - Wojny są niebezpieczne.

Kiedy przyniosłyśmy do domu nasze uniformy, Jane i Polly były zbyt wstrząśnięte, by coś powiedzieć. Poinformowano nas, że wszystkie pielęgniarki mają chodzić identycznie ubrane. Nie ma ustępstw dla dam. Wszystkie będziemy razem jadły, dzieliły się obowiązkami i nosiły takie same ubiory. Panna Nightingale zamierzała w ten sposób nadać nowy, profesjonalny charakter temu zawodowi.

Muszę przyznać, że przeraziłam się trochę, kiedy zobaczyłam, co miałyśmy nosić.

- Dlaczego mamy brzydko się ubierać, żeby być efektywne? - zapytała Henrietta.

- Może nasze stroje mają głosić: „Trzymajcie się od nas z daleka, szarmanccy dżentelmeni. Mamy zadanie do wykonania” - odrzekłam.

- Nie sądzę, by jakikolwiek dżentelmen poczuł się szarmancko, kiedy nas w tym zobaczy.

Twój ubiór jest za mały, a mój za duży.

To była prawda. Nasze uniformy nie zostały wykonane na miarę. Uszyto kilka różnych rozmiarów i dano nam te, które mogły pasować. Każda z nas otrzymała suknię z tweedu w brzydkim szarym kolorze, żakiet takiej samej matowej barwy, wełniany płaszcz i biały czepek.

226

Kiedy Lily nas w tym zobaczyła, podniosła rękę z przerażenia.

- Gdzie one znalazły coś takiego? - spytała.

- Uniformy zostały specjalnie zaprojektowane, żeby dać wszystkim do zrozumienia, iż nie powinno się nas uważać za kobiety szukające poklasku - wyjaśniłam. A potem powiedziałam do Henrietty: - Ty nieźle wyglądasz w swoim.

- To więcej, niż ja mogę powiedzieć o tobie. Wyglądasz, jakbyś okradła stracha na wróble - odparła z przekąsem.

- Nie wyglądałyby tak okropnie, gdyby dobrze pasowały - oświadczyła Lily.

- Może mogłabyś skrócić uniform Henrietty i wywrócić rękawy żakietu na drugą stronę - zaproponowałam.

Lily obejrzała ten strój.

- Tak, mogę to zrobić. - Uklękła przy mnie. - Tutaj jest porządne podłożenie, a ponieważ jest pani wysoka i szczupła, nie potrzebuje pani tak szerokiego płaszcza. Mogłabym też przedłużyć rękawy.

Natychmiast zabrała się do pracy, pragnąc coś dla nas zrobić. Była w bardziej ponurym nastroju niż my wszystkie. Myślę, że Jane i Polly uważały nasz plan wyjazdu na Krym za coś w rodzaju żartu, a Lily patrzyła na to z zupełnie innej strony. Przypuszczam, że w głębi duszy cieszyła się, że tam jedziemy. Podziwiała mnie i wierzyła, że będę mogła zatroszczyć się o Williama. Była bowiem pewna, iż zdołam go odnaleźć, ponieważ miałyśmy pojechać do tego samego miejsca.

Nasze uniformy wyglądały lepiej, kiedy Lily je dopasowała; nasza przyjaciółka potrafiła za pomocą igły zdziałać cuda.

Gorączkowo przygotowowałyśmy się do wyjazdu i pewnego jasnego, sobotniego poranka w październiku pojechałyśmy na London Bridge, żeby rozpocząć podróż na Krym.

Wszystkie pielęgniarki podróżowały razem i wtedy po raz pierwszy ujrzałam przelotnie pannę Nightingale. Okazała się niezwykle piękną kobietą, co mnie zaskoczyło. Słyszałam od Henrietty, że mogła zrobić świetną partię i że była gwiazdą pierwszej wielkości w wyższych sferach; ale pochłoneła ją jej misja, to znaczy opieka nad chorymi i stworzenie w Anglii nowoczesnych szpitali z prawdziwego zdarzenia. Była szlachetna i godna podziwu. Pomyślałam wtedy - co potwierdziło się później - że to najwybitniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek spotkałam w życiu. Zachowywała się z rezerwą, a jednocześnie zawsze dostrzegała wszystko, co się wokół niej działo. Była pełna godności i wyróżniała się wśród innych; a ja uważałam ją za wspaniałą.

227

Miałyśmy popłynąć do Boulogne i stamtąd natychmiast udać się koleją do Paryża, gdzie zgodnie z planem spędzimy jedną noc; stamtąd pojechać do Marsylii, zatrzymać się tam na cztery dni, żeby zgromadzić niezbędne zapasy, zanim zaokrętujemy się na statek, który zawiezie nas do Scutari.

Bardzo chciałam zobaczyć inne pielęgniarki. Było ich czterdzieści. „Wszystkich rodzajów i ze wszystkich stanów społecznych” -szepnęła do mnie Henrietta. I tak rzeczywiście się okazało. Było z pół tuzina takich jak my; co zaś do reszty, to ich wygląd mnie zaskoczył. Niektóre miały zniszczone twarze i wydawały się już niemłode. Zastanawiałam się, dlaczego je wybrano, a potem dowiedziałam się, że przyjęto je w odruchu rozpacz, ponieważ niełatwo było zwerbować pielęgniarki do takiego przedsięwzięcia.

Na statku płynącym do Boulogne miałam sposobność poznać niektóre z nich. Henrietta i ja byłyśmy na pokładzie, kiedy jedna z podróżniczek na widok mojej przyjaciółki zawołała:

- Henrietto! Jak cudownie znów cię zobaczyć! Więc i ty w tym uczestniczysz? Myślę, że to będzie interesujące.

Była to wysoka kobieta około trzydziestki, z wyniosłą miną i patrycjuszowskimi rysami twarzy. Henrietta przedstawiła nas sobie:

- Lady Mary Sims. Panna Pleydell. Uścisnęłyśmy ręce.

- Dorothy Jarvis-Lee też tu jest - powiedziała lady Mary. -Przybyłyśmy razem. Kiedy usłyszałyśmy o tym przedsięwzięciu, ogarnęła nas szalona chęć wzięcia w nim udziału. Czyż Florence nie jest cudowna? Wiesz, myślę, że nie chciała nas przyjąć. Początkowo. Dopiero kiedy okazało się, iż tak trudno znaleźć ochotniczki... Uważała, że nie będziemy chciały mieszać się z hoi polloi\*.

\* Hoi polloi (gr. ) - wielkie mnóstwo, tu: zbieranina, pospólstwo.

O, tam jest Dot. Dot, spotkałam Henriettę Marlinton.

Pani Dorothy Jarvis-Lee podeszła do nas. Miała kanciastą sylwetkę ciała i ogorzałą twarz, co wskazywało, że mieszka na wsi.

- Henrietto, jak miło cię widzieć.

- A to jest panna Pleydell. Podałyśmy sobie ręce.

- Wiem, że jest pani bliską przyjaciółką Henrietty. Wyjeżdżała pani do tamtego miejsca w Niemczech, prawda?

- Tak, do Kaiserwaldu - odrzekłam.

- To podobno ma być jedna z pionierskich placówek. Kiedy o tym usłyszałam, poczułam, że muszę wziąć w tym udział. Przecież to również służba dla kraju.

228

Kiedy tak rozmawiałyśmy, zauważyłam, że obserwują nas dwie kobiety. Jedna była potężnie zbudowana, druga zaś drobna i bardzo blada. Wydawało się, że uniform wyższej zaraz na niej pęknie, natomiast ta mała dosłownie tonęła w swoim.



Przyglądały się nam poważnie i ujrzałam, że usta olbrzymki wykrzywił uśmiech. Nie był zbyt przyjemny.

A później, zwracając się do swojej towarzyszki, powiedziała głośno, cedząc słowa, co najwidoczniej miało naśladować sposób mówienia pani Jarvis-Lee:

- Och, witaj, Ethel, co ty tu porabiasz? Ja... przybyłam... służyć mojemu krajowi.

Powiedziałam Florence, że przybędę. Zeszłej nocy spotkałam ją w pałacu lorda Olaboga, który powiedział do mnie: „Hej, Elizo, czemu nie pomożesz Florence w opiece nad rannymi żołnierzami? Uważaj na to, z kim się zadajesz, bo pojedą z tobą różne stare dziwadła. Nie przypuszczam, żeby kiedykolwiek w życiu same posłały sobie łóżko. Nieważne, dobrze postąpisz, obcując z takim towarzystwem”.

Zapadło milczenie. Pani Jarvis-Lee i Eliza popatrzyły na siebie. Można było wyczuć pogardę jednej i wrogość drugiej.

- Chodź, Ethel - dodała Eliza. - Uważam, że powinnyśmy uważać, z kim się zadajemy. Nie chcemy mieć do czynienia z pewnymi osobami.

Niższa kobieta spojrzała na nas nerwowo, a duża przytrzymała ją mocno za ramię, kiedy odchodziły. Eliza szła kołyszącym się krokiem, co jej zdaniem miało naśladować sztuczny sposób chodzenia bogaczek.

- No cóż - powiedziała pani Jarvis-Lee - jeżeli mamy przebywać na co dzień z kimś takim, to czekają nas kłopoty. Ona celowo zachowywała się zuchwale. Nie zgodzę się jeść przy jednym stole z takimi osobami. Myślę, że powinno się znaleźć jakiś sposób, żeby damy mogły trzymać się od nich z daleka.

- O ile wiem, musimy stosować się do przepisów, które mówią, że wszystkie będziemy razem i że nie ma między nami żadnych różnic - odparłam.

- Wydaje mi się, że to będzie niemożliwe - brzmiała odpowiedź. - I czuję, że w przyszłości czeka nas wiele kłopotów.

Zdumiało mnie powitanie, jakie nam zgotowano, kiedy wysiadłyśmy w Boulogne.

Oczywiście, Francuzi byli naszymi sojusznikami i nie wątpiłam, że coś niecoś słyszeli o warunkach panujących w Scutari. Wiedzieli też, że miałyśmy pielęgnować nie tylko naszych, lecz także ich żołnierzy.

Zabrano nasze bagaże i zaniesiono do hotelu, gdzie miałyśmy się posilić; podano też porządny posiłek, bezpłatnie - tak byli nam wdzięczni ci dobrzy ludzie

229

i tak bardzo podziwiali nas za to, co zamierzałyśmy robić.

Około dziesiątej wieczorem przyjechałyśmy na dworzec Gare du Nord, gdzie znów nas uroczyście powitano. Wszystkie byłyśmy bardzo zmęczone i po kolacji położyłyśmy się do łóżek, które dla nas przygotowano. Lady Mary Sims i pani Jarvis-Lee zebrały jeszcze trzy lub cztery kobiety z tej samej sfery i zajęły sypialnię razem z nami.

Wczesnym rankiem następnego dnia pojechałyśmy do Marsylii.

Nasza grupa trzymała się razem i zrobiłyśmy małą wycieczkę po mieście, by kupić pewne rzeczy, które, naszym zdaniem, mogły być potrzebne na Krymie. Wrogość między Nami i Nimi - jak ujęła to pani Jarvis-Lee - rosła i zapytałam się w duchu, ile dobrego zrobimy, jeśli same będziemy się klócić. Daremnie wypatrywałam kogoś, kto by miał poglądy podobne do moich na temat pielęgniarstwa. Wiedziałam, że podziela je panna Nightingale, ale co z pozostałymi? Byłam pewna, że lady Mary i Dorothy Jarvis-Lee uważają naszą podróż za przygodę, która ożywi ich monotonne życie i jednocześnie pozwoli im służyć krajowi w efektowny sposób. Kilka „dam” również tak myślało, nie miałam co do tego żadnych wątpliwości. Z drugiej jednak strony były wśród nas takie, które od czasu do czasu pracowały w szpitalach i zyskały pewne doświadczenie zawodowe. Lecz pojechały z nami nie z powodu

zamiłowania do tego zajęcia, tylko dlatego że musiały zarabiać na życie i uważały wyprawę na Krym za łatwy sposób zdobycia pieniędzy.

Niektóre z nich przeschmuglowały butelki z dżinem w bagażu i wkrótce stało się jasne, że kilka zagłada do kieliszka, kiedy mają po temu sposobność.

Pomyślałam o surowej dyscyplinie w Kaiserwaldzie i o diakonischach, które prawie nie opuszczały szpitala; i zadrżałam na myśl, jak będziemy sobie radziły w Scutari.

Na pierwszy rzut oka „Vectis” nie budził zaufania. Był to stary statek, bardzo poobijany, i nawet ktoś, kto tak jak ja niewiele wiedział o tych sprawach, mógł się zorientować, że nasz środek transportu jest w kiepskim stanie.

Zaokrętowałyśmy się na niego w Marsylii i miałyśmy dopłynąć do Bosforu. Kiedy tylko się rozlokowałyśmy, zrozumiałam, że moje obawy okazały się uzasadnione. Karaluchy przemykały po pokładach... szybkie, ciche, okropne. Nie wiem, dlaczego napełniały mnie takim obrzydzeniem; przypuszczałam, że są nieszkodliwe. Myślę, że czułam do nich wstręt, ponieważ były widoczną oznaką brudu. Nie dało się zrobić kroku, żeby na nie nie nadebrać.

230

Na pokładzie tego statku miałyśmy niewiele wygod. Nawet na spokojnych wodach jego trzaski i kołysanie budziły we mnie niepokój. Było nas osiem w kajucie. Dorothy Jarvis-Lee, która posiadała doświadczenie w relacjach z osobami niższego stanu, zgromadziła osiem pielęgniarek z naszej sfery.

- Nie chcemy widzieć w pobliżu żadnej z Nich - oświadczyła. - Mam nadzieję, że nie spędzimy zbyt dużo czasu na tym okropnym statku.

Nie minął nawet dzień na morzu, kiedy nadciągnął gwałtowny sztorm i wysokie fale bezlitośnie miotały naszym nieszczęsnym, niezdatnym do żeglugi statkiem. Prawie wszystkie pielęgniarki pognębiła choroba morska i pragnęłyśmy tylko pozostać na naszych kojach.

Odetchnęłam z ulgą, gdy dotarliśmy do Malty, ale wiele moich towarzyszek było zbyt chorych, by wyjść na brzeg. Sama panna Nightingale źle się czuła, a „Vectis” został uszkodzony podczas sztormu.

Henrietta i ja udałyśmy się na wycieczkę z kilkoma pielęgniarkami pod opieką żołnierza, który służył w kwaterze głównej dowództwa na Malcie. Poganiał nas jak owce, co nie było przyjemne. Ucieszyłam się z powrotu na statek i z tego, że ruszamy w dalszą drogę.

Uważałam bowiem, że im wcześniej przybędziemy do miejsca przeznaczenia i opuścimy rozklekotany „Vectis”, tym lepiej.

Popłynęliśmy więc dalej. Pogoda się nie poprawiła. Wiatr wiał wokół nas i nie można było ustać na nogach.

Nie mogłam wytrzymać w cuchnącej kajucie, gdzie tak wiele z moich towarzyszek podróży - łącznie z Henriettą - bardzo chorowało, więc chwiejnym krokiem wyszłam na pokład.

Dał silny wiatr, a statek jęczał i trzeszczał bez przerwy. Obawiałam się, że w każdej chwili może zostać rozerwany na strzępy. Zapytałam się w duchu, jakie szanse na przeżycie miałabym w tych burzliwych wodach.

Prawie doczołgałam się do jakiejś ławki i usiadłam. Uczepiłam się jej oburącz, gdyż wydawało mi się, że lada moment wicher porwie mnie i rzuci o nadburcie. Sztorm był tak gwałtowny, a statek tak kruchy, że zaczęłam myśleć, iż wszystkie utoniemy. Jakie to dziwne, że dotarłam tak daleko po to tylko, by zakończyć życie.

Wtedy zdałam sobie sprawę, jak bardzo chcę żyć. Po śmierci Juliana czasami tęskniłam do tego, by pójść za nim. Ale teraz, kiedy śmierć była tak blisko, zrozumiałam, że pragnę przeżyć. Ta myśl bardzo mnie zaskoczyła. Rozpaczliwie chciałam żyć i zrobić coś z moim życiem - ratować innych od śmierci, pielęgnować chorych, by wyzdrowieli. Nie wydawało się to zbyt wygórowaną ambicją.

231

Być pielęgniarką - to nie to co zostać wielkim naukowcem lub lekarzem.

Wróciłam myślą do doktora Damiena Adaira. Jaki miał cel? Myślałam, że wiem. Zaszczyty. Sława. Pragnął kroczyć dumnie po scenie wraz z wielkimi tego świata, być słynnym doktorem Adairem, który dokonał zdumiewających odkryć, przeżył pełne przygód życie, czynił doświadczenia na ludziach i którego nie obchodziło to, co się z nimi później działo. Jeżeli umarli, to dla sprawy - sprawy powiększenia odkryć naukowych wielkiego doktora Adaira.

Eksperymentował na moim mężu. Wielki smutek nappełnił mi serce, kiedy pomyślałam o Aubreyu. Myślę, że było to poczucie winy. Wciąż pamiętałam pierwsze tygodnie naszego miodowego miesiąca, kiedy wszystko było doskonałe. I takie mogłoby pozostać, gdyby nie straszny nałóg, który zniszczył nasze małżeństwo. I to wszystko przez owego człowieka. Wiedziałam, że Aubrey był słaby, że nie powinien pozwolić, by nim manipulowano. Ale tacy ludzie jak Damien Adair żerują na słabości innych. Nic ich nie obchodzi zrujnowane zdrowie tych, których za sobą pozostawiają. Dla Damiena Adaira liczyła się tylko zdobyta wiedza, którą zamierzał wykorzystać dla własnej sławy. Zniszczył życie mojego męża, a potem robił doświadczenia na moim synku. Zabił ich obu!

Och, jak bardzo pragnęłam żyć! Pragnęłam spojrzeć mu w twarz. Chciałam przeszkodzić mu w wykorzystywaniu innych ludzi tak, jak wykorzystał moich najbliższych.

Uczepiłam się ławki, na której siedziałam.

- Znajdę go - powiedziałam - i będę pielęgnować rannych. Przywrócę im zdrowie... i zniszczę go.

Zauważyłam wtedy drobną figurkę, która przemykała po pokładzie, potykając się co krok.

Była to Ethel, dziewczyna, którą zauważyłam wcześniej - blada, chuda i niedożywiona.

Często przebywała z ordynarną i wojowniczą Elizą - i tworzyły dziwną parę.

Byłam pewna, że olbrzymka wiedziała o podziałach między Nimi i Nami, które już stały się widoczne, i nie posiadała się z oburzenia.

Patrzyłam, jak malutka Ethel mija mnie chwiejnym krokiem. Przez chwilę pomyślałam, że wypadnie za burtę. Wydawała się taka lekka. Przyłgnęła do nadburcia i wychyliła się; jakiś czas stała nieruchomo, wiatr szarpał jej włosy i wył wokół niej jak tysiąc banshee\*...

\*Banshee - w folklorze irlandzkim opiekunka rodów szlacheckich, która nocą przeraźliwym jękiem i płaczem oznajmiała krewnym o śmierci kogoś z rodziny. patrzyła w dół w spienione wody. Poruszyła się... podniosła. W jednej chwili zrozumiałam, co zamierza zrobić.

232

Zerwałam się z ławki. Wiatr mnie powstrzymywał, a kołysanie statku utrudniało poruszanie się, lecz mimo to z całej siły parłam w jej stronę.

- Nie! - wrzasnęłam, ale wiatr porwał mój okrzyk i musiała go uznać za jeden z odgłosów sztormu.

Dotarłam do Ethel właśnie wtedy, gdy zamierzała skoczyć do morza, i odciągnęłam ją w bezpieczne miejsce.

Odwróciła się i popatrzyła na mnie. Na jej twarzyczce malowała się rozpacz. Zawołałam:

- Nie... nie! Nie wolno ci tego zrobić. Nie tędy droga!

Nie odrywała ode mnie wzroku. Wzięłam ją pod rękę i zaciągnęłam na ławkę. Usiadła obok mnie; przytrzymałam ją mocno.

- Zauważyłam cię w porę - powiedziałam. Skinęła głową.

- Chciałam to zrobić. To naprawdę najlepsze wyjście.

- Nie. Po prostu teraz tak uważasz. Jutro zmienisz zdanie. Dobrze o tym wiem.

- On odszedł - powiedziała obojętnie, jakby do siebie. - Już nigdy nie wezmę go na ręce. Był taki śliczny. Miałam tylko jego, a teraz odszedł na zawsze.

- Może jeszcze wróci.  
- On nie żyje! - zawołała. - Nie żyje... nie żyje... moje maleństwo nie żyje!  
Natychmiast wyczułam w niej bratnią duszę.  
- Wiem... wiem - powiedziałam.  
- Nie, nie może pani tego wiedzieć. Nikt nie może. Moje dziecko było wszystkim, co miałam na świecie. On był dla mnie wszystkim. Nic mi nie pozostało. Gdybym nie wyszła... ale musiałam. Musiałam jakoś zdobyć pieniądze. Ale kiedy wróciłam, odszedł na zawsze. Chciałam kupić mu dobre rzeczy... rosół i mleko, wszystko dla niego. Wróciłam... i on tam leżał zimny... zimny jak lód, a jego twarzyczka miała kolor wosku.  
- Wiem. Rozumiem - powtarzałam. - Nikt nie może cię zrozumieć lepiej niż ja.  
Wydawało się, że w końcu wyczuła emocje brzmiące w moich słowach. Odwróciła się i zobaczyła ból na mojej twarzy. O dziwo, wcale jej to nie zaskoczyło; i w owej chwili zdałam sobie sprawę, że połączyła nas jakaś więź.  
- Chcesz porozmawiać? - zapytałam. - Jeśli nie, nie musisz. Po prostu posiedź ze mną.  
Milczała jakiś czas, a potem powiedziała:  
233

- Wiedziałam, że to było niedobre. Nie zarabiałam dość... szyciem.  
Szyciem! Więc robiła to samo, co przedtem Lily. Przypuszczałam, że wiele dziewcząt szło na strychach, jakby ich życie od tego zależało.  
Szyj, szyj, szyj, głód z biedy piołunem. Szyj, szyj, szyj, koszulę z całunem.  
- Musiałam zarobić trochę pieniędzy... dla niego.  
- Tak - odrzekłam. - Rozumiem.  
- Nie chciałam go, ale kiedy się urodził... och, stał się dla mnie całym światem, mój maleńki Billy. A potem wyszłam i po powrocie znalazłam go... Nigdy nie powinnam była go zostawić.  
- Musiałaś. Zrobiłaś, co mogłaś - pocieszałam ją. Pokiwała głową.  
- Nie powinna była pani mnie powstrzymywać.  
- Powinnam - odrzekłam z mocą. - Zrozumiesz to pewnego dnia. Będiesz z tego rada.  
- Nie może pani wiedzieć - nie ustępowała.  
- Mogę. Straciłam dziecko... mojego małego synka.  
- Pani?! - spytała ze zdumieniem.  
- Mój mąż również nie żyje. Nie mów o tym nikomu. Wolę, żeby mnie uważano za kobietę niezamężną. To tajemnica.  
- Nikomu nie powiem - obiecała Ethel.  
- Dziękuję ci. Ale teraz wiesz, dlaczego cię rozumiem. Mój mały synek był dla mnie wszystkim.  
- Nie był głodny - szepnęła.  
- Nie. Ale i tak go straciłam. Mówię ci to dlatego, byś wiedziała, że dobrze cię rozumiem. Znów przeżyłam to wszystko. Poczułam, że mam mokre policzki, ale nie od pyłu wodnego. Ethel popatrzyła na mnie ze zdziwieniem i zobaczyłam, że ona również płacze.  
Nie wiem, jak długo tak siedziałyśmy, chłostane wiatrem, nic nie mówiąc. Ja myślałam o Julianie, a ona o swoim Billym. Stałyśmy się jednością - dwie smutne kobiety, które utraciły dzieci, w milczeniu dzielące żal, kiedy burza szalała wokół nas.  
Ktoś jeszcze wyszedł na pokład. To była Eliza. Chwiejnym krokiem podeszła do nas.  
234

- Boże wszechmogący! - zawołała. - Co ty tu robisz, Ethel? Przycupnęła z drugiej strony swej przyjaciółki i utkwiała w nas obu spojrzenie. Zapewne pomyślała, że wyglądamy dziwnie, siedząc tak razem - dwie przedstawicielki wrogich obozów - i płacząc cicho.

- Chciałam z tym skończyć, Lizo - powiedziała Ethel.  
- Nie zrobiłaś tego.  
- Ona... ona mnie powstrzymała. Eliza popatrzyła na mnie wrogo.  
- Opowiedziała mi o sobie. Była dobra... i powstrzymała mnie -ciągnęła Ethel.  
- Nigdy nie powinnaś była przychodzić tu sama - oświadczyła Eliza.  
- Musiałam, Lizo. Nie mogłam tego dłużej znieść. Olbrzymka pokiwała głową i zauważyłam, jak czule zwraca się do Ethel.  
- Co jej powiedziałaś?  
- O moim chłopczyku.  
- Ja ją rozumiem - wtrąciłam. - Sama straciłam synka. Eliza spojrzła przed siebie.  
- Wszystkie znajdziemy się za burtą, jeśli to się nie skończy -powiedziała. - Nie miałam zielonego pojęcia, że to tak będzie wyglądało, nigdy nie dałabym się na to nabrać. - Odwróciła się do mnie, a jej twarz złagodniała. - Ktoś musiał się nią zająć - dodała.  
- Tak - zgodziłam się z nią.  
- Miała pecha. Okropnego pecha. Nie nadaje się do tego wszystkiego. Ktoś musi się nią opiekować. Jak to się stało? - mówiła dalej.  
- Siedziałam tutaj. Wyszła na pokład, zobaczyłam ją... i zorientowałam się, co chce zrobić. Przeprowadziłam ją tu i porozmawialiśmy. Okazało się, że miałyśmy podobne przeżycia.  
- Pani?! Niemożliwe!  
- Tak. Byłam mężatką. Straciłam męża i małego synka - wyjaśniłam.  
- Myślałam, że jest pani niezamężna.  
- To tajemnica. Nie możesz tego nikomu powiedzieć, Elizo. Ja to obiecałam - odezwała się Ethel.  
- Wolę, żeby uważano mnie za pannę - oświadczyłam. - W ten sposób łatwiej zapomnę. Ethel energicznie skinęła głową. Nagle olbrzymia fala omal nie wyrzuciła statku z morza. W owej chwili wszystkie pomyślałyśmy, że wypadniemy za burtę.  
- Myślicie, że w ogóle tam dopłyniemy? - spytała Ethel.  
235

- Bóg jeden wie - odparła Eliza.  
Ja również zadałam sobie to pytanie. Huk i ryk fal, które kołysały statkiem na wszystkie strony, i gwałtowny trzask belek były naprawdę przerażające. Wtedy przysłała nam do głowy jedna myśl: statek zaraz przełamie się na pół i wszystkie wpadniemy do wzburzonego morza. Uświadomiłam sobie, że tak naprawdę to nie ma znaczenia, iż Ethel i Eliza znają moją tajemnicę. Dzięki temu Ethel może myśleć o mnie jako o matce, która straciła swoje jedyne dziecko, tak jak i ona. Pomyślałam o pewnej dziwnej cesze ludzkiej natury: że łatwiej można znieść smutek, kiedy inni ludzie również cierpią.  
- To dziwne... dotrzeć tak daleko, żeby tak skończyć - odezwała się Eliza.  
- Nigdy dotąd się nad tym nie zastanawiałam - odrzekłam.  
- No cóż, jesteśmy w takiej sytuacji. - Urwała. - Martwię się o nią - dodała.  
-Wiem, Lizo - szepnęła Ethel. - Nie powinnaś. Zrobiłam wszystko z własnej, nieprzymuszonej woli.  
- Nie wiem. W takiej sytuacji człowiek musi o tym myśleć. Widzi pani, panno-no...  
- Pleydell - podpowiedziała Ethel. - Nie wolno ci nigdy wspomnieć, że była panią Jakaśtam.  
- Czy te wszystkie zarozumiałe pani przyjaciółki o tym wiedzą?  
- Tylko panna Marlinton - wyjaśniłam.  
- Ta ślicznotka? To pani bliska przyjaciółka. Ona nie sprawia tak złego wrażenia.  
- Jest bardzo miła. Polubiłabys ją - odrzekłam.

- Nie mogę znieść tych pozostałych. Zadzierają nosa. Patrzą na człowieka jak na śmierdzącą rybę.

- Wszystkie w tym siedzimy, a panna Nightingale powiedziała, że żadna nie powinna się wywyższać.

- Och, panna Nightingale to prawdziwa dama. - I dodała z wahaniem: - Tak jak pani.

- Dziękuję.

- Zastanawiam się, jak to jest, kiedy się tonie - mówiła dalej Eliza.

- W tak wzburzonym morzu utonęłybyśmy szybko - powiedziałam na pocieszenie.

- Wszystkie trzy utonęłybyśmy razem - zauważyła Eliza.

- Może nie będzie aż tak źle - pocieszyłam ją. Może tylko nam się tak wydaje, ponieważ nie jesteśmy przyzwyczajone do morza.

- To dziwne - ciągnęła Eliza. - Nigdy dotąd nie myślałam o śmierci...

236

w każdym razie jeszcze nie. To dlatego tak się martwię. Widzi pani, ja popchnęłam do tego Ethel. Mnie to nie przeszkadzało, więc myślałam, że i z nią tak będzie.

- Co się stało? - zapytałam.

- Nie obrazisz się, jeśli jej powiem, Eth? Chciałabym zrzucić to z serca. Ona nie mogła dłużej tego ciągnąć. Szyła przez pół nocy, ale nadal nie zarabiała dość, by starczyło na życie. Powiedziałam do niej tak: „Posłuchaj, dziewczyno, jest łatwiejszy sposób”. I zabrałam ją ze sobą. Można się do tego przyzwyczaić, mnie się udało. Pomyślałam, że i ona się przyzwyczai. A później ona zakochała się w tym typie. Głupiutka dziewczyna! - szturchnęła Ethel przyjaźnie. - On zaś podobno zakochał się po uszy i chciał jej pomóc. Obiecywał, że się z nią ożeni i ustatkuje. A potem zrobił jej dziecko i zwiął. To chyba wszystko. Ale rozumie pani, gdybym jej do tego nie wciągnęła, nadal by szyła, zarabiając akurat tyle, by nie umrzeć z głodu - i kto wie, może jakoś by sobie poradziła.

- Zrobiłaś, co mogłaś, żeby jej pomóc - oświadczyłam.

- To prawda. Ale jej nie pomogłam, czyż nie tak? A potem wróciła do tego wszystkiego... dla synka. I pewnego dnia, kiedy zostawiła go samego i poszła na ulicę... wróciła i znalazła dzieciaka martwego.

- To takie smutne - powiedziałam cicho.

- Ona nigdy o nim nie zapomniła - dodała Eliza.

- Wiem, tego nigdy się nie zapomina.

- Więc pomyślałam: no cóż, to jest to. Pójdziemy na wojnę, będziemy pielęgniarkami. Kiedyś obie pracowałyśmy w szpitalu. To było okropne... mycie brudnych podłóg i kiepsko za to płacili. W każdym razie uzyskaliśmy to, co się nazywa praktyką. Ale widzi pani, zawsze uważałam, że powinnam się nią opiekować.

- Widzę, jak na tobie polega - zauważyłam.

- A potem się wymyka i próbuje to zrobić. Niech pani tylko pomyśli! Gdyby pani tu nie było, pływałaby tam w dole!

- Ale byłam tu i obiecała mi, że więcej tego nie zrobi. Kiedy zechce porozmawiać, przyjdzie do mnie. Razem będziemy wspominać nasze maleństwa.

- Cieszę się - powiedziała Eliza. - Cieszę się, że pani tu była.

Siedziałyśmy w milczeniu, trzymając się siebie kurczowo z powodu kołysania statku, gdyż inaczej mogłybyśmy wypaść za burtę; i myślę, że czerpałyśmy pociechę z naszej bliskości. Wiem, że tak było ze mną.

Burza nadal trwała, przycichła na chwilę, a potem znów się wzmogła. Rozmawiałyśmy od czasu do czasu,

237

snując przypuszczenia na temat tego, co się stanie, kiedy dotrzemy do Scutari, mówiłyśmy o sobie. Opowiedziałam im o pobycie w Kaiserwaldzie, o diakonisach i magii tamtejszego lasu. Słuchały uważnie i chwilami musiałam niemal krzyżeć, żeby mnie dosłyszały ponad szalejącym sztormem. Później opisałam im moje dzieciństwo w Indiach i śmierć ojca. Dowiedziałam się co nieco o nich obu. Eliza miała ciężkie życie. Nie знаła swojego ojca, miała ojczyma. Kiedy skończyła dziesięć lat, próbował „wtrącać się do niej”. Znienawidziła go i opuściła dom, tak więc nauczyła się troszczyć się o siebie bardzo wcześnie. Żywiła wielką pogardę dla płci przeciwnej, dlatego przypuszczałam, że wiele wycierpiała od mężczyzn. Była jednak silna i zdecydowana. Wątpiłam, czy teraz ktoś mógłby skrzywdzić Elizę. Ethel - podobnie jak Lily - przyjechała ze wsi, by poszukać szczęścia w wielkim mieście.

Dzieje moich towarzyszek były smutne - i poczułam, że teraz dobrze je obie rozumiem. Wojowniczość Elizy brała się stąd, że jeszcze jako mała dziewczynka musiała walczyć o przetrwanie; nieśmiałość Ethel była przejawem świadomości, że tego nie potrafi. Tamtej nocy bardzo się do siebie zbliżyłyśmy. Byłyśmy tak szczere prawdopodobnie dlatego, że w głębi duszy sądziłyśmy, iż „Vectis” nie przetrwa tej burzy; i znalazłyśmy pociechę, odkrywając przed sobą nasze serca.

Na pewno minęło kilka godzin, kiedy tak siedziałyśmy, przytulone do siebie; a gdy burza ucichła i przekonaliśmy się, że żyjemy, połączyła nas prawdziwa przyjaźń.

## Rozdział Siódmy.

Na ulicach Konstantynopola.

Pewnego chłodnego listopadowego dnia wpłynęliśmy do Bosforu, wąskiej cieśniny, która oddziela Europę od Azji. Wiatr wył, gdyż sztorm nie ustawał, i smagał nas, kiedy stałyśmy na pokładzie. Mimo deszczu przed naszymi oczami roztaczał się cudowny widok. Po obu stronach z zatok i zatoczek wychylały się zielone cyple, a na brzegach rosły cyprysy i drzewka laurowe. Malownicze łodzie, podobne do gondoli - później dowiedziałyśmy się, że zwane są caiques - pływały tam i z powrotem po wodach cieśniny. W jednej z zatok znajdował się port, a naprzeciw niego leżało Scutari, miejsce naszego przeznaczenia. Oba miasta oddzielało kilkaset metrów wody.

W bladym świetle poranka scena ta wyglądała romantycznie i pięknie, ale w miarę jak robiło się coraz jaśniej, owo złudzenie zniknęło.

Mogłyśmy wtedy widzieć błotniste brzegi i ogromny szpital wojskowy, który wcześniej sprawiał wrażenie wynurzającego się z mroku pałacu jakiegoś kalifa, teraz zaś okazał się brudny, ohydny i w ruinie. Otaczały go kręgiem namioty, kramy i budy, przed którymi kręcili się żołnierze w różnych mundurach. Zobaczyłam dwóch rannych - jeden kulał, a drugi miał głowę owiniętą brudnym bandażem - idących niepewnym krokiem między kramami.

Niebawem wysiadłyśmy z „Vectisa”, to znaczy opuszczono nas do łodzi - a potem przewieziono na brzeg.

I tak oto przybyłyśmy do szpitala w Scutari.

Nie było tam prawdziwej drogi - tylko nierówna, błotnista ścieżka, i żeby dotrzeć na płaskowyż, na którym stał budynek, musiałyśmy się po niej wspinać.

239

Pierwsze wrażenie, jakie zrobił na mnie widok szpitala, było tak przygnębiające, że omal nie zapragnęłam wrócić na statek i poprosić, by zabrano mnie z powrotem do kraju. Bezsilność zdawała się przesycać powietrze. Wyczułam, że nawet Henrietta upadła na duchu. Nie byłam pewna, czego się spodziewałyśmy, ale na pewno nie tego.

Zdyszałyśmy się, zanim dotarłyśmy na płaskowyż, i im bardziej zbliżałyśmy się do celu, tym większe dręczyły nas obawy. Teraz widziałyśmy wyraźnie kramy i budy. W większości z nich sprzedawano alkohol. Zobaczyłam jakąś kobietę w poplamionej aksamitnej sukni, idącą z butelką pod pachą w stronę szpitala.

- Markietanki - szepnęłam do Henrietty.

- Nie mogę w to uwierzyć - odpowiedziała równie cicho.

- Czytałam o nich.

- Na pewno nie ma ich w szpitalu - odrzekła.

- Zobaczymy.

I zobaczyłyśmy.

Szpital okazał się naprawdę ogromny. Przynajmniej będziemy miały dość miejsca, pomyślałam. Lecz tak nie było. Większą część pomieszczeń zajmowały poszczególne oddziały. Zdumiałam się, kiedy zobaczyłam, jak wielu leży tam pacjentów. Później dowiedziałam się, że nie byli to ranni, lecz chorzy. Epidemia cholery uśmierciła tysiące żołnierzy.

Woda lśniła na ścianach i spływała strumykami w dół, a wspaniałe niegdyś posadzki były popękane w wielu miejscach; na dziedzińcu wały się gnijące śmieci i odpadki, które musiały tam leżeć od jakiegoś czasu. Bałagan i rozkład wraz z nieuniknionymi w tej sytuacji chorobami wydawały się głównymi cechami charakterystycznymi tego miejsca.

Czy jakakolwiek armia mogła toczyć wojnę, mając takie zaplecze?

Ogarnął mnie gniew na decydentów, którzy wysłali naszych żołnierzy - a wśród nich Williama, męża Lily - by znosili te niewygody. Lepiej zginąć w walce, pomyślałam, niż zostać przyniesionym do takiego szpitala.

Pielęgniarki takie jak lady Mary Sims i pani Jarvis-Lee ogarniało coraz głębsze rozczarowanie, a ich pragnienie służenia krajowi szybko zanikało.

Panna Nightingale była zrozpaczona, ale ktoś taki jak ona nie daje tego po sobie poznać. Zorientowałam się, że już układa plany poprawy sytuacji i zaczyna się zmagać z nieoczekiwanymi trudnościami.

240

Przydzielono nam sześć pomieszczeń; jednym z nich była kuchnia, a pozostałe okazały się tak małe, że mogły się w nich zmieścić najwyżej dwie osoby.

- No cóż - powiedziała panna Nightingale - na razie musimy zaakceptować to, co tu jest. - Miała nadzieję, że później sytuacja się polepszy.

Kiedy zobaczyłyśmy nasze izdebki, jeszcze bardziej upadłyśmy na duchu, chociaż teraz byłyśmy przygotowane na niewygody. Pod ścianami wedle tureckiego zwyczaju stały otomany, na których miałyśmy spać. Były mokre i brudne.

- Pierwszą rzeczą, jaką musimy zrobić, to posprzątać nasze kwatery, a potem podzielić się tak, by dla wszystkich starczyło miejsca. Pamiętajmy, że nie przyjechałyśmy tu żyć w luksusach, ale leczyć chorych - oświadczyła panna Nightingale.

Natychmiast zabrałyśmy się do sprzątanía przydzielonych nam pomieszczeń. Eliza trzymała się z nami, gdyż od tego spotkania na pokładzie „Vectisa” stałyśmy się dobrymi przyjaciółkami. Opowiedziałam Henriecie o tym zdarzeniu; bardzo współczuła Ethel i Elizie i z wrodzonym taktem dała im do zrozumienia, że chce się z nimi zaprzyjaźnić. Eliza bardzo nam pomagała. Była urodzoną obrończynią. Większość pozostałych pielęgniarek trochę się bała tej dużej, władczej i wojowniczej kobiety. Stosunek Elizy do Ethel zdradzał wrodzoną dobroć i życzliwość, które usiłowała ukryć. I chociaż dała nam poznać, że trochę nami pogardza z powodu naszego sposobu zachowania i mówienia oraz tego, że nie potrafiłyśmy znosić niewygód, była naszą przyjaciółką.



- To będzie nasz kąpiel - powiedziała do mnie, mrugając okiem porozumiewawczo. - Posprzątam go i kiedy to zrobimy, będzie nasz. Spójrzcie - mówiła dalej, wskazując na stos śmieci. - Szczury! Przychodzą tu. Czego się można spodziewać, kiedy wszędzie jest tyle śmieci? Uważam, że tutejsze szczury żyją jak lordowie. Coś mnie swędzi. Nie zaskoczy mnie, jeśli są tu i pchły.

Bardzo cieszyło mnie towarzystwo obu tych kobiet; myślę, że Henriettę również. Wydawało mi się, że zaczynała myśleć, iż małżeństwo z lordem Carltonem okazałoby się lepsze od sytuacji, w jakiej teraz się znalazła. Henrietta nie była pielęgniarką z powołania, ale miała urodę i wdzięk, które sprawiły, że pacjenci szpitala w Kaiserwaldzie bardzo ją polubili. Ja natomiast wolałam pracować jako pielęgniarka niż w jakimkolwiek innym zawodzie i jeśli miałam to robić w Scutari zamiast w wymarzonym szpitalu w kraju, niech tak będzie.

241

Kiedy wracam myślą do przyjazdu do Scutari, ożywają we mnie niejasne wspomnienia. Najlepiej pamiętam biednych pacjentów leżących w łóżkach bez odpowiedniej odzieży i pościeli - tylko brudne prześcieradła miały ich chronić przed chłodem. Myślę o podłogach, po których biegały szczury; o ohydnych smrodzie choroby i rozkładu. Wiedziałam, że panna Nightingale jest oburzona na ministrów siedzących w zacisznych gabinetach w Londynie, którzy wysłali tych żołnierzy, żeby walczyli dla kraju, nie zapewniając im właściwego wyposażenia medycznego. Jacyż byli głupi! Jacy krótkowzroczni! Wszyscy w kraju myśleli, że armia brytyjska jest niezwyciężona. Ale do walki z chorobami trzeba czegoś więcej niż siły i potęgi. I od razu zdałam sobie sprawę, że to choroby - cholera i czerwonka - są groźniejszym wrogiem niż Rosjanie.

Najpierw długo szorowałyśmy i myłyśmy wszystko. Musiałyśmy zaprowadzić czystość w tym miejscu. Brud wraz z chorobą stały się przekleństwem wojny.

W szpitalu było bardzo mało świec i panna Nightingale powiedziała, że musimy je oszczędzać. Tak więc poszliśmy spać po ciemku i położyłyśmy się na naszych otomanach; Ethel i Eliza z jednej strony, Henrietta obok mnie.

- A to niezły łamaniec - oświadczyła Eliza. - Kto mógłby pomyśleć, że skończymy w czymś takim?

Leżałyśmy, przysłuchując się szczerom biegającym po podłodze, ale byłyśmy tak wyczerpane, że wkrótce zasnęłyśmy.

Następnego dnia spotkałam Charlesa Fenwicka. Zeszczupłał i wyglądał na zmęczonego. Starannie sprzątałyśmy nasze kwatery, gdyż w miarę jak lepiej poznawałyśmy szpital wojskowy, czułyśmy coraz mniejszą ochotę, by tu pracować. Oczywiście panna Nightingale miała rację, każąc nam przed przystąpieniem do właściwych obowiązków uporządkować wszystko najlepiej jak to możliwe. Było to niemal nadludzkie zadanie i należało je wykonać stopniowo, ale przynajmniej zrobiłyśmy dobry początek.

Charles usłyszał o naszym przyjeździe i przyszedł nas odwiedzić. Wziął mnie za rękę i popatrzyliśmy na siebie.

- Więc pani tu jest? A panna Henrietta? - spytał.

- Przyjechała ze mną.

- Muszą być panie strasznie wstrząśnięte.

Przyznałam, że tak jest. Nie oczekiwaliśmy luksusów, ale to...

- To przygnębia nas wszystkich. Ale dobrze pani wygląda, Anno.

- Dziękuję, czuję się dobrze - odrzekłam.

242

- Jest tu tak wiele do zrobienia. Epidemia cholery doprowadziła szpital do obecnego stanu. Mogliśmy sobie poradzić z ofiarami wojny, chociaż dostawy leków były niewystarczające. Człowiek czuje się chwilami całkiem bezradny.

- Da się chyba coś z tym zrobić teraz, kiedy panna Nightingale jest tutaj. Oświadczyła, że taki stan nie potrwa długo.

Charles się uśmiechnął.

- Tutejszy personel ma uprzedzenia względem niej. Cóż, władze nami poniewierają, Anno. Urzędnicy w kraju, którzy nic nie wiedzą o panujących tu warunkach... ludzie z Whitehall wydają tylko rozkazy. To się nie uda. - Spojrzał na mnie z niepokojem. - Anno, czy zdołają panie to znieść?

- Przybyliśmy tu, żeby wykonać pewne zadanie i zrobimy to - oświadczyłam stanowczym tonem.

- Pani i Henrietta tak. Zastanawiam się jednak nad pozostałymi pielęgniarkami. Wiem, że w Kaiserwaldzie panowały spartańskie warunki, ale nie takie jak tutaj. I wkrótce nadejdzie zima.

- Ojej, to niezbyt przyjazne powitanie, prawda? - powiedziałam.

- Nie mogę myśleć o pani i o Henriecie tutaj, widząc to, co panie dopiero zobaczą - ciągnął.

- Charlesie, przybyliśmy tu, by pielęgnować chorych i zrobimy to - odparłam.

- Ale Henrietta... nigdy tego nie wytrzyma. Nie jest tak silna jak pani, Anno. Nie taka zdeterminowana.

- Myślę, że tu zostanie - odrzekłam. - Muszę ją znaleźć. Będzie pan chciał się z nią zobaczyć. Przyproceedziłam ją do Charlesa.

Ujął jej dłonie i popatrzył na nią tak, jak przedtem na mnie. Uśmiechnęłam się do nich przyjaźnie. Uważałam, że Henrietta mu się podoba i wydawało mi się to oczywiste. Ta dziewczyna musiała podobać się każdemu.

- Charles! - zawołała. - Jak cudownie pana zobaczyć! Zupełnie jak dawniej. Mam wrażenie, że zaraz przyjdzie zaafetowana przełożona diakonis i spiorunuje mnie spojrzeniem.

- W Kaiserwaldzie było zupełnie inaczej, Henrietto - powiedziałam.

- Już to zauważyłam. Tutaj jest wiele do zrobienia.

- Mówiłem już pani Annie, że będzie tu paniom trudno. To nie miejsce dla kobiet - oświadczył.

- My bardzo się gniewamy na mężczyzn, którzy mówią takie rzeczy, czyż nie tak, Anno?

- Bardzo - zgodziłam się z nią.

243

- Niech Bóg was obie błogosławi. Ale ja naprawdę martwię się o panie - powiedział Charles.

- A co z chorymi, którzy tu przybywają? Jeszcze nie obejrzałyśmy sal szpitalnych, ale...

- Ten widok bardzo panie zmartwi - uprzedził nas.

- W takim razie przybyliśmy z pomocą na czas - powiedziałam dziarsko.

- My... słyszałyśmy, że doktor Adair jest tutaj - wtrąciła Henrietta. - Wie pan... ten, który napisał tamte książki.

- O, tak - potwierdził Charles. - Jest tutaj. Przebywa głównie w szpitalu ogólnym.

- A gdzie to jest? - spytała żywo Henrietta.

- To w rzeczywistości część tego samego szpitala. Około trzystu metrów stąd - wyjaśnił.

- Może pewnego dnia spotkamy tego słynnego podróżnika - powiedziała Henrietta z nadzieją.

- Przypuszczam, że go spotkacie. Często tu bywa. Zazwyczaj się wścieka z powodu braku najważniejszych dostaw... tak jak my wszyscy.

Wzmianka o tym człowieku obudziła drzemiące we mnie uczucia. Tak często o nim myślałam.

- Jestem pewna, że panna Nightingale coś zdołała - oświadczyłam z naciskiem. - Wysłała już depeche do Londynu. Teraz, kiedy jest tutaj, na pewno coś da się zrobić.

- Przypomina to wyciskanie krwi z kamienia. Ci pozbawieni rozsądku politycy w kraju! Nie ma sensu więcej o nich mówić, ale ponosi mnie złość.

- Doskonale pana rozumiem - odrzekłam. - A teraz musimy zabrać się do pracy. Mam nadzieję, że wkrótce się zobaczymy.

- Mam nadzieję, że będziemy się często spotykali - powiedział Charles. - W razie jakichś trudności proszę przyjść do mnie. Zobaczę, co się da zrobić.

- Czy to nie pocieszające? - zawołała Henrietta, obdarzając go rozkosznym uśmiechem.

- Wprawdzie nie powinienem... ale cieszę się, że panie tu są - odparł Charles.

- Nie powinien pan? - zapytała Henrietta. - Dlaczego?

- Z powodu tego, przez co panie będą musiały przejść - wyjaśnił ze współczuciem.

- Zapomina pan, że same podjęłyśmy decyzję - przypomniałam mu. - Tego właśnie pragniemy.

Uśmiechnął się do mnie.

244

- Wiem - odrzekł. - Uważam, że panie są wspaniałe. Wróciłyśmy do sprzątanania.

- Przeczuwam, że już wkrótce staniemy twarzą w twarz z naszym demonicznym doktorem - powiedziała do mnie Henrietta.

Miała rację.

Wiedziałam, że Charles wychodzi z sali szpitalnej o pewnej określonej porze, i jeśli był w pobliżu, lubił zamienić z nami kilka słów. Nie pozwolono nam jeszcze pielęgnować żołnierzy. Personel medyczny postanowił odsunąć nas jako niekompetentne od opieki nad pacjentami. Ale, jak powiedziała panna Nightingale, nie można zajmować się chorymi i rannymi bez fundamentalnej czystości, dlatego miałyśmy mnóstwo pracy do czasu, aż udowodnimy, że można nam zaufać jako profesjonalistkom.

W pobliżu sali szpitalnej znajdował się mały pokój i spodziewałam się, że Charles tam będzie. Kiedy podeszłam do drzwi, dobiegły mnie czyjeś głosy. Zawahałam się, a potem usłyszałam głośny monolog jakiegoś mężczyzny:

- Ja chcę dostaw leków... a nie bandy kobiet tej tam Nightingale. Do czego one w ogóle się tu przydadzą? Do niczego! To tylko cholerne zawalidrogi. Będą wszędzie mdlały, miały wapory, dostawały hysterii, żądały wygodnych łóżek i puchowej pościeli. Ja chcę leków, a oni przysyłają mi te głupie kobiety!

Ogarnęła mnie tak gwałtowna wściekłość, że stałam tam oniemiała.

Potem dobiegł mnie głos Charlesa:

- Myli się pan. Są wśród nich bardzo dobre pracownice. Będzie musiał pan zmienić o nich opinię.

- Wątpię. Och, wiem, że niektórym z tych dam podoba się rola pielęgniarek. Rzeczywistość będzie zupełnie inna. Wie pan, co się dzieje. Nasza armia jest dziesiątkowana nie przez Rosjan, lecz przez choroby i zaniedbanie. Nie mamy tu nic, czym moglibyśmy leczyć naszych żołnierzy. Nic, nic... a oni przysyłają nam gromadę „Słowików”\*.

\* Nightingale - po angielsku „słowik”.

Wkrótce będziemy przyjmowali rannych spod Bałakławy\*, a co mamy? Lekarstwa? Bandaże? Nie! Gromadę nikomu niepotrzebnych kobiet!

\* Bitwa pod Bałakławą - październik 1854.

Pod wpływem nagłego impulsu otworzyłam drzwi i weszłam do pokoiku. Czułam, że oczy mi płoną, a policzki zarumieniły się z gniewu.

245

- Anno! - zawołał Charles.

- Wszystko słyszałam - powiedziałam sucho.

Patrzyłam prosto na jego rozmówcę i od razu zorientowałam się, kogo mam przed sobą. Był wysoki i raczej szczuplejszy, niż sobie wyobrażałam; miał czarne włosy i oczy o tak ciemnym odcieniu brązu, że również wydawały się czarne. Z powodu wystających kości policzkowych jego twarz sprawiała wrażenie pociągłej; nos miał długi i prosty, a usta wykrzywiał uśmiech, który, jak przypuszczam, oznaczał rozbawienie. Wygląd doktora Damiena nie sprawił mi zawodu. Był niemal dokładnie taki, jak go sobie wyobrażałam.

- Ach! - powiedział. - Jeden ze Słowików. No cóż, mówi się, że ci, którzy podsłuchują, nigdy nie usłyszą nic dobrego o sobie.

- To jest doktor Adair, Anno - przedstawił nas Charles. - Adair, to panna Pleydell.

Uklonił się niemal ironicznie.

- Przeczytałam niektóre z pańskich książek - powiedziałam.

- Jak to miło z pani strony, że pani o tym wspomniała - odrzekł. Czekał na pochwały, a doczekał się wymownego milczenia.

- Przykro mi, że ma pan taką złą opinię o nas - podjęłam. - Nie sądzę, że jesteśmy tylko zawalidrogami.

- Panna Pleydell pracowała w Kaiserwaldzie - wyjaśnił Charles. - O ile wiem, zrobiła tam dobre wrażenie. Uznano ją za doskonałą pielęgniarkę. Panna Marlinton była z nią również. Jestem pewien, że zmieni pan zdanie... przynajmniej o tych dwóch damach.

Drżałam na całym ciele. Stał oto przede mną. W wyobraźni dodałam mu rogi na głowie i kopyta zamiast stóp. Wyobraziłam go sobie w diabelskiej jaskini Aubreya. Usiłowałam się uspokoić, ale traciłam panowanie nad uczuciami, które mną owładnęły. Przecież nasze spotkanie stanowi rezultat tego wszystkiego, co dotąd robiłam; myśl o zemście podtrzymywała mnie na duchu przez trwającą wiele miesięcy żałobę. I oto jestem tutaj. Odnalazłam swoją zdobycz. Któż by uwierzył, że stanie się to w szpitalu w Scutari? Od razu zdałam sobie sprawę, że ten człowiek jest niebezpieczny.

Usłyszałam głos Henrietty.

- Anno, jesteś tu? Czy doktor Charles też tu jest? Weszła do pokoiku.

- Henrietto, to doktor Adair - powiedziałam.

- Och! - Otworzyła szeroko oczy i przez chwilę obawiałam się, że z rozpedu coś powie.

- To panna Marlinton, która była w Kaiserwaldzie z panną Pleydell - wyjaśnił Charles.

246

Doktor Adair uklonił się sztywno.

- Witam pana - odezwała się Henrietta; rumieńce zabarwiły jej policzki, a oczy błyszczały z podniecenia.

- Doktor Adair właśnie wyrażał się o nas z pogardą - poinformowałam ją. - Myśli, że będziemy miały wapory, żądały wygodnych łóżek i puchowej pościeli.

- Każde łóżko byłoby lepsze od naszych zapchlonych otoman - powiedziała Henrietta. - Nie mam szczególnych wymagań co do puchu.

- Myślę, że znajdują panie więcej powodów do narzekań niż wasze otomany - oświadczył zimno doktor Adair.

- A ja uważam, że wykazały wielką odwagę, przybywając do Scutari - odparował Charles. - Żywię największy podziw dla nich wszystkich.

- Miejmy nadzieję, że wszyscy będą dzielili pańskie uczucia.

- Doktor Adair władczy ruchem głowy dał nam do zrozumienia, że spotkanie się skończyło.

- Ja również muszę wracać do pracy - odezwał się Charles. - Mam nadzieję, że u pań wszystko w porządku.

- Tak jak można się tego spodziewać - odparła Henrietta. Jego rozmówca skinął nam głową na pożegnanie i odszedł.

- Więc to jest doktor Adair! - zawołała Henrietta.

- Anno, nie powinna pani brać do serca tego, co powiedział -zwrócił się do mnie Charles.
- A co on właściwie powiedział? - zapytała Henrietta.
- Że jesteśmy nieudolną, bezużyteczną gromadą kobiet, nazwał nas bandą, i uznał, że staniemy się raczej zawadą niż pomocą.
- On po prostu dawał wyraz wściekłości, że nie ma lekarstw i bandaży, których potrzebuje. Bardzo go to złości. Nas wszystkich.
- Wcale nie mówił o dostawach, tylko o nas - nie ustępowałam.
- Wyrobił sobie opinię, zanim nas poznał. Jest arogancki, zadufany w sobie i niezdolny. Nie sądzę, żebym polubiła pańskiego doktora Adaira.
- Dlaczego nazywa go pani moim? - spytał nasz przyjaciel.
- Ponieważ widzę, że uważa go pan za kogoś w rodzaju bohatera - wyjaśniłam.
- Bardzo ciężko tu pracuje - bronił go Charles.
- Pan również. My wszyscy - odparowałam.
- Doktor Adair ma w sobie coś szczególnego.
- Tak. Aurę samozadowolenia. „To ja jestem tym wielkim człowiekiem. Cokolwiek zrobię, jest wspaniałe!”.
- Jak pani gwałtownie reaguje, Anno. Zdenerwował panią swoimi pochopnymi opiniami - uznał Charles.

247

- Nie tylko uwagami - odparłam zwięźle.
- Pragnęłam odejść stąd. Zaczynałam okazywać targające mną uczucia, co było niemądre. Żywiłam dla owego człowieka zbyt głęboką nienawiść, żebym mogła ją ukryć; to spotkanie - chociaż się go spodziewałam - w pewien sposób mnie zaskoczyło.
- Musimy już iść - powiedziałam do Henrietty.
  - Zobaczymy się później - pożegnał się Charles.
  - No cóż - odezwała się moja przyjaciółka, kiedy zostałyśmy same - więc to jest nasz diabeł. Robi wrażenie, prawda?
  - Jest dokładnie taki, jak go sobie wyobrażałam. Teraz, kiedy go zobaczyłam, nienawidzę go jeszcze bardziej niż przedtem... jeśli to w ogóle jest możliwe.
  - Hm - mruknęła Henrietta. - Powiedziałabym raczej, że jest fascynujący.
- Spojrzałam na nią zniecierpliwiona, a ona zaczęła się ze mnie śmiać.
- Wiesz - powiedziała - myślę, że to wszystko, co przeszliśmy, okaże się warte spotkania z nim.
- Zapomniałam jednak o wszystkim tego strasznego dnia, kiedy przywieziono rannych z bitwy pod Bałakławą do Scutari. Nie sposób opisać cierpienia tych biedaków. Aby dostarczyć nieszczęśników do szpitala, trzeba było przetransportować ich na noszach na płaskowyż. Serce się krajało na widok jęczących z bólu żołnierzy, kiedy tureccy tragarze niezdarnie wnosili ich po zboczu.
- Nie mieliśmy dostatecznej liczby łóżek dla wszystkich i wielu rannych musiało leżeć na podłodze. Dramatycznie brakowało koców i nie było dość bandaży. Ale najbardziej odczuwaliśmy brak leków.
- Lekarze byli zrozpaczeni. Jak mieli sobie poradzić z tak wielką liczbą rannych? Należało spojrzeć strasznej prawdzie w oczy: wielu z tych, których można by było uratować, gdybyśmy mieli dostateczne wyposażenie, umrze. Panna Nightingale zdecydowała, że dziesięć spośród nas zostanie wysłanych do szpitala ogólnego, który w rzeczywistości był oddziałem wojskowego; reszta naszej grupy miała pozostać na miejscu. Znalazłam się wśród tych delegowanych razem z Henriettą i byłyśmy zachwycone, że Elizę i Ethel również tam przydzielono. Zauważono, że żyjemy w zgodzie i prawdopodobnie uznano, iż dobrze będzie

przemieszczać pielęgniarki z obu obozów - dam, jak się same nazywały, oraz pozostałych - między którymi panowała pewna wrogość.

Najpierw pomyślałam, że będziemy pracować tam, gdzie on, i nie wiedziałam, czy mam się cieszyć, czy smucić.

248

Oczywiście, pragnęłam dowiedzieć się czegoś więcej o tym człowieku; ale z drugiej strony byłam pewna, że dojdzie między nami do konfliktu. Już pokazał, że nami pogardza. Nie wróżyło to dobrej współpracy między lekarzem i pielęgniarką.

Podczas owych strasznych dni byliśmy zbyt zajęte, żeby myśleć o czymkolwiek innym niż o pielęgnowaniu chorych. Cierpienia, które widziałam, tak mnie wytrąciły z równowagi, że próbowałam o niczym nie myśleć i udało mi się to w pewnym stopniu. Wspomnienia powracały jednak w dziwnych momentach. Dlatego opanowała mnie melancholia.

Kiedy wracam myślami do tamtych wydarzeń, widzę zamazany obraz krwi i same okropności - nigdy nie przypuszczałam, że kiedykolwiek ujrzę takie widoki. Nic lepiej nie odzwierciedlało potworności wojny niż to, na co napatrzyłam się w szpitalu w Scutari; a głupota i gruboskórność ludzi, którzy zgotowali ów los innym, budziły we mnie tak wielkie oburzenie, iż popychały mnie do wykonywania nawet takich prac, do jakich w innych warunkach zabrakłoby mi sił.

Dni przechodziły w noc. Przebywałam wśród rannych bez zastępstwa, śpiesząc od łóżka do łóżka. Od czasu do czasu zapadałam w sen na kilka godzin i wówczas także widziałam ból i cierpienie, które miałam zapamiętać na całe życie. Niezmiernie wzruszała mnie nadzieja w oszalałych z bólu oczach tych okrutnie poranionych nieszczęśników, a panna Nightingale przechodziła spokojnie przez sale szpitalne, trzymając wysoko lampę, przystawała przy łóżkach najciężej rannych, szepcząc kilka słów pociechy i mówiąc nam, co należy zrobić. Nigdy nie myślałam, że przeżyję takie potworności, że zobaczę tak okropne ludzkie cierpienia, a przecież podnosiło mnie to na duchu. Zrozumiałam, że takie jest moje przeznaczenie, że po to się urodziłam. Czułam, iż robię coś dobrego. Miałam moc uśmierzenia bólu i zdarzały się okazje, kiedy dotknięcie moich dłoni do czoła trawionego gorączką pacjenta zdawało się wywierać cudowny skutek.

Henrietta dobrze się spisała. Nie była tak silna jak ja i łatwo się męczyła, ale zauważyłam, że jej kobiecy wdzięk przynosił wielu rannym pociechę. Była piękna jak kwiat wśród tych wszystkich okropności; nic nie mogło pozbawić jej uroku i zgrabnej sylwetki, nawet wyczerpanie i nasze brzydkie uniformy. Łagodna Ethel za bardzo się wzruszała, ale pacjenci zauważyli to i pokochali ją za wrażliwość; co do Elizy, była bardzo silna i mogła z łatwością podnieść mężczyznę. Tak więc nasza czwórka na różne sposoby całkiem nieźle sobie radziła.

249

Za dnia, kiedy musiałyśmy tylko pracować, gdy pragnęłyśmy jedynie dobrze wykonać nasze niemal niemożliwe zadania, zapominałam o wszystkim oprócz wyznaczonych obowiązków. Nawet nie pamiętałam, że przybyłam tu ze względów osobistych, by odnaleźć człowieka, który, jak wierzyłam, zniszczył mojego męża i zabił moje dziecko - i zdemaskować jego niegodziwość. Był w pobliżu, pracował niezmordowanie jak my wszyscy. Widywałam go od czasu do czasu. Biały fartuch miał często poplamiony krwią, usta surowo zaciśnięte, oczy płonęły mu wściekłością i bardzo mnie to poruszyło. Czasami opryskliwie wydawał nam rozkazy w sposób wskazujący, że wiele się po nas nie spodziewa i zastanawia, dlaczego kręcimy się po jego szpitalu.

Zdawałam sobie sprawę z tego, że Adair wyczuwa moją obecność, chociaż często mijał mnie tak, jakby Charles nas sobie nie przedstawił. Niekiedy jednak kiwał lekko głową i rzucał jakieś polecenie.

- Proszę umyć tego pacjenta. Ostrożnie, bo bardzo cierpi. Niejednokrotnie chciałam wrzasnąć na niego, ale nigdy tego nie

zrobiłam i zawsze potulnie go słuchałam. W dziwny sposób podporządkowywał sobie otaczające go osoby i w całym szpitalu bardzo się go lękano i podziwiano.

Nadszedł pewien okropny poranek, kiedy wnoszono rannych, a wśród nich był mężczyzna z roztrzaskaną prawą nogą.

Usiłowałam złagodzić jego cierpienia, kiedy doktor Adair przyszedł z innym lekarzem nazwiskiem Legge. Wstałam, kiedy badali pacjenta, który wyglądał tak, jakby zaraz miała dosięgnąć go śmierć.

Doktor Legge odszedł na bok, a doktor Adair powiedział:

- Gangrena. Trzeba to amputować.

- Szok go zabije - odparł doktor Legge.

- Gangrena i tak go zabije. Zamierzam podjąć ryzyko i im wcześniej, tym lepiej.

- Już nigdy nie wstanie.

- Ja to zrobię - oświadczył doktor Adair. Potem zauważył mnie. - Może pani asystować - dodał.

Doktor Legge popatrzył na niego z przerażeniem. - Ależ... - zaczął.

- Przyjechała tu jako pielęgniarka - odparł doktor Adair. - Jeżeli kobiety zamierzają stać się profesjonalistkami w tym zawodzie, będą musiały się przyzwyczaić do widoku krwi. -

Spojrzał na mnie ironicznie. - Musimy wykorzystać to, czym dysponujemy. Bóg jeden wie, że to niewiele. - Jego spojrzenie było ostre jak skalpel.

250

Nie wiedziałam, czy ma na myśli mnie, czy wyposażenie; przypuszczałam, że jedno i drugie.

- Zaraz przeprowadzę operację.

- On tego zabiegu nie przeżyje.

- Jest niewielka szansa i zamierzam ją wykorzystać.

Sytuacja miała w sobie coś z koszmarnego snu. Operację zamierzał przeprowadzić na sali.

Nie było innego miejsca. Pacjenta położono na desce opartej na kozłach.

- To będzie okropne, panno... no, Słowiku - powiedział do mnie doktor Adair, wykrzywiając wargi. - Mam nadzieję, że pani nie zemdleje. To nikomu nie pomoże i nikt pani nie będzie ratować, jeśli tak się stanie. Nie opuścimy pacjenta, żeby podać pani sole trzeźwiące.

- Nie oczekuję, że pan to zrobi, i nie zemdleję - odparłam stanowczym tonem.

- Niech pani nie będzie taka pewna siebie. Musi pani dodać otuchy pacjentowi. Proszę trzymać go za rękę. Niech ściska pani dłoń. Proszę zrobić wszystko jak najlepiej.

- Zrobię to.

I zrobiłam. Użyłam całej mojej siły. Przez cały czas modliłam się gorąco.

- Dobry Boże - powtarzałam. - Dobry Boże. I tamten biedak powtarzał razem ze mną:

- Dobry Boże.

Nie patrzyłam na to, co się działo. Wiedziałam, że nie mogę tego robić. Po prostu trzymałam rannego za rękę, a on pochwyił moją, ściskając ją tak mocno, że aż zdrętwiała... i modliłam się głośno razem z nim.

Na szczęście stracił przytomność.

- Nic więcej nie może pani dla niego zrobić - powiedział doktor Adair.

Odwróciłam się. Czulałam, że przeszłam przez najcięższą próbę w życiu i całkiem nieźle wypadłam. Zobaczyłam Adaira następnego dnia i był na tyle nieuprzejmy, iż nic nie wspomniał o moim udziale w operacji.

Później tego samego dnia ranny mężczyzna umarł.

Dowiedziałam się o tym od samego doktora Adaira. Byłam poza salą szpitalną, kiedy go spotkałam.

- Nasza operacja się nie udała - oświadczył mi.
- Wydawała się... niepotrzebna - odpowiedziałam.
- Niepotrzebna! Czy wie pani, co to jest gangrena? To śmierć tkanek. To rezultat braku dopływu krwi.
- Wiem o tym. On i tak by umarł, ale uważam, że niepotrzebnie zadano mu dodatkowe cierpienia.

251

- Czy udziela mi pani porady, panno ee... Słowik?
- Oczywiście, że nie. Mówię tylko, że to smutne, iż człowiek, który i tak by umarł, musiał niepotrzebnie znieść amputację nogi - wyjaśniłam spokojnie.
- Naszym zadaniem jest ratowanie życia, panno Pleydell. Jeżeli jest choć nikła szansa, musimy ją wykorzystać. W najlepszym wypadku ocalimy życie ludzkie; w najgorszym zyskamy nowe doświadczenie.
- A więc pacjent, którego już wykorzystali politycy pragnący wojny, nadal może się do czegoś przydać. Może pomóc renomowanym lekarzom zyskać większą sławę - powiedziałam zjadliwym tonem.
- Właśnie - odparł. - Trafiła pani w sedno. Ukłonił się z ironiczną miną i poszedł dalej. Przeżycie to bardzo mną wstrząsnęło, ale nie miałam czasu na rozmyślenia. Ranni nadal przybywali z Bałakławy - na pewno była to najbardziej nieefektywna bitwa, jaką kiedykolwiek stoczono. Och, szarżę Lekkiej Brygady uznano za wspaniałą, a niektórzy nazwali ją nawet chwalebna - ci, co nie widzieli nieszczęśników ocalałych z tej rzezi. Szczęśliwcami okazali się żołnierze, którzy zginęli podczas tego dzikiego, szaleńczego ataku. Wkrótce potem lady Mary Sims i pani Jarvis-Lee wróciły do kraju. Oświadczyły, że sądzą, iż będą mogły lepiej służyć ojczyźnie w Anglii. Bardzo możliwe, gdyż zupełnie nie nadawały się na pielęgniarki, ale mogły odnieść duży sukces w organizowaniu balów i went dobroczynnych, zbierając fundusze dla szpitali. Ludzie dużo mówili o wybitnym doktorze Adairze. Mamy tak wielkie szczęście, że pracuje z nami w szpitalu w Scutari, powtarzano. Ja zaś uważałam, że jest dokładnie taki, za jakiego go uważałam - to dobry lekarz, lecz bez krzty współczucia czy wrażliwości. Nie wątpiłam, że patrzy na pacjentów jak na materiał doświadczalny. Powiedziałam sobie, że przez cały czas wiedział, iż amputując nogę tamtemu rannemu, nie uratuje mu życia; chciał jednak to zrobić w nadziei, że się czegoś nauczy. Ludzkie cierpienie go nie obchodziło. Liczyła się tylko żądza wiedzy i, oczywiście, zyskanie większej sławy. Wreszcie napływ rannych zaczął się zmniejszać. Pogrzebano zmarłych, a reszta pozostawała między życiem i śmiercią. Nie widziałam doktora Adaira już przez dwa dni i doskonale zdawałam sobie z tego sprawę, gdyż dni te wydały mi się dziwnie puste. Brakowało mi wybuchów urazy i gniewu, które w tak dużym stopniu stały się częścią mojego życia.

252

Byłam teraz bardziej zdeterminowana niż kiedykolwiek, by ów demoniczny doktor dostał to, na co zasłużył - pod pewnymi względami sama jeszcze nie zdawałam sobie sprawy dlaczego. A potem usłyszałam, że już go nie ma.

Chociaż doktor Fenwiek pracował w szpitalu wojskowym, oddział ten znajdował się tak blisko naszego, że spotykaliśmy się od czasu do czasu; a kiedy zobaczyłam Charlesa, zapytałam, co z doktorem Adairem.

- Wyjechał... myślę, że na kilka tygodni.
- Chyba nie na święta! - powiedziałam z oburzeniem.
- Może po prostu chciał trochę odpocząć.
- Odpocząć?! W takiej sytuacji?



- Bardzo ciężko pracował - bronił go Charles.  
- Tak jak my wszyscy. Myślałam, że jego miejsce jest tutaj - odparłam.  
- Pracował dniami i nocami - tłumaczył nasz przyjaciel.  
- My też. - Zastanowiłam się, dlaczego wszyscy tak go bronią. I tylko tyle się dowiedziałam. Życie płynęło dalej. Kiedy Brytyjczycy zwyciężyli w bitwie pod Inkermanem\*, myśleliśmy, że wkrótce Sewastopol wpadnie w nasze ręce, co, jak przypuszczaliśmy, stanie się punktem zwrotnym w tej wojnie.

\* Bitwa pod Inkermanem - listopad 1854.

Niestety, nasz rząd znów źle ocenił sytuację. Oblężenie Sewastopola trwało i miało trwać jeszcze przez jakiś czas. Nie będzie łatwego zwycięstwa.

Zima zbliżała się szybko, a ranni wciąż napływali do szpitala. Miałyśmy bardzo mało wolnego czasu, ale myślę, że rozumiano, iż potrzebujemy trochę odpoczynku, bo jeśli nie będziemy go miały, same zachorujemy.

Mogłyśmy opuścić szpital na kilka godzin i powiedziano nam, że nasza grupa może wziąć jedną z tureckich łodzi i obejrzeć Konstantynopol.

Wyruszyło nas sześć. Nie pozwolono nam zwiedzać stolicy Turcji parami. Część z nas miała przy okazji odebrać potrzebne zaopatrzenie.

Myśl, że opuścimy ponury szpital i wszechobecne cierpienie, naprawdę nas uradowała i wszystkie postanowiłyśmy, że przez ten krótki czas musimy przestać myśleć o okropnościach, którymi żyłyśmy tak długo i które będą na nas czekać po naszym powrocie.

Łódź przewiozła nas na drugi brzeg Bosforu i ujrzałyśmy przed sobą Konstantynopol. Sama nazwa tego miasta brzmiała romantycznie,

253

a jak wspaniale wyglądało ze swymi kopułami i minaretami! Był tam stary zamek Siedmiu Wież z jego ponurą historią; zbuntowani żołnierze uśmiercili w nim wielu władców i latami trzymano tam licznych więźniów, poddając ich straszliwym torturom. Chciałam zobaczyć pałac Topkapi, siedzibę władców, słynącą z bajecznych bogactw i haremów.

Często patrzyłam na drugą stronę tego wąskiego paska wody i czułam, że tam znajduje się nieznan mi świat, świat tak bardzo różny od wiktoriańskiej Anglii - może nieco bardziej podobny do Indii, które znałam w dzieciństwie, zanim spojrzałam na nie oczami dorosłej kobiety i straciły tak wiele ze swego uroku.

Uprowadzono nas, że musimy zachować ostrożność. Wiedziałyśmy, iż w rzeczywistości są tam dwa miasta - jedno zwane chrześcijańskim Konstantynopolem, a drugie, często nazywane Stambułem, to dzielnica turecka, która leży na południowym brzegu Złotego Rogu. Mosty łączyły oba te miasta i powiedziano nam, że pod żadnym pozorem nie wolno nam się zapuścić do Stambułu.

Bardzo podnieciła mnie myśl, że znajdę się wśród saraceńskich i bizantyjskich budowli i pragnęłam zwiedzić Konstantynopol.

Przypuszczam, że rzucałyśmy się w oczy w naszych uniformach z płóciennymi szarfami, na których czerwoną nicią wyszyto napis: „Szpital w Scutari”. Zauważyłam, że ludzie zerkali na nas i robili miejsce, by nas przepuścić.

Bazary i wąskie uliczki najbardziej przyciągnęły uwagę większości pielęgniarek. Kłębił się w nich tłum i z trudnością trzymałyśmy się razem. Henrietta wsunęła mi rękę pod ramię.

- Nie zgub mnie - szepnęła. - Przeraziłabym się, gdyby tak się stało.

Ulice stawały się coraz węższe, sklepy wyglądały jak ciemne pieczary, w których wystawiono na sprzedaż najróżniejsze towary... wyroby z mosiądzu i miedzi, biżuterię, jedwabie. To tu, to tam właściciel siedział przy drzwiach, pałac nargile; docierała skądś dziwna muzyka; bosonodzy chłopcy biegli przez tłum, popychając nas i przypominając, że musimy uważać na niewielkie sumy pieniędzy, które miałyśmy przy sobie.

Zatrzymałyśmy się przy jakimś kramie, by obejrzeć kolczyki. Ozdobiono je różnokolorową emalią i były bardzo ładne.

- Raczej nie pasują do sali szpitalnej - zauważyłam.

- Moja droga, nie zostaniemy tu do końca życia. Zaczekaj, Sewastopol padnie i wrócimy do kraju - odparła Henrietta.

- Obyś się nie myliła.

- Chcę kupić kilka par. Te niebieskie. Ty powinnaś kupić zielone.

254

Stary kupiec odłożył nargile, wężąc interes, lecz transakcja zabrała nam mało czasu.

Powinnyśmy się targować, ale nie wiedziałyśmy jak i myślę, że sprawiłyśmy zawód temu handlarzowi, który wolałby raczej niższą cenę i nieco rozrywki.

Kiedy już zapłaciłyśmy za kolczyki, zauważyłyśmy, że oddzieliłyśmy się od reszty grupy.

- To nieważne - oświadczyła Henrietta. - Znajdziemy powrotną drogę.

- Uważam, że powinnyśmy to zrobić natychmiast - odpowiedziałam.

Próbowałyśmy zawrócić, lecz zamiast wyjść z labiryntu bazarowych uliczek, jeszcze się w nich zagłębiłyśmy.

Zauważyłam, że obserwuje nas jakiś ciemnowłosy mężczyzna o smagłej cerze i wydało mi się, że podąża za nami.

Doszłyśmy do jakiejś alei.

- Chodźmy nią - zaproponowała Henrietta. - Jest mniej zatłoczona. Może znajdziemy kogoś, kto mówi po angielsku i wskaże nam drogę.

Nie uszłyśmy daleko, kiedy, ku naszemu przerażeniu, zorientowałyśmy się, że znalazłyśmy się w ślepym zaułku. A gdy spróbowałyśmy zawrócić, kilku chłopców - musieli mieć po kilkanaście lat - ruszyło w naszą stronę. Dwóch wślizgnęło się za nas, a pozostali zastąpili nam drogę.

Wzięłam Henriettę za ramię i spróbowałam ich wyminąć, ale nas okrążyli. Jeden chwycił mnie za płaszcz; pozostali trzymali moją przyjaciółkę za rękaw.

- Chcemy dotrzeć do caiques. Musimy wrócić do szpitala - powiedziałam.

Jeden z chłopców podszedł bliżej i wyciągnął rękę.

- Pieniądze - poprosił. - Wy dać biednemu chłopcu. Henrietta spojrzała na mnie.

- Jesteśmy biednymi pielęgniarzami - odrzekła. - Nie mamy pieniędzy.

Widać było, że nie zrozumiał ani słowa. Patrzyli na nas groźnie.

Nie wiem, co by się wtedy stało, ale ów ciemnowłosy mężczyzna, którego widziałam na bazarze, pojawił się w alei. Podszedł prosto do nas i obrzucił chłopców potokiem słów, które musiały być przekleństwami. Podziały, gdyż napastnicy się rozbiegli.

Odwrócił się ku nam. Znał tylko kilka angielskich słów, co utrudniało porozumienie, ale uznałam, że pyta nas, czy może nam pomóc.

- Chcemy pójść do łodzi - wyjaśniłam. - Musimy wrócić do szpitala.

255

- Szpital - powtórzył, kiwając głową i wskazując na nasze szarfy. Popatrzyłam z ulgą na Henriettę. Wyglądało to na uśmiech losu.

- Idźcie za mną - polecił nasz wybawca.

Wyprowadził nas ze ślepego zaułka do miejsca, gdzie stały dwa lub trzy pojazdy konne, najwidoczniej czekające na pasażerów.

- Nie potrzebujemy powozu - powiedziałam. - Nie możemy być daleko od wybrzeża.

Ale on już podawał Henriecie rękę, pomagając jej wsiąść do jednego z tych pojazdów.

Usiadłam obok niej, protestując, lecz gdy usiłowałam ją stamtąd wydostać, powóz ruszył i nasz wybawca zaczął udzielać wskazówek woźnicy.

Nie minęło dużo czasu i zauważyłam, że nie jedziemy w stronę wybrzeża.

- To nie tędy - mruknęłam do Henrietty. Otworzyła szeroko oczy z niepokojem.

- Och, Anno, jak ci się zdaje, co to znaczy?

Wzruszyłam ramionami i potrząsnęłam głową. Nie śmiałam sobie wyobrazić, jakie zamiary ma ten mężczyzna, a, ku wielkiemu przerażeniu, zdałam sobie sprawę, że przejeżdżamy przez jeden z mostów przerzuconych nad Złotym Rogiem, oddalając się z chrześcijańskiego Konstantynopola do tej części miasta, której polecono nam unikać.

Koń przyspieszył biegu i pomyślałam, że w każdej chwili możemy się wywrócić; ale tak się nie stało, chociaż obawiałam się, że dzieci lub starsze osoby na naszej drodze zostaną stratowane; jednak w jakiś sposób przechodnie zawsze zdołali uciec. Dotarliśmy do ulicy, przy której stało kilka wysokich domów; wyglądały na ciemne i tajemnicze, ponieważ było w nich mało okien.

Później nasz powóz skręcił w jakąś bramę i znaleźliśmy się na podwórzu.

- Wsiąść - powiedział mężczyzna.

Spojrzałam na Henriettę, zastanawiając się, czy powinnyśmy odmówić. Nie miałyśmy jednak wyboru. Mężczyzna dał nam jasno do zrozumienia, że musimy go posłuchać. Najpierw wyciągnął Henriettę, a potem mnie i trzymając nas za ramiona, poprowadził przez drzwi do jakiegoś ciemnego korytarza. Zobaczyłyśmy przed sobą schody.

- Do góry! - rozkazał. Odwróciłam się do niego.

- Proszę posłuchać - powiedziałam głośno. - Gdzie jesteście? Żądam, żeby pan nam powiedział. Jesteśmy pielęgniarkami. Angielskimi pielęgniarkami. Dał nam pan do zrozumienia, że zabiera nas pan na wybrzeże.

256

Gdzie się znajdujemy? Nie zrobię dalej ani kroku.

W odpowiedzi chwycił mnie za ramię i pchnął w górę po schodach. Henrietta jęknęła:

- Anno...

- Musimy się stąd wydostać - szepnęłam.

- Ale jak...?

Jakiś mężczyzna pojawił się na szczycie schodów. Nieznajomy, który nas tu przywiózł, powiedział coś do niego i ten drugi odszedł na bok. Rozmawiali z podnieceniem kilka sekund; później pierwszy złapał nas za ręce i zmusił do wejścia do innego korytarza.

Wepchnięto nas do małego, ciemnego pomieszczenia z grubymi kotarami; pod ścianami stały otomany; i zamknięto za nami drzwi.

Podbiegłam i próbowałam je otworzyć. Nie udało mi się to, gdyż były zamknięte na klucz.

- To na nic - oświadczyła Henrietta. - Zostałyśmy uwięzione. Patrzyłyśmy na siebie, starając się udawać, że nie jesteśmy tak przerażone, jak naprawdę byłyśmy.

- Co to znaczy? - spytała moja przyjaciółka. Pokręciłam głową.

- Zachowałyśmy się jak idiotki. Dlaczego się zgubiłyśmy? Te nieszczęsne kolczyki...

- Myślałam, że pozostała czwórka jest za nami - odrzekła.

- Co teraz? - zapytałam.

Dosłownie widziałam, jak ponure myśli przychodzą jej do głowy, jak Henrietta formułuje je w zdania.

- Słyszałam o czymś takim. Było wiele przypadków kobiet... porwanych... zamienionych w niewolnice... w haremach - powiedziała.

- O, nie! - jęknęłam.

- Czemu nie? Przecież tak żyją tureccy sułtani, prawda? Mają kobiety w swoich haremach. Biorą je do niewoli podczas wojen i biedaczki stają się ich niewolnicami.

- Przecież to nasi sojusznicy. Nie zapominaj, że walczyliśmy w ich sprawie - odparłam.

- A czy ich to powstrzyma? Ten mężczyzna szedł za nami. Może to wszystko zostało z góry ukartowane... ci chłopcy, którzy mieli nas okrążyć, a on przyszedł i uratował nas... żeby przywieźć tutaj. Myślisz, że to pałac jakiegoś sultana?

- Na pewno nie Topkapi - odrzekłam z przekonaniem.

- Och, Anno, mam nadzieję, że nas nie rozdzielią. Przez te wszystkie ponure dni pragnęłam, żeby coś się stało.

257

Tak miałam dosyć krwi, chorób i całego tego okropieństwa. Modliłam się, by coś się wydarzyło... cokolwiek, powiedziałam, żebym się stamtąd wydostała... a teraz nas to spotkało. Zastanawiam się, jak jest w haremie?

- Wydaje mi się, że nie jest to odpowiedź na twoje modlitwy. Tylko spójrz na nas, na pewno nie jesteśmy kobietami godnymi pożądaniami. Te uniformy... Spójrz na moje włosy, tutaj nigdy nie mogę ich porządnie umyć. Obie jesteśmy blade i wyglądamy na zmęczone. Na pewno nie jesteśmy pięknosciami pasującymi do sultańskiego seraju - próbowałam ją pocieszyć.

- Ale wydajemy się inne. Może uważają nas za pociągające, ponieważ jesteśmy cudzoziemkami; a kiedy wykapią nas w oślim mleku i przyozdobią klejnotami, możemy się okazać naprawdę fascynujące. - Wybuchnęła śmiechem, ale słyszałam histeryczną nutę w jej głosie.

- Przestań, Henrietto - odrzekłam. - Będziemy potrzebowały całej naszej inteligencji. Musimy poszukać drogi ucieczki. Uważaj.

Chwyciła mnie za ramię.

-Musimy zostać razem. Nie boję się, ponieważ jesteś tutaj... a przynajmniej nie tak bardzo, jak gdybym była sama.

- Cokolwiek się stanie, spróbujemy trzymać się razem - oświadczyłam.

- A co pomyślą w szpitalu? - zaniepokoiła się Henrietta.

- Że nie posłuchałyśmy rozkazów i zostawiłyśmy naszą grupę.

- To grupa nas zostawiła! - zaprotestowała. - Myślisz, że wyślą kogoś na poszukiwania?

- Oczywiście, że nie. Wszyscy są potrzebni do ważniejszych zadań - powiedziałam ponuro.

- Anno, co się z nami stanie?

- Poczekamy, zobaczymy. Bądź gotowa. Musimy się wydostać z tego miejsca.

- W jaki sposób? A nawet jeśli to zrobimy, to i tak nie wiemy, gdzie jesteśmy! — zauważyła bezradnie.

- Możemy znaleźć drogę na wybrzeże. To wystarczy. Tam wszędzie są łodzie. Posłuchaj. Drzwi się otworzyły. Skoczyłyśmy ku nim. W progu stał ciemnowłosy mężczyzna, który nas porwał.

- Chodźcie! - rozkazał.

- Dokąd nas pan prowadzi? - zapytałam. Nie odpowiedział.

Henrietta i ja spojrzałyśmy na siebie. Czekaliśmy na taką sposobność. Kiedy nadejdzie, musimy być gotowe.

258

Trzymając obie mocno, porywacz zaprowadził nas w górę po schodach. Dopiero wtedy puścił Henriette, żeby zastukać w drzwi. Męski głos odpowiedział coś, wtedy porywacz otworzył drzwi i wepchnął nas do pokoju.

Grube zasłony były zaciągnięte. Zobaczyłam stolik, na którym stała ozdobna lampa, oświetlająca wnętrze słabym blaskiem. Jakiś mężczyzna leżał na otomanie; choć nosił turban, natychmiast dostrzegłam w nim coś znajomego.

Pomyślałam, to niemożliwe, a jednak... A kiedy przemówił, rozpoznałam go.

- Para Słowików! - powiedział.

- Doktor Adair! - wyjąkała Henrietta.  
- Wiedziałem, że sprowadzenie tu gromady kobiet spowoduje kłopoty - oznajmił.  
- Co to wszystko znaczy? - zapytałam. Szybko wyzwoliłam się ze strachu, który dręczył mnie przez ostatnią godzinę, a jego miejsce zajęły niewymowna radość i ogromna irytacja. - Znieważono nas... przywieziono tutaj wbrew naszej woli. Pozwolono nam przypuszczać, że... Spojrzałam na Henriettę. Jej nastrój również się zmienił. Dostrzegłam błysk podniecenia w oczach mojej przyjaciółki.  
- Wy tłumaczenie jest bardzo proste - odrzekł. - Dwie niemądre kobiety odważyły się wędrować po bazarach, gdzie omal nie zostały ograbione, ale uratowano je i przyprowadzono tutaj. Niech panie podziękują losowi za to, że były w tych uniformach. Szarfy, które panie noszą, są waszymi talizmanami. Szpital w Scutari. Wszyscy wiedzą, gdzie to jest i że przybyłyście stamtąd. To dlatego przyprowadzono panie tutaj.  
- Do pana? - spytałam.  
- Mam przyjaciół w tym mieście, moje powiązania ze Scutari są znane. Dlatego kiedy dwa Słowiki opuściły gniazdo i znaleziono je fruujące po biednych dzielnicach Konstantynopola, zostały schwytane i przyprowadzone do mnie.  
- Nie mogę w to uwierzyć - powiedziałam.  
- A jak inaczej mogło się stać? - zapytała Henrietta.  
- Właśnie, jak inaczej? Jestem zaskoczony, że pozwolono paniom samym chodzić po Konstantynopolu.  
- Przyjechałyśmy do miasta całą grupą - wyjaśniła Henrietta.  
- I zostawiły panie swoje towarzyszki? - zapytał.  
- To one nas zostawiły. Zatrzymałyśmy się, żeby coś kupić, a potem już ich tam nie było.  
- Ale co to za miejsce? - zawołałam. - Co pan tu robi? To nie jest szpital.  
259

- Mam własne życie poza szpitalami - odparł. - Dlaczego tu jestem, to wyłącznie moja sprawa.  
- I w dodatku ubrany jak sułtan! - zachichotała cicho Henrietta. Biedaczka naprawdę się przestraszyła i widziałam, że nadal jest bliska hysterii.  
- Cóż, z pewnością obie panie są dobrze wychowanymi młodymi damami, a wasze nianie wielokrotnie powtarzały, iż w wyższych sferach nie zadaje się impertynenckich pytań.  
- Nie uważam tego za impertynenckie... - zaczęła moja przyjaciółka.  
- Czy zechce nam pan wyjaśnić, co się stało? - przerwałam jej.  
- Oczywiście. Pewien mój przyjaciel zauważył panie na ulicach Konstantynopola. Zobaczył, że łatwo możecie znaleźć się w niebezpiecznej sytuacji. Obserwował panie jakiś czas i poszedł za wami do miejsca, gdzie omal nie zostałyście obrabowane... a może nawet skrzywdzone. Uratował panie i ponieważ było jasne, skąd jesteście, przywiózł was tutaj. Miałyście dzisiaj bardzo dużo szczęścia. Po pierwsze dlatego, że nosicie wasze uniformy, a po drugie, że przypadkiem znalazłem się tu w samą porę. Przypuszczam, że otrzymają panie naganę za późny powrót do szpitala i mam nadzieję, iż zostaniecie odpowiednio potraktowane. To powinno posłużyć paniom za lekcję życia. Nigdy, przenigdy nie zapuszczajcie się na te ulice samotnie. To nie Bath czy Cheltenham, a dobrze wychowanym młodym damom nie powinno się pozwolić chodzić samotnie nawet tam. Turcja to obcy kraj, bardzo odmienny od naszego. Obowiązują tu inne pojęcia... maniery, zwyczaje, wszystko. Pamiętajcie o tym. Poczęstuję teraz panie kawą, gdyż czekamy na pewnego mojego przyjaciela, który zabierze was z powrotem do szpitala.  
- A pan?... - zaczęłam. Uniósł brwi.  
- Ja... ja myślałam, że może pan też wraca - wyjąkałam. - Liczba rannych rośnie. Wydaje się...  
- Obrzuciłam spojrzeniem pokój i doktora Adaira w turbanie. Wyglądał prawie jak

cudzoziemiec. Odniosłam wrażenie, że ma ciemniejsze włosy i cerę, a także bardziej błyszczące oczy.

- Widzę, że zarzuca mi pani, iż sobie pobłażam - powiedział.

- Pan jest potrzebny w szpitalu.

Uśmiechał się do mnie dziwnie - nie mogłam zupełnie zrozumieć tego uśmiechu.

W tej chwili usłyszałam stukanie do drzwi i do pokoju wszedł jakiś mężczyzna z mosiężną tacą, na której niósł kawę i ciastka.

260

Doktor Adair powiedział do niego coś, czego nie rozumiałam, a tamten postawił tacę na stole.

- Powinny panie napić się czegoś pocrzepiającego. - Gospodarz zwrócił się do nas. - To dlatego piją tu kawę. Mam nadzieję, że będzie wam smakować.

Usiadłyśmy na otomanie obok niego i poczęstował nas mocną, gęstą kawą po turecku oraz aromatycznymi ciasteczkami. Popatrzył na nas poważnie i rzekł:

- Nie wątpię, że przygoda pań na wojnie krymskiej staje się trochę męcząca. Tak to już bywa z przygodami. Nigdy nie są takie, jak je sobie wyobrażamy, kiedy wyruszamy w drogę.

Przypuszczam, że widziały panie siebie w czystych białych fartuchach i w twarzowych sukniach, odgrywające rolę aniołów miłosierdzia wobec wdzięcznych żołnierzy.

Rzeczywistość jest nieco inna, prawda?

- Nie spodziewałyśmy się, że będzie tak różowo - odparłam. - Wiedziałyśmy, że czekają nas niewygody, że zobaczymy cierpienie.

- Ale takie niewygody? Takie cierpienie?

- Widziałyśmy chorych w Kaiserwaldzie - dodała Henrietta. - Muszę jednak przyznać panu rację. Nigdy nie oczekiwałyśmy czegoś tak okropnego.

- A gdyby tak było, nie przyjechałyby tu panie - ciągnął.

- Ja bym nie przyjechała. Ale Anna tak. Prawda, Anno? - zwróciła się do mnie.

- Tak - odrzekłam. - Ja bym przyjechała. Popatrzył na mnie dość sceptycznie.

- Jest pani młodą kobietą, która nigdy nie przyzna, że się pomyliła.

- To nieprawda. Często się mylę.

- Tak, w banalnych sprawach. Ale w wielkich przedsięwzięciach? — zapytał ironicznie.

- Znów pan nie ma racji. Próbowалаm rozwiązać ważne problemy i poniosłam porażkę, nigdy jednak nie wmawiałam sobie, że stało się tak nie z powodu moich własnych słabości i niedociągnięć - odpowiedziałam spokojnie.

- Anna to niezwykła kobieta - powiedziała Henrietta. - Takich osób jest niewiele.

Zrozumiałam to, gdy tylko ją ujrzałam. To dlatego przyszedłam do niej, kiedy postanowiłam odmienić swoje życie.

Przeniósł spojrzenie z jednej z nas na drugą, kiwając powoli głową.

- I oczywiście zamierzają panie zostać?

- Tak, zostaniemy dopóty, dopóki będziemy tu potrzebne - odparłam.

261

- Ale ja mam nadzieję, że wojna wkrótce się skończy - dodała Henrietta. - Ludzie mówią, że Sewastopol długo się nie utrzyma i że jest kluczem do zwycięstwa. Kiedy padnie, wojna się skończy.

- Owi „ludzie” często sami się oszukują. Optymizm to dobra cecha i bardzo pomocna - ale realizm znacznie bardziej się przydaje.

- Chce pan powiedzieć, że pana zdaniem Sewastopol nie padnie szybko? - zapytałam.

- Myślę, że Rosjanie doskonale wiedzą, jaki jest ważny, i są tak samo zdeterminowani, by go utrzymać, jak Brytyjczycy i Francuzi pragną go zdobyć.

- Chyba nie mogłabym znieść długich lat w takiej sytuacji - oświadczyła Henrietta.  
- W takim razie powinna pani wrócić do kraju. O ile wiem, niektóre pielęgniarki już to zrobiły - powiedział.

- Te, które nie zrozumiały, czym jest pielęgniarstwo, wróciły - wtrąciłam. - Ale uważam, że nie mamy czego żałować.

Znów rozległo się stukanie do drzwi. Doktor Adair zawołał coś - przypuszczalnie po turecku - i mężczyzna, który przedtem przyniósł kawę, zajrzał do pokoju, a towarzyszył mu jeszcze ktoś. Nowy gość był wysoki, miał brązowe oczy i włosy, ale wyglądał na jasnowłosego i jasnookiego w porównaniu z naszym gospodarzem.

- Philippe! - powiedział doktor Adair. - Dobrze, że przybyłeś tak szybko. Pozwól, że cię przedstawię. Monsieur Philippe Lablanche, panna Pleydell, panna Marlinton.

Philippe Lablanche uklonił się nam obu.

- Na swoje nieszczęście zabłądziły w Konstantynopolu - wyjaśnił doktor Adair. - Czy zechcesz je zabrać z powrotem do Scutari?

- Z przyjemnością - odrzekł szarmancki Francuz. W jego oczach dostrzegłam podziw, prawdopodobnie dla Henrietty, która wyglądała ślicznie mimo brzydkiego uniformu pielęgniarki.

- Nie poczęstuję cię kawą - ciągnął doktor Adair - ponieważ obie panie powinny bezzwłocznie wrócić do szpitala. Monsieur Lablanche jest jednym z naszych nieocenionych sojuszników. Roztoczy nad paniami troskliwą opiekę. - Teraz mówił do nas.

- Zrobię, co będę mógł.

- Na dziedzińcu czeka powóz, który zawiezie was na wybrzeże.

- W takim razie musimy jechać, proszę pań - oświadczył monsieur Lablanche.

Gdy wstałyśmy, zwróciłam się do naszego gospodarza:

- Musimy panu podziękować. W odpowiedzi pochylił głowę.

- Co byśmy bez pana zrobiły... - zaczęła Henrietta.

262

- To warte zastanowienia - odrzekł. - Proszę uznać to za ważne doświadczenie i w przyszłości postępować w bardziej przemyślany sposób.

- Ja naprawdę wyobrażałam sobie, że nafaszerują nas narkotykami i zawloką do czyjegoś haremu - powiedziała mu.

- Mam nadzieję, że zawód, który panią spotkał, nie jest zbyt wielki.

Henrietta wybuchnęła śmiechem.

- No cóż, na szczęście wszystko dobrze się skończyło. Dziękuję panu, doktorze Adair.

Dziękuję tysiąc kroć.

- Raz wystarczy - odpowiedział. I wyszliśmy.

Tak jak mówił, na dziedzińcu czekał już powóz. Kiedy wsiedliśmy, nie mogłam opanować radości i trochę zaintrygowała mnie nasza przygoda. Co on tu robił w takim stroju, dlaczego zachowywał się jak turecki pasza? Co to wszystko mogło oznaczać?

Jakiż zeń tajemniczy człowiek! Im więcej o nim wiedziałam, tym bardziej mnie intrygował. Philippe Lablanche okazał się czarujący. Był bardzo uprzejmy, zwłaszcza w porównaniu z doktorem Adairem. Pokazał nam punkty orientacyjne w starym mieście, kiedy przejeżdżaliśmy. Zapadł już zmierzch i muezini ze szczytu minaretów wzywali wiernych do modlitwy. Konstantynopol, piękny i tajemniczy, w półmroku wydawał się pociągający, a jednocześnie groźny. Spojrzałam na Henriettę. Oczy miała szeroko otwarte, podniecenie zarumieniło jej policzki. Wyglądała jak w transie.

Philippe Lablanche wyjaśnił nam, że towarzyszy armii francuskiej i że doktor Adair to jego wielki przyjaciel.

- To wspinały człowiek - oświadczył. - Nie znam nikogo takiego jak on. On jest... co się mówi, kiedy jakiś człowiek jest...
- Wyjątkowy? - podsunęłam.
- Co to znaczy „wyjątkowy”? - zapytał.
- Kiedy nie ma na świecie nikogo takiego jak on — wytłumaczyłam.
- Taki właśnie jest doktor Damien Adair - powiedział.
- Czytał pan jego książki? - zapytałam.
- Ależ oczywiście. Zostały przetłumaczone na francuski, dlatego je przeczytałem. Ale może tłumaczenie nie jest najlepsze. Pewnego dnia przeczytam wszystko tak, jak doktor Adair je napisał.
- To człowiek, który lubi przygody.
- On nimi żyje - dodał.
- Pan także musiał przeżyć wiele przygód, monsieur Lablanche.

263

- Tak, tak. Jak to na wojnie.
- Przypuszczam - wtrąciła się Henrietta - że nie powinniśmy pytać o to, czym się pan zajmuje?
- Pani wszystko rozumie - odparł.
- W takim razie - ciągnęła - nie będziemy o nic pytać. Pozwolimy popracować naszej wyobraźni i nigdy nie będziemy miały pewności.
- To bardzo miło z pani strony... że tak wiele pani o mnie myśli.
- To pan jest bardzo miły. Odwozi nas pan w bezpieczne miejsce.
- Wie pani, że doktor Adair ma rację. Damy nie powinny chodzić same, to nierozsądne.
- Wyobrażałyśmy sobie, że nas zabierają do haremu jakiegoś sułtana - powiedziała Henrietta ze śmiechem.
- Och, to możliwe, takie rzeczy już się zdarzały. Pewne damy zostały porwane. Powinny panie zrozumieć, że ci ludzie nie czują tak jak my.
- Wiemy - odrzekłam. - W niektórych państwach kobiety się nie liczą, istnieją tylko po to, by służyć mężczyznom.
- Tak właśnie jest, mademoiselle. Rozumieją więc panie, że w obcych krajach musimy być przygotowani na obce zwyczaje.
- Nigdy nie zapomnimy tego dnia, prawda, Anno? - powiedziała Henrietta. - Najpierw kilka godzin wolności. Co za radość! Potem się zgubiłyśmy... i byłyśmy przerażone, kiedy wieziono nas ulicami tego miasta, a my nie wiedziałyśmy dokąd. Gdybyż tylko nasz wybawca nam powiedział! Ale ten biedak nie mógł tego zrobić, gdyż nie rozumiał naszego języka. I znalazłyśmy się twarzą w twarz z doktorem Adairem, który wyglądał jak sam sułtan... To cudowne!
- Patrzyła na Philippe'a Lablanche'a niemal przymilnie. Dawała mu do zrozumienia: proszę nam powiedzieć, co pan wie o dziwnych obyczajach naszego fascynującego doktora. Ale choć monsieur Philippe był czarujący - i zdawało się, że rzeczywiście pragnie sprawić nam przyjemność - nic nie wyjawiał, to znaczy, jeśli miał coś do powiedzenia.
- Przejeżdżaliśmy teraz przez Bosfor.
- Opuzczamy Europę i jesteśmy w Azji - ucieszyła się Henrietta. - Brzmi jak prawdziwa przygoda... ale to tylko niewielki przesmyk. Cóż to za fascynujące miejsce! Chciałabym, żebyśmy mogły lepiej je obejrzeć. To dziwne, prawda, że jesteśmy już tak długo w tym mieście i widzimy tylko rzędy szpitalnych łóżek.
- Myślę, że panie są wspinałe - odrzekł Philippe Lablanche. - Wiem, że przynosicie wielką pociechę rannym żołnierzom.
- To więcej, niż myśli doktor Adair - wtrąciłam.



- O, nie. On też uważa, że wykonują panie dobrą robotę. Wszyscy by się z tym zgodzili. Tak wiele o paniach słyszeliśmy i o dobrej lady Nightingale. Jest uważana za bohaterkę... a nawet za kogoś więcej, za świętą. A panie, jej pomocnice, są aniołami... aniołami miłosierdzia. Nigdy nie zostaniecie zapomniane.

- Raczej nie czujemy się jak anioły, prawda, Anno? - odparła Henrietta. - Nie w szpitalu. Choć niektórzy ranni lubią na nas patrzeć, jak sędzę. Ale ci, którzy kierują szpitalem... przez połowę czasu myślą, że jesteśmy dla nich tylko zawadą.

- To nieprawda. Po prostu nie mają czasu, by paniom powiedzieć, że robicie dobrą robotę. Jest tak dużo pracy.

Dojechaliśmy do wybrzeża.

- Odprowadzę panie do szpitala - zaproponował Philippe Lablanche.

- Och, nie trzeba! - zaprotestowałam. - Teraz same sobie poradzimy.

- Nie mogę uznać mojej misji za zakończoną, jeżeli tego nie zrobię. I powiem paniom jedno: mam tam pewną sprawę do załatwienia. Wielu naszych ludzi tam leży. Mam swoje obowiązki. Od czasu do czasu bywam w waszym szpitalu.

- A więc może znów się z panem spotkamy - ucieszyła się Henrietta.

- Mam nadzieję. W rzeczy samej dopilnuję, żebyśmy znów się spotkali - odrzekł stanowczym tonem.

Ruszyliśmy w górę po zboczu. Gmach szpitala przed nami wyglądał niemal romantycznie w ciemnościach, gdy bezlitosne słońce nie ukazywało jego rozsypujących się murów. Teraz naprawdę przypominał pałac sułtana.

- Jesteśmy panu bardzo wdzięczne - odezwała się Henrietta. - Był pan taki miły i uprzejmy... zachowywał się pan tak wyrozumiale, że nie czułyśmy się jak para głupich gęsi. Prawda, Anno?

- Istotnie. Dziękujemy panu, monsieur Lablanche.

- Eskortowanie pań sprawiło mi prawdziwą przyjemność. Wziął mnie za rękę i uśmiechnął się do mnie. Później ujął dłonie Henrietty. Przywołała na usta czarujący uśmiech.

- Dziękuję panu. Bardzo panu dziękuję. Nadal trzymał ją za rękę.

- Żegnam pana - powiedziała.

- Nie... nie żegnamy się. Często tu bywam. Odnajdę panie. Mówię paniom au revoir, do widzenia. To znacznie miłszy sposób pożegnania... na razie.

- Rzeczywiście - przytaknęła.

265

- Proszę iść z nami - zaproponowałam. - Miejmy nadzieję, że nie narobiłyśmy zbyt dużo kłopotów naszym spóźnieniem.

Weszliśmy do szpitala. Za kilka minut powinnyśmy być na posterunku. I taki, pomyślałam, jest koniec naszej przygody. Ale nie przestałam myśleć o doktorze Adairze i zastanawiać się nad tym, co zobaczyłam i czego się o nim dowiedziałam.

Zerknęłam na Henriettę. Byłam pewna, że ona myśli to samo.

## Rozdział Ósmy.

### Ostatnie dni w Scutari.

Rozmawiałyśmy o tym później, kiedy prałyśmy razem pościel w olbrzymiej kadzi, stojąc z podwiniętymi rękawami i rękami zanurzonymi głęboko w szarzejącej wodzie.

- Wiesz, przypuszczam, że on ma harem w tamtym domu. Sądzę, że żyje jak sułtan - powiedziała Henrietta. - Kiedy weszliśmy do tamtego pokoju, czekałam, aż kłaśnie i powie: „Zabierzcie je; wykopcie w oślim mleku; skropcie wonnościami Arabii i przyprowadźcie do mojego łóża”.

- Myślę, że jest zdolny do wszystkiego - odparłam.

- Jestem tego pewna. Ale, Anno, czy to nie najbardziej fascynujący człowiek, jakiego kiedykolwiek spotkałaś?

- Na pewno najdziwniejszy. Nienawidzę go.

- A ja o nim rozmyślałam. Po prostu opuszcza szpital, kiedy ma go dość - i idzie do swojego haremu. Któż inny pomyślałby o czymś takim? Chciałabym je zobaczyć, a ty też, prawda?

- Kogo?

- Kobiety z haremu. Wyobrażam je sobie... czarnookie i kuszące. To coś czarnego, czym barwią brwi i rzęsy sprawia, że są bardzo ponętne. Te kobiety w jaszmacach\* mają w sobie coś.

\* Jaszmak, inaczej czarczaf - część ubioru kobiet muzułmańskich, zasłona okrywająca głowę wraz z twarzą, z otworami na oczy.

Wyobraź sobie, że unikasz świata, ponieważ twój pan i władca tak ci rozkazuje. One widzą w życiu tylko jeden cel: być atrakcyjnymi dla mężczyzn. Czy to nie byłoby zabawne, gdyby nas tam zaciągnięto, a my stawiłybyśmy mu czoło i zapytałybyśmy: „Doktor Adair, jak przypuszczam?”.

267

- Twoja wyobraźnia jak zawsze klóci się z twoim zdrowym rozsądkiem. Nie przypuszczam, że tam jest harem. Myślę, że mężczyźni gromadzą się w takich miejscach, żeby zażywać narkotyki. Możesz sobie wyobrazić ich wszystkich leżących na otomanach i palących nargile - powiedziałam sucho.

- Jesteś gorsza ode mnie! Ale ja wolałabym harem. Cóż to za interesujący mężczyzna! W życiu nie spotkałam nikogo bardziej fascynującego.

• Mówiła o nim bez przerwy.

Nadeszła zima. Wiały lodowate wiatry i nie można było zapewnić właściwej temperatury w salach. Zawsze byłyśmy potrzebne. Od czasu naszego przybycia zmysł organizacyjny panny Nightingale oraz jej upór i zdrowy rozsądek znacznie poprawiły sytuację pacjentów, ale nadal pozostała trudna.

Eliza pracowała teraz w tak zwanej kuchni inwalidów, urządzonej przez pannę Nightingale, która sama sprowadziła i zapłaciła za mąkę ararutową\* i przyprawy do mięsa przeznaczone dla najcięższej chorych.

\* Lekko strawna i bogata w skrobię mąka z bulw maranty, używana do dietetycznych potraw.

Silna Eliza pomagała podnosić ciężkie rondle i myślę, że bardziej nadawała się do tej pracy niż do pielęgnowania rannych.

Ethel bardzo się zmieniła. Wyglądała na szczęśliwszą niż przedtem. Odkryłam pewnego razu powód owej przemiany, kiedy zobaczyłam, jak pielęgnuje jednego z rannych. Dostrzegłam to coś w sposobie, w jaki wyglądała poduszki, w uśmiechu na jej ustach; a po reakcji pacjenta zorientowałam się, że połączyła ich jakaś więź.

Ethel była łagodna, spokojna, niektórzy mogliby pomyśleć, że nieporadna i słaba, ale jej kruchość i bezradność miały w sobie coś pociągającego, nawet dla leżącego na łóżu bóleści mężczyzny, który sam musiał czuć się bezradny.

Pewnego dnia, kiedy byłam w kuchni inwalidów i pomagałam przygotować posiłek dla jednego z bardzo chorych żołnierzy, Eliza zapytała mnie:

- Czy zauważyła pani, co się dzieje z Ethel?

- Tak - odrzekłam. - Zauważyłam.

- Jest zakochana.  
- W tym mężczyźnie?  
- Właśnie o to chodzi - stwierdziła Eliza. - Chciałabym, żeby wojna się skończyła. Mam tylko nadzieję, że nie wyleczą go tak dobrze, by znów skierowano go na front. Nie ma najmniejszej szansy powrotu, jeśli ponownie go tam wyślą.  
268

- Co mu jest? - zapytałam.  
- Jak zwykle. Postrzał w klatkę piersiową. Myśleli, że umrze, kiedy go tu przyniesiono, jak wielu takich biedaków. Ale chyba z tego wyjdzie. Jeśli chodzi o mnie, to myślę, że miłość go leczy.  
- Więc on jest zakochany w Ethel?  
- Oboje jednocześnie przeszła strzała miłości. To znaczy Kupidyna, prawda? No cóż, trafił celnie ich oboje.  
- To czarujące. Ona wygląda tak inaczej... tak ślicznie.  
- To prawda. Rzeczywiście tak wygląda. To cudowne, co może zdziałać miłość. Czy wie pani, że odkad trafił go Kupido, wraca do zdrowia? Ethel również czuje się lepiej. Bardzo się o nią martwiłam wcześniej. Pamięta pani tamten wieczór na pokładzie? Założę się, że tak. Żadna z nas prędko tego nie zapomni. Wie pani, że ona by to zrobiła. Takie małe, drobne dziewczyny mają silny charakter. Wyskoczyłyby za burtę prosto do morza, gdyby jej pani nie powstrzymała.  
- Ja również tak myślałam.  
- No ale tego nie zrobiła. Wie pani, uważam, że jeśli Ethel wyjdzie cało z tego wszystkiego, a on się nią później zajmie, to byłoby dla niej bardzo dobre.  
- Myślisz, że chciałby się z nią ożenić?  
- Tak właśnie powiedział. Ma małe gospodarstwo gdzieś na wsi. Prowadzą je z bratem. Brat pilnuje farmy do jego powrotu. To prawdziwa szansa dla naszej Eth. Oby Bóg się nad nami zlitował! Modłę się, żeby ten biedak nie wydobrzał na tyle, by znów go skierowali do walki... wystarczy, że w odpowiedniej chwili będzie można odesłać go do kraju... i do jego małego gospodarstwa z naszą Ethel.  
- Elizo, jesteś bardzo dobrą kobietą - powiedziałam.  
- Co?! Oszałała pani czy co? To miejsce tak na panią działa.  
- A ja ci powiem, jak to miejsce działa na ciebie. Sprawia, że lepiej rozumiesz sytuację i ludzkie problemy.  
- Ucieszyłabym się, gdyby mała Ethel znalazła swoje miejsce w życiu. Tego właśnie pragnie. Na myśl, że wróci do tej podobnej do chlewu izby i do szycia, ciarki mnie przechodzą. Nie wytrzymałaby tam dłużej niż dwa lata.  
- Nie pozwoliłybyśmy jej na to - oświadczyłam stanowczo.  
- Co ma znaczyć to „my”?  
- Ty i ja - odparłam.  
- A co to ma wspólnego z panią?  
- Tyle samo co z tobą.  
Przyjrzała mi się, mrużąc oczy, i wybuchnęła śmiechem. - Pamięta pani, co pani przed chwilą powiedziała o mnie? -Tak.

269

- No cóż, odplacę się pani tym samym komplementem.  
- Dziękuję.  
A kiedy miałam już odejść, dodała:  
- I powiem pani o jeszcze jednej, która wpadła tak samo jak Ethel.

- W co wpadła? - spytałam.
  - Zakochała się po uszy.
  - Tak? Któż to taki?
  - Henrietta.
  - Henrietta? Ale w kim?
  - Nie wiem. Pani powinna mi powiedzieć. Ale widać to na jej twarzy. I powiem pani jeszcze coś: to stało się po waszym późnym powrocie z miasta... kiedy się zgubiłyście.
- Skinęłam głową.
- Niech pani popatrzy na jej twarz - mówiła dalej Eliza. - Cała promienieje. Widziałam już taki wyraz twarzy u innych kobiet i wiem, co to oznacza. Gotowa jestem założyć się o wszystko, że Kupidyn trafił ją tak samo celnie jak naszą Ethel.
  - Mylisz się. Nie ma nikogo - zaprzeczyłam.
  - Myślę, że jest - odrzekła. - Nie można oszukać starej Elizy.
  - Dowiem się. Znam ją dobrze.
  - Niech pani to zrobi... i przekona się pani, że mam rację. Po owej rozmowie długo myślałam o Henriecie.

Miałyśmy bardzo mało wolnego czasu na cokolwiek poza pracą. Chociaż strumień rannych nieco się zmniejszył, przywożono żołnierzy spod Sewastopola niemal zamrzniętych na śmierć, gdyż nie mieli odpowiedniej odzieży, i konających z głodu. Pracowałyśmy całymi dniami prawie bez przerwy, odpoczywając przez kilka godzin na naszych otomanach, kiedy mogłyśmy.

Od czasu do czasu rozmawiałam z Henriettą i zauważyłam to, co próbowała mi powiedzieć Eliza. Henrietta rzeczywiście promieniała. Bardzo mnie to zaniepokoiło, ponieważ niemal bez przerwy mówiła o doktorze Adairze.

- Zastanawiam się, czy wróci. Czyż bez niego nie jest tu inaczej? Wszystko wydaje się takie nudne. Cóż to za człowiek! Wyobraź go sobie zabawiającego się w haremie, kiedy my tu pracujemy.

- Myślę, że to podlec i nikczemnik. Jest dobrym lekarzem, a teraz takich bardzo potrzebujemy. Tymczasem on zostawia nas i po prostu stąd odchodzi... w poszukiwaniu przyjemności życia.

- Nigdy nie można naprawdę poznać takiego człowieka - odrzekła.

270

- Może lepiej by było w ogóle go nie poznawać - odparłam dość ostro.

- Bardzo bym chciała dowiedzieć się o nim wszystkiego - westchnęła.

Ten blask jej oczu, wesoła nuta w głosie. O, nie, pomyślałam, Henrietta nie może być aż tak nierozsądna, żeby się zakochać w Adairze. A może jednak? Ale on odszedł i możliwe, że już nigdy go nie zobaczymy. Później zaczęłam rozmyślać o moim planie pokazania światu, kim naprawdę jest doktor Adair. Nie pozwolę mu wykorzystywać innych ludzi, tak jak wykorzystał Aubreya. Nie dopuszczę do beztroskiego eksperymentowania z ludzkim życiem, jak to uczynił z życiem mojego synka. Nie, to niesprawiedliwe. Właściwie nie odebrał życia Julianowi; po prostu go nie ocalił, ponieważ chciał przeprowadzić na nim doświadczenie, w taki sam sposób, w jaki zadał cierpienia tamtemu żołnierzowi po to, by zyskać jakąś nową wiedzę.

Pomyślałam, że jest nieczuły, twardy i okrutny. Nienawidziłam go i z powodu siły mojej nienawiści szpital bez niego wydawał mi się ponury. Oczywiście musiał sprawiać takie wrażenie, ponieważ jest właśnie taki; ale kiedy doktor Adair przebywał wśród nas, perspektywa nieoczekiwanego spotkania z nim sprawiała, że buchał we mnie płomień nienawiści i urazy, podnosząc mnie na duchu i urozmaicając monotonne dni.

Pewnego dnia, kiedy szłam do sali chorych, spotkałam Philippe'a Lablanche'a. Wyraził wielkie zadowolenie na mój widok i powiedział mi, iż odbywa jedną z okresowych wizyt w szpitalu. Miał nadzieję, że nie ucierpiałam z powodu mojej przygody. Odpowiedziałam mu, że nie i że to wszystko skończyło się bardzo przyjemnie.

- Nie zrobiły panie kolejnych wycieczek do Konstantynopola? - spytał.

Pokręciłam głową.

- To była bardzo rzadka okazja. Jesteśmy tutaj takie zapracowane i mamy mało czasu na wspólne wyjścia.

- Sewastopol wkrótce padnie, a potem będą miały panie trochę czasu na rozejrzenie się po tym niezwykle interesującym mieście.

- Zrobię to przed powrotem do kraju - oświadczyłam.

- Ale nie od razu. Przypuszczam, że będą panie musiały pozostać trochę dłużej, żeby opiekować się waszymi pacjentami. Może później... - Uśmiechał się do mnie przyjaźnie. A potem zapytał:

- A jak się miewa pani przyjaciółka? Powiedziała mu, gdzie może ją znaleźć.

271

Zobaczyłam później Henriettę i zapytałam, czy się spotkali.

- Tak - odrzekła. - To szarmancki Francuz. Jest dość miły, prawda?

- Myślę, że jest naprawdę czarujący.

- Mówił, że odwiedza nasz szpital całkiem często - ciągnęła dalej Henrietta. - Bardzo chciałby nas zabrać na wycieczkę po Konstantynopolu.

- Niestety, nie przyjechałyśmy tu jako turystki.

- Szkoda. Muszę jednak się przyznać, że następne spotkanie z naszym fascynującym przyjacielem sprawiłoby mi radość. Pragnę tylko... - Spojrzałam na Henriettę pytająco, a ona dokończyła: - Myślę, że brak ci go tak samo jak mnie.

- Kogo? - spytałam z niedowierzaniem.

- Naszego demonicznego doktora.

Zmusiłam się do śmiechu, ale przeszył mnie dreszcz niepokoju. Nie mogłam zapomnieć słów Elizy.

- Chciałabym, żeby znudził się swoim haremem i wrócił do nas.

- Przypuszczam, że nie powinniśmy oczekiwać, iż taki człowiek przedłoży obowiązek nad przyjemność.

Wyśmiała mnie.

- Och, Anno, nie mogłam się powstrzymać. Wyglądasz tak surowo. Zawsze masz taką groźną minę, kiedy o nim mówisz. Ale przez cały czas myślę, że uważasz go za równie fascynującego jak ja. Czy koniecznie chcesz kontynuować swoje śledztwo?

- Jeśli chodzi ci o to, czy wciąż chcę znaleźć jakiś sposób zdemaskowania go, to tak - odparłam.

- Ale kim on jest? Tego właśnie nie wiemy. I to właśnie czyni zeń najbardziej fascynującego człowieka w naszym życiu. Jestem pewna, że i tak by nas pokonał... cokolwiek byśmy spróbowały mu zrobić.

Uśmiechała się lekko do siebie i pomyślałam, że opętała ją myśl o tym mężczyźnie.

Uznałam, że i mnie także. Ale to było coś innego. Ja wiedziałam, że jest niebezpieczny dla innych ludzi. Widziałam powolną degrengoladę psychiczną i fizyczną mojego męża i obwinałam o to doktora Adaira. Przeczytałam jego książki i za ich pośrednictwem dowiedziałam się o nim wiele. Wyzierała z nich jego pogańska dusza i dlatego dowiedziałam się, jaki naprawdę jest ów człowiek.

Nadal niepokoiłam się o moją przyjaciółkę. Wiedziałam, że potrafi być bardzo impulsywna. Jeżeli doktor Adair wróci, jeśli zorientuje się, co Henrietta czuje do niego, jak wtedy postąpi? Czy spróbuje wykorzystać jej uczucia? Obawiałam się, że tak.

272

Mam nadzieję, że nigdy nie wróci, powiedziałam sobie w duchu. Ale w głębi serca pragnęłam jego powrotu.

W pobliżu sal szpitalnych znajdował się mały pokój, gdzie trzymaliśmy nieliczne leki, i porządkowałam tam coś pewnego dnia, kiedy wszedł Charles Fenwick. Wyglądał na bardzo zmęczonego. Jak wszyscy lekarze pracował bez przerwy i był ciągle rozdrażniony z powodu braku niezbędnego wyposażenia.

- Och, Anno - powiedział. - Cieszę się, że zastałem panią samą. Chciałem zamienić z panią słowo.

- Wydaje mi się, że upłynęło tak dużo czasu, odkąd ze sobą rozmawialiśmy - odrzekłam.

- Te dwa szpitale w rzeczywistości są jednym, a przecież zdumiewa mnie, jak rzadko widuje się przyjaciół.

- Jak wygląda ogólna sytuacja?

- Nie najlepiej. To nieszczęsne oblężenie! Gdybyż tylko mogli zrobić wyłom. Nie ponosimy teraz ciężkich strat, ale to zimno zabija naszych żołnierzy. A także cholera... czerwotka. Choroby nadal są dla nas groźniejszym wrogiem niż Rosjanie. To musi się skończyć. Nie może tak trwać bez końca.

- Rosjanie są bardzo zdeterminowani i umieją cierpieć. Niech pan pomyśli, co stało się z Napoleonem, kiedy pomaszerował na Moskwę.

- Teraz jest inaczej, Sewastopol musi paść. Zdumiewa mnie, że utrzymał się tak długo, ale oblężenie nie potrwa wiecznie, a potem wojna się skończy. Ale nie o tym chciałem z panią porozmawiać. O nas.

- Ma pan na myśli... lekarzy?

- Nie. Panią, Anno ... i mnie - odrzekł. Spojrzałam pytająco, a on położył mi rękę na ramieniu.

- Myślę o przyszłości, kiedy to wszystko się skończy i wrócimy do kraju. Myślała pani o tym?

- Trochę.

- Wróci pani do swojego domu? - spytał.

- Nie mam innego. Panna Nightingale zamierza zreformować szpitale w Anglii. Chciałabym w tym uczestniczyć.

- Myślała pani o małżeństwie?

- Dlaczego pan pyta... nie - wyjąkałam z zaskoczeniem.

- A ja tak - odpowiedział. - Pragnę oczyścić się z tych wszystkich okropności. Chcę o nich zapomnieć... o smrodach, które stały się częścią naszego codziennego życia... o bólu i cierpieniu, które nas otaczają.

273

- Czy i to nie jest część życia lekarzy i pielęgniarek?

- Ale niekoniecznie aż taki ból i cierpienia, nie te straszne choroby wywołane niehigienicznymi warunkami wokół, nie głód i ropiejące rany, których nie można odpowiednio leczyć. Udaje mi się przeżyć ten koszmar tylko dlatego, że myślę o przyszłości.

- Myślę, że wszyscy tak czujemy - odpowiedziałam.

- Pragnę takiej przyszłości, jaka sprawi mi radość: spokojnej praktyki gdzieś... może na prowincji. Albo, jeśli zechce pani inaczej, w Londynie.

- Ja? - zapytałam z niedowierzaniem.

- Chcę dzielić przyszłość z panią, Anno.

- Czy słuch mnie nie myli?

- Na pewno nie.
- Więc to są oświadczyzny? - pytałam dalej.
- Właśnie tak - odpowiedział.
- Ależ Charles... ja myślałam... - zaczęłam i urwałam.
- Co pani myślała?
- Wiedziałam, że pan mnie lubi, ale myślałam, że interesuje się pan Henrietta... to znaczy w taki sposób.
- Lubię Henriette, ale to panią kocham.
- Jestem zdumiona.
- Najdroższa Anno, oczywiście że to panią kocham. Kocham pani siłę i powagę, pani oddanie. Kocham w pani wszystko. Jeśli obieca mi pani, że wyjdzie za mnie, gdy tylko uwolnimy się od tego wszystkiego, będę miał czego wypatrywać, oczekiwać, układać plany... - Ujął moje dłonie i patrzył mi prosto w oczy.
- Och, Charlesie, tak mi przykro - wyjąkałam. - Ja byłam... Zupełnie się tego nie spodziewałam. Wiem, że to brzmi jak wymówka lekliwej panienki, ale naprawdę tak jest. Nie miałam pojęcia. Uważałam, że chodzi panu o Henriette.
- No cóż, a teraz, kiedy pani już wie, że nie, co mi pani odpowie? Milczałam. Pomyślałam o lekarskiej praktyce na wsi, o nowym życiu, nowym domu, o tonącej w zieleni wiosce, starym kościele z cisami rosnącymi tam od stuleci, rosie na trawie, ślicznym zapachu wilgotnej ziemi i łagodnym deszczu, o stokrotkach i jaskrach -i poczułam, że bardzo za tym tęsknię. Charles obserwował mnie uważnie.
- Charlesie, nie wie pan o mnie tak wiele - odezwałam się po chwili.
- Uważam, że wzajemne poznawanie się będzie naprawdę podniecające - odrzekł żywo.
- Przebywamy tutaj... w tym miejscu - przypomniałam mu - i nie jest to normalna sytuacja.

274

Możemy podjąć decyzję, której później pan pożałuje.

- Nie sądzę, żebym jej żałował.
- Jak już mówiłam, pan mnie nie zna - uprzedziłam go.
- Dobrze panią znam. Czyż nie widziałem pani w Kaiserwaldzie? I tutaj? Znam pani rzetelność, uczciwość, dobroć, współczucie. Widziałem, jak z całym oddaniem opiekowała się pani chorymi.
- Widział pan pielęgniarkę i to wszystko. Tak, jestem dobrą pielęgniarką. Byłaby to fałszywa skromność, gdybym zaprzeczyła. Ale to tylko część mnie. Nie mogę myśleć o małżeństwie, nie jestem do tego gotowa.
- Rozumiem, że panią zaskoczyłem. Proszę jednak o tym pomyśleć. Kocham panią, Anno. Moglibyśmy stworzyć zgodne stadło. Nasze zainteresowania są tak ściśle z sobą powiązane.
- Charlesie, jest coś, o czym muszę panu powiedzieć. Ja już byłam mężatką.
- Anno! - zawołał z zaskoczeniem. - I miałam dziecko.
- Gdzie jest pani mąż?
- Nie żyje.
- Rozumiem. A dziecko?
- Również umarło. To było nieszczęśliwe małżeństwo. Mój mąż nałogowo zażywał narkotyki, które go w końcu zabiły. Mój synek umarł, kiedy nie miał jeszcze dwóch lat. Łzy napłynęły mi do oczu. Charles zauważył to i objął mnie ramieniem.
- Moja biedna Anno - szepnął.
- Jeszcze o wszystkim nie zapomniałam.
- Rozumiem.
- Przyjęłam panięskie nazwisko i zaczęłam nowe życie jako kobieta niezamężna. Uznałam, że tak będzie najlepiej. Nie mogę panu teraz opowiedzieć bardziej szczegółowo o swoim

małżeństwie i śmierci synka, ale świadomość tego pomoże panu zrozumieć, dlaczego nie potrafię teraz myśleć o poślubieniu kogokolwiek.

- Pomyśli pani... z czasem.

- Nie wiem. Wydaje się, że to było tak niedawno. Nie sędzę, abym kiedykolwiek otrząsnęła się po śmierci mojego synka.

- Istnieje jeden sposób na otrząśnięcie się po takiej tragedii - powiedział Charles - urodzenie drugiego dziecka.

Milczałam.

- Anno - ciągnął dalej - niech pani jeszcze nie mówi nie. Proszę tylko o tym pomyśleć.

Pomyśleć, co mogłoby to oznaczać.

275

Moglibyśmy układać plany na przyszłość, kiedy wydostaniemy się z tego... piekła. Wiem, że to nie potrwa długo. Koniec jest już bliski. Proszę pomyśleć o pani i o mnie, o dzieciach, które będziemy mieli. To najlepszy sposób na pogrzebanie przeszłości. Nie może pani być w żałobie przez całe życie.

Pocałował moje ręce i poczułam, że zawładnęła mną miłość i przywiązanie do niego.

Wiedziałam, że jest dobrym człowiekiem i że potrafiłby sprawić, abym przezwyciężyła smutek i żal. Byłby to inny sposób niż zemsta, której dotąd szukałam. Ujrzałam siebie jako żonę wiejskiego lekarza, w otoczeniu rodziny, dzieci, które mogłyby trochę przypominać Juliana... dzieci, które bym kochała i wychowywała... dzieci, które wypełniłyby bolesną pustkę, jaka powstała w moim sercu po śmierci synka.

Nagle uświadomiłam sobie, że czas płynie. Zawsze czujemy się winni, kiedy kradniemy minuty z godzin przeznaczonych na wykonywanie naszych obowiązków.

- Muszę iść - szepnęłam cicho.

- Niech pani o tym pomyśli - nalegał Charles. Potrząsnęłam głową, ale wiedziałam, że powinnam to zrobić. Pocałował mnie lekko.

- Anno - szepnął - kocham panią.

Nie powiedziałam Henriecie o oświadczeniach Charlesa. Nie mogłam się zmusić do rozmowy o nim. Czułam, że namawiałaby mnie do przyjęcia tej propozycji. Bardzo lubiła doktora Fenwicka i powtarzała, że uważa go za dobrego lekarza i wspaniałego człowieka. Zdarzały się takie chwile, kiedy myślałam, że małżeństwo z nim byłoby dla mnie najlepsze. Czy mam spędzić całe życie w samotności? To prawda, że chciałam pracować jako pielęgniarka w jednym z nowych szpitali, które panna Nightingale zamierzała urządzić w Anglii po naszym powrocie, ale czy mi to wystarczy? Doświadczyłam macierzyństwa i ogromna miłość do mojego synka sprawiła, że wiedziałam, iż uznam swoje życie za stracone, jeśli nie będę miała dzieci.

Podobnie jak wiele osób żywiłam dla Florence Nightingale głęboki podziw bliski bałwochwalstwa. W jej nieugiętym charakterze, szczerym oddaniu pracy, jej spokojnej, prawie bezwzględnej skuteczności działania było coś, co wywierało wrażenie nawet na tych, którzy początkowo odnosili się sceptycznie do owych wysiłków. Odrzuciła małżeństwo i macierzyństwo dla pewnej sprawy, ale nigdy nie doświadczyła radości trzymania własnego dziecka w ramionach. Ja natomiast, znając owo szczęście, wiedziałam, że nic innego mi go nie zastąpi.

Miałam teraz przed sobą nową drogę życia. Mogłam poślubić Charlesa, zostać żoną i matką. Mogłam odwrócić się plecami do przeszłości,

276

zapomnieć o niszczącym pragnieniu zemsty. Otwierająca się przede mną perspektywa sprawiła, że zobaczyłam, czym ono naprawdę jest. Dziecinnym gniewem. To małe dzieci



próbują załagodzić poczucie krzywdy, wyładowując złość na przedmiotach. Aubrey był słaby i pozwalał sobą manipulować; silny mężczyzna nigdy by nie popadł w nałóg narkotykowy tak jak on. Obwiniałam doktora Adaira o upadek mojego męża - i zapewne był po części za to odpowiedzialny - ale ludzie sami kierują swoim losem.

I kiedy tak myślałam o moim Edenie w Anglii - o praktyce lekarskiej na wsi i otaczających mnie dzieciach, ujrzałam Doktora Demona, jak nazywałam go w myśli, śmiejącego się ze mnie. Zapomnę o nim, powiedziałam sobie.

Ale w jakiś sposób zdawałam sobie sprawę, że to mi się nigdy nie uda. Miał w sobie coś diabelskiego. Mógł rzucić na mnie czar. Uważałam, że zrobił tak z Henriettą. Czy i ze mną mu się powiedzie?

Podróżował po krajach Wschodu w przebraniu tubylca. Odkrył wszelkiego rodzaju dziwne tajemnice i zwyczaje. Może sekretne... nawet okultystyczne. W niczym nie przypominał innych mężczyzn. Nie można go było osądzać według tych samych kryteriów. Co wówczas robił w tamtym domu w Konstantynopolu w tureckim stroju? Co to znaczyło?

Wróciłam myślą do Charlesa i jego oświadczeń, ale nie mogłam przestać myśleć o demonicznym doktorze.

I pewnego razu stanęłam z nim twarzą w twarz. Szedł przez sale szpitalne w swoim białym fartuchu, jakby nigdy ich nie opuścił. Skinął mi lekko głową na powitanie, co miało sugerować, że w tym nagłym powrocie nie ma nic nadzwyczajnego.

Ale wkrótce odczuliśmy skutki jego powrotu. Znalazł oznaki złej pracy w szpitalu i oskarżył o to pielęgniarki. Pacjentów zaniedbywano, powiedział. Jak gdyby nie wiedział, że te biedaczki były wykończone po wielogodzinnej pracy bez odpoczynku! I to mówił człowiek, który pozwolił sobie na kilkutygodniową nieobecność, kiedy miał na to ochotę!

Poczułam głuchy gniew i krew we mnie zawrzała - pierwszy raz od czasu, gdy widziałam Adaira po raz ostatni.

Uznał, że te same pielęgniarki nie powinny za długo przebywać w jednym miejscu i chciał wysłać niektóre z nich do szpitala wojskowego. Byłyśmy przerażone, bo choć nie znajdowałyśmy się daleko od siebie, nie spotykałyśmy naszych towarzyszek zbyt często, jeśli pracowały w drugim szpitalu.

Henrietta pogodziła się z taką perspektywą, ale Ethel wpadła w rozpacz.

277

- Zrozumcie - wyjaśniła Elizie i mnie - nie będę widywała Toma. Już nigdy się nie zobaczymy.

- Będziesz mogła przyjść i zobaczyć się z nim - pocieszałam ją.

- To nie to samo. Ja się nim tutaj opiekuję. Nie powiedziałam mu jeszcze. To go zabije.

- Kto wpadł na ów zwariowany pomysł przenoszenia pielęgniarek? - zapytała Eliza.

- Doktor Adair - wyjaśniła Ethel. - Mówi, że lekceważymy nasze obowiązki. Byłam z Tomem, kiedy przechodził przez naszą salę tamtego dnia. Musiał nas zauważyć.

- To absurd - powiedziałam gniewnie. - Pielęgniarki są przepracowane. Oczywiście od czasu do czasu próbują zapomnieć o tym, co je otacza. On po prostu chce narobić nam kłopotów. Ethel była zrozpaczona. Eliza odnalazła mnie po pracy.

- To nie tylko przygnębi Ethel. Myślę, że może też zniszczyć ich miłość. Czy mogłaby pani coś z tym zrobić?

- Jak? - spytałam.

- Proszę z nim porozmawiać... z tym wszechpotężnym lekarzem.

- Myślisz, że mnie posłucha? Spojrzała na mnie przenikliwie.

- Może... właśnie pani.

- On gardzi nami wszystkimi. A ja nie zrobiłam nic, żeby szczególnie zasłużyć się w jego oczach.

- Myślę, że pani posłucha. Chodzi mi o to... że my wszystkie jesteśmy dla niego tylko meblami, w dodatku bezużytecznymi - powiedziała.

- Och, przecież nawet on musi widzieć, jak wiele dobrego robią tu pielęgniarki.

- Może i widzi, ale nie chce zauważyć. Adair jest wielkim i potężnym doktorem, a pielęgniarki to dla niego tylko popychadła, które mają iść tu lub tam na jego rozkaz.

- I myślisz, że ja mogłabym nań wpłynąć? - zapytałam z niedowierzaniem.

Eliza skinęła głową.

- Warto by spróbować.

Na myśl o tym musiałam się roześmiać, lecz nagle w owej chwili postanowiłam podjąć taką próbę.

Sposobność nadarzyła się po południu tego samego dnia. Zobaczyłam mojego wroga, jak wchodzi do izdebki, gdzie Charles mi się oświadczył, i poszłam za nim.

- Doktorze Adair!

278

Odwrócił się, a kiedy spojrzął na mnie, cały gniew i uraza, które do niego żywiłam, na nowo zawrzały w moim sercu.

- Panna ee... Słowik.

- Wiem, że pan uważa, iż zachowuję się bardzo zuchwale, zwracając się do pana... - urwałam, a on nie zaprzeczył. - Ale muszę panu coś powiedzieć. Chodzi o ten pański pomysł przeniesienia pielęgniarek ze szpitala ogólnego do wojskowego i odwrotnie.

- Czy mam omawiać swoje plany z panią? - spytał prawie uprzejmie.

- Proszę, żeby omówił pan ten właśnie plan ze mną.

- Mogę spytać dlaczego?

- Tak. Przenosi pan pielęgniarki wedle własnego widzimisię, nie biorąc pod uwagę pracy, jaką wykonują.

- Wiem, jaką pracę wykonują - odparł ironicznie.

- I pogardza pan tymi służebnymi czynnościami. Ale zapewniam pana, doktorze Adair, że ktoś musi je wykonać i że lekarze powinni być wdzięczni panie Nightingale za wszystko, czego dokonała.

-Dziękuję pani, panno ee... za przypomnienie mi o moich obowiązkach.

- Jest pewna pielęgniarka, Ethel Carter. Przenoszą ją. Nie możecie tego zrobić.

Uniósł brwi i zmierzył mnie spojrzeniem od stóp do głów. Nie mogłam odgadnąć, co wyrażały jego ciemne, błyszczące oczy. Zapewne cyniczne rozbawienie.

- Pozwoli pan, że to wyjaśnię.

- Muszę o to prosić - odrzekł.

- Ethel Carter jest związana uczuciowo z pewnym młodym żołnierzem. Jego stan bardzo się poprawił, a ona sama również czuje się znacznie lepiej. Nie można ich rozdzielać.

- To szpital, a nie biuro matrymonialne, panno ee...

- Ponieważ zapamiętanie mojego nazwiska sprawia panu tyle kłopotu, przypomnę, że nazywam się Pleydell.

- Ach, tak, panna Pleydell.

- Ja też nie uważam tego miejsca za biuro matrymonialne. Pracuję tutaj dostatecznie długo, by wiedzieć, co to jest. To miejsce ogromnych cierpień. - Byłam wściekła na siebie, gdyż głos mi się załamał. Ze wszystkich sił starałam się nie dać po sobie poznać uczuć, które mnie opanowały. - Jeżeli można uczynić szczęśliwszym pewnego żołnierza, czy nie przyśpieszy to jego powrotu do zdrowia? Oczywiście przypuszczam, że pan w coś takiego nie wierzy.

- A skąd pani wie, w co ja wierzę? Za wiele pani sobie pozwala, panno Pleydell.

279

- Czy za wiele sobie pozwalam, prosząc, żeby zostawiono tę pielęgniarkę?
- Jeśli jej nazwisko jest na liście przenoszonych do szpitala wojskowego, powinna tam się przenieść.
- A co z żołnierzem, który chciał oddać życie za swój kraj, a może jeszcze odda... co z nim? Czyż nie można wziąć go pod uwagę tylko dlatego, że jakiś półbóg ułożył pewną listę? Wykrzywił lekko wargi. Myślę, że raczej spodobało mu się, iż nazwałam go półbogiem, gdyż bez wątpienia uważał się za istotę doskonałą.
- Proszę mnie wysłuchać... - ciągnęłam, z każdą chwilą wpadając w coraz większy gniew. Stałam przed moim wrogiem, człowiekiem, którego zamierzałam zniszczyć i bardzo tego pragnęłam! Nienawidziłam jego lekceważącego uśmiechu. Drwił ze mnie, rozbawiony moim zaangażowaniem, zachęcając mnie, żebym coraz bardziej mu złorzeczyła, gdyż uważał, że później tego pożałuję.
- Nie mogę zrobić nic więcej oprócz opuszczenia pani, co można by uznać za niegrzeczne - oświadczył.
- Tego żołnierza przywieziono spod Sewastopola - ciągnęłam. -Zamarzył niemal na śmierć. Uważano, że nie przeżyje dłużej niż kilka dni. Pielęgnowała go Ethel Carter i połączyła ich szczególna więź. Od tej pory zaczął wracać do zdrowia. Mogę powiedzieć panu, że Ethel wiodła smutne życie. Straciła niedawno dziecko. - Głos znów mi zadrżał. - Oni zamierzają się pobrać. Pomagają sobie wzajemnie. Nie można ich rozdzielić. Och, wiem, że pan tego nie zrozumie. Jest pan zbyt wielki, by zwracać uwagę na takie proste życiowe sprawy. Kiedy pan się nimi znuży, po prostu pan odchodzi, pozostawiając pracę innym... A sam przebiera się w wymyślne stroje, folgując sobie w jakimś...
- Tak? - spytał. - Proszę mówić dalej. Gdzie ja sobie folguję?
- Bardzo dobrze pan wie. Ja, na szczęście, nie znam tych miejsc i nie chcę ich poznać.
- Mądrzy ludzie nie lubią ignorancji.
- Dla pana to tylko żart. Ale istnieją inne sposoby uzdrawiania niż te, które pan praktykuje. Jest coś takiego jak szczęście... zadowolenie... nadzieja na przyszłość. Są równie efektywne jak lekarstwa. Och, wiem, że to niemądrze błagać pana i to w sprawie, którą pan uważa za błahą. Jest pan twardy, bezwzględny i ludzkie cierpienie nic dla pana nie znaczy.
- Nie miałem pojęcia, że tak dobrze się znamy - odparł.
- Nie rozumiem pana.

280

- Przecież przedstawiła pani szczegółową analizę mojego charakteru. Oniemiałam ze wstydu, upokorzenia i irytacji. Co ja zrobiłam?! Tylko się wygłupiłam. Odwróciłam się i wyszłam z pokoiku. Wróciłam do pracy, czując jak płoną mi policzki. Byłam bliska płaczu. Dlaczego powiedziałam mu to wszystko? Wyrzuciłam z siebie całą tłumioną nienawiść do niego, a ten podlec stał tam, śmiejąc się ze mnie. Jest nikczemny i okrutny. Uczucia innych wcale go nie obchodzą. Ludzie są dla niego przedmiotami, którymi się posługuje; eksperymentuje na ich ciałach, żeby zdobyć doświadczenie i zadziwić świat własną wiedzą. Gdybym tylko mogła zrzucić go z piedestału! Gdybym mogła pokazać światu, kim naprawdę jest!
- Następnego dnia spotkałam Elizę w kuchni.
- Przeprowadzono wymianę pielęgniarek - powiedziała. - Nasza grupa przeszła do szpitala wojskowego, a tamta do ogólnego. -Szturchnęła mnie łokciem. - Ethel nadal tu jest. Bardzo się z tego cieszy. Ona i Tom tulą się do siebie. - Mrugnęła do mnie porozumiewawczo. - Rozmawiała pani z nim, prawda?
- Skinęłam głową. Zaczęła się śmiać.
- No właśnie! Wiedziałam, że pani może to zrobić.

- A właśnie, że nie. On wcale nie powiedział, że pomoże. Wręcz przeciwnie, imputował coś wręcz przeciwnego.

- Ach ci mężczyźni! - odrzekła Eliza z uśmiechem. - Niektórzy są właśnie tacy. Wielcy, potężni i tak dalej. Ale jakie to ma znaczenie? Dokonała pani tego. - Patrzyła na mnie z powagą przez chwilę. - Niech pania Bóg błogosławi, Anno. Mam nadzieję, że los pania wynagrodzi. Pragnie mieć pani dzieci, prawda? Tak jak Ethel. Jedne kobiety ich pragną, inne nie -awy obie należycie do tych pierwszych.

Była to straszna zima. Mam nadzieję, że nigdy takiej drugiej nie przeżyję.

Bez przerwy myślałam o tych biednych żołnierzach na płaskowyżu pod Sewastopolem - marzących o upadku miasta, który musiał wkrótce nastąpić; zapewne uważali, że Rosjanie w twierdzy -choć jej załoga była nieunikniona - nie cierpią takich niewygód jak oblegający. Armie brytyjsko-francuską zaatakowała choroba, którą jedni nazwali cholera azjatycką, a inni po prostu tyfusem.

281

Widziałam, jak przywożono chorych żołnierzów w arabas, czymś w rodzaju tutejszych dwukołowych fur. Wielu z nich wkrótce umierało. Serce się krajało, kiedy patrzyłyśmy, jak tureccy robotnicy kopią groby -wielkie doły, do których wrzucano ciała.

Niektóre pielęgniarki również zapadły na tę chorobę. Szalała w szpitalu i wszyscy żyliśmy w obawie przed rychłą śmiercią.

Panna Nightingale robiła conocny obchód po salach szpitalnych. Wyglądała pięknie i spokojnie w czarnej, wełnianej sukni z białym płóciennym kołnierzykiem, mankietami, w fartuchu oraz w białym czepku pod czarną jedwabną chustką. Trzymała wysoko lampę i przystawała to tu, to tam przy jakimś łóżku, by dotknąć płonącego gorączką czoła, powiedzieć słowo otuchy, uśmiechnąć się i w ten sposób przekazać posłanie nadziei.

Uważano ją za istotę z innego świata, za anioła. Ranni i chorzy doskonale wiedzieli, co dla nich robiła. Zabawne było patrzeć, jak ci, którzy prawie nigdy nie wypowiedzieli najkrótszego zdania bez jakiejś sprośności, mitygowali się, gdy panna Nightingale była w pobliżu. Nic nie mogło jej pokonać; miała prezencję, wdzięk i urodę; widać było to wszystko, choć ubierała się skromnie. Budziła ogólny szacunek i podziw.

Zawsze będę się czuła uprzywilejowana, że mogłam pracować blisko niej.

Nawet tamta straszliwa zima musiała minąć i wraz z nastaniem wiosny do szpitala przywożono mniej chorych i rannych.

Nowa nadzieja wstąpiła w nasze serca. Oni już długo nie wytrzymają, mówili wszyscy.

Rzadziej widywałam Henriettę. Podczas tych ponurych zimowych miesięcy pracowałyśmy przez cały dzień i do późna w nocy. A kiedy mogłyśmy chwilę odpocząć, kompletnie wyczerpane, zapadałyśmy w głęboki sen.

Philippe Lablanche często odwiedzał szpital. Zaglądał do mnie, by zamienić kilka słów; i wiedziałam, że podobnie postępuje z Henriettą. Charles dbał o to, żeby mnie widywać, kiedy mógł, ale tak jak wszyscy lekarze był jeszcze bardziej zajęty niż my.

Pytał czasami:

- Nadal się zastanawiasz?

A ja odpowiadałam:

-Tak.

I były takie chwile, kiedy myślałam, że głupio robię, wciąż się wahając. Miałam szansę dzielić życie z dobrym człowiekiem. Mogłam nawet pomagać mu w pracy. Już nie byłam naiwną dziewczyną, wiedziałam co nieco o małżeństwie. Nie czekałam na rycerza w lśniącym zbroi, który zabierze mnie na białego rumaka.

282

Miałam możliwość wieść życie, które będzie interesujące i pożyteczne. Ale ciągle się wahałam.

Nadejście wiosny było pokrzepieniem dla nas wszystkich. Z nadzieją patrzyliśmy na krokusy i hiacynty na płaskowyżu.

Korespondenci wojenni przesłali do kraju wieści o sytuacji na froncie i w szpitalach i prasa podniosła krzyk. Jednym z dobrych rezultatów tego wszystkiego było przybycie Alexisa Soyera, słynnego kucharza z Reform Club, który miał nadzorować szpitalną kuchnię. Jakże błogosławiliśmy pana Soyera! Był oddany swojej sztuce; wybrał żołnierzy, którzy, jego zdaniem, mieli pewne zdolności do gotowania i zatrudnił ich w kuchniach; chodził po oddziałach w towarzystwie swoich podwładnych, niosących wielkie kotły z zupą, a pacjenci wiwatowali na jego cześć, kiedy ją nalewano. Piekł dobry chleb i zdobył imbryk, w którym przygotowywano herbatę dla pięćdziesięciu ludzi, i napój ten był równie gorący dla pierwszego, jak i dla pięćdziesiątego. Pan Soyer dokonał wielkiej przemiany w naszym życiu. Jak wszystkie pielęgniarki miałam teraz trochę wolnego czasu, ale nie zawsze jednocześnie z Henriettą. W tych wiosennych dniach byliśmy niemal w niefrasobliwym nastroju.

Przetrwałyśmy zimę i możliwe, że Sewastopol nie dotrwa do następnej. Powiedziałyśmy sobie, że w przyszłym roku o tej porze wszystkie powinnyśmy być w kraju.

Zdarzył się wtedy zabawny wypadek. Pewien bardzo napuszony dżentelmen przybył do szpitala z dwoma wysokimi służącymi w szerokich spodniach i kaftanach ze złotymi galonami, przepasanymi szarfami tej samej barwy.

Był bardzo podniecony i nie mogliśmy zrozumieć, co mówił, aż ktoś poszedł po rozum do głowy i poproszono doktora Adaira.

W głębi duszy liczyłam, że nasz demoniczny doktor nie zna tego języka, gdyż, jak powiedziała do Henrietty: „mamy tylko jego słowo, że włada tymi wszystkimi językami Wschodu”.

Zrozumiał jednak i zaczął poważną rozmowę z pompatycznym Turkiem.

Kilka pielęgniarek zebrało się w gromadkę, żeby zobaczyć, co z tego wyniknie - w tym ja, Henrietta i Eliza.

Wreszcie doktor Adair odwrócił się i powiedział:

- Myślę, że powinienem natychmiast zobaczyć się z panną Nightingale. Ten dżentelmen w imieniu swego bardzo bogatego i wpływowego pana proponuje dużą sumę pieniędzy za jedną z pielęgniarek, którą chce nabyć do haremu orientального magnata.

Spojrzałyśmy na niego ze zdumieniem.

283

- Zastanawiam się, o którą chodzi - dodał. - Będzie interesujące poznać tę panią.

Nie musiałyśmy długo czekać, gdyż dżentelmen, uśmiechając się szeroko, postąpił ku nam, zbliżył się do Henrietty i uklonił się jej. Później zaś zwrócił się ponownie do doktora Adaira.

- Więc to pani jest ową wybranką - powiedział ten do Henrietty. Zauważyłam po wyrazie jego oczu, że zastanawia się, jakie

szczególne cechy mej przyjaciółki zwróciły uwagę orientального magnata. Ktoś musiał ją gdzieś zobaczyć. Wiedziałam, że jadła kolację poza szpitalem z Philippe'em Lablanche'em.

Ta propozycja bardzo rozbawiła moją przyjaciółkę.

- Co pan mu powie? - spytała.

- Że nie jest pani na sprzedaż.

- Czy go to nie obrazi?

- Wyjaśnię mu to taktownie. Może powiem, że jest już pani zaręczona?

Henrietta zachichotała.

- Często się zastanawiałam, jak by to było, gdybym się znalazła w haremie jakiegoś sultana.

- Na pewno nie cieszyłaby się pani tak, jak pani myśli. Teraz postąpiłaby pani rozsądnie, odchodząc i pozwalając mi załatwić tę sprawę. To wymaga bardzo dużo taktu. Nie można ich urazić w żaden sposób.

Odeszłyśmy. Zauważyłam, że wszyscy zerkają na Henriette. Wcale mnie nie zaskoczyło, że to ją wybrał ów orientalny magnat. Przewyższała urodą i witalnością wszystkie pielęgniarki; było jasne, że zwróciła na siebie uwagę owego Turka.

- Będziesz musiała zachować ostrożność - powiedziałam jej. - On może chcieć cię porwać. Tydzień później walki w Sewastopolu przybrały na sile i ranni napłynęli szerokim strumieniem.

Widząc arabas zbliżające się do szpitala, my, pielęgniarki, wyszłyśmy wraz z mężczyznami, którzy dźwigali nosze, by zapewnić jak największą wygodę rannym podczas transportu do szpitala.

Zawsze było to przerażające zadanie. Bałam się, ale już przywykłam do strasznych widoków i chociaż oddziaływały na mnie tak samo jak przedtem, przynajmniej byłam na nie przygotowana.

Patrząc, jak kładą pewnego jęczącego biedaka na nosze, pomyślałam, że skądś go znam.

Brudny, zaniedbany, w zakrwawionym mundurze, wyglądał jak wszyscy żołnierze, ale miał w sobie coś znajomego.

284

A potem go rozpoznałam. Serce mi się ścisnęło i zaczęło walić z przerażenia, gdyż ów młodzieniec był mężem Lily, Williamem Cliftem.

- O, Boże, nie pozwól, by umarł - modliłam się cicho.

Pomyślałam o Lily i o tym, jak cieszyła się z narodzin synka; mogłam ją sobie wyobrazić, czekającą w domu na wieści. To nie może być wiadomość o śmierci męża. Żywiła tak wielką nadzieję na szczęście. Przypomniałam sobie zmianę, jaka się w niej dokonała, dzień, w którym powiedziała nam, że wyjdzie za Williama; a potem przyjście na świat ich dziecka.

- Boże, błagam, nie pozwól, by to dziecko zostało sierotą - modliłam się. - Nie pozwól, żeby Lily została wdową.

Ach, ileż wdów i sierot przybędzie w Anglii z powodu tej głupiej, bezsensownej wojny!

- Tylko nie Lily - modliłam się. - Tylko nie Lily!

Poszłam na salę szpitalną i zaczęłam szukać Williama. Trwało to długo, lecz w końcu go odnalazłam. Uklękałam przy jego łóżku.

- Williamie, wiesz, kim jestem? - zapytałam.

Wydawało mi się, że słucha, ale nie zwrócił na mnie oczu. Obawiałam się, że może jest już nieprzytomny.

- Williamie - mówiłam dalej - to ja, Anna Pleydell, przyjaciółka Lily.

- Lily - westchnął i myślę, że próbował się uśmiechnąć.

- Nie umieraj - szepnęłam. - Nie możesz umrzeć. Musisz wyzdrowieć, czeka na ciebie Lily i wasze dziecko.

Strasznie się o niego bałam.

Poszłam do znajomego pokoiku, który służył mi jako coś w rodzaju schronienia. Wydawało mi się, że to szczególne miejsce, ponieważ tutaj Charles poprosił mnie o rękę. I właśnie w tym składziku na leki rozmawiałam z doktorem Adairem i przekonałam go, żeby nie rozłączał Ethel z Tomem. Jakiś instynkt mnie tam zaprowadził. Wiedziałam, że muszę odnaleźć Damiana Adaira, bo, o ironio, zdawałam sobie sprawę, iż tylko on pomoże Williamowi. Nie zaskoczyło mnie, gdy go tam zobaczyłam. Zdjął jakieś butelki z półki i patrzył na nie, marszcząc brwi.

- Doktorze Adair. Odwrócił się szybko.

- Panna ee...

- Pleydell - podpowiedziałam.  
- Tak, oczywiście.  
- Na sali jest pewien żołnierz. Znam go. Znam też jego żonę. Mają dziecko.  
285

- Tam jest wielu żołnierzy i przypuszczam, że większość ma żony i dzieci. Czym tak szczególnym odznacza się pani znajomy?  
- On nie może umrzeć. Trzeba go uratować - oświadczyłam z mocą.  
- Naszym obowiązkiem jest uratować ich wszystkich, jeśli to możliwe.  
Podeszłam do niego, chwyciłam go za ramię i potrząsnęłam nim. Wyglądał na zaskoczonego i lekko rozbawionego.  
- Proszę - odezwałam się. - Niech pan go zbada... teraz. Proszę mi powiedzieć, że można go uratować. Pan musi uratować mu życie.  
- Gdzie on jest?  
- Zaprowadzę pana.  
Zaprowadziłam go do łóżka, na którym leżał William Clift. Adair zbadał go, co zabrało mu trochę czasu. Stałam, patrząc, jak jego zręczne palce obmacują rannego.  
W końcu przykrył go kocem i ruszył w stronę pokoiku z lekarstwami. Poszłam za nim. Tam odwrócił się i spojrzał na mnie.  
- Dwie kule utkwiły mu w udzie - oświadczył. - Rany ropieją. Może mieć szansę, jeżeli zaraz się je wyjmie.  
- Niech pan da mu tę szansę, proszę pana, nie, błagam. Utkwił we mnie wzrok, a potem powiedział:  
- Dobrze, zaraz go zoperuję. Zna go pani, więc lepiej, żeby pani tam była. Może pani mi pomagać.  
- Tak - odrzekłam żywo. - Oczywiście.  
- Niech go przygotowują. Proszę zasłonić parawanem jego łóżko. Będę musiał zoperować go w sali. Nie ma innego miejsca.  
- Zaraz to zrobię.  
Nagle poczułam wielką wdzięczność do niego. Wiedziłam, że tylko on może to zrobić, nawet jeśli mój synek umarł z powodu jego eksperymentów.  
Było to najdziwniejsze przeżycie w moim dotychczasowym życiu. William leżał na swoim łóżku. Nie był dostatecznie przytomny, by wiedzieć, co się z nim stanie. Ucieszyło mnie to.  
- Wyzdrowiejesz, Williamie - powtarzałam szeptem. - Wrócisz do domu, do Lily i do waszego synka... ślicznego chłopczyka. Lily jest z niego taka dumna i ty również będziesz. Williamie, wrócisz do domu.  
Nie wiedziałam, czy zrozumiał, co do niego mówiłam, ale wydawało się, że moje słowa przyniosły mu pociechę.  
Doktor Adair przyszedł do nas i spojrzał na mnie uważnie.  
- Wolałbym, żeby pani nie mówiła nikomu o tym, co pani teraz zobaczy. Chcę, żeby pani tu była. Myślę, że pacjent potrzebuje pani.  
286

Ale to jest między nami... lekarzem, pielęgniarką i pacjentem - powiedział.  
Wyjął z kieszeni mały flakonik.  
- Proszę podać mi kubek - rozkazał. Nalał do kubka jakiegoś płynu. - Proszę podnieść głowę pacjenta.  
Zrobiłam to i podtrzymałam ją, kiedy ranny pił ten płyn.  
- Jak on się nazywa?  
- William Clift.

Doktor Adair skinął głową i nachylił się nad rannym.

- Williamie Clift - odezwał się cicho. - Spójrz na mnie. Spójrz mi w oczy. Co widzisz? Zaglądasz do mojego umysłu. Wyjmę z twojego uda dwie kule. Nic nie poczujesz... nic ... zupełnie nic. Twoja przyjaciółka jest tu z tobą, twoja przyjaciółka z kraju. - Nadal wpatrywał się w twarz Williama, powtarzając: - Nic nie poczujesz... zupełnie... nic...

William zamknął oczy i wydawało się, że zasnął.

- Musimy się pośpieszyć - powiedział do mnie Adair - dopóki ten środek działa. Drżałam na całym ciele. Czułam, że stoję obok jakiejś tajemniczej istoty, której niekonwencjonalne metody różnią się od wszystkiego, co kiedykolwiek widziałam lub o czym słyszałam.

- Może pani mówić do niego - polecił. - Proszę mu opowiadać o jego żonie, o dziecku i o domu...

I tak zrobiłam.

- Wrócimy do domu, Williamie. Lily na ciebie czeka. Twój synek już na pewno urósł. Będzie chciał zobaczyć swojego ojca. Lily jest taka szczęśliwa, czeka na ciebie... Czeka w sklepie, który znasz... i wrócisz tam... i nie będzie już więcej krwi ani rzezi... tylko dom... dom. Zabierzesz synka do Hyde Parku. Park jest teraz śliczny i gra tam w niedziele orkiestra. Wypowiadałam głośno myśli, które przyszły mi do głowy. Odwróciłam się i zobaczyłam zręczne palce doktora Adaira przy pracy. Wydobył jedną kulę; uśmiechał się triumfująco w sposób, który wydał mi się prawie nieludzki. Najbardziej zdumiało mnie to, że William nie poruszył się podczas operacji.

- Proszę dalej mówić - rozkazał Adair. I mówiłam.

Potem usłyszałam westchnienie. Odwróciłam się: doktor trzymał w ręce drugą kulę.

- Skończone - oznajmił. - Będzie go teraz bolało... ale jeszcze nie za bardzo. Na razie wszystko z nim w porządku. Kiedy się obudzi, proszę tylko przy nim siedzieć. Jeżeli spróbuje mówić, niech pani mu odpowie. Za godzinę lub coś koło tego poczujecie ból.

287

Zamierzam dać mu coś uśmierzającego. Proszę zaraz do mnie przyjść, gdy tylko zauważy pani jakąś oznakę, że pacjent cierpi. Będę w którejś z sal. Proszę pozostawić parawan wokół jego łóżka, aż otrzyma pani polecenie usunięcia go.

Siedziałam przy Williamie, czując dziwny zachwyt i egzaltację, jakbym była świadkiem cudu. Ten człowiek miał dziwną moc. Co o nim powiedział Philippe? Że jest wyjątkowy. To prawda. I łączył nas teraz pewien sekret. Nie mogłam nikomu powiedzieć o tym, co widziałam.

Targała mną burza uczuć. Siedziałam tam prawie godzinę, gdy zauważyłam, że grymas bólu wykrzywił twarz Williama. Pośpieszyłam, by odnaleźć doktora Adaira. Był tam, gdzie powiedział, że go znaję, na sali.

- Przyjdę do niego - obiecał.

Odmierzył na łyżeczkę kilka kropel ze swojego flakonika i wlał Williamowi do ust.

- To mu zapewni jeszcze kilka godzin zapomnienia - oświadczył.

- A potem? - zapytałam.

- Ból wróci, ale im dłużej zdołamy go uśmierzyć, tym większą szansę ma ranny na wyzdrowienie. Może go pani teraz zostawić. Nie wątpię, że ma pani dużo pracy.

- Dziękuję panu, doktorze Adair - powiedziałam.

Nie wiem, jak udało mi się pracować tego dnia. Miałam zamęt w głowie. Przez cały czas myślałam o scenie, którą widziałam, o nim, o mnie i o Williamie, który mógł umrzeć.

Były chwile, kiedy mówiłam sobie w myśli: On wypróbowuje swoją dziwną wiedzę i umiejętności. Kto mu dał prawo robić doświadczenia na ludziach, jakby byli świnkami morskimi? A przecież, jeśli ocalał Williamowi życie...



Wciąż o nim myślałam. Ale było tak, odkąd go spotkałam... i przedtem także. Nie mogłam z nikim porozmawiać o tym, co się stało. Dał mi wszak do zrozumienia, że to nasza wspólna tajemnica. Dlatego przeleżałam całą noc, nie mogąc zasnąć, i z samego rana poszłam do Williama Clifta. Był błydy i wyglądał na bardzo chorego. Lecz nadal żył. Następnego dnia wieczorem doktor Adair przyszedł do Williama Clifta. Byłam na sali, gdy go badał. Kiedy skończyłam swoją pracę, poszłam do znajomego pokoiku. Zastanawiałam się, czy tam wejdzie, czy go minie.

288

Stanął w drzwiach, uśmiechając się z triumfem.  
- No, cóż - powiedział. - Myślę, że nasz pacjent będzie żył. Poczulałam ogromną ulgę. W owej chwili zapomniałam o wrogich uczuciach wobec tego człowieka.  
- Jest pan tego pewny? Wyglądał na zniecierpliwionego.  
- Nikt nie może być całkiem pewny. W tej chwili mogę tylko powiedzieć, że nasz pacjent jest w tak dobrym stanie, jak należałoby tego oczekiwać, nie w lepszym. A to już postęp. - Przyjrzał mi się bacznie. - Będzie potrzebował dobrej opieki - ciągnął dalej.

- Oczywiście.  
- Pani powinna się nim zająć. Proszę opowiadać mu o żonie i dziecku.  
- Zrobię to - odrzekłam drżącym głosem. Skinął głową i wyszedł. Spędziłam dużo czasu z Williamem. Opatrywałam jego rany, mówiłam mu o domu. Zauważyłam, że opuściła go apatia i dostrzegłam w jego oczach nadzieję. Jakiś tydzień po tym wydarzeniu doktor Adair minął mnie na oddziale:  
- Myślę, że odeślemy naszego pacjenta zdrowego i silnego do domu, do żony i dziecka - powiedział.  
Chyba nigdy nie byłam taka szczęśliwa od śmierci Juliana. Podczas tych długich letnich miesięcy przywieziono do naszego szpitala mniej rannych i, jak zawsze, większość z nich bardziej cierpiała od chorób niż od ran. William Clift wracał do zdrowia w zadowalającym tempie, to znaczy niezbyt szybko. Obawiałam się, że jeśli całkiem wyzdrowieje, znów odeślą go na front. Był bardzo słaby, lecz śmierć już mu nie groziła - i tego właśnie pragnęłam.

Ethel, oficjalnie zaręczona, promieniała. Bez przerwy mówiła o wiejskim gospodarstwie swego narzeczonego. Była tak wdzięczna Tomowi, bo kiedy opowiedziała mu o sobie, zrozumiał wszystko. Zamierzała mieć dużo dzieci i żyć długo i szczęśliwie. Eliza była zachwycona zmianą w życiu swej przyjaciółki. Odkryłam, że lubi kimś się opiekować, i teraz, kiedy Tom zajął się Ethel, zaczęła troszczyć się o mnie. Jako jedna z nielicznych osób znała moją przeszłość od tamtej pamiętnej nocy na morzu; nigdy nie nadużyła mojego zaufania, ale to wyznanie zmieniło jej stosunek do mnie. Chciała, żebym znalazła sobie męża tak jak Ethel. Wiedziała o uczuciach doktora Fenwicka do mnie i uważała to małżeństwo za idealne rozwiązanie. Z pewnym rozbawieniem odkryłam łagodniejszą stronę jej charakteru.

289

Eliza wyglądała tak groźnie, zawsze gotowa walczyć o to, co uważała za swoje prawa, że wiele pielęgniarek bało się jej - tak samo jak pacjenci - i słuchano jej bez szemrania. Nazywano ją Dużą Elizą. Bardzo się do niej przywiązałam.

Henrietta była w dobrym nastroju. Pochlebilo jej, że została wybranką nieznanego paszy czy sułtana, który chciał wziąć ją do swojego haremu, i żartowała z tego incydentu. Mówiła o tajemnicach Wschodu, dodając, że wspaniale byłoby je poznać. Oświadczyła, że może zrozumieć doktora Adaira, którego tak fascynowały inne kultury. Często kierowała naszą rozmowę na jego temat.

-Widziałam go dzisiaj - mówiła. - On naprawdę jest wspaniały i ma wielki autorytet. Nikt nie ośmieliłby się sprzeciwić jego rozkazom. Odnosi się wrażenie, że należy do istot wyższych. Wyczuwasz to, Anno, teraz, kiedy poznałaś go trochę?

- Nie - odparłam. - Jest lekarzem, który lubi przeprowadzać doświadczenia na chorych. Myślę, że ryzyko sprawia mu przyjemność.

- Uratował życie mężowi Lily.

- Czasami ryzyko się opłaca, ale myślę, że chciał pokazać wszystkim, jaki jest zdolny.

- Wydajesz się niesprawiedliwa wobec niego, Anno. Ja myślę, że jest cudowny. Pamiętasz, jak kiedyś o nim rozmawialiśmy? Jak rozpoczęliśmy nasze poszukiwania z zamiarem zdemaskowania go jako oszusta... zadufanego hochsztaplera?

Milczałam.

- To wszystko była tylko gra, prawda? Nigdy nie traktowałyśmy jej poważnie. Jak mogłyśmy? A kiedy widzisz go tutaj... Sprawia, że inni mężczyźni nic nie znaczą. Och, nie chcę powiedzieć, że... całkowicie. Charles jest tak dobrym człowiekiem, ale...

- Wolisz grzesznika niż świętego.

- Nie sądzę, żeby te określenia miały tu zastosowanie. Charles nie jest świętym, prawda? A doktor Adair... no cóż, być może... W każdym razie uważam go za najatrakcyjniejszego mężczyznę, jakiego kiedykolwiek spotkałam.

Skrzyżowała ramiona na piersi i podniosła oczy w górę.

Gesty mojej przyjaciółki, podobnie jak słowa, były często przesadzone.

Nie powiedziałam nic więcej. Uznałam, że nie warto rozmawiać o nim z Henriettą.

Ale Eliza odbyła ze mną rozmowę o mojej przyjaciółce.

- Martwię się o nią - powiedziała. - Możemy mieć kłopoty. Uważam, że źle się dzieje, kiedy młoda kobieta żywi takie uczucia do takiego człowieka.

290

Tak właśnie wpadła biedna Eth. I co się stało? Tamten drań odszedł i zostawił ją z dzieckiem.

- A co to ma wspólnego z Henriettą i z doktorem Adairem?

- Ona darzy go takim samym uczuciem. Będzie jak wosk w jego rękach.

- Och, Elizo, jesteś zbyt melodramatyczna.

- Znam mężczyzn. W tamtym fachu było to konieczne. Oni wszyscy pragną uwielbienia i początkowo nigdy nie mają go dosyć. Dopiero kiedy dziewczyna im się znudzi, nie chcą już nic więcej... nie od niej. Ale początkowo bardzo im się to podoba. Nie sądzę, że Wielki i Potężny Pan Doktor różni się od innych mężczyzn. A ona nie kryje faktu, że jest do wzięcia.

- Nie, Elizo, to nieprawda. Po prostu my dwie zawsze się nim interesowałyśmy.

Rzuciła mi ostre spojrzenie.

- Nie pani! Pani ma więcej zdrowego rozsądku, czyż nie tak?

- Dość zdrowego rozsądku w jakiej sprawie? - zapytałam.

- Żeby trzymać się z daleka od takich jak on.

- Tak, Elizo, mam dość rozsądku - zapewniłam ją.

- Ten drugi doktor to bardzo miły dżentelmen. Kocha panią i mogłaby pani gorzej trafić.

- To bardzo miło z twojej strony, Elizo - odpowiedziałam ciepło. - Chyba naprawdę mnie lubisz.

- Oczywiście, że panią lubię. Nie chcę, żeby pani lub panna Henrietta dały się zwieść jakiemuś mężczyźnie.

- Nie dojdzie do tego.

Pokiwała głową, jakby chciała dać mi do zrozumienia, że nie jest taka pewna.

Minał sierpień i nadszedł wrzesień. Wszystkie pielęgniarki dręczył lekki niepokój. Myśl, że może będziemy musiały przeżyć w tym miejscu kolejną zimę, była bardzo przygnębiająca. Rosjanie wydawali się coraz bardziej zdesperowani. Tak samo Francuzi i Anglicy. A potem usłyszaliśmy, że pod Sewastopolem toczy się straszna bitwa i z drzeniem serca oczekiwaliśmy jej końca.

Nie musiałyśmy długo czekać. Przybył jakiś posłaniec i wszystkie podbiegłyśmy do niego, by usłyszeć ostatnie nowiny.

Francuzi zaatakowali i zdobyli Fort Małakowa.

- Dzięki Bogu! - zawołałyśmy, gdyż wszystkie wiedziałyśmy, że ten fort był kluczem do Sewastopola.

- Rosjanie uciekają z miasta, ale podpalili wszystko, co pozostawili. Miasto jest teraz jednym wielkim morzem ognia.

A potem nagle wszystkie rzuciłyśmy się sobie w objęcia.

291

Przez prawie dwanaście miesięcy czekałyśmy na upadek twierdzy\* i teraz tak się stało.

\* Sewastopol został zdobyty w październiku 1855 roku.

Żadna z nas nie wątpiła, że oznacza to koniec wojny.

Miałyśmy rację, chociaż trzeba było jeszcze zlikwidować nieliczne punkty oporu Rosjan. Wykonałyśmy naszą pracę i wszystkie mówiłyśmy o powrocie do kraju. Ale, oczywiście, szpital był pełen rannych, a niektórzy z nich okazali się zbyt słabi, żeby ich stamtąd zabrać. Nie mogłyśmy wszystkie odpłynąć i zostawić pacjentów na pastwę losu. Postanowiono, że opuścimy Krym grupami i że niektórzy z nas będą musiały pozostać dotąd, aż nie będzie już nic do roboty.

Ze względu na wyjątkowe okoliczności Ethel odpłynęła jako jedna z pierwszych. Chociaż Tom czuł się dostatecznie dobrze, by wrócić do kraju, nadal wymagał opieki i Ethel miała mu towarzyszyć.

Stałam z Henriettą i Elizą, patrząc, jak wsiadają na statek. Jak bardzo różniła się od dziewczyny, która tutaj przyjechała! Pomyślałam, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, gdyż wojna wyrwała Ethel z zamkniętego kręgu nieszczęścia i ofiarowała jej nową przyszłość, która powinna być szczęśliwa.

Stała przy nadburciu, patrząc na nas, a my czekałyśmy, aż statek zniknął nam z oczu. Później wróciłyśmy do szpitala, zbyt wzruszone, by cokolwiek powiedzieć.

Napisałam list do Lily, który Ethel obiecała oddać. Chciałam, by wiedziała, że William naprawdę ma się dobrze i jest pod moją opieką. Wiedziałam, iż nic jej nie pocieszy tak, jak powrót męża.

Sytuacja w szpitalu bardzo się zmieniła. Codziennie odsyłano grupę pacjentów. Pozostały tylko najcięższe przypadki. Oczywiście niektórzy z rannych mogli umrzeć, ale miałyśmy nadzieję, że za kilka miesięcy stan pozostałych polepszy się tak, że będą mogli wrócić do kraju.

Charles miał odpłynąć z grupą rekonwalescentów.

Przyszedł do mnie i powiedział, jakie rozkazy otrzymał.

- Anno, chciałbym, żeby pani mogła mi towarzyszyć - rzekł ze smutkiem.

- Wkrótce wrócę do kraju. Opiekuję się Williamem Cliftem i chociaż nieźle się czuje, jeszcze nie można go stąd zabrać. Dlatego... jestem tu potrzebna.

- Pani oczywiście zawsze stawia obowiązek na pierwszym miejscu.

Nie byłam pewna, czy miał rację. Jeszcze nie chciałam opuszczać szpitala. Czułam, że przybyłam tu w pewnym celu i że jeszcze go nie osiągnęłam.

Przez jakiś czas musiałam zostać w pobliżu Damiena Adaira - chociaż nie byłam pewna, co chcę zrobić. Charles ucałował mnie czule.

- Przyjadę do Londynu zaraz po pani powrocie. Myślę, że do tego czasu podejmie pani decyzję.

- Tak, Charlesie - odrzekłam. - Tak będzie najlepiej.

- Wszystko będzie wyglądało inaczej w kraju, kiedy wrócimy do normalności.

Zgodziłam się z nim.

- To już niedługo - dodałam.

A później Charles opowiadał o tym, jak będziemy żyć na prowincji. Zorientuje się w sytuacji. Wybierze starannie miejsce na swoją praktykę lekarską i nie zrobi nic, zanim nie zasięgnie mojej rady. Zdawałam sobie sprawę, że byłby troskliwym mężem i że mam szczęście, iż taki człowiek mnie kocha.

Patrzyłam, jak odpływał, a potem brakowało mi go. To wielka pociecha być kochaną, nawet jeśli nie ma się pewności, czy można odwzajemnić tę miłość.

Nasze obowiązki były teraz względnie lekkie i często miałyśmy kilka godzin dla siebie.

Grupami wsiadałyśmy do caiques i płynęłyśmy do Konstantynopola. Obecnie miasto wyglądało inaczej, nie zagrażał mu już wróg. Sklepy nagle wydały się jaśniejsze; miało się wrażenie, że na ulicach zawsze słychać muzykę. Było tam wiele restauracji, gdzie mogłyśmy coś zjeść lub po prostu siedzieć, pijąc wino lub mocną, gęstą turecką kawę.

Byłyśmy rozpoznawane dzięki naszym uniformom i otaczane szacunkiem. Zdobyłyśmy sobie dobrą opinię ofiarną pracą i chociaż na początku wielu ludzi odnosiło się do nas sceptycznie, teraz zmienili zdanie.

Henrietta była w jeszcze lepszym humorze niż zwykle. Tryskała szaloną, niemal gorączkową wesołością. Powiedziała do mnie kiedyś:

- Nie wiem, jak będę się czuła w Anglii po tym wszystkim. Chciałabym wyruszyć dalej na Wschód. Chciałabym poznać wiele nowych rzeczy.

Philippe Lablanche nadal przebywał w Konstantynopolu i towarzyszył nam raz czy dwa; często zachodził do szpitala i pomyślałam, że moja przyjaciółka mu się podoba. Chyba z nim flirtowała, a jego najwidoczniej to zachwycało. Zawsze miała duże powodzenie u mężczyzn i cieszyło ją to.

Bez przerwy zadawała Philippe'owi pytania o tureckie zwyczaje, a kiedy opowiadał jej o swoich podróżach, sprawiała wrażenie oczarowanej jego przygodami - wyobrażała sobie, jak przypuszczałam,

293

że jedzie przez pustynię i rozbija namiot w jakiejś oazie - słowem, uważała to wszystko za bardzo romantyczne. Domyślałam się, że często myśli o doktorze Adairze.

Kiedyś wróciła z Konstantynopola z dziwnym strojem, który tam kupiła. Było to coś w rodzaju luźnego jedwabnego kaftana, noszonego z szerokimi spodniami, zwężonymi w kostkach.

- Po co, do licha, to kupiłaś? - zapytałam.

- Ponieważ mi się spodobało.

- Nie możesz nosić takiego stroju - odparłam.

- Czemu nie? Włożę go i pokażę ci, jak mi w nim do twarzy.

Po kilku chwilach stanęła przede mną w tym kostiumie, promieniejąc.

- Wyglądasz jak królowa haremu. Ale masz za jasną cerę i włosy, by grać tę rolę - powiedziałam.

- Niektóre z niewolnic są jasnowłose i pochodzą z dalekich krajów - odrzekła.

- Henrietto, zachowujesz się niemądrze - skarciłam ją.
- Wiem. Ale to takie zabawne.
- Naturalnie mogłabyś nosić ten strój w Anglii jako kostium na maskaradzie. Całkiem się do tego nadaje.
- Wyraz jej twarzy zmienił się trochę. Pojawił się na niej lekki niepokój.
- Będę się dziwnie czuła w kraju - powiedziała powoli. - Wyobraź sobie... po tym wszystkim, co tu przeszliśmy, trudno się będzie przyzwyczaić do normalnego życia, prawda?
- Spojrzałam na nią ze zdumieniem. Myślałam, że tak jak większość z nas tęskni za ojczyzną.
- Nie mów, że będziesz żałowała, opuszczając ten szpital, sale szpitalne, cierpiących żołnierzy, wszystkie te okropności, koszmarny brud... ból, krew, straszne zmęczenie, warunki, w jakich żyliśmy. Nie mów mi, że przez ten czas nie pragnęłaś znaleźć się z powrotem w Anglii.
- Oczywiście tam jest wygodniej, to prawda. Wybuchnęłam śmiechem.
- I to wszystko?
- Tutaj zawsze istnieje możliwość, że stanie się coś fantastycznego. A co jest... w kraju? Bale, przyjęcia, wyprawy do sklepów, spotkania z odpowiednimi ludźmi. Tutaj jest o wiele romantyczniej.
- Zdumiewasz mnie, Henrietto! Myślałam, że nie możesz się doczekać powrotu do domu.
- Wszystko się zmienia. Ludzie też - odrzekła, uśmiechając się do siebie.

294

Kilka dni później Philippe zjawił się w szpitalu i zaprosił nas na kolację. Miał przyjechać po nas o szóstej i jak zwykle zabrać nas łodzią do Konstantynopola.

Miałam na sobie jasnozieloną suknię, którą przywiozłam z Anglii. Była bardzo skromna i odruchowo włożyłam ją do torby podróżnej. Jednym słowem, była to jedyna suknia, jaką miałam oprócz uniformu. Nie nosiłam jej często, ponieważ uniformy pielęgniarek miały nas chronić, gdybyśmy znalazły się w jakiejś trudnej sytuacji - o czym Henrietta i ja przekonaliśmy się na własnej skórze podczas pamiętnej przygody na ulicach Konstantynopola.

Ale tamtego wieczoru miałyśmy być z Philippe'em, a on dobrze znał tureckie obyczaje. Henrietta włożyła długi płaszcz i ze zdumieniem zauważyłam, że ma pod nim swój turecki strój. Wyglądała bardzo pięknie. Biła od niej wesołość, która była naprawdę zaraźliwa. Odniosłam wrażenie, że powinnam się cieszyć z tej sytuacji, ponieważ sprawiała mojej przyjaciółce tak wielką radość.

Kiedy mieliśmy wejść do łódki, spotkaliśmy doktora Adaira.

- Czy wybierają się państwo na kolację do miasta? - zapytał. Philippe powiedział, że tak.
- Dwie damy i jeden mężczyzna! To nie wydaje się właściwe. A co, jeśli ja się wproszę na tę kolację?

Zaskoczyły nas jego słowa. Oczy Henrietty zabłyśły.

- To byłoby wspaniale! - zawołała.
- Dziękuję pani - odrzekł z zadowoleniem. - A więc ustalone. Łódź była zatłoczona jak zwykle i doktor Adair zauważył:
- Wszyscy chcą wykorzystać ostatnie tygodnie pobytu w Scutari. Już wkrótce będziemy mogli stąd odpłynąć.
- W szpitalu są jeszcze pacjenci, których nie można stąd zabrać - przypomniałam mu.
- To tylko kwestia czasu. Przypuszczam, że pani już liczy dni. Odpowiedziałam, że wszyscy jesteśmy zachwyceni, iż wojna się skończyła i że mamy możliwość powrotu do normalności.
- Normalność jest taka kusząca... a przynajmniej można ją tutaj było dobrze wspominać i oczekiwać jej w przyszłości.

Podróż przez Bosfor trwała bardzo krótko i niebawem przybiliśmy do brzegu. Kilka caiques przyplęnęło jednocześnie i na wybrzeżu zgromadził się spory tłum. Doktor Adair wziął mnie pod rękę, a Philippe pomógł Henriecie wysiąść.

- Chwileczkę - powiedział cicho mój towarzysz. - Niech pani się obejrzy... proszę popatrzeć na drugi brzeg. Czyż to nie romantyczny widok?

295

W niewielkim stopniu przypomina szpital, który znamy. W tym świetle wygląda jak pałac kalifa, nieprawdaż?

Na jego ustach igrał ironiczny uśmiezek. Sprawia wrażenie tajemniczego nieznanego, pomyślałam. Zawsze tak było.

- Wygląda zupełnie inaczej, przyznaję.

- Przyzna też pani, że nigdy tego nie zapomni. Odwróciłam się. Lecz nie zobaczyłam już obok nas Henrietty

i Philippe'a.

Doktor Adair rozejrzał się wokoło.

- Tak łatwo zgubić się w tłumie. Znajdziemy ich wkrótce. Ale tak się nie stało.

Przeszliśmy wzdłuż wybrzeża. Doktor Adair spojrzał na mnie, jak sędzę, z udanym przerażeniem.

- Nieważne - powiedział. - Myślę, że wiem, dokąd Lablanche chciał panie zabrać.

- Powiedział panu? Nie słyszałam tego.

- Och... znam jego ulubione miejsce. Chodźmy tam. Proszę zostawić to mnie.

Zaprowadził mnie do jednego z powozów, które czekały na pasażerów. Ciągnęły go dwa konie. Usiedliśmy obok siebie i rozpoczęliśmy przejażdżkę po mieście. Wyglądało bardzo romantycznie, zwłaszcza w nocy. Nadal nie mogłam przyjąć do siebie po wstrząsie, jakiego doznałam, znalazłszy się sam na sam z Damienem Adairem. Mówił dość nonszalancko, ale uczenie, o architekturze, na której, jak się zdaje, dobrze się znał, porównując meczet zbudowany przez Sulejmana Wspaniałego z inną turecką świątynią postawioną przez sułtana Ahmeda I\*.

\* Sulejman Wspaniały panował w latach 1520-1560; Ahmed I rządził w latach 1603-1617.

Do tego czasu przejechaliśmy przez jeden z mostów prowadzących do azjatyckiej części miasta.

- Myślę, że tutaj znajdziemy naszych przyjaciół - powiedział. -A jeśli nie... musi nam wystarczyć własne towarzystwo.

- Jeśli nie będzie pan miał nic przeciwko temu, doktorze Adair, wrócę do Scutari - zaproponowałam.

- A czemu? Myślałem, że wybiera się pani na kolację poza szpitalem.

- Przyjęłam zaproszenie pana Lablanche'a, ale ponieważ go zgubiłam...

- Nieważne. Ma pani we mnie opiekuna - oświadczył.

- Może miał pan inne plany.

296

- Chciałem zjeść kolację w mieście. Proszę, chodźmy. Bardzo możliwe, że nasi przyjaciele już są na miejscu.

Wysiedliśmy i doktor Adair zaprowadził mnie do restauracji. Wewnątrz panował półmrok, na stołach paliły się świece. Podszedł do nas mężczyzna we wspaniałym, niebiesko-złotym stroju przepasany złocistą szarfą. Nie rozumiałam, o czym rozmawiali, ale mężczyzna w liberii - prawdopodobnie naczelný kelner - zachowywał się bardzo uniżenie.

Doktor Adair zwrócił się do mnie.

- Nasi przyjaciele jeszcze nie przybyli. Poprosiłem go, żeby znalazł stolik dla dwóch osób. Zaczekamy na nich. Kiedy się zjawia, zaraz im powie, że tu jesteśmy. Jeśli nie przyjdą, obawiam się, panno Pleydell, że będzie musiała pani zadowolić się moim towarzystwem. Zaprowadzono nas do stolika w niszy, w pewien sposób oddzielonego od reszty pomieszczenia.

- Odosobnienie jest bardzo przydatne, jeśli chce się prowadzić rozmowę - zauważył doktor Adair.

Ogarnął mnie niepokój, a jednocześnie czułam niekłamaną radość. Przebyłam długą i skomplikowaną drogę, by odnaleźć tego człowieka, a teraz oto siedziałam naprzeciw niego. To był prawdziwy sukces.

- Mam nadzieję, że jest pani przygotowana na eksperymenty z turecką kuchnią, panno Pleydell. Różni się od naszej... a tym bardziej od tego, czym nas karmiono w szpitalu. Ale nie należy bać się ryzyka, chyba zgodzi się pani ze mną?

- Tak, oczywiście.

- Nie wydaje się pani bardzo tego pewna. Lubi pani .ryzyko?

- Oczywiście, skoro wyruszyłam na wojnę - odparłam.

- Zgadzam się z panią w pewnym stopniu. Ale pani jest pielęgniarką z powołania i bez wątpienia poszłaby pani na kraj świata, gdyby tego od pani wymagano. Spróbuje pani kawioru? Jest też bardzo smaczne mięso nadziewane papryką, polane różnorodnymi sosami.

- Mogę tego spróbować z obawy, by nie uznał pan, że nie lubię ryzyka - odpowiedziałam.

- Świetnie, a potem proponuję kurczaka po czerkiesku, w sosie z orzechami włoskimi.

- Nie uważa pan, że powinniśmy poczekać na naszych przyjaciół?

- Och, nie...

- Ale miałam być gościem pana Lablanche'a - zaprotestowałam.

- Niech podejmuje kolacją naszą egzaltowaną Henriettę.

- Naprawdę uważa pan, że oni tu przyjdą?

297

- To możliwe. Nie jestem pewien, lecz to jedna z bardziej znanych restauracji w Konstantynopolu, więc możliwe, że tu przyjdą.

- Myślałam, że jest pan pewien, że ta restauracja to ulubione miejsce pana Lablanche'a - odparłam.

- To światowy człowiek, więc na pewno o niej słyszał.

- Nie jest pan zbyt szczery. Całkiem niedawno dawał mi pan co innego do zrozumienia.

- Sami decydujemy o tym, co chcemy zrozumieć, panno Pleydell, dlaczego jednak mamy zawracać sobie głowę takimi banalnymi sprawami? Jesteśmy tutaj i jemy kolację we dwoje, d deux, jak mówią Francuzi. To dobra okazja do rozmowy.

- Uważa pan, że mamy o czym rozmawiać?

- Moja droga panno Pleydell, bylibyśmy bardzo nudnymi ludźmi, gdybyśmy nie mieli o czym rozmawiać tylko przez jeden krótki wieczór. Pracowaliśmy razem... Wyrobiła pani sobie zdanie o mnie...

- A pan o mnie. To znaczy, jeśli w ogóle pan mnie zauważył.

- Jestem spostrzegawczy. Wie pani, że niewiele umyka mojej uwagi.

- Ale mogę się założyć, że pewne rzeczy są zbyt błahe, by je pan zauważył.

- Na pewno nie, panno Pleydell.

Przepasany złocistą szarfą mężczyzna w liberii podszedł do naszego stolika wraz z kelnerem odzianym niemal równie wspaniale jak on sam. Doktor Adair złożył zamówienie, wybrał jakieś wino i w bardzo krótkim czasie przyniesiono pierwsze danie.

Podniósł kieliszek.

- Za panią i za wszystkie Słowiki, które opuściły Anglię i przyplęły tu, żeby pielęgnować naszych żołnierzy.

Ja także podniosłam swój.

- I za wszystkich lekarzy, którzy również tu przyjechali.

- Pani pierwszy protegowany jest teraz w drodze do kraju - powiedział doktor Adair.

- Och, chodzi panu o Toma. Tak, jest w drodze do domu wraz z Ethel. Zamierzają się pobrać.

- I żyć długo i szczęśliwie?

- Taką mają nadzieję. On ma farmę, a Ethel pochodzi ze wsi.

- A pani drugi protegowany? - pytał dalej.

- Ma pan na myśli Williama Clifta? Powoli wraca do zdrowia.

- Niewiele brakowało. - Utkwił we mnie baczne spojrzenie.

W tej chwili przyniesiono kurczaka i milczeliśmy, kiedy kelner ustawiał talerze.

298

- Jestem pewny, że będzie pani smakował - powiedział mój towarzysz i napełnił mi kieliszek.

- Tak - ciągnął - chciałem porozmawiać z panią o Williamie Clifcie.

Uniosłam brwi.

- Wygląda pani na zaskoczoną.

- Jestem zaskoczona, że uznał mnie pan godną rozmowy o jakimś pacjencie. Wyobrażałam sobie, że pana zdaniem pielęgniarki powinny znać swoje miejsce i po prostu biegać tu i tam na rozkaz lekarzy i wykonywać najgorsze prace.

- A dlaczego nie? Nie znaczy to, że nie chcę porozmawiać z panią o Williamie Clifcie. Jego rany się goją. Był bliski śmierci, ale przeżył... W odpowiednim czasie odzyska dobrą formę i przypuszczalnie dożyje sędziwego wieku. Wie pani, że omal nie umarł.

- Tak, wiem.

- Tamte kule utkwiły głęboko. Rany zaczęły ropieć. Jego życie wisiało na włosku.

Spojrzałam na niego. Pomyślałam, że miałam rację. Ten człowiek czeka na pochwałę. Pragnie sławy dla wspaniałego doktora Adaira.

- Przypomina sobie pani, że zastosowałem niekonwencjonalne sposoby. Szczęście, że tak zrobiłem. Gdybym tego nie uczynił, panno Pleydell, William Clift już by nie żył.

- Dał mu pan coś do wypicia... - wtrąciłam.

- Zrobiłem coś więcej. Uśpiłem go za pomocą hipnozy. Nasi lekarze nie zawsze pochwalają tę metodę. Ale, panno Pleydell, moje sposoby leczenia nie zawsze pasują do ogólnie stosowanych kuracji i dlatego nie jestem konwencjonalnym medykiem.

- Wiem o tym - odparłam lakonicznie.

- Uważam, że cierpienie opóźnia powrót do zdrowia. Trzeba za wszelką cenę uśmierzyć ból. Kiedy ciało cierpi, wyzdrowienie odsuwa się w czasie. Użyłbym każdej metody, by wyeliminować ból.

- Taka postawa wydaje się godna pochwały.

- Ale w naszym zawodzie są pewni ludzie, którzy się z tym nie zgadzają. Czy powiedziałem „pewni”? Jest ich wielu. Wierzą, że to Bóg zsyła ból - lub ktoś na Wysokościach -jako sprawiedliwą karę. „Niech się stanie ból i ból się stał”. Jestem temu stanowczo przeciwny.

Podróżowałem po krajach Wschodu i nie gardzę metodami, które różnią się od naszych.

Zrobiliśmy duże postępy w wielu dziedzinach, lecz w innych pozostajemy daleko w tyle za ludami, które, wedle pewnych standardów, można by nazwać prymitywnymi w porównaniu z nami. Czy nudzę panią, panno Pleydell?

- Oczywiście, że nie. Bardzo mnie to interesuje - zapewniłam go.

299



- Była pani przy tym. Widziała pani, co się stało z Williamem Cliftem. Uratowałem mu życie. Gdyby nie ja, już by nie żył, pani Lily byłaby wdową, a jej dziecko - sierotą.

Dlaczego musi się tak chwalić? - pomyślałam. Oczywiście, że ma rację, dokonał czegoś wspaniałego. Ale dlaczego musi umniejszać swoje zasługi tymi ciągłymi przechwałkami?

- Zahipnotyzowałem go, żeby móc przeprowadzić operację, nie napotykając oporu jego ciała. Nauczyłem się tej metody w Arabii. Nie można jej używać lekką ręką. Stosuję ją tylko wtedy, kiedy to absolutnie konieczne. Pani, panno Pleydell, tak bardzo nalegała, żebym uratował życie tego człowieka. Musiałem pani pokazać, że mogę to zrobić. I zrobiłem.

- Nie rozumiem, dlaczego musiał pan to pokazać właśnie mnie... jakiejś zwykłej pielęgniarki... jednej z pomocnic, które mogą być użyteczne od czasu do czasu, ale przeważnie są tylko zawadą.

- Jest pani zbyt skromna i myślę, że w rzeczywistości cecha ta nie leży w pani charakterze. Doszedłem do wniosku, że to fałszywa skromność. Czy smakuje pani kurczak?

- Tak, dziękuję panu. Nie jestem skromna, lecz pan bardzo wyraźnie przedstawił swoją opinię o nas.

- W takim razie czemu zadaję sobie trud, żeby pani o tym wszystkim opowiedzieć?

- Może pan chce, żeby wszyscy się przekonali, jaki jest pan inteligentny? - odpowiedziałam pytaniem na pytanie.

- To prawda. Nie muszę jednak udowadniać tego pani. Pani już wie. Roześmiałam się nagle, a Adair roześmiał się razem ze mną.

- Przejdźmy do sedna sprawy - mówił dalej. - Uważam, że niegdyś miała pani o mnie bardzo złą opinię. Była pani przekonana, że opuściłem mój posterunek, by tarzać się w rozpuście. Przyprawiono panią do mnie, a ja nosiłem miejscowy strój. Co pani pomyślała?

- Że odpoczywa pan po ciężkiej pracy w szpitalu.

- Wiedziałem o tym. Dlatego muszę się przed panią wytłumaczyć. Proszę mi szczerze powiedzieć, myślała pani, że ukrywam gdzieś harem i żyję jak sybaryta, popełniając występki wszelkiego rodzaju?

- Wie pan, że czytałam pańskie książki.

- To miło z pani strony.

- Wcale nie. Polecono mi je. Zafascynowały mnie pańskie przeżycia i zrozumiałam, jakim jest pan człowiekiem. Pańskie książki to wyjaśniły.

- Zdradzając się w ten sposób, postąpiłem nierozważnie. Żyłem wśród tubylców, tak jak to opisałem.

300

Można naprawdę ich poznać tylko wtedy, gdy stajesz się jednym z nich. Dużo się od nich nauczyłem. Kiedy przyprawiono panią do mnie, miałem właśnie udać się z pewną misją. Wie pani, jak bardzo brakowało nam lekarstw w szpitalu. Pamięta pani żołnierza, któremu amputowałem nogę? Może pani sobie wyobrazić, jaki to był wstrząs dla całego jego organizmu, kiedy w żaden sposób nie mogłem uśmierzyć bólu? Jakie miał szanse na przeżycie? Niewielkie. A przecież bez amputacji czekała go pewna śmierć. Była tylko słaba nadzieja. Z pomocą pewnych środków miałby więcej szczęścia. Oczekiwano ode mnie, że będę przeprowadzał operacje. Dlatego wyjechałem... żeby kupić środki usypiające. Wiedziałem, gdzie mogę je znaleźć. To narkotyki. Narkotyki uśmierzające ból, moja droga panno Pleydell; ale nie te, które zwykle stosuje się w naszych szpitalach. Dlatego musiałem się stać jednym z tubylców. Chodzi o coś więcej niż tylko o kwestię ubioru i języka... to wizja świata. Oni znają mnie tak, jak znają siebie samych. Ufają mi. Gdybym nie wyruszył na tę krótką wycieczkę, kiedy pani uważała, że opuściłem swój posterunek i udałem się do haremu, by się pławić w rozkoszach, nie mógłbym uratować życia Williamowi Cliftowi.

- W takim razie przepraszam, że źle pana oceniłam.

- Dziękuję. Wybaczam pani. Tak łatwo jest wyciągać fałszywe wnioski, winić z powodu niewiedzy.

- Zdaję sobie z tego sprawę.

- I zmieniła pani opinię o mnie?

Zawahałam się, a doktor Adair wyglądał na zawiedzionego.

- Nie do mnie należy wyrabianie sobie opinii o panu. Mogłam to uczynić tylko z powodu niewiedzy, jak sam pan powiedział.

Podszedł kelner, by zabrać talerze, przyniósł ciasto z orzechami i miodem, zwane bakławą; postawił też przed nami tacę ze słodyczami.

- To wyśmienity posiłek - pochwaliałam naszą kolację.

- Zgadza się z panią. Wolę jednak rozmawiać o nas niż o jedzeniu. - Oparł łokcie na stole i spojrzał na mnie uważnie.

- Doktorze Adair, chyba nie próbuje mnie pan zahipnotyzować? - zapytałam.

- Obawiam się, że nie byłoby to łatwe. Stawiłaby pani opór. Biedny William Clift nie mógł tego uczynić. Ale pani, siedząc tutaj i, jeśli mogę tak powiedzieć, wyglądając wyjątkowo dobrze pomimo pobytu w naszym szpitalu, zwróciłaby umysł przeciwko mnie.

- A gdybym uległa, co by pan zrobił?

- Spróbowałbym odwieść panią od konwencjonalnych zwyczajów. Konwencjonalnych! Myślę, że jestem od nich daleka.

Chciałbym odkryć twoją tajemnicę, Słowiku.

301

- Co chce pan przez to powiedzieć?

- Właśnie to, co pani usłyszała. Zawsze myślę o pani jako o słowiku. Chyba nie powinno to wydać się pani zaskakujące.

- Zdumiewa mnie, że pan w ogóle o mnie myśli.

- Nie, panno Pleydell, mój drogi Słowiczku, pani dobrze o tym wie.

- Czyżby? Zorientowałam się, że pan w ogóle nie zauważał pielęgniarek.

- Zauważałem je wszystkie, a zwłaszcza panią.

- Rzeczywiście?!

- Zainteresowała mnie pani. Pani coś ukrywa. Chciałbym wiedzieć, co to takiego. Pyta pani, co bym zrobił, gdybym mógł opanować pani umysł. Poleciałbym: niech pani wyjawi mi wszystko... opowie o tym, co się pani przydarzyło i dlaczego jest pani taka, a nie inna.

- A co pana zdaniem mi się przydarzyło? - odparłam pytaniem na pytanie.

- To właśnie owa tajemnica. Coś się stało... coś bardzo ważnego dla pani... coś tragicznego... coś, o co pani kogoś obwinia. Chciałbym się tego dowiedzieć.

Wargi mi zadrżały. Więc to było widoczne. Ożyły we mnie wspomnienia przyjazdu do Minster i śmierci Juliana. Uświadomiłam sobie, że ten mężczyzna był tam...

Rzeczywiście miałam pewną tajemnicę - pragnienie zemsty. A teraz mój wróg siedział naprzeciw mnie, ja zaś byłam jego gościem i nie wiedziałam, dlaczego to wszystko tak bardzo różni się od moich wyobrażeń. Nie ufałam ani jemu... ani sobie samej.

- Wyznanie prawdy pomogłoby pani - mówił dalej Adair. Potrząsnęłam głową.

- Co pani myśli o bakławie? - spytał.

- Jest dość słodka.

- Turcy lubią słodycze. Niech pani spróbuje tych cukierków. One również są słodkie. To wszystko jest słodkie.

Pomyślałam: on za dużo wie. W jaki sposób odkrył, że moja przeszłość kryje jakąś tragedię? Czyżbym się czymś zdradziła?

Wiedziały o niej tylko Eliza i Henrietta. Eliza nigdy się z nim nie kontaktowała, nie zdradziłaby też mojej tajemnicy. A Henrietta? Poczułam lekki niepokój. Przypomniałam

sobie, że moja przyjaciółka mówiła bez przerwy o Adairze. Nawet dziś wieczorem, kiedy zaproponował, że się do nas przyłączy, była zachwycona.

Uznałam, że muszę szybko zmienić temat rozmowy i zaczęłam mówić o jego książkach.

- Czy ktoś pani je pokazał? - zapytał.

302

- Tak, ktoś, kto przyjaźnił się z panem w Anglii... och, dawno temu. Stephen Saint Clare.

- Tak, Stephen był moim bliskim przyjacielem. Miał ładną rezydencję na wsi. Czy była pani tam kiedyś?

- O, tak.

- Biedny Stephen, niestety, już nie żyje... jego brat również. To był smutny wypadek.

- Jego brat? - powtórzyłam słabo.

- Tak. Umarł. Jeśli pani zna tę rodzinę, przypuszczalnie wie pani również, że Aubrey nałogowo zażywał narkotyki. Posunął się za daleko. To bardzo smutne. Miał nieudane małżeństwo.

- Ach tak?

- Tak... ożenił się z kapryśną, lekkomyślną dziewczyną, która do niego nie pasowała. Zdaje się, że spotkał ją w Indiach.

- Czy znał ją pan?

- Nie. Ale słyszałem tę historię. Biedaczysko. Był słaby. Źle trafił. Porządna, zrównoważona żona mogłaby go zmienić.

- Czyżby? - Zaczynało mnie ogarniać oburzenie, ale musiałam panować nad uczuciami. Zmyliła mnie jego obojętność. Był bardzo spostrzegawczy.

- Można by pomyśleć, że dobra żona zrobi wszystko, by pomóc tak choremu mężowi. Zamiast tego odeszła od niego... rzuciła go. Po tym wszystkim narkotyzował się coraz bardziej, a nie można robić tego bezkarnie. Zapłacił za to życiem. Miał też dziecko, które umarło.

Chwyciłam się stołu. Muszę zachować spokój! Chciałam zawołać: niech pan posłucha mojej wersji tej historii!

- Prawdę mówiąc - ciągnął - przypadkiem gościłem tam wtedy. Niańka była do niczego. Żona Aubreya zostawiła dziecko i pojechała do Londynu. Nikt nie opiekował się małym. Nie powinni byli powierzać dziecka tej pijanej niańce. Należało wcześniej wezwać lekarza.

- Ale przecież wezwano pana...

- Za późno. Chłopczyk już nie żył, kiedy mnie sprowadzono. Wpatrzyłam się w niego z niedowierzaniem.

- Dlaczego to panią tak interesuje? - zapytał.

- Więc on umarł - powiedziałam. - I dziecko również. A co się stało z ową żoną?

- Odeszła... zamieszkała w Londynie, jak sądzę. Bez wątpienia lubiła życie towarzyskie.

Chciałam go uderzyć. Pragnęłam walnąć w stół z żalu i gniewu. Czułam się zdruzgotana: tak żywo przypominał mi przeszłość i mnie o wszystko oskarżył. Ale musiałam się dowiedzieć najważniejszej rzeczy: czy mój kochany Julian naprawdę już nie żył,

303

kiedy przyszedł do niego Damien Adair, o ile ten demoniczny doktor mówił prawdę. Przedstawił mnie jako płochą, niefrasobliwą kobietę, która zostawiła dziecko, żeby pojechać do Londynu. Nie dała też swemu mężowi oparcia, które mogło go uratować. Jak dużo osób w to wierzyło? Czy mogłam mu opowiedzieć o tamtych strasznych orgiach w szatańskiej jaskini, o ohydnych obrzędach, o wielkim wstrząsie, jaki przeżyłam, kiedy odkryłam, kim jest człowiek, którego poślubiłam, o powodach mojej podróży do Londynu i o tym, że wszystko wówczas sprzysięgło się przeciwko mnie?

Jak on śmiało interpretował mój przypadek tak beztrąsko, tak okrutnie?

- Czy coś się stało, panno Pleydell?

- Nie... oczywiście, że nie.

- Te cukierki w kształcie serca są wyśmienite. Proszę spróbować.

- Nie, dziękuję.

- A oto i kawa.

Podano ją na mosiężnej tacy w złocistych czarkach. Próbowałam się opanować, kiedy ją nalewano. Targała mną burza uczuć. Najbardziej niepokoiło mnie, że jestem z nim tutaj i rozmawiamy tak poufale; zupełnie straciłam kontrolę nad nerwami, kiedy przedstawił swoją wersję tego, co się wydarzyło w Minster.

Obserwował mnie uważnie.

- Proszę mi powiedzieć, dlaczego postanowiła pani zostać pielęgniarką? - zapytał.

- Czulałam, że muszę nią być - odrzekłam.

Chciałam zawołać do niego: Co pan wie o tym, co się stało w Minster? Jak mogłam tam zostać? Nie zdołałabym uratować Aubreya, za daleko zaszedł swoją drogą. Nie byłabym w stanie mu pomóc, zostając. Musiałam odejść. Nie potrafiłam znieść bólu po stracie dziecka. Jak pan śmie mówić o mnie, że byłam lekkomyślna i beztrąska! Zmusiłam się, by mówić dalej:

- Poczulałam, że mam coś w sobie, to jakby pewien dar. Przypuszczam, że uznałby pan to za absurd, ale kiedy dotykałam ludzi, zauważałam pewną reakcję. Wydawało się, że moje dotknięcie przynosi im ulgę, uśmierza ból.

Wyciągnął rękę - siedzieliśmy naprzeciw siebie - i ujął moją dłoń.

- Pani ręce - powiedział - pani ręce mają piękny kształt. Są białe... a przecież niezwykle uzdolnione... magiczne ręce.

- Śmieje się pan ze mnie.

Nadal trzymając moją rękę, spojrzał mi w oczy. Bałam się jego uważnego wzroku. Głębokich, ciemnych oczu. Widziałam ich moc.

304

Przez moment ogarnęła mnie panika, kiedy pomyślałam, że Adair odgadnie moją tajemnicę.

- O, nie, nie śmieję się z pani - odparł. - Mówiłem pani, że poznałem mistycyzm Wschodu.

Wierzę, że pewni ludzie posiadają dziwną moc. Widziałem panią w szpitalu. Tak, ma pani uzdrawiający dotyk. Czy to dlatego chciała pani zostać pielęgniarką?

- Myślę, że tak. Chciałam coś zrobić ze swoim życiem.

- Z powodu tego, co się stało?

- O co panu chodzi?

- O pani tajemnicę, Słowiczku. Próbowałam się roześmiać.

- Wyobraża pan sobie coś, czego nie ma.

- Nieprawda. Wiem, że jest. Proszę mi to wyjawić. Może na coś się pani przydam.

- Nie mam nic do powiedzenia.

- Może wyznanie tego czegoś okazałoby się pomocne - nie ustępował.

- Pomocne? Dla kogo?

- Dla pana? Dla mnie?

Potrząsnęłam głową i cofnęłam rękę, którą nadal trzymał.

- Jest pani bardzo powściągliwa - powiedział.

- Co pan przez to rozumie?

- Myślę, że jest pani podejrzliwa w stosunku do mnie. Roześmiałam się i wzruszyłam ramionami.

- Nie chce pani, żebym się dowiedział tego, co usiłuje pani ukryć przede mną.

- Przed panem? Dlaczego miałabym coś przed panem ukrywać? - spytałam z głupia frant.

- To, co chcę, żeby mi pani powiedziała. Drogi Słowiku, nie jesteśmy teraz w szpitalu. Jesteśmy wolni... na jedną noc, tutaj.

- Co to ma znaczyć? - zapytałam z oburzeniem.

- Że żadne obowiązki nie przerwą nam tego bardzo przyjemnego spotkania.

- Ja... ee - wyjąkałam.

- Och, proszę powiedzieć prawdę - nalegał.

- To spotkanie jest bardzo interesujące. Przypuszczam, że byłoby jeszcze przyjemniejsze w towarzystwie pozostałych dwojga.

- We dwoje jest przyjemniej niż we czworo. Dwoje może porozmawiać w bardziej intymny sposób. Kiedy są cztery osoby, często prowadzi się dwie rozmowy jednocześnie. Nie, ja wolę to pierwsze i cieszę się, że tak się właśnie stało. Myślę, że z czasem zdołałbym nakłonić panią, żeby się pani odprężyła.

305

- Nie jestem spięta.

- Ależ tak. Powoduje to pani tajemnica. Pozwala pani, żeby przeszłość kierowała pani życiem. Usiłuje pani wysublimować swoje naturalne popędy, stając się pielęgniarką. Co pani zamierza po powrocie do kraju? Przyłączy się pani do panny Florence Nightingale? Słyszałem, że dokonuje wielkich rzeczy w Londynie. A może poślubi pani Charlesa Fenwicka? Może to właśnie pani planuje.

- Skąd pan tyle wie o moich sprawach?

- Powiedziałem pani, że mam oczy szeroko otwarte, a ponieważ Charles był lekarzem w naszym szpitalu, naturalnie wiedziałem o nim co nieco. Czy zamierza pani wyjść za niego?

- Nie wiem. Nie jestem pewna. Tutaj wszystko jest inne niż w kraju. Myślę, że powinnam poczekać przed podjęciem jakiegokolwiek decyzji, aż znajdę się w kraju, w znajomym otoczeniu i wrócę do normalnego trybu życia. Zawsze będę jednak chciała w jakiś sposób wykorzystać swoje zdolności pielęgniarskie.

- Jakaż ostrożna z pani dama! Nigdy nie działa pani pod wpływem impulsu?

- Myślę, że robię to często. Utkwił we mnie oczy.

- Cieszy mnie to.

- Dlaczego?

- Ponieważ „często” jest bardzo zachęcające. A więc wyjdzie pani za doktora Fenwicka! Będzie miał spokojną praktykę na prowincji, niezbyt zajmującą, by nie odrywała go od żony i rodziny. Życie lekarza na angielskiej prowincji może być bardzo przyjemne.

- A skąd pan o tym wie?

- Z obserwacji. Nie sądzę, żeby taka egzystencja spodobała się pani. Ma pani w sobie coś, co pragnie więcej... nowych doświadczeń, przygód... Oczywiście może pani zamieszkać w miłym prowincjonalnym domku w miłym miasteczku na prowincji z miłą rodziną - i nigdy nie pozna pani innego życia. Jest takie powiedzenie, że nigdy nie brakuje nam tego, czego nie mamy. Ale pani, panno Pleydell... och, zastanawiam się. Widzi pani, w przeszłości zdarzyło się coś, co sprawiło, że nie jest pani konwencjonalną młodą damą, jaką stara się pani być.

- Czyżby? Czy to rezultat pańskich uważnych obserwacji? Powinnam to raczej nazwać pańską wybujałą wyobraźnią. Ale pochlebia mi, że tak dużo pan rozmyślał o moich sprawach.

- Jeszcze bardziej by pani pochlebiło, gdyby pani wiedziała, jak wiele nad nimi myślałem. Uniosłam brwi.

306

- Chyba tak naprawdę to pani nie zaskoczyło - dodał. - Pani wie, prawda, że bardzo mnie pani interesuje?

- Wyobrażam sobie, że prowadzi pan to, co nazywane jest uprzejmą pogawędką przy kolacji z osobą, która nie zasługuje na poważną rozmowę.

- Chyba nie odniosła pani takiego wrażenia tego wieczoru? Milczałam.

- Wkrótce opuścimy to miejsce - ciągnął. - Dla mnie był to bardzo miły wieczór. Nie chcę, żeby się skończył.

- Był pan bardzo miły, zapraszając mnie na kolację. Nie miałam pojęcia, że to pan będzie moim gospodarzem.

- Odrzuciłaby pani zaproszenie, gdyby pani o tym wiedziała?

- Skoro już przyjąłam zaproszenie pana Lablanche'a...

- Nie o to mi chodziło. Czy pani się mnie boi?

- Bać się pana?! Dlaczego miałabym się pana bać?

- Być może... z pewnego powodu.

- Teraz to pan jest tajemniczy - odparłam.

- Drogi Słowiku, czyż nie jestem zawsze tajemniczy? Ale może teraz już nie tak bardzo, ponieważ sądzę, że wie pani, co mam na myśli. Uważam, że powinniśmy się lepiej poznać. Przecież pracowaliśmy razem w szpitalu w Scutari.

- Razem! Pan mi pochlebia. Przecież ja tam tylko wykonywałam polecenia.

- A jednak... byliśmy tam razem. - Położył rękę na stole. - Niech się pani nie zamyka z tą tajemniczą przeszłością. Niech pani ją ujawni, porozmawiajmy o tym. Proszę mi pozwolić udowodnić, że nie miała być pani tylko pielęgniarką. Jest pani również kobietą... i to atrakcyjną kobietą.

Poczułam, że się czerwienię.

- Co pan sugeruje? - spytałam zmieszana.

- Żeby dostrzegła pani życie takim, jakie jest, aby nie odmawiała sobie pani tego, co powinno pani dać.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że czegoś sobie odmawiam.

- Proszę pozwolić mi powiedzieć, że dobrze panią znam. Jest pani taką samą kobietą jak inne i w tym wiktoriańskim stuleciu restrykcji i represji tak wiele kobiet nie pozwala sobie na to, by być sobą. Próbują się upodobnić do zimnokrwistego ideału, jaki im narzucono. Nie widzi pani, że ten stan rzeczy odpowiada męskiej części społeczeństwa... tak długo, dopóki są inne kobiety, u których mężczyźni szukają rozkoszy? Od dam pani pokroju oczekuje się, że stłumią to, co jest im dane od urodzenia - uczucia i potrzebę zaspokojenia zmysłów, które, zapewniam panią, nie stanowią powodu do wstydu.

307

Obserwowałam panią. Jest pani normalną, impulsywną kobietą, zdolną, jak wiem, do głębokich uczuć. Tłumi je pani powołaniem do pielęgniarstwa. Widziałem, że pracowała pani tak, jak gdyby w pani życiu nie było niczego innego. Pani z czymś walczy, coś ukrywa. Gdyby wyznała mi pani tę tajemnicę, gdybyśmy mogli porozmawiać o niej, gdybyśmy zostali... prawdziwymi przyjaciółmi...

Popatrzyłam na niego uważnie.

- Prawdziwymi przyjaciółmi! - powtórzyłam. - Najprawdziwszymi... najlepszymi przyjaciółmi... których nic

nie dzieli. Opuścimy to miejsce. Pojedzie pani ze mną...

Wiedziałałam, co sugeruje, i znów się zarumieniłam. Zauważył moje zażenowanie, które go rozbawiło.

Myślał, że jestem zamknięta w sobie, że tłumię naturalne odruchy i pragnienia. Był to najmniej oczekiwany obrót rozmowy.

Jest zły. To oczywiste, że jest złym człowiekiem. Staralam się o tym zapomnieć, ponieważ uratował życie Williamowi Cliftowi. A dlaczego to zrobił? Na pewno nie z pobudek humanitarnych, tylko żeby udowodnić, iż jest wszechpotężny.

Podniosłam się z krzesła.

- Doktorze Adair - oświadczyłam - chcę wrócić do szpitala. Wzruszył lekko ramionami i spojrzął na mnie pytająco.

- Rzeczywiście miałem rację - powiedział powoli. - Ale nie zdawałem sobie sprawy, jak mocne więzienne mury wzniosła pani wokół siebie.

- Pańska metafora jest dość niejasna. Jestem całkowicie wolna, sama kieruję swoim życiem i wiem, że nie chcę kontynuować tej rozmowy. Dziękuję panu za kolację. A teraz, jeżeli zechce mi pan powiedzieć, jak mam wrócić do szpitala, pożegnaj się z panem.

- O tej porze nie może pani wyjść sama na ulice Konstantynopola.

- Będę tam bezpieczniejsza...

- Niż ze mną? - dokończył za mnie. - Myślę, że nie. Nie chcę się pani narzucać. Mógłbym panią zmusić, ale to zupełnie inna sprawa. Dobrze, pojedziemy, gdyż widzę, że się pani denerwuje. Uznała mnie pani za łajdaka, za uwodziciela, prawda? Zawsze wyczuwałem pani wrogość wobec mnie. Intryguje mnie to uczucie. Próbowałem je zmienić, lecz chyba niezręcznie. Tak bardzo panią szanuję, panno Pleydell, ale nie udało mi się... dzisiejszego wieczoru. Przegrałem pierwszą bitwę, lecz pierwsze bitwy nie decydują o wyniku wojny.

- Mówi pan tak, jakbyśmy toczyli wojnę.

308

- To naprawdę trafne porównanie. Przekona się pani, że jestem łaskawym zwycięzcą i że warunki pokoju będą pani odpowiadać.

- To bzdura.

Popatrzył na mnie uważnie i zrozumiałam, że właściwie odczytałam jego zamiary.

Chciałam stamtąd odejść i zostać sama, by pomyśleć o wszystkim, co zostało powiedziane przy tym stole, i zastanowić się, jakie miało znaczenie.

Doktor Adair wstał razem ze mną, a wspaniale odziany mężczyzna w liberii z ukłonem wyprowadził nas z restauracji. Niebawem wjeżdżaliśmy przez most do chrześcijańskiego Konstantynopola.

- Wystarczy, że odprowadzi mnie pan do jednej z łodzi - oświadczyłam.

- Nie, to nie wystarczy. Odwiozę panią do samego szpitala.

- To nie jest konieczne - zaoponowałam.

- Zrobię to.

Nic nie odpowiedziałam, ale czułam na sobie jego wzrok. Dostrzegłam w nim rozbawienie i nieco ironii. Poczulałam się niepewnie, zdałam sobie sprawę z tego, że w jakiś sposób zostałam skalana. To, co się stało, zupełnie wytrąciło mnie z równowagi. Nie chciałam uwierzyć, że właściwie zrozumiałam jego słowa. Uznałam jednak, że mając do czynienia z tak złym człowiekiem, nie mogłam się pomylić.

Wspięliśmy się po zboczach do szpitala. Tam ponownie podziękowałam memu towarzyszywi tak oficjalnie, jak mogłam.

- Zakończenie tego wieczoru mogło być tak odmienne - odrzekł.

- Stało się wszakże inaczej: okazało się bardzo konwencjonalne, jak można oczekiwać od kogoś tak konwencjonalnego jak pani.

- W grę wchodziło tylko jedno możliwe zakończenie - odparłam.

- Dziękuję panu.

Ujął mocno moją dłoń.

- Nie było to jedyne możliwe zakończenie, panno Pleydell.

- Jeśli o mnie chodzi - jedyne.

- Nieważne - odpowiedział. - To dopiero początek. Odwróciłam się i odeszłam. Pośpieszyłam do swojej sypialni. Żałowałam, że nie mogę być sama. Było nas teraz znacznie mniej, miałyśmy o wiele więcej miejsca, ale nie mogłyśmy zachować prywatności. Eliza już leżała na swojej otomanie. Otworzyła oczy, kiedy weszłam.

- Gdzie Henrietta? Widziałam, że wychodziły panie razem.

- Jeszcze nie wróciła?

309

-Nie.

- Rozdzielono nas. Doktor Adair przyłączył się do nas i zgubiliśmy Henriettę i Philippe'a Lablanche'a.

Eliza podniosła głowę, oparła się na łokciu i utkwiała we mnie oczy.

- A więc była pani sama... z doktorem Adairem. Skinęłam głową.

- Jestem taka zmęczona, Elizo.

- Hmm - mruknęła i znów się położyła. Nic więcej nie powiedziała i kiedy obie już leżałyśmy, zdałam sobie sprawę, że nie śpi.

Rozmyślałam o wspólnym wieczorze z doktorem Adairem i o tym, co powiedział: że odeszłam od Aubreya. To było takie niesprawiedliwe. Kto przekazał mu taką wersję? A jego zawołana propozycja! Doszłam do wniosku, że odnosi się tak do wszystkich kobiet. Uważał nas za niewolnice. Czyż nie żył na Wschodzie? Czy nie przejął tutejszych zwyczajów? Widziałam tureckie kobiety: ich ciała okrywały długie szaty, miały zasłony na twarzach, które mogli oglądać tylko ich panowie i władcy. Doktor Adair był taki jak oni, podzielał poglądy Turków na temat kobiet. Żyłyśmy tylko po to, by spełniać życzenia mężczyzn, a zwłaszcza takich mężczyzn jak Damien Adair. Kaprys losu sprawił, że się spotkaliśmy. Ale czy to przypadek, czy może to on sam tak wszystko zaaranżował, że zgubiliśmy Henriettę i Philippe'a? Uważał mnie za łatwą zdobycz. Zamknięta w sobie! Tłumiąca naturalne popędy poprzez pielęgnowanie cierpiących. Cóż za zuchwalec! I napomykał o jakichś związkach między nami. Jeżeli przedtem czułam do niego głęboką nienawiść, teraz nienawidziłam go dwakroć mocniej.

Byłam urażona i wstrząśnięta. Zranił mnie głęboko tym, co powiedział o moim małżeństwie. Henrietta wróciła znacznie później.

Nachyliła się nade mną, by sprawdzić, czy śpię. Udałam, że tak. Wiedziałam, że będzie mnie wypytywać o ten wieczór i chciałam nabrać dystansu do tego, co zaszło, zanim jej odpowiem. Następnego dnia nie mogłam już uniknąć pytań. Pragnęła wszystko wiedzieć.

- Co się stało? W jednej chwili byliście tam, a w następnej zniknęliście.

- Nie wiem, co się stało. Po prostu uświadomiliśmy sobie, że odeszliśmy.

- Philippe prowadził mnie przez tłum. Myślałam, że idziecie za nami.

310

- Pamiętam, że zatrzymaliśmy się, żeby spojrzeć za siebie.

- To musiało się stać właśnie wtedy. Och, Anno, a co było potem?

- No cóż, doktor Adair pomyślał, że mogliście pójść do pewnego miejsca. Powiedział, że jest to ulubiona restauracja monsieur Philippe'a... czy coś w tym rodzaju. Dlatego tam pojechaliśmy i sami zjedliśmy kolację.

- Byłaś sama z doktorem Adairem! Anno, jakie to ekscytujące! Milczałam.

- On jest taki fascynujący. Oczywiście Philippe jest bardzo miły, ale... Co się stało?

- Po prostu zjedliśmy kolację, porozmawialiśmy i wróciliśmy do szpitala - odrzekłam. - Na długo przed tobą.

- Tak. Mocno spałaś. O czym u licha rozmawialiście?

- Och... o naszym szpitalu - odpowiedziałam wymijająco.



- Myślałam, że się ucieszysz, iż możesz zostawić to wszystko choć na trochę.
- No cóż, on jest lekarzem i szpital wiele dla niego znaczy.
- To spotkanie musiało być dla ciebie cudowne. Nic nie odpowiedziałam.
- Gdybym to ja była na twoim miejscu, bardzo by mnie podekscytowało. To znaczy... mam na myśli jego wszystkie przygody ... wizyty w haremie i tak dalej. Miałabym mu tak wiele do powiedzenia.
- Ty zawsze masz tak dużo do powiedzenia wszystkim, którzy cię otaczają - zauważyłam z lekkim przekąsem.

Wybuchnęła śmiechem.

- Tak, zwłaszcza o nim. Uważam, że to najbardziej zdumiewający mężczyzna ze wszystkich, jakich znam.

Nie mogłam dłużej słuchać, jak go wychwala, więc powiedziałam, że naprawdę muszę iść do pracy.

Jakiś tydzień później usłyszałyśmy, że wracamy do kraju. Większość rannych będzie przetransportowana do Anglii i tylko nieliczni zostaną.

W miarę jak zbliżał się termin powrotu, zauważyłam roztargnienie Henrietty. Znów wyczułam, że nie chce wracać.

Eliza również to zauważyła. Myślę, że się o mnie niepokoiła. Głęboko wierzyła, że powinnam posłubić doktora Fenwicka, ponieważ tak będzie dla mnie najlepiej.

- Powtarzałam wiele razy - powiedziała - że jest pani jedną z tych kobiet, które chcą mieć rodzinę. Pragnie pani dzieci i dzięki temu małżeństwu będzie je pani miała. Och, wiem, że nie uważa pani doktora Fenwicka za mężczyznę, dla którego warto skoczyć w ogień.

311

To nie tak. Życie nie jest takie, proszę mi wierzyć, ja to wiem. I kiedy dziewczyna widzi coś dobrego, powinna chwytać okazję i nie zastanawiać się za długo, bo ktoś inny może to jej odebrać. Takie możliwości zdarzają się rzadko.

Nie miałam jej za złe, że się wtrąca do moich spraw. Podobało mi się, że Duża Eliza wzięła mnie pod swoje skrzydła.

Zastanawiałam się, co ona sama będzie robić po powrocie do Anglii, i zapytałam ją o to.

Wzruszyła ramionami.

- Może będę pracować w jednym z tych nowych szpitali, o których tyle się mówi. Myślę, że mogę teraz powiedzieć, iż mam dość doświadczenia w tym fachu. To lub powrót do poprzedniego zajęcia. Kto wie? To gra w orła i reszkę.

- Ale gdzie będziesz mieszkała po powrocie?

- Znajdę jakiś pokój. To nic trudnego.

- Elizo, wróć ze mną i z Henriettą. Mam dość miejsca w domu, który wynajmuję.

- Co?! Zamieszkać w pani domu? Chyba pani zwariowała. Ktoś taki jak ja nie może mieszkać u pani!

- Moja droga Elizo, ja sama wybieram sobie gości i przyjmuję tych, których zechcę.

Wyśmiała mnie.

- Nie. Po powrocie do kraju będzie zupełnie inaczej, może mi pani wierzyć. Tutejsze przyjaciółki nie będą nimi w Anglii. Tutaj wszystkie jesteśmy takie same. Pracujemy razem. Ale to się zmieni, kiedy wrócimy do domu.

- Wszystko będzie tak, jak same postanowimy, Elizo. A ja chcę, żebyś zatrzymała się u mnie, zanim zdecydujesz, co dalej zrobisz. Może będziemy razem pracować w jednym z nowych szpitali.

- Nie będzie pani chciała takiej pracy. Wyjdzie pani za tego sympatycznego doktora Fenwicka.

- Elizo, powiedz, proszę, że wrócisz z nami. Razem odwiedzimy Ethel na wsi.

- To byłoby miłe.
- A więc postanowione.
- Jest pani porządną kobietą - powiedziała, marszcząc czoło. - Mam nadzieję, że wszystko będzie dobrze między panią i doktorem Fenwickiem.
- Takie sprawy idą własnym trybem - odrzekłam.
- Był taki czas, kiedy się obawiałam, że czuje pani coś do tego doktora Adaira... tak jak Henrietta.
- Do niego?! O, nie! On jest mi całkowicie obcy.

312

- To nie ma znaczenia. Powiedziałabym, że to zły człowiek. Jeśli miałabym wskazać kogoś takiego, to na kandydata numer jeden wybrałabym doktora Adaira.

- Uważam, że masz rację.
- Ale on ma w sobie coś - muszę to przyznać. Myślę, że przyciąga kobiety jak światło ćmy. Jego zachowanie... przystojna twarz, ciemne oczy i włosy, tajemnicze podróże na Wschód i tak dalej. Myślę, że miał ciekawe życie... i w jakiś sposób można to wyczuć.

- Wydaje się, że on wywarł też wrażenie na tobie.

- On wywarłby wrażenie na kamiennym murze. Martwię się o Henriettę. Pani ma dużo zdrowego rozsądku, wiele pani przeżyła. Była już pani mężatką i wie pani, że małżeństwo nie jest romanssem. Ale Henrietta tak naprawdę jest dzieckiem. To naiwne dziewczę... podobnie jak Ethel, ale w inny sposób, jeśli rozumie pani, co mam na myśli.

- Uważam, że Henrietta potrafi zadbać o siebie. Wydaje się lekkomyślna i nieco płocha, ale w rzeczywistości jest bardzo rozumna - powiedziałam stanowczo.

- Nie wiem. Dziewczyny mogą zwariować na punkcie mężczyzn, a z kimś takim nigdy nic nie wiadomo.

- Chyba nie sądzisz, że doktor Adair i Henrietta... - nie dokończyłam.

- Nie odrzucałabym takiej możliwości. Jeżeli ów człowiek kiwnie palcem, to ona za nim poleci. Zauważyła pani, jak się zachowuje, kiedy on jest w pobliżu... a nawet kiedy się o nim wspomni? Wystarczy, że powie słowo, i Henrietta z nim ucieknie - a z tego nie wyniknie dla niej nic dobrego.

- Mylisz się, Elizo. Ona bardzo często spotyka się z panem Lablanche'em.

- To miły człowiek... podobnie jak doktor Fenwick, ale nie takich miłych mężczyzn pragną kobiety, jeśli nie mają dość rozsądku, a większość go nie ma. Wiem, o czym mówię.

Czyżby? - zapytałam się w duchu.

W miarę jak zbliżał się dzień, w którym miałyśmy opuścić Scutari, Henrietta stawała się coraz bardziej zamyślona. Często milczała - co zdarzało się jej tak rzadko. Zapytałam ją, czy coś jej dolega, lecz zapewniła mnie, że nie. Wiedziałam jednak, że coś nie daje jej spokoju. Stało się to ostatniej nocy w Scutari, miałyśmy wyjechać następnego dnia. Nie wiedziałyśmy dokładnie, kiedy odpłyniemy; uprzedzono nas wszakże, żebyśmy były gotowe wsiąść na okręt w każdej chwili.

313

Tamtego dnia spotkałam doktora Adaira. Wiedziałam, że mnie szukał. Poszliśmy do pokoiku obok pustej teraz sali szpitalnej.

- A więc jutro pani odpływa - powiedział. - Tak.

- Nie chce pani tego?

Zawahałam się przez chwilę. Pod pewnymi względami miał rację. Byłam przygnębiona.

Przybyłam do Scutari, aby pokazać mu, kim jest, a co zrobiłam? Nic. Przechytryzył mnie w każdym wypadku; wszystko, czego „dokołałam”, to uzależniłam się od niego. Po raz

pierwszy przyznałam to sama przed sobą. Zdawałam sobie teraz sprawę, że kiedy jestem z nim, kiedy z nim rozmawiam, czuję, że żyję. Dotąd karmiłam się nienawiścią; żyłam dla niej - i rozumiałam, że bez tego uczucia moje życie stanie się puste. Wszędzie czyha na mnie pustka.

- A więc mam rację - powiedział z triumfem. - Nie chce pani stąd odpłynąć. - Podeszedł do mnie i położył mi rękę na ramieniu, trzymając mocno. - Niech pani zostanie.

- Jak mogłabym zostać? Powiedziano nam, że musimy opuścić szpital.

- Poza tym szpitalem są inne miejsca. Dobrze pani wie, jak bardzo interesująca jest stolica Turcji. Mógłbym pokazać pani fascynujące zakątki.

- To niemożliwe - odparłam. - Gdzie miałabym zamieszkać?

- Załatwię to.

- Czy pan naprawdę sugeruje...

Spojrzał na mnie i skinął głową z uśmiechem.

- No, proszę, panno Pleydell, uwięziony w klatce Słowiku. Niech pani zrobi to, czego pani pragnie, nawet jeśli jest to sprzeczne z zasadami, które społeczeństwo ustanowiło dla kobiet. Niech pani tu zostanie. Dopilnuję, żeby wszystko zostało załatwione.

- Oczywiście pan nie mówi tego poważnie.

- Jak najpoważniej - zapewnił mnie.

- Dlaczego?

- Ponieważ będzie mi pani brakowało, jeśli opuści pani Turcję.

- Na pewno nie.

- Proszę panią, panno Pleydell. Znam swoje uczucia.

- W takim razie żegnam pana, doktorze Adair.

- Ja nie powiem „żegnam”. Jeżeli postanowiła pani odpłynąć jutro, powiem au revoir, ponieważ pani wie, że znów się spotkamy.

Ujął moją dłoń i przytrzymał, zmuszając, żebym spojrzała mu w oczy. Zdałam sobie sprawę, że emocje biorą we mnie górę nad zdrowym rozsądkiem. Wielki smutek wypełniał mi serce

314

- nie dlatego, że opuszczałam szpital i że wojna się skończyła - jak mogłabym? Powinnam się z tego cieszyć. Ale jeśli muszę wyznać prawdę, to byłam taka smutna dlatego, że już nie będę widywała doktora Adaira. Ogarnęła mnie obsesja na jego tle - zanim jeszcze go spotkałam. Żyłam dla zemsty, a teraz, kiedy stanęliśmy twarzą w twarz, owo pragnienie gdzieś się ulotniło.

Chciałam nadal z nim walczyć. Chciałam więcej takich spotkań sam na sam przy kolacji, kiedy siedział naprzeciwko mnie, robiąc niewyraźne aluzje i sugerując, że mogą nas połączyć jakieś więzy - nad czym, musiałam przyznać ze wstydem, zaczęłam się zastanawiać i co mnie podniecało.

Będzie mi bardzo smutno, kiedy stąd odpłyniemy. Zadałam sobie w duchu pytanie, co powinnam zrobić w Londynie. Prawdopodobnie nieraz powrócę myślami do potworności szpitala w Scutari -choć pracowałam bez przerwy, oglądając sceny budzące we mnie mdłości i litość, wieczorem zaś opadałam bez sił na otomanę, tak zmęczona, że mogłam tylko spać przez krótki czas do poranka. Ale przez cały ten czas istniała możliwość, że go zobaczę, a nawet zamienię z nim kilka słów, odkryję coś, co, jak sobie tłumaczyłam, stanowi przykład jego zadufania i nikczemności.

Będzie mi go brakowało. Nie, to zbyt powierzchowne określenie tego, co czułam. Moje życie będzie puste bez niego.

- Żegnam pana, doktorze Adair - powtórzyłam. Nie puścił mojej ręki.

- Niech pani nie odpływa - powiedział spokojnie.

- Żegnam pana.

- Jest pani nieugięta.
- Naturalnie, przecież wracam do kraju.
- Znow się spotkamy.
- Być może...
- Nie być może - odrzekł z mocą. - Dopilnuję, żeby tak się stało. Pani wie, że będzie pani żałowała tego posunięcia.

W odpowiedzi tylko się uśmiechnęłam, wysunęłam rękę z jego dłoni i odeszłam. Tego samego dnia, kilka godzin później, przyszła do mnie Henrietta.

- Anno - oświadczyła - Nie odpływam.
- Co ma znaczyć to „nie odpływam”?
- Nie wracam do kraju.
- Nie możesz zostać w szpitalu.
- Wiem. Nie zamierzam tego zrobić - odrzekła spokojnie.

315

- Ależ ty... nie możesz... - wyjąkałam.
- Mogę... kiedy opuścimy szpital. Już nas zwolniono. Mogę udać się tam, dokąd chcę. Zamierzam tu zostać.
- Gdzie?
- W Konstantynopolu.
- Sama?
- No cóż... nic mi się nie stanie. Muszę podjąć pewną decyzję.
- Jaką decyzję? - pytałam dalej.
- Chodzi o Philippe'a. Poprosił mnie o rękę. - I zgodziłaś się? Pokręciła głową.
- Nie jestem pewna. Potrzebuję czasu.
- Przecież mogłabyś pojechać do niego z Anglii.
- Nie chcę tego robić. Zamierzam tu zostać - odpowiedziała z mocą.
- Ale nie możesz tego zrobić!
- Niewielka część pielęgniarek zostaje. Grace Curry, Betty Green i kilka innych.
- To co innego. Potrafią zadbać o siebie. To nie są młode dziewczyny.
- Znajdę kogoś, kto się mną zajmie. Muszę zostać, Anno. Nic nie zmieni mojej decyzji.
- Och, Henrietto! - westchnęłam smutno. - Przyjechałyśmy razem do Scutari. Byłyśmy razem cały czas.
- Wiem. To wspaniała przyjaźń, ale to, o co mi teraz chodzi, jest dla mnie ważniejsze niż cokolwiek na świecie. Wracaj do kraju, Eliza będzie ci towarzyszyć. Ona jest lepsza ode mnie...
- Nie zostawaj tu, Henrietto.
- Muszę.
- Nie powiedziałaś mi wszystkiego. Milczała.
- Są pewne sprawy, o których nie sposób rozmawiać. Nie można wytłumaczyć komuś innemu swoich uczuć. To jest coś, co muszę zrobić sama - oznajmiła w końcu.
- Czy poważnie się zastanowiłaś nad tym, co robisz?
- Myślałam o tym od bardzo dawna. Nie czekam do jutra, opuszczam szpital dziś wieczorem.
- Nie mogę wprost uwierzyć. Czuję się całkowicie zdruzgotana.
- Nie chciałam ci tego mówić, odkładałam wyjaśnienia na później. Powinnam była zrobić to wcześniej. Ale znasz mnie. Jeżeli nie chcę czegoś zrobić, udaję, że to nie istnieje. Zawsze byłam taka.
- Może powinnam również zostać - powiedziałam.

316

Spojrzała na mnie ze strachem.

- Nie, nie. Musisz wrócić do kraju. Eliza zostanie z tobą. Och, Anno, czyż Jane i Polly nie będą zadowolone? I Lily również. Będą dziękowały za twój powrót niebiosom.

- Henrietto, czy chcesz mi coś powiedzieć? Potrząsnęła przecząco głową.

- Nie... nie. Muszę to zrobić, Anno. Proszę, postaraj się mi zaufać. Pewnego dnia... może już niedługo... przyjadę do ciebie. Wtedy opowiem ci o wszystkim. Wtedy mnie zrozumiesz. Objęła mnie, tuląc mocno w milczeniu, gdyż byliśmy zbyt wzruszone, żeby coś powiedzieć. Odszukałam Elizę i powtórzyłam jej słowa Henrietty.

- Zauważyłam to - powiedziała. - Biedna Henrietta, ona nie wie, w co się wplątała.

- Rozmawiałam z nią. Próbowałam ją błagać, żeby wróciła z nami. Nawet powiedziałam, że sama zostanę.

- Nie może pani tego zrobić. Musi pani wrócić do kraju. Powinna pani żyć tak, jak należy. Doktor Fenwick przyjedzie do pani i kiedy wyjdzie pani za niego, będzie się pani dziwiła, czemu tak długo pani to odkładała.

W napięciu pożegnałyśmy się z Henriettą. Jeszcze kilka kobiet postanowiło zostać i te, które tak zdecydowały, opuściły szpital tamtego wieczora.

Nie mogłam uwierzyć, że tracę Henriettę. Tak długo byliśmy razem. Czułam się dotknięta, byłam oszołomiona i zdumiona, że mogła tak po prostu odejść. Rozumiała mnie, ale nie próbowała mi wyjaśnić powodów swojej decyzji, najwidoczniej nie mogła się do tego zmusić.

- To po prostu miłość - oświadczyła Eliza. - Staje się silniejsza od przyjaźni. Kobieta zapomina o wszystkim, kiedy jakiś mężczyzna wyzna jej miłość.

Wyszliśmy ze szpitala razem z Henriettą. Patrzyłyśmy, jak schodzi w dół na brzeg i wsiada do łodzi. A potem wytrzeszczyłam oczy ze zdumienia, gdy doktor Adair podszedł do niej i stanął obok.

Eliza odwróciła się do mnie.

- Mówiłam pani. Wiedziałam o tym.

- O czym? - zapytałam, choć znałam już odpowiedź.

- Odeszła z nim. Wystarczyło, że kiwnął palcem, a pobiegła do niego, zapominając o przyjaciółkach... o wszystkich. No cóż, takie jest życie.

- Ona jedzie do Philippe'a Lablanche'a.

317

- To mało prawdopodobna historyjka.

- Sama mi to powiedziała.

- Nie chciała, żeby poznała pani prawdę. Rzucił na nią czar, widziałam to jak na dłoni.

Odeszła razem z nim. Och, jakaż jest głupiutka. A nie będzie nas tutaj, kiedy ją rzuci. Zabrał ją... i myślę też, że zalecał się również do pani. Znam ten rodzaj mężczyzn. Niech Bóg ma w opiece naszą małą Henriettę.

- Nie mogę w to uwierzyć. Powiedziałyby mi o tym. Wyraźnie mówiła o Philippie.

- On na nią czekał, prawda? Oczywiście, powiedziała pani, że to Philippe. Nie chciała, żeby poznała pani prawdę. Ja zauważyłam to już wcześniej. Znam życie. Wybiera się na kilka tygodni... na kilka dni... może na kilka godzin z naszym tajemniczym dżentelmenem i uważa, że warto zaryzykować!

- Na pewno żadne z nich nie zrobiłoby czegoś takiego - zaprotestowałam.

- Co chce pani przez to powiedzieć - żadne z nich? On jest nikczemny, a ona naiwna. On sięgnie po wszystko, co mu się nawinie pod rękę, a ona bardzo się o to starała od tygodni.

- Może powinnam ją odszukać i sprowadzić z powrotem.

- Jak? Skąd? Znajdzie się w samym sercu tego miasta, zanim zdoła pani ją dogonić. Zostanie jego kochanką... oto co ją czeka. Nie pobędzie z nim długo. Nic nie możemy dla niej zrobić.

W ostatnią noc w Scutari nie zmrużyłam oka. Leżałam, przewracając się z boku na bok. Co oni teraz robią? Są razem. Damien - nazwałam go w myślach Damienem - uprawia z nią miłość. Jest ekspertem w tej dziedzinie, a biedna Henrietta w rzeczywistości to niewinna, niedoświadczona, marzycielska pensjonarka. Uwierzy, że to wszystko będzie trwać wiecznie, a jest dla niego tylko jedną z kochanek, które bierze na krótki czas, a potem odtrąca, gdy mu się znudzą - jak kobiety z haremu. Może ma harem w tamtym domu w Constantynopolu? Wyobraziłam je sobie... kobiety w pięknych jedwabnych, tureckich strojach... w przezroczystych, cienkich szarawarach... czekające, aż wezwie je ich pan i władca. Pomyśleć, że Henrietta stała się jedną z nich... po prostu niewolnicą. A Damien usiłował mnie również włączyć do tej gromady! Spodziewałam się, że chciał, żebyśmy obie tam trafiły. Muszę przestać o nich myśleć. Henrietta dokonała wyboru. Co ona zrobiła? Odrzuciła niezależność, cywilizowany tryb życia, by stać się niewolnicą.

318

Ponure obrazy przychodziły mi na myśl i znikaly. Wyobraziłam sobie, że rozmawia z nią przy stoliku jak przedtem ze mną. Wyobraziłam sobie, jak uprawiają miłość; i w moich wyobrażeniach to nie Henrietta dzieliła z nim owe erotyczne igraszki, tylko ja. Walczyłam sama ze sobą, lecz pragnęłam tam być. Cóż za żenujące wyznanie! To nie może być prawda. Nie chciałam już go nigdy więcej widzieć. Pragnęłam zapomnieć, że kiedykolwiek o nim słyszałam. Ale jak mogłam? Tak długo był częścią mojego życia. Podsycalam żal i gniew myślami o zemście. Przeżyłam puste miesiące w nadziei, że mi się uda. Podejrzywałam go w myślach o wszelkiego rodzaju niegodziwości. Był dla mnie Doktorem Demonem - nie w pełni człowiekiem. Wziął mnie w posiadanie w takim stopniu, jakby uczynił to fizycznie. To zły człowiek, a przecież bez niego moje życie stało się takie puste. Pomyślałam przelotnie o Charlesie Fenwicku. Nie odczuwałam takiej pustki, kiedy patrzyłam, jak odpływał do kraju. A przecież Charles to dobry, uczciwy człowiek. Zaproponował mi bardzo wiele, a ja go odrzuciłam. Powinna postępować rozsądnie; muszę być mądra. Muszę usunąć Doktora Demona z moich myśli. Muszę spróbować zasnąć, gdyż rano będę bardzo zmęczona, a czeka mnie dużo pracy. Zmusiłam się, by pomyśleć o powrocie do kraju. Kiedy tylko się dowiedziałam, że mam opuścić Scutari, napisałam do Jane i Polly, podając datę mego przybycia; nie byłam jednak pewna, kiedy otrzymają list. Wiedziałam, jak się ucieszą na mój widok. Podziękują za to niebiosom, żartowała Henrietta. Ileż mam do opowiadania! Jane, Polly, Lily, wszystkie zapragną dowiedzieć się jak najwięcej. Będę musiała wyjaśnić nieobecność Henrietty i przedstawić im Elizę. William Clift podróżował razem z nami. Miałam zabrać go do kraju - jako prezent dla Lily. I to jaki prezent! Muszę być wdzięczna losowi za to, co mogłam zrobić dla tych dwojga. Ale to Damien uratował życie Williama - i znów wróciłam do niego myślami. Na nic wszelkie próby zapomnienia o moim demonie. Przypomniałam sobie szczegółowo tamten dzień, kiedy uratował Williamowi życie za pomocą swoich dziwnych praktyk. Nikt inny nie mógłby tego zrobić. Nikt inny nie odważyłby się na coś takiego. Nie mogłam o tym zapomnieć - nie mogłam też zapomnieć, że źle go osądziłyśmy. Kiedy spotkałam go w tym egzotycznym turbanie - a wyglądał w nim wspaniale - nie gonił za erotycznymi rozrywkami; kupował narkotyki, które podał Williamowi i innym pacjentom, w ten sposób ratując im życie. Pod pewnymi względami miał w sobie coś diabolicznego, ale jest dobrym lekarzem. Wprawdzie dokonał wielu czynów, które zostałyby uznane za haniebne,

319

lecz ilu ludzi ocalał od śmierci! Lekarze nie mogą ratować życia przez cały czas. W samej naturze ich profesji kryje się potrzeba prowadzenia doświadczeń.

I oto Damien Adair zdominował moje myśli, uniemożliwiając zaśnięcie i napełniając mnie poczuciem ciężkiej straty.

Nie mogłam spać tamtej nocy.

Następnego dnia wsiedliśmy na statek, który miał nas zawieźć do Marsylii. Był niemal w takim stanie jak „Vectis” i sprawiał wrażenie, że ledwo nadaje się do morskich podróży; ale ja prawie tego nie zauważyłam. Myślami byłam wciąż w Konstantynopolu.

Żołnierze, którzy czuli się na tyle dobrze, że mogli odbyć tę podróż, popłynęli razem z nami, a wśród nich William. Przynajmniej, pocieszałam się w duchu, zabieram go do kraju, do Lily. Rozstanie z miejscem, w którym tak wiele przeżyłam, bardzo mnie zasmuciło i kiedy płynęliśmy przez Bosfor, patrzyłam za siebie na minarety i wieże Konstantynopola oraz na szpital w Scutari. Eliza stała obok mnie, obserwując oddalające się miasto.

- Od naszego przybycia dużo wody przepłynęło pod tym mostem - zauważyła.

- Wszystko pamiętam... było nas cztery. Przez ten czas stałyśmy się dobrymi przyjaciółkami. Bardzo się z tego cieszę.

- Ja również - odrzekła Eliza; zawsze mówiła lakonicznie o swoich uczuciach. - Przynajmniej Ethel się udało - ciągnęła. - Któż mógłby się tego spodziewać? Mała Ethel! Jedna z ofiar życia. To dowodzi, że niczego nie można być pewnym. Przeżyła prawdziwy romans. Ciekawa jestem, jak jej się wiedzie? Chyba dobrze zrobimy, odwiedzając ją?

- Na pewno - przytaknęłam.

A później weszliśmy do naszej brudnej, ciasnej kajuty.

W pewnym sensie historia się powtórzyła. Niedługo potem nadciągnął sztorm. Eliza i ja wyszłyśmy na pokład i siedziałyśmy obok siebie. Fale rozbijały się o kruchy kadłub statku, a my zastanawiałyśmy się, jak poprzednim razem, czy przeżyjemy.

- Zupełnie jak wtedy, tylko teraz jest nas dwie - powiedziała Eliza. - Ethel jest bezpieczna w kraju. To dowodzi, że nigdy nie należy się poddawać, prawda?

- Rzeczywiście - zgodziłam się z nią.

- Niech pani pomyśli, gdyby jej pani nie powstrzymała przed skokiem do morza, nigdy by nie spotkała Toma i nie mogłaby mieszkać teraz na wsi. Czy nie czuje się pani potężna, ponieważ wywarła pani taki wpływ na jej życie?

320

- Czy my wszyscy nie wywieramy jakiegoś wpływu na życie innych? - odpowiedziałam pytaniem na jej pytanie.

- Myślę, że coś w tym jest. Ale uratować komuś życie to coś naprawdę ważnego.

Pomyślałam o doktorze Adairze za parawanem przy łóżku Williama, gdy trzymał w ręce kulę. Pomyślałam o jego metodach leczenia... rozkazał Williamowi, by nie czuł bólu, podał mu narkotyk, którego nikt by nie zaakceptował w naszych szpitalach w kraju. Uratował życie wielu innym... i nie ocalał kilku. Jak się wtedy czuł?

- Pani nadal jest zamyślona - zauważyła Eliza.

- No cóż, muszę zastanowić się nad mnóstwem spraw. Tak wiele się wydarzyło od naszego przybycia do Scutari. Stałyśmy się innymi ludźmi. Widziałyśmy rzeczy, które poruszyły nas do głębi... potworności, których nigdy nie zapomnimy. Ludzie w kraju słyszą o triumfach na wojnie i wyobrażają sobie naszych dzielnych żołnierzy galopujących do zwycięstwa... i uważają, że to wszystko jest wspaniałe i romantyczne. Ale wcale tak nie jest. Tego tutaj ty i ja nigdy nie zapomnimy, Elizo.

- To prawda.

Milczałyśmy, myśląc o długich, męczących dniach pracy, o tureckich arabas przybywających z rannymi, o ciągłej walce z brakiem łóżek, wyposażenia... wszystkiego, czego potrzebowaliśmy.

Eliza powiedziała nieoczekiwanie:

- Musi pani dokonać wyboru. Czy będzie pani pracowała w jednym ze szpitali, które panna Nightingale zamierza założyć... czy też poślubi pani doktora Fenwicka?

- Trudno układać teraz jakieś plany, Elizo.

- To znaczy, że nie jest pani pewna, prawda?

- Przypuszczam, że tak. A ty, Elizo?

- Ja nigdy nie miałam oddanego mi mężczyzny, który by na mnie czekał. Należę do tych kobiet, co same muszą zadbać o siebie. Może pójdę do takiego szpitala, nie wiem. Ja nigdy nie układam dalekosiężnych planów. Różne rzeczy spotykają człowieka w życiu, bez względu na to, czy coś planuje, czy też nie. Pani i ja siedzimy tutaj i chce pani, żebym wróciła z panią do domu. Komu by to przyszło do głowy, kiedy po raz pierwszy weszłyśmy na pokład?

- Byłaś trochę podejrzliwa w stosunku do nas.

- Myślałam, że jest pani jedną z tych dam, co bawią się w pielęgniarce, i wiedziałam, że na miejscu, w Scutari, nie znajdzie pani placu zabaw.

- Poznałyśmy się lepiej i myślę, że dobrze się stało. Zawsze będę cenić twoją przyjaźń, Elizo.

321

- Wiem, że zabrzmiało to trochę niepoważnie, ale przywiązałam się do pani i naprawdę się bałam, że zrobi pani coś głupiego. Ten mężczyzna! Co on w sobie ma? Nie jest taki jak inni, prawda?

- Masz na myśli doktora Adaira?

- Właśnie. Jego oczy zdają się przebijać człowieka na wylot. Jest też przystojny. Takich twarzy nie widuje się często. To znaczy, chciałam powiedzieć, że są ludzie... których spotykasz i po pięciu minutach już nie pamiętasz, jak wyglądali. A on... kiedy się go raz zobaczy, nie sposób go zapomnieć.

- Tak, myślę, że masz rację.

- On jest fascynujący, nawet ja to wyczułam. Miałam wrażenie, że może zmusić człowieka, żeby zrobił to, co on chce.

Skinęłam głową.

- Widziałam, co pani do niego czuje.

-Ja... słyszałam o nim, zanim go spotkałam - wyjaśniłam. -Widzisz, on napisał kilka książek o swoich przeżyciach na Wschodzie. Interesuje się lekarstwami używanymi w egzotycznych krajach. Uważa, że my, mieszkańcy cywilizowanego świata, nie zwracamy uwagi na metody lecznicze stosowane na Wschodzie. Myśli, że powinniśmy dokładnie zbadać każdą z nich, a nie zdać się na przypadek.

- Widzę, jaki wywarł na panią wpływ. Pani promienieje, mówiąc o nim.

- Promienieje? - spytałam z niedowierzaniem.

- No cóż, nie potrafię właściwie tego wyrazić. Ale oczy pani błyszczą, a w głosie brzmi szczególna nuta. Widzę, że wywarł na panią taki sam wpływ jak na Henriettę.

- To z powodu tego, co o nim słyszałam. Chciałam się przekonać, czy to prawda.

- Myślę, że rzeczywiście jest dobrym lekarzem. Nie takim jak doktor Fenwick. Doktor Fenwick jest dobrym człowiekiem, a tego Adaira na pewno bym tak nie nazwała. On chciałby poznać nie tylko tamtejsze lekarstwa, lecz także zwyczaje i inne rzeczy.

- On żył wśród nich. Tylko w ten jeden jedyny sposób mógł ich poznać, dokonać swoich odkryć - wyjaśniłam.



- A my wiemy, jakie oni mają zwyczaje. On przede wszystkim jest mężczyzną, tak właśnie bym to określiła. Ma o sobie zbyt dobre mniemanie. Myśli, że wszystkie jesteśmy po to, by mógł nas wykorzystać. Widziałam, co zrobił z Henriettą.

- Nie mogę uwierzyć, że mnie okłamała. Jeśli zamierzała z nim zostać, powinna była mi o tym powiedzieć.

Eliza pokręciła głową.

322

- Nie - odrzekła ze zrozumieniem. - Wiedziała, co pani do niego czuje.

- Nigdy jej o niczym nie wspominałam.

- Nie musiała pani tego robić. Wiedziała, gdyż czuła to samo. A kiedy odeszła z nim, nie chciała, żeby pani się o tym dowiedziała, ponieważ zdawała sobie sprawę, że zabolaby to panią. Dlatego wymyśliła historyjkę o ślubie z tym Francuzem.

- Nie wierzę w to.

- Tak właśnie postąpiła. Odwróciła się od tego, co było bolesne. Za nic w świecie nie chciała pani zranić. Nie chciała, żeby pani się dowiedziała, iż to ona go zdobyła... Ponieważ tak to widzi. Poszła do niego. Niech Bóg ma ją w swej opiece! To nie potrwa długo. Nie jest kobietą, która mogłaby go zadowolić. On miał panią na oku. Zachowywała się pani znacznie poważniej niż ona. Widziałam, jak panią obserwował. Przypuszczam, że z nią poszło mu łatwiej. Gotowa była rzucić mu się w ramiona. Znam mężczyzn i znam kobiety. Powinna pani dziękować losowi za to, co pani ofiarował. Może pani dokonać wyboru. Wybrać doktora Fenwicka i spokojne życie z dziećmi, których pani pragnie, żeby już nie cierpieć z powodu śmierci synka. A stanie się tak dopiero wtedy, gdy będzie pani miała inne dziecko. Należy pani do kobiet, które pragną dzieci, jak to już pani powiedziałam. Jeżeli ma pani choć krzytę zdrowego rozsądku - a przypuszczam, że tak jest - wybierze pani doktora Fenwicka. I niech pani dziękuje losowi za to, że ten dobry człowiek panią kocha.

- Och, Elizo, rozmowa z tobą dobrze mi zrobiła - odrzekłam. Milczaliśmy jakiś czas, a potem zapytałam:

- Myślisz, że ten statek dowiezie nas do Marsylii?

- Dowiezie. Chociaż nie chciałabym oglądać ciosów, jakie zadaje mu sztorm.

- Zdaje się, że sztormy skłaniają do zwierzeń - zauważyłam.

- To dlatego, że wtedy jest się bardziej lekkomyślnym. W głębi duszy myśli pani, iż nie przeżyje, więc mówi pani to, co naprawdę czuje.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że zdradziłam się, iż interesuje mnie doktor Adair.

- Och, moja miła, to po prostu rzucało się w oczy. Pani promieniała, kiedy się pojawiał.

Widziałam, jak wyszła pani z tamtego pokoju, pamięta pani, z tego pokoju w pobliżu sali chorych, cała rozpromieniona.

- Jak Henrietta? - spytałam.

- Tak, właśnie tak. Ale po niej można było się tego spodziewać. Lecz nie po pani. A to wiele znaczy.

323

- No cóż, już więcej go nie zobaczę.

- Niech pani nie pozwoli doktorowi Fenwickowi czekać zbyt długo. Mężczyźni są niecierpliwi, nawet najlepsi z nich.

Ponownie zamilkłyśmy. A potem powiedziałam:

- Sztorm przycichł.

- To tylko chwilowy spokój.

- Jakie to będzie dziwne uczucie znaleźć się w kraju po tym wszystkim - dodałam na koniec.

•Rozdział Dziewiąty.  
Powrót do Kaiserwaldu.

Nieco poobijany i uszkodzony po podróży statek dotarł wreszcie do Marsylii. Stamtąd udałyśmy się do Paryża, gdzie zatrzymałyśmy się na jedną noc w tym samym hotelu, co poprzednio w drodze do Scutari.

Następnie pojechałyśmy do Calais i wsiadłyśmy na statek, który miał nas zawieźć na drugi brzeg kanału La Manche.

Miałyśmy dużo pracy z żołnierzami, których nam powierzono, chociaż żaden z nich nie był poważnie chory.

Kiedy patrzyłam na zbliżające się białe klify Anglii, targała mną burza uczuć. Kraj wydawał mi się taki spokojny i wygodny, a przecież czułam, że spora częśćka mojej istoty pozostała w Scutari. Z niepokojem dowiedziałam się, że w tak wielkim stopniu zdradziłam targające mną uczucia. Dzięki Elizie poznałam ich siłę. Czy rzeczywiście wyglądałam tak, jak powiedziała? Pełna zachwytu! Promieniejąca, jak się wyraziła. Czy to było takie widoczne? I czy on coś zauważył?

Jaka byłam głupia! Wyruszyłam w tę podróż, by go zniszczyć, a wyglądało na to, że on zniszczył mnie.

Będę teraz musiała spojrzeć prawdzie w oczy. Chciałam z nim być. Pragnęłam tego bardziej niż cegokolwiek na świecie.

Jest najbardziej fascynującym człowiekiem, jakiego spotkałam w życiu. Taki zaskakujący. Tyle mogłabym się od niego dowiedzieć... więcej niż to możliwe w jednym życiu. Czy istotnie przyczynił się do śmierci mojego synka? Nie, Julian już nie żył, kiedy doktor Damien Adair przyszedł do niego. Ale wierzyłam, że miał zły wpływ na Aubreya. Nasze spotkania były krótkie; świadomość, że jest blisko, dodawała mi ducha;

325

i niezauważalnie uczucie, które uważałam za zaciekły gniew, zamieniło się w coś zupełnie innego.

A on zabrał Henriette!

Czułam, że chciał, żebym się o tym dowiedziała. Wpadł w gniew, ponieważ odrzuciłam jego zaloty. Nie miałam żadnych wątpliwości co do sensu jego propozycji. Chciał mieć mnie przy sobie... jako powolną kochankę i niewolnicę. Nie wspominał o małżeństwie. Czy ktoś taki jak on chce się żenić? Żona i rodzina ograniczyłyby jego swobodę. Teraz będzie dalej szukał przygód, kiedy przyjdzie mu na to ochota. Jest arogancki i niemoralny; przywykł iść przez życie, biorąc wszystko, co chciał, i pozostawiając to, gdy mu się znudzi; i nie zmieni się dla żadnej kobiety.

Jest wyjątkowy. I dlatego uważa, że może tak właśnie postępować.

A ja byłam na tyle głupia, że wpadłam w jego sidła. Jak bardzo musiało go to rozbawić! Widzieć mnie, promieniejącą z radości, ponieważ odezwał się do mnie! Eliza to zauważyła, więc i on musiał dostrzec. Uwierzył, że odrzuciłam jego propozycję, ponieważ się go bałam, bałam się pogwałcić konwencjonalne obyczaje.

I dlatego... kiwnął palcem na Henriette, która z ochotą poszła do niego.

Jak bardzo zniszczyłam sobie życie! Najpierw moje małżeństwo. Czy powinnam była zostać i próbować uczynić z Aubreya innego człowieka? Czy powinnam była pomóc mu w walce ze straszliwym nałogiem? Wówczas uważałam, że nic nie mogę zrobić, tylko go opuścić. A może się myliłam... byłam nieczuła i obojętna? Złamałam swoje przyrzeczenie, przysięgłam przecież kochać go i wspomagać w zdrowiu i w chorobie. A potem bezsensowne pragnienie zemsty pomogło znieść żal, w którym tonęłam po śmierci mojego synka.

Postąpiłam bardzo głupio. Powinnam była stawić czoło życiu. Powinnam była spojrzeć prawdzie w oczy i nie oszukiwać samej siebie.

No cóż, teraz muszę zacząć wszystko od nowa.

Czy mogę poślubić Charlesa? Czy byłoby to uczciwe, skoro żywię tak wielkie uczucie do innego mężczyzny! Możliwe, że na świecie nie ma takiego drugiego. Jeżeli znów go spotkam, czy okaże się wystarczająco silna? A więc... jak mogę poślubić Charlesa?

Dziękowałam losowi za to, że była ze mną Eliza. Może razem zgłosimy się do jednego z nowych szpitali. Przecież zdobyłyśmy kwalifikacje do takiej pracy.

Białe klify Anglii zbliżały się coraz bardziej. Byłyśmy już prawie w kraju.

Przeżyłam chwilę wielkiej radości, kiedy dotarliśmy na dworzec zwany Victoria Station, gdyż mój list przyszedł na czas, by uprzedzić domowników o dacie naszego przybycia

326

i Joe czekał już z powozem. Lily przyszła także. Nigdy nie zapomnę tego widoku, gdy rzuciła się mężowi w ramiona.

Tulili się do siebie przez kilka chwil. Spojrzała na niego, badając wzrokiem jego twarz, by sprawdzić, czy jest taki sam... czy to jej William.

Później odwróciła się do mnie.

- Och, panienko Anno... panienka go uratowała. Przywiozła go panienka do mnie, do domu.

- To nie ja go uratowałam, Lily. To lekarz... doktor Adair.

- Niech Bóg go błogosławi. Chciałabym mu podziękować za to, co zrobił.

A potem spojrzałam na Joego. On zaś po prostu stał, wpatrując się we mnie.

-A więc wróciła panienka... do domu - powiedział w końcu. -Jane i Polly szalały jak koty na gorących ceglach. Było tak, odkąd otrzymały list panienki.

- A gdzie panienka Henrietta? - spytała Lily.

- Została tam... na jakiś czas.

- Och... myślałam, że obie panienki wrócą do kraju.

- To panna Eliza Flynn - przedstawiłam moją towarzyszkę. -Pracowałyśmy razem i zostanie u nas jakiś czas.

- No, proszę - odezwała się Lily. - Na pewno wiele panie przeżyły. Tak bardzo się cieszę, że panienka tam była, panienko Anno. Nie umiem panience powiedzieć, co czułam, kiedy się dowiedziałam, że William jest bezpieczny.

- Lepiej ruszajmy - wtrącił Joe. - Konie się niecierpliwią. Nie lubią długo stać.

I pojechaliśmy przez londyńskie ulice.

Kiedy powóz się zatrzymał przed naszym domem, Jane i Polly czekały w drzwiach.

Podbiegłam do nich, a siostry objęły mnie i wyściskały.

- No, no! - zawołała Polly. - To ci dopiero dzień! Liczyliśmy dni do przyjazdu panienki, prawda, Jane?

Jane potwierdziła, a potem powiedziała, że to cudowne, iż znów mnie widzi, i zapytała o panienkę Henriette.

Wyjaśniłam, że została jeszcze na jakiś czas i że przywiozłam pannę Elizę, która pracowała ze mną jako pielęgniarka.

W sieni zawieszono transparent z napisem: „Witamy w domu”. Było to bardzo wzruszające. Popatrzyłam na napis i pomyślałam, że mam wielkie szczęście, gdyż moi domownicy naprawdę są do mnie przywiązani.

327

- Na lunch przygotowaliśmy rostbef - oznajmiła Polly. - Pomyślałyśmy, że będzie panience smakował po tych wszystkich cudzoziemskich potrawach, które musiała panienka jeść.

- Pomyślałyście o wszystkim - powiedziałam do niej.

Eliza była nieco przygnębiona, ale Jane i Polly traktowały ją ciepło i przyjaźnie.

- Umieścimy panią w pokoju panienki Henrietty, ponieważ jest przewietrzony, a łóżko ogrzane. Ile czasu minie do powrotu panienki Henrietty, panienko Pleydell?

- Nie jestem pewna. Myślę, że umieszczenie panny Flynn w jej pokoju to dobry pomysł. Dziwnie się czułam, siedząc przy stole z nieskazitelnie czystym obrusem i jedząc świetnie przyrządzone potrawy, które Jane postawiła przed nami. Lily i William zostali z nami na lunch i nalegałam, by Jane i Polly również usiadły do stołu.

- To nie wypada - odrzekła Jane, niemniej obie były zadowolone.

Później Lily i William odjechali; Joe zawiózł ich powozem do sklepu Cliftów, gdzie na pewno serdecznie ich powitano.

Jeszcze dziwniej się czułam, leżąc w wygodnym łóżku w swoim pokoju. Jak chłodna wydawała mi się pachnąca lawendą pościel.

A przecież byłam niespokojna i smutna i wydawało mi się, że już nigdy nie zaznam radości i zadowolenia. Coraz lepiej zdawałam sobie sprawę z tego, jaka byłam głupia. Zakochałam się w mitycznej postaci.

Dni wydawały mi się długie. Miałam niewiele do roboty. Wychodziłam często na zakupy, chociaż wydawało mi się, że mam tak dużo ubrań. Po prostu było to jakieś zajęcie.

Eliza zadomowiła się i wkrótce zaprzyjaźniła z Jane i Polly. Zaakceptowały ją i uznały, że jest jedną z nich.

—Na Boga - powiedziała Polly z podziwem - ona jest silna jak mężczyzna.

Było to wtedy, kiedy Eliza podniosła jakiś mebel w jednym z pokoi. Bardzo chciała stać się użyteczna i nalegała, by pozwolono jej pomagać w pracach domowych.

Dopytywałyśmy się o odpowiedni szpital, w którym mogłybyśmy pracować. Wyczytałam w gazetach, że panna Nightingale zbiera fundusze na wyszkolenie pielęgniarek w szpitalach świętego Tomasza i King's College. Zastanawiałyśmy się nad tym, czy będziemy mogły się do nich przyłączyć. Kiedy nad tym rozmyślałyśmy, Charles Fenwick przyjechał do Londynu.

328

Jego przybycie spotkało się z wyraźną aprobatą nie tylko Elizy, która często mi mówiła, jaki to dobry kandydat na męża, lecz także Jane i Polly.

Przeszły same siebie, przygotowując dla nas lunch. Po posiłku Charles i ja poszliśmy do Kensington Gardens, gdzie przedstawił mi swoje plany.

- Powiedziałem, że zaczekam, zanim rozpocznę gdzieś praktykę, żeby móc się z panią naradzić. Ale trafiłem właśnie na tę i uznałem ją za idealną. Musiałem szybko podjąć decyzję.

- Cieszę się, że pan tak postąpił. To pan musi zdecydować, Charlesie.

- Wie pani, że mam nadzieję, iż będzie pani dzielić ze mną życie.

- Charlesie, nie chcę, żeby brał mnie pan pod uwagę. Widzi pan, ja mogę się nie zgodzić...

- Rozumiem. Nie jest pani pewna. To wszystko, co się stało, było takie wstrząsające. Nie sądzę, by ktoś, kto tam się znalazł, zobaczył i przeżył to, co my, mógł być tym samym człowiekiem co przedtem.

- Jest pan taki dobry i wyrozumiały, że wydaję się sobie samej podła...

- Och, to nonsensowne! Chcę, żeby pani była szczęśliwa. Chcę, żeby była pani pewna, że robi to, co najlepsze dla pani.

- Wiem, że postępuję niemądrze. Chodzi o to, że wciąż nie umiem się zdecydować.

Byliśmy w pobliżu Round Pond i obserwowaliśmy dzieci bawiące się łódkami.

Próbowałam mu wytłumaczyć swoje wahanie.

- Nie jestem młodą i niedoświadczoną dziewczyną. Byłam już mężatką. Początkowo wszystko wydaje się takie cudowne, a potem się zmienia i widzisz, jaki błąd popełniłaś.

- Na pewno poprzednie doświadczenie skłania panią do ostrożności - zgodził się ze mną.

- Nie powinnam być taka nieufna wobec pana. Wiem, jaki pan jest życzliwy, jaki dobry. To pan powinien się mnie wystrzegać. Odeszłam od męża. Gdybym była dobrą żoną, zostałabym z nim, bez względu na to, jak byłoby to trudne. Może nie mam predyspozycji na dobrą żonę.

- Gdyby zawarła pani odpowiednie małżeństwo... Powiem pani, co zrobimy. Pojedziemy do Meriton. Tak się nazywa to miasteczko. Ładna nazwa, prawda? Leży w Gloucestershire. Pokocha pani okolice Cotswold. To praktyka dla dwóch lekarzy. Jest tam niejaki doktor Silkin. Nie stary, lecz w średnim wieku, ma pięćdziesiąt pięć lat i chce pracować trochę mniej. Pragnie mieć współnika, który w odpowiednim czasie przejmie wszystkie jego obowiązki.

329

To doskonała okazja. Polubiłem go, tak samo jak tamtą miejscowość.

- To miejsce wydaje się idealne dla pana... właśnie czegoś takiego pan szukał.

- Znalazłem miły domek, który na początek świetnie nam się nada. To prawie obok domu doktora Silkina. Jest tam czarujący ogród z dwiema jabłoniąmi i jedną wiśnią. Będzie idealny dla nas dwojga. Pragnę, by pani go zobaczyła.

- Tak się boję... - wyjąkałam.

- Nie powinna się pani niczego obawiać. Chcę, by pani wiedziała, że doskonale panią rozumiem. Jeszcze nie jest pani pewna. No więc mądrze postąpimy, nie śpiesząc się do niczego. Ale niech pani przyjedzie i obejrzy to wszystko. Bez żadnych zobowiązań. Po prostu niech pani przyjedzie i powie mi, co o tym myśli.

- Tak długo, jak pan mnie rozumie...

- Rozumiem. Zapewniam panią, że rozumiem. Kiedy pani przyjedzie? Proszę przyjechać w sobotę. Niech pani zabierze ze sobą Elizę, wtedy nie będzie podróżowała pani sama. Spotkamy się na dworcu.

- Dobrze, przyjadę - obiecałam.

Przeszliśmy aleją zwaną Flower Walk, gdzie siedziały nianie, a ich mali podopieczni biegali wokoło. Pomyślałam, że dzieci wyglądają czarująco i ogarnął mnie smutek, jak zawsze na wspomnienie Juliana.

Później wróciliśmy do domu, gdzie Jane piekła bułeczki do herbaty, a Polly chwaliła się ciastem, które, jak powiedziała, „upiecze za sekundę”, ponieważ mamy gościa.

Wszystkie sprawy wrażeń ogarniętych euforią i ze spojrzeń, które wymieniły, wywnioskowałam, że uważają, iż doktor Fenwick jest, jak by powiedziały, „moim narzeczonym”.

Tak jak się umówiliśmy, Charles wyjechał po nas na dworzec swoim jednokonnym krytym powozikiem, którym objeżdżał pacjentów. Powitał nas z radością; Eliza i ja wsiadaliśmy do środka, on zaś powoził.

Okolica była piękna. Może wydawała mi się taka, ponieważ upłynęło dużo czasu, odkąd po raz ostatni widziałam obsadzone drzewami drogi i zielone pola, na których rosły stokrotki i jaskry. Przyroda wokół nas sprawiała wrażenie świeżej i spokojnej.

A potem dotarliśmy do Meriton, starego miasta handlowego. Wszędzie otaczały nas budynki z szarego kamienia. Przed domami rosły kwitnące na biało i purpurowo śródziemnomorskie krzewy, za którymi ciągnęły się pełne kwiatów ogrody.

330

- Cóż to za śliczne miejsce! - powiedziała Eliza. - Nigdy nie myślałam, że coś takiego istnieje!

- Jest śliczne - oświadczył Charles z dumą. - I takie spokojne.

Najpierw poszliśmy do domu Charlesa. Już zatrudnił gospodynię - sympatyczną kobietę w średnim wieku, która najwidoczniej, zgodnie ze swoją naturą, zamierzała mu matkować. Dom

z porośniętymi bluszczem szarymi, kamiennymi murami był czarujący, a ogród dobrze utrzymany.

- Pewien mężczyzna przychodzi tu dwa razy w tygodniu. Odziedziczyłem go po poprzednich właścicielach.

- Świetnie pan sobie radzi - powiedziałam. - Widzę, że już stał się pan mieszkańcem Meriton.

- Zjemy lunch z moim współnikiem. Nalegał na to, kiedy dowiedział się o pani przybyciu. W istocie zapraszają mnie na lunch co niedziela. To bardzo wygodny układ.

Zrozumiałam, co miał na myśli. Doktor Silkin, mężczyzna o różowej cerze i siwych włosach, był bardzo miły. Powitał nas ciepło i doskonale zdawałam sobie sprawę, że jest bardzo zadowolony z zawartej umowy. Charles, nie miałam co do tego żadnych wątpliwości, to godny zaufania partner. Dlatego wydawało mi się, że doktor Silkin nadal sobie gratulował, iż znalazł kogoś tak odpowiedniego.

- Muszą panie poznać moją córkę - powiedział. - Dorothy! - zawołał. - Gdzie jesteście? Nasi goście przyjechali.

Nie spodziewałam się, że jest taka młoda. Oceniłam jej wiek na dwadzieścia jeden lub dwadzieścia dwa lata. Miała dość ładne brązowe oczy i gładkie kasztanowe włosy uczesane w kok. Rysy jej sympatycznej twarzy, na swój sposób pięknej, nie były regularne, ale emanowała z niej życzliwość. Takich ludzi można polubić od razu, gdyż mają w sobie dobroć, którą czasami dostrzegałam w obliczach starszych osób, rzadko jednak u kogoś tak młodego.

Uśmiechnęła się do nas i powiedziała:

- Witamy w Meriton. Doktor Fenwick opowiadał nam o paniach i o pięknych czynach, których panie dokonały podczas wojny krymskiej.

- Dorothy jest bardzo ciekawa wszystkiego, co tam się działo - wtrącił Charles, patrząc na dziewczynę z mieszaniną czułości i pobłażliwości. - Uważa pannę Nightingale za świętą.

- Prawdopodobnie niezbyt się myli - odrzekłam.

- Czy pani rzeczywiście ją widziała? - spytała Dorothy.

- O, tak.

- I rozmawiała pani z nią?

331

- Panna Pleydell pracowała u niej, więc tak - odrzekł Charles. - Anno, zostanie pani tu bardzo ciepło powitana, ponieważ pracowała pani w tym samym szpitalu co panna Nightingale.

- O, nie! Nie tylko dlatego! - zaprotestował doktor Silkin.

To był piękny dom, a Dorothy okazała się wspaniałą gospodynią. W jadalni nad kominkiem wisiał olejny obraz. Przedstawiał kobietę tak podobną do dziewczyny, że domyśliłam się, iż musiała to być jej matka.

Później moje przypuszczenia się potwierdziły. Nie żyła od czterech lat i od tej pory Dorothy troszczyła się o ojca.

- Jest doskonałą panią domu - oświadczył doktor Silkin, patrząc czule na córkę. - Co więcej, pomaga mi w pracy. Ma wspaniałe podejście do pacjentów.

- Trzyma na dystans tych trudnych - dodał Charles z uśmiechem - i w odpowiedni sposób okazuje sympatię tym, którzy jej potrzebują.

Rozmawiali o życiu w miasteczku: o przyjaznych spotkaniach, o działalności Kościoła, o wieczorach muzycznych i skromnych proszonych kolacjach. Zorientowałam się, że Charles jest w tym wszystkim zakochany i że najwidoczniej bardzo zaprzyjaźnił się z Silkinami. Na pewno był to idealny układ.

Czyja sama mogłabym się stać jego częścią? Dlaczego nie? Wiodłabym miłe, wygodne życie. Mogłabym też okazać się użyteczna. Moja znajomość pielęgniarstwa byłaby cennym wkładem. Wyobraziłam sobie, że mieszkam w tamtym małym domku o kamiennych ścianach

porośniętych wirginijskim bluszczem. Ale dlaczego czułam się zamurowana, uwięziona? Przecież mogłabym mieć dzieci... maleństwa, które ukończyłyby ból po stracie Juliana. To był miły dzień.

Późnym popołudniem Charles odwiózł nas na dworzec. Żegnając się, spojrzał na mnie z żalem.

- Może wkrótce znów pani przyjedzie - powiedział. - Proszę tylko dać mi znać. Jestem pewien, że Silkinowie panią polubili.

- Ja również ich polubiłam. Myślę, że dokonał pan mądrego wyboru, Charlesie.

- Więc pani polubiła Meriton... i ich. To pierwszy krok. W pociągu Eliza miała zamyśloną twarz.

- To dobry człowiek - powiedziała. - Zapewni pani spokojne, przyjemne życie. Wie pani, że to wielkie szczęście.

- Gdybym tylko mogła się zdecydować.

- Zrobiłaby to każda kobieta przy zdrowych zmysłach, chyba że - spojrzała na mnie z ukosa - że ma jakieś inne plany.

332

- Nie mam żadnych planów. Po prostu czuję, że wszystko tu jest tak przytulne... zbyt przytulne... aż duszące. Czuję się tak, jakbym leżała na miękkim łóżku z puchową pościelą, w której się zapadam, schwytna w pułapkę... w przytulną i bardzo wygodną pułapkę.

- Ponosi panią wyobraźnia. A zresztą, co złego jest w puchowej pościeli?

Spojrzała na mnie bystro i milczałyśmy przez jakiś czas. Siedziałam, przysłuchując się sapaniu lokomotywy i myśląc o sobie samej w tamtym domku. A wtedy inna postać wtargnęła w moje myśli... cynicznie uśmiechnięta postać, która więziła mnie wzrokiem. „To nie dla ciebie - mówił. - Chcesz być wolna, żeby poznać świat. Chcesz uwolnić się od konwencjonalnego postępowania. Przestań rozmyślać o tym, co powinnaś zrobić; zacznij myśleć o tym, czego pragniesz. Odkryj to sama... mógłbym ci tyle pokazać...”.

Ale on odjechał i prawdopodobnie już nigdy go nie zobaczę. A jeśli tak, to co? Och, chyba rzeczywiście, jak powiedziała Eliza, straciłam zdrowy rozsądek.

Ona zaś zapytała:

- Co pani myśli o panie Dorothy?

- Czarująca - odrzekłam szczerze.

- Tak... i jest córką doktora Silkina. Byłaby dobrą żoną... dla lekarza.

- Tak przypuszczam.

- I myślę, że może nią zostać... kiedyś. To byłaby dobrana para, czyż nie tak?

- Chodzi ci o Charlesa?

- No cóż, drewno jest tam, pocięte i wysuszone, jak to się mówi, gotowe do sprzedania.

- Używasz dziwnych porównań - zauważyłam.

- To bez znaczenia, tak długo, jak można zrozumieć, o co mi chodzi.

- Doskonale cię rozumiem, Elizo - odrzekłam. - Chcesz powiedzieć, że jeśli będę zwlekać i odmówię doktorowi Fenwickowi, bardzo możliwe, iż to Dorothy zostanie jego żoną.

- No cóż, można by sądzić, że wszystko zmierza w tym kierunku, prawda? Przypuszczam, że wiele o nim myślała. Przecież pracował podczas wojny krymskiej z panną Nightingale... to jedno by wystarczyło, żeby stał się bohaterem w jej oczach.

- Tamci lekarze byli bohaterami.

- A doktor Fenwick jest jednocześnie dobrym człowiekiem i bohaterem.

- Ty zawsze go chwaliłaś.

333

- Czasami, kiedy coś się straci, tym bardziej się to ceni - odrzekła enigmatycznie.

- Chcesz mi wyjaśnić, że jeśli nie złapię doktora Fenwicka bardzo szybko, utracę go na rzecz Dorothy Silkin?

- Właśnie tak.

- Wiesz, Elizo, cieszę się, że istnieje ktoś taki jak Dorothy Silkin. Myślę, że będzie idealną żoną dla Charlesa. On zasługuje na najlepszą towarzyszkę życia, a ona będzie dla niego lepsza niż ja.

- Byłaby pani dla niego najlepsza... a on dla pani - zaproponowała.

- Ja się po prostu zastanawiam, jak bym się czuła w takim miejscu. To, co mi się przytrafiło, wywarło na mnie określony wpływ. Opowiedziałam ci co nieco o Minster Saint Clare'ów, ale nie wszystko. Straciłam męża. Utraciłam mojego synka. Czegoś takiego nie można wyrzucić z pamięci. A potem... potem było Scutari. Czyja się nadaję do spokojnego życia na prowincji? Elizo, dzisiaj, kiedy to wszystko zobaczyłam, zdałam sobie sprawę, że nie. Nie mogłabym skrzywdzić Charlesa. Nie chcę nawet o tym myśleć. Dlatego dzisiaj, gdy spotkałam tę dziewczynę i ujrzałam ich razem... Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

- Tak - odrzekła Eliza. - To byłoby jakieś rozwiązanie. Uspokoiliby pani sumienie, czyż nie tak?

Skinęłam głową.

Zamknęłam oczy i wsłuchałam się w rytmiczny stukot pociągu.

Dwa dni później otrzymałam dwa listy. Jeden był od Henrietty. Rozpoznałam jej charakter pisma i rozdarłam kopertę.

Moja droga Anno,

Przypuszczam, że myślałaś o mnie. Prawdę mówiąc, postąpiłam dość okropnie, prawda? To znaczy... zdecydowałam się pozostać w ostatniej chwili. Powinnam była powiedzieć Ci o tym wcześniej. Ale tak się wahałam. Najpierw zamierzałam to zrobić, a potem nie. Znasz mnie. Chodzi o to, że jestem teraz mężatką, Philippe i ja wzięliśmy ślub. Prosił mnie o rękę od jakiegoś czasu, lecz wołałam zachować ostrożność... co jest dziwne u mnie... ale pamiętasz, że byłam zaręczona z Carltonem. A przecież wiesz, że sama się w to wplątałam i z wielkim trudem odzyskałam wolność. Nie chciałam więc popełnić następnego błędu. Dlatego też się wahałam i najpierw powiedziałam „tak”, a potem „nie”. A kiedy nadszedł dzień, w którym miałyśmy odpłynąć, pomyślałam sobie, że jeśli to zrobię, to już go więcej nie zobaczę. Dzieje się tak czasami, jeżeli ludzi rozdziela wielkie odległości.

334

Dlatego po prostu musiałam zostać i przemyśleć własne uczucia.

Doktor Adair był bardzo życzliwy. Udzielił mi rad w wielu ważnych sprawach. On zna tutejszy język, zwyczaje i wszystko inne. Cóż to za człowiek! Nadal uważam, że jest najbardziej fascynującym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkałam. Nie mów o tym Philippe'owi, choć myślę, że i tak o tym wie. Żywi głęboki podziw dla doktora Adaira, tak jak wielu ludzi. On po prostu należy do innej kategorii, jeśli wiesz, co mam na myśli.

No cóż, stało się. W końcu postanowiłam, że nie opuszczę Philippe'a - więc się pobraliśmy. Jesteśmy teraz w Konstantynopolu do czasu, aż Philippe zakończy swoją misję. To wszystko jest bardzo ważne i ściśle tajne, pracuje dla rządu francuskiego i tak dalej i musi tu zostać jeszcze przez jakiś czas. Chodzi o traktaty pokojowe i tym podobne. W rzeczywistości Philippe jest naprawdę ważną osobistością. A potem zamieszkamy w Paryżu. Czy to nie będzie zabawne? Przyjedziesz i zostaniesz u nas. Razem spędzimy miło czas.

Czy już się widziałaś z doktorem Fenwickiem? Mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze w tym kierunku.

Anno, moja najdroższa przyjaciółko, wybac mi, że okazałam się taką wstrętną dezerterką, ale musiałam to zrobić i jestem bardzo szczęśliwa. Wiem, że postąpiłam słusznie, wychodząc



za mąż za Philippe'a. Kiedy tylko stąd odpłyniemy, dam Ci znać. Może przyjedziemy do Anglii z wizytą, a ty, oczywiście, odwiedzisz nas w Paryżu.  
Brak mi Ciebie, gdyż nie mogę z Tobą rozmawiać i opowiadać Ci o wszystkim.  
Możliwe, że jestem w ciąży. Jeszcze za wcześnie, żebym mogła być pewna. Czy to nie będzie wspaniałe? Ciebie powiadomię pierwszą.  
Całuję Cię, moja droga, najdroższa przyjaciółko.  
Henrietta.  
Uśmiechnęłam się. Jakie to dla niej typowe! Musi być szczęśliwa. Poczulałam się tak, jakby wielki kamień spadł mi z serca. Nie jest z Damienem Adairem, lecz z Philippe'em. Nigdy nie odeszła z Damienem. To wszystko było takie zrozumiałe, takie oczywiste. Zobaczył ją na łodzi i popłynął razem z nią. Philippe czekał na drugim brzegu.  
I okazał się pomocny. Znał język i zwyczaje... nigdy nie powinnam była słuchać Elizy. Jakież smutek ściągamy na siebie, słuchając nieznaną prawdę, choć życzliwych ludzi.  
Poczulałam wielką ulgę i zadowolenie.  
335

Podeksytowana wieściami od Henrietty, zapomniałam o drugim liście. Przeszedł z Niemiec. Otworzyłam go i przeczytałam.  
Ku mojemu zdumieniu przysłano go z Kaiserwaldu. Przełożona diakonis pytała mnie w raczej sztywnej angielszczyźnie, czy nie zechciałabym przyjechać do zamku z krótką wizytą. Wiedziała o moim pobycie w Scutari i dobrze zapamiętała moją doskonałą pracę w jej szpitalu. Prosiła, żebym wzięła także ze sobą moją przyjaciółkę, pannę Marlington. Mogę się spodziewać ciepłego przyjęcia. Ze wszystkich pielęgniarek, które spędziły krótki czas w jej placówce, właśnie mnie darzy największym szacunkiem.  
Przeczytałam jej list dokładnie raz i drugi.  
Zdałam sobie sprawę, że potrzebuję czegoś, co mnie wyrwie z tej pustki duchowej, wyzwoli z poczucia, że żyję w otchłani, uwolni od spokojnego, jednostajnego życia, jakie wiodłam po przerażającym pobycie w Scutari.  
Zrozumiałam, że powinnam się udać do Kaiserwaldu.  
Oznajmiłam o tym Elizie - ale najpierw opowiedziałam jej o Henriecie.  
- Widzisz, to jednak był Philippe. Jak bardzo się pomyliłyśmy w sprawie doktora Adaira.  
- No cóż, Henrietta teraz jest żoną Philippe'a.  
- Ty nadal sądzisz, że...  
- Że najpierw poszła do niego... Tak. Myślę, że poszła do niego, a potem się przestraszyła.  
Później zjawił się Philippe i wyszła za niego, by się stamtąd wydostać.  
- Och, Elizo, nie! Ona by mi powiedziała.  
- Powiedziałyby pani? Kiedy wiedziała, co pani do niego czuje?  
- Co masz na myśli, mówiąc... co ja do niego czuję?  
- No cóż, to jasne jak słońce... dla mnie.  
- Czasami dopatrujesz się czegoś, czego w istocie nie ma, Elizo.  
- Nie ja. Nie była pani obojętna wobec niego, prawda?  
- Nikt nie mógł pozostać obojętny wobec niego - odparowałam. - Ty również.  
- Och, ja przejrzałam go na wylot.  
- Nie sądzisz, Elizo, że czasami wyobrażamy sobie zbyt wiele? Powzięłaś do niego instynktowną niechęć.  
- Nienawidzę wszystkich mężczyzn, którzy robią to kobietom, ot co. Za dużo takich rzeczy widziałam. Niektórzy z nich myślą, że jesteśmy na świecie tylko dla ich wygody. Adair jest jednym z nich. Nienawidzę ich wszystkich!  
- Mam dla ciebie pewną nowinę. Zaproszono mnie do Niemiec.  
336

Moje słowa ją zaskoczyły, więc opowiedziałam jej o liście od przełożonej z Kaiserwaldu.

- No cóż - powiedziała - musi mieć dobrą opinię o pani. Pojedzie tam pani?

- To raczej stanowcze zaproszenie.

- Chce pani tam pojechać, prawda?

- Tutaj nie mogę sobie znaleźć miejsca. Myślę, że powinniśmy pracować jako pielęgniarki, ale wszystko rozwija się tak powoli.

- Ja również tak się czuję - odrzekła.

- Och, Elizo, nie masz pojęcia, jak pięknie jest w tamtym lesie. Ma w sobie coś dziwnego.

Czuje się, że trolle, olbrzymy i postacie z baśni krążą w pobliżu. Nigdy nie widziałam takiego miejsca. Czy chciałabyś pojechać tam ze mną?

- Mnie nie zaproszono.

- Przełożona nie wie, że u mnie mieszkasz, dlatego cię nie zaprosiła. Przedtem Henrietta była tam ze mną. Nie widzę powodu, dla którego nie mogłabyś pojechać. Jesteś pielęgniarką, więc na pewno się przydasz. To bardzo ciężka praca. Przełożona będzie się spodziewała Henrietty, a ty przyjedziesz zamiast niej.

- Jestem przyzwyczajona do ciężkiej pracy.

- Oczywiście nie jest tam tak ciężko jak w Scutari.

- Myśli pani, że naprawdę mogłabym pojechać?

- Czemu nie? Zaproszono Henriettę. Czemu nie miałabyś pracować w szpitalu zamiast niej?

Och, Elizo, zabiorę cię ze sobą do Niemiec.

Po kilku dniach Eliza i ja wyruszyliśmy w podróż. Miałam pewne trudności w przekonaniu jej, że zostanie tam mile przyjęta.

- Przecież przełożona oczekuje, że przyjedzie ze mną Henrietta, i nie chciałaby, żebym odbyła tę podróż samotnie - tłumaczyłam. - Mówiąc między nami, jesteś lepszą pielęgniarką od Henrietty i na pewno diakonisy z Kaiserwaldu to docenią.

Pomimo obaw ta propozycja naprawdę ją ucieszyła.

Powóz już czekał na nas, kiedy dotarliśmy do małej stacji. Natychmiast poczułam silny zapach sosen i otoczyła mnie mistyczna aura górskiego lasu. Zerknęłam na Elizę i zobaczyłam, że jest zachwycona i że kaiserwaldzki bór również na nią rzucił czar.

A potem ujrzałam sam zamek i kiedy wyrosły przede mną jego wieżyczki i baszty, napłynęły wspomnienia: gęsiarka Gerda; Klaus Domokrażca; Frau Leiben. Biedna Gerda, jakże była chora. Ale wróciła do zdrowia i na pewno jest teraz mądrzejsza.

337

Wszystko to się wydarzyło, zanim spotkałam Damiena Adaira i rzuciłam na niego owe krzywdzące podejrzenia.

Jakie niemądre wydały mi się teraz! Ale czy rzeczywiście?

Muszę zapomnieć o moim Doktorze Demonie. Nie odzyskam spokoju, dopóki nie wygnam go ze swych myśli. Ale łatwiej powiedzieć niż zrobić. Muszę być rozsądna. Mam dużą szansę, że już nigdy go nie zobaczę.

Powitała nas ta sama diakonisa, która kiedyś wyszła na spotkanie mnie i Henriecie - ta, która słabo znała angielski. Popatrzyła na moją towarzyszkę z lekkim zaskoczeniem. Wyjaśniłam jej, że panna Marlinton wyszła za mąż i że Eliza ją zastąpi. Skinęła głową i oświadczyła, że przełożona mnie oczekuje i prosiła, bym do niej przyszła zaraz po przyjeździe.

Od razu zaprowadzono nas do jej gabinetu. Wyszła mi na powitanie z wyciągniętymi rękami.

- Panno Pleydell, jakże się cieszę, że pani przyjechała. To miło z pani strony, że tak szybko zareagowała pani na mój list.

- Poczulałam się zaszczycona zaproszeniem - odrzekłam. - Panna Marlinton jest teraz mężatką i nie mieszka w Anglii. To jest panna Flynn, która pracowała ze mną jako pielęgniarka podczas wojny krymskiej. Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko jej przybyciu.

- Oczywiście, że nie! Jestem zachwycona. Witam panią, panno Flynn. To prawdziwa przyjemność spotkać kogoś, kto wykonał tak dobrą pracę. Będziemy miały sobie dużo do opowiedzenia. - Poprosiła nas, żebyśmy usiadły, i mówiła dalej: - Tak wiele musiały panie przeżyć. Teraz w szpitalach nastąpią wielkie zmiany. Zmieni się też sposób pielęgnowania chorych na całym świecie. Wydaje się, że wreszcie zwrócono uwagę na tę ważną pracę... dzięki pannie Nightingale.

- Wierzę, że tak będzie - odrzekłam. - Rozważa się projekty szkolenia pielęgniarek.

- A co teraz panie porabiają?

- Eliza i ja czekamy, żeby zobaczyć, co się dla nas znajdzie. Przełożona uśmiechnęła się najpierw do mnie, a później do Elizy.

- Panie razem pracowały - powiedziała.

- O, tak, i mamy nadzieję, że tak będzie dalej. Eliza - panna Flynn - jest bardzo oddana pielęgniarstwu.

- Tak - odrzekła Eliza. - Wiem, że właśnie to pragnę robić.

- Takich osób potrzebujemy. A przyjaciółka, która pani towarzyszyła podczas pani pierwszej wizyty, panno Pleydell, wyszła za mąż?

- Jest w Konstantynopolu. Poślubiła pracownika poselstwa francuskiego.

338

- Ach, tak... jednego z naszych sojuszników. To bardzo miła młoda dama, ale nie uważam jej za pielęgniarkę z powołania. To trudny zawód, jak panie same się o tym przekonały.

- Tak, to prawda - zgodziła się Eliza.

- I musimy być dostatecznie oddane temu zajęciu, by zaakceptować ciężką pracę. Przydzieliłam paniom osobny pokój. Przypuszczam, że będą panie chciały tam teraz pójść. Porozmawiamy później.

- Dziękuję pani - odrzekłam i diakonisa, która nas powitała, zaprowadziła nas do wyznaczonego pokoju.

Był bardzo mały - przypominał celę. Ustawiono w nim dwa łóżka, krzesło, szafkę i stół. Ściany były puste, wisiał tam tylko krucyfiks.

- Cóż to za kobieta! - powiedziała Eliza. - I ona kieruje tym szpitalem!

Skinęłam głową.

- Elizo, nie zdajesz sobie sprawy, jak nas zaszczycono. Pokój tylko dla nas! Henrietta i ja spałyśmy w czymś w rodzaju dormitorium, podzielonym na małe izdebki. To prawdziwy luksus.

- Jest śliczny - uznała. - Niech pani sobie wyobrazi kierowanie czymś takim! Chcę zobaczyć sale szpitalne. Chcę zobaczyć, jak tu się wszystko robi. A przy tym wokoło otacza nas las i te drzewa, i to wszystko...

- Cieszę się, że ci się tu podoba, Elizo. Cieszę się, że przyjechałaś ze mną. Może mają nam tu coś do zaoferowania. Gdyby tak się stało... ale jeszcze na to za wcześnie. Poczekamy, zobaczymy.

Później znów odbyłyśmy rozmowę z przełożoną. Wypytywała nas szczegółowo o metody leczenia stosowane w Scutari. Opowiedziałyśmy jej o tragicznym braku wyposażenia, o chorobach, z którymi musiałyśmy się borykać i które okazały się bardziej katastrofalne niż rany odniesione w walce. Przyznała, że bardzo się niepokoi stanem higieny i że jeśli się nie dba o czystość, może być to najważniejszą przyczyną śmierci pacjentów.

Rozmowa była bardzo interesująca i ogromnie mi pochlebilo, że przełożona uczyniła mnie swoją powiernicą. Byłam również jej wdzięczna za to, iż zaakceptowała Elizę, gdyż włączyła ją do rozmowy i słuchała uważnie, gdy moja towarzyszka wypowiadała swoją opinię. Rzadko widziałam Elizę tak bardzo zadowoloną; najwyraźniej cieszył ją pobyt w Kaiserwaldzie.

Ja zaś byłam bardzo zadowolona, że przyjechała ze mną. Bardzo się do niej przywiązałam i chciałam, by jej życie stało się teraz szczęśliwsze.

339

Naprawdę była bardzo dobrą kobietą, chociaż próbowała wszystkim udowodnić, że tak nie jest.

Droga Eliza, niepotrzebnie się o mnie martwiła, przecież mogłam sama zadbać o siebie. Ale czy rzeczywiście? Wbrew sobie związałam się uczuciowo z kimś, kto nigdy nie da mi szczęścia. Leżałam tam, myśląc o mojej poprzedniej wizycie w Kaiserwaldzie. Było to w dniach, zanim spotkałam doktora Adaira. Dziwne, jak moje życie wydawało się podzielone na etapy: czas, kiedy nie wiedziałam o jego istnieniu, lata, gdy był widmową, groźną postacią, i ostatnia konfrontacja.

Wreszcie zasnęłam i śniłam o nim. Znalazłam się w lesie i zobaczyłam tam gęsiarkę Gerde. Wszystko to było pogmatwane i ucieszyłam się, gdy w końcu się obudziłam.

Eliza była w doskonałym humorze.

- Jakie wspaniałe powietrze! - zawołała. - Och, kocham zapach tych drzew. Tutaj jest tak spokojnie. Cieszę się, że tu przyjechałam. Dobrze będzie popracować w tym szpitalu przez jakiś czas.

Uśmiechnęłam się do niej. To cudowne, że widziałam ją taką szczęśliwą.

Jak dobrze zapamiętałam długi drewniany stół, przy którym zasiadłyśmy do owsianki, żytniego chleba i napoju ze zmielonego żyta. Diakonisy przypomniały mi sobie i wyraziły radość na mój widok. Powitały też ciepło Elizę. Wiele się zdarzyło od mojego poprzedniego pobytu; ale pod pewnym względem czułam się tak, jakbym nigdy nie opuszczała Kaiserwaldu.

Po śniadaniu oprowadzono nas po szpitalu. Później poszłyśmy do gabinetu przełożonej na dalsze rozmowy.

Bardzo się ucieszyłam, że Eliza mogła się włączyć do dyskusji w sposób, który wykazał jej zdolności. Powiedziała, iż chce pracować w szpitalu w Kaiserwaldzie. Zauważyła, że jest tu miejsce dla większej liczby pacjentów.

Ustaliłyśmy, że zaczniemy następnego dnia.

- Niech panie odpoczną tego popołudnia - zaproponowała przełożona. - Odbyły panie długą podróż i trzeba nabrać sił. Wiem, że miała pani zwyczaj spacerować po lesie, panno Pleydell. Dlatego po południu zabrałam Elizę na przechadzkę, tak samo jak przedtem Henriette.

Elizie bardzo spodobała się okolica.

- Nigdy nie widziałam takiego miejsca. Co to za dzwonki, które od czasu do czasu słychać z oddali?

Wyjaśniłam, że noszą je krowy, gdyż bardzo łatwo mogłyby się zgubić w lesie.

340

- Oczywiście dzwonki wskazują, gdzie są zwierzęta. Była zachwycona.

Minęłyśmy chatę, w której mieszkała babka Gerdy, ale nie zauważyłyśmy tam nikogo. Kiedy doszłyśmy do jakiejś polany, zaproponowałam, żebyśmy trochę posiedziały.

- Chciałabym tu pracować - powiedziała Eliza. - Tu jest tak spokojnie. Widzi pani... nie wiem, jak to wyrazić... wydaje się, jakby pewne sprawy nic tutaj nie znaczyły. Wszyscy są ważni i nikt nie jest, jeśli rozumie pani, co chcę przez to powiedzieć.

- Myślę, że wiem, Elizo.
- Kiedy wyjdzie pani za mąż...
- Och, ale nie jestem pewna, czy tego chcę.
- Poślubi pani doktora Fenwicka, jeśli ma pani choć trochę zdrowego rozsądku.
- Może i nie mam.
- Ależ ma pani. Ma pani dobrze poukładane w głowie. Po prostu jest pani skołowana i to wszystko. Dlatego nie patrzy pani na to tak, jak potrzeba. Poślubi go pani, bo jest w sam raz dla pani... i urządzi pani sobie życie. Ale co będzie ze mną?
- Elizo, zawsze pozostaniesz moją przyjaciółką i będziesz mile widziana wszędzie tam, gdzie ja będę mieszkać.
- Wiem. Niełatwo mi powiedzieć to, co bym chciała. Bardzo panią szanuję. Jest pani wspaniałą kobietą, Anno. Jedną z najlepszych. Nigdy nie zapomnę tego, co pani zrobiła dla Ethel... i dla mnie również.
- Przesadzasz. To doktor Adair wyleczył Toma i pozostawił Ethel z nami - przypomniałam jej.
- On?! To wszystko było na pokaz. To pani tego dokonała.
- To śmieszne, Elizo.
- Głupieję na stare lata. Ale miałam powiedzieć, że chcę, by otrzymała pani od losu to, na co pani zasługuje. Myślę, że będzie pani miała dużo dzieci i będzie zawsze szczęśliwa, gdyż doktor Fenwick to dobry człowiek, a dobrzy ludzie nie rosną na drzewach. Z tego, co wiem o mężczyznach, ci dobrzy trafiają się równie rzadko jak śnieg w lipcu.
- Straszna z siebie pesymistka, Elizo. Nie mówmy już o mnie. A ty, czego ty byś życzyła sobie od życia? Gdybyś mogła wyrazić jakies życzenie, czego byś zapragnęła?
- Chciałabym być przełożoną pielęgniarek w takim miejscu jak to. Urządziłabym wszystko na swój własny sposób. Prowadziłabym najlepszy na świecie szpital. To dziwne, kiedy przyjechaliśmy do Scutari, chciałam zaraz wracać. Zachodziłam w głowę, jak dałam się na to nabrać.

341

A później... po tym wszystkim, co zobaczyłyśmy... po prostu byłam bardzo zadowolona, że tam trafiłam. Wiedziałam, że chcę pielęgnować chorych. Niczego w życiu bardziej nie pragnę.

- Wiem, co czujesz - odrzekłam cicho.

Siedziałyśmy na trawie, oparte plecami o pień jakiegoś drzewa i Eliza opowiedziała mi o swoich marzeniach. Od razu pokochała to miejsce. Pragnęła mieć własny szpital, gdzie mogłaby wprowadzać swoje pomysły i poświęcić się chorym.

Długo rozmawiałyśmy. Eliza nigdy dotąd nie otworzyła tak przede mną serca.

Bardzo ją kochałam i modliłam się, żeby pewnego dnia jej marzenia się spełniły, gdyż miała szlachetne ambicje.

Ktoś zastukał do drzwi. To była jedna z młodszych diakonis. Przełożona prosiła, żebyśmy zaraz stawiały się w jej gabinecie.

Dopiero co wróciłyśmy ze spaceru. Eliza nadal sprawiała wrażenie oszołomionej i wciąż pograżona była w marzeniach o kierowaniu takim szpitalem jak Kaiserwald.

- Lepiej zaraz tam pójść - oświadczyłam. Zapukałam do drzwi gabinetu.

- Proszę wejść! - zawołała przełożona i weszłam. Jakiś mężczyzna stał odwrócony plecami do okna.

- O, jest już pani - powitała mnie przełożona. - Tak się cieszę, że pani tu przyjechała. O ile wiem, państwo dobrze się znają.

Gapiałam się na niego z niedowierzaniem. Bez przerwy o nim myślałam, dlatego przez chwilę wydawało mi się, że jego postać jest wyłącznie wytworem mojej wyobraźni.

- Doktor Adair... - wyjąkałam zaskoczona.
- We własnej osobie - odrzekł. - Jak miło spotkać tu panią. Podszedł i ujął moją dłoń.
- Panna Pleydell opowiadała mi o Scutari - odezwała się przełożona. - To dla nas zaszczyt, że oboje państwo tu są... i panna Flynn również. Mielicie straszne, lecz wspaniałe przeżycia.
- Robiliśmy tylko to, czego od nas oczekiwano. Prawda, panno Pleydell?
- Tak, oczywiście. Po prostu ciężko pracowaliśmy i wykonaliśmy wszystko najlepiej jak mogliśmy.
- Tam musiało być zupełnie inaczej niż w Kaiserwaldzie - ciągnęła dalej nasza gospodyni.
- Zupełnie - przytaknął doktor Adair.
- Proszę usiąść... oboje państwo.

342

Czy spacer po lesie sprawił pani przyjemność, panno Pleydell? Panna Pleydell zakochała się w naszym lesie, doktorze Adair.

- Mogę to zrozumieć. To czarujące miejsce. I romantyczne, prawda, panno Pleydell?
- Tak, tak właśnie sędzę.

Przyniósł krzesło i przytrzymał je, kiedy siadałam. Spojrzałam na niego przez ramię i podziękowałam. Uśmiechnął się nieco ironicznie i nie wiedziałam, co ma oznaczać ten uśmiech.

- Proszę również usiąść, doktorze Adair. Panno Pleydell, doktor Adair omawiał ze mną pewien projekt i uważa, że pani również może w nim uczestniczyć... gdyż wspomniałam mu, iż pani tu jest.

Odwrociłam się, by nań spojrzeć i dostrzegłam złośliwy błysk w jego oczach.

- Tak, panno Pleydell. Z radością dowiedziałem się, że przybyła pani do Kaiserwaldu. Ten projekt dotyczy Rosenwaldu... miejsca podobnego do tego tutaj... choć nie tak dużego i nie tak dobrze zarządzanego. - Uśmiechnął się szarmancko do przełożonej, która pochyliła głowę z zadowoleniem i odrzekła skromnie:

- Nie zawsze było u nas tak jak teraz, doktorze Adair. Zorganizowanie dobrego szpitala wymaga czasu.

- Ale zgodzi się pani, że z czasem... pod odpowiednim kierownictwem... Rosenwald może się upodobnić do Kaiserwaldu?

- Na pewno jest to możliwe, kiedy odpowiedni ludzie współpracują ze sobą... są oddani sprawie, a także gotowi do ponoszenia ofiar.

- Wszyscy żywimy największy szacunek dla pani zdolności, panno Pleydell.

- Cieszę się, że to słyszę - odrzekłam.

- Chodzi o to, że wyjeżdżam, by zobaczyć to miejsce. Oczywiście nasza gospodyni nie może udać się tam ze mną. Przedyskutowaliśmy sprawę i doszliśmy do wniosku, że skoro szczęśliwym zrzędzeniem losu jest pani w Kaiserwaldzie - znów obdarzył mnie takim samym uśmiechem - no cóż, myślę, że to pani powinna obejrzeć ze mną Rosenwald i udzielić mi opinii o możliwościach tej placówki.

- W jakim celu? - spytałam przezornie.

- Nie wiem, jakie ma pani plany.

- Chce pan powiedzieć, że mogłabym tam pracować?

- Pragnę poznać pani opinię o tym miejscu. Udowodniła pani, że jest dobrą pielęgniarką. Może odkryje pani w sobie entuzjazm do zajęcia się Rosenwaldem.

- To by oznaczało, że musiałabym opuścić mój dom i wszystko...

- Za daleko sięga pani myślą w przyszłość. Proszę pojechać tam ze mną jutro. Razem obejrzymy to miejsce i powie mi pani, co sądzi o możliwościach przekształcenia go we wzorowy szpital.

Wyruszam do Rosenwaldu wczesnym rankiem... konno. Pani umie jeździć konno, panno Pleydel?

- Tak, umiem. Ale nie mam odpowiedniego stroju.

- Czy możemy coś znaleźć dla panny Pleydell? - spytał przełożoną.

Nasza rozmówczyni uznała to za możliwe. Oczywiście nikt z personelu szpitalnego nie jeździ konno, ale Fraulein Kleber jest doskonałą amazonką i na pewno chętnie pożyczy mi wszystko, co trzeba.

- Gdyby udało się załatwić to dzisiaj, moglibyśmy wyjechać jutro rano. Droga do Rosenwaldu zabierze nam całe przedpołudnie. Ale będziemy mogli wrócić przed nocą. Jeżeli napotkamy jakieś trudności, przenocujemy na miejscu.

Przełożona miała dość zafrasowaną minę. Domyśliłam się, że jej zdaniem powinna nam towarzyszyć przyzwoitka. Pomyślałam, że może zaproponuje towarzystwo którejś z diakonis, ale przecież żadna z nich nie umiała jeździć konno.

- Eliza Flynn jest tu ze mną, doktorze Adair - powiedziałam. -Może ją pan pamięta.

Zmarszczył brwi w zamyśleniu.

- Ta tęga, wysoka kobieta... bardzo sumienna pielęgniarka -przypomniałam mu.

- Ach, tak - odrzekł. - Duża Eliza. Nie ma potrzeby, aby jechała z nami. I czy dobrze jeździ konno?

- Jestem prawie pewna, że nie.

- Zaplanowałam, że pojedziemy tylko we dwoje, panno Pleydell. Nie trzeba tłumu ekspertów. Chodzi tylko o rzucenie okiem, o ocenę możliwości i tak dalej...

Humor mi się poprawił i nie mogłam nic na to poradzić. Spędzę cały dzień w jego towarzystwie! Nawet przez chwilę nie pomyślałam, że chciałabym pracować w Rosenwaldzie. Obchodziło mnie tylko jedno: Damien Adair wrócił i będę z nim sam na sam... przez cały dzień.

Naprawdę nie sięgałam dalej myślą.

Eliza oniemiała.

- Ten człowiek... tutaj!

- Nie powinno cię to zaskoczyć. To całkiem naturalne, że tu jest. To słynny lekarz, interesują go takie miejsca. W Niemczech powstało kilka najlepszych placówek w Europie i to zrozumiałe, że teraz, kiedy zaczyna się potrzebna od tak dawna reforma szpitalnictwa, zainteresowane nią osoby przyjeżdżają do Kaiserwaldu.

344

- Myślę, że on to wszystko zaaranżował. Sprowadził panią tutaj...

- Och, Elizo, nie mów głupstw! Czemu miałby to robić?

- Ponieważ interesuje się panią. Skończył z Henriettą, a teraz nadeszła pani kolej.

- Tłumaczę ci, że mamy obejrzeć pewien szpital. Nie ma w tym nic romantycznego ani tajemniczego.

- Tylko pani i on... sami! Pojadę z panią.

- Pojedziemy konno, a ty nie umiesz jeździć. Och, Elizo, to nic takiego...

- No cóż, wygląda pani na bardzo zadowoloną.

- Interesuje mnie to miejsce... Rosenwald. Może obie udamy się tam na jakiś czas?

Słyszając to, rozchmurzyła się trochę, więc dodałam pośpiesznie:

- Muszę zobaczyć się z Fraulein Kleber, która mieszka gdzieś w pobliżu. Przełożona powiedziała, że ta dama może mi pożyczyć kostium do konnej jazdy. Sprawiała sobie kilka i mamy podobne figury.

- Chce pani powiedzieć, że przełożona pozwoliła na to? Żeby pojechała pani z nim sama? - zapytała Eliza z niedowierzaniem.

- Robisz z igły widły. Chodź. Idę do Fraulein Kleber. Chodź ze mną.

Poszła prawie niechętnie.

Fraulein Kleber mieszkała w bardzo ładnym domku niedaleko chaty Frau Leiben.

Znalazłyśmy go łatwo i kiedy się zbliżyłyśmy, usłyszałyśmy odgłos wystrzału. Zaskoczone, spojrzaliśmy po sobie z przerażeniem, a wtedy rozległ się drugi strzał, potem trzeci i czwarty.

- Coś się tam stało! - zawołała Eliza.

Pośpieszyłyśmy do domku Fraulein Kleber. Nie zauważyłyśmy nikogo. Kiedy szłyśmy przez pięknie utrzymany ogród do stajni, usłyszałyśmy jeszcze jeden strzał. Dźwięk dochodził z drugiej strony stodoły.

A potem zobaczyłyśmy tarczę strzelniczą ustawioną przy drzewie. Nieznajoma kobieta strzelała do niej raz po raz. Usłyszawszy nasze kroki, odwróciła się szybko.

- Och, proszę mi wybaczyć! - zawołała. - Ćwiczę na Schiitzenfest\*.

\* Schiitzenfest (niem.) - święto strzeleckie.

To już za niecały miesiąc, a ja trochę wyszłam z wprawy.

Była to smukła, wysoka dama w średnim wieku, mniej więcej moich kształtów; miała włosy przyprószone siwizną.

345

- Czy przyszłyśmy w nieodpowiedniej chwili? - zapytałam.

- Och, nie, nie. Panie są z Kaiserwaldu, prawda? Powiedziano mi, że przyjdziecie i oczywiście jestem zachwycona; mój strój z pewnością będzie na panią pasował.

Przedstawiłam jej Elizę, ale ponieważ ta nie знаła niemieckiego, nie mogła włączyć się do rozmowy.

- To miło z pani strony - odrzekłam. - Nie przywiozłam ze sobą kostiumu do konnej jazdy, bo nie przypuszczałam, że będę miała okazję pojeździć.

Skinęła głową.

- Zapomniałam, kiedy dokładnie miała pani przyjść po to ubranie. Tak bardzo zajęły mnie przygotowania do Schiitzenfest. Odbywa się co roku. Zawsze biorę w nim udział i strzelanie pochłonęło mnie bez reszty. Czekam na Vogelscheissen - to strzelanie do kurka. Zawsze mam nadzieję, że zostanę SchiitzenKenig, królem kurkowym. To najlepszy strzelec, wybierany co roku. Oczywiście jeszcze nigdy nie została nim żadna kobieta.

- Życzę pani szczęścia - powiedziałam.

- Proszę wejść do domu. Ale proszę mi wybaczyć, gdyż przedtem muszę odłożyć strzelbę na miejsce.

Weszłyśmy do stodoły, która została zamieniona w coś w rodzaju magazynu broni.

- Mój ojciec był wielkim strzelcem. Zostawał królem kurkowym niemal co roku. To jego strzelby, odziedziczyłam je po nim. Niestety, nie przekazał mi w spadku swojej zręczności i umiejętności strzeleckich. - Włożyła strzelbę do futerału i odwróciła się do nas. Przyjrzała mi się uważnie. - No cóż, mamy mniej więcej te same wymiary, więc nie powinno być żadnych trudności.

Później weszłyśmy do domu, na górę do jej sypialni. Miała cztery kostiumy do konnej jazdy.

Poprosiła mnie, żebym wzięła ten, który mi się podoba, i wybrałam jasnoszarą spódnicę oraz żakiet z szarym kapeluszem.

Przymierzyłam ubranie.

- Jest jak uszyte na panią - powiedziała panna Kleber. - Ma pani dobrego wierzchowca?

- Ma być przyprowadzony rankiem - wyjaśniłam.

- Spodziewam się, że ze stajni Herr Brandta. Już on dopilnuje, żeby wszystko było w porządku. Trzyma kilka naprawdę pięknych koni.



- Jestem pani bardzo wdzięczna, Fraulein Kleber.
- Zawsze jestem szczęśliwa, jeśli mogę coś zrobić dla Kaiserwaldu. Tak jak my wszyscy wokoło. Jesteśmy dumni ze szpitala...

346

przyniósł nam wszystkim wielkie korzyści. Dlatego bardzo się cieszę, że mogę pani pożyczyć kostium do konnej jazdy.

- To bardzo interesująca kobieta - powiedziałam, kiedy odchodziłyśmy. - Szkoda, że nie mogłaś jej zrozumieć.
- Zrozumiałam słowo lub dwa - odrzekła Eliza. - Myślę, że gdybym pobyła tu dłużej, szybko nauczyłabym się ich języka.
- Jestem tego pewna.

- Do twarzy pani w tym stroju. - Przyjrzała mi się uważnie. - Wygląda pani... inaczej. Nie skomentowałam tych słów.

Przeżyłam resztę tego dnia w oszołomieniu. Miałam wrażenie, że śnię. Przyjechałam do Kaiserwaldu, a doktor Adair już tu był. To prawdziwy cud! Myślałam o nim bez przerwy, wydawało mi się zatem, że to moje myśli go tu ściągnęły. I miałam spędzić z nim cały dzień... sam na sam. Wiedziałam, że nasza wycieczka bardzo nie podoba się Elizie, ale nie chciałam z nią o tym dyskutować. Kiedy wieczorem poszłyśmy spać, udałam, że natychmiast zasnęłam. Nie miałam żadnych wątpliwości, że ona nie śpi.

Wstałam wcześniej rano i włożyłam kostium do jazdy konnej od Fraulein Kleber. Wiedziałam, że jest mi w nim do twarzy, ponieważ zawsze dobrze wyglądałam w takim stroju. Byłam wesola i radosna.

Damien wypożyczył dla nas konie, jak się dowiedziałam, że stajni Herr Brandta. Miał pięknego karosza; ja dosiadałam kasztanki. Jechał wspaniale, tak jak przypuszczałam. Na koniu wyglądał niczym jakiś bóg z mitologii greckiej. Miałam nadzieję, że moja radość zbytnio nie rzuca się w oczy.

Kiedy wyjechaliśmy z Kaiserwaldu, zerknęłam za siebie i zauważyłam ruch w naszym oknie. A więc Eliza patrzyła! Mogłam sobie wyobrazić wyraz jej twarzy. Zaciekle sprzeciwiała się tej wycieczce, a należała do osób, które, jeśli już raz coś postanowią, upierają się przy swoim zdaniu. Zmiana jej opinii o doktorze Adairze będzie wymagała dużego wysiłku z mojej strony. Uznała, że uwiódł Henriettę i w melodramatyczny sposób oddał ją Philippe'owi Lablanche - i nic nie mogło zmienić owego przekonania. Ale najbardziej obawiała się tego, co on ze mną zrobi.

- Jak się pani podoba pani klacz? - zapytał mój towarzysz.
- Wydaje się posłuszna.
- To dobrze. Konie lubią być kapryśne, a to będzie długi dzień. Mam nadzieję, że radzi pani sobie w siodle równie dobrze jak na sali szpitalnej.
- Jeździłam konno w Indiach i na angielskiej prowincji.

347

Oczywiście nie jestem urodzoną amazonką, ale myślę, że radzę sobie dość dobrze w siodle.

- No cóż, będę obok, żeby się panią opiekować.
- Ta myśl dodaje mi otuchy - odrzekłam. - Czy długo pozostał pan w Scutari?
- Nie dłużej, niż to było konieczne. Musiałem załatwić pewne sprawy i wróciłem do Anglii najszybciej, jak tylko mogłem.
- Czy widywał się pan później z Henriettą?
- O tak, widziałem ją z Lablanche'em. Wydawali się naprawdę szczęśliwi.
- W swoim liście Henrietta wspomniała, że bardzo jej pan pomógł.
- Zrobiłem, co mogłem. Reszta należała do nich.

- Mam nadzieję, że będą szczęśliwi.
- To znów zależy tylko od nich.
- Nie zawsze tak się dzieje... chociaż ludzie oczekują tego na początku.
- Możemy tylko życzyć im szczęścia.
- Jakże to dziwne, że znalazł się pan w Kaiserwaldzie w tym samym czasie co ja.
- Tak naprawdę to wcale nie jest dziwne.
- Nie sądzi pan tak?
- Ja to wszystko zaaranżowałem. Innymi słowy, poprosiłem przełożoną, żeby panią zaprosiła. A kiedy się dowiedziałem, że przyjechała pani do Kaiserwaldu, zrobiłem to samo.
- Ale... dlaczego?
- Mam pewien plan.
- Chodzi panu o ten Rosenwald? Czy sugeruje pan, że mogłabym objąć to stanowisko... czymkolwiek ono jest?
- Uznałem, że zabranie pani na oględziny tego miejsca to dobry pomysł.
- Więc pan już wszystko zaplanował?
- Przyznaję, że nasze spotkanie nie jest tak przypadkowe, jak pani początkowo przypuszczała.
- To miło z pana strony, że zaplanował pan moją przyszłość.
- Jest pani dobrą pielęgniarką i nie powinno się zmarnować pani talentów. Zna pani ciężkie warunki szpitali na całym świecie. Jest pani uczennicą panny Nightingale i wie pani, co ona zamierza zrobić.
- Tak - szepnęłam.

Ogarnęło mnie przygnębienie. Kiedy powiedział mi, że zaaranżował nasze spotkanie, przez chwilę pomyślałam, iż pragnął mnie zobaczyć.

348

- Na pewno to miejsce bardzo mnie zainteresuje - powiedziałam chłodno.
- Spodziewałem się, że tak będzie. Zapewniam panią, że z niecierpliwością oczekuję na wynik tych oględzin. »

Jechaliśmy jakiś czas w milczeniu, a potem zapytał mnie o dalsze plany. Wyjaśniłam, że w istocie czekam na to, co się wydarzy. Wiedziałam, że w szpitalach zostaną przeprowadzone niezbędne reformy, ale nie byłam pewna, czy znajdzie się tam dla mnie miejsce.

- I dla Dużej Elizy?
- Zamierzamy pracować razem.
- Wydaje mi się, że się panie bardzo zaprzyjaźniły - zauważył.
- To bardzo porządna, godna zaufania kobieta. Milczał.

W końcu zapytałam:

- A co z panem? Ma pan jakieś plany? Czy znów uda się pan do jakiegoś dzikiego kraju, by żyć jak tubylec i odkrywać tajemnice Wschodu?
- Czekam na bieg wypadków tak jak pani.
- Więc pan nic sobie nie zaplanował?
- Wręcz przeciwnie, mam wiele planów, ale muszę brać pod uwagę okoliczności. Czasami myślę, że snucie zbyt wielu planów jest kuszeniem losu.
- Chce pan powiedzieć, że człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi?
- Bóg lub ktoś inny.

Jechaliśmy jakąś wiejską uliczką i musiałam się cofnąć za mego towarzysza. Zauważyłam, że ludzie zerkają na niego, kiedy ich mija, i nie zaskoczyło mnie to. Wyglądał tak dystygowanie.

Kiedy znów znaleźliśmy się na otwartej przestrzeni, opowiedział mi trochę o Rosenwaldzie. Tamtejsze pielęgniarki nie będą diakonisami i nie ma to być instytucja religijna, tylko świecki szpital. W tej chwili jest w stadium organizacji. Leczy się tam niewielu pacjentów,

przypuszczał, że około trzydziestu. Pielęgniarki to wieśniaczki z okolicznych miejscowości - proste dziewczyny bez prawdziwych kwalifikacji.

- Wydaje się pan tym szczególnie zainteresowany - zauważyłam.

- Chodzi mi o znalezienie odpowiedniej osoby, która by nimi pokierowała. Przełożona z Kaiserwaldu to bardzo kompetentna kobieta. Bez niej szpital nie byłby tym, czym jest.

- Zgadzam się z panem.

- O... już niedaleko. Mam nadzieję, że jazda nie była za długa dla pani.

- Nie. To łatwa trasa.

349

- Pani mała klaczka zachowywała się bez zarzutu. Proszę spojrzeć, stąd już widać wieże.

Ładna okolica, prawda?

Popatrzyłam przed siebie i zobaczyłam mały zamek wśród lasu, podobny do Kaiserwaldu.

Wjechaliśmy na dziedziniec. Jakiś mężczyzna podszedł, by wziąć nasze konie, a doktor Adair polecił je nakarmić i napoić.

Powitała nas kobieta, która, jak przypuszczałam, była przełożoną pielęgniarek. Najwyraźniej bała się doktora Adaira.

- Pewnie zechcą państwo coś zjeść - powiedziała. - Z Kaiserwaldu jest dość daleko.

Doktor Adair odpowiedział, że chętnie coś przekąsimy i zrobimy to na zewnątrz. Mamy pewne sprawy do omówienia.

Siedzieliśmy przy stole przed zameczkiem, spoglądając w dolinę. Góry w oddali tworzyły piękne tło, a las był prześliczny.

Od dawna nie byłam taka szczęśliwa. Dlaczego?, zapytałam się w duchu. Ponieważ on chce mi zaproponować pewne stanowisko. Mogę tu przyjechać i zabrać ze sobą Elizę. Może od czasu do czasu będzie wpadał do Rosenwaldu, jeśli znajdzie wolną chwilę między wyprawami do egzotycznych krajów? A jeżeli w ogóle o mnie pomyśli, to tylko tak: „Aha, Anna Pleydell, ta, której powierzyłem zarząd nad nowym szpitalem”.

- Przyjemnie tu - powiedział. - Zgadza się pani ze mną?

- Tak, nawet bardzo.

- Dobre miejsce do pracy?

- Jest bardzo piękne.

- Życie tutaj byłoby takie samo każdego dnia. Pacjenci, którzy wciąż przybywają i odchodzą.

Czy to się pani spodoba?

- Nie wiem, czy pragnę tylko spokoju... i niczego więcej. Roześmiał się i powiedział:

- Nie. Nie oczekiwałem tego. Ale to przyjemne miejsce... dla odpowiedniej osoby. Osoby, która musiałaby bez reszty poświęcić się pracy. Mogłoby to być małe królestwo poddane władzy jednej osoby jako silnej zwierzchniczki... rządzącej tym światkiem, lecz oczywiście mającej bardzo nikłe powiązania z tym, co poza nim. To piwo jest dobre, prawda? I pieczeń również, i oczywiście kiszona kapusta. No cóż, przecież jesteśmy w Niemczech... A ten las tworzy wspaniałe tło, chyba zgodzi się pani ze mną?

Odrzekłam, że się zgadzam.

- A kiedy skończymy jeść, zrobimy obchód, gdyż nie możemy wyjechać stąd za późno.

Wydawało się jednak, że wcale nie było mu spieszno do tego, więc siedzieliśmy jakiś czas przy piwie i jedzeniu.

350

Było tam tak spokojnie, a pogoda taka piękna. Unosząca się w powietrzu lekka mgiełka zabarwiła góry błękitem. Czułam się bardzo szczęśliwa, siedząc tak i od czasu do czasu podnosząc oczy, by napotykać jego spojrzenie. Cała ta scena miała w sobie coś nierzeczywistego i mogłam niemal przekonać samą siebie, że to wszystko mi się tylko śni.

Później razem obejrzelśmy szpital. Tak jak powiedział doktor Adair, było tam około trzydziestu chorych. Zbadał ich wszystkich i zadał pielęgniarce wiele pytań. Pytał nie tylko o pacjentów, lecz także o obowiązki pielęgniarek. Razem obejrzelśmy kuchnię i sypialnię. Bardzo przypominały te w Kaiserwaldzie. Długie dormitorium podzielono na izdebki; wszystko było bardzo czyste i porządnie utrzymane.

Około czwartej zaproponował, żebyśmy wyruszyli w powrotną drogę. Zaskoczyło mnie, że zwlekał tak długo. Bardzo wątpiłam, czy zdążymy wrócić przed nocą. On prawdopodobnie wiedział o tym, ale nie sprawiał wrażenia zaniepokojonego.

Pożegnaliśmy się i odjechaliśmy.

- Inspekcja skończona - oświadczył mój towarzysz. - To bardzo ważna część naszej wycieczki.

- Cel tej wyprawy - przypomniałam mu.

Uśmiechnął się do mnie i zauważyłam, że zachowuje się inaczej niż przedtem.

Przez jakieś półtora kilometra nic nie powiedział, a potem zbliżył wierzchowca do mojej klaczy.

- Obawiam się, że wyjechaliśmy za późno, by zdążyć przed nocą do Kaiserwaldu.

- Czemu nie zrobiliśmy tego wcześniej?

- Skoro przybyliśmy z tak daleka, musieliśmy obejrzeć wszystko bardzo dokładnie.

Oczywiście moglibyśmy zatrzymać się w jakiejś karczmie.

- Nie zauważyłam ich wiele podczas drogi do Rosenwaldu.

- Jest kilka. Ale pewien mój przyjaciel ma domek myśliwski niedaleko stąd. Myślę, że byłby to świetny pomysł, gdybyśmy skorzystali z jego gościny na tę noc.

- Przełożona z Kaiserwaldu oczekuje naszego powrotu.

- Pomyśli, że zatrzymaliśmy się na noc w Rosenwaldzie. Wspomniałem o takiej możliwości. Jechaliśmy jeszcze przez jakieś piętnaście minut. Słońce chyliło się za góry; wkrótce całkiem zniknie.

Znajdowaliśmy się teraz głęboko w lesie.

- Już wkrótce dotrzemy do tego domku myśliwskiego - oświadczył Adair. - To śliczne miejsce.

351

- Pański przyjaciel będzie zaskoczony. Może ma gości.

- Pozwolił mi korzystać z tego miejsca, kiedy tylko zechcę. Obecnie tu nie mieszka. Przecież to tylko domek myśliwski.

- Może być zamknięty - zauważyłam.

- Tam zawsze jest służba.

Dojechaliśmy do jakiejś polany i zobaczyłam domek myśliwski, o którym mówił mój towarzysz. Był większy, niż go sobie wyobrażałam - miniaturowy zameczek z basztą i wieżyczkami. Obok niego stała jakaś chata i to do niej doktor Adair mnie poprowadził. Kiedy się zbliżyliśmy, jakiś mężczyzna pojawił się w drzwiach. Na nasz widok wykrzyknął z zadowolenia i zaskoczenia.

- Herr Doktor!

- Zatrzymamy się tu na noc, Hans - powiedział Damien. - Przypuszczam, że pana hrabiego nie ma.

- Nie, panie doktorze. Otworzę domek myśliwski.

- Bardzo proszę. Przebyliśmy długą drogę. Jesteśmy zmęczeni i głodni.

- Chyba powinniśmy pojechać do jakiejś karczmy. Pańskiego przyjaciela tu nie ma i... - zaczęłam.

- Nie... nie. Mamy taką umowę. Gdyby hrabia się dowiedział, że tu byliśmy i zaraz odjechali, czułby się bardzo zawiedziony. Zresztą, całkiem możliwe, że jeszcze się zjawi. Jeżeli jest na

polowaniu, równie dobrze może zatrzymać się na noc w domku myśliwskim. Ogień będzie płonął w kominkach, pościel zostanie wywietrzona, a jedzenie zawsze tu jest.

- To wydaje się niezwykle...

- Tak tu się przyjęło. - Uśmiechnął się do mnie. - Myślę, że ma pani wątpliwości.

- Wszystko tak nagle się zmieniło.

- Jak? Proszę mi powiedzieć.

- Kiedy wyruszyliśmy w drogę do Rosenwaldu, a także tam, na miejscu, wszystko wydawało się normalne... i rozsądne.

- A teraz uważa pani, że stało się nierozsądne?

Jakiś młodzieniec wyszedł z chaty i zabrał nasze konie.

- Dzień dobry, Franz - powitał go doktor Adair. - Czy Frieda dobrze się czuje?

- Tak, Herr Doktor.

- A maleństwo?

- Bardzo dobrze.

- Zostajemy tu na noc. Twój ojciec otwiera dla nas domek myśliwski. Czy twoja matka ma coś dla nas na kolację?

- Ależ oczywiście. Przecież pan wie, że zawsze jesteśmy gotowi.

352

- To dobrze.

- Herr Graf był tutaj przed miesiącem.

- Tak słyszałem. To miło z jego i waszej strony, że nas tak powitaliście.

- Pan hrabia bardzo by się zmartwił, gdyby pan nie zatrzymał się w domku myśliwskim, będąc w pobliżu.

- Tak właśnie powiedziałem mojej towarzysze.

- To bardzo interesujące miejsce - wtrąciłam.

- I wygodne, dzięki wysiłkom rodziny Schwartzów - dodał doktor Adair. - Pozwoli pani, że panią zaprowadzę. Przypuszczam, że już rozpalono ogień w kominkach. - Wziął mnie pod ramię i poprowadził w stronę domku. - Jest pani zadowolona? - spytał. - Nie włamaliśmy się i nie okłamuję pani. To rzeczywiście jest domek myśliwski hrabiego von Spiegala, mojego przyjaciela, który na pewno by się obraził, gdybyśmy tu przybyli w poszukiwaniu noclegu i udali się do karczmy.

- Los panu sprzyja, skoro ma pan takich przyjaciół.

- Ma pani rację. Rzeczywiście mi sprzyja.

Weszliśmy do dużej sali. Ogień w kominku zaczynał właśnie płonąć.

- Sypialnie są gotowe. Potrzeba nam teraz tylko ogrzewadeł.

- Nazywa to pan niemiecką sprawnością?

- To na pewno jest sprawność, a ponieważ jesteśmy teraz w Niemczech, może ma pani rację.

Jakaś kobieta weszła do sali; była w średnim wieku, dość pulchna, miała różowe policzki i płowe włosy.

- A oto i Elza - powiedział doktor Adair. - Elzo, to jest panna Pleydell. Wiem, że przyszedł tu, aby się nami zająć.

- Mamy gorącą zupę i zimną dziczyznę. Czy to wystarczy, Herr Doktor?

- Właśnie tego potrzebujemy.

- A komnaty? Dębowa i?... - Zawahała się i przeniosła spojrzenie z doktora Adaira na mnie. Zdając sobie sprawę, co implikują te słowa, poczułam, że się rumienię.

Doktor Adair wyczuł moje zażenowanie i chyba go to rozbawiło.

- Elzo, proszę przygotować Dębową Komnatę... i sąsiadującą z nią sypialnię. Myślę, że to wystarczy. To świetnie, że tu przyjechaliśmy. Jak dobrze, że sobie przypomniałem, iż ten

domek myśliwski jest w pobliżu. Będzie nam znacznie wygodniej niż w przydrożnej karczmie  
- ciągnął. - Proszę usiąść, panno Pleydell. Przypuszczam, że kolacja będzie wkrótce gotowa.  
- Za pół godziny, Herr Doktor - sprecyzowała Elza.

353

- Wyśmienicie. Może tymczasem odświeżymy się po podróży. Czy możemy dostać gorącą wodę?

- Każę Friedzie przynieść.

- A Frieda czuje się dobrze?

Elza podparła się pod boki i spojrzała znacząco.

- Oczekuje następnego dziecka - odgadł doktor Adair. - Ile lat ma Fritz? Chyba nie więcej niż dwa.

- Frieda jest zadowolona.

- I wszystko z nią w porządku? - pytał dalej.

- Tak, Herr Doktor.

- Niech pani usiądzie przy ogniu - zwrócił się do mnie.

- Wydaje się, że zna ich pan bardzo dobrze.

- Tak. Zatrzymywałem się tu kilka razy. Hrabia jest bardzo gościnny.

Przeglądał mi się uważnie.

- Mam wrażenie - powiedział - że jest pani trochę zaniepokojona. Pozwoli pani, że spróbuję odgadnąć dlaczego. Myśli pani, że znajdzie się sama w towarzystwie mężczyzny, który pani zdaniem ma złą reputację.

- A powinnam tak myśleć? - spytałam szybko.

- Być może.

- Nie zachowuje się pan tak jak przedtem - zauważyłam. - Był pan zimny... niemal wyniosły.

- A teraz jestem sympatyczniejszy i zachowuję się nieco poufale, prawda?

- Proszę mi powiedzieć, dlaczego mnie pan tu przyprowadził?

- Żeby zapewnić nam wygodny nocleg. Niewygodnie byłoby spać w lesie; a tutejsze gospody są dość kiepskie.

- Czy wiedział pan, że tu przyjedziemy... to znaczy, kiedy ruszyliśmy w drogę?

- Pomyślałem o takiej możliwości. Lepiej wyjaśnię pani sytuację. Służący śpią w swojej chacie i będziemy mieli domek myśliwski tylko dla siebie. - Obserwował mnie bacznie. - Co pani o tym sądzi?

- Myślę, że przełożona diakonis nie tego się spodziewała.

- No cóż, to nie jej sprawa, czyż nie tak? To pani i ja musimy się zadowolić naszym towarzystwem. Co pani o tym sądzi? Nie muszę pytać, ma pani bardzo wyrazistą twarz.

Zawsze pani miała. Dobrze pamiętam, że widziałem nienawiść i pogardę w pani oczach... od czasu do czasu. A oto nagie fakty: pani i ja spędzimy tę noc w tym miejscu... sami. To bardzo romantyczny zakątek. Domek myśliwski w sercu lasu. Myśli pani, że nie można mi zaufać, gdyż jestem potworem, i żadna porządna kobieta nie powinna przebywać w moim towarzystwie.

354

Może ma pani rację. Ale proszę się uspokoić. Jeśli pani tego pragnie, powiem Hansowi i reszcie służby, że jednak tu nie zostaniemy. Pojedziemy dalej i znajdziemy jakąś karczmę. A jeśli pani zdaniem przekracza to granice przyzwoitości, udamy się po nocy do Kaiserwaldu. Więc tak wygląda sytuacja. Decyzja należy do pani.

- Jak moglibyśmy teraz odjechać? Oni przygotowują już wszystko dla nas.

- Możemy powiedzieć, że zmieniliśmy plany. To dobrzy i dyskretni służący i nigdy nie kwestionują zachowania tych, którzy wydają im rozkazy.

Frieda pojawiła się z dwiema konwiami gorącej wody. Doktor Adair rozmawiał z nią kilka chwil o jej dzieciach - o tym, które już ma, i o tym, którego się spodziewała. Pomyślałam, że czasami bywa czarujący.

Później weszliśmy po schodach na górę.

- Dębowa Komnata jest najlepsza - powiedział - więc zostawiam ją pani.

Na pewno była wspaniała, zwłaszcza teraz, gdy ogień trzaskał w kominku, a języki płomieni rzucały cienie na cały pokój. Zapalono świece. Na środku znajdowało się wielkie łoże z baldachimem, a w niszy stały dzbanek i miska.

Umyłam się w gorącej wodzie i uczesałam włosy.

Po chwili usłyszałam pukanie do drzwi. Zawołałam:

- Proszę wejść!

Damien Adair zrzucił jeździecką kurtkę i miał na sobie białą, jedwabną koszulę o szerokich rękawach, rozpiętą pod szyją.

- Widzę, że jest już pani gotowa - powiedział. - Musi pani być głodna. Myślę, że kolacja już na nas czeka. Zjemy na dole. Służba jest bardzo dyskretna. Najlepsi ludzie, jakich można mieć.

Na dole, w sali o wysokim suficie i myśliwskich trofeach oraz broni na ścianach, nakryto do stołu; stała na nim waza z dymiącą zupą. Było też wino.

Usługiwała nam Elza. Nalała zupę i ustawiła przed nami talerze. Później napełniła kieliszki winem.

- To wino naszego hrabiego... z jego własnych winnic - wyjaśnił doktor Adair. - Zawsze każe, by jego gościom podawano tylko najlepsze. Mówi, że jego winogrona mają niezwykle właściwości.

Elza oświadczyła, że wszystko oprócz zupy jest zimne. Przyniosła dziczyznę i chleb; dodała, że na deser będzie szarlotka, a ponieważ ciasto też jest zimne, zostawi nas samych.

- Wystarczy, że państwo odejdą po skończonym posiłku - powiedziała na koniec.

355

- Sprzątnę wszystko ze stołu... później... żeby państwu nie przeszkadzać.

- To bardzo ładnie z twojej strony. Dobranoc, Elzo. Ja również życzyłam jej dobrej nocy.

Rozwój wydarzeń oszałamiał mnie i upajał. Damien Adair zaplanował wszystko - wiedziałam o tym i mimo woli napełniało mnie to radością i szczęściem. Czułam, że naprawdę żyję, a nie było tak, odkąd widziałam go po raz ostatni. Na nic całe udawanie, pragnęłam z nim być. Nie zamierałam być rozumną młodą damą, jaką chciała mnie widzieć Eliza. Pragnęłam przeżyć każdą chwilę, nie zwracając sobie głowy zdrowym rozsądkiem i przyszłością oraz tym, co byłoby dla mnie najlepsze. Tego właśnie chciałam i nikt nie działał na mnie tak jak on. Moje życie za długo było spokojne i nudne. Pragnęłam teraz używać go bez względu na konsekwencje.

Przytrzymał krzesło, kiedy siadałam; później zajął miejsce naprzeciw mnie. Podniósł kieliszek.

- Za nas... i za tę noc. Wypiłam razem z nim.

- Spróbujmy zupy. Nie wątpię, że okaże się wyśmienita. Elza jest bardzo dobrą kucharką. Mam pani tak dużo do powiedzenia, ale najpierw powinniśmy coś zjeść.

- Chętnie posłucham tego, co ma mi pan do powiedzenia. Spojrzał na mnie ponad stołem.

- Światło świec jest czarujące, czyż nie? Jak tu cicho. Czasami w nocy słychać leśne odgłosy... ptaki, dzikie zwierzęta. To może być fascynujące.

Ledwie spróbowałam zupy. Byłam zbyt podniecona, żeby zwracać uwagę na jedzenie.

Zadawałam sobie w myśli pytanie, jakie on ma zamiary... i w głębi serca wiedziałam.

Wstał i wziął ode mnie talerz.

- Gra pan rolę sługi. To niezwykła rola dla pana.

- Ta noc jest niezwykła - odrzekł. - Dziczyzna pochodzi z tego lasu i jestem pewien, że będzie pani smakować.

- Dziękuję. Czy pan poluje, kiedy tu gości?

- Nie poluję... na zwierzęta. Ta rozrywka mnie nie pociąga. Wie pani co nieco o moich zainteresowaniach. Polowania do nich nie należą.

- Pan poluje... na informacje. Pragnie pan wiedzy.

- No cóż, jestem lekarzem. Jak pani wie, bardzo mnie interesują metody leczenia stosowane na całym świecie. Mogłaby pani powiedzieć, że to jest mój teren łowiecki.

- Wiem - szepnęłam cicho.

356

- W naszym zawodzie wciąż panuje zbyt dużo przesądów. Ja zaś jestem człowiekiem, który nie lubi biec wzdłuż wytyczonej linii. Ściągnęło to na mnie krytykę... i nie tylko ze strony innych lekarzy.

- Chce pan powiedzieć, że nie zawsze aprobowano pańskie nieortodoksyjne metody?

Skinął głową i dolał mi wina.

- Hrabia von Spiegel będzie chciał się dowiedzieć, czyjego wino nam smakowało. Byłby zawiedziony, gdybyśmy go nie spróbowali.

- Nie chcę dużo pić.

- Ani ja. Wino zaćmiewa zmysły, a to nie byłoby dobre. Dzisiejszego wieczoru pragnę delektować się każdą chwilą.

- Co chciał mi pan powiedzieć?

- Coś, o czym, jak sądzę, już pani wie. Dokonałem pewnego odkrycia.

- Tak? Jakiego? Utkwił we mnie wzrok.

- Że bez pani moje życie jest bardzo nudne. Otworzyłam szeroko oczy.

- Tak naprawdę to nie jest pani zaskoczona. Wiedziała pani o tym.

Pokręciłam głową.

- Niedawno pokazał mi pan szpital w Rosenwaldzie i dał do zrozumienia, że może będę nim kierowała. Myślałam, że to dlatego pan się mną zainteresował.

- Na pewno nie miałem takich zamiarów.

- Ale pan się zachowywał...

- Przygotowywałem scenerię. Chciałem przyprowadzić panią tutaj... do samego serca lasu, gdzie będziemy sami... zupełnie sami.

Wstałam, a on podszedł i objął mnie mocno.

- Musi pani wiedzieć, jak to z nami jest.

Później przytulił mnie i pocałował... nie raz, lecz wiele razy. Zakreśliło mi się w głowie i pomyślałam, że niedbam o nic. Nawet jeśli tylko na tę noc, chcę być tutaj. Pragnę z nim zostać... Jeśli nie będzie nic więcej... muszę być z nim tej nocy.

Puścił mnie i roześmiał się cicho. Był to triumfalny śmiech.

- Widzi pani, jak to jest - powiedział. Spojrzałam na niego bezradnie.

- Jesteśmy dla siebie przeznaczeni - mówił dalej. - Zawsze o tym wiedzieliśmy. Pani z tym walczyła, postanowiła pani mnie nienawidzić. Nie mogłaby pani mnie tak nienawidzić... gdyby mnie pani nie kochała.

Usłyszałam swój głos mówiący:

357

- Nie wiem. Jestem oszołomiona.

- Ale w głębi serca pani wie. Kocham pani rude włosy, które połyskują w blasku świec, i oczy, zielone jak szmaragdy, kiedy jest pani szczęśliwa. Teraz jarzą się zielenią.

- Proszę, czy możemy usiąść? - zapytałam.



- I skończyć kolację? To świetny pomysł. Jest tu szarlotka. Nie możemy urazić Elzy. Uspokoiliam się trochę. Damien Adair siedział naprzeciw mnie, jego oczy błyszczały. Wydawały się ciemne i głębokie. Przypomnialam sobie, jak zahipnotyzował Williama, i zapragnęłam utonąć w tych źrenicach. Jakiś wewnętrzny głos kazał mi się go strzec. Przecież ten mężczyzna to doświadczony uwodziciel i na pewno miał w życiu wiele takich okazji jak ta. Niewątpliwie zawsze w ten sposób traktował kobiety, z którymi chciał się zabawić. Nie zamierzałam jednak słuchać tego głosu. Za długo już byłam sama i smutna. Nie chciałam sięgać myślami poza tę noc. Sama byłam zaskoczona własnym postępowaniem. To był mój wróg, mężczyzna, którego przysięgłam zniszczyć, a teraz z własnej woli stałam się jego ofiarą.

Myślę, że wiedział, co czułam. Wiedział, że może pokonać wszelki opór z mojej strony.

- Była pani bardzo do mnie uprzedzona, zanim jeszcze się spotkaliśmy. Wiem dlaczego. Zaskoczył mnie na chwilę.

- Przeczytała pani moje książki - mówił dalej. - Wystąpiłem z szeregu, prawda? Co mogła dobrze wychowana młoda dama pomyśleć o mężczyźnie, który żył w namiocie jak Arab, który na pewien czas stał się Arabem... Hindusem... Turkiem...

- Musiał pan prowadzić bardzo ekscytujące życie.

- Życie powinno być ekscytujące, nie sądzi pani?

- Niestety, nie dla wszystkich.

- A jeśli tak nie jest, ludzie powinni zrozumieć dlaczego, i uczynić je takim.

- Widzę, że ma pan w tym wprawę.

- Myślę, że pani również może ją zyskać. Ma pani swoje tajemnice. Och, proszę się nie niepokoić, nie próbuję wydobyć ich od pani. Uznała pani, że nie można cieszyć się życiem. Moim zadaniem, moim obowiązkiem jest udowodnić, że pani się myli.

- A jak pan to zrobi?

- Pokazując pani, iż może być wspaniałe.

- Uważa pan, że to możliwe?

Skinął głową, uśmiechając się do mnie.

358

- Kiedy zdałem sobie sprawę, jak bardzo pragnę, by pani stała się częścią mojego życia, zrobiłem coś w tym kierunku.

- Nie jestem naiwną kobietą, za jaką mnie pan uważa. Nie oszuka mnie pan gorącymi zapewnieniami i słodkimi słówkami.

- Wiem, że nie. I nie myślę o słowach, ale o czynach. Odrzucił na bok serwetkę i wstał. Przyciągnął mnie do siebie, tak że znalazłam się blisko niego.

- Mój drogi Słowiku, to nieuniknione - szepnął. Próbowałam coś odpowiedzieć, ale serce biło mi tak szybko, że

nie mogłam wykrztusić ani słowa. Przytulił mnie do siebie i tak zostałam.

- Jeszcze wcześniej - powiedział. - W Dębowej Komnacie jest balkon. Wyjdźmy tam i popatrzmy na las.

- A to wszystko... - Wskazałam na stół.

- Wślizgnął się tu dyskretnie i sprzątnął ze stołu, kiedy wyjdziemy. Czyż to nie najbardziej romantyczne miejsce na świecie? Jak bardzo się różni od tamtego pokoiku w szpitalu w Scutari, gdzie prowadziliśmy nasze utarczki słowne. - Czy pani pamięta?

- Pamiętam - odrzekłam.

Objął mnie ramieniem i poszliśmy na górę do Dębowej Komnaty. Palące się w kominku polana rzucały migotliwe światło na dębowe ściany. Damien zaprowadził mnie na balkon i

przez kilka chwil staliśmy, patrząc na ciemny las. Zapach sosen upajał jak wino. Jakiś ciemny kształt przeleciał obok okna i usłyszałam hukanie sowy.

- Nietoperze latają nisko tej nocy - powiedział i pocałował mnie. - Jak bardzo tego pragnąłem... od dawna - ciągnął. - Jestem taki szczęśliwy.

- Jestem taka zaskoczona, taka...

- Szczęśliwa - dokończył. Milczałam, a on mówił dalej:

- Proszę, powiedz mi prawdę, Słowiku, nie zamierzasz odwrócić się ode mnie?

- Jestem tu sama... - zaczęłam.

- Ale zostałam dobrowolnie. Chociaż bardzo cię pragnę, nie chciałbym do niczego cię zmuszać. Jeżeli nie życzysz sobie, abym został, możesz mnie wyprosić.

- Nie mogę zrozumieć samej siebie - odrzekłam.

- Ja cię rozumiem, najdroższa. Samotnie walczyłaś z zalem, nienawidząc, kiedy powinnaś kochać, i nie chcąc dostrzec, jak piękne może być życie. A dziś wieczorem, ponieważ jesteśmy tu w sercu lasu, ponieważ magia przesyca powietrze, zapomnisz o wszystkich murach, które wokół siebie zbudowałaś.

359

Przestaniesz cierpieć i zaczniesz żyć pełnią życia.

Poczułam zmęczenie. Nie chciałam się opierać. Pragnęłam wyciągnąć do niego ramiona. Jutro stawię czoło mojemu szaleństwu, ale dzisiaj nie mogę mu się sprzeciwić. Pozwoliłam, by poprowadził mnie do łóża i usiedliśmy obok siebie.

- Nareszcie. Zapomnijmy o wszystkim oprócz tego, że jesteśmy tu razem... że znaczę dla ciebie tyle, ile ty dla mnie, a gdy spotyka to dwoje ludzi, rezultat może być tylko jeden - powiedział czule.

Odwróciłam się do niego. Całował mnie w szyję, w usta; i kiedy nie przestawał obsypywać mnie pocałunkami, poczułam taką rozkosz, jakiej nie mogłam sobie wyobrazić.

Świt właśnie zabarwił okno szarością. Obudziłam się i leżałam, myśląc o tym, co się stało.

Nigdy dotąd nie zaznałam takiej namiętności, takiego szczęścia. Pomyślałam o Aubreyu i o pierwszych dniach naszego małżeństwa. Był czułym kochankiem i nasz związek wydawał mi się wtedy idealny. A potem nadeszło owo straszne przebudzenie w Wenecji i powoli zdałam sobie sprawę, że nie kochałam swojego męża; tylko wydawało mi się, że jestem zakochana, podziwiana, wielbiona... kochana i pożądana.

Teraz było inaczej. Przeżyłam niezwykłą przygodę z mężczyzną, który nieodparcie mnie pociągał, a przecież pozostał dla mnie wielką tajemnicą.

Całkowicie mnie zafascynował, mogłam myśleć tylko o nim. Uczucie, jakie żywiłam do Aubreya, było zupełnie inne. To tak, jakby porównywać bladą poświatę księżyca do promieni słońca.

Znów ogarnęło mnie to wspaniałe zmęczenie. Pomyślałam, że nigdy nie zapomnę tej nocy.

Pozostanie ze mną do końca życia. Jeżeli nawet Damien ode mnie odejdzie, zapamiętam to wszystko. Powinnam wiedzieć, że na całym świecie nie ma nikogo takiego jak on.

Może byłam głupia. Uległam tak chętnie - nie, nie uległam. Pożądałam go tak samo, jak on mnie. Odkryłam w sobie nową istotę - zmysłową i gorącą. Nigdy nie wiedziałam, że mogę być taka. To on obudził we mnie tę kobietę.

Moje ręce leżały bezwładnie po bokach i nagle poczułam, że ujął jedną z nich.

- Obudziłaś się, Słowiku? - zapytał.

- Tak. Już wkrótce będzie ranek.

- A potem stąd odjedziemy. Nie żałujesz... Zuzanno?

- Nie - odrzekłam. - Wcale nie. - A potem z zaskoczeniem uprzytomniłam sobie, że użył mojego prawdziwego imienia.

360

Nazwał mnie Zuzanną, a przedtem zawsze byłam dla niego Słowikiem lub panną Pleydell.

- Czemu mnie tak nazwałeś? - zapytałam.
- A dlaczego nie? To twoje imię, czarujące imię. Zuzanna Saint Clare. Anna nigdy nie była prawdziwą tobą. Zuzanna jest inna. Ty jesteś Zuzanną.
- Wiedziałaś, że ja...
- Znałem pilnie strzeżoną tajemnicę Słowika - odrzekł. - Nigdy nie była to dla mnie tajemnica.
- Czemu mi nic nie powiedziałaś?
- Miałem wspomnieć o czymś, o czym tak bardzo chciałaś zapomnieć?
- Kiedy się o tym dowiedziałeś?
- Wiedziałem od samego początku. Widziałem cię w Wenecji.
- Och, ja również cię widziałam. Tamtej nocy... przywiozłeś Aubreya do pałacu.
- A zatem wiedziałaś, że ktoś go odwiózł do domu. Niegodziwy doktor Damien, który, jak wierzyłaś, zachęcał go do kontynuowania szaleństw.
- Tak myślałam.
- Wiedziałem o tym.
- A ty powiedziałaś, że byłam lekkomyślną, płochą żoną, którą poślubił na swoje nieszczęście, i że mogłam go uratować.
- No cóż, a nie mogłaś?
- W jaki sposób? To było straszne. Tamta jaskinia... -Aubrey postępował absurdalnie i melodramatycznie. Kiedy usłyszał o Francisie Dashwoodzie z Medmenham, postanowił zrobić to samo. Tak naprawdę był dużym chłopcem.
- Zachęcałeś go do zażywania narkotyków.
- To nieprawda! - zaprzeczył gwałtownie. - Interesował mnie wpływ, jaki wywierają na ludzi. Musiałem tak postępować, ponieważ widziałem, że to, co brano lekkomyślnie, wyłącznie w poszukiwaniu nowych wrażeń, ma właściwości lecznicze. Musiałem się o tym przekonać.
- I dowiedziałeś się o tym za pośrednictwem nieświadomych niebezpieczeństwa ludzi. Pozwoliłeś, by przyjmowali narkotyki, żebyś ty mógł poznać ich działanie!
- Wcale nie. Wypróbowałem je na sobie. Tamci zażywali własne narkotyki.
- Ty również mogłeś wpaść w nałóg.
- Nie. Wiedziałem, jak trzeba to zrobić.
- Pojawiłeś się tam... w tamtej jaskini.

361

- Tak. To było wstrząsające przeżycie.
- Byłeś w Indiach, kiedy to wszystko się zaczęło.
- Powstała tam mała grupa, zapomniałem nazwisk tych ludzi. Pewna niemądra kobieta, która się nudziła, założyła mały klub. Spędziłem z nimi trochę czasu. Musiałem się dowiedzieć.
- A dlaczego nie próbowałeś ocalić Aubreya?
- Martwiłem się o niego i próbowałem to zrobić. Jego brat był moim bliskim przyjacielem. Myślałem, że uda się go odzwyczaić, ale kiedy zaczął urządzać orgie w tamtej jaskini, zrozumiałem, że to niewykonalne zadanie. A gdy odeszłaś od niego, tym bardziej. Wtedy szybko się stoczył.
- I owej nocy, kiedy umarł mój synek... byłeś tam... - powiedziała drżącym głosem. - Dałeś mu jeden z tych swoich leków. Eksperymentowałaś na nim... i umarł.
- To również nieprawda. Mówiłem ci, że już nie żył, gdy przyszedłem do niego. Byłem tam wtedy. Tak, w tej jaskini. Obserwowałem niebezpieczne błazeństwa ludzi znajdujących się pod wpływem narkotyków. Wiele mnie to nauczyło. Wróciliśmy do domu. Jedna ze

służących wpadła w histerię, krzyczała coś o dziecku. Stara niańka była pijana. Poszedłem tam i przekonałem się, że chłopczyk już nie żył. Umarł na zastój płucny.

- Gdyby wezwano cię wcześniej...

- Kto wie, może...

- Gdybym tam wtedy była...

- Gdybyś nie wyjechała do Londynu.

- Zdaje się, że wyciągnęłaś niesłuszne wnioski. Mój ojciec konał. Musiałam go zobaczyć. Kiedy odjeżdżałam, mój synek był zdrowy.

- Tak mi przykro - odrzekł Damien. - Tyle wycierpiałas.

Łzy popłynęły mi z oczu. Znow to wszystko przeżywałam, ową straszną chwilę, kiedy weszłam do pokoju dziecinnego i przekonałam się, że mój synek nie żyje.

Damien owinął wokół palca pasmo moich włosów.

- To już przeszłość - powiedział łagodnie. - Masz przed sobą przyszłość. Musisz zapomnieć o tym, co było. Zuzanno, kochanie, czeka cię nowe życie. Przestań się smucić. Musisz znow żyć! - Milczałam, a on ciągnął: - Zuzanna Saint Clare. To tak ładnie brzmi. Ma w sobie pewną symetrię. Myślę jednak, że Zuzanna Adair brzmi lepiej.

Zamilkłam, gdy zrozumiałam, co znaczą jego słowa.

- Czy proponujesz... żebym wyszła za ciebie? - spytałam z wahaniem.

- Nie znam innego sposobu, abyś mogła nosić moje nazwisko. Co o tym sądzisz?

362

Odwróciłam się do niego, a Damien wziął mnie w ramiona i przytulił.

- Musisz powiedzieć, że się zgadzasz - oświadczył. - Bez ciebie moje życie jest nudne i monotonne. A jednej rzeczy naprawdę nie cierpię, właśnie nudy. Proszę, wyjdź za mnie zaraz, Słowiku.

- Spieszno ci.

- Wcale nie. Myślałem o tym od dawna.

- Nie dałeś nic po sobie poznać.

- Musiałem złamać twój opór, zburzyć mur, jakim się otoczyłaś.

- Na pewno już tego dokonałeś.

- Ale czy... całkowicie? Myślę, że nadal widzisz we mnie pewnego rodzaju potwora.

Roześmiałam się beztrząsco.

- Jeśli nawet tak jest... nie obchodzi mnie to.

- To mi się podoba. Przyjęłaś mnie wraz ze wszystkimi moimi grzechami. A obawiam się, że jest ich mnóstwo. Wiesz, że większość tego, o co mnie oskarżałaś, to prawda.

- Wiem o twoim życiu koczownika, o podbojach, o wędrówkach szlakami, po których nie chadzają angielscy dżentelmeni.

- To prawda, lecz to dzięki tym wędrówkom mogę zrozumieć wartość prawdziwej miłości.

- Obracasz wszystko na swoją korzyść.

- Tak właśnie żyję, Zuzanno. Pokażę ci, jak to się robi. Czy wybierzesz się wraz ze mną do tych dalekich, dzikich zakątków świata?

- Tak - odrzekłam bez wahania.

- Natychmiast? Tak właśnie jest ze mną.

- Jeśli weźmiemy ślub... - zaczęłam.

- Kiedy weźmiemy ślub - poprawił mnie.

- Możemy mieć dzieci.

- To całkiem możliwe - oświadczył.

- Jeśli kiedykolwiek będę miała dziecko, nigdy nie zostawię go pod opieką nianie. Nigdy. Bez względu na pokusę.

- I co z tego?

- Ty będziesz chciał wyruszyć w podróż... przeżywać kolejne niesamowite przygody. Co wtedy?

- Jeżeli będziemy mieli dziecko, wszystko się zmieni dla nas obojga - odparł. - Zarówno dla mnie, jak i dla ciebie. Ale czasami mogę cię opuścić. Przrzekam, że moja nieobecność będzie krótka.

- Nie umiem sobie wyobrazić ciebie w roli statecznego lekarza, pracującego w swoim gabinecie jak...

- Jak zwyczajny lekarz. Moja droga Zuzanno, mam bardzo skomplikowaną naturę. Kiedy nadejdzie pora, by porzucić życie pełne przygód,

363

osiądem wraz z moją rodziną. Znajdę inne sposoby, by powiększać wiedzę o medycynie i o życiu. Myślę, że będę idealnym ojcem.

Zamknęłam oczy i pomyślałam, że absolutne szczęście to wczesny ranek w domku myśliwskim w sercu lasu, z ukochanym mężczyzną u boku.

Las był bardzo piękny tego ranka.

Wstaliśmy wcześniej i ruszyliśmy w powrotną drogę. Wszystko wydawało się doskonale: poranne słońce prześwietlające między drzewami, przebudzenie ptaków; łagodny wietrzyk wśród jodeł; i tamten niezapomniany zapach przesycający powietrze.

Nie miałam pojęcia, że można być tak zadowolonym z losu.

- Musimy stąd wyjechać w ciągu kilku następnych dni - powiedział Damien. - Po powrocie do Anglii weźmiemy ślub najprędzej jak to tylko możliwe. Nie widzę powodu do zwłoki, a ty?

- Ja też nie - odrzekłam.

Uśmiechnął się do mnie. Wpadłam w stan uniesienia. Nigdy w życiu tak się nie czułam. Żal tak długo szarpał mi serce i usiłowałam go stłumić myślami o zemście; a o ileż słodsze były myśli o miłości.

Będzie nam cudownie, pomyślałam. Z nim nic nie jest banalne ani pospolite. Wezmę udział w jego podróżach, a jeśli będę miała dziecko... życie stanie się w pełni doskonale. Oczywiście nigdy nie zapomnę o zmarłym synku. Czyż jakkolwiek matka mogłaby zapomnieć o dziecku, które urodziła? Ale zobaczę Juliana w moim następnym dziecku i będzie to dziecko Damiena. Podziękowałam Bogu za to, że pomógł mi wydostać się z otchłani nieszczęścia i zaznać szczęścia doskonałego, i pomyślałam, że terazniejszość nie mogłaby być tak cudowna, gdybym w przeszłości tyle nie wycierpiała.

W takim nastroju wróciłam do Kaiserwaldu.

Powitała nas przełożona. Widziałam, że żywiła pewne obawy z powodu naszej nieobecności ostatniej nocy.

- Rosenwald tak nas oczarował - wyjaśnił jej Damien - że zbyt długo odkładaliśmy odjazd.

Przecież nasza wyprawa nie miałaby sensu, gdybyśmy nie obejrzeliby szpitala w całości.

Zatrzymaliśmy się na noc w domku myśliwskim hrabiego von Spiegala.

Widać było, że poczuła ulgę.

- A jak się ma Herr Graf?

- Och, bardzo dobrze.

To ją zadowoliło. Damien spojrział na mnie figlarnie. Z Elizą nie poszło nam tak łatwo.

Widziałam, że jest wstrząśnięta.

Pomyślałam, że najlepiej zrobić, mówiąc jej natychmiast prawdę.

364

- Wychodzę za mąż za doktora Adaira.

- Och, to nagła decyzja - odparła. Skinęłam głową.

- Wygląda pani inaczej - zauważyła.

- Tak też się czuję.

I to było wszystko. Zmieniła temat rozmowy i zapytała o Rosenwald, ale widziałam, że zaciska wargi z dezaprobatą. Mówiłam z entuzjazmem o możliwościach tego szpitala.

- W tej chwili mają niewykwalifikowane pielęgniarki. Stanie się to wielkim wyzwaniem dla kogoś, kto będzie chciał zmienić ten szpital w drugi Kaiserwald.

- Myślałam, że pani się tym zajmie.

- Początkowo też tak sądziłam. Myślałam, że doktor Adair pokazywał mi to miejsce z takim zamiarem.

- Ale miał inny cel. Nie myślała pani dużo o tym, prawda?

- Ja... nie musiałam myśleć, Elizo. Wiedziałam od razu. Czasami tak jest.

- Myślę, że popełnia pani błąd. Jeżeli wyjdzie pani za niego, liczne zgryzoty przeżrą pani serce.

- Ja zaś uważam, że moje serce będzie przepelniać bezgraniczna radość - odparłam.

- Daleko się pani posunęła, czyż nie tak?

- Masz rację, Elizo. Rzeczywiście daleko się posunęłam.

- To właśnie taki mężczyzna. Wystarczy, że kiwnie palcem. Nie musi nic więcej robić. Pani idzie za nim i koniec.

- Moja droga Elizo, nie wiemy o sobie wielu rzeczy. To mi odpowiada i tego właśnie pragnę najbardziej na świecie. Jestem tak szczęśliwa, jak nigdy mi się nawet nie śniło. Chcę zapomnieć o smutkach. On sprawia, że czuję, iż żyję pełnią życia...

- Na jak długo? - spytała sceptycznie.

- Do końca życia, Elizo. Dopilnuję, żeby tak było. Westchnęła.

- Proszę mi więcej opowiedzieć o Rosenwaldzie.

Nie pozwoliłam, by ponure przepowiednie Elizy zepsuły mi humor. Upajałam się szczęściem. Damien powiedział przełożonej, że opuścimy Kaiserwald za kilka dni, aby wziąć ślub w Anglii.

Ona najpierw pomyślała o Rosenwaldzie.

- Myślałam, że może panna Pleydell... To byłoby dla niej prawdziwym wyzwaniem.

- Rzeczywiście - odparł z uśmiechem - ale podjęła się jeszcze większego wyzwania.

365

Eliza poszła ze mną, kiedy odniosłam Fraulein Kleber kostium do konnej jazdy. Gdy tylko zbliżyłyśmy się do jej domu, usłyszałyśmy huk wystrzałów. Nadal ćwiczyła. Obeszłam stodołę. Na podwórzu zastałam kilka osób.

- Och, już pani wróciła, Fraulein Pleydell - powiedziała gospodyni. - I przyniosła mi pani mój kostium. Czy był wygodny?

- Doskonały. Jak mogę pani podziękować za życzliwość?

- Życząc mi szczęścia podczas Schiitzenfest.

- Och, tak, z całego serca.

- To moi sąsiedzi. Zostaną tu wszyscy na święto strzeleckie. Pożyczę im strzelby.

- Wydaje się, że jest pani miejscową dobrodziejką, gdyż pożyczą pani potrzebującym swoje rzeczy.

- To niemądre w tym wypadku, gdyż będą moimi rywalami.

- Jestem pewna, że pani ich wszystkich pokona.

- Jeśli nie, to na pewno nie z powodu braku ćwiczeń. Zaskoczyłoby panią, gdyby się pani dowiedziała, ile osób u mnie strzela. No cóż, strzelby ojca mogą się na coś przydać.

Zapraszam do domu na kieliszek wina.

Podziękowałam jej i powiedziałam, że nie chcę przerywać ćwiczeń; zresztą i tak musiałyśmy wrócić do szpitala. Miałyśmy odjechać za dwa dni.

- A więc cieszę się, że mogłam pani pomóc.

- Bardzo pani dziękuję i oby pani za każdym razem trafiła w cel!  
- Jaka to przyjacielska kobieta - skomentowałam, kiedy odeszłyśmy, a Eliza zgodziła się ze mną.  
W myślach nazywałam doktora Damiena Doktorem Demonem. Gdy powiedziałam mu o tym, oświadczył:  
- A teraz będę Damienem Mężem Doskonałym.  
- Musimy poczekać i przekonać się, czy zasłużysz na ten tytuł. Teraz będę cię nazywać po prostu Damienem.  
- Podoba mi się sposób, w jaki to mówisz. Brzmi prawie bosko! Narzekał, że nie możemy być sami w szpitalu. Zawsze ktoś nam przeszkadzał.  
- Ta twoja przyjaciółka, Duża Eliza, przyssała się jak pijawka. Zionie złością za każdym razem, kiedy mnie widzi.  
- Mylisz porównania. To smoki zioną ogniem, a nie pijawki.  
- To bardzo zdolna kobieta. W mgnieniu oka może zamienić się z pijawki w smoka. Chodźmy na spacer do lasu, tam będziemy mogli rozmawiać o naszych planach. Musimy ustalić jeszcze wiele rzeczy.

366

-Tak.  
- Pójdziemy osobno, gdyż inaczej Eliza ruszy naszym tropem. Spotkamy się na polanie... powiedzmy za dziesięć minut.  
Nigdy nie zapomnę tego popołudnia. Już przedtem nieraz spadało na mnie nieszczęście, ale nie tak gwałtownie. W jednej chwili z wyżyn ekstazy runęłam w otchłań rozpacz.  
Opuściłam szpital wesółą i szczęśliwą. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że wszystko może się zmienić tak szybko.  
Przyszedł na polanę. Był już tam. Zobaczył mnie i kiedy ruszył spieszenie w moją stronę, rozległ się strzał. Usłyszałam głośny huk i widziałam, jak Damien stał przez moment, a później powoli osunął się na ziemię.  
Podbiegłam do niego. Wszędzie wokół była krew. Leżał na trawie. Patrzyłam na niego z przerażeniem.  
- Nie żyje - jęknęłam. Uklękłam przy nim. - Damien! - szepnęłam.  
Oczy miał zamknięte i z przerażeniem zauważyłam, że leży dziwnie nieruchomo.  
Wiedziałam, że muszę działać szybko. Pomyślałam, że kula trafiła go w plecy. Potrzebował lekarza... natychmiast.  
Co sił w nogach pobiegłam do szpitala. Doktor Kratz i doktor Bruckner działali szybko i sprawnie, za co byłam im wdzięczna. Wzięli nosze i błyskawicznie przyniesiono Damiena do szpitala. To prawdziwy uśmiech losu, że pomoc była tak blisko.  
Spędzili przy nim dużo czasu i zrozumiałam, że jest ciężko ranny.  
- Boże, nie pozwól, by umarł... nie teraz, kiedy dopiero co się odnaleźliśmy - modliłam się. - Nie mogłabym tego znieść. Zrobię wszystko, wszystko, tylko nie pozwól, by umarł.  
Była to nieskładna, chaotyczna modlitwa przerażonej kobiety, którą los stracił ze szczytów szczęścia w otchłań rozpacz.  
Czekałam, aż obaj lekarze wyjdą. Darzyli mnie pewnym szacunkiem i wiedziałam, że powiedzą mi prawdę.  
- Wyjęliśmy kulę - oznajmili mi.  
- Czy wyzdrowieje? Milczeli.  
- Proszę mi powiedzieć! Proszę mi wszystko powiedzieć! - zawołałam.  
- Nie wiemy. Został trafiony w kręgosłup. Jeszcze za wcześnie na diagnozę.  
- Będę go pielęgnować - oświadczyłam.

- Tak... oczywiście.

367

- Mogę do niego wejść?

- Jest nieprzytomny.

- Będę tylko przy nim siedziała. Spojrzeli na siebie i skinęli głowami.

A więc weszłam tam i usiadłam. Jak inaczej wyglądał! Był taki blady; miał zamknięte oczy, a jego szlachetne rysy wydawały się bardziej wyraziste. Zawsze był taki pełen życia i energii, a teraz wyglądał... jak martwy.

Do pokoju weszła przełożona i położyła mi rękę na ramieniu.

- Lepiej go zostawić. Potrzebuje spokoju, a pani też przyda się odpoczynek, moje dziecko. -

Gdy odwróciłam się do niej z oczami pełnymi bólu i żalu, dodała: - Musimy się modlić, by wyzdrowiał. Ma bardzo silny organizm. Zawsze zdobywa to, czego pragnie. I bardzo chce żyć teraz, kiedy wspólnie układaliście plany na przyszłość.

Pozwoliłam, by mnie wyprowadziła. Wzięła mnie do swojego pokoju i kazała położyć się do łóżka. Eliza weszła do środka.

- Niech pani zajmie się panną Pleydell - powiedziała do niej przełożona. - Ona pani potrzebuje.

Eliza skinęła głową.

Jakież długie wydawały mi się dni! Jak długie noce! Leżałam, nie mogąc zasnąć.

Eliza również nie spała.

- Może to i dobrze, że tak się stało - odezwała się w końcu.

- Elizo - powiedziałam - jeśli on umrze, już nigdy nie będę szczęśliwa. Byłam taka nieszczęśliwa, tak pogrążona w bólu z powodu tragedii, jaka mnie spotkała. Rozmyślałam o okrucieństwie życia, a teraz zdaję sobie sprawę, że wyolbrzymiałam swoje kłopoty. To Damien pokazał mi, jaka byłam niemądra. Z nim mogę znów stać się sobą. Jeżeli nie wyzdrowieje, stracę tę szansę. Kiedy poprosił mnie o rękę, poznałam szczęście doskonałe. Pragnę być przy nim przez cały czas. Czy to rozumiesz, Elizo?

- Myślę, że zaczynam rozumieć - brzmiała odpowiedź.

- On musi wyzdrowieć. Ty i ja będziemy go pielęgnować i przywrócimy mu zdrowie.

Pomożesz mi, Elizo?

- Tak - odrzekła. - Pomogę pani.

- Och, dziękuję ci.

- Myślałam, że będzie pani szczęśliwa w tamtym domku z doktorem Fenwickiem - powiedziała - ale teraz widzę, że tylko jego pani pragnie... bez względu na to, kim jest.

- Cieszę się, że wreszcie to dostrzegłaś, Elizo.

368

Rano odbyłam rozmowę z obu lekarzami. Nowiny podniosły mnie na duchu.

- Uważamy, że ma dużą szansę na powrót do zdrowia.

Nie posiadałam się z radości. Ale potem dostrzegłam, że wymienili niespokojne spojrzenia.

- O co chodzi? - spytałam ze strachem.

- Nie wiemy, co z nim będzie... jeśli wyzdrowieje.

- Rozumiem - szepnęłam.

- Właśnie, panno Pleydell. Możemy zrobić tylko jedno: czekać i obserwować.

Troska o Damiena sprawiła, że prawie nie myślałam o sprawie, nad którą się wszyscy zastanawiali.

Kto strzelał do doktora Adaira, najwyraźniej zamierzając go zabić? Był sam na tamtej polanie, doskonale widoczny. Ktoś musiał do niego strzelić pod osłoną drzew.



W okolicy panował ożywiony ruch z powodu nadchodzącego Schiitzenfest i ciągle słychać było wystrzały. Wszędzie strzelano. Czy to jakaś zbłąkana kula trafiła doktora Adaira? Może wystrzelił ją ktoś młody, nieprzyzwyczajony do obchodzenia się z bronią? Obejrzano kulę. Okazała się całkiem zwyczajna i niewiele przyniosła informacji. Kto chciałby zabić doktora Adaira? Nie był mieszkańcem Kaiserwaldu i nawet tam nie pracował - tylko przyjechał z wizytą.

Strzelnica Fraulein Kleber znajdowała się w pobliżu. Czy rzeczywiście ktoś, kto tam ćwiczył, mógł chybić na tak wielką odległość?

Wyglądało to na najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie.

Nadal prowadzono śledztwo, ale nikt nie znalazł rozwiązania zagadki. Nie natrafiono na dowody sugerujące, że ktoś chciałby zamordować doktora Adaira.

Minął tydzień - tydzień, kiedy nadzieja mnie krzepiła, by potem mnie zawieść. Nadal żył. Doktor Kratz powiedział, że Damien trzyma się życia ze zdumiewającym uporem. Wiedział, że czuam przy nim, i zdawałam sobie sprawę, iż czerpie otuchę z mojej obecności. Kiedy odchodziłam, zastępowała mnie Eliza. Byłam zdumiona, jak bardzo się o niego troszczy. Chroniła go niczym lwica; ona, która niedawno tak bardzo go nienawidziła, ze wszystkich sił walczyła teraz o jego życie.

Początkowo obawialiśmy się, że będzie sparaliżowany. Usiłowałam sobie wyobrazić, jakie wiódłby wtedy życie - on, najbardziej aktywny z ludzi, przykuty do łóżka. Przysięgam sobie, że będę się nim opiekowała i poświęcę mu resztę życia.

369

Ale jego zaciekle determinacja przynosiła owoce. Po tygodniu mógł poruszać nogami; a po trzech chodził, podpierając się laską.

Tymczasem śledztwo trwało dalej. Nikt się nie przyznał do wystrzelenia kuli. Ale czy możliwe, że ktoś mógł to zrobić nieświadomie?

Odbywałam krótkie spacerunki po lesie - Eliza i przełożona nalegały, żebym wychodziła dla zdrowia. Pragnęłam spędzać każdą minutę przy łóżku rannego; zdawałam sobie jednak sprawę, że mają rację.

Zawsze chodziłam do złowrogiej polany i pewnego dnia wróciłam myślą do Gerdy i do tego, co jej się przytrafiło. Powiedziała, że spotkała w lesie diabła, który ją uwiódł i omal nie umarła po wzięciu nieznanego środka, by pozbyć się dziecka.

Przypomniałam sobie rozmowę z jej babką. Od powrotu do Kaiserwaldu nie widziałam Frau Leiben, a drzwi jej chaty były zawsze zamknięte. Zaczęłam się więc zastanawiać.

Pomyślałam, że owym „diabłem” mógł być Damien. Czy to możliwe? A jeśli tak?

Przypuśćmy, że Frau Leiben o tym wiedziała. Przypuśćmy, że to ona strzeliła do Damiena, żeby się zemścić...

Nie. Mój ukochany nigdy by nie wykorzystał naiwnej, nedorozwiniętej umysłowo dziewczyny. Ale czy rzeczywiście? Nie byłam tego pewna. Zakrawało na cud, że jeśli nawet tak uczynił, nie zrobiłoby to na mnie wrażenia.

Myśl owa nie dawała mi spokoju i codziennie szłam na tę polanę.

Pomyślałam o Frau Leiben, opiekującej się z całym oddaniem wnuczką, która nie była taka jak jej rówieśnice... prosta dziewczyna, która marzyła na jawie, pasąc gęsi.

Jak bardzo Frau Leiben nienawidziła tego, kto uwiódł Gerdę! Mogłam sobie wyobrazić, jak przysięga zemstę uwodzicielowi. Czyż ja sama nie przysięgam, że się zemszczę na mężczyźnie, który, jak wierzyłam, przyczynił się do śmierci mojego synka? Tak, mogłam zrozumieć uczucia Frau Leiben.

Chata stała na tej polanie i staruszka mogła strzelić z któregoś okna. Byłoby to bardzo łatwe. Pewnego dnia zauważyłam, że drzwi są otwarte. Podeszłam do chaty i zawołałam:

- Frau Leiben!

Staneła w drzwiach i patrzyła przez chwilę, a potem mnie rozpoznała.

- Och, czy... czy to nie Fraulein Pleydell? A więc wróciła pani do nas!

- Przyjechałam tu na krótko. Nie widziałam pani przedtem.

- Nie było mnie. Właśnie wróciłam. Byłam z wizytą. Podczas mojej nieobecności... zdarzył się tu podobno pewien wypadek.

370

- Tak. Postrzelono doktora Adaira.

- Kto go postrzelił?

- Nie wiadomo - odrzekłam, przyglądając się jej uważnie. - Ktoś miał strzelbę i...

- O tej porze roku ludzie zawsze strzelają. Ale nigdy dotąd nie było żadnego wypadku.

- Wydaje się mało prawdopodobne, aby mogła go trafić zabłąkana kula.

Jeśli była winna, to doskonale nad sobą panowała.

- Kiedy o tym usłyszałam, nie mogłam uwierzyć.

- Jak długo pani tu nie było, Frau Leiben? - pytałam dalej.

- Z miesiąc... może trochę dłużej. Właśnie wróciłam.

Wyobraziłam sobie jej powrót do domu. Czy miała strzelbę? Większość tutejszych wieśniaków je posiadała. Strzelali do gołębi i gotowali z nich rosół. Do kurników zakradały się lisy i trzeba było je zabijać. Może wyjrzała przez okno i zobaczyła Damiena? Mogłam sobie wyobrazić, że w odruchu złości chwyciła strzelbę i strzeliła do niego. To byłoby takie łatwe. A potem wystarczyłoby, żeby się ukryła. Któż mógłby wiedzieć, kiedy wróciła do domu? Ma doskonałe alibi.

- To straszne - mówiła. - Biedny doktor Adair! Słyszałam, że wraca do zdrowia.

- Tak - odrzekłam.

- Czy on wie, kto... Potrząsnęłam głową.

- Czy zechce pani wstąpić na chwilę?

Weszłam do chaty i natychmiast zauważyłam kołyskę z dzieckiem.

- Zabrałam go. - Czuły uśmiech rozjaśnił twarz Frau Leiben. - Czyż to nie prawdziwy aniołek?

Podeszłam do kołyski i spojrzałam na niemowlę.

- Czyje to dziecko?

- Gerdy.

- Gerdy! Gdzie jest Gerda?

- Wędruje po okolicy ze swoim mężem. Nigdzie nie zatrzymują się na długo. Mają małą, ładną chatkę jakieś sześćdziesiąt kilometrów stąd, właśnie od nich wróciłam. Nie bywają tam jednak często. Lubią życie wędrowne.

- A więc wyszła za męża!

- O, tak. Nigdy nie przypuszczałam, że tak się stanie. - A jej mąż?...

- Może pani go pamięta, to Klaus Domokrażca. Zawsze lubił Gerdę, a ona jego. Zawsze też chadzał własnymi drogami i tak już będzie.

371

Gerda mu odpowiada, bo nie zadaje pytań. Żadne z nich nie jest takie jak inni ludzie. Z nim Gerda wydaje się rozsądniejsza... a on stał się łagodniejszy. Troszczy się o nią. Jest sprytny. Będzie mu się dobrze wiodło. Już mu się dobrze wiedzie. Gerda jest szczęśliwa. Towarzyszy mu przez cały czas, wędrują razem. Jest zadowolona, bo ma kogoś, kto się o nią troszczy. Ja zrobiłam dla niej, co mogłam. Widzi pani, jej rodzice wyjechali i nie chcieli jej. To może źle wpłynąć na dziecko. Nie umiała sobie poradzić z lekcjami jak inne dzieci. Zawsze była marzycielką. A potem to się stało... Boże mój, sama myśl o tym mnie przeraża. Że ona mogła mieć nieślubne dziecko... moja mała Gerda!

- Czy Klaus wie?

- On dużo o tym wie, przecież je spłodził. To jego dziecko, nawet temu nie zaprzeczał. Poczułam głęboką ulgę. Byłam taka pewna, że znajdę tutaj rozwiązanie zagadki... i obawiałam się tego.
- Przecież utrzymywała, że spotkała w lesie diabła - powiedziałam. - Dobrze to pamiętam. Myśleliśmy, że to ktoś, kogo nie znała.
- To nie było tak. Gerda wiedziała, że nie powinna była tego robić. Zawsze ją ostrzegałam, ale myślę, że nie robiłam tego jak należy. Powiedziałam jej, że to grzech i że diabeł kusi dziewczęta. Ona zaś pomyślała, że to diabeł pod postacią Klause ją skusił. Nie może pani sobie wyobrazić, jaki ona czasem ma mętlik w głowie. Nigdy nie umiała dokładnie wyjaśnić, o co jej chodzi. Widzi pani, ona uznała, że diabeł przychodzi do niej za pośrednictwem Klause. To właśnie miała na myśli.
- Rozumiem. Ale usiłowała pozbyć się dziecka.
- To znowu sprawka Klause. Wtedy nie zamierzał się żenić i ustatkować... i co zrobiłby z dzieckiem? Dał jej środek, który powinno się zażyć w ciągu pierwszych dwóch miesięcy... na wypadek gdyby zaszła w ciążę. Biedna Gerda, jak gdyby ona mogła o tym wiedzieć! No cóż, wzięła ów lek za późno i byłaby umarła... gdyby nie dobrzy ludzie w Kaiserwaldzie. Klaus powiedział, że to, co jej dał, nic by jej nie zaszkodziło, gdyby nie zwlekała tak długo. Sprzedał ten środek wielu dziewczynom, które go zażyły i uzyskały właściwy rezultat. Niemowlę zaczęło płakać.
- Przepraszam panią - powiedziała Frau Leiben i wzięła dziecko na ręce, by mi je pokazać.
- To bystry malec... wdał się w Klause. I tak się nazywa. Mały Klaus.
- Jest pani szczęśliwa, mając go u siebie - zauważyłam.

372

Uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Wydaje mi się, że wróciły dawne czasy, kiedy rodzice Gerdy zostawili mi małą. Znowu czuję się młodo... mam dla kogo żyć. To bystry malec... sprytny jak małpka. Nie tak jak moja biedna Gerda. Nawet kiedy była w jego wieku, widzieliśmy, że nie jest taka jak inne dzieci. On jest inny. Wdał się w ojca.
- Tak się cieszę, że wszystko dobrze się skończyło dla Gerdy i jest szczęśliwa.
- Tak, jest szczęśliwa. Nigdy nie widziałam jej takiej wesołej. Kocha życie wędrownie i Klaus się nią opiekuje. Będą mnie odwiedzać od czasu do czasu... podczas wędrowek. Jak długo zostanie pani u nas tym razem?
- Jeszcze nie wiem.
- No cóż, mam nadzieję, że pobędzie pani u nas jeszcze trochę. Nigdy nie zapomnę tego, co wy, dobrzy ludzie z Kaiserwaldu, zrobiliście dla mojej wnuczki. Powiedziałam jej, że już muszę iść, i zamyślona ruszyłam z powrotem przez las. Miałam wyrzuty sumienia. Oskarżałam go o tragedię Gerdy. Jak mogłam? Celowo gromadziłam przeciw niemu dowody, by zaleczyć własne rany. Użyłam nienawiści jako balsamu.
- Czy kiedykolwiek zdołam wynagrodzić Damienowi krzywdę, jaką mu wyrządziłam? Jego stan poprawiał się z każdym dniem. Mógł teraz odbywać krótkie przechadzki do jeziora i z powrotem. Siadywaliśmy tam i rozmawialiśmy o przyszłości.
- Byłam bardzo szczęśliwa.
- Pewnego dnia powiedział:
- Równie dobrze mógłbym już nigdy nie chodzić.
- Wiem. Zamierzałam spędzić resztę życia, opiekując się tobą.
- To nie byłoby życie dla młodej, zdrowej kobiety.
- Ale je wybrałam.
- Myślę, że wyszłabyś za mnie i byłabyś moją pielęgniarką.

- Tak bym postąpiła i byłabym... szczęśliwa.
- Zmęczylabyś się tym... z czasem. Pokręciłam gwałtownie głową.
- Zaraz po ślubie zamierzałem udać się do Egiptu. To fascynujący kraj. Spodobałby ci się.
- Pojedziemy do mojego domu w Londynie i zostaniemy tam tak długo, aż będziesz mógł podróżować.
- I kto o tym zdecyduje? -Ja.

373

- Widzę, że poślubię bardzo stanowczą kobietę.
  - Dobrze, że to zauważyłaś.
  - Przez ostatnie kilka dni myślałem o tym, że jestem najszczęśliwszym z mężczyzn. Trafiła mnie kula, która mogła uszkodzić mi kręgosłup na zawsze, ale dzięki uśmiechowi losu o włos minęła jakieś ważne miejsce, decydujące o życiu lub śmierci. To samo w sobie jest czymś w rodzaju cudu. A w dodatku opiekuje się mną moja Zuzanna, która będzie mnie kochać i chronić przez resztę życia.
  - A ja jestem najszczęśliwszą z kobiet, ponieważ znalazłam jedynego mężczyznę, którego pragnęłam mieć za towarzysza życia - i to cud, że mimo swoich różnych przygód zapragnął właśnie mnie.
  - To rzeczywiście wspaniała świadomość. Nie jesteśmy dwojgiem młodych ludzi, którzy z głową w chmurach rozpoczynają podróż przez życie. Znamy jego zasadki, prawda? Jak wiesz, bywałem w wielu niebezpiecznych, dziwnych miejscach. Innymi słowy, żyłem naprawdę. A ty, najdroższa, nauczyłaś się, czym jest cierpienie. Dziękujemy losowi za to, czegośmy się nauczyli, ponieważ ta wiedza wzbogaciła nasze życie. A przede wszystkim sprawiła, że jesteśmy wdzięczni za teraźniejszość.
  - Oczywiście masz rację.
- Wyznałam mu, że podejrzewałam, iż uwiódł Gerdę. On zaś nawet nie wiedział o jej istnieniu. Wybuchnął śmiechem.
- To bardzo dobrze, że nie muszę dorównywać jakiemuś ideałowi. Wystarczy, gdy udowodnię ci, że nie jestem taki zły, za jakiego mnie uważałaś.
- I tak ponownie odnalazłam szczęście. Damien szybko wracał do zdrowia. Wkrótce miał je odzyskać.
- Bardzo chciał już wracać do kraju, ale uważałam, że powinniśmy poczekać jeszcze tydzień, aż Damien w pełni odzyska siły. Pojedziemy do mojego domu, gdyż zamierzałam go zatrzymać. Stanie się naszym schronieniem, do którego będziemy powracać z dalekich podróży.
- Jane i Polly tam są - powiedziałam - i stary Joe, stangret. To także ich dom. Są częścią mojej rodziny. Zawsze muszą tam być.
- Uznał to za doskonały pomysł. Postanowił, że weźmiemy ślub zaraz po powrocie do Anglii. Pewnego dnia, kiedy siedzieliśmy nad jeziorem, Eliza przyszła do nas i usiadła obok.
- Jest coś, o czym muszę państwu powiedzieć. Nie wiem, co zrobicie. Zastanawiałam się, czy tego nie zataić... a jednak muszę wam wyjawić prawdę.

374

- Nie mogę tak dalej żyć. Czasami myślałam, że się utopię w jeziorze.
- Elizo, o czym ty mówisz?! - zapytałam z przerażeniem.
  - To ja. Ja to zrobiłam. Nie wiem, jak za to karzą w Niemczech. W kraju uznano by to za morderstwo... za próbę zabójstwa czy coś w tym rodzaju. Czy tutaj za to wieszają?
  - Och, Elizo - powiedziałam. - Więc... to byłaś ty. Skinęła głową.
  - To stało się całkiem nieoczekiwanie. Usłyszałam, że powiedział, iż spotka się tam z panią. Coś mnie podkuśiło. Nie chodziło mi tylko o niego... Ale o mojego ojczyma i tych mężczyzn, dla których musiałam pracować. Chodziło o nich wszystkich. O mężczyzn jako takich. Po

prostu chciałam pomścić siebie i wszystkie kobiety... A przede wszystkim panią. Zawsze mówiłam sobie, że nigdy nie przywiążę się do nikogo, nie tak naprawdę... Ale pani zrobiła dla Lily, Ethel i dla mnie tak wiele... Co to był za wspólny dzień, kiedy panią poznałyśmy! Często myślałam o tamtej nocy podczas sztormu. I pragnęłam dla pani wszystkiego najlepszego... wszystkiego, co się pani należy... wszystkiego, co powinna pani mieć. I był ten doktor Fenwick, i pomyślałam o pani w tamtym ślicznym miasteczku, z maleńkimi dziećmi, które by pani miała. A pan się pojawił... i położył kres temu wszystkiemu.

- Więc strzeliłaś do mnie jak do tarczy - powiedział Damien z uśmiechem. - To był niezły strzał. Chociaż niezupełnie trafiłaś w dziesiątkę.

- Dziękuję Bogu za to, że nie trafiłam. Widzę teraz, jakiego nieszczęścia bym narobiła, próbując wziąć sprawy w swoje ręce. Mogłam pana zabić. Miałabym to na sumieniu aż do końca życia... i widzę teraz, że nic dobrego bym nie zrobiła.

- Czy wtedy po raz pierwszy wzięłaś strzelbę do ręki? - spytał Damien z ciekawością. Skinęła głową.

-Ale pilnie obserwowałam tutejszych strzelców. Wiedziałam, jak to się robi. Drzwi były otwarte. Zapomnieli je zamknąć... to znaczy drzwi składziku broni Fraulein Kleber. Wiedziałam, że są tam te wszystkie strzelby. Po prostu wzięłam jedną z nich. Była naładowana, sprawdziłam to. A potem poszłam i zacząłam się wśród drzew. A kiedy pan przyszedł, strzeliłam do pana. Później odłożyłam broń na miejsce i odeszłam. Raz czy dwa razy pomyślałam, żeby tam wrócić, wziąć którąś ze strzelb i się zabić. Zdałam sobie sprawę z tego, co robiłam. Teraz wiem, że nie można mówić ludziom, co powinni zrobić. Bez względu na to, co by się stało, Anna nie zamierzała wyjść za doktora Fenwicka.

375

Uważałam, że wiem lepiej od niej... i zrobiłam to wszystko dla niej. A potem, kiedy myślała, że pan nie przeżyje, i dostrzegłam w jej twarzy, ile pan dla niej znaczy, chciałam tylko umrzeć. Wiedziałam, że postąpiłam źle... bardzo źle... ponieważ bez względu na to, kim pan jest, ona pana pragnie i nigdy by nie wyrzekła się tego uczucia, nawet gdyby pan umarł. Ja po prostu chciałam odejść z tego świata. Nie sądziłam, że jeszcze jest tu dla mnie miejsce... po tym, co robiłam.

- Och, Elizo - powiedziałam. - Zrobiłaś to wszystko dla mnie.

- Tak. Dla pani. Wydaje się, że dostaję bzika na punkcie pewnych ludzi. Tak było z Ethel. Ja po prostu musiałam o nią dbać, ponieważ nie umiała sama tego robić. Podobnie myślałam o pani. Powiedziałam Ethel, że może zarobić więcej pieniędzy w inny sposób... i proszę, co się stało. Tamten drań zrobił jej dziecko, które umarło. Biedna Ethel omal nie oszalała z bólu. Ja po prostu musiałam się nią opiekować, ponieważ nic nie wiedziała o życiu i o niegodziwości mężczyzn. A potem znalazła Toma. Okazał się całkiem porządny i jest teraz z nim szczęśliwa. Wkrótce potem pojawiła się pani. Polubiłam panią tamtej nocy podczas sztormu.

Zauważyłam, że pani ma w sobie coś niezwykłego. Sprawiała pani, że zaczęłam inaczej patrzeć na różne sprawy i ... na ludzi. Później zaś zjawiał się doktor Fenwick, który, co bardzo rzadkie u mężczyzn, jest dobrym człowiekiem. Ale pani wybrała innego...

- I dlatego postanowiłaś mnie usunąć, by oczyścić drogę dla Fenwicka - skomentował Damien.

- Pomyślałam, że ona zrozumie to z czasem. Że pomyśli o swoich sprawach. Po śmierci pana oprzytomnieje i...

- To wszystko jest bardzo logiczne - uznał.

- Opowiedziałam państwu o wszystkim i kamień spadł mi z serca. Co zamierzacie zrobić w tej sprawie? Myślę, że wydadcie mnie policji. W każdym razie... pan to robi. Jestem skończona. No cóż, nie było to najprzyjemniejsze życie. O dziwo... najlepiej się czułam,

pracując w tym okropnym szpitalu w Scutari z Ethel i z panią, podziwiając doktora Fenwicka i widząc, że jednak na świecie jest trochę dobrych ludzi.

- Och, Elizo! - westchnęłam i objęłam ją ramionami.

- No cóż, to wszystko - odrzekła. - Jestem morderczynią, nieprawda? Albo prawie morderczynią, w każdym razie to bez różnicy. Spróbowałam i przegrałam, ale mogło mi się udać.

- Rozumiem cię, Elizo. Wiem, ile wycierpiałas. Twój ojczym... i tamci wszyscy mężczyźni... poniżenie, wstyd. Wszystko to rozumiem.

376

A doktor Adair czuje się dobrze i szybko wraca do zdrowia... Och, Elizo, zrobię wszystko, co tylko się da, żeby ci pomóc.

- Wiem... wiem, że nawet gdyby mi się udało, pani i tak by mi wybaczyła. Tylko że to nie od pani zależy, prawda? Od niego, gdyż to jego próbowałam zabić.

Damien obserwował ją uważnie.

- Dlaczego ze mną nie skończyłaś, kiedy mnie pielęgnowałaś? To byłoby takie łatwe, czyż nie?

- Wówczas już wiedziałam... Możliwe, że wiedziałam już wtedy, kiedy strzeliłam. A potem zobaczyłam ją... trochę później... ból na jej twarzy... i po prostu chciałam odejść i umrzeć. Zrobiłabym nie wiem co, żeby cofnąć czas do tamtego poranka i pozwolić, by wszystko potoczyło się własnym trybem. Dlatego tak bardzo się starałam, żeby to naprawić. Zamierzałam zrobić wszystko, by wrócił pan do zdrowia.

- Bardzo dobrze się mną opiekowałaś. Rzeczywiście jesteś dobrą pielęgniarką... jedną z najlepszych. Ale to wszystko nie wydaje się zbyt logiczne. Najpierw mnie postrzeliłaś, a potem tak dobrze pielęgnowałaś.

- Powiedziałam panu... że wtedy zobaczyłam... co Anna do pana czuje...

- Zrobiłaś to wszystko dla Zuzanny - powiedział. - To bardzo dużo. Właśnie podjąłem decyzję.

Spojrzałyśmy na niego z lękiem. Uśmiechał się tajemniczo.

- Zamierzam zaproponować, żeby Eliza pojechała do Rosenwaldu.

- Do Rosenwaldu... po co? - wyjąkałam.

- Oczywiście po to, żeby kierować szpitalem. Ta kobieta ma silny charakter... nie boi się postępować stanowczo, kiedy uważa to za stosowne. Właśnie takiej osoby szukamy. Tam, Elizo, odpokutujesz za swoje grzechy; a gdy po raz pierwszy uratujesz komuś życie, będziesz mogła powiedzieć: „Teraz zmazałam tamtą winę”.

- Chce pan powiedzieć... że mnie pan nie wyda... nie oskarży, czy jak to się tam nazywa?

- Nie. Myślę, że mój plan jest lepszy.

- Jak może pan mi zaufać? Byłam gotowa pana zabić. Skąd pan wie, że już nigdy czegoś takiego nie zrobię?

- Jeden raz wystarczy. Już nigdy tego nie powtórzysz. - I chce mi pan powierzyć kierowanie... ludźmi?

- To mnie chciałaś odebrać życie... Uznałaś je za bezwartościowe... za groźbę dla kogoś, kogo kochasz. Myślałaś logicznie, a ja jestem wielkim zwolennikiem logiki.

377

- Ale bardzo źle postąpiłam...

- Rzeczywiście. Lecz nie z pobudek osobistych. Zrobiłaś to dla kogoś innego, co wskazuje, że jesteś zdolna do wielkich uczuć. Bardzo kochasz kogoś, kogo ja też kocham. Dowodzi to, że mamy ze sobą wiele wspólnego. Niezbyt się pomyliłaś w ocenie mojego charakteru. Jestem godny pogardy. A ty masz wielkie zdolności do kierowania szpitalem. Los ci sprzyja, gdyż

kula trafiła mnie w to, a nie w inne miejsce. Gdybyś mnie zabiła, nie mógłbym ci zaproponować Rosenwaldu.

- Traktujesz to tak... nonszalancko - wtrąciłam.

- Wcale nie. Eliza dała upust swoim uczuciom. Nigdy nie próbuje nikogo zabić, ponieważ wie, że nie wolno nikogo całkowicie potępiać i że nikt nie powinien tego robić, ponieważ przed wydaniem wyroku trzeba znać wszystkie okoliczności sprawy. Zdaje sobie też sprawę, że nikt nie jest całkiem niegodziwy... nawet ja; ani też całkowicie święty - nawet dobry doktor Fenwick. Eliza będzie teraz mądrzejsza niż przedtem. Wie, że każdy z nas musi kroczyć w życiu własną drogą i że nie możemy wybierać owej drogi za innych. Dobrze się spisze w Rosenwaldzie. Jakaż stratą czasu i banałem byłyby niepotrzebne oskarżenia! To sprawa tylko między nami. Zabiłem kiedyś pewnego człowieka. Zakradł się do mojego namiotu z nożem. Uduśliem łotra i pogrzebałem ciało w piasku. To był wóz albo przewóz, moje życie albo jego. Przez jakiś czas sumienie nie dawało mi spokoju; ale kiedy uratowałem życie jakiemuś pacjentowi, poczułem, że rachunki zostały wyrównane. I tak właśnie będzie z Elizą. - Odwrócił się do niej z uśmiechem. - Myślę, że już wkrótce powinnaś rzucić okiem na Rosenwald.

Eliza wyglądała tak, jakby wielki kamień spadł jej z serca. Wstała i oświadczyła:

- Nie wiem, co powiedzieć, oprócz tego, że się cieszę, iż wam to wyznałam. Nie sądziłam, że wszystko tak się skończy. Świadomość mojego uczynku przygniatała mnie ciężkim brzemieniem od tamtej chwili. Nie sądziłam, że będę mogła dłużej wytrzymać. - Spojrzała na jezioro. - Wydawało się takie spokojne - ciągnęła. - Pewnej nocy, kiedy panowały tu taki spokój i cisza, pomyślałam, że... - urwała.

- Och, Elizo, ciesz się, że zamiast tego wyjawiałaś nam prawdę.

- I pan... zaproponował mi wyjście z sytuacji... no cóż, nie wiem, naprawdę nie wiem, czy jakiś inny człowiek mógłby tak postąpić z kimś, kto próbował go zamordować - powiedziała ze wzruszeniem.

- No cóż - odrzekł Damien - grzesznikowi łatwiej jest zrozumieć ludzkie słabości niż świętemu. A kiedy się je zrozumie, można wybaczyć.

378

Masz silny charakter, Elizo. Masz odwagę robić to, co uważasz za słuszne. Umiesz kochać całym sercem, a wierz mi, nie jest to bardzo rozpowszechniona cecha. Umiesz przedkładać interes ukochanej osoby nad swój własny. Podziwiam to. Na pewno sprawisz, że szpital w Rosenwaldzie wkrótce przewyższy Kaiserwald.

Spojrzała na mnie i jej uśmiech wyrażał ulgę, a przede wszystkim nadzieję. Patrzyła z nadzieją w przyszłość, która, jak myślała, była dla niej na zawsze stracona.

Skinieniem głowy wskazała Damiena.

- Nigdy w życiu nie spotkałam kogoś takiego jak on - powiedziała.

- Nie spotkałaś - potwierdziłam. - Ja również nie.

Koniec.